

ALLAN COLE

CZARODZIEJ WICHRÓW

TŁUMACZYŁA EWA HELIŃSKA

TYTUŁ ORYGINAŁU WIZARD OF THE WINDS

ALLAN COLE

CZARODZIEJ WICHRÓW

TLUMACZYŁA EWA HELIŃSKA
TYTUŁ ORYGINAŁU WIZARD OF THE WINDS

Shelly i Owenowi,

którzy wysłali statek w podróż

oraz

Russ i Donny'emu

którzy ujrzeli go wśród burzy,

a także

Kathrin,

która sprowadziła go do portu.

*Myśl. - Świat, którego ty się czujesz panem
Drzwi w dzień i w noc ma takie same właśnie
I popatrz: jak pyszny sultan za sultanem
Świeci godziną, lub dwie, a potem gaśnie*

Rubaiyat

Omar Khayyam* [* Omar Khayyam, *Rubaiyat*, z perskiego na angielski przełożył Edward Fitzgerald, z angielskiego na polski przełożył Zygmunt M. Jabłoński, Chelsea 1947. Ze zbiorów Biblioteki Narodowej w Warszawie. (Przypis pochodzi od tłumaczki.)]

Część pierwsza

GDY ZASNĘLI BOGOWIE

Prolog

Nieznajomy na wzgórzu

Mieszkańcy wioski lękają się go.

Każdego dnia ciągną losy, dowiadując się w ten sposób, który z nich musi nappełnić jego żebraczą miskę.

Pechowiec skrada się w górę zbocza, drżąc i ściskając talizman. Nieznajomy wie, że chłopci boją się złego oka, tak więc nie spogląda w ich stronę, kiedy nadchodzą. Nie porusza się i nie wydaje żadnego dźwięku, aż wieśniak, spełniwszy ofiarę, ucieknie jakby derwisz deptał mu po piętach.

Mieszkańcy wioski sądzą, że obcy jest obłąkanym kapłanem i przeklinają dzień, w którym przybył, by schronić się wśród wzgórz.

Nie jest obłąkany. Nie jest też kapłanem. Jednak pozwala im wierzyć w to, co zechcą. Gdyby odkryli jego prawdziwą tożsamość, skarbiec wioski wkrótce zacząłby pękać w szwach. Nieznajomy jest bowiem królewskim zbiegiem. Safar Timura, niegdyś wielki wezyr króla Protarusa, jest teraz przez niego ścigany.

Związało ich ze sobą braterstwo krwi. Safar siedział obok tronu przyjaciela, doradzał mu i wypędzał diabły, które zakłócały królewski sen. Wielokrotnie uratował życie władcy. W zamian otrzymał ziemie, pałace, klejnoty i zaszczyty, o których większości ludzi nawet się śniło.

Gdy powstanie kronika życia króla Protarusa, napiszą w niej, że to lord Timura zdradził swego pana. Zapiszą, że dla miłości Safar zaryzykował wszystko, co miał, i przegrał.

Jeśli chodzi o pierwszy zarzut, jest niewinny. Safar uważa, że to król Protarus go zdradził. Co do drugiego, lord przyznaje się do winy. I właśnie za to przestępstwo Protarus chce jego głowy. Ale Safar żąda więcej za zbrodnię króla.

I odbierze swoją zapłatę - chyba, że król schwyta go pierwszy.

Ze swej samotni Safar widzi miasto, w którym mieszka jego wróg. Nocą, pod wirującym Księżycem Demonów dostrzega światła Zanzairu, które przyćmiewają blask gwiazd. Obserwuje, jak każdego poranka z kuźni i kuchni wznosi się dym zasnuwający światło dnia. Znakomicie widzi królewski Wielki Pałac, którego okna żarzą się różowo o świcie.

Safar formuje pałac w najbielszej glinie, zręcznie kształtując wieże między wilgotnymi dłońmi i ryjąc na gzymsach wzory srebrnym magicznym nożem. Szepcze słowa garncarskich zaklęć, modelując kopuły i filary. Przesyca glinę tchnieniem swej nienawiści.

Nocą owija model w mokre liście i odstawia, by czekał na nadejście kolejnego dnia. Opróżnia żebraczą miskę, a potem owija się czarną, żałobną szatą chroniącą go przed chłodem. O świcie zaczyna wszystko od nowa.

Kiedy Safar Timura ukończy pałac i rzuci potężne zaklęcie, jego zemsta dokona się.

Wtedy porzuci to samotne wzgórze. Ucieknie przez pustynie, sawanny i rozległe skaliste równiny ku górą, gdzie się urodził.

Tam, gdzie zaśnieżone przełęczce wiodą ku jasnym horyzontom karawany przeprawiające się

przez wysokie góry.

Tam, skąd nigdy nie powinien odchodzić.

Tam, gdzie zaczyna się opowieść.

Dolina Obłoków

Działo się to wtedy, gdy świat był wielki, a sny małe. Niewielu okrętom zdarzało się zabłąkać w okolice oddalone od czterech wielkich żółwi, które na swych grzbietach niosły przez oceany góry i równiny. Zarówno ludzie, jak i demony gromadzili się pod wyblakłymi sztandarami królów, których rządy trwały już zbyt długo. Między jedną granicą a drugą rozciągała się przestrzeń, którą można było pokonać szybkim marszem. Ci, którzy mieszkali dalej, skupiali się w uzbrojonych osadach, wspólnie stawiając czoło rabusiom i bestiom.

Były to niespokojne czasy, które wręcz krzyczały o zmianę. Królewscy czarodzieje studiowali gwiazdy, szukając znaków, które zapewniłyby ich panów, że mogą spać spokojnie. Poddani zaś gromadzili się potajemnie, by błagać bogów o uwolnienie od owych panów.

Ale bogowie nie zdradzali w niczym swych zamiarów. Gwieździste koło, gdzie spali w swych dziesięciu królestwach, toczyło się rok po roku, nieczułe na wszelkie prośby.

Wtedy objawił się znak. Nie zesłali go uśpieni bogowie, lecz dobiegł z roztopionych czeluści samego świata. A jego zwiastun nie pojawił się dzięki potężnemu magowi, lecz dzięki chłopcu.

Tym chłopcem był Safar Timura.

Mieszkał w krainie zwanej Esmirem, Żółciem Mórz Środkowych. Był to kraj, gdzie demony i ludzie mierzyli się wzrokiem ponad Zakazaną Pustynią. Tylko starożytna klątwa i nieustanne wojny wewnętrzne powstrzymywały odwiecznych wrogów przed przekroczeniem pustyni i pozabijaniem się nawzajem.

Jednakże w Zanzairze, mieście demonów, król Manacia i jego magowie knuli, czekając na właściwą chwilę. Chociaż ludzie mieli liczebną przewagę, Manacia wiedział, że ich magia była słaba, a przywódcy tchórzliwi. Pragnął, by nadszedł dzień, w którym ich zwłoki utworzą schody, wiodące go ku wspanialszemu tronowi.

Chcąc spełnić swoje marzenia, król studiował starożytne mapy i księgi, a także udawał się do wielu wyroczni. W końcu sam stworzył najpotężniejszą z nich, poświęcając w trakcie tego procesu pięć tysięcy istot ludzkich niewolników.

Pośrodku sali tronowej pałacu Manacii, na metalowym słupie, umieszczono ludzką głowę. Miała zamknięte oczy, obwisłe usta i upiorną skórę.

Manacia rzucił najpotężniejsze zaklęcie i rozkazał:

- Przemów, Bracie Cieni. Co jest kluczem do pragnienia ukrytego w moim sercu? Jaką drogę mam obrać, jakiego przejścia szukać, by zdobyć tron króla królów?

Oczy otworzyły się, pałając nienawiścią i cierpieniem. Sztywne wargi uformowały słowo:

- Kyrania... - Głowa zaskrzeczała niczym stary kruk z dziobem wypełnionym skrzepami krwi.

- Co to za miejsce? - zażądał wyjaśnienia król.

- Kyrania - skrzeknęła ponownie głowa.

Cały dwór gapił się na nią, rozdziawiając w oczekiwaniu demoniczne paszcze, podczas gdy król wbił długi, ostry szpon w starożytną mapę ludzkich krain.

- Gdzie znajdzie tę... Kyranię? - zapytał.

- Dolina Obłoków - odparła głowa. I wtedy jej oczy zmętniały, a usta ponownie obwisły w martwym grymasie.

- Mów! - rozkazał król, rzucając kolejny potężny czar. Ale bez skutku. Wyrocznie opuściła już całą moc.

Król demonów obrócił się ku zebranych magom i doradcom.

- Znajdźcie to miejsce - zagrzmał. - Znajdźcie Kyranię! Tę Dolinę Obłoków!

Oddaleni o tysiąc mil, Safar Timura oraz jego lud w pocie czoła i względnym pokoju uprawiali ziemię i strzegli swych stad. Mieszkali w znacznym oddaleniu od problemów otaczającego ich świata. Od dawna trwali w przekonaniu, że sami niewiele znaczą.

Ich dolina leżała tak daleko od innych siedzib ludzkich, że znajdowała się na niewielu mapach. Te z kolei były niezwykle zazdrośnie strzeżone przez panów karawan, którzy przewozili towary przez Łańcuch Bogów dzielący starożytne ludzkie królestwa Walarii oraz Caspanu.

Dolina znana była pod nazwą Kyrania, co w języku ludu Safara oznaczało Dolinę Obłoków.

Była to kraina mlekiem i miodem płynąca. Wiosną i latem dolina zamieniała się w nieckę pełną kwiecica oraz owoców, niesioną wysoko przez postrzępione pasmo górskie, które mieszkańcy doliny nazywali Panną Młodą i Sześcioma Druhnam. Nazwa pochodziła od siedmiu pełnych wdzięku szczytów, których kształt przypominał smukłe, młode kobiety. Patrząc od strony południowej, wydawało się, że kroczą w wiekuistej procesji. Najwyższy i najwdzięczniejszy szczyt prowadził pozostałe. Dla Kyranian ten wierzchołek był Panną Młodą, ponieważ zawsze okrywał go śnieg, a jego szczyt zasłaniały koronkowe obłoki tworzące welon. Chociaż dolina leżała tak wysoko, że przybyszom czasami brakowało tchu, to dzięki panieńskim szczytom prawie zawsze panował tam łagodny klimat.

Połowę doliny wypełniało święte Jezioro Naszej Pani Felakii. Czasami z karawanami przybywali pielgrzymi, chcąc złożyć hołd tej bogini czystości i zdrowia oraz napić się leczniczych wód. Zbierali się, czekając na błogosławieństwo, w starożytnej świątyni na wschodnim brzegu, która była tak malutka i nieważna, że służył w niej tylko jeden stary kapłan. Dwa razy w roku przy jeziorze zatrzymywały się stada ptaków, by odpocząć w czasie sezonowych migracji. Nikt nie wiedział, skąd się biorą ani dokąd lecą, ale zawsze witano je z radością. Napępowały bowiem powietrze śpiewem, a wiejskie paleniska pieczonym mięsem.

Lud Kyranii uprawiał jęczmień, kukurydzę i fasolę, nawadniając pola wodą z jeziora. Gaje oliwne i sady obfitowały w owoce, jednak okres wegetacyjny był krótki i dlatego Kyranianie przywiązywali wielką wagę do kozich stad. Wiosną oraz latem Safar i pozostali chłopcy wyprowadzali kozy w góry, by tam pasły się delikatnymi pędami. Gdy nadchodziła zima, kozy tłoczyły się w oborach za domostwami, żywiąc się zapasami ziarna i ogrzewając rodziny ciepłem swych ciał.

Wszystkie te sprawy, które mieszkańcom miast mogły się wydawać trywialne, a nawet nudne, stanowiły najwyższą wartość dla Safara i jego ludu. Nadawały ton ich rozmowom i snom, a także rytm ich życiu.

W pewnym sensie - na kyański sposób - Safar pochodził z królewskiego rodu. Był synem

garncarza, a w Kyranii tacy mężczyźni jak jego ojciec ustępowali w hierarchii ważności tylko wioskowemu kapłanowi. Ojciec jego ojca był również garncarzem, tak jak i jego ojciec. Tak zawsze było w klanie Timurów. Wiele pokoleń kyrańskich kobiet, kołysząc biodrami i balansując dzbanami Timurów na głowach, wyprawiało się ze wsi do jeziora i z powrotem. Wszyscy mieszkańcy wioski gotowali jedzenie w garnkach Timurów, albo przechowywali je w słojach Timurów, które pieczętowano na zimę gliną i zakopywano w ziemi. W dzbanach Timurów fermentował alkohol, który rozlewano następnie w naczynia Timurów. Mówiono, że każdy napój smakuje najlepiej, kiedy pije się go z kubków i miseczek Timurów. Kiedy przybywały karawany, wyroby rodziny Safara były bardziej pożądane od wielbłądów i lam, które mieszkańcy wioski trzymali dla panów karawan, by ci mogli zmienić wierzchowce na świeże zwierzęta.

Safar uczył się, by zastąpić ojca w kultywowaniu tej niegdyś najświętszej ze sztuk, gdy nadciągnęły kłopoty. Osiągnięcie tego celu było najszczerzą ambicją Safara, ale jak powiedział kiedyś pewien mędrzec: „Chcesz rozśmieszyć bogów - zdradź im swoje plany”.

Dzień, który położył kres młodzieńczym ambicjom, zaczął się na długo przed pierwszym świtaniem, jak wszystkie dni w Kyranii. Była wczesna wiosna, a porankiem nadal panował chłód. Jedna z siostr długo uderzała kijem od miotły w jego pryczę, zanim w końcu podniósł się z ciepłego, puchowego materaca.

Safar zamruczał gniewnie, wyrwany ze snu, w którym pływał w ciepłych wodach jeziora w towarzystwie hożych panien. Miał dopiero siedemnaście wiosen. W jego wieku takie sny były uderzająco realistyczne i prawie tak częste, jak narzekania na niesprawiedliwość życiową.

Wtem Safar usłyszał Nayę, najlepszą mleczną kozę rodziny, żalącą się w obórcie. To było słodkie zwierzę. Chłopiec nie znosił myśli, że może cierpieć. Zeskoczył z pryczy na wypolerowane deski podłogi głównej sali domu, a następnie wyciągnął kufer, w którym przechowywał swoje rzeczy i pospiesznie naciągnął na siebie ubranie - obszerne skórzane spodnie, grubą koszulę i ciężkie robocze buty. Matka stała już przy palenisku, mieszając aromatyczną jęczmienną polewkę, którą miała podać na śniadanie, i wrzucając do niej garście suszonych jabłek.

Cmoknęła z niezadowoleniem, besztając za spóźnienie, ale zaraz potem uśmiechnęła się i podała mu pajdę chleba posmarowaną brzoskwińowym dżemem, by przetrwał jakoś dojenie. Safar był średni z rodzeństwa, ale jako jedyny chłopiec z sześciorga dzieci był z uczuciem i rozmysłem psuty przez matkę i siostry.

- Lepiej się pospiesz, Safarze - ostrzegła matka. - Ojciec wkrótce wróci na śniadanie.

Safar wiedział, że ojciec sprawdzał w przyległym warsztacie wyniki wypalania z poprzedniego dnia. Ojciec, Khadji, wolał, by na czas posiłków rodzina zbierała się razem. Tego ranka było to dla niego szczególnie ważne. Do późnej nocy trwało zebranie Rady Starszych i Khadji niecierpliwiał się, by przekazać wieści rodzinie.

Safar, z ustami wypełnionymi chlebem, zbiegł z hałasem po drabinie i zapalił łojowe lampki. W głowie aż szumiało mu z ciekawości. Wyjął kilka naczyń wykonanych z najczystszej gliny ojca, powleczonych osłepiająco białą glazurą. Jak zwykle najpierw zajął się Nayą. Miała pyszne mleko, a jego matka często oskarżała go, że więcej wlewa płynu do ust niż do wiadra.

- Dlaczego to zawsze ja jestem winny, kiedy coś tu szwankuje? - protestował w takich wypadkach.

- Ponieważ coś ci zostało na brodzie, mały rabusiu - odpowiadała na to.

Zawsze przyłapywała Safara. Chłopiec ocierał w zamyśleniu brodę, dając rodzinie swym

zakłopotaniem powód do gromkiego śmiechu.

- Nigdy nawet nie myśl o karierze rozbójnika, Safarze - żartował ojciec. - Na pewno złapie cię pan pierwszej obrabowanej karawany. Wtedy jedyną pamiątką po naszym synu byłaby głowa na słupie.

Naya tego ranka była bardziej niespokojna, niż można się było spodziewać po przepelnionych wymionach. Kiedy Safar zdjął płócienną torbę owiniętą dla utrzymania czystości wokół jej sutków, zauważył kilka podrażnionych ran. Sprawdził płótno i odkrył, że jedna strona była wystrzępiona. Szorstki materiał ocierał się całą noc o wymię. Rany szybko by zaropiały podczas wilgotnej wiosny.

- Nie martw się, mamusku - wymruczał. - Safar cię wyleczy.

Rozejrzał się wokoło, by upewnić się, że nie ma świadków. Siostry poszły po wodę z jeziora, tak więc w oborze nie było nikogo prócz kóz i innych zwierząt. Safar poskrobał się w głowę, rozmyślając.

Jego wzrok spoczął na lampie obok stołka. Zanurzył palce w gęstym, ciepłym tłuszczu, a potem wtarł go delikatnie w wymię Nayi. Następnie wymyślił małe zaklęcie i wyszeptał je, wyciągając więcej łoju i okładając nim podrażnienia.

*Odpoczywaj,
Mamusku,
Safar jest obok.
Nic nie boli,
Nie ma dokuczających ran.
Odpoczywaj,
Mamusku,
Safar jest obok.*

Spojrzał na wymię. Podrażnienia znikły. Pozostał tylko różowy, szybko blaknący ślad. Wtedy usłyszał matkę.

- Do kogo mówisz, Safarze?

Zaczerwienił się i odpowiedział:

- Do nikogo, matko. Po prostu... śpiewałem.

Wtedy jeszcze Safar ukrywał przed innymi swe magiczne talenty.

Jego matka, usatysfakcjonowana odpowiedzią, nic już nie odpowiedziała. Safar szybko dokończył dojenie i wykonał pozostałe obowiązki. Do tego czasu ojciec i siostry zasiedli do śniadania. Przy stole pozostało jedno puste miejsce, zajmowane zawsze przez najstarszą siostrę Safara, Queterę. Safar ujrzał, jak matka spogląda na nie ze smutkiem. Jego siostra mieszkała teraz z mężem. Nosila swoje pierwsze dziecko, a ciąża należała do trudnych. Cała rodzina martwiła się o nią.

Matka wytarła łzy, zmusiła się do uśmiechu i zaczęła rozdzielać jedzenie. Jedli polewkę, chleb pieczony na palenisku, grube kawałki sera z okrytej twardą skórką gomółki, którą matka zawsze przechowywała przy żarze. Po śniadaniu przepłukali gardła jeszcze ciepłym mlekiem z porannego udoju.

- Późno wróciłeś do domu tej nocy, Khadji - powiedziała matka, podając ojcu kolejną, posmarowaną masłem grzanekę. - Pewnie na radzie musiało być wiele spraw do omówienia. Mam nadzieję, że nie ma żadnych złych wieści.

Khadji zmarszczył brwi.

- Nie nazwałbym ich złymi, Myrno - odparł. - Ale z pewnością były kłopotliwe.

Myrna zaniepokoiła się.

- Proszę, powiedz, że to nie ma nic wspólnego z karawaną? - poprosiła.

Właśnie zaczął się sezon karawan. Do wioski dotarła wiadomość, że pierwsza grupa kupców zmierza ku Kyranii. Zima była długa i mieszkańcom wioski brakowało towarów oraz pieniędzy przywożonych przez karawany.

- Nie, to nie dotyczy karawany - zapewnił ojciec Safara. - I tak nie spodziewamy się jej przed upływem paru tygodni.

Myrna prychnęła zniecierpliwiona.

- Jeśli nie chcesz, żeby druga miska polewki wylądowała na twojej głowie, Khadji Timuro - zagroziła - to lepiej mów natychmiast, o co chodzi!

Zazwyczaj Khadji śmiał się w takich wypadkach, ale Safar ujrzał, jak tym razem ojciec jeszcze bardziej ściągnął brwi.

- Zgodziliśmy się przyjąć chłopca do wioski - rzekł Khadji. - Przedstawił go nam starszy klanu Babor. Błagał nas, żebyśmy udzielili mu azylu.

Baborowie byli najważniejszą rodziną wielkiego i srogiego klanu zamieszkującego odległe równiny.

Poruszona Myrna upuściła chochlę.

- Nie podoba mi się to - oznajmiła. - Ach, przecież to prawie barbarzyńcy. Nie sądzę, żeby wpuszczenie jednego z ich młodocianych zbójów między nas miało być dla nas dobre.

Kadji wzruszył ramionami.

- Co mogliśmy poradzić? Barbarzyńcy czy nie, Baborowie związani są z nami więzami krwi. Niegodnie byłoby odmówić kuzynom.

Myrna pociągnęła nosem.

- Mimo wszystko to bardzo dalecy kuzyni.

- Sądzę, Myrno, że ten chłopak da się lubić - Khadji bronił nieznajomego. - Jego rodzina to krewni żony przywódcy Baborów. Mieszkają gdzieś na południu. Wnosząc z zachowania chłopca, to wpływowi ludzie. To przystojniak mniej więcej w twoim wieku, Safarze. Wysoki - też mniej więcej twojego wzrostu. Bardzo zmanierowany. Jest dobrze odziany i nieźle się wysławia. Wydaje się, że to jeden z tych, którzy są przyzwyczajeni do wydawania rozkazów otaczającej go służbie.

- Wkrótce się nauczy, że w Kyranii nie ma służby - powiedziała ostro Myrna. - Po co go tu przysyłają?

- Jest sierotą - odparł ojciec Safara.

Myrna oburzyła się.

- Sierota? Co to za sierota? Nie, cofam moje słowa. Bogowie stwarzają sieroty. To nie wina dziecka. Dziwię się rodzinie chłopca. Co to za ludzie, którzy wypychają sierotę do obcych? Czy oni nie mają serca?

Safar zobaczył, jak jego ojciec wierci się niespokojnie.

- Wygląda na to, że w jego klanie panuje jakieś zamieszanie - odpowiedział Khadji. - Chyba się kłóca.

Myrna uniosła brwi.

- Dla tych ludzi - rzekła - klótnia zazwyczaj oznacza przemoc i przelew krwi. To jedyny znany im sposób rozwiązywania sporów.

Khadji przytaknęła smutno.

- Zapewne masz rację, Myrno - odparł. - Wujek chłopca tylko tyle nam powiedział. Sądzę, że boi się o jego życie. Poprosił nas o pozwolenie chłopcu na pobyt w świątyni, dopóki niebezpieczeństwo nie minie.

Safar od razu wiedział, że ojciec użył niewłaściwych słów.

- Niebezpieczeństwo? - wykrzyknęła matka. - Co za niebezpieczeństwo, Khadji?

- Grozi tylko chłopcu, Myrno - uspokajał ojciec. - Tylko chłopcu.

- Ale co się stanie, jeśli przyjadą tutaj? A jeśli będą nam sprawiać kłopoty?

- Przyjedzie tylko jego wujek - odpowiedział ojciec. - I dopiero wtedy, kiedy chłopiec będzie mógł bezpiecznie wrócić do rodziny. Myrno, bądź rozsądna. Musimy wyjaśnić to pozostałym. Jeśli ty się sprzeciwisz, będę musiał wycofać się z umowy. A poza tym, kto by jechał tak daleko, aż do Kyranii, tylko po to, żeby nam przysporzyć zmartwień? Nie mamy nic, czego oni by chcieli. Przynajmniej nic tak cennego, żeby opłacało się im zadawać tyle trudu. No i jakże mogłem odmówić?

- Następnym razem zapytaj mnie! - powiedziała Myrna. - Powiem ci o odmowie wszystko co trzeba.

Potem złagodniała, kiedy doszła do głosu jej wrodzona kyrańska gościnność.

- Poradzimy sobie najlepiej, jak umiemy - ogłosiła. - Nie można obwinać chłopca o kłopoty wywołane przez jego rodzinę.

- Jak on się nazywa? - zapytał Safar.

- Iraj Protarus - odparł ojciec.

Imię spadło na Safara jak grom z jasnego nieba. Słyszał, jak jego matka mówi:

- Protarus? Protarus? Nie znam tego nazwiska rodowego.

Ale Safar znał je na tyle dobrze, by wzbudziło w nim nagły niepokój.

Kilka dni wcześniej, gdy pracował w warsztacie swojego ojca, miał wizję. Nie umiał określić, czy wieściła dobro czy zło, ale głęboko zakłóciła jego spokój.

Spadła na niego, gdy oczyszczał z kamyków i korzonków nową partię gliny, którą wydobył z jeziora.

W Kyranii poza jeziorem istniało wiele innych znakomitych złóż gliny. Gлина z jeziora była czysta i dlatego miała szary kolor. Ale jak każdy garncarz wie, czysta glina musi zostać zmieszana z innym gatunkiem, inaczej nie wypali się właściwie. Tydzień marszu od wioski do dyspozycji Timurów pozostawała glina w dowolnej barwie - czerwona, czarna, biała, w kolorze żółtej ochry, a nawet szmaragdowej zieleni. Glinę od dawna uważano za świętą substancję, zaś ta z Kyranii uchodziła za najświętszą. Mówiono, że Rybian, bóg, który stworzył ludzi, kiedyś spędził sporo czasu w Dolinie Obłoków, zalecając się do pięknej bogini Felakii. Opowieść głosiła, że bogini pozostawała obojętna na starania boga. Podczas długotrwałych zalotów Rybian, nudząc się, ulepił wszystkie rasy ludzi i demonów. Twierdzono, że do stworzenia demonów użył zielonej gliny.

W trakcie pracy myśli Safara błądziły daleko od boskich tematów. Zamiast tego jego wyobraźnia skupiła się na kryjówce, którą odkrył, podglądając ulubione kąpielisko panien z wioski.

W glinianych odpadkach znalazł niezwykle kamień. Był szeroki, gładki i krwistoczerwony. Safar obracał go we wszystkie strony. Na jednym boku widniała wyraźna skaza wielkości paznokcia u kciuka. Skaza wyglądała jak maleńkie okienko, które w dziwny sposób przyciągało spojrzenie Safara.

Safar drgnął, bo wydało mu się, że zobaczył jak coś się porusza... jakby zostało uwięzione w

kamieniu. Mrugając, spojrział znowu. Obraz odmrużnął i Safar zdał sobie sprawę, że patrzy na odbicie własnego oka. Przyjrzał się bliżej, zastanawiając się nad różnymi błahostkami, o których myślą ludzie pozostawieni sam na sam z lustrzaną powierzchnią.

Nagle Safar poczuł, że spada. Ale wrażenie było niepodobne do jakiegokolwiek doświadczanego dotychczas uczucia spadania. Jego ciało nadal klęczało przy wiadrze z gliną, podczas gdy dusza wpadła do okna.

Jego duchowa jaźń spadała, przebijając grube chmury, aż przedarła się na drugą stronę. Safar czuł dziwny spokój, rozglądając się wokół. Wtedy dotarło do niego, że raczej unosi się, a nie opada. Nad jego głową rozpościerało się jasne niebo, a zakrywające je dotąd chmury szybko się rozbiegały. Ku niemu płynął rozległy krajobraz żyznych ziem, przeciętych szeroką wstęgą drogi.

Droga kończyła się wspaniałym miastem ze złotymi iglicami.

Ostatnia z chmur rozmyła się, odkrywając potężną armię maszerującą traktem do miasta. Sztandary powiewały na delikatnym wietrze. Armia kroczyła w olśniewającym szyku oddziałów i zbrojnej kawalerii, dosiadającej zarówno koni, jak i wielbłądów. Z obu stron oskrzydlały ją rydwany. Armie prowadziła falanga słoń. Safar rozpoznał je tylko dzięki ilustrowanym książkom ze szkoły. Słoń na czele kolumny był największy. Zwierzę miało biały kolor i niosło na grzbiecie palankin, nad którym powiewał duży, jedwabny sztandar z wizerunkiem komety przecinającej pełnię.

Kometa była srebrna, a księżyc w pełni - czerwony.

Wtem Safar ujrzał, jak bramy miasta rozwarły się szeroko, a pomiędzy nich wypadł tłum witający armię. Safar rozpostarł swe niewidzialne ramiona i popłynął w stronę tłumu. Nikt go nie widział, kiedy żeglował nad lasem włóczni i lanc. Cieszył się chłopięcą radością, że wśród tylu dorosłych może zrobić, co zechce, i pozostać niewidzialnym. Potem przeciął powietrze i prawie wpadł między bramy miasta. Korygując kurs, popłynął nad tłumem. Spojrzął w dół.

Pod nim falowały tysiące skrzeczących potworów. Od razu wiedział, że to demony. Powinien być przerażony, gdyż demony były najstarszymi i najbardziej zagorzałymi wrogami ludzi. Jego wizję jednak przytłumiło narkotyczne odrętwienie, dzięki któremu nie czuł nic prócz zdziwienia.

Demony miały żółte oczy i potężne szpony. Z ich zwierzęcych czół wystawały rogi. Kiedy otwierały usta, błyszczały ostre kły. Skórę pokrywały zielone łuski. Wszystkie nosiły najwspanialsze szaty i klejnoty. Najbardziej bogate stroje zdobiły wysokie, szczupłe demony na przedzie, które Safar wziął za władze miejskie.

Najwyższy z nich trzymał włócznię. Na jej szczycie zatknięta była głowa. Safar nigdy jeszcze nie widział tak makabrycznego widoku, dlatego wytrącił go on z równowagi znacznie mocniej niż demony klębiące się poniżej. Jednak nie mógł się powstrzymać od parcia naprzód. Na włóczni zatknięto głowę demona. Była wielka - dwa razy większa od ludzkiej. Jej pysk zastygł w szerokim grymasie, ukazując dwie pary ułożonych naprzeciwległe kłów, których nie powstydziliby się pustynny lew. Wypukłe czoło okrywał hełm, a z tyłu wisiały długie, zakrwawione włosy. Na głowę włożono, niczym dla szyderstwa, złotą koronę.

Otwarte oczy króla demonów były puste. Ale Safar wyobraził sobie, że w ich żółtej głębi ujrzał małą iskierkę życia. To zaniepokoiło go jeszcze bardziej niż krwawy pokaz śmierci. Rozpostarł ramiona i odleciał.

Zobaczył, jak wielki biały słoń zbliża się, tak więc poleciał ku niemu, by zbadać, co się tam dzieje. W palankinie siedział potężny mężczyzna z długimi, złotymi włosami, opadającymi wąsami i gęstą, strzyżoną na wojskowy sposób brodą. Rysy jego twarzy były tak piękne, że Safar poczuł

zdumienie, jednak o wiele mniejsze niż w przypadku demonów.

Pod ciemnymi, chmurnymi oczami widniał duży, zakrzywiony nos podkreślający władczy wygląd mężczyzny odzianego w bogatą, wypolerowaną zbroję. Rękojeść spoczywającego w pochwie miecza wykonano z pięknie rzeźbionej kości słoniowej splecionej ze srebrnym drutem. Głowę mężczyzny otaczała cienka złota wstęga wysadzana rzadkimi klejnotami.

Safar wiedział, że patrzy na nowego króla przybywającego, by zastąpić poprzednika, którego głowę zatknięto na włóczni. Tłum demonów wykrzykiwał na cześć swojego nowego władcy, a ten w odpowiedzi kiwał ręką w zbrojnej rękawicy.

Demony skandowały coraz głośniej:

- Protarus! Protarus! Protarus!

Król podniósł głowę i spojrzał na Safara. Dlaczego tylko ten jeden człowiek mógł go widzieć? Safar nie wiedział. Protarus uśmiechnął się i wyciągnął rękę, przywołując bliżej szybującego ducha.

- Safarze - powiedział. - Wszystko to zawdzięczam tobie. Pójdź i usiądź ze mną. Niech uczczą również twoje imię.

Safar czuł się zakłopotany. Kim był ten wspaniały król? Jak to się stało, że go znał? Cóż za usługę mógł wyświadczyć królowi, by zyskać jego łaskę? Protarus ponownie skinął. Safar podpłynął bliżej, a król wyciągnął rękę, by ująć jego dłoń.

Zanim ich palce zetknęły się, Safar doświadczył raz jeszcze uczucia spadania. Ale tym razem spadał do góry! Ruch był tak szybki, że poczuł się niedobrze. Potem miasto, armia, a w końcu nawet zielone pola znikły, a jego samego otuliły chmury.

Kolejną rzeczą, którą zapamiętał, było wiadro, nad którym kuczał. Próbował jak najszybciej odwrócić się, by nie zapaskudzić gliny zawartością żołądka.

Na szczęście dla Safara ojca nie było w pobliżu. Pospiesznie posprzątał po sobie, skończył pozostałe obowiązki i powlókł się do łóżka. Doświadczenie wyczerpało go i wytrąciło z równowagi, tak więc gdy nadeszła pora kolacji powiedział, że jest chory i spędził niespokojną noc na kontemplacji zagadkowej wizji.

Niepokój powrócił, gdy Safar siedział, słuchając rodzinnej pogawędki o młodym nieznanym, który miał przybyć do Kyranii - nieznanym, który również nazywał się Protarus. Martwił się tym, aż przyszedł czas na pójście do szkoły. Wtedy porzucił wszelkie myśli, stwierdzając, że to musi być przypadek.

Za młodu Safar Timura wierzył w przypadki.

Wiosenny, jasny dzień towarzyszył Safarowi i jego siostrom w drodze do świątynnej szkoły. Kobiety i mężczyźni pracowali na polach, przygotowując błotnistą glebę pod sadzonki, a chłopcy, na których przyszła kolej dbania o kozy, prowadzili stada na wzgórze. Spędzą tam kilka tygodni, podczas gdy Safar i pozostali będą uczyć się u kapłana. Potem na nich przyjdzie kolej rozkoszowania się leniwą wolnością wśród wysokich przełęczy.

Mały wiejski rynek już zamierał, jedynie paru śpiochów kłóciło się ze sprzedawcami o to, by jeszcze przez chwilę nie zamykali kramów, umożliwiając dokonanie potrzebnych sprawunków.

Dzieci Timury przeszły obok wygiętej linii brzegowej jeziora, mijając ruiny kamiennych baraków, które, jak głosiła legenda, zbudował Alisarrian Zdobywca, który przekroczył Łańcuch Bogów w trakcie swej kampanii o królestwo. Królestwo to, jak uczono kyańskie dzieci, kiedyś obejmowało cały Esmir, a demony na równi z ludźmi, gięli się przed wolą Alisarriana. Lecz po

Śmierci władcy imperium uległo rozpadowi, zamieniając się w walczące ze sobą plemiona i lenna. Wtedy właśnie, mimo chaosu, ludzie i demony przysięgli przestrzegać porozumienia, na mocy którego Zakazana Pustynia stała się krainą bez demonów i bez ludzi - miejscem dzielącym dwa gatunki.

Ludzie spoza doliny utrzymywali, że Zdobywca nie zdołałby przeprowadzić swojej wielkiej armii przez Łańcuch Bogów, ale kyrańska legenda głosiła, że Alisarriańczycy osadzili w dolinie kilka swoich oddziałów, a żołnierze wzięli sobie za żony miejscowe kobiety. Kyranijczycy byli przeważnie niskimi, ciemnoskórymi ludźmi, natomiast Alisarrian i jego wojownicy byli słusznego wzrostu i mieli jasną skórę. Od czasu do czasu w Kyranii rodziło się jasne dziecko, dając świadectwo prawdzie tych twierdzeń.

Według Safara jego wygląd potwierdzał miejscowe opowieści. Chociaż miał ciemną cerę i włosy, jego oczy były niebieskie, a ponadto, zupełnie jak starożytni Alisarriańczycy, przewyższał wzrostem pozostałych mieszkańców wioski. Jego lud w większości miał smukłe sylwetki, zaś klatka piersiowa i ramiona Safara, nawet pomimo jego siedemnastu lat, były szersze niż u większości ludzi, a ramiona stawały się coraz silniej umięśnione. Jednakże w jego wieku każda cecha odróżniająca go od reszty była kłopotliwa, tak więc dla Safara jego wzrost i niebieskie oczy przypominały o haniebnej odmienności.

Kiedy Timurowie mijali kamienistą zatoczkę, gdzie kobiety zajmowały się praniem, jedna ze staruch podniosła wzrok. Jej oczy przypadkiem zetknęły się ze spojrzeniem Safara. Nagle napełniły się strachem, a kobieta wykonała gest obrony przed złem. Potem zaklęła i trzykrotnie splunęła na ziemię.

- To diabeł - zaskrzeczała do kobiet. - Niebieskooki diabeł z piekieł rodem.

- Cicho, babko - powiedziała jedna z pozostałych. - To tylko Safar z siostrami idzie do szkoły przy świątyni.

Ale starucha nie zważała na jej słowa.

- Odejdź! - zachrypiała do Safara. - Odejdź, diable!

Chłopiec oddalił się, nie słuchając pocieszeń sióstr, które przekonywały, że to jedynie szalona stara kobieta i żeby na nią nie zważać. Chłopiec w ich słowach nie znajdował pocieszenia. W głębi serca wierzył, że kobieta mówiła prawdę. Nie wiedział, czy rzeczywiście był diabłem, ale obawiał się, że stanie się nim, jeśli nie porzuci czarnoksięstwa. Za każdym razem, kiedy dokonywał magicznego czynu lub miał wizję, przysięgał bogom, że już więcej tego nie zrobi.

Jednak im starszy się stawał, tym trudniej było mu się oprzeć pokusie.

Safar miał ten dar od niemowlęctwa. Jeśli jakiś błyszczący przedmiot zwrócił jego uwagę, mógł go przyciągnąć do siebie siłą woli. Wkładał go wtedy do ust i żuł, sprawiając ulgę wrażliwym dziąsłom. Matka i ciotki piszczały, zaniepokojone, i odbierały przedmiot, bojąc się, że połknie go i się udusi. Safar doprowadzał je do szału takimi figlami, bo choćby nie wiadomo jak dobrze chowały przedmioty, wywęszal je i przywoływał z powrotem.

Gdy już podrósł, używał swego daru do odnajdowania zgub. Jeśli zabrakło narzędzia, albo zwierzę gdzieś się zawieruszyło, zawsze potrafił je odszukać. Był w tym tak skuteczny, że gdy cokolwiek się zagubiło, rodzina od razu wzywała go, by to odnalazł. Safar nie wiedział, w jaki sposób to robił, ale wydawało mu się to tak naturalne, iż był zdumiony, że inni nie posiadają tej umiejętności.

Niewinność skończyła się, kiedy osiągnął dziesiąty rok życia.

Pewnego dnia znajdował się w warsztacie ojca, formując malutkie garnuszki, których wyrobu

uczyl go ojciec w ramach terminowania. Khadji poszedl wykonać gdzieś jakąś pracę, tak więc chłopiec szybko się znudził. Jeden z garnuszków miał wybrzuszoną skazę, która według Safara nagle zaczęła przypominać perkaty nos wiejskiego kapłana. Chłopiec zachichotał i zmiotosił garnuszek w dłoniach, lepiąc z niego kulę. Wtedy jego dłonie jakby nabrały własnego rozumu. W ciągu paru minut uformowały z kuli małego człowieczka.

Z początku Safar był zachwycony, a potem pomyślał, że czegoś brakuje. W ciągu sekundy wpadło mu na myśl, że gliniany mężczyzna nie miał penisa, tak więc przylepił go do krocza. Odłożył człowieczka, zastanawiając się, co z nim zrobić. Potrzebny mu przyjaciel, zdecydował Safar. Nie, żona. Tak więc ulepił jeszcze jedną kulkę, a z niej uformował kobietę o zgrabnych, jak u najstarszej siostry, piersiach i małą szparką, gdzie trzeba. Jeszcze raz zastanowił się, co powinien zrobić z nowymi zabawkami. Wtedy zdecydował, że jeśli są kobietą i mężczyzną, to powinni mieć dzieci. Akt seksualny nie ma tajemnic przed dziećmi, które żyją w bliskości z naturą, a tym bardziej nie miał go w kyańskich domach, gdzie prawie nie było prywatności. Tak więc Safar ułożył figurki w odpowiedniej pozycji.

- Róbcie dzieci - powiedział im Safar. Ale nic się nie wydarzyło.

W głowie pojawiło mu się dziecinne zaklęcie, chociaż wtedy nie wiedział, że tym naprawdę było. Podniósł figurki i trzymając je blisko siebie skandował:

*Skóra i krew
Kiedyś były gliną
Dopóki Rybian nie stworzył ludzi.
Teraz Safar tworzy ludzi
I niech glina zamieni się w skórę
Niech glina zamieni się w krew.*

Gliniane postacie stawały się coraz cieplejsze. Potem zaczęły się poruszać, a dziecko śmiało się radośnie, patrząc, jak się splatają, niczym kochankowie podpatrzeni kiedyś na łące.

Wtedy do środka wszedł Khadji.

- Ojczy, popatrz co stworzyłem! - zawołał Safar.

Kiedy Khadji zobaczył figurki, pomyślał, że to jego syn wprawia je w ruch. Dopadł do niego jak burza i chlasnął w twarz.

- Co to za świństwa? - wrzasnął.

Porwał figurki z rąk Safara, a one znów zamieniły się w glinę. Potrząsał nimi przed nosem chłopca.

- Jak mogłeś zrobić coś tak niegodnego? - warknął. - Bogowie pobłogosławili nas tymi przyjemnościami. Nie wolno ich wyszydzać.

- Ale ja niczego nie wyszydzałem, ojczy - zaprotestował Safar.

Ojciec ponownie go uderzył. Wtedy weszła matka, by zobaczyć, co się dzieje.

- O co chodzi, Khadji? - zapytała. - Co zrobił nasz Safar?

Mężczyzna w gniewie pokazał jej postacie.

- Ten mały, wstrętny chłopiec zrobił takie świństwo - warknął. - Zachował się jak jeden z tych zdeprawowanych garnarzy z miasta, a nie jak bogobojny Timura.

Matka Safara, nie zmieniając wyrazu twarzy, uważnie obejrzała lalecзки. Ojciec, zakłopotany, wrzucił je do wiadra, a potem ponownie zamierzył się na chłopca.

- Wystarczy, Khadji - ostrzegła matka. - Już wie, o co chodzi. I nie robi tego więcej... prawda, Safarze?

Chłopiec płakał, bardziej z poniżenia, niż z bólu. Ojciec nie uderzył go aż tak mocno, by płakać. Znacznie bardziej bolało to, że uderzył go ktoś, kogo uważał za bohatera.

- Nie, matko - wymamrotał chłopiec. - Nie zrobię już tego więcej. - Obrócił się do ojca. - Przepraszam - powiedział. - Obiecuję, że już nigdy nie będę niegrzecznym chłopczykiem.

Timura zamruczał gniewnie, ale skinął głową. Chłopiec modlił się do wszystkiego, co święte, by to zadowoliło ojca. Przysiągł sobie, że już nigdy nie da mu powodu do skarcenia. Potem Myrna odprowadziła Safara. Zabrała go do kuchni, gdzie kazała mu wyczyścić palenisko.

Safar przystąpił energicznie do działania, pociągając nosem w trakcie szorowania kamieni ze wszystkich swych nikłych, chłopięcych sił. W końcu łkania ustały. Zaryzykował zerknięcie na matkę i zobaczył, że go obserwowała. Ale wcale nie wyglądała na zagniewaną albo zawstydzoną.

- Były śliczne, Safarze - wymruczała.

Chłopiec nic nie odpowiedział.

- Tak piękne, że wątpię, abyś miał na myśli coś złego. Prawda?

Safar skinął głową. Potężny szloch zagrażał wyrwaniem się na wolność, ale zwalczył go i odzyskał kontrolę nad sobą.

- No cóż - powiedziała. - Jeśli nie miałeś na myśli nic złego, to nie martw się tym. Po prostu od teraz bądź ostrożniejszy. Zrobisz to dla mnie?

Wyciągnęła ramiona, a Safar wbiegł w ich ciepłą zatokę, uciekając od burzy uczuć. Ale od tego dnia kojarzył magię z czymś wstydliwym czym zajmowali się mali, niegrzeczni chłopcy. Ten wstyd rósł wraz z jego mocą i niemożnością zaprzestania grzeszenia. Czuł się odgradzony od innych, dobrych ludzi Kyranii, którzy mieli migdałowe oczy i byli odpowiednio niscy.

Tak więc, kiedy starucha przeklęła Safara, nazywając go niebieskookim diabłem, bezwiednie wzięła sobie na cel otwartą ranę.

Kiedy Safar wraz z siostrami dotarł do świątyni, ich kapłan, Gubadan, przygotowywał już dzieci do ćwiczeń. Był małym, radosnym człowiekiem obdarzonym tym wielkim, perkatym nosem, przez który wcześniej Safar cierpiał. Pokażny brzuch kapłana rozciągał żółty materiał szat. Miał nawyk chwytania się za boki i postukiwania w nie kciukami. Miał również wygoloną głowę i długą, białą brodę, którą utrzymywał w nieskazitelnym stanie.

Kiedy Safar przyłączał się do pozostałych uczniów, wykonujących powolne, uświęcone ćwiczenia i oddychających głęboko, tak jak ich uczył Gubadan, by oczyścić umysły z błahostek przeszkadzających w uczeniu się, rozglądał się w poszukiwaniu nowego chłopca. Rozczarował się, gdy go nie zobaczył.

Gubadan zauważył jego roztargnienie i warknął:

- Włóż w to więcej ducha, Safarze, albo puszczone trzcinkę w ruch.

Pozostali zaśmiali się, co wywołało jeszcze więcej gróźb użycia trzcinki. Ale to jeszcze bardziej rozbawiło uczniów, ponieważ Gubadan był łagodnym mężczyzną, który nie uderzyłby ich, tak jak nie zbezcześciłby ołtarza Felakii nieczystą ofiarą. Chociaż ćwiczyli sposób poruszania się wojowników praktykowany od czasów Alisarriana, według Gubadana pomagał on oczyścić duszę i prowadzić do zbadania świadomości. Raz w tygodniu wszyscy chłopcy stosowali te same ćwiczenia na placu musztry. Tam nadzorował ich srogi stary żołnierz, którego obowiązkiem było wyszkolić ich na obrońców Kyranii w razie ataku.

Śmiech wkrótce ucichł i wszyscy skupili się na sennyh ruchach ćwiczenia.

Kiedy Gubadan został już usatysfakcjonowany, poprowadził ich przez starożytne portale ozdobione rzeźbami Felakii we wszystkich postaciach - od pełnego wdzięku łabędzia, przez łagodną matkę do pięknej, zbrojnej panny, która broniła Kyranii. Świątynia waliła się, a kiedy tylko minęła pora burz jej naprawy zajmowały mieszkańcom wioski wiele czasu. Klasa była małym pomieszczeniem obok komnaty, w której przechowywano wonności, tak więc zawsze unosiły się w niej zapachy, które napępniały powagą nawet najbardziej niegrzeczne dziecko.

Chociaż Kyrania była odludnym miejscem, a jej mieszkańcy zarabiali na życie ciężką pracą, nie żyli tam ignoranci. Według ludu doliny nauka była świętym obowiązkiem. Czerpali dumę z rozczytywania się w ważkich tekstach, podliczania skomplikowanych sum i pięknego kaligrafowania, dorównującego poziomowi najlepszych szkół w Walarii. Kyranijczycy byli szczególnie dumni z umiejętności posługiwania się językami. Każdy z nich umiał mówić przynajmniej sześcioma, a bywało, że znali ich więcej. Tradycja szkolnictwa sięgała czasów legendy o Alisarrianie, który ponoć był równie uczonym mężem, jak i potężnym, wojowniczym królem. Zgodnie z legendą pierwsza kyrańska szkoła została założona przez Zdobywcę dla pozostawionych tu mężczyzn. Czy była to prawda, czy nie, wszystkie umiejętności nabyte w przyświątynnej szkole nie marnowały się. Mieszkańcom doliny potrzebne były sprawne umysły i znajomość obcych języków, by mogli sobie radzić ze wszystkimi przejeżdżającymi karawanami. Inaczej sprytni kupcy obdarliby ich już dawno z wszelkich dóbr. Tak więc Kyranijczycy byli jedynymi ludźmi, którzy czerpali najwyższe korzyści z zaciekle targów, które zawsze następowały po zagonieniu lam do doliny.

Jednakże tego dnia Safar nie mógł się skupić na nauce. Otrzymał kilka ostrych ostrzeżeń od Gubadana i pomylił się, kiedy ten wywołał go, by chłopiec nazwał najjaśniejszą konstelację na wiosennym niebie. Wiedział, że to Tygrys, ale kiedy został zapytany, odpowiedź wyleciała mu z głowy.

- Czy ty grasz w coś ze starym Gubadanem, chłopcze? - zapytał kapłan. - Jesteś moim najlepszym uczniem. Wszyscy to wiedzą. Twoja rodzina słono mi płaci, żeby poświęcać ci więcej godzin niż zwykle, tak byś mógł się dużo nauczyć. Ty jednak wciąż ze mnie kpisz, chłopcze. A tymi kpinami urągasz bogom, którzy tak cię obdarowali. Czy sądzisz, Safarze Timuro, że jesteś lepszy od innych?

- Nie, mistrzu - odparł Safar, chowając w zawstydzeniu głowę między ramiona.

- To dlaczego udajesz ignorancję w sprawach oczywistych? - zagrmiał kapłan. - Powiedz mi!

- Uczciwie, nie mogłem myśleć o odpowiedzi, mistrzu - powiedział Safar.

- A więc jesteś leniwy! - krzyknął kapłan. - To gorszy grzech od kpin! Szyderstwa mogę usprawiedliwić przed wyższymi duchami. Ale lenistwo? Nieuwagę? To niewybaczalne, chłopcze. Powinieneś stanowić przykład dla innych.

Safar chciał powiedzieć, że nic nie mógł poradzić, ponieważ jego myśli skupiały się na nieobecny chłopcu o imieniu Protarus - imieniu króla z jego wizji. Oznajmił jednak:

- Przepraszam, mistrzu. Postaram się poprawić.

I naprawdę próbował, ale dzień posuwał się naprzód powoli i niezbyt pomyślnie. W końcu nadeszła wolność i Safar wypadł na zewnątrz, próbując zignorować groźne spojrzenie Gubadana, rzucone w jego kierunku.

Safar czuł ulgę, że miał do wykonania zadanie dla ojca i nie musiał iść z siostrami i słuchać, jak się z nim drażnią, omawiając jego zachowanie w szkole. Skierował się natychmiast do złóż gliny, gdzie ojciec zostawił dla niego wiadra, by chłopiec przyniósł do domu świeży ładunek. Ścieżka

poprowadziła go za świątynię, przez pachnący lasek, gdzie spędził parę chwil, leniwie napawając się czystym powietrzem i lekkim wietrzykiem.

Właśnie wylaniał się z lasu, kierując ku złożom gliny na brzegu jeziora, gdy usłyszał gniewne, znajomo brzmiące głosy. Wcale się nie zdziwił, kiedy wypełnione wściekłością słowa zamieniły się we wrzaski, a potem rozległy się odgłosy walki. Spiesznie wbiegł na wzgórze, by zobaczyć, co się dzieje.

Kiedy znalazł się już na wierzchołku, spojrział w dół i ujrzał płataninę młócających ramion i nóg. Czwórka muskularnych młodzieńców przygwoździła do ziemi piątego i łoła mu skórę.

Atakującymi byli bracia Ubekian, uważani za największych zabijaków w Kyranii. Wywodzili się z nieokrzesanej, wypaczonej moralnie rodziny, która przywędrowała pewnej zimy do doliny, zagłodzona i na wpół zamarznęta, błagając mieszkańców o litość. Ubekianie twierdzili, że są spokrewnieni z Kyranijczykami. Więzy były słabe, jednakże zgodnie z kyrańską tradycją i prawem okazały się na tyle silne, że odrzucenie ich prośby stało się niemożliwe. Ku ogólnemu przerażeniu rodzina osiedliła się w jamie nieopodal centrum wioski i rozpoczęła przygotowania do budowy stałej siedziby, zaś jej członkowie zajęli się zdobywaniem opinii łobuzów.

Safar miał więcej powodów od innych, by nie lubić braci Ubekian. Natychmiast przyczepili się do jego dziwnego wyglądu i niebieskich oczu, drwiąc z niego bezlitośnie. Właściwie przed przybyciem rodziny nikt nie komentował jego wyglądu. Ale teraz inni mieszkańcy, tacy jak stara kobieta przy jeziorze, ośmielili się na tyle, by go dręczyć.

Safar łapał braci pojedynczo i tłukł na kwaśne jabłko. Teraz już z niego nie szydzili - a przynajmniej nie w zasięgu słuchu.

Safar nie wątpił, że bójka, którą widział poniżej, wynikała z winy braci. Niechęć, którą do nich żywił, a także nieprzyjemne wydarzenia dnia sprawiły, że krew zaśpiewała w nim z dziką radością, gdy zbiegał po wzgórze i rzucał się w wir walki.

Jego atak powitały okrzyki bólu i zdziwienia. Ale bracia szybko pozbierali się i zwrócili przeciw niemu. Safar znalazł się na chwilę w opresji, zaliczając cios w nos. Przez moment ujrzał gwiazdy jaśniejsze niż te, które tworzyły Tygrysa.

Wtedy ofiara poderwała się z ziemi i rzuciła do walki. Obraz rozmazał się w płataninie pięści, kolan, łokci i bodących głów.

Nagle bójka zakończyła się, a bracia uciekli, zatrzymując się na chwilę na szczycie wzgórza i rzucając puste groźby, które miały uratować ich dumę. Ale kiedy Safar i jego towarzysz ruszyli naprzód, bracia umknęli, wykrzykując przez ramię nieprzyzwoite słowa.

Safar obrócił się, by zobaczyć, kogo uratował. Młodzieniec był mniej więcej jego wzrostu i wagi. Ale wtedy nadeszło zdziwienie, gdyż chłopiec miał jasną skórę, blond włosy, chmurne oczy i silny, zakrzywiony nos.

Rysy twarzy wydawały się niepokojąco znajome.

Chłopiec uśmiechnął się, szeroko rozciągając posiniaczone usta i ukazując zakrwawione zęby.

- Przybyłeś dokładnie na czas - powiedział. - Jeszcze chwila, a straciłbym opanowanie i wstał, by porozbijać ich głowy.

Safar otrząsnął się.

- Stamtąd, gdzie stałem - odparł sucho - wyglądało na to, że tak wcześnie się nie podniesiesz.

Obcy zaśmiał się.

- To dlatego, że mam pokojowe nastawienie.

Uwaga przełamała lody i Safar przyłączył się do śmiechu.

- Następnym razem, kiedy spotkasz braci Ubekian - poradził - strać opanowanie najszybciej jak potrafisz, albo to twoja głowa zostanie rozbita.

Nieznajomy wyciągnął dłoń.

- Nazywam się Iraj Protarus - rzekł.

Safar zawahał się, przypominając sobie wizję, jednak twarz młodzieńca była tak przyjazna, że nie widział żadnego zagrożenia.

Ścisnął podaną dłoń.

- Nazywam się Safar Timura.

Iraj dziwnie na niego popatrzył.

- Safar, tak? Miałem sen o pewnym człowieku imieniem Safar.

Safar nie odpowiedział. Zbieg okoliczności ścisnął mu gardło.

Iraj zauważył to, myśląc być może, że Safar jest jedynie nieśmiały. Zamienił chwyt w braterski uścisk.

- Sądzę, Safarze, że będziemy dobrymi przyjaciółmi - powiedział. - W istocie, bardzo dobrymi.

Demony nadchodzą

Badawi wiercił się w siodle, poszukując wygodniejszego sposobu ułożenia nóg. Jego siwa klacz parsknęła, skarżąc się, i potknęła, przytłoczona jego masą. Grubas omal nie spadł, ściskając dziko siodło i próbując się uratować. Smagnął klacz, rycząc:

- Uważaj, jak idziesz, ty zrobaczywiła wstrętna córko żuka-gnojjarza!

Zwierzę, przyzwyczajone już do takiego traktowania, nie zareagowało. Parsknęło tylko z bólem, stąpając po kamienistej ziemi. Jeszcze nie nadeszło południe i chociaż najgorsze godziny na wyżynach miały dopiero nadejść, słońce paliło tak, że nadało wszechobecnej szarości przytłaczający wygląd. Ziemia pod kopytami była twarda, suche zarośla przynosiły niewielką ulgę ogarniającemu zwierzę głodowi i pragnieniu. Ale Badawi nie znał litości - bódł je ostrogami i ponownie przeklinał, by zmusić do przyspieszenia.

Oddech klaczy szybko przeszedł w dyszenie, nozdrza spieniły się, a sierść pociemniała od potu. Badawi zignorował jej żaloszny stan. Nie obawiał się zajezdzenia zwierzęcia i dalszej podróży piechotą. Jego miejscem docelowym było pofałdowane pogórze na południu, oddalone od niego o około pięć, sześć mil. Nad pogórzem wznosiły się ośnieżone wierzchołki łańcucha górskiego, znanego mu jako Łańcuch Bogów. Na wschodzie rozciągało się pyliste pustkowie, będące granicą Zakazanej Pustyni.

Badawi zmusił siwą klacz do jeszcze paru pełnych wysiłku kroków. Potem nagle coś sobie przypomniał i ściągnął ostro wodze, by zatrzymać zwierzę.

- Jesteś głupcem, Badawi - zbeształ sam siebie. - Nieczułym głupcem.

Obrócił się, a opadające kaskadą podbródki nadały jego twarzy wyraz współczucia. Spojrzał na zwierzę podążające jego śladem. Była to pełna wdzięku młoda wielbłądzica, która z lekkością biegła po skalistej ziemi. Jej szyję opasywała pętla, zaś od niej biegła lina kończąca się pętlą przy drewnianym łąku siodła Badawiego.

- Wybacz mi, malutka - zawołał. - Przez chwilę zapomniałem, że jesteś ze mną. - Smagnął klacz. - To przez wstrętny charakter tej obrzydliwej córki hieny cmentarnej. Wystawiła na próbę moją łagodną naturę i musiałem dać jej nauczkę.

Badawi delikatnie pociągnął za linę, a wielbłądzica posłusznie przyspieszyła kroku, zrównując się z nim. Mężczyzna poczuł ciepło w małym, chciwym sercu. Uśmiechnął się czule do zwierzęcia, które obróciło ku niemu ciemne, błagalne oczy okolone długimi, podwiniętymi rzęsami. Wielbłąd miał barwę czystej bieli - śnieżnej bieli, pomyślał Badawi w nieczęstej chwili romantycznego zadumania, bieli, która oprószała szczyty Łańcucha Bogów.

Wydobył z sakwy figi w miodzie, a wielbłądzica wyciągnęła łeb po poczęstunek.

- Niczego ci nie mogę odmówić, Savo - powiedział, drżąc, kiedy delikatne wargi wielbłądzicy skubały tłustą dłoń. - Nawet odejmę sobie od ust jedzenie. - Westchnął. - Jakim szczęściarzem jestem. Bogowie muszą naprawdę mnie kochać. Mieć tak piękną istotę!

Badawi był człowiekiem niezmiernie z siebie zadowolonym. Ktokolwiek by go poznał, od razu zdałby sobie sprawę, że jego radość zrodziła się kosztem innych ludzi. Prawidłowo odgadłby też, że Badawi starł na pył innego człowieka, byleby tylko zdobyć pięknego, białego wielbłąda. Grubas nie był zbyt przebiegły, a fortunę zdobył, uprawiając ziemię oraz hodując konie i wielbłądy pełnej krwi w okolicy, do której nikt inny nie chciał się zbliżyć. Ziemie, które posiadał, były bogate, ale nic go nie kosztowały ze względu na sąsiedztwo Zakazanej Pustyni.

Wiele lat temu jego pierwsza żona zareagowała najpierw strachem, potem wściekłością na ogłoszoną przez niego wieść, gdzie znalazł miejsce na ich nowy dom. Po zmuszeniu jej biciem do podporządkowania się, oznajmił po mężowsku:

- Nie bądź taką głupią krową. Ludzie boją się tamtego miejsca tylko dlatego, że leży blisko Zakazanej Pustyni. A ja mówię: co to ma za znaczenie? To czysta głupota. Co z tego, że krainy demonów leżą po drugiej stronie tej pustyni. W końcu nosi ona nazwę Zakazanej. Demony nie mogą jej przemierzyć, tak samo jak ludzie. A oprócz tego od paruset lat nie widziano tam żadnego demona, zaś ziemia jest tam jeszcze do wzięcia jedynie dlatego, że ludzie są nie tylko głupi, ale nie mają też wizji. Ja z kolei nie jestem głupi. Widzę fortunę tam, gdzie inni dostrzegają strach. I, moja żono, jeśli do końca tygodnia nie spakujesz dobytku i nie przygotujesz się do przeprowadzki, to wybatożę cię tak, że znajdziesz się o cal od śmierci. A potem odeślę cię do ojca. Zobaczymy wtedy, czy on zdoła wbić do głowy trochę rozsądku głupiej krowie.

Usta Badawiego wygięły się drwiąco na wspomnienie tej dawnej rozmowy. Od tamtego czasu znacznie się wzbogacił, wypasając swoje stada na bujnej trawie pogórza i sprzedając je za spore sumy osadom i obozom nomadów w tak zwanych bezpieczniejszych regionach. W trakcie tego procesu zamęczył pierwszą żonę i trzy kolejne, a także wiele ze swoich dzieci, z których wszystkie musiały pracować na jego ziemi jak niewolnicy.

Nagle jego uśmiech zamienił się w ryk, kiedy klacz prychnęła zaalarmowana, a jej głowa odskoczyła w tył, prawie uderzając go w nos.

- Co to ma być?! - wrzasnął, okładając boki zwierzęcia batem.

Tym razem siwa klacz zareagowała. Zarżała przenikliwie ze strachu, stając dęba. Badawi spadł na ziemię. Uderzył ciężko, ze świstem wypuszczając powietrze, ale wyszedł z tego zadziwiająco nietknięty. Właśnie zaczął zdawać sobie sprawę, że klacz wystraszyła się kogoś innego, niż on sam, kiedy usłyszał, jak jego ukochana Sava ryczy ze strachu.

Wielbłądzica usiłowała umknąć, ale zaplątała się w linę wiążącą ją z miotającą się klaczą. Zwierzęta wrzeszczały i walczyły ze sznurem, próbując uciec.

Badawi, który w razie potrzeby potrafił być zwinny, przetoczył się pod nimi, krzycząc do oszalałych zwierząt, żeby przestały. Wtedy lina smagnęła je. Klacz i wielbłądzica pognały ku znajomemu pogórzcu i domowemu bezpieczeństwu.

Badawi zerwał się na równe nogi, zawodząc:

- Wracaj, moja Savo! Wracaj, kochanie!

Ale żadne ze zwierząt nie zwracało uwagi na jego prośby. Wkrótce klacz i wielbłądzica znikły za wzgórzem.

Badawi przeklął los. Potem westchnął z rezygnacją, stając w obliczu perspektywy długiego marszu do domu. To wina siwej, zapewnił siebie. Przysiągł, że podle stworzenie srogo odpokutuje napytanie mu takiej biedy.

Wtedy zniecka ogarnął go chłód. Poczuł, jak żołądek ściska mu przecucie niebezpieczeństwa.

Instynkt kazał odwrócić się i spojrzeć na Zakazaną Pustynię.

Oślonił oczy, ale dzięki temu nic nie pojawiło się w zasięgu wzroku. Potem zobaczył podnoszącą się chmurę kurzawy. Zastanowił się, czy mogła to być zbliżająca się burza. Zamyślenie przerodziło się w niepokój, kiedy welon kurzu rozstał się, a zza niego wyłoniła się długa kolumna ciemnych postaci.

Szybko zbliżały się do niego. Spróbował obrócić się i biec, ale lęk sprawił, że jego stopy zamieniły się w kamień. Zorientował się, że stoi, gapiąc się na nadciągające postacie i próbując dojrzeć, kim są.

Wtem rozpoznał ich kształt tak szybko i z taką wyrazistością, że puściły mu zwieracze.

Demony!

Potwory w wojennym rynsztunku, z szerokimi pyskami i zieloną skórą pokrytą łuskami. Dosiadały jeszcze bardziej przerażających wierzchowców. Nie były to konie, lecz stwory wykazujące jedynie nikłe podobieństwo do koni, z długimi, zakrzywionymi kłami służącymi do rozrywania ciała i wielkimi, kocimi pazurami zamiast kopyt.

Badawi ocknął się i zawrócił. Krótkie, grube nóżki niosły go przed siebie. Nie uszedł nawet paru kroków, kiedy jego ostrogi zaplątały się, a on sam runął twarzą w dół.

Potem potwory otoczyły go, zawodząc mrozącymi krew w żyłach głosami. Badawi zwinął się w kłębek, szlochając, wzywając bogów i próbując uniknąć kłapiących paszcz i tnących pazurów demonicznych wierzchowców. Czubki włóczni dźgały go, a za każdym razem, kiedy przekłuwały skórę, Badawi kwiczał jak świnia.

Wydawało mu się, że słyszy wykrzykiwane rozkazy. Nagle zapadła cisza i dręczenie ustało.

- Wstawaj, człowieku. Chcę cię obejrzeć - rozległ się zimny i szorstki głos. Brzmiał dość obco.

Badawi pozostał skulony, skomląc jedynie:

- Proszę, panie, nie rób mi krzywdy. Jestem jedynie biednym handlarzem koni, który nikomu nie wadzi.

Wtedy usłyszał kolejny nieludzki głos:

- Zabijmy go po prostu i ugotujmy, Sarn. Jestem głodny. Wszyscy jesteśmy głodni!

Ta uwaga wywołała u pozostałych demonów pomruki zgody i skandowanie:

- Jeść! Jeść! Jeść!

Strach pobudził wyobraźnię. Badawi wyprostował się, ukląkł i uniósł ramiona, by błagać o życie.

Sarn, demon, który przemówił pierwszy oraz inny, mniejszy potwór, patrzyli na niego z wyżyn swoich rumaków, śliniąc się.

- Proszę, panie - zawodził Badawi. - Zachowaj życie tego niegodnego robaka. Mam córki, panie. Mam synów. Mam żonę. Zlituj się, panie! Oszczędź Badawiego!

Jego prośby wywołały ryki rozbawienia u wszystkich prócz Sarna, który przewiercał Badawiego spojrzeniem ogromnych żółtych oczu. Potem uniósł pazurzastą łapę, nakazując ciszę, która zaraz też zapadła.

- Prosisz mnie o litość? - zapytał szyderczo Sarn. - Sarn nie lituje się nad nikim. A tym bardziej nad człowiekiem.

- Nie rozumiałeś mnie, panie - wybełkotał Badawi. - Nie chcę, byś oszczędził moje życie dla mojego dobra, tylko dla swojego.

- Dla mojego dobra? - zapytał Sarn. - Cóż ty możesz zrobić dla Sarna, człowieku?

- Ależ, mogę ulżyć twojemu głodowi, panie - odparł Badawi. - Jeśli ci to sprawi przyjemność.

Jednakże, jeśli pozwolisz mi na tę śmiałą uwagę, to chciałbym powiedzieć, że ja jestem tylko jeden, a was jest wielu. Smuci mnie, ale muszę powiedzieć, że chociaż jestem tak pokąźny, to wciąż paru z was będzie cierpieć głodowe męki, nawet gdy już ze mnie nic nie zostanie. Ale, panie, w moim domu - który nie leży zbyt daleko - jest nawet więcej niż trzeba, by zadowolić każdego z was.

- Córki i synowie, o których mówiłeś? - zapytał Sarn, a jego łuskowate wargi wygięły się.

- Tak, panie - odparł Badawi. - A także moja żona. Delikatny kasek, jeśli mogę ją tak określić.

Odkąd wstąpiła pod mój dach, żywiłem ją najlepiej jak mogłem.

Drugi demon prychnął z niesmakiem.

- Ofiarujesz swoją rodzinę, człowieku, żeby ratować swoje życie? Co z ciebie za stworzenie?

Sarn wydał wstrętny dźwięk, który dla uszu demonów był chichotem, a dla ludzi koszmarem.

- Powiedział, że handluje koźmi, Giff - rzekł. - To powinno wszystko wyjaśnić.

Badawi zignorował te słowa, mówiąc do Sarna:

- Pozwól powieść cię do mojego domu, panie. Ujrzysz, że wszystko, co ci powiedziałem, jest prawdą.

Sarn długo przyglądał się brzydkiej kupie mięsa, którą w jego oczach był Badawi.

W innych okolicznościach szybko wysłałby tego tchórzliwego człowieka do garnka. Sami mogli znaleźć domostwo Badawiego. Sarn i jego grupa była jednym z wielu bandyckich klanów, które przemierzały obszary bezprawia w krainach demonów. Aż do niedawna nie powodowała nim większa ambicja niż najeżdżanie i zabijanie wedle woli. Jednak król Manacia posłał emisariusza, proponując zawarcie interesu. Samowi wydano królewską zgodę na przemierzenie Zakazanej Pustyni w poszukiwaniu ludzkich ofiar i ich bogactw. Król nie chciał w zamian nic prócz informacji. Sarn miał za zadanie przemieszczać się na zachód, wzdłuż Łańcucha Bogów, zaznaczając na mapie wszystkie boczne drogi. Manacia był szczególnie zainteresowany pewnym szlakiem, który zgodnie z legendą prowadził przez górski łańcuch. Sarn nie pytał, do czego potrzebne były królowi Manacii takie informacje. Cokolwiek było powodem, Sarn stwierdził, że to musi być praca dla żołnierza - niebezpieczna, dająca niewielką nadzieję na łup - a zatem niegodna uwagi Sarna i pozostałych bandytów. Kiedy już skończy swą misję, powróci przez pustynię z sakwami u siodła i jucznymi zwierzętami obładowanymi skarbami.

Ważąc los Badawiego, demon pomyślał, że najazd stanie się łatwiejszy dzięki chętnemu ludzkiemu przewodnikowi. A Badawi z pewnością wyglądał na chętnego.

- Powiedz mi, człowieku - rzekł Sarn. - Czy znasz miejsce o nazwie Kyrania?

- Kyrania? - wykrzyknął Badawi. - Kyrania? Ależ, panie, w zasięgu setki lig nie ma człowieka, który znałby lepiej drogę do Kyranii ode mnie, twojego najbardziej niepokieszonego niewolnika.

Sarn pokiwał głową z zadowoleniem. Obrócił się do Giffa.

- Pozwól mu żyć, póki co - powiedział. - Wydaje się, że ten ludzki wieprz może nam się przydać.

Badawi zaszlochał z ulgą. Wstał, kłaniając się i bełkocząc.

- Och, dzięki ci, łaskawy panie - zawodził. - Niech bogowie pobłogosławią swym uśmiechem wszelkie twe starania.

Ale nawet wtedy - gdy jego życie wisiało na włosku - w Badawim wezbrała chciwość. Osuszył oczy, mówiąc:

- Ach, panie, z niechęcią chciałbym wspomnieć o niewielkiej sprawie. O wynagrodzeniu za służbę u ciebie. Gdy dotrzemy na moją farmę, róbcie, co wam się podoba. - Zamachał rękami. - Wszystko, co mam, należy do ciebie, panie - rzekł. - Prócz... no cóż, znajduje się tam pewna biała

wielbłądzica. Nie jest wiele warta, panie. Nie rozmnaża się. Dla nikogo nie jest cenna. Ale, panie, strasznie ją polubiłem. I jeśli tylko...

Szpony Sarna wystrzeliły w przód, a szczęki Badawiego zamknęły się gwałtownie, ucinając przemowę w pół zdania. Demon skinął na niego, a usta Badawiego zamieniły się w spieczoną pustynię, kiedy ujrzał długość ostrych jak brzytwa szponów demona. Posłusznie dał krok w przód. Wtem zatrząsł nim potężny, przytłaczający czar, który omotał go, spadając jak sieć rybacka i ciągnąc ku przywódcy demonów. Gardło człowieka ścisnął strach. Badawi nie mógł mówić i ledwo oddychał. Włókł się, przyciągany zaklęciem demona.

Badawi zadrżał, kiedy jego pierś dotknęła najdłuższego szpona Sarna, sterczącego jak zakrzywione ostrze. I wciąż nie mógł przestać iść. Zaklęcie zmusiło go do naciskania na pazur, aż przebił najpierw szatę, a później ciało. Popłynęła krew, płamiąc materiał. Ból był nie do zniesienia, ale bez względu na to, jak mocno walczył jego umysł, nie mógł odzyskać kontroli nad ciałem. Czuł, jak szpon prze w głąb. Wtem usłyszał śmiech Sarna i zaklęcie znikło. Badawi był wolny.

Upadł na ziemię, ściskając ranę, tak wystraszony, że mógł jedynie jęczeć.

- Jeśli chcesz żyć, człowieku - powiedział Sarn - to zrobisz wszystko, co każę. Bez dyskusji. I nigdy nie poprosisz o nic w zamian.

- Tak, panie, tak - jęczał, pokornie uderzając czołem o ziemię. - Byłem głupcem! Proszę, wybacz takiemu głupcowi jak ja!

- Wstań, człowieku - odparł Sarn.

Badawi zrobił, co mu kazano, prostując się przed demonem. Drżał i zastanawiał się, co teraz będzie.

- Oto mój pierwszy rozkaz, człowieku - powiedział Sarn. - Natychmiast zaprowadzisz nas do swojego domu. A kiedy tam już dotrzemy...

- Tak, panie?

Sarn uśmiechnął się szeroko, pokazując podwójny rząd brudnych kłów.

- Zaprowadzisz nas najpierw do wielbłądzicy.

Badawi mądrze ukrył przerażenie, kiwając z zapalem głową, w razie gdyby demony nie umiały odczytać wyrazu jego twarzy, okazującej dziką zgodę.

- A potem, człowieku - powiedział Sarn - kiedy już skończymy...

- Tak panie? Cokolwiek sobie życzysz!

- Kiedy już skończymy z twoją rodziną, zaprowadzisz nas do Kyranii.

Po zniszczeniu domostw Badawiego, demony zaczęły plądrować ludzkie siedziby wzdłuż Łańcuch Bogów na obszarze prawie sześciuset mil. Złupiły dziesiątki domów i osad, zabijając wielu ludzi, spośród których tylko kilku zostało nagrodzonych honorową śmiercią, albowiem okazali się godnymi przeciwnikami. Większość została zabita i przeznaczona do kotła, albo pocięta na pasy i ususzona w słońcu jako prowiant na drogę.

Badawi prowadził, wybierając najbogatsze osady i zdradzając ludzkich wodzów. Starał się być użytecznym, a kiedykolwiek pojawiał się temat Kyranii, handlarz koźmi powiadał:

- Jeszcze trochę, panie. Jeszcze trochę dalej.

Tak naprawdę Badawi nie miał pojęcia, gdzie mogła znajdować się Kyrania. Wiedział, że legendarny szlak karawan biegnący przez Łańcuch Bogów wiódł mniej więcej w tym samym kierunku, w którym prowadził demony, ale nie wiedział jednak, gdzie znajduje się przejście. Tylko

niewielu panów karawan znalazło szlak, a Badawiemu, mimo sukcesów, brakowało jednego lub dwóch skarbców, by móc do nich przynależeć. Tak więc uczynił to, co każdy prawdziwy handlarz końmi zrobiłby na jego miejscu.

Kłamał.

- Tędy, panie. Tylko jeszcze trochę dalej...

Najpierw bandyci byli zadowoleni, zbierając zwierzęta juczne, które niosły ich rosące łupy. Na początku brali również wielu jeńców: młodych mężczyzn i kobiety, by później sprzedać ich na demonich targach niewolników. Skuli ludzi łańcuchami, przywiązali do długich pali, które niewolnicy nieśli na ramionach i zmusili do marszu obok jucznych zwierząt. Z czasem liczba jeńców i waga bagaży stała się nieporęczna, redukując tempo demonów do powolnego pełznięcia.

I wtedy nadszedł dzień, w którym demony miały już dosyć i ponownie Badawi stanął w obliczu groźby rozna.

Uderzyli na kolejną osadę, wyglądającą jak inne typowe ludzkie wioski rozrzucone na odludnych terenach pogórza. Obfitowała w żyzne pola i przepelnione stodoły, ale, jak skarżył się głównodowodzący Sarn, uczciwy bandyta mógł znaleźć tam ledwie dwa miedziaki.

Tego wieczoru Sarn i Giff zjedli kolację w szerokiej altanie ustawionej ponad głównym obozowiskiem. W pobliżu rozstawiono główne rożno, gdzie ich bracia demony zebrali się wokół wrzeszczącej ofiary, powoli obracając się na wolnym ogniu.

Wśród nich kucał Badawi, który pomimo wielu otaczających go szponów ośmielał się wyrwać kawałek dla siebie.

Giff prychnął na ten widok i obrócił się do dowódcy, mówiąc:

- To najbardziej obrzydliwy śmiertelnik, jaki kiedykolwiek kasał tę ziemię. Zjada nawet swoich.

Sarn się zaśmiał.

- Przecież nie daliśmy mu wyboru - odparł. - Nie pozwoliliśmy mu jeść nic innego.

- Mimo wszystko! - powiedział Giff. - Sądziłem, że będzie miał więcej dumy.

W tej chwili Badawi popełnił błąd i spojrzał w górę, przyglądając się altanie. Giff warknął, kiedy napotkał jego wzrok, a handlarz końmi szybko wcisnął głowę w ramiona, by uniknąć spojrzenia rozjarzonych żółtych oczu demona. Wymamrotał pod nosem modlitwę, błagając bogów, by Giff nie poczuł się obrażony. Modlitwa pozostała bez odpowiedzi, ponieważ w altanie Giff zazgrzytał w gniewie zębami i obrócił się do Sarna.

- Ten człowiek przyglądał się nam - powiedział.

Sarn wzruszył ramionami.

- Czy jego wzrok ma jakieś znaczenie? - zapytał.

- Dla mnie ma - rzekł Giff. - Nienawidzę tego podłego stworzenia. W jego obecności czuję się skalany. Samo jego spojrzenie sprawia, że mam ochotę wyszorować się piaskiem.

- A to byłoby doprawdy widowisko, mój dobry, lecz nie domyty kompanie - zaśmiał się Sarn. - Zważywszy, że już prawie cztery pory roku minęły, odkąd po raz ostatni zawracałeś sobie głowę kąpielą.

Giff nie widział w tym nic zabawnego.

- Nie o tym mówię - rzekł. - Ten człowiek obraża mnie. Jego obecność zakłóca mój demoniczny spokój. Pozwól mi go zabić. Dzięki temu choć trochę się uspokoję.

- Bądź grzecznym demonem i spróbuj nauczyć się cierpliwości - powiedział Sarn. - Spokój nadchodzi wraz z cierpliwością, jak mówią nasi kapłani. Ten człowiek również mnie obraża.

Wszyscy mnie obrażają. Ich smród jest gorszy od zapachu gówna każdej znanej mi bestii, a ich wygląd jest tak samo ohydny jak ten odór. Są tacy miękcy. Wiją się tak, że przypominają mi robaki z owłosionymi głowami i ciałami. A ich małe usta i płaskie zęby z zaledwie czterema mizernymi kłami kojarzą mi się z wampirami. - Sarn zdrzął. - Wszyscy wiedzą, że matkom rodzą się dwugłowe demonki, jeśli spojrzą na coś choć w połowie tak przerażającego.

- A więc, dlaczego muszę być cierpliwy, Sarnie? - zapytał Giff. - Sprawmy bogom radość i zabijmy tego tłustego ślimaka.

- Wciąż go potrzebujemy - odparł Sarn. - Dlatego nie możesz go zabić natychmiast.

Giff prychnął z niesmakiem.

- Och, zapomniałem, jakim był dla nas cennym niewolnikiem - powiedział, a jego głos ociekał sarkazmem. - Przecież jutro może nas powieść do równie bogatej wioski. Znowu zdobędziemy magazyny pełne bezużytecznego ziarna i lichych ubrań, narzędzi, których nie możemy unieść, oraz starej, zardzewiałej broni i może - jedynie może - z pomocą bogów obejmiemy w posiadanie dwie srebrne monety, które zabrzęczą w sakiewce któregoś szczęśliwego złodziejaska.

- Przyznaję, że zdobycz nie była na tyle cenna, by nasi wrogowie zazgrzytali z zazdrości zębami - oznajmił Sarn. - Odkryliśmy jedynie niewielkie wioski i rolnicze osady. Większość ich bogactwa to rośliny i zwierzęta. Niektórzy mieszkańcy mogą przynieść niezły zysk na targu niewolników. Jesteśmy jednak za daleko od domu, by takie zbójectwo okazało się bardzo dochodowe.

- Bardzo dochodowe! - oburzył się Giff. - Czy widzisz, by ktokolwiek z nas zaprezentował taniec radości demona nad pełną sakiewką? Doprawdy, wątpię, że będziemy mieli jakikolwiek zysk, nawet jeśli policzysz tę odrobinę złota i kilka marnych klejnotów, które zdobyliśmy. I przeszedł nam koło nosa prawie cały sezon zbójectwa w domu.

- To nie wina tego człowieka - odpowiedział Sarn, zataczając krąg i powracając do dyskusji nad losem Badawiego. - Warunki gwarancji, którą otrzymaliśmy od króla Manacii, zobowiązują nas do pozostawania w pobliżu gór, gdzie zaludnienie jest niewielkie. Możemy kraść i robić z napotkanymi ludźmi, co tylko zechcemy, ale nie wolno nam zostawiać świadków. Nie wolno nam pozostawić przy życiu żadnego człowieka, który mógłby ponieść wieść, że zawędrowaliśmy za granicę. I, co jest najważniejsze dla naszego króla, pozostając jedynym powodem, dla którego udzielił nam tej gwarancji, mamy odszukać przejście przez te góry. Przejście do miejsca zwanego Kyranią.

Giff prychnął, machając szponami w kierunku oddalonej postaci Badawiego.

- A ten człowiek miał nas poprowadzić do tego przekłętego miejsca. No cóż, prowadzi nas, i to tak, że jak dotąd nic z tego nie mamy. Ha! Jest handlarzem końmi, a zatem kłamie.

Sarn wpatrywał się w Badawiego, skrobiąc zrogowaciały podbródek pazurami ostrymi jak szpilki.

- Może i kłamie - zadumał się. - Szczerze mówiąc, chyba za bardzo ogarnął mnie szal rabowania, żeby nad tym pomyśleć. - Wzruszył ramionami. - Jeśli kłamie, będziemy musieli znaleźć następnego. Nie powinno to nam sprawić wiele kłopotu. Ludzie to taki zdradziecki gatunek.

- Po co mamy znajdować kolejnego? - sprzeciwił się Giff. - Do diabła z Kyranią. - Prychnął. - Dolina Obłoków, też coś! Sądzę, że Manacia cierpi na właściwe królom zaćmienie umysłu.

- Bez Kyranii - przypomniał Sarn swojemu przybocznemu demonowi - nie mamy żadnej gwarancji. Musimy przynajmniej się postarać.

- Twoja cenna królewska gwarancja przywiedzie nas do zguby - odparł Giff. - Co za pożytek z wystawiania się na niebezpieczeństwo klątwy Zakazanej Pustyni, jeśli tak mało mamy w zamian?

Pozostali myślą tak samo, Sarn. Przerazili się jeszcze przed rozpoczęciem tej podróży. Wszyscy wiedzą, że dawno temu na pustynię została rzucona czarna klątwa. Każdy demon lub człowiek, który ją przekroczy, jest przeklęty.

- Król Manacia jest najpotężniejszym magiem - wskazał Sarn. - Udzielona nam gwarancja chroni przed każdą klątwą.

- Skąd o tym wiesz? - naciskał Giff.

Sarn rzucił mu spojrzenie, które nic nie wyrażało.

- Co masz na myśli?

- Powiedziałeś nam o gwarancji Manacii, że klątwa zostanie zniesiona - odparł Giff. - To nas przekonało. Ale teraz zaczynam się zastanawiać, skąd wiemy, że Manacia nie kłamał? I co będzie, jeśli nie dysponuje taką mocą, która uchroniłaby nas przed klątwą?

- Po co miałby kłamać? - zapytał Sarn. - Król oczekuje od nas informacji. Informacji, śladem której, jak podejrzewam, pewnego dnia podążą jego armie. Gdyby było inaczej, po co chciałby znaleźć drogę przez ten łańcuch górski? Czemu służyłaby dokładność w nazwaniu miejsca, które jak podejrzewa, może być kluczem do tej drogi?

Giff zaśmiał się szyderczo na te słowa.

- Co to za cholerna nazwa? - wściekał się. - Kyrania? Pirania? Tyrania? Do diabła, mógł wybrać każdą nazwę, która mu się podoba i tak nic by nam to nie powiedziało!

- Pozwól, że ci przypomnę, mój wierny demonie - rzekł Sarn - że król obiecał nam za nasze starania złoto warte znacznie więcej, niż każdy zdobyty przez nas łup. Poza tym dostaniemy szczególnie miłą premię, jeśli znajdziemy przejście wiodące przez góry.

- Niech zatrzyma swoją premię, Sarn - oświadczył Giff. - Wysłuchaj mnie. Od czasów młodości jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Ty prowadzisz. Ja doradzam. Dlatego odnosiliśmy takie sukcesy. Wiesz, że możesz zaufać mojej radzie. Tak więc wysłuchaj tego, co ci powiem. Mówię prosto z serca, jak brat. Porzućmy tę piekielną krainę. Powróćmy do domu i odetchnijmy dobrym, demonim powietrzem. Jeśli pospieszymy się, to pozostanie nam jeszcze tyle czasu w sezonie zbójckim, by napełnić sakiewki, aż staną się ciężkie. Zbadaliśmy każdy wąwóz i każdy ślad na obszarze prawie sześciuset mil. Nie wierzę, że gdzieś tu istnieje Kyrania, albo jakaś droga przez Łańcuch Bogów. A nawet jeśli jest, to tak dobrze schowana, że nie odnajdziemy jej przez sto lat. Będziemy wędrować przez te wzgórza aż po kres naszych dni. To nasze duchy dostaną premię króla, a duchowi złoto się nie przyda.

Sarn myślał przez chwilę, potem skinął głową.

- Jeśli uważasz tak ty i reszta - powiedział - to nie będę się wam sprzeciwiał. Powiem wam coś. Tego ranka będziemy głosować. Jeśli większość chce wrócić do domu, tak też się stanie. Nie usłyszysz ode mnie ani słowa sprzeciwu. Dodam tylko jedno: bez względu na wynik głosowania przynajmniej dziesięć naszych demonów wróci do domu z zebranymi dotąd dobrami i niewolnikami. To wszystko, co mogę wam zaproponować, chociaż tyle chyba powinno wystarczyć. Niewolnicy są potulni dzięki zaklęciu, które na nich rzuciłem. Potem pozostali będą dalej wędrować tak szybko, jak to możliwe, nie biorąc więcej niewolników i zabierając ze sobą tylko złoto, srebro i inne łatwe w transporcie towary.

Sarn wyciągnął łapę.

- Zgoda? - zapytał.

Giff potaknął, zgrzytając szponami o pazury dowódcy.

- Zgoda - odparł. - Pod jednym warunkiem. Jeśli głosy przechyłą się na stronę powrotu, chcę mieć przyjemność zabicia człowieka.

Sarn zaśmiał się.

- Rób z nim co chcesz - obiecał. - Ale nie na osobności. Od dawna nie mieliśmy wyśmienitej rozrywki.

Sarn był przebiegłym dowódcą. Deklaracje braterstwa, wygłaszane przez Giffa, nie zaślepiły go. Giff zawsze miał chrapkę na przywództwo, a Sarn wiedział, że poglądy jego przybocznego odzwierciedlały punkt widzenia całej bandy, na który trzeba było znaleźć odpowiedź. Sarn cechował się niespotykaną u innych przywódców zdolnością zmiany poglądów, a mimo wszystko w końcu osiągał to, czego pragnął. A co ważniejsze, dysponował magiczną mocą znacznie przewyższającą zwykły talent czarnoksiężski, którym obdarzone były wszystkie demony.

O świcie zarządził zebranie bandy i wyraźnie przedstawił dwie czekające ich możliwości. Nie kładł nacisku na żadną z propozycji. Jednakże dobrze przygotował się do głosowania, rzucając łagodne zaklęcie, nie zauważalne dla żadnego z demonów, a które sprawiło na pewien czas, że wszelkie czekające ich niebezpieczeństwa i nieprzyjemności wydały się nie mieć większego znaczenia.

Badawi obserwował poczynania z pewnej odległości, wiedząc, że jego los zawisł na włosku. Przez cały czas, kiedy Sarn przemawiał, Giff wpatrywał się w Badawiego, a w jego demonich oczach czaiły się nienawiść i głód. Już poprzedniej nocy Badawi podejrzewał, że coś się szykuje. Wywnioskował to z gorącej wymiany zdań pomiędzy Sarnem a Giffem. Handlarz końmi przez całą noc gorączkowo poszukiwał rozwiązania, które dałoby mu nadzieję na przeżycie.

Teraz ścisnął w rękę coś, co, jak modlił się, było właśnie tą rzeczą. Po głosowaniu, w którym demony opowiedziały się za kontynuowaniem misji króla Manacii, z przedmiotem w garści czekał przed altaną na powrót Sarna.

- Czego chcesz, człowieku? - zapytał Sarn.

Badawi uspokoił drżące usta, starając się ze wszystkich sił ignorować pełne nieodwzajemnionej nienawiści spojrzenia Giffa.

Wyciągnął starą, wypalaną, inkrustowaną misę, aby Sarn mógł ją obejrzeć.

- Znalazłem to, panie.

Sarn odrzucił ją na bok.

- Śmieci! - odparł. - Pokazujesz mi śmieci!

Badawi schwycił ponownie misę, która, o dziwo, nie roztrzaskała się.

- Proszę, panie - powiedział Badawi. - To wcale nie jest śmieć. Spójrz na tę misę. Czy widzisz bogatą glazurę pod brudem? Dotknij, panie, gliny. Poczuj jej jakość. Choć ten fragment zastawy jest tak stary, proszę zauważyć zmyślny wzór. Gdyby była nowa i miała swoją odpowiedniczkę, moglibyśmy dostać za nie całkiem pokaźną sztukę srebra na dowolnym targowisku.

- Nie obrażaj mnie sztuką srebra, piękną czy nie - odparł Sarn. - Skończyłem z misami, dzbanami i belami materiału. Uczciwy bandyta takim sposobem nie zarobi na życie.

- Ach, panie - oznajmił Badawi - ależ ja nie proponuję, żeby szukać naczyń. Sugeruję jedynie odkryć miejsce, skąd pochodzi. Panie, widziałem ten gatunek naczyń tylko raz w życiu. Jest niezwykle rzadki, a przez to osiąga ogromne ceny na ludzkich rynkach. Miejsce, skąd pochodzą naczynia jest tajemnicą dla wszystkich prócz najbogatszych panów karawan. Na targowiskach opowiada się, że w dolinie, wysoko wśród gór, mieszka rodzina mistrzów garncarzy. W tych samych

górach leży święte jezioro otoczone złożami najczystszej gliny, której używa się do wyrobu naczyń, talerzy i czarek do parzenia herbaty dla królewskich rodzin. Ci garncarze, panie, znani są pod nazwiskiem Timura. A to jest właśnie naczynie Timurów, O Najlitościwszy. Nikogo innego!

- Moje uszy wędną już od samego słuchania ciebie, człowieku - odparł Sarn. - Mów, co masz do powiedzenia, i skończmy z tym. Co mnie obchodzi opowieść o jeziorach, złożach gliny i brudnych garncarzach, którzy grzebią w ziemi?

- Tak jest, panie. Pospieszę się, panie - bełkotał Badawi. Jednak, mimo przerażenia, trzymał się tematu. - Ta dolina, o której opowiadam, panie - mówił - leży na szlaku karawan wiodącym przez góry. Przynajmniej tak mówią opowieści. Według tych samych gawęd szlak karawan to starożytny szlak, którym Alisarrian zdążył, by dokonać najazdu na Walarię. Powiadają, że wrogom Alisarriana wydawało się, że jego cała armia nagle pojawiła się znikąd, po prostu wyłaniając się z gór. Mówią, że to za sprawą magii, panie. Czarnoksięstwa. Jednakże do ich zguby nie przyczyniły się czary, lecz sekretne przejście przez Łańcuch Bogów. - Badawi zamachał misą przed demonem. - Czyli to samo miejsce, skąd pochodzi to naczynie.

Sarn wyjął szponem kawałek jedzenia spomiędzy kłów.

- Jeśli nie mówisz o Kyranii, człowieku, to lepiej znajdź dobry, tępy nóż i poderżnij nim sobie gardło. Z minuty na minutę coraz bardziej mnie to nuży.

- Tak, panie, natychmiast - odparł Badawi, drapiąc się i kłaniając. - W rzeczy samej mówię o Kyranii. Ta misa jest dowodem, że Kyrania jest już blisko.

- Mówiłeś to już wiele razy, człowieku! - warknął Giff.

Badawi zadrżał, ale obstawał przy swoim.

- Wybacz mi, panie - powiedział do Sarna. - Ten mizerny robak, którego nazywasz swoim niewolnikiem, przyznaje, że trochę naciągnął prawdę w najzaszczytniejszej chwili spotkania z tobą. Nie wiem dokładnie, gdzie leży Kyrania. Ale wiem, jak ją znaleźć.

Zobaczył, jak dwa olbrzymie demony wymieniają spojrzenia, które dobrze mu wróżyły. Tak więc pospiesznie ciągnął swój logiczny wywód:

- Proszę mnie wysłuchać. Jestem kupcem. Wiem, jak się rzeczy mają. Wiem, że nie można dokładnie ukryć czegoś tak dużego, jak szlak karawan. Tak więc musimy założyć, że wciąż jest gdzieś na zachód od nas. W jakiej odległości, dokładnie tego nie określe. Jednakże, panie, mogę zgadnąć. Szlak z konieczności wiódłby od Caspanu po tej stronie gór, do Walarii, która, jak ci wiadomo, panie, jest najważniejszym królestwem po południowej stronie.

Badawi kucnął i naskrobał w pyle mapę.

- Panowie karawan są tajemniczy, ale nie traciliby czasu na zacieranie swoich śladów. Czas to pieniądz, a pieniądz to czas, zaś długość cienia rozpościerająca się pomiędzy nimi przeraża wszelkich mężów interesu. Tak więc możemy przyjąć, że szlak wiedzie prosto jak strzełił.

Badawi nadal rysował, aż naszkicował góry i dwa miasta-państwa: Walarię i Caspan. Potem dodał kółko.

- Można założyć jedyną rozsądną rzecz, panie - stwierdził - że miejsce, którego poszukujesz, leży wewnątrz tego koła. W odległości około dwustu lub trzystu mil.

Sarn obrócił się do swojego pułkownika, a jego pysk rozszerzył się w wyrazie, który demony uważały za uśmiech.

- Widzisz, Giff - powiedział przywódca bandytów - ten człowiek w końcu do czegoś się nadał.

Giff przyglądał się tłustemu człowieczkowi, oceniając.

- Głosowanie jest głosowaniem - powiedział z niejakim ociąganiem. - Póki co, pozwolę mu żyć, ale pamiętaj o swojej obietnicy.

Badawi zaniepokoił się.

- Obietnica? Co za obietnica, o Litościwi Panowie?

- Po prostu znajdź Kyranię, człowieku - rozkazał Sarn. - I wiedz, że twoje żalosne, świńskie życie od tego zależy.

Wizja o krańcach świata

Mimo, iż Iraj był pewien, że tak się stanie, Safar ociągał się z objęciem go i nazwaniem swym mlecznym bratem.

Mieli ze sobą niewiele wspólnego. Jeden był synem garncarza, drugi wojowniczego wodza. Lud Safara był hojny i nastawiony pokojowo do obcych. Naród Iraja to zawzięci, nieufni mieszkańcy równin. Safar z natury był skłonny do rozmyślań i nawet jako dziecko zwykle myślał, a dopiero potem działał. Irajem z kolei zwykle powodowała chwila. Był równie inteligentny, jak Safar, ale nie miał cierpliwości do nauki. Jeśli nie mógł czegoś pojąć natychmiast, nudził się i stawał wzgardliwy. Safar natomiast był zdolny do wielogodzinnej pracy, dopóki nie władał wiedzą z taką łatwością, z którą później Iraj władał ludźmi.

Jednakże łączyło ich wielkie podobieństwo, wytwarzając więzy, które w końcu chłopców połączyły. Obaj młodzieńcy czuli się obcy wśród ludzi z wioski.

Safar z powodu magii.

Iraj z powodu zwaśnionej krwi.

Jednak wiele czasu upłynęło, zanim wzajemnie poznali charakter swych tajemnic.

Panowała idylliczna wiosna. Słońce przygrzewało, pierwsze rośliny rosły obficie, a stada pobłogosławiło liczne potomstwo. W tych leniwych dniach Gubadanowi ciężko było wbijać wiedzę w odporne głowy podopiecznych. Młodzież Kyranii doprowadzała do szału nauczyciela i rodziny, psocąc i żartując, a przez to nie pamiętając o swych obowiązkach.

Safar wkrótce zapomniał o niepokojącej wizji, a Iraj wydawał się także zapomnieć o swoim śnie, ponieważ nigdy już więcej o nim nie wspomniał. Chociaż Safar nie uważał go za „najlepszego z przyjaciół”, Iraj był jego nieodłącznym towarzyszem.

Był obcym i przyczyną zmartwień ze względu na kłopoty, które mógł przyciągnąć z zewnątrz. Unikali go wszyscy prócz starego Gubadana. Z drugiej strony, jako niewątpliwy ksiączę odkrywał, że wszyscy w jego obecności byli ciepli i słodcy jak jedno z brzoskwiniowych ciastek matki Timura. Jak mawiały stare babcie, bywa, że ludzie przyzwyczajają się do traktowania kogoś jak króla, co czasem wychodzi na dobre. Tak więc nikt nie miał ochoty powiedzieć mu prosto w twarz: „Znikaj”. I tylko niewielu mieszkańców wioski ośmieliło się zastanawiać nad zaaranżowaniem dobrego małżeństwa dla jednej ze swoich córek.

Iraj wszędzie chodził z Safarem, by uciec przed tymi zakusami. Towarzyszył mu w wędrowce do złóż gliny, skąd Safar przynosił nowe zapasy dla ojca. Z nudów pomagał Safarowi nawet przy najzwyklejszych obowiązkach, znosząc brud na rękach i ubraniu, gdy, na przykład, oporządzali kozy. Safara wzruszyło to na tyle, że w zamian pokazał Irajowi miejsca na brzegu jeziora, skąd mogli podglądać dziewczęta kąpiące się nago w ustronnej zatoczce.

Dwóch chłopców dogadywało się na tyle dobrze, że w końcu połączyli w szkole siły umysłów, dręcząc biednego Gubadana i odciągając jego uwagę od prowadzonej lekcji.

Pewnego dnia ich gra zahaczyła o punkt, który, zdaniem Safara, był niezmiernie wymowny.

Uczyli się o gwiazdnych konstelacjach. Właśnie zjedli południowy posiłek i w przegrzanej komnatce uczniowie byli zdolni jedynie do walki z opadającymi powiekami.

- Wszyscy widzimy, jak Lwiątko wiosną ssie pierś matki - mówił Gubadan. - Ale zimą Lwiątko musi się kryć, kiedy Myśliwy odciągany jest przez Lwicę. Tak więc następstwem tego jest fakt, że jeśli jesteście urodzeni pod znakiem Lwiątko, macie czułe charaktery, ale w czasie miesięcy zimowych jesteście płochliwi i wahacie się przed podjęciem decyzji. Ci zaś, dla których Myśliwy jest głównym znakiem, skłonni są do agresji i nie są bojaźliwi, ale z łatwością oszuka ich napotkana Lwica.

Znudzony Safar uniósł rysik, chcąc zwrócić na siebie uwagę.

- Przepraszam, mistrzu - powiedział, kiedy mu udzielono pozwolenia. - Ja to rozumiem zupełnie inaczej.

Gęste brwi Gubadana zmarszczyły się nad jego dziwnie ukształtowanym nosem.

- To znaczy jak? - zapytał podejrzliwie.

- Dlaczego zawsze nazywamy Lwiątko płochliwym, kiedy się chowa? - spytał Safar. - Czy to właściwie nie jest oznaka mądrości? Lwiątko nie ma się jak obronić, jeśli znajdzie je Myśliwy.

Wtrącił się Iraj:

- Safar zadał dobre pytanie, mistrzu. Również zastanawiałem się nad Myśliwym. Dlaczego jest takim głupcem, że nie goni za Lwicą? Jest przecież dobrze widoczna. Sam bym za nią podążył, ignorując Lwiątko. Jej skóra znacznie lepiej udrapowałaby się na moich ramionach i chroniła przed zimnem.

Gubadan z hukiem wyłożył gruby wolumin na swojej katedrze. Tłoczoną skórzaną okładkę książki zdobiły gwiazdy i planety.

- Obaj możecie znaleźć odpowiedź w tej książce - rzekł. - Mędrcy napisali ją wiele setek lat temu. Obserwatorzy Gwiazd przez lata stosowali te prawa, przewidując wielkie wypadki, jak również przyszłość znamienitych mężów.

- Czy ci Obserwatorzy Gwiazd - zapytał Safar - nigdy się nie mylą?

Gubadan odchrząknął, co było wyraźnym znakiem, że Safar odkrył słaby punkt.

- Cóż... - odparł. - Nie mogę szczerze powiedzieć, że nigdy nie popełniali błędów. Ale wywołała je mylna interpretacja, nie zaś same prawa. Bogowie nie pobłogosławili jednakowo wszystkich Obserwatorów Gwiazd.

- Przypuszczam, mistrzu - rzekł Iraj - że niektórzy mogli nawet celowo popełnić błędy.

Gubadan zaczerwienił się z gniewu, chwytając za brodę.

- To byłby grzech - warknął. - Po co Obserwator Gwiazd miałby skalać się tak bezbożnym czynem?

Safar szybko podążył śladem myślenia Iraja.

- Dla złota - oznajmił. - Wiadomo, że ludzie grzeszą, by je zdobyć.

- Nie Obserwatorzy Gwiazd! - odparł przerażony Gubadan. - To święci mężowie. Równie dobrze można wątpić w uczciwość Łowców Snów.

- Zaiste, można, mistrzu - powiedział Iraj. - Jeśli dostaliby propozycję znacznej ilości złota, albo groziłaby im śmierć.

- Mistrzu - rzekł Safar - czy wnuk Alisarriana, król Ogden, nie został zdradzony przez Łowcę Snów?

Gubadan pojaśniał. Alisarrian Zdobywca był jego ulubionym tematem.

- Dokładnie to chciałem powiedzieć, Safarze - rzekł. - Król Ogden urodził się pod znakiem Myśliwego. Jednak Błazen był jego mniejszym znakiem, tak więc z łatwością nabrali go łotrzy i szarlatani Zanzairu. Oczywiście, w samym sercu intrygi tkwiły demony. Alisarrian z kolei był spod Księżyca Demonów z Kometą w ascendencji, tak więc jednocześnie był srogi i mądry.

Gubadan zaczął się przechadzać, podekscytowany tematem wskazanym przez chłopców. Safar nie był głupcem, by wskazać kapłanowi, że wcale nie to miał na myśli. W kwestii oszukania Ogdena przez Łowcę Snów nie było się o co spierać. Tak przecież mówiła historia. To właśnie chciał powiedzieć Safar.

- Kim był ten człowiek, Alisarrian? - zapytał Gubadan. - Czy był potworem, jak utrzymywali jego wrogowie? Potworem, który pięściami w zbrojonych rękawicach nagiął nas do swojej woli? Czy też Alisarrian to błogosławieństwo zesłane przez bogów, które przecięło mieczem zasłonę ignorancji? Byliśmy ciemnymi dzikusami, kiedy przetoczył się przez te góry, niczym ostatnia zimowa burza. Ale kiedy nadeszła wiosna oświecenia, którą ze sobą przyniósł, rozkwitło przepiękne pole nauki. Jakim potężnym...

Safar umościł się do drzemki, podczas gdy Gubadan z elokwencją rozplątywał się nad Zdobywcą. Zauważył jednak, że Iraj nie postąpił tak jak on. Zamiast tego uważnie przysłuchiwał się każdemu słowu Gubadana. Safar obserwował Iraję, a potem zniemacka przypomniał sobie sztandar z czerwonym księżycem i srebrną kometą, który ujrział w swej wizji - Księżyc Demonów i Kometę w ascendencji! Gubadan właśnie przypominał, że był to znak Alisarriana.

Wtem Safar usłyszał, jak jego przyjaciel przerywa Gubadanowi, pytając:

- Powiedz mi, mistrzu - rzekł Iraj - czy sądzisz, że kiedykolwiek znów urodzi się człowiek tak wielki jak Alisarrian?

Kapłan potrząsnął głową.

- To niemożliwe - odparł. - Bogowie pobłogosławili go większą liczbą cnót, niż może się to kiedykolwiek powtórzyć. - Gubadan wzruszył ramionami. - Oczywiście, pojawią się inni zdobywcy. Esmir od zawsze był podzieloną krainą. Krzyczy o zjednoczenie pod jednym berłem. Jeszcze przed Alisarrianem pojawiali się inni zdobywcy, a w ich ślady podążą następni, ale zawsze będą rządzić w jego ogromnym cieniu.

Safar zauważył, że Iraj zasmucił się, otrzymawszy odpowiedź. Młodzieniec otrząsnął się jednak z posępnego nastroju i dalej naciskał kapłana:

- Czy mogę o coś zapytać, mistrzu? Czy sądzisz, że którykolwiek z tych przyszłych zdobywców będzie władał także ziemiami demonów? W swoim czasie stanowiły przecież część królestwa Alisarriana.

- Imperium, nie królestwa, przyjacielu - poprawił go Gubadan. - Ale odpowiadając na twoje pytanie... ponownie muszę powiedzieć: nie. Tylko człowiek taki jak Alisarrian mógł rządzić demonami. Trzeba zacząć od tego, że Alisarrian był nie tylko potężnym wojownikiem i przywódcą, ale także znamienitym magiem. Równie potężnym, co każdy demoniczny czarnoksiężnik. Jak ci wiadomo, tylko niewielu ludzi posiada zdolności magiczne.

Safar niespokojnie wiercił się na swoim krześle.

- Zaś ta umiejętność zwykle jest słaba w porównaniu do zdolności demonów - ciągnął Gubadan. - Największym znanym mi ludzkim czarodziejem jest lord Umurhan, który stoi na czele uniwersytetu w Walarii. Choćby władał nie wiadomo jakimi mocami, to nawet on przyzna, że w starciu z

demonicznym magiem zostałby przyparty do muru. Ludzie, broniąc się przed demonami, od zawsze polegali na przewadze liczebnej. Równocześnie, demony stosowały potężną magię, by odeprzeć ludzi. Ale Alisarrian był na tyle silny, by przerwać tę patową sytuację i podbić krainę demonów. Dlaczego ich wszystkich nie wyrzwał, pozostaje, moim zdaniem, jedną z jego wielkich tajemnic. Mógł oczyścić cały Esmir z ich plugawej obecności, ale postąpił inaczej. Jaki był tego powód - nikt nie wie. Gdyby to zrobił, jego imperium mogłoby trwać aż do dziś. Ten aspekt jego osobowości jest dla mnie rozczarowaniem.

Dla Gubadana przyznanie, że jego bohater miał wady, było znaczącym wydarzeniem. Tak wytrąciło to starego kapłana z równowagi, że szybko zakończył temat poboczny i powrócił do nudnego wykładu o dalekich konstelacjach, ku głośnemu niezadowoleniu wszystkich uczniów.

Kilka dni później Safar i Iraj przechadzali się obok ruin starej fortecy, zatrzymując od czasu do czasu, by przypatrzeć się młodszym chłopcom odgrywającym role żołnierzy na ostatniej stojącej jeszcze ścianie.

Pamiętając o zainteresowaniu przyjaciela, Safar wskazał na fortecę i rzekł:

- Pewnie sam Alisarrian rozkazał zbudować ją, kiedy przybył do naszej wioski.

Iraj potrząsnął głową.

- Nie sądzę - odparł. - Spójrz, jak niekorzystnie została usytuowana. - Wskazał na wzgórze, które leżało nieopodal. - Jeśli wróg zająłby tamten pagórek, fort znalazłby się w zasięgu strzał nawet najslabszego łucznika. Alisarrian nigdy nie zbudowałby czegoś takiego. Był zbyt doskonały.

Safar objął świeżym spojrzeniem wzniesienie ciągnące się od ruin i odkrył, że siły zgromadzone wewnątrz fortecy, znalazłyby się w zagrożeniu.

- Bardziej prawdopodobne jest - ciągnął Iraj - że jakiś głupiec próbował tu stawiać Alisarrianowi opór. I został z łatwością pokonany.

- Istnieją opowieści, które potwierdzają twoje słowa - przyznał Safar. - Te same legendy utrzymują, że Alisarrian uczynił całą wioskę swoją fortecą, wystawiając silne straże w przejściach i przechowując zapasy oraz dodatkową broń w ukrytych jaskiniach.

Iraj spojrział na Safara błyszczącymi oczami.

- Słyszałeś o tym?

Safar skinął, dodając:

- Wiele razy, kiedy wypasałem w górach kozy mojego ojca. Hen, wysoko, jest jedno szczególne miejsce, skąd widać nawet odległe tereny. - Chłopiec wzruszył ramionami. - Rośnie tam licha trawa, ale lubię tam chodzić i myśleć.

- Zabierz mnie tam! - naciskał Iraj. - Muszę sam to zobaczyć!

Safar żałował, że w ogóle to powiedział. Miejsce, które miał na myśli, było jego prywatną kryjówką, gdzie leczył rany młodości. Przeleżał tam w samotności wiele łez i wyczarował wiele marzeń.

- Może później - odparł. - Teraz śnieg jest za głęboki.

Miał nadzieję, że jego przyjaciel zapomni, ale każdego dnia słońce świeciło coraz mocniej, strumienie przybierały stopionym śniegiem, a Iraj prześladował Safara, by ten zabrał go w sekretne miejsce. W końcu, gdy nadeszła kolej Safara na dogłądanie stad, zgodził się, by pokazać owo miejsce Irajowi.

Początkowo Gubadan robił zamieszanie, że podopieczni wymykają się spod jego opieki na parę tygodni wędrówki po górach.

- Khadji, co powie rodzina Iraja - protestował u ojca Safara - jeśli coś mu się stanie?

- Rozeźlą się tak samo, gdyby utonął, pływając w naszym jeziorze - wtrąciła się matka Safara.

Mimo, iż z początku traktowała chłopca nieufnie, co było naturalne dla odizolowanych mieszkańców Kyranii, stała się dla Iraja cieplejsza, a obecnie nawet broniła osieroconego księcia przed innymi. - Góry są tak naturalne dla Kyranii, jak to jezioro - powiedziała. - Pozwól chłopcu iść, Gubadanie. Dogłądanie kóz nie jest przecież aż tak niebezpieczną przygodą.

- Nie szukam niebezpieczeństwa, mistrzu, lecz wiedzy - wtrącił się Iraj. - Chcę sam zobaczyć, w którym miejscu wielki Alisarrian przekroczył góry.

Ten argument zakończył dyskusję i wkrótce dwaj młodzieńcy wyruszyli ku wysokim halom. Dzięki trosce Gubadana uginali się pod zapasami, ostatecznie więc zmuszeni byli zabrać lamę, by niosła wszystkie ubrania, koce i wciśniętą im żywność. Iraj, niewątpliwie pod wpływem romantycznych marzeń, wziął ze sobą szablę, którą wuj podarował mu, kiedy odjeżdżał z domu. Zaopatrzył się także w krótki łuk, obfity zapas strzał i ornamentowany sztylet, który, jak mówił, otrzymał w spadku od ojca.

Safar niósł swoją procę, małą sakiewkę na gliniane pociski wypalone w piecu jego ojca oraz grubą laskę. Były to wszystkie przedmioty potrzebne mu do utrzymania z dala sporadycznie pojawiającej się gromady głodnych wilków, które miały chrapkę na kozie mięso. Zaśmiał się, kiedy zobaczył Iraję, powłóczęgę nogami pod ciężarem broni.

- Tam w górze są tylko drzewa i skały - oznajmił - więc jeśli ktoś będzie nas miał zaatakować, przygotujemy się na to wcześniej.

Iraj uśmiechnął się szeroko, ale jego oczy pozostały poważne.

- Nigdy nic nie wiadomo. - To wszystko, co odrzekł.

Kiedy wyruszali, niebo jaśniało, a niższe szczyty pokrywała świeża zieleń. Safar zebrał garście opadłych kwiatów wiśni, które miały rozjaśnić ich herbatę, przyrządzoną tego wieczoru. Chłopcy zamarudzili trochę przy paru wyżej położonych, zgrupowanych w zagajniku kalin chatach, wymieniając plotki ze wsi na migdały i tłuste bażanty. Ludzie byli zadowoleni, że ich widzą. Ze sposobu, w jaki wlepiali wzrok w Iraję, Safar wnioskował, że byli bardziej zainteresowani tym nieznanym młodzieńcem, niż nowinkami z położonej poniżej wioski.

Jedna z dziewcząt przez pewien czas szła z nimi. Jej oczy błyszczały podziwem dla wysokiej, krzepkiej sylwetki Iraja i jego przystojnej twarzy. Zawróciła, kiedy dotarli do szlaku prowadzącego na pastwiska, gdzie pasły się kozy. zaproponowała, żeby przystanęli przy jej domu, kiedy będą wracać, obiecując, że jej matka dobrze ich nakarmi.

- Sądzę, że się w tobie zakochała - drażnił się z nim Safar. - Jeśli tylko byś poprosił, wlaźłaby z tobą w krzaki i pozwoliła zadrzeć sukienkę.

- Kusilo mnie - przyznał Iraj. - Już za dużo czasu minęło, odkąd odbyłem z kobietą taniec bioder.

Safar był zdumiony. Chłopcy ze wsi często pysznili się swoimi podbojami, ale wiedział, że kłamią. Słyszał, jak jego matka i siostry żartują z młodych mężczyzn, którzy okazali się głupcami, mając nadzieję, że któraś z dobrze wychowanych kyańskich dziewcząt pomniejszyłaby swoją wartość przyszłej małżonki, zadawszy się z nimi - chyba, że zamierzonym rezultatem miało być małżeństwo. Czasami karawanie towarzyszyły prostytutki, których przeznaczeniem były odległe domy rozkoszy. Ale ich pożądanie wzbudzali jedynie grubi mężczyźni z jeszcze grubszymi sakiewkami, nie biedni chłopcy o chudych nogach.

Jednak kiedy Iraj przemówił, Safar wiedział, że jego słowa nie są pustą przechwałką.

- Czy wasze niezamężne kobiety mają zwyczaj przyjmować do łóżka każdego, kto o to poprosi? - zapytał Safar. - Nie zamierzam nikogo obrazić, po prostu takie rzeczy są w Kyranii potępiane. Dziewczyna poszłaby z tobą tylko dlatego, że uważa cię za bogatego, tak samo jak jej ojciec. A jeśli rozwarłbyś jej nogi, jej ojciec wkrótce zacząłby rozmawiać z Gubadanem o dacie ślubu.

- Tak też przypuszczałem - odparł Iraj. - Dlatego trzymałem swój miecz w pochwie. Nie, nasze kobiety nie są łatwe. Po prostu zawsze miałem wokół służące, które miały dbać o zaspokajanie moich potrzeb. Moja matka doglądała, żeby wokół mnie kręciło się zawsze kilka ładnych niewolnic. Wśród mojego ludu odmawianie młodemu mężczyźnie takich przyjemności jest uważane za niezdrowe.

- Szkoda, że moja matka nie dba tak o moje zdrowie - powiedział Safar. - A jeśli pojawią się dzieci? Co wtedy robicie?

Iraj wzruszył ramionami.

- Jak tylko przestają ssać pierś, sprzedajemy je - odparł. - Taniej jest kupić nowych niewolników niż wychować któregoś, aż osiągnie wiek, w którym zacznie się przydawać.

Safar był wstrząśnięty.

- Jak możecie sprzedawać własne dzieci? - zapytał.

Iraj spojrzał na przyjaciela, jakby tamten zwariował.

- Nigdy nie myślałem o nich jako o moich dzieciach - odpowiedział. - Równie dobrze mogę utrzymywać, że po każdym razie, kiedy uprawiam miłość z własną ręką, płóciennę prześcieradło na moim łóżku to też moje dzieci. Oprócz tego nawet wolna kobieta nie ma większej duszy niż, powiedzmy, wielbłąd lub koń. Zostały zesłane przez bogów dla przyjemności mężczyzn i do rodzenia, by było nas więcej. Ja jedynie wykorzystuję je w taki sposób, jak zrządziło przeznaczenie.

Safar ugryzł się w język i zdusił ostrą odpowiedź. Rozjuszyło go słuchanie, jak ktoś mówi, że jego matka i siostry nie są niczym więcej niż klaczami rozplodowymi i dziwkami. Ale nic nie odpowiedział, myśląc, że nie należy winić Iraja za sposób, w jaki został wychowany.

Dwaj chłopcy wspinali się dalej. Wkrótce weszli do dolinki, gdzie pasły się stada. Safar zwolnił chłopców, którzy dotąd się nimi opiekowali, zebrał kozy i poprowadził je wyżej w góry.

Wzgórza rozkwitały bujnie, a na każdej półce i w każdej szczelinie rosła kusząca trawa oraz kwiaty. Safar narzucił powolne tempo, pozwalając kozom i lamie zatrzymywać się i skubać, kiedy tylko chciały. Młodzieńcy wcześniej ustawili obóz, puszczając stado luzem na małej łące. Sami zaś schronili się w grotcie, osłoniętej przed nocnymi wiatrami. Upiekli bażanty, a pustki w brzuchu, które pozostały po ostatnim posiłku, zapełnili prażonymi migdałami, serem i twardym chlebem. Wszystko popili kozim mlekiem. Zachód słońca trwał krótko, ale był przepiękny. Zamienił łąkę i grotę w złoty pejzaż jak ze snu. Potem obudziły się do życia gwiazdy i księżyc. Safar i Iraj wpatrywali się w nie długo, milcząc niczym akolici podczas świątynnej uroczystości.

Iraj przerwał ciszę:

- Czy wiedziałeś, że jestem spod tego samego znaku co Alisarrian?

Safar potrząsnął przecząco głową, chociaż nagle zdał sobie sprawę, że wszystko wcześniej wiedział. Próbował obrócić to w żart, mówiąc:

- Czy to oznacza, że nagle czujesz, że musisz iść i podbijać?

Iraj się zaśmiał. Jego oczy zabłyśły, jakby uwaga mimowolnie trafiła w cel.

- Przepraszam, jeśli cię obrażem - powiedział Safar. - To było głupie.

Iraj skinął głową. Po chwili zapytał:

- Czy nie wyobrażasz sobie czasami, że musisz wypełnić swoje przeznaczenie?

- Tylko jako garnkarz - odparł Safar.

Iraj przygwoździł go spojrzeniem.

- Czy doprawdy tak myślisz, Safarze?

- Kimże innym mógłbym być? Jestem Timurą. Timurowie wyrabiają garnki.

Iraj wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Mów co chcesz, ja wiem lepiej”.

- Mówiłem ci, że śniłem o człowieku, który nazywał się Safar, prawda? - podjął.

- Tak, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy - odparł Safar.

- Dziwiłem się, że nigdy o to nie pytałeś. Większość ludzi tak by zrobiła.

Safar nic nie odrzekł, przypominając sobie wizję króla na białym słoni.

Iraj przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.

- Jeśli powiem ci tajemnicę, czy obiecujesz, że nigdy jej nie wyjawisz?

Safar przysiągł, z ulgą przyjmując zmianę tematu rozmowy, która wydawała się teraz mniej niebezpieczna.

- Jeśli złamiesz przysięgę - ostrzegł Iraj - najpewniej zostanę zabity.

Safar zdumiał się. Aż do tej chwili w całym swoim krótkim życiu nigdy nie zetknął się z tajemnicą, za ujawnienie której groziłaby taka kara.

- To dlatego mieszkam z tobą - ciągnął Iraj. - Widzisz, mój ojciec był władcą naszego plemienia, a ja miałem zająć jego miejsce.

- Czy twój ojciec zmarł niedawno? - zapytał Safar.

- Zapadł na gorączkę około roku temu - odparł Iraj. - Sześć miesięcy zajęło jej wyssanie z niego życia. W ciągu tego okresu moja rodzina skłóciła się i podzieliła. Część popierała mnie jako następcę, podczas gdy inni popierali mojego wuja, Fulaina. Kiedy ojciec zmarł, rozłam umocnił się.

Iraj wyjaśniał dalej, że początkowo wszystko płynęło po jego myśli, ponieważ popierało go więcej członków rodziny. Jeden z jego kuzynów - wielce szanowany starszy mężczyzna zasobny w ziemię i konie - miał zostać obwołany regentem do czasu osiągnięcia przez Iraję wieku dorosłego, kiedy to mógłby przejąć obowiązki rządzącego.

- Ale Fulain dogadał się z najbardziej zniechęconym wrogiem mojego ojca - rzekł Iraj. - Ze złym człowiekiem o nazwisku Koralia Kan, który zamordował mojego dziadka, kiedy ojciec był jeszcze chłopcem. A ojciec odplacił się jego rodzinie, zabijając pierworodnego Kana. Tak więc dzieli nas wiele przelanej krwi.

Iraj opowiadał, jak pewnej mrocznej nocy Fulain zezwolił Kanowi i jego kawalerii na swobodne przejście przez jego ziemię, przyłączając się do wuja w szeregu niespodziewanych ataków. Zginęło wtedy wielu ludzi, włącznie z kuzynem, który miał być regentem. Kiedy Fulain stłamsił już resztę rodziny, zażądał głowy Iraję, aby nie można było podważyć jego pozycji lorda klanu.

- Moja matka błagała jednego z wujów - męża jej siostry - o pomoc - powiedział Iraj. - Zostałem zmuszony do ucieczki z własnego domu i ukrycia wśród jego ludu - klanu Baborów. Ale kręciło się tam tylu szpiegów, że dłuższy pobyt byłby ryzykowny. Wuj wstydził się, że musi mnie odesłać, ale miał pod opieką własne żony i dzieci, tak więc wysłał mnie, bym ukrył się przed Fulainem i Kanem.

Dla Safara opowieść ta była niczym legenda. Czuł się, jakby był dzieckiem słuchającym ojca opowiadającego o dawnych czasach i dzikich obyczajach.

- Czy już nigdy nie będziesz mógł wrócić? - zapytał.

Iraj szturchnął ognisko kijem, a płomienie buchnęły w górę, rzeźbiąc na jego twarzy głębokie cienie. W takim świetle wyglądał na bardziej dojrzałego i zdeterminowanego.

- Wojna w mojej rodzinie trwa - odrzekł. - Ale to cicha wojna szpiegów i nocnych najazdów.

Kiedy już będzie bezpiecznie, mój wuj pośle po mnie. A wtedy zostanę przywódcą plemienia.

- Skąd ta pewność? - zapytał Safar. - Co się stanie, jeśli Fulain i Kan utrzymają przewagę?

Iraj zamilkł, szturchając ognisko w zamyśleniu, a następnie odezwał się:

- Muszę w to wierzyć, nie rozumiesz? Inaczej równie dobrze mogę odebrać sobie życie teraz.

Safar nie rozumiał. Dlaczego Iraj ma umrzeć? Dlatego, że nie może być wodzem swojego plemienia? Dlaczego nie zostanie w Kyranii, gdzie nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo? Mógł przeżyć tu długie, spokojne życie. Mógł ożenić się z jedną z dziewcząt ze wsi i mieszkać tu szczęśliwie, w otoczeniu piękna i bujnej przyrody Kyranii. Ale Safar nie powiedział, o czym myśli, ponieważ z niepokoju Iraj odgadł, że zasmuci go to jeszcze bardziej - chociaż Safar nie rozumiał dlaczego. Zamiast tego zapytał go o zwyczaje jego ludu.

- Są zupełnie niepodobne do waszych - powiedział Iraj z nieświadomą wzgardą. - My nie uprawiamy ziemi. Nie jesteśmy jej niewolnikami. Jeśli czegoś pragniemy, walczymy o to, a potem jeszcze zacieklej walczymy, żeby to utrzymać. Powiadam ci, Safarze, że już na kolanach ojca nauczyłem się, że ludzie będą albo cię kochać, albo się ciebie bać. Nie ma nic pośredniego.

Opowiadał, że jego rodzina od setek lat wędrowała przez rozległe równiny Jasparu. Byli najsroźszym plemieniem, jakie przetrwało rozpad królestwa Alisarriana. Żyli z najazdów na słabsze plemiona oraz łupienia wiosek i miast w odległych krainach. Ostatnimi laty - nawet przed chorobą ojca Iraj - nie wiodło im się tak dobrze.

- Nasze stada koni nie są już tak liczne jak dawniej - oznajmił Iraj - a zaraza zabrała wiele naszych wielbłądów. Inne plemiona dogadały się z królami miast, które kiedyś płaciły nam daniny. Otoczyli nas potężni wrogowie, którzy zazdroszczą nam ziem. Wuj Neechan - ten, który mnie popiera - wini mojego ojca za to, co się stało. - Iraj westchnął. - Sądzę, że ma rację, chociaż mierzi mnie konieczność przyznania tego. Kochałem ojca, ale sądzę, że zbyt bogato się urodził. Jego ojciec z kolei był wielkim wojownikiem. Prawdopodobnie to przyczyniło się do jego słabości. Kiedyś mieszkaliśmy w jurtach, w stałych obozowiskach, dopóki trawa się nie przerzedziła. Wtedy pakowaliśmy się i jechaliśmy dalej. Czasami ruszaliśmy na równiny, ponieważ nachodził nas taki kaprys. Wówczas podróżowaliśmy tam, gdzie nas wiodł wiatr. Teraz mieszkamy w wielkiej fortecy, którą wybudował mój dziadek.

Iraj opowiadał, że życie w fortecy było luksusowe. Mieli złoto, by kupować wszystko, co rodzina chciała mieć - tkaniny i dywany oraz niewolników, którzy spełniali wszelkie zachcianki. Żywili się potrawami wzbogaconymi rzadkimi przyprawami. Niektóre z nich były tak pyszne i ostre, że po posiłku podawano zmrożone sorbety z egzotycznych owoców rosnących w odległych krainach. W domu Iraj znajdował się ogród z ornamentowaną fontanną na dziedzińcu. Jego ojciec lubił tam odpoczywać, dumając nad dziwnymi rybami i żując figi w miodzie, podczas gdy delikatny wietrzyk niósł zapach pomarańczy i róż.

- Myślę, że tak luksusowe życie zdusiło w moim ojcu zapał do walki - powiedział Iraj. - Gdy wypił za dużo wina, co w późniejszym czasie często mu się zdarzało, przeklinał swe bogactwa i przysięgał, że z samego rana spakuje dobytek i znów podąży na równiny Jasparu. Będzie mieszkał w jurtach i najeżdżał innych, tak jak czynił za młodu jego ojciec. Ale rano jego życie podążało takim samym szlakiem. Wiem, że czuł się temu winny. Kilka razy nawet to przyznał, ostrzegając mnie przed ukrytymi niebezpieczeństwami nadmiernego bogactwa. Sądzę, że to dlatego zmusił mnie, bym złożył przysięgę miecza. Tak więc ja muszę dokonać tego, czemu on nie dał rady. Teraz honor rodziny

spoczywa na mnie.

- Przykro mi - powiedział Safar, myśląc, że to ciężar, którego on nie chciałby nieść.

- Niech ci nie będzie przykro, Safarze - odparł Iraj. - Tego właśnie chcę. Jeśli bogowie pozwolą, pewnego dnia wrócę mojej rodzinie minioną wielkość. - Ściszył głos, aż Safar ledwie mógł rozróżnić następne słowa. - A może nawet uczynię ją potężniejszą - wymruczał.

W tej chwili przez nieboskłon przemknął jaśniejący obiekt. Głowy chłopców poderwały się w zdumieniu. Obiekt zawisł nad nimi. Była to wielka, obracająca się kula, która wygnała noc spomiędzy wzgórz. Później kula wybuchła, rozpadając się na ogniste drobinki.

Safar gapił się na opadające rozżarzone cząsteczki, nie widział nic prócz tańczącego światła. Było ich tak wiele, że wydawały się śniegiem spadającym z tęczy. Potem unosiły się wokół niego, a on instynktownie wysunął język, by schwytać drobinę, jak dziecko dziwiące się płatkom śniegu. Ku jego zdumieniu jedna wpłynęła do jego ust, które natychmiast wypełniły się smakiem przypominającym podgrzane, osłodzone miodem wino. Ciało Safara przebiegł dreszcz, wypełniając je przyjemną energią, a on nagle poczuł, jak wznosi się ponad wszelkie śmiertelne sprawy.

Usłyszał śmiech i spojrzał na Iraję. Błyszcząca zasłona cząsteczek wirowała wokół niego. Rysy jego twarzy wydawały się komicznie zniekształcone, przypominając gliniany garnek, który zapadł się w piecu do wypalania. Śmiejąc się, pokazywał palcem na Safara, który zdał sobie sprawę, że musi wyglądać tak samo. Wtem cząsteczki znikły i wszystko powróciło do normy. Z jakiegoś powodu Safar poczuł się rozdrażniony i przygnębiony, podczas gdy Iraj wciąż zanosił się ze śmiechu.

- Przynosisz mi szczęście, Safarze - powiedział. - Wyjawiam ci najgłębsze sekrety i natychmiast zostajemy pobłogosławieni znakiem z niebios.

- Ale znakiem czego, Iraję? - zapytał Safar. - Skąd możemy wiedzieć, czy to nas dotyczy?

- To było zbyt cudowne, żeby być czymś innym niż błogosławieństwem - odparł Iraj.

Tej nocy, gdy Iraj spał spokojnym snem, Safar czuwał, zastanawiając się, co oznaczała ta niebiańska scena. Czy był to znak? A jeśli tak, to co zwiastował? Jego wyostrzone zmysły wyraźnie rozróżniały każdy dźwięk w zwykłej nocnej kombinacji szczebiotów i szaleńczego tupotu. Dobiegło go cykanie świerszczy i z początku sądził, że to wiosenna pieśń zalotów. Potem jednak rozpoznał słowa:

- Nadchodzi! Nadchodzi!

Kolejny świerszcz odpowiedział:

- Co nadchodzi? Co nadchodzi?

A pierwszy oznajmił:

- Lepiej się kryć! Lepiej się kryć!

Wtem powiał łagodny wietrzyk i świerszcze ucichły. Cisza nadeszła tak nagle, że wydawała się prawie namacalna, jak przedmiot, który Safar mógłby poczuć, obrócić i zbadać, gdyby tylko zdołał go dotknąć. W umyśle stworzył wiadro świeżej gliny. Wyobraził sobie, że cisza znajduje się w tym wiadrze. Zaczął oczyszczać glinę, wypłukując gałązki i kamienie. I wtedy znalazł to. Wyszperał przedmiot i podniósł go do góry. Był to szeroki, niezwykle ukształtowany kamień w kolorze krwistej czerwieni.

Jego duch zajrzał w wypolerowaną powierzchnię kamienia, zobaczył odbicie oka, a potem zaczął spadać... spadać...

Rozpostarł ramiona i pozwolił, by poniosły go widmowe wiatry. Początkowo myślał, że wraca do podbitego miasta, które widział poprzednim razem. Ale wiatry uniosły go wyżej. Mknął przez

równiny i pustynie, a potem morza. Wydawało się, że płynął przez wieczność, przelatując od jednego ciemnego horyzontu do drugiego, aż zszarzały, a potem rozbłyły oślepiającym błękitem, gdy noc zamieniła się w dzień. Pod nim szumiały szmaragdowe morza.

„Z pewnością - pomyślał - musiałem polecieć tak daleko, by znaleźć się po drugiej stronie świata, w miejscu, które książki Gubadana nazywały Końcem Świata”. Podczas gdy Safar zastanawiał się, gdzie się zatrzyma, dotarł do górzystej wysepki na środku rozległego oceanu.

Usłyszał skandowanie, bębny i zawodzenie dziwnych rogów wygrywających żałobne nuty, które uderzyły w niego jak omywający brzeg wielki pływ. Safar pozwolił, by muzyka uniosła go do wielkiego gaju wysokich drzew uginających się pod ciężarem dojrzałych owoców.

Pomiędzy drzewami w rytm wielkich bębnow z cienkiej kory tańczyli urodziwi ludzie. Kilku mężczyzn dęło w ogromne konchy, wydobywając z nich żałobne dźwięki, które przywiodły tu Safara. Ludzie byli nadzy, a ich opalone ciała pomalowano jaskrawymi kolorami. W centrum tańczyła wysoka kobieta. Jej jędrne piersi podskakiwały w takt dzikiego, radosnego rytmu. Kręciła kształtnymi biodrami, wypychając je w przód, imitując odwieczny akt zespolenia. Młode ciało Safara zareagowało podnieceniem.

Nagle przestała tańczyć, a jej oczy rozszerzyły się w takim przerażeniu, że żądza Safara znikła, zastąpiona wszechogarniającym strachem.

Kobieta krzyczała w języku, którego Safar nie rozumiał. Wskazywała z przerażeniem na coś w dali. Pozostali tancerze zamarli, a ich wzrok szukał tego czegoś, co tak ją wystraszyło.

Safar popatrzył za nimi i ujrzał dym wypływający z wierzchołka stożkowej góry. Ludzie zaczęli wrzeszczeć i biegać wokół w szaleńczym zamieszaniu niczym mrówki złapane przez nagłą burzę z piorunami. Safar czuł ich przerażenie, jakby dotyczyło i jego. Serce mu waliło, a kończyny drżały w histerycznym pragnieniu ucieczki.

Nagle pojawił się oślepiający błysk, a zaraz potem nastąpiła eksplozja, która uderzyła niczym młotem w jego uszy. Siła wybuchu wyrwała z ziemi wielkie skały i drzewa. Instynktownie skulił się, choć wiedział, że nie może zostać zraniony. Kłębiący się dym zasnuł pole widzenia.

Potem obraz się przejaśnił. Safar zobaczył wiele zwłok - również ciało tancerki - przygniecionych drzewami owocowymi. Ci, którzy przeżyli, podnieśli się i chwiejnym krokiem pobiegli ku brzegowi, gdzie czekał na nich szereg kanoe.

Rozległa się kolejna eksplozja, znacznie silniejsza od poprzedniej. Rozpędzone odłamki skał zmiotły uciekinierów, a kanoe wybuchły płomieniami pod wpływem intensywnego gorąca.

Z góry, która pękła na dwoje, wylała się stopiona skała. Dotarła do morza i woda zaczęła się gotować. Na powierzchnię wypłynęły tysiące zdechłych ryb, unosząc się pomiędzy poczerniałymi zwłokami ludzi, którym udało się tak daleko dotrzeć. Z pękniętej góry unosił się żółty, gryzący dym. Wypełniał niebo, aż zakrył słońce.

Safar poczuł w ustach smak popiołu.

Wizja skończyła się. Młodzieniec poderwał się i odkrył, że szlocha. Otarł łzy, a potem spojrzał na Iraję, który wciąż spał.

Safar chciał, żeby przyjaciel się obudził. Czuł się samotny, a w jego trzewiach zagościło wszechogarniające poczucie straty. Czaił się tam też strach. Była to obawa przed przyszłością, chociaż nie wiedział, czego powinien się lękać. Próbował wyobrazić sobie siebie za dziesięć lat, dojrzałego garncarza kucającego przy kole garncarskim, formującego doskonale naczynie. Ale za każdym razem, gdy pojawiał się nikły obraz, nie mógł go zatrzymać, aż ten w końcu zniknął. Safar

usiłował wyobrazić sobie jakąś przyszłość, nie swoją, lecz całego świata. Jak będzie wyglądał, jeśli uda mu się przeżyć całe ludzkie życie? Ale jego umysł wydawał się być zasnuty żółtą, gryzącą mgłą.

Poddał się przygnębiony. Było mu zimno, więc otulił się kocem i wyciągnął w swoim wymoszczonym liśćmi zakątku. Czekał na sen, ujrzał pierwsze promienie słońca wyłaniające się z nad grani. Miały kolor krwi i były tak ostre, że odległy szczyt w tej części łańcucha gór w ich świetle wydawał się ożywać.

Safar zamknął oczy, szepcząc modlitwy za dusze wszystkich ludzi, którzy zginęli w jego wizji - urodziwych ludzi, którzy tańczyli pod drzewami owocowymi na wyspie na końcu świata.

Potem zasnął snem bez marzeń.

Jaskinia Alisarriana

Gdy Safar ponownie otworzył oczy, słońce stało już wysoko i rzucało spokojny blask na poranny krajobraz. Iraj krzątał się, wznecając ogień i przygotowując śniadanie, ale kiedy ujrzał twarz Safara, odkrył w niej smutek i zapytał, co się stało. Wciąż poruszony wizją, Safar opowiedział całą historię.

W trakcie jego przemowy Iraj nie zdradził najmniejszej oznaki zdziwienia, a kiedy chłopiec skończył opowieść, rzekł:

- Nie przejmuj się, Safarze. To był tylko zły sen. Pewnie niektóre z migdałów przez nas zjedzonych były zielone.

- To nie był sen - zaprotestował Safar - ale wizja czegoś, co się naprawdę wydarzyło i wywołało ten ognisty deszcz zeszłej nocy.

Iraj spojrział dziwnie na przyjaciela.

- Dlaczego tak sądzisz? Czy już kiedyś miałeś wizje?

- Tak - odparł cicho Safar. - Czasami o rzeczach, które dopiero się zdarzą. Czasami o rzeczach, które już się dzieją.

- Czy zawsze się sprawdzają?

Przygnębiony Safar wzruszył ramionami.

- W większości.

Iraj opadł na ziemię obok Safara.

- Odkąd się spotkaliśmy podejrzewałem, że coś przede mną kryjesz - powiedział. - Czy to już wszystko?

Safar potrząsnął głową.

- Nie.

- Chcesz powiedzieć mi o reszcie?

- Jeszcze nie teraz.

Iraj skinął głową.

- Mamy czas.

Safar siedział w odrętwieniu, podczas gdy Iraj wykonywał wszelkie konieczne prace: pakował rzeczy, zbierał zwierzęta i objuczał lamę. Kiedy nadszedł czas, by odejść, nastrój Safara poprawił się. W świetle dnia wszystko wydawało się takie normalne. Jasność sprawiła, że wizje i magia nie miały racji bytu. Poranne powietrze było świeże i oczyszczało duszę. Pojawiły się ptaki, szperając między kroplami rosy w poszukiwaniu śniadania. Na szerokich liściach przysiadły motyle, osuszając skrzydełka w ciepłym słońcu. Tłuste, sennie trzmielce wyglądały z kwiatów.

Kiedy wyruszali, Iraj zagwizdał wesołą melodię, która towarzyszyła im przez większą część ranka, chociaż Safar zauważył, że od czasu do czasu rzuca mu spojrzenia, zwięzając oczy, jakby go oceniał. Po jakimś czasie Safar odepchnął od siebie wizję, stwierdzając, że była zwykłym koszmarem sennym, jak to sugerował Iraj. Nawet poczuł się głupio, że w ogóle o niej wspominał.

Przypomniał sobie ostrzeżenie ojca, że góry mogą wywołać melancholie i brak zaufania. W końcu doszedł do wniosku, że to, co widział, nie było żadną wizją, ale owocem rozgorączkowanej wyobraźni pobudzonej chłodem melancholii.

W krótkim czasie do głosu doszła jego młodzieńcza radość i przyłączył się do melodii Iraj. Gwiżdżąc, spojrzeli na siebie. Ich wzrok spotkał się, usta skrzywiły w uśmiechu, który zniekształcił dźwięki, zamieniając je w radosne beczenie. Obaj wybuchnęli śmiechem. Zastąpiły go chichoty z głupich, chłopięcych żarcików. Wywoływali bójki na niby i siłowali się, zachowując się jak niedorostki, którymi przecież byli.

Dzień chylił się już ku końcowi, kiedy dwaj przyjaciele osiągnęli cel. Ziemię pokrywał zbity śnieg, poznaczony tu i ówdzie zielonymi kiełkami próbującymi powitać wiosenne słońce. Dzień był ciepły i bezwietrzny. Szlak stał się stromy i chłopcy zaczęli dyszeć z wysiłku, który zmusił ich do zrzucenia opończ. Wąska ścieżka wiła się między ośnieżonymi skałami, wiodąc ich ku wierzchołkowi. Nie mogli określić, ile już przeszli. W wielu miejscach szerokie nawisy i występy zasłaniały cały widok, pozwalając im jedynie patrzeć na skały wokół i drogę pod stopami. Kozy i lama gramoliły się przed nimi, znikając za ostrym zakrętem.

Chociaż Safar wiedział, czego ma się spodziewać za tym ostrym zakrętem, widok spadł na niego zniecka, chwytając za serce, tak samo jak za pierwszym razem, gdy przeszedł tę drogę.

Wyłonili się oblani jasnym światłem, odkrywając, że znaleźli się na szerokiej półce z widokiem na północną stronę łańcucha gór. Tuż poniżej znajdowała się mała, porośnięta trawą niecka obfitująca w górskie jagody. Ze skały pod ich stopami tryskał strumień, który z pluskiem spływał w dół, zbierając wodę w krystalicznie czystym basenie pośrodku niecki. Kozy skakały wśród jagód, becząc z radości. Lama zignorowała swoich wełnistych kuzynów, którzy zachowywali się z mniejszą godnością, sama głęboko zakopawszy pysk w jednym z jagodowych krzaczków.

Za zieloną niecką rozciągał się przecudny krajobraz ostrych skał przykrytych śnieżnymi czapami, które zniżały się ku rozległym, jałowym pustkowiom północy. Grube płaszcze górujących nad nimi obłoków płynęły po błękitnym niebie jak wyspy zbudowane z warstw brązów, zieleni i bawełnianej bieli. Piaski pustyni chwytały światło słońca, odbijając je z powrotem w niebo. Całość wydawała się być utworzona z migoczących, wielobarwnych klejnotów.

Na pustyni nie było nic, na czym można by zawiesić oko. Spojrzenie Safara przemknęło szybko ku ciemnoniebieskiej linii horyzontu, gdzie sklepienie nieba spotykało się z ziemią. Usłyszał, jak Iraj bierze głęboki wdech i wiedział, że nawet on, choć urodzony wśród rozległych równin południa, nigdy nie sięgnął wzrokiem na tak ogromną odległość. Widok przytłaczał, ale w rozrzedzonym powietrzu wszystko wydawało się powiększone, tak więc w jakiś sposób horyzont znajdował się blisko, chociaż Safar wiedział od panów karawan, że dotarcie tam zabrałoby wiele czasu.

Spojrzał na przyjaciela, któremu na twarz wypełzył zabawny uśmiech. Iraj z wahaniem wyciągnął dłoń, jakby próbował dotknąć horyzontu. Safar roześmiał się, ponieważ gdy po raz pierwszy odkrył to miejsce, zrobił dokładnie to samo.

- Chodź za mną - powiedział. - Jest jeszcze coś.

Safar zrzucił swój lekki plecak i zgramolił się po skałach, które wyrastały po obu stronach spływającego potoku. Mniej więcej w połowie drogi woda zakrywała wejście do jaskini. Safar wskazał ją Irajowi, a potem pokazał, w jaki sposób przedostać się między zasłoną wody a skalną ścianą i wskoczyć do jaskini.

Podczas ostatnich odwiedzin zostawił tu materiały na pochodnie. Teraz szybko przygotował kilka

z nich, a potem skrzesał iskry krzemieniem, by zapalić jedną. Nagle jaskinię zalało przepiękne światło. Ściany, podłoga i sufit zostało wyrzeźbione w gładkim zielonym kamieniu, który chwycił światło, odbijając je z niesamowitym blaskiem.

Kiedy Iraj otrząsnął się z początkowego zdziwienia, zapalił własną pochodnię i rozejrzał się wokół, zauważając miejsce, gdzie Safar czasami rozpalał ognisko w czasie chłódów. Później dojrzał grupkę pentagramów i symboli magicznych w kształcie gwiazdnych znaków, wypisanych na jednej ze ścian i na podłodze. Niektóre z nich były starsze, niektóre nowsze.

- Krypta maga - powiedział.

Safar pokiwał głową, nie wspominając, że te bardziej niezgrabne i świeższe symbole były jego próbami kopiowania i uczenia się od starożytnych mistrzów. Jeszcze nie dokonał z ich pomocą żadnego magicznego czynu, wciąż powstrzymywany młodzieńczymi wątpliwościami, ale gdzieś na dnie umysłu wiedział, że poddanie się pokusie rzucenia prawdziwego magicznego zaklęcia jest tylko kwestią czasu.

Safar wskazał na szereg wyblakłych czerwonych symboli wyrytych na podłodze. Prowadziły w głąb jaskini, jakby wskazując drogę. Iraj wpatrywał się, rozpoznając symbole: Księżyc Demonów i Kometę Zdobywcy.

- Alisarrian tu przybył? - zaczerpnął oddech.

- Nie wiem - odparł Safar. - Ale sądzę, że było tu paru ludzi, którzy go znali.

Pchnął Iraja do przodu. Poszli ścieżką wiodącą przez kilka komór tworzących jaskinię. Jedno z pomieszczeń miało skalną półkę, na której wciąż stały stare słoje. Chociaż niektóre z magicznych symboli opisujących je wciąż były wyraźne, zawartość słoii wyschła już dawno temu. Kolejne pomieszczenie ukazało stos broni i zbroi tak zardzewiałej, że przedmioty zespoliły się. Iraj obejrzał je z wielkim zainteresowaniem, ze znanstwem komentując ich przeznaczenie i minioną świetność.

Ostatnia komora była pusta. Jedynie w głębi na ścianie zamontowano stojaki. Safar zapalił jeszcze dwie pochodnie i umieścił je w stojakach.

- Po to cię tu przywiodłem - powiedział, wskazując na rozległą przestrzeń między dwiema pochodniami.

Iraj wpatrywał się we wskazane miejsce, ale na pierwszy rzut oka nie dostrzegł nic godnego uwagi.

- Przyjrzyj się z bliska - zachęcał Safar. - Za pierwszym razem można to zobaczyć dopiero po chwili. Potem jest już łatwiej, bo wiesz, czego szukać.

Oczy Iraja zwięzły się z wysiłkiem. Obracał głowę w jedną i w drugą stronę, próbując dostrzec to, co pokazywał mu Safar. Potem młody garncarz uśmiechnął się, kiedy ujrzał, jak puste spojrzenie wypełnia się zdziwieniem, kiedy między dwoma stojakami na pochodnie pojawił się obraz.

Wielkie malowidło na kamieniu zostało powleczone przejrzystą powłoką. Przed zapaleniem pochodni prawie go nie było widać. Potem pojawiało się, ale dopiero gdy patrzyło się na nie pod odpowiednim kątem.

Na obrazie widniał wysoki, przystojny wojownik ubrany w archaiczną zbroję księcia. Miał jasną skórę, długie jasne włosy i surowe oczy o barwie błękitu wód świętego jeziora Kyranii. Wojownik niósł pod prawym ramieniem hełm. Jego czoło otaczała prosta, złota opaska wskazująca władzę królewską. W lewej dłoni trzymał miecz, uniesiony wysoko, jakby witał lub wyzywał na pojedynek innego wojownika. Safar nigdy nie mógł się zdecydować, które z nich było prawdą.

Nad wojowniczym królem widniał symbol Księżycy Demonów i wznoszącej się Komety.

- Alisarrian - szepnął Iraj.

- Nikt inny - odparł Safar.

Iraj zaśmiał się, głośno wyrażając zadowolenie, i klepnął młodego garncarza w plecy, dziękując mu wylewnie.

- Sekret za sekret - rzekł. - Choć ja zyskałem o wiele więcej, mój przyjacielu.

W tej chwili Safar zdał sobie sprawę, że gdzieś po drodze, między wyruszeniem w podróż a przybyciem tutaj, stali się prawdziwymi przyjaciółmi. Sprawilo to, że w jakiś sposób poczuł się doroślejszy. Przedtem nigdy nie miał prawdziwego przyjaciela.

Iraj ponownie wpatrywał się w portret.

- Uczyłem się wszystkiego o Alisarrianie - rzekł - ale nigdy nie widziałem takiej podobizny. W każdym calu wygląda na Zdobywcę. To mężczyzna, któremu bogowie kazali władać wielkim imperium.

Wyciągnął miecz, machnął nim, a potem przybrał pozę taką, jak ta na malowidle - broń wysoko, głowa uniesiona, oczy wpatrzone w dal.

Nagle Safara przebiegł dreszcz. Po raz pierwszy zwrócił uwagę na pewien szczegół.

- Jesteś leworęczny - powiedział. - Jak Alisarrian.

Iraj skinął głową z poważnym wyrazem twarzy.

- A także jasnowłosy i wysoki jak on - odparł. - Ale ja mam ciemne oczy. Jego oczy są niebieskie... jak twoje.

Safar zaczerwienił się. Cenił sobie to sekretne miejsce również dlatego, że widział tu jeszcze jedną niebieskooką osobę prócz siebie. Dzięki temu czuł się nie tylko mniej obco, ale także poważniej - nawet jeśli tylko na krótką chwilę.

Iraj obrócił się, utrzymując tę samą pozę.

- Powiedz mi, Safarze - rzekł całkiem poważnie. - Czy wyglądam na króla?

Safar przyglądał się mu uważnie. Nie doświadczył żadnej wizji, nie spadł grom z jasnego nieba, ale z głębi jego jestestwa wypłynęła świadomość. I, zupełnie nagle... wiedział.

Miał sucho w ustach, a jego głos zamienił się w skrzek.

- Będziesz królem, Iraj - oznajmił.

- Co takiego? - powiedział zaskoczony Iraj. - Ja tylko... - przerwał. Wtedy jego głos stał się szorstki i srogi. - O czym mówisz?

- Będziesz wielki jak król Alisarrian - odpowiedział Safar. - Widzę to... - postukał się w pierś - ...tutaj.

Ręka Iraj, w której trzymał miecz, opadła. Ostrze zazgrzytało o kamień.

- Nie szydź ze mnie - ostrzegł.

- Nie szydę.

- Mówisz o moim największym marzeniu - powiedział Iraj. - O stworzeniu królestwa tak wielkiego jak imperium Alisarriana.

- Wiem o tym - odparł Safar.

- Czy myślisz, że jestem szalony?

- Może. - Młody garncarz wzruszył ramionami. - Zapewne musisz być szalony.

- Czy widziałeś to w jednej ze swoich wizji? - zapytał Iraj.

- Jeszcze zanim tu przybyłeś - odparł Safar. - Widziałem, jak... nosisz koronę.

- Czy siedziałem na białym słoni? - zapytał Iraj, podrywając z zaskoczenia głowę.

- Tak - odpowiedział Safar. - Jechałeś na czele wielkiej armii. W mojej wizji skinąłeś na mnie. Iraj zbliżył się, jakby przyciągał go magnes.

- I powiedziałem ci, byś usiadł obok mnie - odparł. - I że to ty, Safarze, sprawiłeś, że wygrałem.

- Wygląda na to, że mieliśmy tę samą wizję - stwierdził Safar w odrętwieniu.

- Wierzyłem, że to tylko sen - odrzekł Iraj. - Pomyślałem, że mogło to być coś więcej, dopiero gdy spotkałem ciebie i usłyszałem twoje imię.

- W jakiś sposób - powiedział Safar - dostaliśmy się wzajemnie do naszych umysłów.

Iraj potrząsnął głową.

- To była twoja wizja - odparł. - Takie rzeczy nigdy mi się nie przydarzają.

- No cóż, mnie tak - westchnął Safar.

- Zachowujesz się, jakby to było przekleństwo.

- Nawet nie wiesz jak wielkie - odrzekł Safar.

- Ale... jeśli to, co mówisz, jest prawdą...

- To jest prawda - wtrącił się Safar. - Nieczęsto się mylę.

Iraj otoczył ręką ramiona Safara, przyciągając go bliżej.

- Zatem, gdy już będę królem - rzekł - ty staniesz się moim najbardziej zaufanym doradcą. Od chwili, gdy obejmę moje pełnoprawne miejsce na tronie, ty będziesz lordem Timurą.

Potem cofnął ramię i odstąpił, unosząc uroczyście miecz. Delikatnie opuścił ostrze ustawione na płask na głowę Safara, mówiąc:

- Ja, król Iraj Protarus, tak zarządzam.

Jego twarz jaśniała młodzieńczym zapałem. Emocje sprawiły, że głos drżał i załamywał się. Oczy wypełniły się łzami. Na jednym z policzków widniała smuga brudu. Stojąc tak w surowym, chłopięcym odzieniu i próbując przybrać bohaterską pozę, wyglądał bardzo komicznie.

Ale Safar się nie śmiał.

Po zaaranżowanej naprędce uroczystości Iraj dalej zwiedzał komorę, zwracając szczególną uwagę na wszelkie magiczne symbole i słoje.

- Czemu, twoim zdaniem, służyła ta jaskinia? - zapytał.

- Sądzę - odrzekł Safar - że używał jej Łowca Snów do objaśnienia przyszłości Alisarriana.

Iraj uśmiechnął się szeroko, mówiąc:

- Jakże właściwe miejsce, bym sam poznał przyszłość, przepowiedzianą przez własnego Łowcę Snów.

- Nie jestem Łowcą Snów - zaprotestował Safar. - Jedyne uczniem garncarskim.

- Garncarzem z wizjami - zaśmiał się Iraj.

Safar w dziwny sposób poczuł się urażony jego uwagą.

- Może zajęcie garncarza nie jest tak zaszczytne jak króla - powiedział - ale to szlachetne rzemiosło. Niektórzy twierdzą nawet, że to sztuka pobłogosławiona przez bogów..

- Przepraszam, jeśli powiedziałem coś, co cię zasmuciło - odparł Iraj. - Jedyne rzemieślnikami, których znam, są płatnerze. Ale, tak jak mówisz, wiadomo, że garncarze są błogosławieni, ponieważ pracują w tym samym materiale, z którego stworzyli nas bogowie. Czy nigdy nie pomyślałeś, że to może być powodem twoich wizji? Może przy narodzeniu otrzymałeś podwójną porcję błogosławieństwa.

- Może - odrzekł Safar. - Chociaż mojemu ojcu nigdy nic takiego się nie przydarzyło.

- A skąd wiesz? - zapytał Iraj.

- Bo tak zareagował, kiedy... - Safar zamilkł.

- Kiedy co? - naciskał Iraj. - Co się przydarzyło?

Safar potrząsnął głową, odmawiając odpowiedzi.

- Lepiej nie mówić.

- Nie powinniśmy mieć przed sobą tajemnic - powiedział Iraj. - Zwłaszcza po tym, co się stało.

„Ma rację” - pomyślał Safar. Ale zamiast wszystko wyznać rozgniewał się.

- Nic się nie stało! - warknął. - Po prostu jeden głupek opowiedział drugiemu kretyńską

historyjkę. I tyle.

Safar wypadł na zewnątrz, przeciskając się przez zasłone wody u wejścia do jaskini i gramoląc w górę po skałach, aż doszedł do łąki, gdzie pasły się kozy.

Iraj mądrze odczekał chwilę, zanim poszedł w jego ślady. Safar miotał się po łące, kopiąc Bogu ducha winne kamienie i wrywając z korzeniami przeszkadzające mu rośliny. Nawet uderzył lamę, kiedy ta podeszła i potarła go pyskiem, żeby sprawdzić, co się dzieje. Zwierzę odskoczyło zaskoczone ciosem. Safar zawsze traktował je łagodnie. Wpatrywało się w niego oskarżającymi oczami, a potem odwróciło i oddaliło się w ten przesadnie niedbały sposób, który lamy zachowują na chwilę, kiedy nie chcą pokazać, że zostały obrażone.

Na drodze lamy stanęła koza. Lama zaatakowała ją tak, jakby jeszcze nigdy na jej drodze nie stanęła tak nieznośna przeszkoda. Koza uciekła w pośpiechu, a potem wzięła odwet za poniżenie trykając rogami mniejsze zwierzę, które z kolei postąpiło tak samo. Zanim Safar się spostrzegł, całe pole zapełniły rozwścieczone zwierzęta, trykające się nawzajem i podskakujące wokół jak uczniowie fakira próbujący po raz pierwszy przejść przez poletko rozżarzonych węgli.

Do czasu pojawienia się Iraja, Safar śmiał się tak głośno, że zapomniał o sprzeczce. Iraj nie podejmował tematu, tak więc wkrótce obaj zajęli się dzikimi zabawami i przygodami właściwymi dla kozich pastuszków pozostawionych samym sobie w górach.

Ale czuli, że problem zawisł między nimi, dręcząc ich swą obecnością.

Kiedy Badawi ujrzał szeroki szlak karawan prowadzący ku góróm, zsunął się ze swojego osła i opadł na kolana. Walił się w piersi i wyrzaskiwał hosanny ku niebiosom za uratowanie życia.

Tego ranka, gdy Sarn wysłał go na zwiad, handlarz koni wiedział, że ów dzień będzie jego ostatnim - chyba, że zdarzy się cud. Szczęście Badawiego wydawało się go porzucić po tym, jak odkrył stare naczynie Timurów z Kyranii. Od tamtego czasu ujechali już ponad czterysta mil i nie znaleźli nawet koziej ścieżki, a tym bardziej prawdziwego szlaku karawan, prowadzącego przez Łańcuch Bogów.

Kiedy wyśpiewywał na chwałę wszelkich bóstw, o których mógł pomyśleć, nagle dojrzał kupkę wielbłądziejego łajna o parę stóp dalej. Jego serce podskoczyło z jeszcze większej radości i - wciąż na kolanach - podpełził bliżej i przełamał na pół wyschnięty na słońcu placek, odsłaniając jego wciąż wilgotne wnętrze.

Właśnie wtedy podjechał Sarn, jako że kolumna bandyckich demonów podążała tuż za Badawim. Kiedy handlarz ujrzał go, poderwał się na równe nogi.

- Patrz, panie! - krzyknął, pokazując dwie pełne garście łajna, jakby było wielkim skarbem.

- Co trzymasz w rękach, ty plugawy człowieku? - warknął Sarn.

- Wielbłądzie łajno, o panie - odparł Badawi, tańcząc z radości i rozrzucając je po ziemi. -

Bogowie powiedli twojego bezwartościowego niewolnika przez tysiąc mil wśród dziczy, by odkryć tę właśnie rzecz, którą kazano ci szukać!

- Czyś ty oszalał, człowieku? - zapytał Sarn. - Czego ja mogę chcieć od wielbłądziego łajna?

Badawi wydawał się nie słuchać. Zobaczył jeszcze więcej kupek i podbiegał do nich, skacząc od placka do placka niczym tłusta ropucha, podnosząc łajno i wyrzucając je w powietrze. Krzyczał przy tym:

- Chwalmy bogów!

W tej chwili pojawił się Giff.

- Co jest z tym człowiekiem? - zapytał.

- Sądzę, że zbyt mocno na niego naciskaliśmy - odpowiedział Sarn. - Wydaje się, że od napięcia postradał zmysły. - Westchnął. - Przypuszczam, że już nam się do niczego nie przyda. Możesz go zabić, Giff, jeśli chcesz. Tylko bądź dobrym demonem i nie mów mu, że ja ci tak powiedziałem.

Giff uśmiechnął się szeroko i zaczął wyciągać miecz. Ale Badawi podsłuchiwał ich. Dopadł do demonów, a jego gniew na chwilę przewyciężył strach.

- Zabić mnie? - zakrzyknął. - Po co mielibyście robić tak głupią rzecz? Znalazłem wasz szlak przez góry, prawda? - Badawi wskazał na szeroką drogę wijącą się ku wzgórzom. - Tam leży Kyrania! - wrzasnął. - Tam leży Dolina Obłoków!

Badawi zaperzył się nadmiernie, pobudzony odkryciem. Jego złość graniczyła wręcz z histerią.

- Nigdy nie odkrylibyście tego sami! - krzyczał. - Tylko ja, Badawi, mogłem dokonać takiego czynu. A poza tym, czyż właśnie przed chwilą nie pokazałem wam znaku, że nie dalej niż trzy lub cztery dni temu przeszła tędy karawana? - Wskazał brudną ręką poznaczone łajnem szlak. - Czy też przypuszczacie, że te wszystkie zwierzęta po prostu wędrowały sobie w samym sercu pustkowia w poszukiwaniu wygodnego miejsca, żeby się zesrać?

Gdy tylko wybuch Badawiego się skończył, zdał sobie sprawę z tego, co uczynił. Zdenerwowanie wyparowało, a on sam opadł na kolana.

- Wybacz mi, panie - błagał. Uderzył głową o ziemię i posypał głowę pyłem. - Ten nic nie znaczący żuk-niewolnik obraził cię, panie. Odetnij dłoń, jeśli cię to zadowala. Wyrwij ten żalostny język, który miał bezmyślnie, kiedy umysł podniecił się zbyt odkryciem. Tylko oszczędź mnie, panie. Oszczędź mnie, a ja będę służył ci wiernie, zadowolając się przez resztę mojego życia okruciami twego jedzenia i batożeniem, zamiast pochwał.

Gdy Badawi skomlał, Giff trącił swojego wierzchowca, by podjechać bliżej i zbadać znaki.

- Nie podoba mi się to, ale muszę przyznać - oznajmił, kiedy handlarz końmi już skończył i zamienił się w szlochającego wrak - że ten człowiek ma rację. Jakiś czas temu przechodziła tędy karawana.

Badawi otarł oczy i wysmarkał nos w rękaw.

- Widzisz, panie - rzekł - mówiłem prawdę. Nawet Giff tak mówi. A obaj wiemy, jak bardzo mnie nienawidzi. Oczywiście, zasługuję na to, chociaż...

- Zamknij się, człowieku! - powiedział Giff. - Jeśli jeszcze raz ośmielisz się skalać moje imię, wypowiadając je głośno, obetnę ci głowę i zrobię z niej nocnik!

Badawi skłonił się, drżąc.

- Proszę, panie - powiedział - nie chciałem cię urazić.

Sarn zignorował wymianę zdań. Nie był zainteresowany szerokością szlaku, ani jak daleko sięga. Teraz, kiedy przyjrzał się mu, wyglądał bardziej na szeroką drogę wydeptaną do gołej skały przez

stulecia użytkowania. Przypatrywał się górom przykrytym śnieżnymi czapami, zastanawiając się, jak bogaty łup może przynieść mu karawana.

Jakby czytając w jego myślach, Badawi odezwał się:

- Zgaduję, panie, że wyruszyli z Caspanu. - Wskazał na północny zachód, mniej więcej w kierunku Caspanu. - Pan karawany bez wątpienia kieruje się przez Łańcuch Bogów ku Walarii. - Pokazał na południe, za góry. - To podróż licząca kilka tysięcy mil, oczywiście licząc w tę i z powrotem. Jak już bez wątpienia założyłeś, panie, żaden kupiec nie wyprawi się tak daleko, nie spodziewając się uzyskania niezłego zysku jako rekompensaty za wysiłek. Przechwyć karawanę, panie, a zdobędziesz fortunę.

Giff przysłuchiwał się uważnie, zdając sobie sprawę, że wszystko, co powiedział handlarz końmi, było prawdą. Dodatkowo spekulując, zdał sobie sprawę z faktu, który ucieszył go jeszcze bardziej.

Strzelił szponami, chcąc zwrócić na siebie uwagę Sarna, a kiedy już mu się udało, powiedział prosto z mostu:

- Czy już teraz z nim skończyliśmy?

Badawi gapił się na nich.

- Jak to: „Czy już z nim skończyliśmy”?

Oba demony zignorowały go.

- W zasadzie chyba już z niego nie będzie pożytku - odrzekł Sarn. - Znaleźliśmy to, czego chciał król Manacia oraz to, czego chcieliśmy my. I zaraz po rozbiciu karawany możemy wracać do domu.

- Skończyliście z kim? - naciskał Badawi. - O kim mówiliście, panowie?

- Obiecałeś, że będę mógł go zabić - wskazał Giff.

- Czy macie mnie na myśli? - zapytał Badawi. Wtedy znów zaczął szlochać. - Nie mnie - wyjąkał.

- Nie możecie o mnie mówić!

Sarn ściągnął ze szponiastej ręki wielki, wysadzany klejnotami pierścień. Rzucił go w stronę Giffa, który złapał go w powietrzu.

- Wykupuję moją obietnicę - rzekł Sarn. - Musiałem go znosić więcej czasu niż ty. Musiałem udawać, że nie brzydzi mnie aż tak bardzo. - Zgrzytnął kłami. - Niezdrowo dla demona ukrywać takie uczucia.

- Zrobię wszystko, panie - łkał Badawi. - Wszystko.

Giff zaśmiał się grzmiąco i wcisnął pierścień na palec.

- Uważaj obietnicę za zwróconą - powiedział.

Sarn szturchnął wierzchowca, by ten podszedł bliżej do Badawiego. Pysk rumaka skrzywił się z obrzydzeniem, gdy dobiegł go zapach człowieka. Bestia prychnęła ze strachu, ale Sarn uspokoił ją, zatapiając w żebra ciężki obcas.

- Spójrz na mnie, człowieku - powiedział demon.

- Nie, nie, nie będę patrzył - krzyczał Badawi, próbując odpełznąć od niego.

- Powiedziałem, patrz! - zagrzmiał Sarn.

Badawi przypadł do ziemi, jakby warknięcie demona było ciosem. Potem powoli podniósł wzrok. Duże, żółte oczy patrzyły na niego z góry. Sarn machnął ręką, a ciało handlarza końmi nagle zeszywniało. Badawi nie miał już własnej woli, ale wciąż myślał i się bał.

- Nie krzywdź mnie, panie - skrzeczał.

- Nie zamierzam, człowieku - odparł Sarn. - Nie skalałbym swych rąk twoją tchórzowską krwią.

Nie. Otrzymasz śmierć, na jaką zasługujesz, człowieku. Śmierć, o której musieli zdecydować bogowie, albo nie pomyślałbym o niej tak szybko.

- Proszę, panie - błagał Badawi.

- Cisza! - krzyknął Sarn.

Badawi nagle oniemiał.

- Weź ten nóż - powiedział Sarn, podając mu ornamentowany sztylet. Badawi, wbrew swojej woli, wyciągnął palce i chwycił nóż.

Sarn wskazał na ziemię.

- Wykop tu grób dla siebie. Niech będzie głęboki, tak by jakiś nie spodziewający się niczego szakal nie otruł się twoim zgniłym ściernem. I niech będzie szeroki, tak by pomieścił twoje zwłoki, gdy gazy rozedmą cię po śmierci.

Badawi, niczym nakręcana zabawka, kucnął i zaczął kopać.

- Kiedy już skończysz, człowieku - powiedział Sarn - wejdź do grobu i wytnij sobie flaki. Chcę, żebyś to robił powoli, tak byś zaznał tyle bólu, jakbym to ja cię rozcinał.

Odjechał, śmiejąc się.

Umysł Badawiego wrzeszczał: „Nie, nie, nie zrobię tego!”

Ale mężczyzna dalej kopał, złościąc twardą glebę nożem, wybierając krwawiącymi palcami ziemię i skały. Nie mógł zwolnić tempa, a tym bardziej przestać. I wiedział, że gdy tylko przestanie, nie będzie miał innego wyjścia, jak wypełnić resztę wyroku Sarna. Jak mu rozkazano, odbierze sobie życie - powoli i tak boleśnie, jak tylko zdoła opętany duch.

Naszła go szaleńcza myśl. To wszystko przez wielbłąda. To wtedy po raz pierwszy opuściło go szczęście. Kiedy zakochał się w wielbłądzicy i ją ukradł.

Pomyślał: „Lecz moja Sava była tak pięknym zwierzęciem. Biała, taka biała...”

Biała jak śniegi na Łańcuchu Bogów.

Iraj wielokrotnie wracał do jaskini w ciągu następnych paru dni. Szedł tam samotnie, nigdy nie uprzedzając o swoim zamiarze. Nie wspominał też o tym, gdy wracał. Chociaż nigdy nie zdradzał, co tam robił, za każdym razem, gdy się pojawiał, wydawał się wyższy, pewniejszy siebie, a jego oczy patrzyły władczo.

Safar powrócił tam tylko raz. Również poszedł tam samotnie. Pewnej nocy, bardzo późno, ponownie przeżył koszmar o tancerzach, którzy zginęli podczas wybuchu wulkanu. Kiedy już się uspokoił, a jego umysł rozjaśnił, przypomniał sobie coś, co wcześniej znalazł w jaskini. Upewnił się, że Iraj śpi, a potem poszedł do jaskini, do komory ze skalną półką i starymi słojami. W kącie stało roztrzaskane naczynie, które zwróciło jego uwagę ze względu na starodawne magiczne symbole wymalowane na skorupie. Rozłożył na posadzce odłamki, próbując od niechcienia je zrekonstruować.

Safar trzymał pochodnię wysoko, próbując przyjrzeć się prawie ukończonej układance. Tym razem jego zainteresowania nie przyciągały same symbole, ale to, co przedstawiało naczynie. Był to okrągły słoje, ukształtowany na podobieństwo świata, z małym otworkiem na korek. Na naczyniu namalowane były ważniejsze elementy, które obejmowały głównie oceany i czterech bogów-żółwi niosących lądy. Tutaj, na Morzu Środkowym, znajdował się Esmir - co w starożytnych językach oznaczało po prostu ląd albo ziemię. Na północy widniał Aroborus, kraj lasów. Na południu leżał Raptor, kraina ptaków. Ostatni był Hadin, ziemia ognia. Safar bardzo dokładnie przyjrzał się ułożeniu, w umyśle sklejjąc naczynie. Na globusie Hadin znajdował się po przeciwnej stronie

świata - dokładnie naprzeciwko Esmiru.

Pochylił się niżej, przypatrując dużemu odłamkowi, na którym był Hadin. Był to właściwie wielki łańcuch wysp, a nie pojedynczy kontynent. Na największej wyspie widniał obrazek przedstawiający stożkową górę z twarzą potwora zięjącego ogniem. Wspomnienie tego właśnie kawałka naczynia przywiodło Safara do jaskini. Zastanawiał się teraz, czy wielka wyspa Hadin była miejscem, które widział w swojej wizji. Jeśli w ogóle była to wizja.

Poczuł się ignorantem. Zawsze był dumny ze swojego umysłu, ale teraz cała wiedza o świecie i tym, co go stworzyło, wydawała się tak nikła, że równie dobrze mógł być owadem kontemplującym niebo. Łaknął większej wiedzy, co zasmuciło go, ponieważ zdał sobie sprawę, że osiągnął kres możliwości nauczycielskich Gubadana. Safar, przyglądając się potłuczonemu globusowi, zdał sobie sprawę, że wiele z poznanych informacji mogło być błędnych, albo opierać się jedynie na poruszających mitach Gubadana. Przykładowo, sam stary kapłan przyznawał, że nie ma żadnych złotych bogów niosących kontynenty. Powiedział, że lądy unoszą się na powierzchni oceanów bez żadnej pomocy. Mówił, że żółwi bogowie to symbolika, a nie nauka. Chociaż symbole używane z rozważą czasami kryły w sobie znaczenia, które mogły pomóc w rozwoju nauki.

Safar postanowił, że następnym razem, gdy będzie podróżował do Walarii ze swoim ojcem, znajdzie książki, które poszerzą jego wiedzę - chociaż nie miał pojęcia, o czym mają mówić. Jednakże na początku mógłby poszukać czegoś, co opowie mu o czterech kontynentach. A zwłaszcza o Hadinie.

Wyciągnął dłoń po odłamek z Hadinem. W chwili, gdy jego palce dotknęły skorupy, całe ciało przebiegł dreszcz, pozostawiając ciepłe, miodowe uczucie, takie samo, jak tej nocy, gdy ogniste cząsteczki spadały deszczem z nieba. Uczucie szybko znikło i wszystko z powrotem wróciło do normy. Wstrząsnął się, dziwiąc temu, co się przydarzyło. Wpatrywał się uważnie w odłamek naczynia, na którym była namalowana okrutna góra. Nie nadeszła jednak żadna odpowiedź. Po pewnym czasie poddał się i wetknął odłamek w sakiewkę z pociskami do procy, żeby zbadać go później jeszcze raz.

Wrócił do obozowiska i koców. Zasnął i tym razem o niczym nie śnił.

Przez następne parę dni czuł się w grocie coraz bardziej niepewnie. Chociaż nie pokazywał tego po sobie, odczuwał z niepokojem, że w powietrzu pulsowała magia i niebezpieczeństwo. W końcu znalazł wymówkę, by obaj powędrowali dalej, oddalając się na pewien czas od grotty. Powiedział Irajowi, że potrzebują mięsa do jedzenia. Iraj zgodził się, zawsze chętny do polowania.

Pozostawiając kozy i owcę, by tam się pasły, godzinami wędrowali wzdłuż szlaków poznanych śniegiem. Safar ustrzelił z procy kilka górskich pardw, a Iraj trafił z łuku zająca. Safar drażnił się z nim, ponieważ chłopiec wziął ze sobą ciężkie strzały, bardziej odpowiednie na niedźwiedzia niż na króliki. Pocisk rozdarł zwierzę tak, że nie nadawało się do niczego.

Iraj udawał, że go to zraniło.

- Właśnie ocaliłem nam życie, ty niewdzięczniku. Nie zauważyłeś tego złośliwego wyrazu jego oczu? Jak nic, to ludożerca!

- Ajajaj! - wrzasnął Safar. - Zając-ludojad! Uciekajmy! Uciekajmy!

I obaj pobiegli w dół ścieżki, jakby ich gonił tygrys.

Mniej więcej godzinę później dotarli do występu, który wychodził na główny szlak karawan. Przejście przez Pannę Młodą i Sześć Druhen nie było łatwe. Składało się ze skomplikowanej serii zygzakujących ścieżek, wijących się od pustyni do pierwszej przełęczy. Przełęcz wiodła do

sypiącego się mostku, który, jak niektórzy twierdzili, został zbudowany przez inżynierów Alisarriana. Mostek prowadził na następną górę. Jeszcze więcej przełęczy i mostów łączyło się w ostateczny szlak, który wiódł przez szeroki wierzchołek Szóstej Druhny, a potem opadał, by połączyć się z drogą prowadzącą przez samą Pannę Młodą. Następnie zmierzał w dół, do Kyranii, a potem prowadził jeszcze dalej.

Safar spędził wiele godzin, siedząc na występie i obserwując karawany. W szczycie sezonu, kiedy podróżowało ich nawet z tuzin, był to cudowny widok. Pewnego razu dostrzegł cztery karawany naraz przemieszczające się przez cztery różne wierzchołki. Nigdy nie widział oceanu, ale według niego karawany wyglądały jak niewielka flota, żeglująca przez morze obłoków i śnieżnych prądów. Kyranianie nazywali ten obszar Wysokimi Karawanami, ponieważ mówiono, że na całym świecie nie było tak wysokich gór, które by przemierzali podróżni.

Stojąc tam z przyjacielem i przyglądając się ośnieżonym szczytom, Safar poczuł nagłą radość. Oto wypatrzył pierwszą karawanę tej wiosny, schodzącą w dół ku Przełęczy Panny Młodej. Wskazał ją Irajowi, który nie przebywał w górach wystarczająco długo, by z łatwością rozpoznawać odległe obiekty. Kiedy chłopiec ze zdumieniem przyglądał się jej, obaj usłyszeli brzęk dzwonek, którego echo w osobliwy sposób niosło się w zimnym, suchym powietrzu. Wkrótce rozróżniali niewielkie figurki ludzi. Niektórzy szli pieszo, niektórzy jechali na końskich grzbietach, podążając za ciężko obciążonymi lamami i człapiącymi po śniegu wielbłądami. Kilka wielkich wozów zaprzęgniętych w woły dopełniało obrazu karawany.

- Pomyśl o wszystkich tych miejscach, w których już byli - powiedział rozmarzony Iraj - i wszystkich, które dopiero zobaczą. Sam dźwięk dzwonek sprawia, że chce się do nich przyłączyć, prawda, Safarze?

- A po co? - zapytał ostrym tonem Safar. - Jestem tu szczęśliwy. Po co miałbym żyć wśród obcych?

Iraj spojrział się na niego dziwnie.

- Masz wizję - zdziwił się - ale nie marzysz?

- Nie o takich rzeczach - odrzekł Safar. - Jestem absolutnie szczęśliwy tu gdzie mieszkam. Och, byłem w mieście raz czy dwa razy. Mój ojciec czasami jedzie do Walarii, żeby tam sprzedać swe najlepsze naczynia. Ale zawsze, kiedy z nim podróżowałem, chciałem wracać tak szybko, jak to tylko możliwe.

Iraj machnął w kierunku karawany i szerokiego widoku rozpościerającego się za nią.

- Ale tam jest prawdziwy świat, Safarze - oznajmił. - Tam wielcy mężowie nadają bieg historii. Czekają na ciebie zagadkowi ludzie i tajemnicze rzeczy. Przyznaję, twoja dolina jest piękna, ale tutaj nic się nie dzieje, ani nic się nigdy nie zdarzy. Czy nie czujesz, że coś cię tu omija?

- Nie - zadeklarował Safar. - Mam tu wszystko, czego chcę. I wszystko, czego kiedykolwiek zapragnę.

Iraj wzruszył ramionami, a potem rzekł:

- Zejdźmy, żeby się z nimi spotkać. Nigdy wcześniej nie rozmawiałem z panem karawany.

Do końca dnia zostało jeszcze wiele czasu, tak więc Safar nie widział powodu, by mu odmówić. Ponadto, o czym wiedziało każde kyrańskie dziecko, pierwszy, który powitał karawanę, dostawał w nagrodę poczęstunek i niewielkie podarki. Safar przeczesał teren wzrokiem, wybierając drogę, która przecięłaby trasę podróżników na skraju Przełęczy Panny Młodej. Wskazał ją i dwaj młodzieńcy ruszyli w dół, by spotkać się z karawaną.

Właśnie mijali skraj skalnego rumowiska, kiedy Safar zauważył jakieś poruszenie. Wyteżył wzrok i schwycił Iraję za ramię.

Z wąwozu wyłaniał się pędem szereg postaci kierujących się ku karawanie i podążających szeroką pętlą, dzięki czemu podróżni wciąż ich nie widzieli. Safar wiedział, że robią to rozmyślnie, by pozostać poza zasięgiem wzroku.

Najpierw pomyślał, że to bandyci. Osłonił oczy, by lepiej widzieć, aż grupa na przedzie znalazła się w jego polu widzenia. Zobaczył wyraźnie ich sylwetki, a widok był tak przerażający, że wykrzyknął.

- Co się dzieje? - zapytał Iraj. Wpatrywał się w postacie, wciąż niezdolny do rozróżnienia szczegółów.

- Demony! - wrzasnął Safar. - Zamierzają zaatakować karawanę!

Rodzi się czarodziej

Giff obserwował, jak karawana brnie przez śnieżną przełęcz. Dzwonki wielbłądów dźwięczały, woły stękały, a konie wydmuchiwały obłoki pary w mroźnym powietrzu. Nagle opadło go przecucie. Spojrzał na pozostałą dziewiątkę demonów na wierzchowcach, która czekała w zasadzce. Wyczuwał napięcie, ale byli zawodowcami. Nawet w ostatniej chwili dokonywali poprawek, sprawdzając broń i uprząż. To najlepsi spośród demonów Sarna, mający na swoim koncie wiele pomyślnych napadów.

Giffowi nie dodało to otuchy.

Coś było nie tak, ale nie wiedział dokładnie co. „Powiniem sam zabić tego człowieka” - pomyślał. Pozostawienie tego Sarnowi mogło przynieść im pecha. Powiniem nalegać na zatrzymanie swoich praw. Ale później pomyślał: „Nie bądź przesądny. Zawsze sam kształtowałeś swój los. Poza tym, co mogło pójść źle?”

Przypatrywał się żołnierzom na koniach, którzy strzegli jucznych zwierząt, i uzupełniającym karawanę zakrytym wozom. Ludzie byli dobrze uzbrojeni i wydawali się nieźle wyszkoleni. Na pewno podniosą alarm, ale nie to było źródłem niepokoju Giffa. Poprzedniej nocy Sarn wysłał najlepszego zwiadowcę do obozowiska karawany, by ten ukradł każdemu ze śpiących żołnierzy jakiś drobny przedmiot. Sarn użył tych rzeczy do stworzenia zaklęcia, które podczas ataku wywoła wśród nich zamieszanie i zamieni ich w tchórzy.

Jedynym obrońcą, którego zaklęcie nie obejmie, był pan karawany: duży, muskularny mężczyzna, którego Giff nie chciałby spotkać w walce. Spał z dala od swoich ludzi, w altance, do której zwiadowca nie mógł się zbliżyć ukradkiem. „I co z tego” - pomyślał Giff. Kiedy nadejdzie atak, pan karawany bez wsparcia żołnierzy szybko zostanie pokonany.

Plan był bardzo prosty: podwójna zasadzka. Najpierw Giff zaatakuje karawanę małymi siłami. To będzie dziki, bezlitosny atak mający na celu przerazić ludzi i poczynić wśród nich szkody.

- Bądźcie tak krwawi i przerażający, jak tylko zdołacie - powiedział im wcześniej Sarn. - Dobrze ich dla mnie rozmiękczyć.

Wtedy Sarn, uderzając z innego dogodnego miejsca, rzuci na karawanę pełne siły. Jak sądził Giff, cała akcja nie powinna zająć więcej niż kilka minut. Tak, to był dobry plan. Zmyślny plan, który gwarantował powodzenie. Ale dlaczego wciąż czuł się tak niespokojnie?

Jakby sam był obserwowany.

- To nie mogą być demony - powiedział Iraj. - Musiałeś się pomylić. Im nie wolno tu przebywać.

- No cóż, widocznie nikt im tego nie powiedział! - warknął Safar. - Sam zobacz! - Wskazał na potworne sylwetki ukrywające się w zasadzce poniżej. - Kimże mogą być?

Oszołomiony Iraj poszedł w ślady Safara, składając dłonie, tak by móc wyraźniej widzieć. Jego głowa odskoczyła w tył, kiedy w pełni pojął obserwowaną sytuację. Potem obrócił się, obejmując wzrokiem więcej elementów sceny.

- A niech to piekło pochłonie! - zaklął. - Masz rację. I popatrz! Jest ich więcej! Druga grupa podąża wzdłuż tamtego wąwozu.

Safar natychmiast ich spostrzegł. Szli znacznie większą grupą. Było tam ze trzydzieści demonów, a może nawet więcej. Obserwował, jak podkradają się w wąwozie o wysokich, ośnieżonych brzegach, który zwężał się u ujścia. Safar ujrzał, jak ich przywódca ściąga wodze swojego wierzchowca i daje znak pozostałym, by się zatrzymali. Grupa przystanęła, zmieniając szyk.

- Chyba wiem, co zamierzają zrobić - powiedział Iraj. Mówił dziwnie niedbałym tonem, jakby komentował interesującą taktykę opisaną w militarnym traktacie. - Pierwsza gromada zaatakuje karawanę, podczas gdy reszta pozostanie w ukryciu. Kiedy żołnierze w pełni pogrążą się w walce, wypadną z wąwozu i przetoczą się po nich jak walec.

Iraj opuścił dłonie.

- To niezły manewr - powiedział. - Zapamiętam go.

Sarn upewnił się, że jego demony są gotowe, rozmieszczając ich w oskrzydającym, krótkim szyku, tak by wąskie ujście wąwozu nie zmniejszyło siły uderzenia. Giff zajmował pozycję naprzeciw, kryjąc się za pokrytymi śniegiem głazami. Kiedy karawana wejdzie pomiędzy nich, Giff uderzy pierwszy, a wtedy spanikowani żołnierze odwrócą się, by stawić mu czoło. Wówczas Sarn wyskoczy z ukrycia, zamykając potrzask.

Dowódca bandytów odpiął swój miecz i wykonał w powietrzu kilka ćwiczebnych cięć. Krew śpiewała mu w uszach, kiedy demoniczne serce napełniało żyły bitewną żądzą. Za kilka chwil wszystkie bogactwa niesione przez karawanę według słów zwiadowców będą jego. Wtedy popędzi górskim szlakiem do Kyranii. Wątpił, żeby wycięcie w pień wszystkich mieszkańców tak odległej wioski sprawiło mu jakąś trudność. Sarn założył, że ludzie w Kyranii spodziewają się karawany. Niektórzy mogą nawet zdążyć w jej kierunku, by się przywitać, co oznaczało, że może nie mieć wystarczająco dużo czasu, by zatrzeć w śniegach ślady swej demonicznej obecności. Król Manacia rozkazał, żeby nie zostawiać za sobą żadnych świadków, tak więc Sarn musiał sprawić, by wyglądało to tak, że bandyci - ludzcy bandyci - uderzyli w karawanę. To samo robi z Kyranią. Może nawet dzięki temu zdobędzie trochę więcej łupów. Potem wraz ze swymi demonami wróci do domu, nie dręczony świadomością zaniedbania pozostawionego za plecami.

Sarn już wyobrażał sobie powitanie, jakie czekało go po powrocie. Przybędzie jako bohater, obładowany takimi łupami, że pozostałe klany bandytów będą domagać się, by przyjął je w swoje szeregi. A ponad wszystko, sam król będzie jego dłużnikiem. Sarn doszedł do wniosku, że król Manacia planował inwazję na krainy ludzi. Misja bandyty udowodniła, że jest to możliwe.

Właśnie zastanawiał się, czy powinien naciskać na króla, by ten nadał mu jakiś szlachetnie brzmiący tytuł, gdy nagle przyszło mu na myśl coś niepokojącego. Giff zapytał, czy król Manacia mógł skłamać na temat osłony, którą wyczarował, by ochronić ich przed klątwą Zakazanej Pustyni. A jeśli Sarn zbyt szybko odrzucił podejrzenie Giffa? Po zakończeniu misji Sarn zajmie znacznie ważniejszą pozycję wśród demonów niż miał poprzednio. Po tym, jak ośmielił się stawić czoło Zakazanej Pustyni i uderzył na znienawidzonych ludzi, trzeba będzie się z nim liczyć. A król nie utrzymał tak długo tronu dlatego, że był głupi, albo dzięki temu, że pozwolił rywalom żyć. Mógł uważać Sarna za jednego z takich rywali. W rzeczy samej król Manacia, który był potężnym magiem, mógł przewidzieć taką możliwość w swoich przepowiedniach. W takim wypadku chciałby osłabić Sarna już na samym początku. Jednym ze sposobów na to było kłamstwo o mocy osłony. Sarn na

miejscu Manacii sam by tak zrobił.

Jeszcze jedno: a jeśli klątwa nie zabijała od razu? A jeśli będzie żył na tyle długo, by wrócić do domu z informacją, którą chciał zdobyć król, a potem umrze przerażającą, dłużącą się śmiercią, jeszcze straszniejszą przez samą świadomość, że Manacia nigdy nie zamierzał nagrodzić go za wierną służbę? Przypominało to uderzająco sposób, w jaki Sarn potraktował tego człowieka, Badawiego. Po raz pierwszy współczuł handlarzowi końmi.

Wtedy pomyślał: „Jesteś głupcem, Sarn, to tylko nerwy przed bitwą”. Jeśli w powietrzu wisiała królewska zdrada, wyniuchałby ją na samym początku. Przywódca bandytów uważał się za najbardziej podstępного demona, który biegiłością w trudnej sztuce zdrady zaskoczyłby nawet króla.

Uspokoiwszy nerwy i przezwyciężywszy wszelkie zwątpienia, Sarn wyjrzał i zobaczył karawanę zbliżającą się do ujścia wąwozu.

Atak miał się zaraz zacząć.

Jego żółte oczy błyszczały oczekiwaniem.

Safar obserwował, jak mniejsza grupa demonów zbiera się do ataku. Jego umysł ogarnęło odrętwienie, a kończyny stały się dziwnie ociężałe. Kiedy przemówił, miał skrzeczący głos.

- Co zrobimy?

Iraj nie był wcale odrętwiały. Tragedia, która już za chwilę miała się rozegrać poniżej, wydawała się wywierać na nim przeciwny efekt, napełniając go wewnętrznym ogniem.

- Ostrzeżemy karawanę - odparł Iraj, a w jego oczach tańczyły iskierki. - Cóż innego?

Zanim Safar w pełni pojął odpowiedź, Iraj wypadł z kryjówki i zaczął pędzić w dół zbocza. Jego czyn zepchnął w cień wszelką ostrożność Safara. Zawrzała w nim krew i bez zastanowienia wyskoczył za Irajem.

Lecz zbiegając śladem drugiego chłopca w dół stromego wzgórza, obudziła się w nim myśl: „Ojciec mnie zabije”.

Karawana była niewielka i osłabiona trudami podróży. Szereg wędrowców rozciągnął się. Safar, zbliżając się, usłyszał szorstki głos pana karawany poganiający ludzi.

- Wasi ojcowie byli bezmózgimi kundlami - krzyczał mężczyzna. - Wasze matki to leniwe, skundlone suki. Dalejże, psy! Słuchajcie Coraleana! Mówię wam, jeszcze tylko jeden dzień podróży do Kyranii. Tam możecie iskać pchły i oblizywać swoje łyse jaja, tak jak to lubicie.

Safar usłyszał, jak wielbłąd beczy, a jeździec przeklina jego diabelski charakter. Pomyślał także, że dobiega go piskliwy, zagniewany kobiecy głos. „Ale to przecież niemożliwe. Kobiety prawie nigdy nie podróżują z karawanami!”

Wysilał obolałe płuca, chwytając powietrze. Nagłym zrywem zrównał się z Irajem. Obaj dopadli karawanę właśnie wtedy, gdy minęła ujście wąwozu. Najeźdźcy zobaczyli ich wcześniej. Safar i Iraj pomknęli ku żołnierzom.

- Zasadzka! - krzyczał Iraj. - Zasadzka!

Żołnierze reagowali powoli. Mieli tępe spojrzenia, a otwarte usta wyglądały jak dziury w pokrytych szronem brodach. Ale kiedy Safar i Iraj podbiegli, nagle ożywili się, ze strachem ściągając wodze koni. Wstrząśnięty Safar zdał sobie sprawę, że myśleli, iż to właśnie on i Iraj stanowią zagrożenie.

Safar w rozpaczy złapał za wodze najbliższego konia.

- Demony! - wykrzyczał w bezmyślną twarz żołnierza. - Tam!

Obrócił się, by ich wskazać i ujrzał, jak potworne postacie wyłaniają się z mgły, zmiatając obrońców karawany w pobliże wąwozu, gdzie czekały główne siły. Po raz pierwszy Safar usłyszał wojenny okrzyk demonów - przesywające, mrozące szpik w kościach zawrodożenie.

Otoczały go obrazy bitwy. Widział miecze i topory uniesione w szponiastych łapach, kusze wymierzone w cel, wystrzeliwane czarne strzały.

Żołnierz usiłował dosięgnąć go kopniakiem, jednocześnie odchylając się pod dużym kątem. Koń stanął dęba, a Safar odskoczył w bok, by uniknąć wierzgających przednich kopyt. Ciężka strzała z kuszy uwięzła w gardle zwierzęcia, które się przewróciło, a Safar usłyszał krzyk żołnierza zmiążdżonego wagą konia. Nigdy wcześniej nie był świadkiem takiego cierpienia.

Pozostali dwaj żołnierze obrócili konie i uciekli w popłochu.

- Stańcie do walki! - zawołał za nimi Iraj. - Stańcie do walki!

Ale jego krzyk wydawał się jeszcze powiększać ich panikę.

- Zasadzka! - dobiegł Safara ich wrzask. - Zasadzka!

Żołnierze wbili się w główną karawanę, powalając zarówno ludzi jak i zwierzęta. Wtem powietrze przecięły piski, które, jak Safar zdał sobie sprawę, musiały dobiegać z kobiecych gardeł. Krzyki zmieszały się z beczaniem zwierząt i rozpaczliwymi wrzaskami mężczyzn uciekających przed śmiercią.

Safar i Iraj wbiegli w centrum chaosu. Juczne zwierzęta pędziły wokół, ciągnąc za sobą jeźdźców i rozrzucając ładunki na śniegu. Wielbłądy wbiegły między wozy, przewracając je. Woły poplątały cugle. Wśród nich miało się sześciu żołnierzy, zadając histeryczne ciosy wszystkiemu, co się do nich zbliżyło, jakby lamy i wielbłądy były ich wrogami.

Wielki mężczyzna, pan karawany, przygalopował konno, machając mieczem i wykrzykując rozkazy. Wtem Safar usłyszał za plecami wycie nadciągających demonów. Dobiegło go odległe, miękkie plaśnięcie stali wgryzającej się w ciało. Potem rozległ się krzyk rannego mężczyzny.

To była jego pierwsza bitwa. Zstąpił na niego dziwny spokój. Wszystko wydawało się poruszać powoli, a zarazem szybko.

Ujrzał, jak krew plami śnieg.

Czuł plugawy zapach strachu, zmieszany z silnym odorem rozszalałych demonów.

Słyszał, jak ludzie krztuszą się i umierają.

Potem zamajaczył nad nim demon, unosząc się wysoko w siodle, by uderzyć mieczem. Obraz wydawał się bardziej snem niż rzeczywistością, a Safar nagle zaciekawiał się niezmiernie, zauważając bladą zieleń skóry demona, ćwieki na skórzanej zbroi, krótki pysk, ostre kły i małe, spiczaste uszy. Studiował go, ale nagle do głosu doszło szkolenie Gubadana. Umysł oczyścił się, a oddech zwolnił.

Odsunął się w chwili, gdy miecz opadał. Usłyszał, jak demon chrząka z zaskoczeniem wywołanym faktem, że chybił.

Safar zamierzył się na niego laską, ale ostrze demona przecięło ją. Nagle chłopiec odkrył, że trzyma jedynie masę drzazg. Gapił się osłupiały na bezużyteczną broń. Nie zginął wtedy tylko dlatego, że demon skierował wierzchowca w inną stronę, by stawić czoło nacierającemu strażnikowi karawany. Ściał jego głowę, zakręcił się, by znaleźć następnego i zniknął z pola widzenia Safara.

Safar słyszał przenikliwe ludzkie wrzaski i obrócił się, by zobaczyć, jak dwa demony atakują wóz ciągnięty przez woły. Wierzchowce stanęły dęba, a pazury demonów zdarły płótno, wystawiając na widok zbitą gromadę wystraszonych, wrzeszczących i próbujących odpędzić demony kobiet.

Stwór schwycił jedną z dziewcząt za włosy. Wył z radości, trzymając ją za długie czarne pukle i ciągnąc po śniegu. Zmarznięte skały zdarły odzienie i po raz pierwszy Safar ujrzał nagie ciało kobiety spoza wioski. Krzyknęła, kiedy ostra krawędź skały rozdarła jej skórę na nodze. Safar nagle zorientował się, że biegnie w ich stronę, mimo że nie ma nic do obrony, prócz potrzaskanej drewnianej laski.

Safar nie miał natury zabójcy. Przez całe życie wychowywano go w wierze, że wszelkie życie jest cenne, włącznie z życiem zwierząt przeznaczonych na pożywienie. Ale w tej chwili wypełniła go mordercza wściekłość, spowodowana w równej części pohańbieniem młodej kobiety, jak i zagrożeniem jej życia.

Gdy atakował, w jego umyśle pojawiły się słowa zaklęcia. Wyrecytował je:

Ja jestem silny.

Ty jesteś słaby.

Nienawiść to włócznia

Niech przebiję twoje tchórzliwe serce.

W myślach zamienił zrujnowane szczątki laski we włócznię. Miała doskonały kształt. Była ciężka, ale dobrze balansowała w jego ręku. Cofnął ramię, a potem cisnął laskę ze wszystkich sił. Zobaczył, jak w blasku dnia rozłupane drewno przekształciło się.

On to sprawił. W jakiś sposób spowodował, że rozłupane drewno stało się twardym, czarnym metalem. Jego dziełem był rozszerzający się, zabójczo ostry grot. Stworzył dzidę, która zdołała przebić skórzaną zbroję i grubą skórę demona, a potem rozszarpać jego serce.

Demon upadł, uwalniając dziewczynę. Wierzchowiec zawrócił szerokim łukiem, a siła rozpędu cisnęła ją w przód. Uderzyła w Safara. Powietrze ze świstem uciekło mu z piersi. Gdy oboje toczyli się po śniegu, dziewczyna objęła Safara ramionami z siłą wywołaną przez strach.

Safarowi wrócił oddech. Rozerwał jej uścisk, podrywając się. Widział przed sobą szaleństwo. Demony rąbały na prawo i lewo, zabijając bez różnicy i ludzi i zwierzęta. Ale wśród tego szaleństwa Safar dostrzegł, że panu karawany udało się zmobilizować grupkę, która zaczęła odpierać atak. Jego potężne ciało przechylało się na boki, robiąc uniki. Spiał konia, kierując się ku jednemu z demonów. Safar obserwował, jak inny demon natarł na niego z boku, zamierzając się toporem wojennym. Nim demon zdołał zadać cios, z powalonego wozu wyskoczyła wysoka postać.

To był Iraj!

Nogi chłopca rozwarły się jak nożyce, gdy wskakiwał na siodło za demonem. Potem ścisnął uda, przywierając do grzbietu wierzchowca z łatwością doświadczonego jeźdźca z równin.

Iraj objął jednym ramieniem głowę demona. Naparł, by ją odchylić, i zatopił sztylet w obnażone gardło.

Safar przekonał się wcześniej, jak trudno jest zabić demona.

Z gardła stwora spływała jasnoczerwona krew, ale demon sięgnął po Iraję, wysuwając szpony niczym kosy. Iraj zdążył na czas wybić się z siodła, wykonując salto i lądując na ziemi. Wstał i wyciągnął szablę. Zraniony demon stoczył się, a następnie ruszył na Iraję, znacząc śnieg deszczem krwi.

Iraj wystąpił naprzód, by stawić mu czoło, ale pośliznął się. Upadł twarzą w przód. Demon doskoczył do niego i uniósł topór, by zabić powalonego wroga, zanim z niego samego wycieknie życie.

Dla Safara czas zwolnił ponownie. Tym razem na pomoc nie pospieszyła mu magia. W jednej ręce pojawiła się proca, drugą wyjął ciężką glinianą kulę z sakwy z pociskami.

Czas ruszył, a topór demona zaczął opadać.

Czas zamarł ponownie, gdy Safar ładował procę i kręcił ją wokół głowy.

Puścił ją, zanim ostrze demona dosięgło celu. Kula uderzyła bestię prosto w usta. Safar zaklął, ponieważ celował w śmiertelny punkt pomiędzy oczami. Jego palce nagle zdrętwiały, jakby były zdrajcami, w chwili gdy szperał w poszukiwaniu jeszcze jednej glinianej kuli. Ale okazała się niepotrzebna.

Potwór osuwał się na ziemię... bardzo powoli... a potem przewrócił się w śnieg.

Demon próbował podnieść się na łokciu, ale Safar wyciągnął nóż i pobiegł, by go dobić.

Demon spojrzał na niego, mroząc go spojrzeniem dziwnych, żółtych oczu.

- Powiniennem sam zabić tego człowieka - powiedział. - I stąd ten pech.

Wtem z pyska buchnęła krew i legł martwy na plecach.

Safar był zbyt rozogniony bitwą, by zastanawiać się, co stwór miał na myśli. Podbiegł do Iraj, by pomóc mu wstać. Kiedy się schylał, na jego nie chronione niczym plecy padł wielki cień. Spojrzał w górę, myśląc, że ujrzy oblicze śmierci. Zalała go ulga, gdy zamiast pysku demona zobaczył wpatrzoną w niego brodatą ludzką twarz. Człowiek siedział na zwykłym koniu, nie na potworze z kłami i pazurami.

Wzrok pana karawany przesunął się z Safara na Iraj.

- Dziękuję za ocalenie życia, młodzieńcze - powiedział do Iraj. - Jeśli bogowie będą litościwi i Coralean przeżyje ten dzień, poznasz dokładnie, jak cenna jest dla mnie moja skóra.

Później spał rumaka ostrogami i rzucił się w wir walki. Ale teraz koło fortuny obróciło się. Ludzie gonili i zarzynali demony.

Ulga Safara trwała przez krótką chwilę, w której Iraj zerwał się na równe nogi.

- Jest ich więcej, Safarze! - krzyknął. - Jeszcze nie koniec!

Safar przypomniał sobie drugą, znacznie większą grupę, czekającą w wąwozie.

Zaledwie mrozące wspomnienie przebiło się przez muł konsternacji, Safar usłyszał przejmujące wycie obwieszczające drugi atak. Poderwał głowę i zobaczył, jak kolejne demony zaczynają wylewać się z ujścia wąwozu.

- Zatrzymaj ich! - wrzasnął Iraj.

Safar wpatrywał się w niego tępo. Czy jego przyjaciel oszalał? W jaki sposób miałby tego dokonać?

- Możesz to zrobić! - krzyknął Iraj. - Ja to wiem!

Nagle wszelkie pytania i strach rozplynęły się. Safar wyraźnie zdał sobie sprawę, że Iraj ma rację. Mógł ich powstrzymać.

Ponownie ścisnął procę. Znów sięgnął do sakwy. Ale jego palce, zamiast ciężkiej kuli, dotknęły fragmentu naczynia zabranego z jaskini. Tego odłamek, który nosił obraz Hadinu, krainy ognia. Wstrząs magii zacisnął palce chłopca.

Safar pozwolił instynktownie, by wiodła go chwila. Nie walczył z magią. Wyciągnął odłamek i ostrożnie włożył go do procy. Zakręcił nią nad głową. Oczy szukały celu. Ujrzał olbrzymiego demona prowadzącego atak z wąwozu. Ale nie chciał życia tej istoty. Jedna śmierć nic by nie zdziałała.

Musiał zabić wszystkich.

Jego oczy spojrzały w górę. Zauważył ciężki śnieg, przywierający do ścian wąwozu. W umyśle

zobaczył także zerodowaną powierzchnię łupka kryjącą się pod śniegiem. A później dostrzegł masę głazów, wiszącą ponad zamarzniętym zboczem, które przecinał wąwóz. Wiedział, co ma zrobić.

Rozkręcając procę, Safar ujrzał w umyśle odłamek skorupy. Zaczął recytować:

Stworzono cię w ogniu I w twoim wnętrzu

Ogień trwa.

Rośnie z iskiarki,

Zamienia się w płomień,

A potem w żar pieca.

A teraz ja cię uwalniam...

Leć wolny!

Leć wolny!

I wypuścił pocisk.

Sarn, wiodąc demony do walki, wiedział, że już przegrał.

W chwilę po ataku Giffa powietrze rozpalił nagły błysk magii. Nie kierowała się ku niemu, ale była tak silna, że zraniła jego zmysły. Strach zamienił serce w sopel lodu. „Z karawaną musi podróżować mag. Jak mogłem go nie zauważyć?” - zastanawiał się.

Potem zobaczył upadek Giffa, nad którym stanął człowiek - na dodatek zwykły wyrostek. Sarn wybałuszył oczy. To miał być ten mag?

Ale aury czystej mocy promieniującej od wyrostka, nie można było z niczym pomylić. Była tak silna, że zmiotła zaklęcie tchórzostwa rzucone przez Sarna. Ludzcy żołnierze już się mobilizowali. Część jego umysłu upierała się, że to niemożliwe. Żaden człowiek nie miał takiej mocy. Inna część oszacowała, że chłopiec, czy to możliwe czy nie, miał na zawołanie tyle magii, ile potrzebował.

Sarn ujrzał nagle, że jego jedyną nadzieją jest uderzyć, póki pozostał jeszcze element zaskoczenia. W każdej chwili pan karawany i jego żołnierze mogli zdać sobie sprawę, że w wąwozie wciąż czai się niebezpieczeństwo. Młody czarodziej mógł złapać Sarna i jego demony w pułapkę tej zbyt doskonałej zasadzki.

Jeśli szczęście mu sprzyja, zostanie tylko zabity. Jeśli nie, schwytają go. Będzie przeklęty, jeśli pozwoli sobie wpaść w brudne ręce człowieka.

Tak więc dał sygnał. Usłyszał, jak przyjaciele wyśpiewują wojenną pieśń. I dźgnął butami wierzchowca, przystępując do ataku.

Sarn, wypadając z wąwozu, zobaczył, że nastoletni czarodziej już działał, obracając procę wokół głowy i szukając celu. W tej chwili chłopiec spojrzał wprost na Sarna. Mróz popełził po kręgosłupie demona. Zupełnie, jakby chłopiec mierzył dla niego grób.

Wtem człowiek wypuścił pocisk, a Sarn roześmiał się, ponieważ dostrzegł, że chłopiec zbyt się pospieszył. Kula leciała wysokim łukiem, zamiast wprost ku niemu. Mag czy nie, osądził, ten chłopiec to tchórz. Strach nie pozwolił mu dobrze wycelować.

W tej chwili pocisk przeleciał nad jego głową, rozdzierając powietrze silnym strumieniem magii. Sarn zakrztusił się swoim śmiechem.

Chłopiec nie był tchórzem. Dobrze celował.

Ostatnią myślą Sarna było to, że Giff miał rację. Król kłamał.

A teraz kłamstwo miało kosztować Sarna życie.

Safar uśmiechnął się, kiedy odłamek pozęglował nad głową demona.

Nagle, w samym środku walki, wybuchnął kulą płomieni. Gorąca fala uderzeniowa była tak intensywna, że osmalila mu twarz. Ale nie schował się. Zamiast tego obserwował, jak gorejąca kula wznosi się ku wielkiemu śnieżnemu nawisowi, który znajdował się nad ujściem wąwozu. Pocisk pozęglował dalej, niż chłopiec potrafił wystrzelić. Zauważył to z niedbałym zainteresowaniem, bez zdziwienia.

Safar czuł, jakby stał o kilkanaście stóp od swojego ciała, spokojnie obserwując swoje reakcje, a także trajektorie płonącej kuli. Jego oddzielna jaźń z rozbawieniem powitała uderzenie kuli magicznych płomieni w zmarznięty występ. Jeszcze śmieszniejsza była dzika radość w oczach chłopca, który to wywołał.

Eksplozja wstrząsnęła występem. Safar z niejakim zainteresowaniem rozważał, czy siła wybuchu będzie wystarczająca.

Kiedy zmarznięta masa zaczęła odpadać, pomyślał: „Hmm. Tak, wystarczy... ale czy pojawi się efekt, który chciałem osiągnąć?”

Masa uderzyła w jeszcze jeden występ znajdujący się poniżej.

A Safar zastanawiał się w tym czasie: „Śnieg i lód rozpadnie się. Ale co z łupkiem? Czy jeśli roztrzaska się i on, waga całości stworzy jeszcze większą siłę?”

Odpowiedzią była lawina.

Łupek, lód i śnieg grzmotnęły w demony, przywalając je w trakcie ataku.

Kończąca się fala śniegu, lodu i skały dopadła bandytów od tyłu, pożerając postacie z przerażającym głodem. Potem wszystko zasnuł ogromny biały obłok.

Safar stał nieruchomo, czekając. Wtem lawina zamarła, a wokół zapadła cisza pochłaniająca wszystko jak zimny, oślepiający obłok.

Mgła przerzedziła się i jedyną rzeczą, którą w nagłym, jaskrawym świetle słońca zobaczył Safar, była szeroka, biała przestrzeń biegnąca do krawędzi nagich ścian klifu przecinanego przez wąwóz.

Safar zadowolony skinął głową. „Eksperyment przebiegł niezwykle sprawnie” - pomyślał. Potem, wciąż jako zimny obserwator, zaczął zastanawiać się nad sobą. Był chłopcem, który właśnie zabił te wszystkie żyjące stworzenia. Oczywiście, były demonami i zasługiwały na śmierć, ale mimo wszystko...

Mimo wszystko.

Nagle ktoś zaczął klepać go po plecach. Safar odwrócił się i odkrył, że to Iraj bełkocze gratulacje. Pierwszym wrażeniem, które przebiło się do odrętwiałego wnętrza Safara była irytacja.

Pchnął ramię Iraja.

- Przestań - powiedział. - To boli.

Iraj przestał. Safar był zaskoczony, ponieważ w twarzy przyjaciela wyczytał zarówno radość, jak i lęk.

- Zrobiłeś to, Safarze, zrobiłeś! - krzyknął Iraj. - Zabiłeś ich wszystkich!

Odrętwienie ustąpiło jeszcze bardziej. Safar zniechęcony przeraził się.

- Cicho - rzekł. - Ktoś cię jeszcze usłyszy.

- No to co? - spytał Iraj. - Wszyscy powinni usłyszeć.

Safar ścisnął rękę Iraja.

- Przrzeknij, że nic nie powiesz - błagał.

Iraj potrząsnął głową, oszołomiony prośbą.

- Przysięgnij - nalegał Safar. - Proszę!

Po dłuższej chwili Iraj skinął głową.

- Przysięgam - powiedział. - Twoja prośba to szaleństwo, ale przysięgam, że nic nie powiem.

Wtem Safara uderzyła fala znużenia, wielka jak lawina. Iraj złapał go, gdy pod chłopcem ugięły się nogi. Potem wessała go ciemność i nic już nie pamiętał.

Ciemność zamieszkiwały straszliwe koszmary.

Safar śnił, że demoniczni jeźdźcy gonią go po skalistej równinie. Biegł tak szybko, jak zdołał, przeskakując grzbiety skał, a nawet całe kaniony, uchylając się przed spadającymi głazami. Przeskakiwał nad grzmiącymi lawinami. Niebo kipiało od burzowych chmur, a krajobraz oświetlało krwistoczerwone światło słońca. I choćby pędził, ile sił w nogach, jeźdźcy byli szybsi.

Nagle zobaczył, że jest nagi. Wciąż biegł, ale teraz ze strachem mieszał się i wstyd. Demony osaczały go, napierając z boków. Ich przenikliwe zawrodozenie wysysało z jego głowy wszelkie myśli, aż pozostało tylko przerażenie. Jeźdźcy cisnęli włócznie, a Safar ujrzał, że były to pociski trzeszczących błyskawic. Uderzyły, paląc, a jego ciało skrzyły spazmy wywołujące okropnie, bolesne wstrząsy.

Potem demony znikły, a Safar biegł po miękkiej trawie. Słońce było radośnie żółte, a nagie ciało owiewał delikatny wietrzyk. Przybiegł do niecki, gdzie Naya i pozostałe kozy piły słodką wodę ze strumyka. Nagle poczuł, że ma sucho w ustach. Ukląkł pomiędzy kozami, by ugasić palące pragnienie.

Naya powiedziała do niego:

- Coś ty zrobił, chłopcze?

- Nic, mamusku - odparł Safar.

Ale ona rzuciła w jego serce błyskawicę, a to kłamstwo bolało go bardziej, niż potrafił znieść.

Pozostałe kozy zebrały się wokół, becząc oskarżająco.

- On zabijał - powiedziała jedna.

- Nasz Safar? - zapytała druga.

- Tak - odparła inna. - Nasz Safar zabijał.

- Czy to prawda, chłopcze? - spytała Naya z obrzydzeniem w głosie.

- Wstrząsające - oznajmiły pozostałe kozy.

- Ale oni atakowali karawanę - zaprotestował.

- Och, Safarze - rzekła Naya. - Tak się za ciebie wstydę. - Tryknęła go rogami, aż upadł. Ostre kamienie wbiły mu się w pośladki. - Przypuszczam, że używałeś magii - stwierdziła Naya.

- Nic nie mogłem na to poradzić, mamusku - wyznał. - Naprawdę nie mogłem.

Wtedy Naya stanęła na tylnych nogach i zamieniła się w Queterę, jego ciężarną siostrę. Miała na sobie długą, białą szatę, obcisłą na brzuchu, w którym kryło się nowe życie.

- Naya mówi, że zabijałeś - powiedziała siostra. - I używałeś w tym celu magii.

Nic nie odpowiedział.

- Spójrz na mnie, Safarze - rzekła siostra.

- Nie mogę - odparł. - Wstydę się.

Wskazał na ziemię. U jej stóp leżały zwłoki demona.

- Czy to ty zrobiłeś, Safarze? - zapytała.

- Nie miałem wyboru, Quetero! - wykrzyknął. - Zabijali ludzi. - Wskazał ponownie na demona. -

Zamierzał zabić dziewczynę.

Nagle twarz Quetery złagodniała.

- Biedny Safar - powiedziała. - Takim był łagodnym chłopcem. Ale teraz znalazły cię przemoc i śmierć. I mogą już cię nigdy nie opuścić.

Safar jęknął i upadł na ziemię. Usłyszał, jak jego siostra podchodzi bliżej. Poczł jej perfumy, kiedy uklękała, by go pocieszyć.

- Pozwól, że zabiorę cię do domu, Safarze - rzekła.

Próbował wstać, ale nie mógł się podnieść. Jego członki zdrętwiały i potrafił tylko jęczeć.

Potem zimna woda dotknęła jego skroni. Miękki, wilgotny materiał wytarł mu twarz, a on poczuł, jakby ścierano z niego wszystkie grzechy.

Chciało mu się pić. Na bogów, jaki był spragniony! Otworzył usta. Wpłynęło w nie chłodne mleko, nie woda, a on chleptał je jak głodny kociak.

- Safarze - usłyszał głos, delikatny i kojący jak mleko. - Safarze - dobiegło go ponownie.

Wypłynął z ciemności i odkrył, że wpatruje się w niego śliczna twarz. Ciemne oczy w kształcie migdałów wypełniało słodkie zatroskanie. Długie czarne włosy opadały niczym jedwabny szal. Dojrzałe czerwone usta ułożyły się w uśmiech odsłaniający zęby tak białe, jak Księżyc Śniegu.

- Kim jesteś? - wymamrotał, osłabiony.

Uśmiech stał się jeszcze słodszy.

- Jestem Astarias - odparła dziewczyna.

- Czy ja cię znam? - zapytał.

Zaśmiała się. Śmiech brzmiał jak odległa muzyka.

- Znasz - odparła. - Jestem dziewczyną, której uratowałeś życie.

- A więc nie jesteś moją siostrą - odparł.

Zaśmiała się ponownie. Jej śmiech wypełniało zmieszanie.

- Nie. Nie jestem twoją siostrą. Jestem Astarias.

- A więc dzięki za to bogom - powiedział.

I zapadł w głęboki, spokojny sen.

Umowa

Kiedy karawana wkroczyła do Kyranii, Safar dowiedział się, jak się czuje bohater.

Wraz z Irajem i Coraleanem jechał na przedzie. Dosiadali najlepszych koni pana karawany. Rumaki stapały, wysoko unosząc kopyta. Okrywały je malowane pancerze, a w ich grzywy i ogony wpleciono paciorki. Za nimi podążała karawana osłaniana przez tych żołnierzy, którzy przeżyli. Rozbrzmiewały dzwonki, trzepotały kolorowe proporce. Powietrze niesło woń cennych towarów z zamorskich krain. Z przodu biegł chłopiec, niosąc na palu nadzianą głowę demona. Żółte oczy potwora pozostawały otwarte, wpatrując się w dal, a rozwarty pysk ukazywał kilka rzędów zakrwawionych zębów.

Safar czuł się jak uczestnik dziwnego, barbarzyńskiego snu. Bitwa wydawała mu się odległa i nierealna. Widział jednak krwawą głowę podskakującą na kiju. Wspomnienia o walce były niewyraźne, co przyczyniało się do ogólnego wrażenia snu. Czuł się tak, jakby to nie on, ale ktoś inny rzucił wielki czar wywołujący lawinę. W jego żyłach nie krążył nawet ślad mocy, którą sobie przypominał. Tego ranka, zanim karawana wyruszyła w podróż, Safar po cichu próbował zaczerpnąć nieco owej mocy. Ale albo ta się go wyrzekła, albo, jak pomyślał, może wcale nie istniała. Może lawina była tylko przypadkiem, demony zabił zbieg okoliczności, a nie Safar Timura.

Okrążyli ostatni zakręt. Wtedy opanowało go podniecenie, a wszelkie introspekcje znikły. Safar zobaczył, jak jeden z braci Ubekian stoi na starym, kamiennym łuku, który tworzył wejście do wsi. Z wielkim zadowoleniem ujrzał, jak oczy osiłka rozszerzają się ze strachu, gdy ujrzał głowę demona. Chłopiec obrócił się i popędził, znikając z pola widzenia oraz wyrzaskując wieści o przybyciu karawany.

Iraj pochylił się w stronę Safara. Jego twarz promieniowała dumą. Wskazał na radośnie powiewające wstążki przystrajające wszystkie drzewa wzdłuż drogi. Zaczął coś mówić, ale z przodu dobiegła ich ogłuszająca muzyka.

Coralean, uśmiechając się, wygiął w łuk usta ukryte wśród brody.

- Dobrze, że przyjaciele i rodzina należycie cię witają - powiedział. - To odpowiednie powitanie młodych bohaterów.

W ciągu dwóch dni po bitwie ludzie opatrzyli rannych, nareperowali szkody, a także umyli i owinęli zmarłych w białe płótno. Zwłoki załadowano na wozy, odkładając ceremonie pogrzebowe na później. Kiedy Safar odsypiał efekty bitwy, Coralean wysłał do Kyranii wieści, zapewniając wszystkich, że młodzieńcy są bezpieczni i wyszli z zamieszania bez szwanku. Iraj zachował przytomność umysłu na tyle, by powiedzieć Coraleanowi o stadzie pozostawionym na górskiej łące, tak więc posłaniec zaniósł do wsi i tę wiadomość. Mieszkańcy wysłali chłopca, który zebrał kozy i lamę.

Kiedy Safar w końcu się obudził, po Astarias nie pozostał ślad. Iraj powiedział, że wróciła do wozu, do pozostałych kobiet. Safar tęsknił za nią, chociaż poczuł wstrząs, kiedy Coralean

poinformował go, że są wiezione na sprzedaż do domów publicznych w Walarii.

- Gdyby nie ty i twój odważny przyjaciel - rzekł Safarowi - żony Coraleana nie tylko straciłyby kochającego męża, ale też zubożałyby. Nie umiałyby się sprzedać nawet za tyle, by kupić miszkę jęczmienia i ryżu, chcąc opędzić się od głodu. A jeśli chodzi o Astarias, to wraz z pozostałymi siostrami rozkoszy sprzeczały się gorąco o to, która z nich zajmie się tobą, aż przyprawiły biednego Coraleana o ból głowy. Jedyne spory kubek brandy mógł go wyleczyć.

Jęcząc, potarł obolałe skronie.

- Ale lekarstwo, jak zwykle, ponownie przyprawiło twojego pokornego sługę o cierpienia. Obawiam się, że Coralean musi zaaplikować sobie jeszcze więcej brandy, by uleczyć tę przypadłość.

- Potem mrugnął do Safara. - Astarias zaskoczyła nas wszystkich swoim rozpaleniem - powiedział. - Może jest mała, ale za to gorąca jak pustynny ryś.

Później pochylił się do Safara, by poufnie kontynuować:

- Coralean obawiał się, że po tak niewielkich szkodach, spowodowanych przez atak demonów, bogowie zaszydzą ze mnie i kobiety uszkodzi głupia haremowa kłótnia. Wiesz, wiele w nie zainwestowałem. Zważ, że są warte nie tylko ich ceny. Wydałem sporo srebra Coraleana, by upewnić się, że są świeże i pozbawione wszelkich chorób. Poza tym dałem wiedźmie grubą sakiewkę, by rzuciła na nie czar, po którym ich serca napełnią się pomysłowością i uczuciem dla mężczyzny płacącego za wzięcie go w objęcia.

Safar zaczerwienił się, zagniewany takim traktowaniem Astarias i jej sióstr. Coralean mylnie potraktował jego gniewny rumieniec jako reakcję wiejskiego chłopca na wieści o światowym życiu.

- Już wkrótce dowiesz się o takich rzeczach, chłopcze - powiedział. - W gruncie rzeczy powinniśmy rozważyć niebawem poszerzenie twojej edukacji. Biorę osobistą odpowiedzialność za kształcenie cię w tych sprawach. Ja, Coralean, tak przysięgam. Żaden człowiek, który mnie zna, nie może zaprzeczyć, że słowo Coraleana jest mniej warte niż monety bite przez króla.

Jego obietnica odbijała się echem w myślach Safara w miarę zbliżania się do Kyranii. Nie wiedział, co planował pan karawany. Jednakże miał kilka podejrzeń, które sprawiły, że kręcił się jak mucha w miodzie. Jeśli były prawdziwe, to jakaś jego część czuła się obrażona, że Coralean tak nisko go oceniał. Jego człowiecza, wstydliva natura była zaś ogromnie zaciekawiona.

Potem wszelkie myśli zmiotł widok ogromnego zgromadzenia na peryferiach osady. Zjawili się wszyscy mieszkańcy Kyranii. Muzycy grali na rogach, kobzach i bębnach, a cała wioska zaczęła wiwatować, gdy tylko ujrzała karawanę. Na przedzie stała rodzina Safara z Gubadanem, wodzem i starszyzną wioski. Wszyscy odziani byli w najlepsze ubrania. Chłopcy stali wyprostowani, wyprężając pierś i próbując wyglądać jak mężczyźni. Dziewczęta miały we włosach kwiaty. Kiedy Safar i Irar zbliżyli się, posyłały im pocałunki.

Ludzie wybałuszali oczy i wskazywali w podnieceniu na krwawą głowę.

- A więc to prawda - powiedział jeden z mężczyzn - że demony się przedostały!

- No to mieli pecha, że spotkali naszych, co? - odparł inny. - To nauczycie ich, że mają trzymać się swoich ziem.

Coralean krzyknął, by zatrzymać karawanę. Uniósł dłonie, nakazując ciszę, a wśród tłumu rozległy się uciszające syknięcia. Podniósł się w strzemionach tak, by go wszyscy słyszeli.

- Witajcie, zacni mieszkańcy Kyranii - powiedział. - Nazywam się Coralean z Caspan. Spotkaliście się w okolicznościach wypełnionych zarówno radością, jak i strachem. - Wskazał na głowę na palu. - Tutaj kryje się strach. Ale zauważycie bez wątpienia, że ten oto demon odpoczywa

na palu wykonanym z dobrego, kyrańskiego drewna. - W tłumie rozległy się chichoty. - Ten nieszczęśnik i jego towarzysze - ciągnął Coralean - zaprzeczali istnieniu klątwy Zakazanej Pustyni. Otrzymali za to nagrodę, którą jest wieczysty taniec w piekle.

Ludzie śmiali się i przytakiwali.

- A teraz będę mówił o radości, która wypełnia serce Coraleana. Nie ma w nim już strachu. Od niepamiętnych lat Coralean słyszał od innych panów karawan o ciepłe i gościnności ludności Kyranii. Moi bracia drogi są, jak pewnie wszystkim wiadomo, notorycznymi kłamcami. Ale opowieści powtarzały się tak często i wydawały się tak niewiele przesadzone, że Coralean przybył tu, by przekonać się, czy są prawdą. Tak więc wyruszałem w tę kupiecką podróż, ogromnie oczekując spotkania z wami. Interesy Coraleana nigdy nie zawiodły go wcześniej na tę stronę Panny Młodej i jej Druhen. W czasie długich, ciężkich miesięcy podróży Coralean wielokrotnie rozmyślał o waszej spokojnej wiosce. Gdy dręczyło nas pragnienie, Coralean marzył o słodkiej wodzie z waszego jeziora. Kiedy byliśmy głodni, Coraleana podnosiły na duchu wyobrażenia waszych tłustych, owczych kebabów i jęczmiennych placków okraszonych oliwą z waszych oliwek i czosnkiem z ogrodów. Kiedy moi ludzie rozpaczali, Coralean pocieszał ich opowieściami o uroczej wsi. Wszystko będzie dobrze, mówiłem im, kiedy tylko dotrzemy do Kyranii. Ale skąd Coralean mógł wiedzieć, że nie tylko opowieści były prawdziwe, ale że Kyrania oferuje podróżnym znacznie więcej niż tylko gościnność?

Wskazał na Iraja i Safara.

- Osada ta szczyci się także odważnymi młodzieńcami. To młodzi ludzie, których widoku nigdy się nie obawiałem. A Coralean, powinniście wiedzieć, wiele widział w czasie swojego długiego żywota. Inni ludzie, których spotkałem, pełni są pychy, a nie prawdziwej odwagi. Tacy mężczyźni w większości na widok demonów, skradających się ku gromadzie nieznajomych, pewnie siedzieliby cicho i natychmiast uciekli, a los Coraleana i jego towarzyszy byłby przesądzony. Ale ci dwaj nie myśleli o swoim bezpieczeństwie. Zaryzykowali swoim życiem, wypadając z ukrycia, by nas ostrzec. Później obrócili się przeciw atakującym demonom. Doprawdy, żaden z nas nie przeżyłby do dzisiejszego dnia, gdyby nie obrali tak odważnej ścieżki. Ten oto młodzieniec - wskazał na Iraja - uratował życie Coraleana aktem odwagi i nieczęsto spotykanymi umiejętnościami. Zaś ten - wskazał Safara - dołączył do potyczki, jakby był synem wojownika, nie zaś łagodnego mieszkańca wioski. A potem, cud nad cudami, sami bogowie Kyranii włączyli się do akcji. Spowodowali, że na atakujących spadła wielka hałda śniegu i lodu, udowadniając, że góry i dolina obdarzone są największym z błogosławieństw na świecie. Albowiem to właśnie tutaj klątwa pokonała demonicznych agresorów. Gdy już uczcimy naszych zmarłych, wysyłając ich dusze z powrotem do bogów, którzy je stworzyli, najgorętszym życzeniem Coraleana jest nagrodzić młodzieńców, a także Kyranię. Jeśli bogowie pozwolą, jutrzejszej nocy zasiądziemy do biesiady. Będzie to uczta, jakiej jeszcze Kyrania nie widziała. A wszystko, co zostanie zjedzone i wypite, będzie moim darem dla was. Ja, Coralean, tak przyrzekam!

W tłumie podniosła się wrzawa. Ludzie tłoczyli się, wychwalając go i składając życzenia. W zamieszaniu Safar ześliznął się z konia i wpadł w ramiona rodziny. Matka płakała, poklepując go, jakby się upewniała, że nic mu się nie stało. Ojciec zamknął go w mocnym uścisku zarezerwowanym przez mężczyzn Kyranii dla tych, których darzą szacunkiem. Siostry łkały i tłoczyły się wokoło.

Kiedy tylko matka Safara odstąpiła, Quetera wśliznęła się między nich, by objąć Safara. Kiedy starał się, by ją pocałować, sięgając ponad jej pełnym brzuchem z dzieckiem w środku, zaśmiała się

z niezgrabnego uścisku.

- Taka jestem z ciebie dumna, Safarze - powiedziała.

Safar zdziwił się jej reakcją. Jego sen był tak prawdziwy, że przygotował się na łajanie. Zamiast jej podziękować, wybelkotał przeprosiny.

- Ale dlaczego, Safarze? - zapytała. - Dlaczego miałbyś przepraszać za to, że przyniosłeś taki zaszczyt naszej rodzinie?

Iraj usłyszał wymianę zdań i precisną się, by do nich dołączyć.

- Po prostu jest zmęczony - zaśmiał się. - Rzucanie włócznią w demony to nużąca praca.

Wszyscy roześmiali się, jakby to był najlepszy dowcip, jaki kiedykolwiek słyszeli. Jego słowa przekazywano sobie z ust do ust i wkrótce śmiał się cały tłum.

Tego dnia Safar nauczył się kolejnej rzeczy: że sukces zamienia każde słowo w najczystsze złoto. A żaden mag, żywy czy martwy, nie mógł tego dokonać.

Nazajutrz wszyscy zgromadzili się w świątyni, by uczestniczyć w uroczystości pogrzebowej. Gubadan założył żółte żałobne szaty, zaś mieszkańcy wsi obwiązali się w pasie żółtymi szarfami i poznaczyli policzki popiołem, w którym ślady żłobiły łyzy. Ciała siedmiu zmarłych żołnierzy karawany ułożono na tratwie, ozdobionej czerwonymi proporcami, które upodobał sobie Tristos, bóg opiekujący się Królestwem Zmarłych.

Bęben wybijał powolny rytm, a Gubadan modlił się za biednych nieznajomych, którzy przybyli do wioski. Następnie spryskał świętym olejem owinięte w biel zwłoki. Gdy słońce osiągnęło najwyższy punkt na niebie, Coralean, odziany w powiewające złote szaty ze szkarłatnym obrąbkiem właściwym dla swojego klanu, wystąpił z szeregu, by podpalić nasączoną olejem rozpalkę, zgromadzoną wokół zwłok. Potem Safar i Iraj użyli przybranych wstążkami drągów, by zepchnąć tratwę na jezioro. Złapał ją prąd, unosząc na sam środek. Wszyscy modlili się, a gęsty dym wzbijał się w niebo ciemną smugą. Tego dnia nie wiał nawet najłżejszy wietrzyk, więc dym niósł się wysoko, kłębiąc na skraju oslepiająco białych obłoków, a potem rozmywając się w bladoszare wstęgi. Wszyscy stwierdzili, że był to szczęśliwy znak.

Safar, pochylając głowę w modlitwie, zaryzykował ukradkowe spojrzenie i zobaczył kobiety z karawany zbite w cichą gromadkę. Nosiły ciężkie szaty, a twarze zasłoniły welonami, tak więc z początku nie mógł zorientować się, która z nich to Astarias. Potem ujrzał, jak niewysoka postać odchyła na bok welon. Zza niego wyjrzało jedno oko, ciemne i okolone długimi, falującymi rzęsami. Odnalazła go wzrokiem. Safar uśmiechnął się. Smukła biała dłoń pomachała mu. Potem welon opadł z powrotem. Safar odwrócił się. Serce waliło mocno, a lędźwie płonęły, ponieważ wydało mu się, że ujrzał obietnicę w oku i machającej dłoni.

Gubadan szturchnął go. Nadszedł czas, by poprowadzić innych w pieśni pogrzebowej.

Grajek podał powolne tempo, a pozostałe instrumenty włączały się po kolei w melodię. Safar podniósł głowę i pozwolił, by popłynęły czyste, smutne tony:

Gdzie są nasi śniący bracia?

Odeszli na pola, gdzie zawsze kwitnie słodkie kwiecie.

Gdzie są nasi śniący bracia?

Zasnęli na boskiej wysokiej łące.

Nasze śmiertelne serca

Pragną podążyć w ślad ich dusz.

Słowa niosły się daleko w balsamicznym powietrzu. A kiedy śpiew ucichł, wszyscy szlochali.

Później Coralean i przywódca wioski spotkali się, by omówić tajemnicze pojawienie się demonów. Safarowi i Irajowi pozwolono uczestniczyć w zgromadzeniu, które zebrało się w wielkim, kolorowym namiocie, ustawionym przez pana karawany w karawanseraju.

Safar jeszcze nigdy nie widział takiego luksusu. Podłogę pokrywało wiele warstw grubych i kosztownych dywanów. Wokół rozpalonego w centrum ogniska rozrzucono poduchy i poduszeczki. Służba doglądała zawieszzonego nad ogniem garnka parującej brandy, w której pływały wszelkiego rodzaju owoce. Z mieszanej przez służącego zawartości unosił się tak odurzający zapach, że Safar czuł się pijany już od samego wdychania. Zastony dzieliły namiot na pomieszczenia. Po jednej stronie Safar ujrzał cienie kurtyzan, które poruszały się za cienkim welonem, podchodząc bliżej, by ich słyszeć.

- Oto opinia Coraleana - zaczął pan karawany. - Demony, które nas zaatakowały, były wyrzutkami najgorszego i najgłupszego rodzaju. Ich działania mogą się nawet okazać dla nas korzystne, ponieważ gdy nie powrócą do swych krain, pozostałe poznają cenę, którą muszą zapłacić za pogwałcenie boskich praw.

Starszyzna mruknięciami dała wyraz, że się zgadza.

- A zatem, co powinniśmy z tym zrobić? - zastanawiał się Coralean. - Jaki jest nasz następny krok? Coralean pyta o to, wierząc, że najlepiej będzie, jeśli ustalimy dalsze postępowanie.

- Oczywiście, ostrzeżemy władze - powiedział Gubadan.

Krzaczaste brwi Coraleana uniosły się.

- Czy doprawdy uważasz, że to słuszne, świętobliwy mężu? - zapytał Coralean. Rozejrzał się wśród pozostałych. - A kim w końcu są te władze? Coralean nie jest winien hołdu żadnemu królowi. Sam sobie jest panem.

Buzal, wódz, najstarszy z całej grupy, bo aż osiemdziesięcioletni, odezwał się:

- Kyrania sama stanowi prawo. Nami też nikt nie rządzi. - Wskazał na Gubadana. - Nasz kapłan ma zwierzchnictwo, co jest naturalne. - Buzal uśmiechnął się szeroko, ukazując ciemne, twarde jak skała zęby. - Ale nie sądzę, że wiele ze sobą rozmawiają. Przypuszczam, że ledwo pamiętają o jego istnieniu.

Gubadan pogładził brodę, a potem kiwnął, wcale nie zmieszany, zgadzając się.

- Stąd wszędzie jest daleko - rzekł. - a świątynia nie jest zbyt ważna. Lecz czyż naszym obowiązkiem nie jest ostrzec pozostałych?

- To dopiero kupa kozich bobków - wtrącił się Foron, wiejski kowal. - Oczywiście, nie chciałem nikogo obrazić. O czym mamy ostrzegać? Demony zdechły i już śmierdzą. Pewnie nie zjawi się ich więcej. I tyle. Koniec historii.

- Ale dlaczego nie powiemy o tym innym? - zapytał Gubadan. - Co nam szkodzi?

Coralean chrząknął i wszyscy obrócili się, by usłyszeć jego propozycję.

- Nie znam tych okolic - powiedział pan karawany. - Po raz pierwszy interesy Coraleana wiodą go przez góry ku targowiskom Walarii, a potem jeszcze dalej. Wiele mnie kosztował zakup potrzebnych map u moich braci kupców. Nawet jeśli pierwsza podróż okaże się zyskowniejsza od najśmielszych snów, minie wiele takich podróży, nim inwestycja Coraleana się zwróci.

Potrząsnął wielką, kudłatą głową.

- A poza tym - ciągnął - jeśli Coralean byłby człowiekiem mniejszego ducha, to zdarzenie mogłoby go zniechęcić. Mogłem nigdy już nie odważyć się na podjęcie takiego przedsięwzięcia. Znam moich braci panów karawan na tyle dobrze, że mogę z pewnością stwierdzić, co zrobią, jeśli nagle zaczną uważać te góry za niebezpieczne.

Wśród mężczyzn rozległo się jeszcze więcej pomruków. Jeśli to co mówił Coralean było prawdą, mogła ich czekać katastrofa. Handel, który odbywał się dzięki podróżnym, zostałby przerwany. Ucierpiałaby nie tylko Kyrania. Życie mogło się stać bardzo ponure.

- Nie tylko przestałyby przybywać karawany - oznajmił Gubadanowi ojciec Safara - ale zabrakłoby pielgrzymów.

Stary kapłan mrugnął. Wszyscy wiedzieli, jak cenne dla niego były dary wiernych, którzy odwiedzali świątynię bogini Felakii i święte jezioro.

- Tak - powiedział. - Widzę mądrość w twoich słowach, Khadji. Jednakże co będzie, jeśli to nie są jedyne demony? Jesteśmy tu odcięci od reszty świata. Wieści rozchodzą się powoli. A jeśli inni też ucierpieli od demonów? Nasze milczenie okazałoby się niepotrzebną i niebezpieczną decyzją.

Iraj odchrząknął. Wszyscy na niego spojrzeli. Zacerwienił się, gdy zwróciło na niego uwagę tylu obecnych, a potem odważył się przemówić przed starszymi.

- Wybaczcie mi - rzekł. - Wiecie, że niewiele miesięcy temu odbyłem długą podróż, mijając po drodze Walarię, i na targowisku nie słyszałem nic o demonach... ani, jeśli o tym mowa, o żadnych innych niebezpieczeństwach. Pojawiły się tylko zwykłe opowieści o rabusiach.

Mężczyźni słuchali Iraję bardzo uważnie i z głębokim szacunkiem. Safar pomyślał, ile ironii jest w tym, że zaledwie kilka dni temu wielu mieszkańców wioski zbaczało z drogi, by uniknąć spotkania z Irajem. Obawiali się, że przyniesie ze sobą kłopoty wielkiego świata. Teraz był bohaterem, ponieważ odpędził zagrożenie nadciągające z zewnątrz.

Gubadan wtrącił się, objaśniając pochodzenie Iraję i ostrożnie pomijając powód, dla którego ukrywał się przed niektórymi członkami swojego plemienia. Jednakże Coralean natychmiast pojął, że chociaż demony nie będą hulać bez przeszkód, to należy rozważyć też inne problemy.

- Jeśli się mylę, to niech imieniem Coraleana nazwą stado świń - oznajmił pan karawany - ale z tego, co powiedział właśnie wasz mądry kapłan wynika, że południe niebawem zamieni się w pole bitwy walczących klanów. Dla handlu to prawie tak niekorzystne jak demony.

- Nie, jeśli ja mam tu coś do powiedzenia - wybuchnął Iraj. Potem oblał się czerwienią niczym dojrzałe jabłko, żałując, że wypowiedział tak oczywiste głupstwo.

Coralean przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, a potem się uśmiechnął.

- Po zaznajomieniu się z twoim pochodzeniem w pełni rozumiem, skąd się u ciebie bierze tyle ognia. Tutaj się go z pewnością nie nauczyłeś - rzekł, po czym skłonił się pojednawczo przed pozostałymi. - Nie poddaję w wątpliwość odwagi mężczyzn Kyranii - dodał. - Safar udowodnił, że w waszych żyłach płynie gorąca krew. Ale wiem, że nie mienicie się wojownikami. Zaś ten młodzieniec - wskazał Iraję - z pewnością tak był wychowywany. - Mężczyźni przytaknęli jego słowom. - Zgaduję również - zwrócił się do Iraję pan karawany - że jesteś synem wodza.

Iraj skłonił głowę, nie mówiąc nic, podczas gdy Gubadan próbował wtrąceniami uchronić jego tajemnicę. Ale Coralean zaśmiał się jedynie i wzruszył ramionami.

- Nie musiałeś wyjawiać nic więcej - rzekł. - Coś tu się dzieje, a jeśli jest inaczej, możesz nazwać Coraleana synem oślicy i psa, który nie wie, czy za chwilę zacznie szczekać czy ryczeć.

Pochylił się bliżej ku Irajowi.

- Powiem ci coś, mój odważny młody wojownik. Jeśli będziesz kiedyś potrzebował pomocy Coraleana, wystarczy, że o nią poprosisz.

Safar usłyszawszy te słowa dowiedział się, że nie trzeba aż magicznych wizji, by odkryć pod przebraniem przyszłego króla. Z równym powodzeniem mógł tego dokonać sprytny kupiec, który na dodatek nie zakłócił tym spokoju swego snu.

Iraj podniósł głowę, by odpowiedzieć na zaciekawiony wzrok Coraleana. Jego usta wygięły się lekko w przelotnym uśmiechu. Potem skinął z aprobatą głową. To obietnica, którą będzie długo pamiętał. Między nimi dwoma nawiązała się cicha nić porozumienia. Kiedy nadejdzie czas - a bez wątpienia tak się stanie - Iraj nie tylko poprosi o pomoc, ale także zapłaci za nią panu karawany wielokrotnie więcej niż będzie warta.

Coralean zwrócił się do pozostałych.

- A zatem zgoda? - zapytał. - Nic nie mówimy o zdarzeniu, prawda?

Pomiędzy starszą i młodszą szeptana rozmowa. Potem Buzal powiedział:

- A co z twoimi ludźmi? - Wskazał na zasłonę oddzielającą pomieszczenie od haremu. - I co z kobietami? Czy możesz zapewnić nas, że będą cicho?

- Moi ludzie słuchają mnie we wszystkim - odparł Coralean. - W tej kwaterze nie ma się o co martwić. A jeśli chodzi o kobiety to, cóż, Coralean zdradzi wam mały sekret handlu kurtyzanami. Zanim dostarczę dziewczęta ich nowym panom, każda z nich wypije Kielich Zapomnienia. Nie będą mieć żadnych wspomnień z przeszłości. Nie będą mieć powodu, by tęsknić za domem, rodziną i przyjaciółmi. A to uczyni z nich najuległejsze i najszczęśliwsze nałożnice. Żadne szloch nie ugaszą zapachu ich panów, a w tym przypadku, także żadne opowieści o demonach nie zakłócą ich snów.

Mężczyźni zarechotali i odprężyli się. Wymieniono kilka sprośnych dowcipów, co spowodowało jeszcze głośniejszy, rubaszny śmiech i poklepywanie się po kolanach. Tylko Safara przeraziło tak niedbałe potraktowanie sprawy Astarias i jej sióstr. Zerknął na ojca i ujrzał, że i on ma ten sam porozumiewawczy wzrok, co pozostali, i taką samą zaczerwienioną i napuchniętą twarz.

Potem Coralean kazał słudze czerpać chochle gorącego ponczu z brandy i rozdawać je wszystkim. Szybko je opróżniano i kilkakrotnie ponownie napełniano. Wkrótce rozmowy stały się głośniejsze, a głosy mężczyzn coraz chrapliwsze, kiedy opowiadali o śmiałych przygodach młodzieńców. Coralean rozvodził się ponad godzinę, opowiadając o każdym szczególe, którego był świadkiem. Mężczyźni mruzcili z aprobatą, słysząc opis walki Safara z demonami, który posługując się rozłupaną laską jak włócznią, zabił bestię porywającą Astarias. Jednak głośniejsze westchnienia towarzyszyły opisom odwagi Iraja, który uratował Coraleana, wskakując na wierzchowca demona niczym największy z wojowników równin, i poddał próbie swoje siły przeciw znacznie potężniejszemu wrogowi, wyciąwszy w gardle demona ścieżkę, by dusza potwora uciekła.

Safar spojrzął na Iraję i uśmiechnął się, wdzięczny, że przyjaciel dotrzymał przysięgi. Ale Iraj zmarszczył brwi i machnął ręką, pytając, czy już nadszedł czas, by opowiedzieć jak naprawdę było. Safar potrząsnął głową, zdecydowanie zabraniając. Z błyszczącymi oczami Iraj zastanawiał się, dlaczego Safar był tak szczęśliwy, oddając mu największy honor, podczas gdy sam na niego zasługiwał.

Iraj pochylił się ku Safarowi, szepcząc:

- Czy jesteś pewien?

W odpowiedzi Safar podniósł miseczkę z brandy i głośno krzyknął, by wznieść toast za śmiałe czyny jego przyjaciela. To był pierwszy toast wzniesiony przez niego w towarzystwie dorosłych. I

wszyscy uczcili Iraję Protarusa, młodego mężczyznę, o którym Safar wiedział, że pewnego dnia zostanie królem.

Potem się nieco upili. Dla Safara była to jeszcze jedna nowość. Ulga mieszała się z oszołomieniem. Nagle poczuł się bardzo szczęśliwy. Jeszcze bardziej rozradowało go rozdawanie darów przez Coraleana.

Kupiec najpierw ogłosił starszyźnie, że podwójnie zapłaci za wszelkie dobra, usługi lub zwierzęta, które kupi w trakcie pobytu w Kyranii. Potem kazał sługom wnieść czubate kosze pełne darów. Poprosił mężczyzn, by byli tak uprzejmi i rozdali je mieszkańcom wsi. Dla każdego ze starszych miał sakiewkę srebra. Dla każdego mężczyzny w wiosce znalazła się mała saszetka tytoniu i pojedyncza srebrna moneta. Dla każdej kobiety przeznaczona została fiolka perfum i małe świece, które można było nawlekać na nici jako biżuterię lub przyszyć do ubrań. Każde dziecko miało dostać słodczyce w miodzie i miedzianą monetę.

W końcu doszedł do Safara i Iraję.

- Moi młodzi przyjaciele, Coralean długo nad tym myślał - powiedział kupiec. - Mam dla każdego z was prezenty, które dam wam trochę później. - Prychnął. - Oczywiście, pieniądze. Ale czymże są pieniądze, przyjaciele? Monety mają wartość tylko dlatego, że wszyscy się zgadzamy, by im taką nadać. Pomyślałem o przyjemnościach - chociaż czeka was jeszcze wiele rozkoszy w ciągu długiego życia. Ale każdemu z was chciałem dać coś szczególnego. Dar, dzięki któremu zawsze będziecie pamiętać Coraleana. Najpierw ty, Iraję, mój przyjacielu. - Wyjął czarną, aksamitną sakiewkę. Oczy Iraję zaświeciły się, kiedy Coralean wyjmował mały złoty amulet. Przedstawiał konia - cudownie ukształtowanego rumaka, wiszącego na błyszczącym łańcuchu. - Któregoś dnia - tłumaczył Coralean - ujrzysz doskonałego konia. Będzie to rumak nad rumaki, prawdziwe marzenie wojownika, cenniejszy niż królestwo dla tych, którzy znają wartość takich stworzeń. Zwierzę będzie szybsze i odważniejsze, niż mógłbyś sobie wyobrazić. Nigdy nie zazna zmęczenia. Jego lojalność i charakter sprawią, że jeśli spadniesz, z powrotem wskoczy w wir bitwy, byś mógł go jak najszybciej dosiąść. Ale przecież żaden właściciel takiego stworzenia nie zgodzi się z nim rozstać. Już jako żreback będzie miał tak nieskalany wygląd, tak dziarskiego ducha, że właściciel musiałby być ślepy, żeby nie widzieć, jak wspaniałym rumakiem stanie się w przyszłości. - Podał Iraję amulet w kształcie konia. - Jeśli dasz tę magiczną ozdobę temu mężczyźnie, nie zdoła odmówić ci dobicia targu. Ale nie obawiaj się, że będziesz go oszukiwał, albowiem on odnajdzie kolejnego rumaka marzeń, a mężczyzna, który z kolei będzie właścicielem tamtego, w chwili, kiedy otrzyma amulet, zostanie zmuszony do dokonania takiej samej transakcji.

W oczach Iraję zebrały się łzy, które bez wstydu popłynęły po twarzy chłopca, kiedy spiesznie dziękował panu karawany, obejmując go w uścisku.

- Kiedy znajdę takiego konia - rzekł Iraję - obiecuję, że niezwłocznie przyjadę do ciebie, byś sam mógł zobaczyć, jakim wspaniałym darem mnie uhonorowałeś.

Coralean, którego emocje były równie wielkie, jak jego postać, chrząknął, chcąc zamaskować wzbierający w gardle szloch.

Wtedy obrócił się do Safara. Pierwszą myślą młodego Timury była nadzieja, że Coralean nie zamierza również i jemu podarować konia. Czym byłoby tak niezwykle stworzenie dla garncarza? Była to głupia myśl i Safar natychmiast zawstydzził się, że w ogóle się pojawiła. Przysiągł przyjąć każdy dar z głośnym - choćby i udawanym - zadowoleniem, aby nie zepsuć przyjemności tak hojnemu człowiekowi.

- Powiada się, młody Safarze - powiedział Coralean - że jesteś bardzo mądry. Niektórzy mówią, że jesteś najmądrzejszym dzieckiem, które kiedykolwiek urodziło się w Kyranii. - Safar zaczął protestować, ale pan karawany uniósł dłoń, by powstrzymać każde niemądre skromne stwierdzenie, które mogło wyrwać się z piersi chłopca. - Dla ciebie Coralean ma dwa małe dary. Wzięte razem mogą znacznie przewyższyć prezent, który przekazałem Irajowi. Wszystko zależy od tego, czy rzeczywiście jesteś mądry i potrafisz zrobić z nich dobry użytek.

Z szat wyciągnął zwój.

- To jest list do przyjaciela w Walarii. To bogaty i wykształcony mąż. Jest patronem wszystkich artystów i myślicieli w Walarii. Zapisałem tu prośbę, by przedstawił ją głównemu kapłanowi w szkole świątynnej, błagając o przyjęcie ciebie. Gdy tylko dołączysz do wielkich uczonych, Coralean opłaci wszelkie twoje wydatki, aż staniesz się najmądrzejszym mężem we wszystkich krainach.

Palce Safara trzęsły się, kiedy przyjmował zwinięty pergamin. Był cięższy niż się spodziewał. Safar prawie go upuścił. Potem na kolana upadł mu mały, srebrny sztylet.

Coralean pogładził brodę.

- A to jest mój drugi prezent - powiedział. Safar podniósł nóż, wiedząc, że ma jakieś ukryte znaczenie i zastanawiając się, coż to może być. - Ponieważ będziesz przebywał wśród tylu mądrych ludzi - rzekł Coralean - ten nóż może okazać się nawet jeszcze cenniejszy niż wykształcenie, które będziesz odbierać. Posłuchaj starego kupca. Gdy myśl jest zbyt ciężka, prawdopodobnie nie można jej ufać. Gdy słowa ociekają tłuszczem ukrytego znaczenia, wątpliwe, czy mają taką wartość, jak sugeruje ten, który je wypowiada. Ten nóż przebija się przez ciężkie myśli i tłuste słowa, a ty sięgniesz do prawdziwej odpowiedzi, zadając sobie niewiele trudu.

Spojrzał z uśmiechem na pozostałych mężczyzn, a jego gęste brwi uniosły się wysoko.

- Tak przynajmniej twierdziła wiedźma, od której Coralean go kupił.

Wszyscy zachichotali. Safar był oszołomiony. Nie wiedział, co myśleć o każdym z prezentów, a zwłaszcza o zagadkowych właściwościach noża. Podniósł go, czując strumyczek mocy, i od razu wiedział, że mieszka w nim magia, jak to gwarantowała wiedźma.

Głos ojca dobiegł go z daleka, zupełnie jakby śnił.

- Synu, czy nie zamierzasz podziękować Coraleanowi? - zapytał Khadji. - Inaczej pomyśli, że zupełnie nie masz manier.

Safar wybelkotał podziękowania, niezgrabnie jak każdy siedemnastolatek, ale Coralean wydawał się rozumieć jego nieśmiałość. Objął młodzieńca, prawie dusząc go w potężnym uścisku. Safar odwzajemnił go.

- A teraz - krzyknął pan karawany, odsuwając chłopca - Coralean obiecał ludowi Kyranii biesiadę! Pijcie, przyjaciele, abyśmy wytoczyli się stąd z zycznym ładunkiem trunków w brzuchach, zanim jeszcze uroczystość się rozpocznie.

Mężczyźni wykrzyknęli i opróżnili miseczki potężnymi łykami, aby zaraz napełnić je po brzegi.

I tylko niewielu mieszkańców wioski powyżej niemowlęcego wieku nie spędziło następnych dni w oszołomieniu tak błogim, że wspomniano je przez długie lata.

Pierwszej nocy niebo wypełniło się ognistymi, dymnymi balonami i latawcami z długimi, płonącymi ogonami. Wszędzie rozlegały się pijackie piosenki i muzyka. Kochankowie znikali w ciemnościach. Przypieczętowano wiele obietnic małżeństwa i poczęto wiele dzieci, obejmując się wśród westchnień i nie zadając sobie trudu, by stłumić okrzyki przyjemności.

Zanim Safar i Iraj zdążyli się zbyt upić, Coralean odciągnął ich na bok. Zabrał miseczki brandy z ich dłoni, mówiąc:

- Tej nocy będziecie potrzebować swoich wszystkich zmysłów, moi młodzi przyjaciele. - Zaśmiał się. - A prócz tego, jeśli zbyt się zamroczyte, z pewnością skończycie w ramionach jakiejś wiejskiej dziewczyny. - Pokiwał palcem. - Nie ma sensu psuć waszej przyszłości zbyt prędkim małżeństwem. Coralean sam pobłogosławiony został uczuciowym charakterem. Zapytajcie tylko jego żon i dziewczek służebnych. - Mrugnął. - Nazywają mnie kochanym ogierem. Czego dowodzą roje moich dzieci. Mówię wam, jeśli Coralean przyszedłby na świat w biedniejszej rodzinie, mojego ojca nie byłoby stać na uratowanie mnie od młodzieńczych niedyskrecji.

Potem położył ręce na ich ramionach i poprowadził przez szereg zasłoniętych pokoi ku kwaterom kobiet. Główne pomieszczenie wypełniały spiętrzone do kolan poduszki. Coralean opadł na nie i poklepał, polecając młodzieńcom sięść po jego obu stronach.

- Chłopcy, obiecałem objaśnić wam to i owo w dziedzinie rozkoszy - powiedział. - A ja, Coralean Ogier, wiem o niej więcej od większości ludzi. To nie przechwałka, lecz zwykłe podsumowanie charakteru Coraleana.

Zaklaskał i szeroka zasłona rozstała się. Safar usłyszał wysokie, przyjemne głosy. Zza niej wyłoniły się gęsiego kurtyzany, paradując przed mężczyznami w jedwabnym, perfumowanym szeregu.

Safar nigdy jeszcze nie widział tyle piękna - a z pewnością nie tak uwodzicielsko przedstawionego. Nie był nieświadom kobiecych kształtów. W końcu wychowywał się z siostrami. Poza tym podglądał wiejskie dziewczęta, które kąpały się w jeziorze. Ale kobiety, które widział tej nocy były takie... łatwe do sięgnięcia. On miał tylko wybierać. Te niewielkie skrawki materiału, które miały na sobie, były przezroczyste i tak kunsztownie upięte, by wabić, a nie zakrywać. Niektóre z kobiet były wysokie, niektóre niskie, inne zaś ciemne, jasne, szczupłe bądź pulchne. Wszystkie prezentowały wystudiowane uśmiechy i ruchy. Ale w nich kryło się coś więcej niż tylko zawodowe umiejętności. Dwóch przystojnych śmiazków oczarowało je i chętnie okazałyby im swą wdzięczność.

- Wybierzcie po jednej - powiedział Coralean - albo jeśli wam się podoba, dwie lub trzy.

Safar zawahał się, ale nie z powodu niezdecydowania. Zaoferowano mu, jak się wydawało, największe marzenie każdego młodego mężczyzny. Zaraz wyegzorczykuje wszystkie te gorące, niespokojne noce wypełnione perfumowanymi syrenami. Ogniste wyobrażenia i żądze były taką samą częścią jego życia jak miękka bródka porastająca twarz. Safar wiedział z rozmów swoich sióstr, że z młodymi kobietami jest podobnie. A tutaj pojawiła się szansa na zrealizowanie najbardziej obscenicznych fantazji. Jednak z tego wrzącego kotła młodzieńczych uczuć wyłoniło się inne, chociaż z nimi związane. Była to nagła, ślepa, bezrozumna miłość, która w tym wieku oznacza żądzę, tylko że większość myli ją ze szlachetniejszym uczuciem.

Tak więc gdy wzrok Safara przeczesywał szereg kurtyzan, ignorował płasające piękno. Chłopiec szukał tylko jednej kobiety. Astarias.

Nie zobaczył jej w grupie. Rozglądał się wokół z bijącym sercem i mieszanymi myślami. I jego myśli stały się... czyste? A przynajmniej w jego wyobraźni takie były. I w tej chwili postanowił, że nie zawstydzi Astarias swoim uściskiem. Niemądra młodość sądziła, że to dar dla niej. Chciał uwolnić Astarias z więzów niewolnictwa. Zamieszka z jego siostrą Queterą i będzie cnotliwa jak każda z panien w wiosce. Wybierze sobie na męża według swojej woli któregoś młodzieńca z wioski. Jednak miłość do niego - i podziw dla jego szlachetnego gestu - przewycięży wszelkie uczucia, którymi mogłaby darzyć innego. Pobiorą się i będą mieć wiele dzieci i na zawsze pozostaną

razem, żyjąc w szczęściu. Wszystkie te myśli przepływały przez jego oszołomiony umysł, kiedy usłyszał:

- Powinieneś wybierać pierwszy - powiedział Coralean do Iraja. - W końcu uratowałeś mi życie.

Safar spojrział na Iraj. Twarz przyjaciela była czerwona z żądy. Wtem Iraj ujrzał Safara i uśmiechnął się. Czerwień znikła, zastąpiona udawanym znudzonym zainteresowaniem. Spojrzenie Iraja powróciło do kurtyzan. Oglądał powoli każdą z osobna, potrząsał głową i przechodził do następnej. Nagłe zrozumienie ścisnęło żołądek Safara, a potem stłamsiło gardło. Wiedział, co zamierza zrobić Iraj. Wtedy rozgniewał się, ponieważ oczywiste było, że Iraj chciał okraść go z czegoś, czego on pożałował bardziej niż wszystko inne.

- Wydaje się, że jednej brakuje - powiedział Iraj do Coraleana. - Ciemnowłosej dziewczki.

Dwa ostatnie słowa wpadły jak ciężkie kamienie w studnię rozpaczony Safara.

Coralean zmarszczył brwi.

- Masz na myśli Astarias?

Iraj zakrył usta, ukrywając przemożne ziewnięcie.

- Tak ma na imię? - zapytał. - Śliczna.

Coralean wiercił się wśród poduszek, zaniepokojony - i nieco zmieszany.

- Zatrzymałem ją - powiedział - ponieważ wciąż jest dziewicą. Trzymałem ją dla mojego bliskiego przyjaciela - bardzo bogatego bliskiego przyjaciela.

Iraj wznosił brwi, jakby zaskoczony. Potem wzruszył ramionami.

- No cóż, przypuszczam, że proszę o zbyt wiele - rzekł. - Nie chciałbym zmniejszyć twojego zysku. - Wpatrywał się w Coraleana z łagodnym wyrazem twarzy. - Jak jej tam... Astarias? Bardzo jej chciałem. Ale... jeśli to zbyt wiele kłopotu dla ciebie... - Wstał, jakby zamierzał odejść.

Coralean chwycił Iraję za ramię i z powrotem pociągnął w dół.

- Czyż wszystkim nie jest wiadome, że Coralean jest najhojniejszym z ludzi? - zapytał. - A zwłaszcza dla kogoś, kto ocalił jego najcenniejszą własność - jego własne życie. Jeśli najbardziej pożądasz Astarias, mój dobry przyjacielu, to dostaniesz Astarias. - I zaklaskał, wołając jej imię, by się ukazała.

Astarias wpłynęła do pomieszczenia, rozchylając zasłony. Ciemne włosy związała z tyłu białą jedwabną wstęgą. Inaczej niż pozostałe, od smukłej szyi po kostki okrywała ją szata, również utkana z białego jedwabiu. Kiedy szła, materiał opływał jej ciało - cnotliwie, ale mimo wszystko podkreślając delikatne ciało. Spojrzała na Safara i jej twarz rozświetlił najrozkoszniejszy z uśmiechów. Zaczęła iść ku niemu, myśląc, że to jemu jest przeznaczona.

- Nie, nie - warknął Coralean. - Nie Safar! Obiecałem cię Irajowi.

Jej twarz zachmurzyła się na chwilę i w tym momencie Safar znenawidził Iraję tak mocno, że z chęcią by go zabił. Potem uśmiech powrócił, chociaż według Safara nie był tak jasny jak poprzednio... i podeszła do Iraja. Chłopiec zaśmiał się i chwycił ją w tali, szorstko ściągając w dół.

Pan karawany wstał i uśmiechnął się szeroko do chłopców.

- Coralean musi wracać do swoich obowiązków gospodarza - powiedział. - Wybierz sobie tę, która ci się podoba. A jeśli nie możesz się zdecydować, pozwól mi zasugerować te dwie - wskazał na ciemnoskóre bliźniaczki. - Gwarantuję, że dały mi więcej przyjemności, niż którakolwiek z obecnych tu kobiet. - Klepnął Safara po plecach i wyszedł.

Bliźniaczki wyczekująco ruszyły ku młodemu garncarzowi. Safar poderwał się, by wyjść, tak wypełniony nienawistnymi myślami, że pragnął jedynie uciec.

- Poczekaj - powiedział Iraj.

Safar okręcił się, z wypisanym na twarzy gniewem. Iraj zignorował go, oswobadzając się z nieśmiałego uścisku Astarias.

- Idź do niego - rozkazał.

Safar był zaskoczony.

- Ale ja myślałem... Iraj zaśmiał się.

- Wiem, co myślałeś - oświadczył. - Wypróbowałem cię, nie widzisz? - Uśmiechnął się do Safara. - Nie za dobrze wypadłeś w tej próbie, mój przyjacielu - rzekł. - Ale może była niesprawiedliwa. Tak więc wybaczam ci to. - Popchnął delikatnie Astarias. - Idź - powiedział. - Jeśli zostaniesz choć chwilę dłużej, nie zdołam cię puścić.

Astarias zaśmiała się z zadowoleniem i pośpiesznie wskoczyła w objęcia Safara. Wszystkie jego szlachetne zamiary znikły, gdy przycisnął ją do piersi. Potem usłyszał, jak Iraj woła jego imię i oderwał się od niej, dysząc. Przyjaciel stał przy rozchylonej zasłonie, obejmując bliźniaczki.

- Dzięki - wymamrotał Safar. - Coralean mógł się nie zgodzić, gdybym to ja poprosił.

Iraj wzruszył ramionami.

- Nie musisz dziękować - odparł. - W końcu obaj wiemy, kto jest prawdziwym bohaterem tamtej nocy. - Obrócił się do wyjścia, ciągnąc za sobą bliźniaczki. Potem zatrzymał się. - Wiedz to, Safarze - rzekł - że od tego dnia wszystko, co mam, jest twoje.

Safar uśmiechnął się szeroko.

- A wszystko, co moje, i wszystko, co będzie moje - odparł - będzie należeć do ciebie, jeśli tylko o to poprosisz.

Iraj spoważniał.

- Naprawdę?

- Przysięgam - odrzekł Safar.

Iraj skinął głową.

- Zapamiętaj dobrze tę noc, Safarze - powiedział - bo pewnego dnia mogę poprosić o przysługę równą tej.

- I otrzymasz ją - obiecał Safar.

- Bez względu na to, co to będzie? - zapytał Iraj, a jego spojrzenie zniemacka stwardniało, sondując go.

- Tak - odparł Safar. - Bez względu na to, co to będzie. I jeśli kiedykolwiek znów mnie wypróbujesz, nie zawiodę cię.

I tym układem przypieczętował swój los.

Królewskie sny

Sarn mylił się - król Manacia nie kłamał. Gdyby bogowie wciąż go obserwowali, jego błąd niezmiernie by ich ubawił. W przedśmiertnych cierpieniach Sarna, który uwierzył, że zgubiła go królewska zdrada, było na tyle ekscytującej rozpacz, by zadowolić gust każdego z bogów.

Król Manacia czekał przez wiele niespokojnych miesięcy na wieści o powrocie przywódcy bandytów. Kiedy czas przedłużał się, król stawał się coraz bardziej niecierpliwy, zwracając niewiele uwagi na sprawy państwowe. Zaczął nawet ignorować swój harem, co doprowadziło żony i konkubiny do obaw, że ich pan znudził się nimi. Walcząc z tym, wyszukiwały najpiękniejsze i najbardziej uwodzicielskie demoniczne panny, by wzbudzić jego żądzę. Ale wszystko na próżno, ponieważ król co noc siedział do późna w sali tronowej, zastanawiając się, co przydarzyło się Samowi, i upijając do nieprzytomności.

Królowi Manacii ciężko było przyznać się do porażki. W trakcie swojego długiego panowania nie miał wielu okazji by zaznać jej smaku. Od początku pracował cierpliwie, stopniowo rozszerzając granice, aż wszystkie regiony, nie licząc kilku najdzikszych, znalazły się pod jego panowaniem. Manacia zmusił pozostałych władców do zaakceptowania sojuszków, które przynosiły korzyści właściwie tylko jemu, tak że praktycznie oznaczały poddanie się. Wkrótce wszyscy uznawali go za najwyższego monarchę w krainach demonów. Ale to mu nie wystarczało. Król chciał więcej.

- Nie robię przecież tego wszystkiego dla siebie, Fari - lubił mawiać król do swojego wielkiego wezyra. - Przyszłość całego rodzaju demonów spoczywa na moich ramionach.

A lord Fari, który nigdy nie przypominał królowi, że już słyszał te słowa, zawsze odpowiadał:

- Co wieczór, Wasza Wysokość, dziękuję bogom, że uczynili twoje ramiona szerokimi i wystarczająco silnymi, byś uniósł ten święty ciężar.

Wielki wezyr był mądrym, starym demonem, który przeżył już prawie dwieście dorocznych uroczystości. Umiejętne pochlebstwa i bezwzględne intrygi pozwoliły mu zachować głowę w trakcie czterech krwawych sukcesji na tronie Zanzairu.

Król znajdował pocieszenie w pokazie lojalności Fariego, przyjmując często powtarzany hołd, jak gdyby słyszał go po raz pierwszy. Potem zwykł się chmurzyć, jakby opadała go kolejna ponura myśl, wzdychał i mówił:

- Mimo wszystko, Fari, jestem pewien, że w moim królestwie niektórzy poddani błędzą, nie zgadzając się ze mną. Są pewnie i tacy, którzy myślą nawet, że oszalałem.

Wzdychał ponownie, gładząc długi, zakrzywiony róg i potrząsając z rozpaczą potężną głową.

- Wymień tylko imiona tych heretyków, Wasza Wysokość - brzmiała rutynowa odpowiedź Fariego - a ja wyrwę z ich ust kłamliwe języki i wypełnię gardła gorącym piaskiem.

- Gdyby tylko rozumieli mnie tak dobrze jak ty, mój drogi przyjacielu - zwyczajowo odpowiadał król. - Pokój i dobrobyt nie zagoszczą w krainach demonów dopóki władą nimi więcej niż jeden król. Jedynym naturalnym stanem jest jeden władca całości.

A Fari zgadzał się, mówiąc:

- Jakże inaczej, o Najwspanialszy, możemy wydobyć się z chaosu? Lub też położyć kres wojnie i rabunkowi? Rządzić musi jeden demon. A tym jedynym, jak przepowiadają Łowcy Snów, jesteś ty, mój panie.

- Ale to nie wystarczy, Fari - przypominał król. - Ludzie także muszą mnie uznać. Muszę zostać królem królów. Panem całego Esmiru.

- Poświęcę dokończeniu tego dzieła pozostałą resztkę mego skromnego życia - odpowiadał Fari. - Historia demonów długo czekała na kogoś takiego jak ty. Który z pozostałych demonów ma twoją mądrość? Twoją siłę? Twoją dobroduszość? Twoją magiczną moc? Wasza Wysokość, bogowie obdarowali nas twą dostojną postacią. Nikt temu nie przeczy. Wszyscy to widzą, tak jak ten potężny róg na twoim królewskim czole.

Po tym Fari zwykle uderzał starą głową o kamienną podłogę, potem wstawał z niejakim trudem, chwytając się wielkiej laski z kości smoka i dźwigając ze skrzypieniem starych stawów i wiązań. Następnie odchodził, a jego kościana laska postukiwała o kamień, cichnąc coraz bardziej, w miarę jak zbliżał się do odległych wrót wiodących do obszernej sali tronowej, a potem znikał za nimi. Za sobą pozostawiał zadowolonego króla, który ponownie nabierał chęci na snucie marzeń i intryg.

Dotąd był tylko jeden król królów Esmiru - człowiek, Alisarrian. Manacia wierzył głęboko, że nadszedł czas, by to berło dzierżył demon. Nie było wątpliwości, że miał nim być on. Całe panowanie Manacii poświęcone było temu celowi. Jednak w miarę upływu czasu zaczął się obawiać, że nie zdąży, a gdzieś w krainach ludzi zostanie wychowywany kolejny Alisarrian, zdobywca, który przybędzie na czele armii i już wkrótce zapuka do bram jego pałacu.

Pewnej nocy, gdy przeszukiwał swoje Necromancium, zastanawiając się, czy odpowiedź na jego problemy ukryta została w tej najczarniejszej ze sztuk czarnoksięskich, dobiegło go postukiwanie laski lorda Fari, jakby upiorny herold zwiastował nadejście wielkiego wezyra. Usłyszawszy postukiwanie, król Manacia odwrócił się od wielkiego słoja mieszczącego ludzką głowę w solance. Kiedy podnosił wzrok, Fari wszedł przez portal, a powietrze ugięło się jakby przekraczał pionową powierzchnię wody.

- Jakie wieści, lordzie Fari? - zapytał król z przesadną radością. - Czyżby w końcu powrócił nasz niesforny rabuś?

Fari, którego umysł do głębi zaprzętała inna sprawa, drgnął, a jego łuskowate szczęki klapnęły w zdumieniu.

- Co takiego, Wasza Wysokość? - A potem dodał. - Ach, masz na myśli lorda Sarna, Ekscelencjo. Nie, wciąż nie ma żadnych wieści. Zjawiam się tu w innej sprawie, Ekscelencjo. Wymaga ona twej natychmiastowej uwagi.

Ale Manacia odwrócił się nagle, pogrążając w najbardziej ponurym nastroju.

- Przyjrzałem się temu ze wszystkich stron, Fari - rzekł. - I wciąż nie wiem, gdzie popełniłem błąd.

- Błąd, Wasza Wysokość? - zapytał Fari. - Jakże możesz tak myśleć? Daj mu jeszcze trochę czasu. Pojawi się któregoś dnia, obładowany łupami, niosąc mapy, których poszukiwałeś i żądając na swój arogancki sposób olbrzymiej nagrody. - Fari prychnął. - Zupełnie jakby był jedynym prawdziwym demonem w całym kraju.

- To już prawie rok, Fari - rzekł Manacia.

- Tak długo, Wasza Wysokość? Nie zdawałem sobie sprawy...

- Równie dobrze mogę przyznać się do porażki - stwierdził król. - Zmarnowałem wystarczająco dużo czasu i energii, która mogła być skierowana na pożyteczniejszy cel. Mimo naszych wysiłków, eksperymentów i starań, osłona, którą stworzyliśmy, by ochronić Sarna przed klątwą, okazała się niewystarczająca. Gdzieś na Zakazanej Pustyni, może tuż poza zasięgiem naszego wzroku, kości Sarna i jego demonów bieleją na słońcu.

Fari pomyślał, co odpowiadało prawdzie, że może osłona wcale nie zawiodła. Na przywódcę bandytów mogło spaść jakieś naturalne nieszczęście. Jednak stary demon żył tak długo, tylko dlatego że nie mówił monarchom, co naprawdę myślał. Tak więc kiedy zobaczył, którą ścieżkę obrał król, sam szybko podążył w tym kierunku.

Przybrał rozpaczliwy wyraz twarzy.

- Obawiam się, że masz rację, Ekscelencjo - rzekł. - Osłona zawiodła. Natychmiast dowiem się, kto odpowiada za ten okropny stan i nakazę odpowiednio go torturować, a potem uśmiercić.

Król obnażył kły w grymasie, który miał być uprzejmym uśmiechem.

- Oszczędź go - powiedział. - Ja również jestem temu winien. I ty także, mój drogi demonie.

Fari otworzył pysk, ukazując zęby bielsze i ostrzejsze, niż można się spodziewać po jego podeszłym wieku.

- Ja Wasza Wysokość? A cóż ja ... - Mądrze uciął w pół zdania Zastukał kościaną laską i skłonił się. - Moje imię znajdzie się na czele listy winowajców, Ekscelencjo - rzekł. - Dzisiejszej nocy moje żony zaśpiewają na twoją chwałę, gdy opowiem im, jak wielkodusznie oszczędziłeś szlacheckiego głupca. Oczywiście, to była moja wina! Biorę na siebie całą odpowiedzialność, Wasza Wysokość Nigdy nie powinieneś nawet pomyśleć, że i ty za to odpowiadasz.

Manacia machnął pazurem, uciszając go.

- Czy wiesz, Fari, kto to jest? - zapytał, wskazując na ludzką głowę pływającą w słoju.

Wielki wezyr wpatrywał się w nią. Człowiek był młodym dorosłym. Pewnie był przystojny według ludzkich standardów.

- Nie, Ekscelencjo, nie znam go.

- To było pierwsze stworzenie, które użyłem, by przetestować osłonę - zaśmiał się Manacia. - Przewiązaliśmy go w pasie liną i biczami wygnaliśmy na Zakazaną Pustynię. Nie uszedł więcej niż tuzin kroków, gdy nagle wrzasnął, złapał się za pierś i padł na ziemię. Kiedy wciągnęliśmy go z powrotem już nie żył, chociaż nie było znaku, który wskazywałby na powód jego śmierci. Był zdrowym stworem prosto z królewskich zagród niewolniczych. Czysty. Dobrze odżywiony. Sam go zbadałem. Tylko klątwa mogła spowodować jego śmierć.

- Przypominam sobie ten przypadek, Wasza Wysokość - odparł Fari. - Ale nie człowieka.

- Nic w tym dziwnego - rzekł Manacia. - Było ich tak wielu. I demonów też. Oczywiście, ci z kolei to najgorszy rodzaj zbrodniarzy.

- Oczywiście, Wasza Wysokość.

Manacia wpatrywał się w głowę, wspominając cztery lata eksperymentów. Pracował ciężko, szperając w każdym zakamarku nauk czarnoksięskich, rzucając czar za czarem, by stworzyć tak silną osłonę, która przełamie starożytną klątwę stworzoną setki lat temu przez Radę Traktatową. W jej skład wchodził zarówno magowie demoniczni, jak i ludzie. Miała na celu zerwanie po wsze czasy wszelkiego kontaktu między dwoma gatunkami, na zawsze kończąc lata krwawych zmagania i kładąc kres krwawym zniwom zniszczeń, które nastąpiły po upadku imperium Alisarriana. Wszyscy wierzyli, że nawet największy mag nie zdoła unieszkodliwić tej klątwy.

Manacia w to nie wierzył. Był nie tylko potężnym magiem - potężniejszym od wszystkich innych w krainie demonów - ale także lubił zagadki. Z rozpędem zaatakował klątwę wszelkimi magicznymi środkami, którymi władał. W trakcie eksperymentów poświęcił setki istnień. Zwłoki ściągnano z pustyni linami. Ale Manacia nie tracił nadziei, ponieważ za każdym razem ofiary pełzły w pustynię nieco dalej niż ich poprzednicy. Ostatni nieszczęśnicy zaszli tak daleko, że królewscy łucznicy musieli strzelać w nich, by zmusić do dalszego zagłębienia się w pustkowiu. Osłona okazała się tak dobra, że Manacia rozkazał zabić tych, którzy przeżyli, by nie mogli użyć jego zaklęcia do ucieczki przez pustynię.

W tym czasie dobił targu z Sarnem. Król osobiście uczestniczył w odprawie bandyty. Wysławiał złodzieja pod niebiosa, rzucił specjalne zaklęcie błogosławieństwa i obserwował, jak Sarn i jego demony znikają w kłębach pustynnego pyłu, kierując się ku krainom ludzi w poszukiwaniu Kyranii - przejścia przez Dolinę Obłoków, o której mówiła wyrocznia. Droga ta miała być kluczem, który pozwoli scalić dwie rozległe krainy w jedno ogromne królestwo.

Tego dnia nadzieja Manacii szybowała wysoko. Już śnił o czasach, gdy śladem bandytów podążą jego armie. Snuł wizje szybkich i łatwych zwycięstw nad ludźmi. Pewnego razu miał sen, w którym na wielkiej uroczystości dworskiej ludzcy ambasadorowie kłaniali się przed jego tronem, przedstawiając układy, w których nazwany został królem królów, władcą całego Esmiru.

Manacia gapił się w martwe oczy. Był pewien, że zawiodła go ludzka strona magicznej formuły. Była to część, której z jakiegoś powodu nie mógł zgłębić. To dlatego, nie z sentymentu, Manacia trzymał głowę pierwszej ofiary w Necromancium. Tutaj, w krypcie wypełnionej bladym światłem, trzymał swoje zbiory ksiąg, przykładów czarnej magii i materiałów. Stały tu słoje i flakony pełne najbardziej jadowitych płynów, proszków i maści; leżały zwoje szczegółowo opisujące przerażające praktyki i zaklęcia. Znalazły się tu dziwne obiekty i kamienne bożki o kształtach tak groźnych, że mogły nawiedzać sny nawet najbardziej obojętnego i nieczułego z demonów.

Manacia zastukał szponami o słoje. Płyn zafalował, a wraz z nim chybotła się głowa.

- Zaczniemy ponownie, przyjacielu - powiedział do czaszki. - I ponownie to ty będziesz miał zaszczyt być tym pierwszym.

Obrócił się do Wielkiego Wezyra.

- Zaczniemy rano - rzekł. - Niech moi magowie zjawią się tutaj o pierwszym brzasku. Rozwiążę tę zagadkę, choćby miało to zająć wieki.

- Cóż za wielki duch, Wasza Wysokość - powiedział Fari. - Nigdy się nie poddawaj. Uważaj wszystko jedynie za nieprzyjemną przeszkodę. Natychmiast pošle wieści do królewskich czarnoksiężników!

Obrócił się, jakby miał zamiar odejść, a potem z powrotem skierował ku królowi, mówiąc:

- Jeszcze jedna sprawa, Ekscelencjo. Ta, która zmusiła mnie do przybycia tutaj i zakłócenia toku twego myślenia.

Nastrój króla poprawił się, gdy określił dalszy bieg działań.

- Tak, tak. Prawie zapomniałem. Cóż to jest?

- Wiele miesięcy temu, Wasza Wysokość - odparł Fari - niedługo po tym, jak Sam wraz ze swymi demonami wyruszył ku krainom ludzi, zdarzył się pewien dziwny przypadek, który właśnie przyszedł mi na myśl. Było to zakłócenie biegu niebios, które umknęło uwagi Obserwatorom Gwiazd, ponieważ niebo nad Zanzaiem tamtej nocy zakrywały grube chmury. Ale pasterz daleko na północy, gdzie nieboskłon był czysty, doniósł o obfitym deszczu ognistych cząsteczek. Od tamtego czasu spływały do

nas pojedynczo inne raporty potwierdzające obserwacje pasterza. Możemy z pewną dokładnością określić, że zdarzyło się to na ziemiach ludzi, nad Łańcuchem Bogów.

Manacia wzruszył ramionami.

- I co z tego? - zapytał. - Nie ma nic niezwykłego w ognistych cząstkach spadających z nieba. Rzadko kiedy takie zdarzenia dotyczą naszych spraw. Jeśli była to kometa, może wtedy należałoby zwrócić na nią uwagę albo uważniej zbadać.

- Święta prawda, Wasza Wysokość - powiedział Fari. - Jeśli byłoby to wszystko na ten temat, nie kłopotałbym cię wiadomościami o tak niewielkim zdarzeniu.

Król, zniecierpliwiony, zabębnił pazurami o słoń. Fari pospiesznie ciągnął:

- Gdy ustaliliśmy dokładną datę twoi magowie przypomnieli sobie o innych znakach, które pojawiły się w tym samym lub w zbliżonym czasie. Woda w studniach nagle stała się gorzka i brudna. Trwało to wiele tygodni.

Manacia pokiwał głową, przypominając sobie ten problem.

- W dzień po zaobserwowaniu tego zjawiska - mówił Fari - zauważono, że płyn w zegarach wodnych obracał się w przeciwnym kierunku, a jeden z akolitów w świątyni utrzymywał, że kiedy wstał tego ranka, jego odbicie w lustrze było odwrotne, to znaczy widział siebie tak, jak jeden demon widzi drugiego - lewa dłoń po lewej stronie, prawa po prawej. Anomalia nie trwała długo, Wasza Wysokość, ale zdążyła przykuć uwagę. Od tamtego czasu zaobserwowano, że pod niektórymi z naszych starszych budynków ziemia osiadła niebezpiecznie, powodując zapadanie się. Poza tym pszczoły wyroiły się poza sezonem i pojawiły się ptaki z gatunku, którego nikt wcześniej nie widział. Zaistniała także niezwykła liczba narodzin dziwolągów, takich jak dwugłowa świnia, beznogi pies czy bezoka ryba.

- To doprawdy niepokojące wieści, Fari - stwierdził król. - Miałeś rację, że mi o nich doniosłeś. Czy ktokolwiek wie, co one oznaczają? Czy mogą mieć coś wspólnego z naszymi próbami przełamania klątwy?

Fari poderwał się ze zdziwieniem. Myślał przez chwilę, postukując kościaną laską o podłogę. Potem odrzekł:

- Nie wiem, Ekscelencjo. Nie pomyślałem o tym.

- Ale to jest możliwe? - zapytał król.

- Przypuszczalnie tak, Wasza Wysokość.

- Co mi radzisz? - spytał król.

Fari natychmiast dojrzał niebezpieczeństwo i smutno potrząsnął głową.

- Wstydę się przyznać, Ekscelencjo - zaczął - ale jestem zagubiony. Nie dysponuję taką wiedzą, bym mógł sformułować jakiś osąd.

- Musimy dowiedzieć się więcej - rzekł król. - Wcześniejsze rozpoczęcie eksperymentu może okazać się niebezpieczne.

Fari pokiwał głową.

- Mniemam, że tak się może zdarzyć, Wasza Wysokość - odparł. - To dopiero pech. Plany najazdu na ludzkie krainy najpewniej ulegną opóźnieniu.

- Nic na to nie można poradzić, Fari - powiedział król. - Klątwy mogą rozszerzyć działanie poza granice początkowych intencji. Występuje w nich tak wiele powiązań, a niektóre mogą pozostać nieznane nawet samym twórcom zaklęcia, że niemożliwe jest zliczenie wszystkich efektów, które niesie ze sobą klątwa. Dlatego na Zakazaną Pustynię wysłałem bandytów, a nie naszych żołnierzy. Równie

mocno smuci mnie to, Fari, że będziemy musieli postępować ostrożnie. Ale nie chciałbym, abys oszczędzał. Chcę, by nad tym pracowali wszyscy moi Obserwatorzy Gwiazd i Łowcy Snów. A ponadto moim życzeniem jest, by w głównej świątyni składano codziennie ofiary bogom, zaś w pomniejszych miejscach kultu należy robić to samo co tydzień.

- Tak jest, Ekscelencjo - odparł Fari, kiwając głową i stukając laską. - Niezwłocznie. - Wypadł pospiesznie z komnaty, czując ulgę, że ponownie udało mu się zrzucić całą winę i odpowiedzialność na plecy innych, zapewniając sobie jednocześnie główną nagrodę i zaszczyty w przypadku sukcesu.

Jednakże tym razem nie pozostawił za sobą szczęśliwego króla. Manacia pogrążył się w chmurnym nastroju. Ponownie zaczął studiować głowę. Dręczył go dawny strach przed rywalem. Wzdłuż długiego, kościstego kręgosłupa przebiegł dreszcz.

Manacia nagle zastanowił się, czy czasem w tej chwili wróg o nim nie myśli.

A jeśli tak, czy ten wróg ma ludzką twarz?

A jeśli tak, czy mógł odkryć już drogę przez Łańcuch Bogów?

Czy odnalazł już Kyranię?

Niedługo po dniu rozczarowań Manacii Safar i Iraj pożegnali się. Urządzili uroczystość, powracając do jaskini Alisarriana i śnieżnej przełęczy, gdzie stawili czoła demonom. Burze dokładnie pogrzebały świadectwo ich odwagi. Przedzierając się przez śnieg na szorstkich, drewnianych nartach, nie dostrzegli śladu zdarzeń, które się tutaj działy.

- Może to był tylko sen - powiedział Safar. - Może to się nigdy nie przydarzyło i zaraz obudzimy się, by przeżyć zwykły dzień dwóch zwykłych ludzi?

Iraj wybuchnął śmiechem.

- Nigdy nie byłem zwyczajny, Safarze - odparł. - I czy się do tego przyznasz, czy nie, ty również nigdy nie byłeś. Zaoszczędzisz sobie wiele zmartwień, jeśli po prostu to zaakceptujesz. - Uśmiechnął się szeroko. - Jeśli wyśniłeś sobie Astarias, to przydarzył ci się największy sen każdego mężczyzny Esmiru - marzenie o młodej, dziewiczej, pięknej kurtyzanie wyszkolonej we wszystkich sztukach zaspokajania mężczyzny. To nie był sen, przyjacielu. Zamienić ją w wytwór wyobraźni byłoby największym grzechem, niewyobrażalnym nawet dla boga. Kiedy już będziesz starym człowiekiem, wspomnienia kobiet takich jak Astarias sprawią, że będziesz zadowolony ze swego życia.

Safar skrzywił się.

- Chciałbym wkrótce o tym zapomnieć - odparł. - Obawiam się, że zbłądziłem się przed Astarias.

Iraj klepnął go po plecach.

- Nie bądź śmieszny - powiedział. - Otóż zakochałeś się w kurtyzanie. Nie pierwszy ani ostatni. Wyznałeś jej dozgonną miłość, obiecując księżyc, gwiazdy i co tam jeszcze kryje się w niebiosach, byle tylko została w twoich ramionach. Powiedziałem to samo moim bliźniaczkom. Każdej z osobna. I obu razem.

- Nie mówiłeś tego poważnie - oznajmił Safar. - A ja, wstydzę się powiedzieć, tak.

- Jak najbardziej poważnie - odrzekł Iraj. - A przynajmniej tak myślałem w tamtej chwili.

Zwłaszcza, gdy jedna kuliła się na moim prawym ramieniu, a druga na lewym.

- To była tylko taka łóżkowa gadka - odparł Safar.

Iraj zachichotał, a potem objął się sam w komicznym uścisku.

- Zaś twoje słowa świadczyły o dozgonnej miłości, tak? Miłości, której nie można zaprzeczyć.

Och, przestań, mój przyjacielu!

- Wyśmiała mnie - wyznał Safar, czerwieniąc się.

- I co z tego? - zapytał Iraj. - Ujeżdżałeś ją całą noc i połowę następnego ranka. A potem, w chwili słabości, poprosiłeś ją o rękę. Odpowiedziała ci, uroczo jak sobie wyobrażam, i przy jednoczesnym wykonywaniu paru sztuczek, by cię podniecić, że nie ma zamiaru przez resztę życia wypiekać chleba i rodzić dzieci wiejskiemu chłopcu. Jest kurtyzaną o wielkiej urodzie i jeszcze większych ambicjach. Ty nalegałeś. Spodziewam się, że ponownie się na nią wspinając. - Rumieniec na twarzy Safara powiedział Irajowi, że dobrze odgadł. - A potem zaśmiała się. To ty powinieneś się śmiać. Dostałeś to, co chciałeś, a teraz skończyłeś z nią. To ona przegrała w momencie, kiedy cię odrzuciła. Jesteś Safarem Timurą, człowiekiem stworzonym do wielkich rzeczy! O kogoś takiego w przyszłości będzie się codziennie modlić.

- Nie mogę patrzeć na wszystko tak chłodnym okiem jak ty - stwierdził Safar.

- No to nie patrz - odparł Iraj, wzruszając ramionami. - Lecz przypuszczam, że wkrótce pojawisz się w zasięgu mojego wzroku. Bierz do łóża kobiety, gdy tego zechcesz. Pogardliwy śmiech kurtyzany - po tym, kiedy się dokona dzieła - nic cię nie kosztuje. Prawda jest taka, że następny mężczyzna, który dosiędzie Astarias, będzie stary i gruby. Zateśkni, wspominając cię, gdy będzie musiała udawać, że jej tłusty, stary pan jest przystojnym bogiem.

Nieczułe słowa pocieszenia, chociaż wypowiedane z przyjaźni, nie ukoili zranionej duszy Safara. Z wdzięcznością więc powitał nagły okrzyk Iraj, zwiastujący jakieś odkrycie.

- Popatrz na to! - krzyknął Iraj, opadając na kolana i kopiąc w śniegu.

Safar zbliżył się, by zobaczyć, co wskazywał przyjaciel. Pod zdzierającymi śnieg palcami Iraj pojawiła się twarz demona. Zwłoki miały kolor bladej zieleni z niebieskawym odcieniem. Ze skrzywionych w grymasie ust sterczały zakrzywione kły wielkości sztyletu. Chociaż Safar i Iraj nie mogli tego wiedzieć, tym demonem był Giff. Wyraz jego twarzy zastygł w zdziwieniu, które pojawiło się w chwili, kiedy Iraj przeciągnął ostrzem po jego gardle. Safar odwrócił się.

- To demon, którego zabiłem - powiedział Iraj. - Widzę to po ranach. - Powiódł palcem po otwartej, czerwonej ranie pod spiczastym podbródkiem Giffa.

- Zakryj go - nalegał Safar.

- Zakryję - powiedział Iraj, ale najpierw wyjął nóż.

Safar spojrzał na niego i przeraził się, widząc, jak przyjaciel wygrzebuje kły czubkiem ostrza.

- Co ty wyprawiasz?

- Zabieram jego zęby - odparł Iraj. - Chcę zrobić z nich naszyjnik.

Safar, który nigdy nie przyzwyczał się do barbarzyńskich zachowań człowieka z równin, odwrócił wzrok.

- Myślałem, że porozumieliśmy się, że będziemy trzymać to w tajemnicy - powiedział - aby ludzie nie niepokoili się niepotrzebnie.

Iraj prychnął.

- Dochowam przysięgi danej Coraleanowi - odparł - ale na swój sposób.

Podniósł zakrwawione kły, a Safar nie mógł odwrócić wzroku.

- Zrobię z nich naszyjnik i zawieszę go na szyi, by witać w nim wrogów. Nie będą dokładnie widzieć, co to jest, ale będą się bać, zastanawiając się, co za bestię musiałem zabić.

Pomimo obrzydzenia, Safar go zrozumiał. Rodacy Iraj przybyli niedawno do Kyranii, powiadamiając, że młody książę może bezpiecznie wracać do domu. Zdradziecki wuj Iraj - lord Fulain - zapadł na zdrowiu. Jego żołnierze stracili ducha, a sprzymierzeniec, Koralia Kan, musiał

brać o pokój. Częścią układu było pozwolenie Irajowi na powrót i zajęcie miejsca dziedzicznego wodza klanu. Oczywiście, pojawiły się tam warunki, zgodnie z którymi jego pozycja okazała się słaba - był przywódcą tylko z nazwy. Ale Iraj już planował, jak je obejść.

Iraj umieścił zęby w skórzanej sakiewce i przytwierdził ją do pasa. Potem zakrył zwłoki Giffa, wygładzając śnieg, aż wyglądał tak jak poprzednio.

- Szkoda, że nie mogę przekonać cię do pozostania w Kyranii - powiedział Safar. - Wszystko może być kłamstwem, żeby wywabić cię z gór.

- Przynajmniej część zapewnień jest kłamstwem - odparł Iraj, podnosząc się i strzepując śnieg z kolan. - Ale przynajmniej przez jakiś czas będą udawać. Kiedy Fulain wyzdrowieje, krwawa walka rozpocznie się na nowo. Przygotuję się na tę chwilę. - Dotknął skórzanej sakiewki z kłami demona. - Twierdzą, że jestem młody i nie sprawdziłem się jeszcze w walce. Te kły poświadczą inaczej. Utrzymam w tajemnicy, skąd je wzięłem, co tylko doda im mocy.

Safar, który chciał uniknąć dalszej dyskusji na ten temat rzekł:

- Zimno mi. Wracajmy do jaskini.

Pół godziny później kucali w jaskini, grzejąc dłonie nad małym ogniskiem. Malowidło z Alisarrianem znajdowało się nad nimi, migocząc nieziemsko.

- Nie wspomniałeś o swoich planach - powiedział Iraj, wygrzebując skrawek suszonego koziego mięsa. - Co będziesz robił po moim wyjeździe? Wciąż nie mogę sobie wyobrazić, że będziesz zadowolony z życia garncarza.

- Nie wiem dlaczego - odparł Safar - ale mnie to przychodzi z łatwością.

- Wiesz równie dobrze jak ja - stwierdził Iraj - że to niezgodne z prawdą. Jesteś magiem, Safarze. Zęby, które zebrałem, są niczym w porównaniu z tym, do czego ty masz prawo. Jakże mógłbyś odrzucić dar Coraleana, dający ci wykształcenie na najznamienitszym uniwersytecie Esmiru?

Safar westchnął.

- Chciałbym nie pojechać - oznajmił - ale nie sądzę, by moja rodzina na to pozwoliła.

- Ani Gubadan - uściślił Iraj.

Safar pokiwał głową.

- Jest jeszcze gorszy od pozostałych - powiedział. - Twierdzi, że okryję wstydem całą Kyranie, jeśli odrzucę tę szansę. Że będę mógł działać wiele dobrego, kiedy wrócę do domu z ogromną wiedzą.

- Ma rację co do pierwszego - powiedział Iraj. - Naprawdę okryjesz wstydem swój lud. Chyba się nie zdarzyło, by kiedykolwiek w dziejach Kyranii jej syn otrzymał taką szansę. Ale Gubadan myli się co do drugiej części. Nie wrócisz, Safarze. Nie jestem Łowcą Snów, jak ty, ale wiem, że gdy tylko opuścisz Kyranie, nigdy tu nie powrócisz, ponieważ dołączysz do mnie, pamiętasz?

- To była fałszywa wizja - odparł Safar.

- Jesteś pewien? - zapytał Iraj, uśmiechając się.

- Absolutnie - odparł Safar. - Ty jesteś ambitny. Ja nie.

- A co z twoimi pozostałymi wizjami? - zapytał Iraj. - Co z tańczącymi ludźmi i wulkanem? Czy sądzisz, że także i ta wizja była nieprawdziwa?

Safar zawahał się, a potem odpowiedział:

- Nie uważam tak. I pewnie dlatego w końcu poddam się woli mojej rodziny i Gubadana. Jedyne miejsce, w którym mogę odkryć, co oznaczała ta wizja, jest Walaria.

- Cokolwiek jest powodem, Safarze - odparł Iraj - błagam cię, podejmij decyzję najszybciej jak

to możliwe. Naucz się, ile zdołasz i tak szybko jak potrafisz. Ponieważ ja ci przyrzekam, że pewnego dnia, gdy będziesz się tego najmniej spodziewał, pojawię się, prosząc, byś do mnie dołączył.

- A ja odmówię - powiedział Safar. - Jesteś moim przyjacielem, ale mimo to powiem nie.

- Dlaczego nie zobaczymy, czy tak się nie stanie? - zapytał Iraj. Wyciągnął skórzaną sakiewkę i wytrząsnął zakrwawione zęby Giffa na dłoń. Potem, zaintonował szyderczo: - Rzuć te kości, Panie Magu, i niech zdradzą nam, co kryje przyszłość.

- Nie bądź głupi - powiedział Safar. - Nie wróżę z kości.

- A więc, nie ma się czego bać - rzekł Iraj. - O, proszę, nawet je dla ciebie wyczyszczę.

Wytarł krew w skórzaną sakiewkę i podał zęby Safarowi. Safar nie poruszył się, tak więc Iraj złapał go za prawą rękę, wyciągnął do przodu i upuścił cztery kły na rozpostartą dłoń przyjaciela. Safar nie wzbraniał się, automatycznie zaciskając na nich palce.

- Co teraz zrobimy? - zapytał Iraj. - Pewnie wymyślimy jakieś zaklęcie i rzucimy je?

- Nie chcę tego robić - odparł Safar.

- Powiem ci, co zrobimy - oświadczył Iraj. - Żeby było łatwiej, ja wypowiem zaklęcie, a ty je rzucisz. Dobrze?

Bez czekania na odpowiedź Iraj zaczerpnął tchu i zaintonował:

*Kości, kości, choć demona były
Powiedz, nam, co kryje przyszłość,
Jakie drogi ujrzymy?*

Kiedy Iraj recytował, zęby demona nagle zrobiły się ciepłe. Safar instynktownie rozluźnił uścisk i potrząsnął nimi jak kostkami do gry.

- Recytacja nigdy nie była moim najlepszym przedmiotem - powiedział Iraj i zaśmiał się. - Ale jeśli ja ryzykuję zrobienie z siebie kompletnego idioty, to pewnie... - Jego głos ucichł, kiedy zobaczył, jak Safar grzechocze kośćmi, a jego niebieskie oczy pulsują w skupieniu.

Safar rzucił je na podłogę jaskini. Zamiast zagrzechotać głucho, wydały z siebie dźwięk, jak gdyby stal uderzyła o stal.

Czerwony dym poderwał się, sycząc i wijąc jak wąż, a dwaj chłopcy odsunęli się, zaniepokojeni. Dym był gęsty i pachniał starą krwią. Wirował przed nimi niczym miniaturowy pustynny derwisz. U dołu uformował się w smukły lejek, rozszerzając się u góry w głowę wielkości pięści. Potem uformowały się usta, wygięte w uwodzicielskim uśmiechu.

Wargi rozchyliły się i kobiecy głos przemówił:

Dwóch obierze drogę, którą dwóch już wcześniej szło. Bracia duchem, lecz nie bracia z łona. Rozdzieleni ciałem i umysłem, lecz bliźnięta w przeznaczeniu. Lecz uważajcie, bracia, czego szukacie. Uważajcie, którą ścieżką wybieracie, bo ta opowieść nie skończy się, póki nie dotrzecie do Krainy Ognia.

Dym nagle znikł, a młodzieńcy wpatrywali się w cztery małe kupki szarego popiołu, które leżały na miejscu kłów demona. Zupełnie, jakby kości strawił gorący płomień.

Iraj otrząsnął się pierwszy.

- Widzisz? - zachichotał. - Usłyszeliśmy to z ust samej wyroczni. - Otoczył ręką ramiona Safara. - „Bracia duchem, lecz nie bracia z łona” - zacytował. - Co za parę stworzymy! Król królów i wielki wezyr!

- Wyrocznia wcale tego nie powiedziała - odparł Safar. - Do diabła, kimkolwiek była, nie wiemy

nawet, czy mówiła o nas.

Iraj parsknął nieuprzejmie.

- Nikogo prócz nas w tej jaskini nie ma - rzekł. - Kogo innego mogła mieć na myśli?

- Pojawiło się też ostrzeżenie - powiedział Safar. - Nie zapomnij o ostrzeżeniu.

- Pewnie, pewnie - odparł zniecierpliwiony Iraj. - Słyszałem. Zostałem ostrzeżony. A więc mamy to za sobą. Powrócę do domu z moim wujkiem i zacznę zbierać siły, a ty pojedziesz do Walarii i będziesz się uczył, aż przyjdzie czas, byśmy na nowo byli razem.

- Nie jestem przekonany, że to właśnie przepowiedziała wyrocznia - rzekł Safar.

- Oczywiście, że tak - odparł Iraj. - Ale nie ma znaczenia, co myślimy. Dowiemy się wszystkiego w nadchodzącym czasie. Po prostu czasem o mnie pomyśl. Kiedy będziesz tkwił po uszy w zakurzonych księgach i zwojach w Walarii, pomyśl, jak jadę wolny przez południowe równiny, a za plecami armia jeźdźców dzierży mój sztandar. Będę powiewał flagą Alisarriana, zmierzając od zwycięstwa do zwycięstwa. - Poklepał pierś Safara. - A ty w swoim sercu będziesz również niósł sztandar Alisarriana - rzekł. - Zanim umrzemy, Safarze, uczynimy ten świat lepszym. To będzie lepszy Esmir dla wszystkich.

To właśnie wtedy Safar się zdecydował. Porzuci swoją ukochaną Kyranię i pojedzie do Walarii. Wstąpi na uniwersytet przy Wielkiej Świątyni, przestudiuje każdy tom, wchłaniając tyle wiedzy, ile zdoła.

Decyzja nie miała nic wspólnego z pełną pasji przemową Iraj. Safar pamiętał ostatnie słowa Wyroczni o krainie ognia. Hadin zwano Krainą Ognia! Hadin, gdzie tańczyli piękni ludzie z jego wizji, umierając w potężnym wybuchu wulkanu, który wyrzucał w ciemniejące niebo płomienie i trujące obłoki.

- Zdecydowałeś się jechać, prawda? - Safar usłyszał pytanie. Podniósł wzrok i ujrzał oczy przyjaciela, jaśniejące radością z zamiarów wyczytanych z twarzy Safara.

- Tak - odparł. - Zdecydowałem.

- A więc pożegnajmy się teraz, bracie - powiedział Iraj. - Wielkie marzenie czeka na nas. Im szybciej zaczniemy, tym szybciej się ono spełni.

Dwaj młodzieńcy objęli się i przysięgli sobie dożgonne braterstwo i przyjaźń.

Iraj poszedł w jedną stronę, Safar w inną, ale żaden z nich nie wątpił - z zupełnie innych powodów - że te ścieżki kiedyś się zejdą.

I spotkają się ponownie.

Część druga

WALARIA

Złodziejka z Walarii

Nerisa patrzyła, jak kat ostrzy miecz. Broń była długa, szeroka i wygięta. Mężczyzna gładził ostrze z taką czułością, jakby to była jego kochanka.

I może rzeczywiście była jego kochanką, pomyślała Nerisa. Słyszała już o dziwniejszych rzeczach.

Kat był wielkim mężczyzną. Nagi tors wynurzał się z obszernych jedwabnych pantalonów w kolorze najczystszej bieli. Miał grube ramiona i krępa szyję przypominającą dębowy pniak. Twarz kryła się za białym jedwabnym kapturem z wyciętymi dwiema dziurami, przez które jego ciemne, ponure oczy mogły kontemplować grzechy ofiar. Ale mimo maski wszyscy wiedzieli, kto to jest: Tulaz, najślawniejszy kat Walarii. Jego legendarny miecz odciął pięć tysięcy rąk i oddzielił od ramion tysiąc głów. Wykonanie wyroku nigdy nie wymagało od niego więcej niż jedno cięcie.

Tego ranka skazano siedmiu ludzi, którzy mieli wypróbować jego sławę. Na placu usytuowanym dokładnie pośrodku głównego rynku, tłoczyli się gapie, przekupnie, kieszonkowcy i alfonsi. Hazardziści zawzięcie obstawiali wynik, ponieważ jeszcze nigdy Tulaz nie podjął się ścięcia tak wielu głów naraz. Obstawiano na niego sześć pierwszych, spoczywających jeszcze na ramionach ludzi podłego rodzaju, którzy nie wyciągnęli żadnej lekcji z poprzednich egzekucji. Siódma jednakże należała do kobiety skazanej za cudzołóstwo. Mówiono, że jest piękna. Wśród tłumu było wielu, którzy zastanawiali się, czy Tulaz zawaha się, stając przed tak delikatną szyją, która mogła położyć kres jego sławie.

Nerisa miała znakomity punkt widokowy, z którego obserwowała przygotowania. Kucała na wysokiej furmance właśnie powracającej z targu, doskonale widząc sześciu zbrodniarzy przykutych do więziennego wozu. Jednak cudzołożnica została ukryta pod rozpiętym nad wozem namiotem. Jej oprawcy nie zapewnili jej takiej prywatności ze względów humanitarnych. Umieli rozpoznać piękno na pierwszy rzut oka i dlatego byli wśród najwyżej obstawiających graczy. Jak zauważyła Nerisa, sprzedawali także tym, którzy należycie posmarowali im łapy, możliwość pospiesznego zerknięcia na zakrytą kobietę.

Nerisa nie była w najmniejszym stopniu zainteresowana egzekucjami. W ciągu dwunastu wiosen swojego życia widziała wiele takich rzeczy. Była dzieckiem ulicy odkąd sięgała pamięcią. Budziła się w alejkach obok świeżych zwłok ludzi, którzy nie zostali zabici tak czysto, jak zrobiłby to Tulaz. Dowiedziała się, że są jeszcze gorsze rzeczy od utraty głowy. Spędziła całe swoje młode życie, unikając ich z kunsztem właściwym jedynie jeszcze paru mieszkańcom Walarii. Bała się Tulaza tylko z tego względu, że pewnego dnia mogła popełnić błąd, którego ceną byłaby jej dłoń. W ten sposób karano tradycyjnie złodzieja złapanego po raz pierwszy. Nerisa była złodziejką, która zamierzała zachować wszystkie swoje członki.

Na plac przyciągnął ją cel zawodowy, a nie rozrywka, chociaż gdy zdała sobie sprawę, że łamie prawo tuż pod nosem kata, przebiegł ją dreszcz. Wyjrzała ze swej kryjówki, żeby przyjrzeć się kramarzowi, który miał zostać jej ofiarą. Stłumiła chichot, widząc jak włazi na skrzynkę, by móc

sięgnąć wzrokiem ponad głowami tłumu. „Ale tłusta świnia - pomyślała. - Skrzynka w życiu nie utrzyma takich zwalów sadła”.

Zgodnie z jej oceną skrzynka zapadła się, zrzucając kramarza na ziemię. Nerisa skuliła się, by powstrzymać się od śmiechu. Żart miał dodatkowy smaczek, ponieważ tłum tak bardzo skupił się na egzekucjach, że tylko ona widziała porażkę tłuszciocha. Nerisa, która była samotnikiem z natury i z racji okoliczności, bawiła się najlepiej dzięki własnym żartom. Kramarz pozbiierał się, znalazł ciężką baryłkę i podtoczył ją do skraju swego kramu. Oparł się o półki z towarami i ostrożnie wgramolił na beczułkę. Wytrzymała, a on rozejrzał się wokół. Zwycięski uśmiech obnażający żółte zęby zgasł, kiedy zdał sobie sprawę, że nikt na niego nie patrzy. Bekając, obrócił się, by obserwować, jak Tulaz przygotowuje się do swej osławionej pracy.

Nerisa zlustrowała półki znajdującego się w namiocie kramu. Uginały się od wszelkiego rodzaju lichych towarów: części do starych lamp, popsutych zabawek, tandetnej biżuterii, zjełczałych kosmetyków, leczniczych proszków i miłosnych napojów wątpliwej jakości. Towary były typowe dla kramów stojących w bramach pod starymi, szarymi kamiennymi murami miasta. Ale kiedy próbowała przyjrzeć się bliżej obiektowi, woźnica zeskoczył ze swojej szerokiej ławy i pogonił ją, wyganiając grubym kijem i krzycząc:

- Znikaj, chłopcze!

Nerisę, która jak na dziewczynę była wysoka i smukła, często brano za chłopca. Zwykle nie poprawiała pomyłek. Nawet zaczęła ubierać się w obszarpany strój ulicznika, składający się z szortów i obszernej koszuli. Aż do niedawna martwiła się, że wkrótce pojawią się kobiece krągłości, jeszcze bardziej utrudniające krycie się przed mężczyznami o złych oczach, polujących na młode kobiety, których domem były ulice. Jeśli złapałoby ją, nikt nie zainteresowałby się jej losem, może prócz staruszka, który pozwalał jej spać w swej księgarni. To właśnie tam spotkała młodego mężczyznę, który zupełnie zmienił jej świat. Teraz martwiła się, że nie dość szybko dorasta.

W jej umyśle pojawił się obraz młodzieńca, który obudził w niej nowe uczucia. Serce mocno zakołatało o żebra. Odepchnęła od siebie wyobrażenie. „Nie bądź taką głupią krową - pomyślała Nerisa. - Skup się na tym tłustym psim gównie przy kramie. Dopadnie cię, jeśli tylko będzie miał szansę”.

Tłum jęknął, a Nerisa obróciła się, by ujrzeć, jak strażnicy odkuwają pierwszego zbrodniarza i prowadzą go do kamiennego pieńka. Rysy znaczyły miejsce w kamieniu, przy którym wiele biednych duszyczek musiało klęknąć i oprzeć się na dłoniach. Powierzchnię kamienia znaczyły czarne plamy krwi przelewanej tu przez wieki. Pomyślała nagle, że krwawy pieniek będzie ostatnią rzeczą na tym świecie, którą ujrzy skazany. Nerisa wzdrygnęła się.

Tłum zaśmiał się, kiedy pierwszy przestępca wdrapał się na wzniesienie, brzęcząc ciężkimi łańcuchami. Był złodziejem, i to kiepskim - już brakowało mu uszu, nosa, a także obu rąk.

- Nie za wiele ci zostało do obcinania, Tulaz - wrzasnął jakiś żartowniś, przekrzykując gwar. - Chyba już mu wszystko uciąłeś!

Tłum zaryczał ze śmiechu.

- Czego on używał do złodziejstwa? - ryknął ktoś inny. - Palców u nóg?

Natychmiast zapiszczała jakaś stara:

- Nie palców, ty ślepy kretynie. Kutasa! Widzisz, jak do nas wygląda?

Nerisa nie mogła nie rzucić okiem. Bez wątplenia widać było bardzo długą męskość złodzieja, zwisającą spod zgniłego w lochach przyodziewku. Złodziej miał poczucie humoru i podjął grę. Ku

ogromnemu zadowoleniu tłumu podniósł dwa kikuty, które kiedyś były rękami i poruszał biodrami w przód i w tył, jakby kopulował z powietrzem. Tłum zawył z uciechy i obficie rzucał monetami na podwyższenie, przekupując Tulaza, by ten w zamian za tak wspaniałą rozrywkę skrócił agonię przestępcy. Tulaz ocenił, że miedziaki piętrzą się coraz wyżej i rozpoczął swoją zwyczajową ceremonię, która składała się ze złowróźbnych cięć w powietrzu, przybierania pozycji i zmian uchwytu.

- Na kolana go! - krzyknął do strażników.

Natychmiast strażnicy rzucili złodzieja na ziemię i usunęli się z drogi. Tulaz dał jeden, zamaszty krok i ciął ledwie złodziej zdążył podnieść głowę.

Wszystko odbyło się tak szybko, że człowiek nie zdążył nawet krzyknąć, ani zaczerpnąć tchu. Po prostu tam, gdzie metal zanurzył się w ciało pojawiła się szrama, a potem z nagle pustej szyi trysnęła krew. Głowa złodzieja z wciąż przyklejonym szczerbatym uśmiechem potoczyła się w tłum, gdzie zaczęły się spierać o nią świnię, psy i dzieci.

- Och, dobra robota, Tulaz! Dobra robota! - Nerisa słyszała, jak kramarz się wydziera. Z pewnością postawił na pierwsze ścięcie tego dnia.

Nerisa pomyślała, że ma szansę, kiedy straż wyprowadzała drugą ofiarę. Kramarz był wielce zainteresowany, stając na palcach, by lepiej widzieć. Nerisa zaczęła ześlizgiwać się z wozu. Potrzebowała tylko jednej chwili nieuwagi. Porwie wtedy swoją nagrodę i zniknie w tłumie, zanim znajdzie się ktoś mądrzejszy. Beczka zachwiała się pod nią i musiała się czegoś schwycić, by odzyskać równowagę. Chociaż hałas był niewielki, kramarz wyczuł, że coś niedobrego się dzieje i niespokojnie rozejrzał się wokół. Nerisa zakłęta, ale zdążyła schować się z powrotem na czas.

Dziewczyna usadowiła się, czekając. Musiała być cierpliwa, żeby uszczknąć coś z zapasów tego kramarskiego wieprza. Była dumna ze swojej cierpliwości i uporu w działaniu. W myślach ustalała cel i choćby nie wiadomo jak długo miała trwać jego realizacja, w końcu go osiągała. Przyszło jej na myśl, że najlepszy moment nadejdzie, kiedy wyciągną cudzołożnicę. Strażnicy najpewniej zostali opłaceni, by obnażyć kobietę przed śmiercią. Kramarz wraz z resztą gapiów będzie tak skupiony na skazanej nagusce, że na pewno nie zauważy akcji Nerisy.

Dziewczyna, przykucając w oczekiwaniu na tę chwilę, pomyślała o biednej kobiecie siedzącej w namiocie. Przerazenie, które ją na pewno ogarniało, sprawiło, że serce Nerisy zabiło mocniej ze współczucia. Jakże wielka cena za spoczynek w ramionach kochanka. niesprawiedliwość była uderzająca. Przez chwilę serce bolało ją tak, że nie mogła oddychać.

„Przestań, Neriso - rozkazała sobie, walcząc o odzyskanie panowania. - Przecież wiele razy już to widziałas”.

Safar siedział w małej gospodzie na świeżym powietrzu, ocieniony starą, szerokolistną figą, i liczył monety, które leżały na kupce w lepkiej kałuży wina. Natrętna osa sprawiła, że się pomylił i musiał policzyć je wszystkie od nowa. Był już pijany, więc potarł zamglone oczy i zdecydował, że wystarczy mu na jeszcze jeden kubek najlepszego wina w Foolsmire, które, mówiąc ściśle, było najgorszym, a zatem najtańszym winem w całej Walarii.

Było późne popołudnie i letni upał ścielił się grubą warstwą nad miastem, tłumiąc wszelkie myśli i ruchy. Ulice opustoszały, a domy i sklepy zamknęły okiennice na czas między południowym posiłkiem a wieczornym wezwaniem do modlitwy. Było tak cicho, że gdy w oddalonych zagrodach dla bydła rozległo się beczenie małego wielbłąda tęskniącego za matką, dźwięk odbijał się echem po

mieście. Mieszkańcy Walarii ucinali niespokojną drzemkę w osłoniętej okiennicami ciemności, zbierając energię na ponowne stawienie czoła dniu. Był to czas na sen, na schadzki kochanków i zadumę nad sobą.

Safar zastukał grzecznie w szorstkie drewno stołu.

- Katalu! - krzyknął. - Opadam z sił. Przynieś mi z łaski swojej jeszcze jeden kubek ze studni.

Z cienistej głębi księgarni przytulonej do gospody rozległo się mamrotanie. Po chwili pojawił się starzec, niedbale odziany w znoszone szaty uczonego. Był to Katal, właściciel Foolsmire, gospody na otwartym powietrzu upchniętej na końcu długiej, ślepej alejki w Kwaterach Studentów. Katal trzymał książkę, a jego palec wskazujący wetknięty pomiędzy strony zaznaczał miejsce, w którym skończył czytać.

- Powinieneś odpoczywać, Safarze - rzekł - albo przykładać się do studiów. Wiesz równie dobrze jak ja, że egzaminy na akolitów drugiego stopnia odbędą się za niecały tydzień.

Safar jęknął.

- Katalu, nie psuj tak doskonałego stanu upojenia. Zainwestowałem całą tygodniówkę, by osiągnąć obecny stan przyjacielskiej nietrzeźwości. Panie mój, zaistniała konieczność napicia się, więc zanurz swą rękę w głębinę świętej studni, by wydobyć z niej owo drogocenne dobro, o mój miły posłańcu błogości. I sięgaj głęboko. Znajdź mi kubek tak zimny, na ile te monety pozwolą.

Katal zacmokał z dezaprobatą, ale położył książkę na stole i pokuśtykał do starej kamiennej studni. Krawędź oplatało z tuzin lin przywiązanych do zatopionych w kamieniu ciężkich bolców. Końce sznurów znikwały w chłodnej, ciemnej głębinie. Wyciągnął jeden, aż pojawiło się ciężkie wiadro. Wypełniały je dzbany z czerwonej gliny, szerokości dużej dłoni i wystające równo na osiem cali nad brzeg wiadra. Katal wyjął jeden i podał go Safarowi.

Młodzieniec pchnął monety, ale Katal potrząsnął głową, odpychając je z powrotem.

- Tym razem ja stawiam - powiedział. - Dzisiaj moją ceną jest rozmowa, nie miedziaki. Specjalność Foolsmire, jeśli można tak to nazwać.

- Zgoda - odparł Safar. - Będę słuchał twych rad godzina po godzinie, mój przyjacielu, jeśli tylko napełnisz mój kubek.

Chlapnął wino w szeroki, spękany róg. Zatkanął dzban, potem podniósł go, badając.

- Trzy lata temu - oznajmił - pomagałem ojcu wytwarzać takie dzbany. Oczywiście, były znacznie lepsze. Powlekano je i ozdabiano, by mogły pojawić się na wykwintnych stołach. Nie produkowano ich hurtem w fabrykach.

Katal usiadł na ławie naprzeciwko Safara.

- Nigdy nie było mnie stać na taki luksus - odparł. - Gdybym miał w studni wiadra pełne dzbanów Timurów, wylałbym wino i sprzedał dzbany. Tylko pomyśl o tych wszystkich książkach, które mógłbym za to kupić!

- Zdradzę ci tajemnicę, Katalu - rzekł Safar. - Gdybyś miał dzbany Timurów, mógłbyś sam robić wino, brandy lub piwo, jeśli wolisz. Mój ojciec wypowiada specjalne błogosławieństwo nad każdym dzbanem, który wyprodukuje. Później musisz jedynie nalać trochę wody, dorzucić odpowiednie składniki, by uzyskać żądany trunek, i będziesz miał nie kończące się źródło ulubionego napoju.

- Jeszcze trochę garncarskiej magii! - zadrwił Katal. - I tym razem jest to woda zamieniona w wino. Nic dziwnego, że doprowadzasz nauczycieli do rozpaczki.

- Właściwie - rzekł Safar - to nie ma w tym ani grama magii. Mój ojciec zaprzeczyłby temu, ale

to prawda. Widzisz, częścią zaklęcia jest wlanie alkoholu ze starego, wypróbowanego dzbana. Potrzebujemy nowym dzbanem i przelewamy alkohol z powrotem. A małe zwierzątka, które zostają w glinie, będą produkować alkohol aż po kres dni - dopóki nie umyjesz dzbana.

- Małe zwierzątka? - zapytał Katal, ściągając w niedowierzaniu krzaczaste brwi.

Safar skinął głową.

- Zbyt małe, by je zobaczyć okiem.

Katal prychnął.

- To skąd wiesz, że tam są?

- A cóż innego? - zapytał Safar. - W ramach eksperymentu wykonałem kilka takich dzbanów. Nad niektórymi wyśpiewałem zaklęcie, ale nie wlałem płynu. W drugie wlałem alkohol, ale nie zaklinałem. Drugie wytworzyły dobre wino. Pierwsze tylko wodnistą papkę.

- To wciąż nie wyjaśnia istnienia małych zwierzątek, które wytwarzają alkohol - wytknął Katal. - Widziałeś je?

- Mówiłem ci - przekonywał Safar - że są zbyt małe, żeby dało się je zobaczyć nie uzbrojonym okiem. Wywnioskowałem ich istnienie. Jakie inne może być wyjaśnienie?

Katal prychnął.

- Przekłete teoretyzowanie - stwierdził. - Kiedy nauczysz się, że hipoteza nie sprawia, że rzeczywistość będzie z nią zgodna?

Safar zaśmiał się i osuszył kubek.

- A więc nie wiesz nic o magii, Katalu - powiedział, wycierając brodę. - Magia właśnie jest hipotezami. - Beknął i ponownie napełnił kubek. - Ale odpowiedzią jest oszustwo. Przyznaję to. Mówiłeś o naukowej obserwacji. I miałeś rację, krytykując mnie. Nigdy nie widziałem tych małych zwierzątek, ale podejrzewam, że istnieją. I gdyby ktoś dał mi pieniądze, mógłbym wyszlifować tak mocne soczewki, że zdołałbym zobaczyć zwierzątka i udowodnić ich istnienie.

- Kto by ci dał na to pieniądze? - zapytał Katal. - I nawet gdybyś udowodnił, że masz rację, to kogo by to obchodziło?

Safar nagle spoważniał. Dźgnął się palcem w pierś.

- Mnie - odparł. - I powinno obchodzić wszystkich. Jeśli nie wiemy nic o najmniejszych rzeczach, jakże mamy poznać większy świat? Jak mamy sterować naszym przeznaczeniem?

- Już się kiedyś o to kłóciliśmy - rzekł Katal. - Ja twierdzę, że przeznaczenie śmiertelników to sprawa bogów.

- Ha! - brzmiała odpowiedź Safara. - Bogowie mają własne sprawy. Nasze kłopoty nic ich nie obchodzą.

Katal rozejrzał się nerwowo. Nie zobaczył nikogo w zasięgu słuchu prócz wnuka, Zemana, który wyszedł na zewnątrz w trakcie ich rozmowy i zmiatał liście figowca ze stołów na drugą stronę patio.

- Uważaj, co mówisz, mój młody przyjacielu - ostrzegł Katal. - Nigdy nie wiadomo, kiedy zjawi się jeden z królewskich szpiegów. W Walarii kara za herezję jest wysoce nieprzyjemna.

Safar, skrytykowany, schował głowę w ramiona.

- Wiem, wiem - odparł. - Przepraszam, że mnie przy tobie poniosło. Nie chcę przysporzyć ci kłopotów swoimi poglądami. Czasami tak trudno jest pamiętać, że tutaj muszę trzymać język za zębami. W Kyranii dwudziestoletni mężczyzna może wypowiadać się na dowolnie wybrany przez siebie temat.

Katal pochylił się bliżej. Z jego niechlujnej brody wyłaniał się łagodny uśmiech.

- Mów mi co chcesz, Safarze - odrzekł. - Ale dyskretnie, mój panie. Dyskretnie i ściszym głosem.

Staruszek był dla Safara miłym wujkiem, odkąd chłopiec pojawił się w Walarii, mniej więcej trzy lata temu. Czując się jak członek rodziny, Katal zanurzył rękę w głąb szaty i wyłowił mały kubek. Oczyszczył go rękawem, a potem napełnił winem. Wypił i powiedział:

- Powiedz mi, Safarze, o co chodzi. Jeśli twoja rodzina pojawiłaby się tutaj, zmartwiłaby się wielce. Powiem ci, co rzekłby twój ojciec na to, że od prawie miesiąca pijesz na umór. Twoje studia muszą na tym cierpieć, tak jak i finanse. Nie masz pieniędzy na jedzenie, a tym bardziej na książki. Nie uskarżam się, ale przecież żywię cię za darmo. Potrafiłbym nawet odstąpić od pobierania zwyczajowej opłaty za wypożyczenie potrzebnych książek, gdybym tylko wiedział, że zrobisz z nich jakiś użytek. Zbliży się najważniejszy w twojej karierze studenta egzamin. Wszyscy pozostali kandydaci drugiego stopnia, prócz synów bogaczy, których sukces jest zapewniony posiadaniem przez nich bogactwem, uczą się ciężko. Nie chcą przynieść wstydu swym rodzinom.

- A po co się uczyć? - zapytał Safar. - Bez znaczenia, czy dobrze mi pójdzie, Umurhan i tak mnie obleje.

Brwi Katala podjechały w górę.

- A to dlaczego? - spytał. - Jesteś najlepszym studentem, którego Umurhan miał od lat.

Umurhan był Głównym Magiem Walarii. Z racji swego stanowiska nadzorował świątynię i przylegający do niej uniwersytet, gdzie szkolono uczonych, kapłanów, uzdrowicieli i magów. Odpowiadał jedynie przed królem Didimą, władcą miasta i okolic.

- Tak czy inaczej, zamierza mnie oblać - odrzekł Safar.

- Musi być jakiś powód - stwierdził Katal. - Czym zasłużyłeś sobie na jego gniew?

Safar skrzywił się.

- Złapał mnie w swojej bibliotece, kiedy robiłem notatki z zakazanej księgi.

Katal przeraził się.

- Jak mogłeś tak ryzykować?

Safar zwiesił głowę.

- Myślałem, że jestem bezpieczny - odparł. - Już wcześniej zakradałem się do jego pracowni i zawsze unikałem przyłapania. Wiedziałem, jakie ryzyko podejmuję. Ale, do cholery, jestem na tropie czegoś ważnego! I pomyślałem, że jeszcze jedna wyprawa może zaowocować tą jedyną potrzebną mi informacją. Wśliznąłem się dobrze przed pierwszym brzaskiem. Wszyscy wiedzą, że stary Umurhan lubi sobie pospać, tak więc żadne zagrożenie nie powinno się pojawić. A tymczasem ledwie wszedłem do pomieszczenia i zapaliłem świecę, a on nagle wyłonił się z cienia. Czekał tam na mnie.

- Czy ktoś go ostrzegł? - zapytał Katal.

- Nie widzę takiej możliwości - oznajmił Safar. - Zdecydowałem się na wszystko w ostatniej chwili. Nikt o tym nie wiedział. Zgaduję, że pozostawiłem jakieś ślady podczas mojej ostatniej wizyty. A on cały ten czas czekał, żeby mnie dopaść.

- Miałeś szczęście, że nie wyrzucił cię od razu - rzekł Katal. - Albo, co byłoby jeszcze gorsze, nie doniósł Kalasarizowi, że jesteś niebezpiecznym heretykiem.

Lord Kalasariz był głównym szpiegiem Didimy. Zatrudniał tak wielu donosicieli, że w Walarii opowiadano żart, iż nawet oni byli szpiegowani.

- Umurhan powiedział to samo - odrzekł Safar. - Powiedział, że mógł mnie wrzucić do jednej z cel Kalasariza, gdzie gniłbym po wsze czasy za wszystko, co zrobiłem. Nie wezwał wtedy

podwładnego Kalasariza tylko dlatego, że jestem tak dobrym studentem.

- A widzisz? - powiedział Katal. - Jest nadzieja. Zdołałeś przerobić cztery lata nauki w ciągu dwóch. Nikt w twoim wieku w tak krótkim czasie nie został zakwalifikowany do egzaminów na akolitę drugiego stopnia. - Wskazał na dzban z winem. - A teraz niszczysz szansę na poprawę, którą on ci daje.

Safar skrzywił się, przypominając sobie rozwścieczenie Umurhana.

- Nie sądzę, żeby to było możliwe - stwierdził. - Nie zostałem natychmiast wyrzucony tylko dlatego, że moim mentorem jest lord Muzine, najbogatszy kupiec w mieście. - Muzine był przyjacielem Coraleana, człowiekiem, który został poproszony o pomoc w zapewnieniu Safarowi miejsca na uniwersytecie. - Umurhan nie chce skandalu, a z pewnością nie chce obrazić Muzine'a. Obleje mnie, a potem zanieś Muzine'owi smutne wieści. To najczystszy sposób pozbycia się mnie.

- Cóż, ja przynajmniej nie będę tego żałował - dobiegł ich głos. Obaj obrócili się i ujrzeni, że Zeman przeszedł już przez całe patio i czyścił teraz stół obok nich. Zeman był mniej więcej w wieku Safara. Miał prawie taki sam wzrost, ale był tak chudy, że wyglądał niemal jak szkielet. Miał brzydką cerę, długą, końską twarz, puste oczy i zbyt duże zęby. - To przez takie pijawki jak ty mój dziadek jest biedny - powiedział Zeman. - Wszyscy jecie i pijecie na kredyt, albo w ogóle nie płacicie. Pożyczacie księgi i zwoje, przetrzymując je tak długo, jak wam się podoba, i nie płacąc za dodatkowe korzystanie. I to nie tylko studenci tak robią. A co z tą suką Nerisą, którą wziął pod swoje skrzydła? To przecież złodziejka. Nie, obawiam się, że mój dziadek jest zbyt dobrotliwy, by mu to wyszło na zdrowie. I mnie także. Przez takich jak ty muszę obejść się bez wielu rzeczy. - Wskazał na swój strój - obcisłe brązowe pończochy, sięgającą ud tunikę i pantofle z zakreconymi noskami - nędznie imitujący ubranie modnisiów. - Muszę ubierać się na ulicznych targowiskach. To obraza dla młodzieńca z moją klasą i perspektywami.

Katal rozgniewał się.

- Nie mów tak do mojego przyjaciela! Safar dostaje tylko to, co sam zechce wziąć. Jest przyjacielem i ma jeden z najświetniejszych umysłów, jakie napotkałem przez lata.

Safar interweniował.

- Ma rację, Katalu. Jesteś zbyt hojny. Założę się, że od chwili, kiedy otworzyłeś Foolsmire przed czterdziestu laty, nie podniosłeś cen. Dlatego wszyscy tu przychodzimy. Masz prawo do godziwego zysku, przyjacielu. A w twoim wieku zasługujesz na spokojne życie.

Zeman wtrącił się.

- Podziękuję ci, jeśli będę chciał, żebyś mnie bronił przed moim dziadkiem - powiedział do Safara. - Nie potrzebuję obrońcy. Jestem rozsądny, a nie skąpy.

- Obaj mówicie z arogancją właściwą młodości - rzekł Katal. - Żaden z was nie ma pojęcia, dlaczego żyję tak jak żyję.

Wskazał na wyblakły szyld zwisający z zardzewiałego, żelaznego pręta nad drzwiami księgarni.

- Nazwę widzą wszyscy: Foolsmire. Byłem młodzieńcem, kiedy zawieszałem ten znak. W tym samym czasie zasadziłem to drzewo. Wtedy było jedynie patyczkiem z kilkoma liśćmi. Teraz ocienia nas potężnymi konarami. - Stare oczy zaświeciły się, ożywione wspomnieniem. - Byłem młodym, zdolnym człowiekiem - rzekł. - Chociaż pewnie nie tak zdolnym jak to sobie wyobrażałem. Mimo wszystko miałem umysł na tyle giętki, by współzawodniczyć z innymi na uniwersytecie. Ale nie miałem pieniędzy ani wpływów, by zapewnić sobie wstęp. Nade wszystko kochałem księgi i wiedzę. A zatem szukałem raju głupców i stałem się sprzedawcą książek. Pożądałem towarzystwa najbardziej

inteligentnych studentów, by omawiać idee, o których czytałem w księgach. Stworzyłem miejsce, które przyciągało takich ludzi, oferując swoje towary po możliwie najniższych cenach. Widzicie przed sobą biedaka i głupca, ale też szczęśliwego człowieka, ponieważ w Foolsmire zrealizowałem swoje marzenia.

Safar roześmiał się i pokiwał ze zrozumieniem głową. Zeman zmarszczył brwi, jeszcze bardziej nieszczęśliwy.

- A co ze mną, dziadku? - zaprotestował. - Nie prosiłem się o życie. Nie prosiłem o zarazę, która zabiła rodziców. Moja matka - twoja córka - była na tyle piękna, że przyciągnęła uwagę mężczyzny, który miał przed sobą przyszłość, ale zmarł zanim zaczął prosperować. Nie zadbał, bym i ja miał taką szansę.

- Dałem ci dom - odparł Katal. - Cóż więcej mogłem ci dać? Twoja babka również zmarła podczas tej zarazy, tak więc straciłem całą rodzinę. Mam tylko ciebie.

- Wiem o tym, dziadku - odrzekł Zeman. - I doceniam twoje poświęcenie. Proszę jedynie, byś się trochę bardziej postarał. Nie rozdawaj tak dużo. A kiedy ja pewnego dnia odziedziczę to miejsce, będziesz mógł spokojnie pójść do grobu, wiedząc, że ja o nie zadbam. - Zeman rozejrzał się wokół, zauważając, jak bardzo jego dziedzictwo jest zapuszczone. - Ten lokal ma przecież dobrą lokalizację. Leży w samym sercu Kwater Studentów. Powinien dostarczyć mi godną sumkę.

Safar musiał walczyć ze swoim temperamentem. W Kyranii nie do pomyślenia było, by młodzik przemawiał tak zimno i tak nieuprzejmie do swojego dziadka, ale pozostawienie komentarzy Zemana zupełnie bez odpowiedzi zakłóciłoby jego sen.

- Gdyby to ode mnie zależało - powiedział - to nigdy nie sprzedałbym tych ksiąg. Parafrazując poetę: Czy możesz kupić coś choć w połowie tak cennego jak to, co sprzedajesz?

- Tak. Na przykład burdel z dobrze rozplanowanym salonem gier - odparł Zeman, po czym jeszcze raz przetarł gniewnie stół i oddalił się.

- Nie powinieneś pozwolić, by mu to uszło na sucho - stwierdził zapalczywie Safar. - Zupełnie nie okazuje ci szacunku.

- Nie zwracaj na niego uwagi - powiedział Katal. - Zeman jest, jaki jest. Nic na to nie można poradzić. Teraz martwię się o Safara Timurę.

- Na niego też nie można nic poradzić - odrzekł Safar.

- Co takiego znalazłeś, że zaryzykowałeś spotkanie z Umurhanem? - zapytał Katal, szarpiąc z frustracji za brodę.

Safar spuścił wzrok.

- Wiesz - powiedział.

Oczy Katala zwęziły się.

- Znowu Hadin?

- Tak.

- Dlaczego masz taką obsesję na punkcie miejsca po drugiej stronie świata? - spytał Katal. - Nawet nie wiadomo, czy naprawdę istnieje. Kraina Ognia, jak go nazywają. Z tego, co wiemy, równie dobrze mogą to być Ziemie Lodu. Albo Kraj Mokradeł.

- Wiem, co widziałem w wizji - oznajmił Safar. - I czuję w kościach, że koniecznie trzeba dowiedzieć się, co się tam wydarzyło.

- Zapewne uważasz, że ślad wiedzie do prywatnej biblioteki Umurhana - powiedział sucho Katal.

- Między jego zakazane księgi.

Safar pokiwał głową, a potem pochylił się do niego.

- Natrafiłem na imię - ujawnił ściszym głosem. Wykonał gest w stronę księgarni. - Powtarza się często w paru twoich najstarszych zwojach. Uczeni mówią o pewnym starożytnym mężu, którego nazywają lord Asper. Był wielkim magiem i filozofem. Zmierzył świat, a także odległość z Esmiru do księżycy. Wiele jego przepowiedni spełniło się, włącznie z pojawieniem się Alisarriana i upadkiem jego imperium.

Katal wyglądał na zainteresowanego.

- Nigdy o kimś takim nie słyszałem - rzekł.

- Nie sądzę, by Asper był człowiekiem - odpowiedział Safar.

- A kimże mógłby być?

- Demonem.

Katal był tak zaskoczony, że niemal zerwał się na równe nogi.

- Demon? - wrzasnął. - Co to za obłąd? Demony nie mają nam nic do zaoferowania prócz zła! Nie dbam o to, jak mądry był ten Asper, bo z pewnością był zły. Wszystkie demony są takie. Dlatego między naszymi gatunkami rozciąga się bariera, klątwa Zakazanej Pustyni.

- Ach, to - rzekł Safar. - Klątwa nic nie znaczy.

- Jak możesz nazywać największy czar historii niczym? - powiedział przerażony Katal. - Najświatniejsze umysły, a niektóre z nich należały przecież do demonów, stworzyły to zaklęcie. Jest nie do złamania.

Safar wzruszył ramionami.

- W istocie podejrzewam, że dość łatwo jest je złamać - stwierdził. - Doprawdy, nie badałem tego szczegółowo, ale wiem, że klątwa opiera się na pracy Aspera. Miał wielu wrogów i wielu rywali. Niektórzy twierdzą, że w celu ochrony magii o największej mocy stworzył czar komplikacji, który sprawiał, iż nawet najprostszy strzępek czarów wydawał się tak pogmatwany i trudny, że wprowadzał w błąd nawet największego czarodzieja. Gdybym chciał złamać klątwę, zaatakowałbym czar komplikacji, a nie samą klątwę. Nie sądzę, żeby rozwiązanie problemu wymagało wiele wysiłku. Jestem pewien, że znalazłbym klucz, gdybym mógł położyć ręce na księgach Aspera. I tego właśnie szukałem, kiedy Umurhan mnie zaskoczył.

- Czy naprawdę zrobiłbyś tak, Safarze? - zapytał wstrząśnięty Katal. - Czy rzeczywiście zniósłbyś klątwę?

- Oczywiście, że nie - odparł Safar ku wielkiej uldze Katala. - Jaki by to miało cel, prócz ściągnięcia na nas wszystkich niebezpieczeństw? Nie mam lepszego zdania o demonach od ciebie.

Tak jak przysiągł Coraleanowi, Safar nigdy przed nikim nie wspominał własnych doświadczeń z demonami. Nawet przed Kataliem. Nie dodał więc, że sam miał nawet więcej powodów, by obawiać się tych istot, niż stary księgarz mógł sobie wyobrazić. I niejednokrotnie przychodziło mu na myśl, że pomimo wytłumaczeń Coraleana demoniczni najeźdźcy mogli znaleźć sposób na przebycie Zakazanej Pustyni. A jeśli tak właśnie było, to modlił się, by wiedza umarła wraz z nimi podczas lawiny.

Nic nie zdradził Katalowi, a zamiast tego wytłumaczył:

- Jestem jedynie zainteresowany tym, co Asper powiedział o Hadinie. Myślę, że problem sięga początków naszego świata. I nas wszystkich, zarówno ludzi, jak i demonów.

- To niezmiernie intrygujące, Safarze. Ale nadaje się to jedynie na intelektualną dyskusję, i mogę dodać, że jedynie w bardzo wąskim gronie, ponieważ jest to niebezpieczny temat. Proszę, dla twego dobra i dla dobra twojej rodziny, porzuć to. Zapomnij o Asperze i o Hadinie. Ucz się pilnie i zdaj

egzamin. Jestem pewien, że Umurhan ustąpi. Mój młody przyjacielu, jesteś przeznaczony do wielkich rzeczy. Nie potknij się teraz. Patrz w przyszłość.

- Przecież tak robię, Katalu - powiedział Safar z naciskiem. - Czy tego nie widzisz? W mojej wizji... - Pozwolił, by reszta popłynęła sama. Wielokrotnie omawiał to z Kataliem. - Po pierwsze, nigdy nie chciałem przyjeżdżać do Walarii - rzekł. - Moja rodzina nalegała, bym skorzystał z hojnej oferty Coraleana. - Safar opowiadał wiele mętnych historii, dlaczego pan karawany czuł się wobec niego zobowiązany. Katal, zdając sobie sprawę, że stąpa po grząskim gruncie, nigdy nie naciskał Safara, by ten zdradził szczegóły. - Stary Gubadan zaszlochał, kiedy najpierw odmówiłem. Zupełnie, jakbym go odzierał z dumy.

- Rozumiem - odparł Katal. - W końcu byłeś jego najlepszym studentem. Niewielu ludzi przerasta swych mistrzów. To cenne doświadczenie.

- Ale to wciąż nie to zmusiło mnie, bym zmienił zdanie - odrzekł Safar. - Kocham Kyranię. Nigdy nie chciałem jej opuścić. I już od prawie trzech lat nie dotknąłem nawet grudki mokrej gliny. Jednak wizje Hadinu nawiedzały mnie. Nie mogłem spać. Prawie nic nie jadłem. Im więcej o nim myślałem, tym mocniej czułem, że nic nie wiem. I jedynym sposobem na uwolnienie się od tego było iść na uniwersytet i uczyć się. Tak więc Hadin wyrwał mnie z mojej doliny, Katalu. I wciąż mnie od niej odciąga.

Błękitne oczy Safara jarzyły się świętym zapalem młodości. Katal westchnął w duchu, mgliście przypominając sobie dni, kiedy sam był opętany jedną myślą. Wydawało mu się jednak, że opowieść Safara jest znacznie bardziej złożona niż mu opowiedział. Tutaj działały też inne siły: gorzkie doświadczenia, a może nawet tragedia. Czy mogła to być kobieta? Nie, raczej nie; Safar był jeszcze zbyt młody.

Właśnie układał słowa, by jeszcze raz błagać o ostrożność, kiedy przeszkodziły mu głośne wołania i tupot stóp.

Obaj podnieśli wzrok, by ujrzeć małą, bosonogą postać w obszarpanym ubraniu, która pędziła ku nim aleją.

- Nerisa, co się stało? - krzyknął Safar, kiedy się do nich zbliżyła.

Wtedy dobiegły go wrzaski, tuż zza wejścia do alejki:

- Łapać złodzieja! Łapać złodzieja!

Nerisa przebiegła obok niego i jak strzała pomknęła w górę drzewa, znikając między gęstym listowiem.

Chwilę później w polu widzenia pojawił się tłusty kramarz, za którym podążało kilku groźnie wyglądających mężczyzn. Zwolnili, dysząc ciężko.

- Gdzie on jest? - zażądał odpowiedzi kramarz, kiedy już do nich dotarł. - Dokąd poszedł?

- Gdzie kto poszedł? - zapytał Katal, przybierając wyraz zdziwionej niewinności.

- Złodziej - powiedział jeden z opryszków.

- Wielki, brutalny facet - wtrącił się kramarz. - Mówię wam, to prawdziwe zwierzę. Nie obawiam się stwierdzić, że bałem się o swoje życie, kiedy go przyłapałem na kradzieży.

- Nie widzieliśmy nikogo, kto by pasował do tego opisu - oznajmił Safar. - Prawda, Katalu?

Katal przybrał wyraz surowej powagi.

- Nie, z pewnością nie, a siedzimy tu już od kilku godzin.

- Rozejrzyjmy się tu wokół - rzekł jeden z groźnie wyglądających mężczyzn. - Może tych dwóch dobrych obywateli zbyt głęboko zanurzyło nosy w winie, by cokolwiek zauważyć.

- Zapewniam, że nie przechodził tędy nikt, kto wyglądał jak opisany przez was mężczyzna - odparł Katal. - Ale proszę bardzo, rozglądajcie się, gdzie chcecie.

Nerisa delikatnie rozchyliła gałązki, by przyjrzeć się scenie rozgrywającej się poniżej. Podczas gdy groźni mężczyźni rozglądali się, Safar i Katal nawiązali z kramarzem niedbałą rozmowę, by uspić ich czujność.

Złodziejka nie była z siebie zadowolona. Pozwoliła, by emocje zniszczyły dobry plan, a potem, kiedy wszystko poszło źle, zareagowała z paniką. Egzekucja, ku rozczarowaniu wielu z najzagorzalszych hazardzistów, przebiegła bez komplikacji. Reputacja Tulaza pozostała nietknięta, a szyja cudzołożnicy wręcz przeciwnie. Zaś tłum zgromadzony na placu otrzymał niezłe widowisko. Ofiara była tak piękna, jak mówiono. I ku uciechu tłumu zawodziła, kiedy strażnicy zerwali z niej ubranie. Próbowwała żałośnie ukryć swoją nagość skutymi rękami. Tulaz zagrał niezłe, udając, że się kilkakrotnie waha nad głową okrytą prześlicznymi lokami, która pochylała się pod jego ostrzem. A potem odciął ją z taką łatwością, że nawet największy głupiec nie miał złudzeń co do miniaturowej wielkości kamiennego serca kata.

Ale tuż przed uderzeniem kobieta wydała z siebie tak żałosny jęk, że odbił się echem po nagle oczyszczonym placu. Był to jęk tak wielkiego cierpienia, wyrwany z najciemniejszej studni ludzkiej rozpacz, że wyrwał Nerisę z jej emocjonalnego zacisza. Po raz pierwszy w życiu zalała się łzami. Ogarnęło ją przemożne pragnienie, by opuścić jak najszybciej to pełne ohydy miejsce.

Wtedy miecz Tulaza odrąbał głowę kobiety. Tłum zaryczał z aprobatą. Nerisa zeskoczyła z platformy, lądując twarzą do kramu. Obiekt, po który przyszła, błyszczał na jednej z półek. Kontrolę nad nią przejął instynkt. Schwyciła go, usłyszała alarmujące wycie kramarza, który odkrył, co się stało, i ślepo zanurkowała w tłum.

- Złodziej! - wrzasnął kramarz.

Pomimo chaosu, który zapanował po egzekucji, straż placu usłyszała jego krzyk i natychmiast przybiegła. Najczarniejszy los sprawił, że tłum się przed nimi rozstępował. Jednemu z mężczyzn nawet udało się złapać ją za ramię, ale podrapała go, więc krzyknął tylko i ją puścił. Nerisa biegła szybko, jak jeszcze nigdy w życiu. Ale strażnicy byli sprytni i obeznani z uliczną pogonią oraz z wybiegami złodziejasków. Zablokowali wszelkie uliczki, którymi mogła uciec. A Nerisa, ku jej obecnemu olbrzymiemu wstydowi, wybrała w panice szlak ostatniej deski ratunku i powiodła ścigających wprost do Foolsmire - jej jedyne miejsce ucieczki, w którym znajdował się ktoś, kogo obchodziła mała, koścista złodziejka nie pamiętająca matki, ojca ani żadnego ciepłego odruchu.

Poklepała niewielki przedmiot ukryty pod koszulą. Był to prezent dla Safara. Zerknęła pomiędzy szerokimi liśćmi drzewa figowego i zobaczyła, jak popycha monety, kupując kramarzowi kubek wina. Miała nadzieję, że Safarowi spodoba się jej prezent. Skradziony czy nie, zapłaciła za niego wyższą cenę, niż mógłby przypuszczać. Nerisa zobaczyła, jak groźni mężczyźni wracają, potrząsając głowami i mówiąc, że zbieg uciekł. Safar zawołał o więcej wina. Katal usłużył. Kiedy napełniono rogi i wypito pierwszy toast, Nerisa ześliznęła się po gałęzi na mur alejki, potem wdrapała się po rynnie na dach, a następnie na sąsiedni budynek i znikła.

Dobrzy, pobożni ludzie

Kwartał Studencki był najstarszą dzielnicą Walarii. Niechlujnie rozciągał się między zapleczem świątyni o wielu kopułach a murem najdalej wysuniętym na zachód. Zachodnią bramę wybudowano wiele setek lat temu. Robiono z niej niewielki użytek, dlatego popadła w ruinę, tak więc król rozkazał zamurować ją na stałe, aby uniknąć wydatków na jej reperowanie. Sam kwartał był labiryntem uliczek wybrukowanych wyszczerbionymi kocimi łbami. Były tak wąskie, że drzwi budynków otwierały się, przeszkadzając przechodzącym ludziom. Domostwa i sklepy zaliczały się do najbiedniejszych w mieście. Poutykano je jedne na drugich bez przemyślanego planu, przez co zwieszały się wariacko nad ulicami.

Safar mieszkał w pobliskich ruinach jedynej istniejącej wieży w bramie w zachodnim murze. Wynajmował ją od starego strażnika, który uważał się za jej właściciela, ponieważ jego zdaniem królowi już była nieprzydatna. Zaproponował także wyżywienie - jeden posiłek dziennie przygotowywany przez jego żonę. Wieża składała się z dwóch pomieszczeń, z których jedno nie miało dachu, a jedna ze ścian waliła się. Kwatera przyciągnęła Safara nie tylko niską ceną. Był przecież dzieckiem gór, a wieża zapewniała mu widok na całe miasto po jednej stronie i szerokie, puste równiny po drugiej. Nocą wieża stawała się cudownym obserwatorium, gdzie mógł badać niebiosa i porównywać je z tym, co napisano w jego księgach Łowców Snów.

Znakomicie widoczne były również zachody słońca. Tego dnia, parę godzin po tym, jak opuścił Foolsmire, Safar rozparł się na szerokim kamiennym parapecie, wznosząc toast resztką wina ku zniżającemu się słońcu. Z drugiej strony kwartału dobiegały go serenady kapłana wyśpiewującego ostatnią modlitwę dnia ze świątynnej wieżyczki. Głos wzmocniono magią, więc pieśń rozbrzmiewała w całym mieście. Niosła codzienne błagania do bogów opiekujących się nocą.

Jesteśmy ludem Walarii, dobrym i pobożnym.

Pobłogosławcie nas, pobłogosławcie nas.

Nasze kobiety są cnotliwe, nasze dzieci pełne szacunku.

Pobłogosławcie nas, pobłogosławcie nas.

Diabły i lotry unikają naszego miasta.

Pobłogosławcie nas, pobłogosławcie nas.

Znajdziecie tu tylko wiernych.

Pobłogosławcie nas, pobłogosławcie nas...

Kiedy pieśń skończyła się, Safar roześmiał się głośno. Wciąż był trochę pijany i uważał świętoszkowate kłamstwa pieśni za zabawne. Modlitwa była dziełem Umurhana, który stworzył ją za młodu, kiedy był zastępcą głównego kapłana. Wielu - to znaczy jego najzagorzalsi polityczni poplecznicy - uważało, że jest to najsilniejsze zaklęcie przeciwko złu w historii miasta. Umurhan dzięki ludziom obdarzającym go uznaniem, obalił maga-zwierzchnika. Po dokonaniu tego przyłączył

się do Didimy i Kalasariza, którzy byli wówczas ambitnymi młodymi lordami. Pomógł Didimie stać się królem, a Kalasarizowi głównym wezyrem. Trójca rządziła Walarią z brutalnym zapalem po obecne czasy.

Dla Safara nocna pieśń stała się brzydkim żartem, rebusem godnym samego Harle, mrocznego błazna bogów. Czy zło czaiło się poza murami Walarii, czy też w środku?

Po raz pierwszy usłyszał pieśń zaledwie trzy lata temu. Tamtego dnia słońce zachodziło przed jego oczami, tak jak i teraz...

Karawana była mała i biedna. Niosła resztki z kramów stojących na odległych rynkach. Najwspanialszym zwierzęciem był tu wielbłąd dosiadany przez Safara. Był to pokąsany przez gzy samiec o paskudnym charakterze, którego Safar wypożyczył na czas trwania podróży. Pokonał odległość z Kyranii w trzech skokach - a raczej w trzech ślimaczych etapach. W pierwszym przyłączył się do podróżników zdążających do nadrzecznych miasteczek u podnóża Łańcucha Bogów. Drugi odcinek przebył w towarzystwie poganiaczy bydła, gnających stada przez suche równiny ku nowym pastwiskom. W czasie tej podróży natknął się na karawanę, która zdążyła wprost do Walarii, tak więc przyłączył się do niej, zaoszczędziwszy wiele dni i mil.

Słońce zniżało się szybko, kiedy zbliżał się ku miastu wstrząsany w wielbłądzim siodle jak rybak na wzburzonych wodach. Walarię oblewał różowy blask rzucający cień na ogromne mury miasta, tak że wyglądały jak zakazany łańcuch czarnych gór. Kopuły pałaców i wieżyczki świątyn błyszcząły ponad nimi, a pozostałe wysokie budynki wypełniały zwieńczeniami resztę przestrzeni. Nocny wietrzyk przyniósł egzotyczne dźwięki i zapachy Walarii: ciężki obłok woni stłoczonej ciżby, stukot i brzęk warsztatów, zapach dymu z palenisk i stert śmieci, zdrowy aromat czosnku i wstrętny odór zepsutego mięsa. Atmosferę wypełniała jednocześnie zmysłowość i niebezpieczeństwo. Miasto obiecywało coś i zarazem groziło.

Głównej bramy strzegł oddział żołnierzy noszących królewski herb Didimy: złote figowca liście. Miał on kilkusetletnią tradycję sięgającą dni, gdy Walaria była zaledwie małą oazą zamieszkaną przez nomadów. Brama była przerażająca. Wyglądała jak drapieźnik otwierający olbrzymią paszczę; podniesiona żelazna krata była czarnymi zębami bramy. Pręty, zwężające się ku zaostrozonym jak u włóczni końcom, osiągały grubość męskiej talii. Pan karawany, zdziwaczały człowieczek o przebiegłych oczach, targował się z żołnierzami o wejście. Nie mógł jednak sprostać wysokości ceny łapówki - albo też nie chciał tyle zapłacić - tak więc karawanie polecono spędzić noc poza murami miasta, tuż za wielką fosą opasującą miasto. Fosa służyła jako ściek i urządzenie obronne. Wypełniały ją śmieci, zgniłe mięso i wyrzucone zwłoki obywateli, którzy byli za biedni na normalny pogrzeb. Wzdłuż fosy krzątały się osmolone postacie podsycające wiele ognisk, których zadaniem było palenie resztek. Byli to licencjonowani śmieciarze miasta. Ich status był tak niski, że za klątwę uważano ich zbyt długie spojrzenie, nie mówiąc już o dotyku.

Safar, mając nadzieję na uniknięcie nieprzyjemnej nocy, nieśmiało zbliżył się do sierżanta dowodzącego oddziałem i pokazał mu list polecający od Coraleana. Został napisany na czerpanym papierze i obwiązany grubym, złotym sznurem. Zrobił na sierżancie takie wrażenie, że machnięciem ręki nakazał Safarowi przejść przez bramę. Chłopak zawahał się, zaglądając w wielki tunel wydrążony w murach miasta. Był długi i ciemny, a na jego końcu widniało małe kółko nikłego światła mniej więcej wielkości talerza zwiastujące wyjście po drugiej stronie.

Wtedy pierwszy raz usłyszał czarodziejską pieśń wyśpiewywaną zawodzącym głosem, który

dobiegał z tak daleka, a jednocześnie wydawał się być tak blisko...

Jesteśmy ludem Walarii, dobrym i pobożnym.

Pobłogosławcie nas, pobłogosławcie nas...

Pieśń napełniła go takim przerażeniem, że próbował zawrócić, ale sierżant pchnął go do przodu.

- No, rusz się, człowieku - powiedział szorstko, ale z humorem. - Miałem długi dzień, a w tawernie tęskni za mną dzban najlepszego walariańskiego.

Safar uczynił, jak mu polecono, przedzierając się przez ciemność ku stopniowo rosnącemu jasnemu okręgowi. W jego uszach zawodziła pieśń:

...Znajdziecie tu tylko wiernych.

Pobłogosławcie nas, pobłogosławcie nas...

Z ogromną ulgą powitał wyjście po drugiej stronie. Zakłęta pieśń ucichła, co napełniło go radością. Rozejrzał się wokół, by zobaczyć, którędy ma iść, ale zapadła noc i przed nim rozpościerały się jedynie puste ulice biegnące w ciemności we wszystkich kierunkach. Tu i tam światło przesączało się przez niezbyt ściśle domknięte okiennice. Tylko twarde kocie łby pod jego stopami wskazywały, że gdzieś w ciemności wiedzie ścieżka.

Wtem zapaliły się pochodnie i ujrzał znak pobliskiego zajazdu. Stojący pod nim herold wychwalał zalety siedziby przed wszystkimi, którzy mogli go usłyszeć, krzyżąc:

- Zupa i spanie za sześć miedziaków. Zupa i spanie za sześć miedziaków...

Safar pomknął ku heroldowi, nieufnie trzymając rękę na rękojeści noża. Chociaż tani, zajazd okazał się wesołym miejscem postoju dla podróżników i chłopiec wygodnie spędził tam noc. Następnego dnia stawił się w domu lorda Muzine, ściskając w dłoni list polecający.

Majordomus lorda nie był pod tak wielkim wrażeniem papieru i złotego sznurka jak sierżant. Kiedy brał list i zerkał ze znużeniem na woskową pieczęć Coraleana, jego twarz pozostała kamienna.

- Czekaj tu - powiedział władczym tonem.

Safar zaczekał. Czekał długo, wydeptując głęboką ścieżkę w pylistej ulicy na zewnątrz skrytej za bramą siedziby Muzine'a. Przez ten czas dziwił się przechodzącym tłumom i ruchowi ulicznemu. Chociaż już wcześniej był w Walarii, znajdował się zawsze w towarzystwie ojca i widział wszystko oczyma dziecka. Teraz był dorosły i po raz pierwszy sam musiał się troszczyć o siebie. Z zapalem szukał w ciżbie oznak dekadencji, przed którą ostrzegał go Gubadan. Zastanawiał się, co ominęło go podczas wcześniejszych wizyt, nie licząc wieczornej pieśni. Ale jeśli w sąsiedztwie znajdowało się coś, co mogło skusić młodzieńca, to widocznie ukrywało się za biegnącymi wzdłuż alei murami posiadłości. Znudził się i zgłodniał, ale nie śmiał opuścić swojego posterunku, by nie minął go powrót majordomusa.

Mężczyzna pojawił się, gdy dzień miał się ku schyłkowi i nadszedł czas na nocną pieśń. Pociągnął nosem, jakby Safar śmierdzał.

- Masz - powiedział, niedbale podając Safarowi zwój papieru z pieczęcią Muzine'a, naniesioną tak niedawno, że wciąż ugiwała się pod dotykiem. Papier był gorszej jakości niż list intencyjny Coraleana i wiążywała go jedynie czarna wstążka, a nie złoty sznur. - Pan skierował cię, byś jutro stawił się w Wielkiej Świątyni. Dasz to jednemu z asystentów lorda Umurhana.

Majordomus potarł o szatę puste palce, jakby trzymał w nich uprzednio coś obrzydliwego, a

potem odwrócił się, jakby zamierzając odejść.

Safar był zdezorientowany.

- Przepraszam, przyjacielu - powiedział. Majordomus zamarł w pół kroku. Zmierzył Safara od stóp do głowy, marszcząc z obrzydzeniem nos. Safar zignorował jego zachowanie, mówiąc: - Miałem nadzieję, że uda mi się zobaczyć z twoim panem. Mam dary od mojego ojca i matki, którzy również przesyłają swoje życzenia i modlitwy za dobre zdrowie.

Majordomus prychnął.

- Mój pan nie potrzebuje takich darów. A co do spotkania ... nie będę obrażał swojego pana taką prośbą kogoś twojego stanu.

Safar poczuł, jak wzbiera w nim gniew. Stłumił go szybko.

- Ale zgodził się opłacać moją naukę na uniwersytecie, prawda? - zapytał, wskazując list.

- Mój pan powiedział, że ma taki zamiar - odpowiedział majordomus. - Założy fundusz na twoje potrzeby. Ma też obietnicę lorda Coraleana, że ów zwróci wszelkie wymagane koszty. - Majordomus przerwał dla podniesienia wrażenia, a potem dodał: - Ale powiedział, by ostrzec cię, byś nie żerował na jego dobroci i przyjaźni z lordem Coraleanem. Dobroduszość mojego pana zapewni ci jedynie to, co otrzymasz. Tak więc nie wracaj tu po więcej. Czy wyraziłem się jasno?

Safar chciał rzucić list w pogardliwą twarz mężczyzny, ale złożył obietnice, których nie mógł złamać, przełknął więc dumę i odwrócił się bez komentarza. Następnego dnia po nocy gniewnego zgrzytania zębami skierował się do Wielkiej Świątyni Walarii.

Droga wiodła go przez serce ogromnego, pełnego skrzyżowań miasta. Widoki, zapachy i dźwięki fascynowały go. Tłum kłębił się, ledwie robiąc miejsce dla klnących woźniców i ich platform załadowanych towarami. Kiedy wpadał na ludzi, ci ignorowali go, wydając jedynie pełne irytacji chrząknięcia. Trzymali głowy nisko, by nie patrzeć innym w oczy. Ciżba niosła go obok żebraków krzyczących: „Jałmużny, jałmużny, w imię boże” i otwartych okien, w których siedziały skąpo odziane kobiety wołające do „rumianego chłopaczka”, by przyszedł i zabawił chwilę w ich ramionach. Widział sklepy z luksusowymi dywanami i drogą biżuterią w sąsiedztwie karczm i palarni opium. Złodzieje obu płci i w różnym wieku nurkowali w tłum i wypadali zeń, polując na okazję.

Bezustannie uliczni sprzedawcy zachwalali śpiewnie swe towary, co razem z dźwiękiem dzwonek i gwizdami ulicznych komediantów tworzyło ekscytującą pieśń: „Orzeszki ziemne! Gorące, solone orzeszki ziemne!”, albo: „Pudding różany! Pudding różany, słodki jak pączek!”, oraz: „Pyszny mrożony sorbet! Pyszny mrożony sorbet!”.

Wielka Świątynia i uniwersytet były tak rozległe, że same tworzyły miasto otoczone murami. Szerokie, nie zagrodzone bramą wejście miało kształt łuku z rzeźbionymi w kamieniu przerażającymi potworami. Nie stała tam straż, a mężczyźni odziani w kapłańskie togi lub niechlujne studenckie szaty wchodzili i wychodzili pochłonięci swym celem jak pszczoły w leśnej barci. Safar zapytał o drogę i wkrótce już pewnie przemierzał płataninę świątynnych budynków, zdążając ku ruchliwemu biurze Najwyższego Urzędnika. Tam przedstawił list od swojego mecenasa i ponownie kazano mu czekać.

Tym razem przygotował się na to. Przyniósł ze sobą jedzenie i picie, oraz starą księgę Obserwatora Gwiazd, dzięki której zabijał czas. Do chwili, gdy odpowiedź przyniósł kościsty, nieustannie spieszący się kapłan z zapadłymi ustami, jego zapasy skończyły się, a wraz z nimi i dzień.

- Chodź ze mną, chodź ze mną - powiedział kapłan. Obrócił się i pobiegł przed siebie, nawet nie patrząc, czy Safar za nim idzie.

Safar musiał pędzić, żeby go dogonić.

- Panie, czy zostałem przyjęty? - zapytał.

- Nie mów do mnie „panie”, nie mów - zbeształ go kapłan. - Wystarczy „wielebny”, wystarczy...

- Proszę wybaczyć mi moją niewiedzę, wielebny - wtrącił Safar. - Czy zostałem przyjęty do szkoły?

- Tak, tak. Teraz tędy, tędy.

Safar został wprowadzony do wielkiej, pustej jadalni z kamienną i pobrudzoną resztkami jedzenia podłogą.

Kapłan powiedział:

- Wyszoruj ją, wyszoruj. - Wskazał na drewniane wiadro wypełnione tłustą wodą ze szczotką pływającą na wierzchu.

Safar spojrzał na wiadro. Zanim podniósł głowę, kapłan zdążył już odbiec.

- Wielebny, zaczekaj! - krzyknął za nim, ale niski kapłan zdążył wyjść już za drzwi, zamykając je za sobą z hukiem.

Safar wziął wiadro i szczotkę, opadł na kolana i zaczął szorować. Jako wiejski chłopak nie wstydził się niezbędnej pracy, bez znaczenia jakkolwiek była podła. Szorował godzinami, czyniąc niewielkie postępy, ponieważ woda była równie brudna jak podłoga. Kiedy zabrzmiała zaklęta pieśń, przyszedł do niego starszy akolita, by go zabrać do wielkiej sypialni zatłoczonej studentami pierwszego roku. Dostał koc, miejsce, gdzie mógł go rozścielić na gołej podłodze i zardzewiałe, metalowe wiaderko, w którym znajdował się zimny pieczony ziemniak, twarda pszenna bułka i gotowane jajko.

Gdy pochłaniał jedzenie, akolita szybko przekazał mu podsumowanie jego obowiązków, które wydawały się w większości składać z szorowania brudnych podłóg.

- Kiedy zaczną się moje studia? - zapytał Safar.

Akolita roześmiał się.

- Już się zaczęły - powiedział. I opuścił go, nic bliżej nie wyjaśniając.

Safar dawno temu nauczył się od Gubadana, że nauczyciele lubią stawiać swym uczniom niejasne zadania. „Bardzo dobrze - pomyślał - jeśli szorowanie podłogi jest moją pierwszą lekcją, to niech tak będzie”. Szorował przez miesiąc, ociągając się, gdy rozlewał wiadra wody w cuchnących pracowniach i salach wykładowych, w których echem odbijały się mądre oracje mistrzów kapłanów.

Później los zetknął go z Umurhanem i już nigdy nie musiał szorować żadnej podłogi.

Safar otrząsnął się ze wspomnień. Przetarł oczy, zauważając, że widok za oknem przedstawiał teraz migoczące gwiazdy. Zauważył ogon komety w pobliżu Domu Błazna i zadumał się nad znaczeniem tego znaku. Potem usłyszał dźwięk - skrobanie do drzwi. Przez mgłę skupienia doszło do niego, że zaledwie chwilę temu również słyszał ten odgłos. Pomyślał: „O tak... rozmyślałem nad Umurhanem i coś mi przeszkodziło. Chyba hałas przy drzwiach”.

Usłyszał, jak ktoś woła:

- Safar! Nie śpisz?

Był to młody głos. Safar zakłopotał się, a potem uśmiechnął, kiedy rozpoznał, kto to jest.

- Wejdz - powiedział.

Nerisa

Po drugiej stronie zbitych z desek drzwi Nerisa pospiesznie przeczesła palcami włosy i wygładziła ubranie. Miała na sobie krótką, luźną tunikę ukazującą jej długie nogi, którą ciasno spięła paskiem na cienkiej talii, by odwrócić uwagę od chłopięcej figury. Szara tunika i jasne rajtuzy zostały kiedyś przez kogoś wyrzucone, ale materiał był tak dobrej jakości, że łaty były prawie niewidoczne.

- To Nerisa, prawda? - nadbiegł głos Safara. Usłyszała, jak się śmieje. - A jeśli to jakiś niecny oszust, to marnujesz siły, przyjacielu nocy, albowiem wydałem wszystkie pieniądze na napitki i inne przyjemne zachcianki.

Nerisa zachichotała i pchnęła drzwi, aż się otworzyły. Safar, rozparty na parapecie, uśmiechał się do niej szeroko. Przewiesił białą studencką szatę przez kolana, a Nerisa pomyślała, że jeszcze nigdy nie widziała tak przystojnego młodego mężczyzny. Był wysoki i smukły. Miał szerokie ramiona, wąską talię podkreśloną czerwonym pasem akolity, oliwkową skórę i pełne wargi, nad którymi z wdziękiem zakrzywiał się nos. Ciemne włosy przycięto krótko i tylko jeden zabłąkany lok dyndał nad oczami o tak błękitnej barwie, że jej serce natychmiast stopniało, kiedy zajrzała w nie pierwszy raz.

Skinął ku niej głową, by podeszła do okna.

- Właśnie ujrzałem kometa - powiedział, wskazując na rozgwieżdżone niebo.

Podeszła do niego, pochylając się nad wyciągniętymi nogami, by móc ją zobaczyć.

- Tam - pokierował ją. - W Harle, w Domu Błazna.

Zobaczyła konstelację Harle z wyróżniającym ją spiczastym kapeluszem i twarzą z zakrzywionym nosem. Mniej więcej na poziomie brody przecinało ją szerokie, blade pasmo ogona komety.

- Widzę. - Jej głos drżał, gdyż znalazła się blisko Safara. Zakłopotana, odsunęła się, odwracając twarz, by nie widział jej rumieńca. - Mam nadzieję, że nie sprawiam ci kłopotu - rzekła.

- Nonsens - odparł Safar. - Tęsknię za siostrami. Jeśli je kiedykolwiek spotkasz, to nie ośmielaj się zdradzić, że ci to powiedziałem. Nie dadzą mi tego nigdy zapomnieć. - Zachichotał. - Ale naprawdę za nimi tęsknię i za dalekim miejscem, gdzie są. Dorastałem otoczony siostrami, a teraz tak za nimi tęsknię. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko byciu substytutem.

Nerisa miała i to wiele! Nie była całkiem pewna, jakiej reakcji spodziewała się po Safarze, ale mogła zdecydowanie stwierdzić, że na pewno nie były to braterskie uczucia.

Położyła rękę na biodrze, próbując wyglądać na dorosłą kobietę.

- Jeśli tak bardzo tęsknisz za kobietami, Safarze Timuro - powiedziała tak odważnie, jak wystarczyło jej śmiałości - to dlaczego nie widuję cię z żadną? Oczywiście, nie licząc mnie. - Nieświadomie dotknęła włosów. - Inni studenci spędzają tyle czasu, ile się da, uganiając się za kobietami z burdeli.

Ku ogromnemu zadowoleniu Nerisy Safar zaczerwienił się i usiłował wykrztusić z siebie odpowiedź.

- Ja... uch... nie... lubię takich rzeczy. - Pozbierał się, dodając: - Raz już zrobiłem z siebie głupca. Mam nadzieję, że teraz jestem mądrzejszy.

Nerisa skinęła głową, myśląc: „Wiedziałam, że była jakaś kobieta!” Oczywiście, była jednym ze złych wspomnień. Dziewczynka znenawidziła tę, która przysporzyła Safarowi tylu cierpień. Lecz była też niezmiernie zadowolona, że rywalka, choć zapewne piękna i pewnością dojrzała, wszystko zepsuła.

- Co się z nią stało?

- Z kim?

- Z tą kobietą, z którą ci się nie powiodło.

Safar skrzywił się.

- Nie wiedziałem, że to tak oczywiste - odpowiedział. Potem wzruszył ramionami, mówiąc: - Miała na imię Astarias. Była kurtyzaną, a ja głupcem, który się w niej zakochał. Powiedziała mi, że nie zamierza związać się z synem garmcarza. Wydaje się, że miała ambitniejsze plany, a ja do nich nie należałem.

Podczas, gdy Nerisa układała to sobie w myślach, Safar skinął do niej, by usiadła na stercie starych poduszek i chodników, które były jedynym wyposażeniem pokoju. Opadła na nie, a on się przyłączył. Zmusiła się do odwrócenia wzroku, kiedy siadał, gdyż jego szata, zadzierając się, obnażyła długie nogi.

- Chyba Katal dał ci popalić - powiedział Safar, uciekając od poprzedniego tematu.

- Co? - zapytała Nerisa, lekko zdumiona.

Safar uśmiechnął się, mówiąc:

- Po tym jak, hm, ten pokaźny pan i jego... przyjaciele poszli sobie, pewnie powiedziałaś, że to wszystko było, hm... nieporozumieniem.

- Bo przecież było! - oznajmiła Nerisa. Zobaczyła z ulgą - i trochę z rozczarowaniem - że jego szaty w odpowiedni sposób zasłoniły lędźwie. - Próbowałam zapłacić, ale on myślał, że jestem złodziejem. Pewnie nie zobaczył pieniędzy w mojej dłoni.

- Musisz przyznać, Neriso - rzekł Safar - że znana jesteś z tego, że... nazwijmy to tak - pożyczasz coś sobie na dłużej.

Nerisa wzruszyła ramionami.

- Tak żyję - odparła. - Wiem, że stary Katal nie może tego zrozumieć. Może myśli, że gdzieś mam rodzinę. I pewnego dnia ona wróci, a ja przestanę sypiać w Foolsmire i znów do niej dołączę. Ale tak się nigdy nie stanie. Tak więc kradnę. Przestanę to robić, kiedy już nie będę musiała.

- Rozumiem to - powiedział Safar. - Nie tak mnie wychowano, ale wiem, że tutaj w Walarii wszystko dzieje się inaczej. Szkoda, że nie mogę nic zrobić, by ci pomóc, ale ostatnio niezbyt mi idzie pomaganie samemu sobie.

- Och, ale ty już mi pomogłeś - stwierdziła Nerisa, żarliwiej niż chciała. Uspokoili się, zaczerpnęła tchu, a potem dodała: - Mam na myśli to, że pokazałeś mi swoje książki. I że mnie z nich uczysz. Zupełnie, jakbym sama była studentem. A to ci dopiero heca... Mam na myśli to, że jestem jedyną kobietą na uniwersytecie.

Katal udzielał jej lekcji pisania i czytania, ale nie wzbudził w niej zainteresowania. Dopiero Safar wziął ją pod swoje intelektualne skrzydła. Nerisa była na tyle pojętna i tak bardzo chciała się przypodobać, że błyskawicznie pojmowała wszystko, czego ją uczył.

Safar westchnął.

- Próbowałem cię też nauczyć logiki - rzekł. - Wróćmy do podstawowej linii obrony, która brzmiała tak: jako biedna sierotka zostałeś zmuszona do kradzieży, by przeżyć.

- To prawda - odparła zdecydowanie.

- Bardzo dobrze - odrzekł. - Przyjmuję to. Ale błagam cię, powiedz mi, co takiego znalazłeś w kramie tego starego tłustego łajdaka, że było to dla ciebie takie ważne?

- To - cicho powiedziała Nerisa, nieśmiało wyciągając przed siebie małą, opakowaną w papier paczuszkę. - To dla ciebie. To... prezent.

Brwi Safara podjechały do góry.

- Prezent! Ukradłeś prezent! - W jego tonie słychać było nutę, która wskazywała, że taki czyn był wręcz bluźnierstwem dla kogoś wychowanego w poszanowaniu dla uczciwości. Ale w tym samym czasie rozwijał paczkę, mówiąc: - Tak nie może być, Neriso. Nie powinnaś kraść prezentów. Do diabła, nie powinnaś w ogóle kraść. I pomyśleć, że ja byłem odpowiedzialny za...

Ucichł, kiedy opakowanie opadło i ich oczom ukazał się przedmiot.

Był to mały kamienny, szerniały ze starości żółw. Spod skorupy wystawały krótkie, grube nogi. Głowa znajdowała się na końcu długiej, wyciągniętej i pomarszczonej szyi. Podobne do dzioba szczęki były otwarte, jakby żółw gonił za rybą. W sumie była to urocza zabawka dla jakiegoś dawno urodzonego dziecka.

Safar drgnął po raz pierwszy, kiedy zdał sobie sprawę, że przedmiocik nie był zabawką, lecz starożytnym symbolem przedstawiającym jednego z żółwów bogów. Praca została wykonana z wielką dbałością - szczegóły były tak skomplikowane, że żółw wydawał się żywy, jakby znajdował się w ruchu, a nie był tylko zaklętą w kamieniu wiecznie nieruchomą postacią. Safar drgnął po raz drugi, i to znacznie silniej, kiedy zobaczył rysunek na żółwiu. Przedstawiał wielką zieloną wyspę, z postrzępioną linią błękitu dookoła podkreślającą morza omywające wybrzeża. Na wyspie umieszczono czerwoną górę z potworną twarzą plującą malowanymi płomieniami.

- Hadin - wydyszał Safar.

- Ciągłe o tym gadasz - rzekła Nerisa, zadowolona z wrażenia, jakie wyczytała z jego twarzy. - I pokazywałeś mi obrazki w książkach. Kiedy go zobaczyłam, wiedziałam od razu, że to coś, co chciałbyś mieć. - Wzruszyła ramionami. - Więc to wzięłam.

Safar uśmiechał się i kiwał głową, ale widząc jego nieobecny wzrok, dziewczynka zważyła, że usłyszał choć słowo. Ucichła, obserwując z fascynacją, jak żółw zdaje się przyciągać jego rękę, jakby wykonano go z niezwykle silnego magnesu. Wzdrygnął się, kiedy jego palce zetknęły się z kamieniem, a oczy rozszerzyły w zdumieniu.

- Jest magiczny - wyszeptał.

Podniósł figurkę i obracał ją, by zbadać pod każdym kątem.

- Ciekawe, skąd pochodzi - zadumał się. - I jak się tu dostał.

Nerisa nic nie powiedziała, zdając sobie sprawę, że Safar jedynie wypowiada na głos swoje myśli. Był tak bardzo pochłonięty żółwim bogiem, że czuła się, jak gdyby podglądała go przez okno w jakiejś intymnej chwili.

Jego twarz rozchmurzyła się i Safar rozjaśnił pokój uśmiechem.

- Dziękuję ci, Neriso - powiedział po prostu. - Nigdy ci się nie odwdzięczę za taki dar.

Potem, ku jej ogromnemu przerażeniu, które prawie wstrzymało bicie serca, pochylił się nad nią, otoczył ręką jej ramiona i przyciągnął do siebie. Pocałował ją lekko w usta, aż zadrżała, jednocześnie podniecona i przerażona. Potem chwila skończyła się, a on odsunął się. Nienawidziła

łagodnego, braterskiego spojrzenia jego oczu.

Mszcząc się, wskazała żółwia, mówiąc:

- Ukradłam go, pamiętasz? Jesteś pewien, że chcesz nadal brudzić nim rękę?

- To nie ma znaczenia - odpowiedział tak kochającym głosem, że mu wybaczyła.

- Do czego służy? - zaciekała się.

Safar potrząsnął głową.

- Nie wiem - powiedział. - Cokolwiek to będzie, z pewnością jest magiczny. Czuję to! - Zawahał się, rozmyślając, a potem ciągnął: - Przypuszczam, że tak się czuje harfa, kiedy muzyk trąca strunę. Dźwięk wibruje we mnie.

- Jak się dowiemy, do czego to służy? - zapytała, mimochodem włączając siebie w rozważania.

Safar zmarszczył brwi.

- Muszę rzucić zaklęcie, żeby to odkryć - stwierdził. - I nie powinienem tego robić w twojej obecności. Lord Umurhan nie pochwała, gdy akolici uprawiają publicznie magię. - Karą za odkrycie takiego wykroczenia było natychmiastowe wydalenie, ale Safar o tym nie wspomniał.

- Och proszę, proszę! - ekscytowała się Nerisa. - Jeszcze nigdy nie widziałam rzucania czarów.

Safar zawahał się, a ona skorzystała z milczenia.

- Jeśli naprawdę chcesz mi podziękować - rzekła - to pozwól mi patrzeć na to, co będziesz robił. Proszę, to dla mnie ważne. Widzę zaklęcia i różne takie rzeczy w książkach, które mi pokazujesz. Czasami mi je objaśniasz. Ale jeśli mogłabym zobaczyć to na własne oczy, wszystko bym lepiej zrozumiała. - Jej usta skrzywiły się w uśmiechu. - I wiesz dobrze, że nikomu nie powiem. Na całym świecie pewnie nie ma nikogo, kto byłby ode mnie lepszy w trzymaniu buzi na kłódkę.

Safar obserwował ją uważnie przez ten czas, kiedy mówiła. Polubił ją od pierwszej chwili, kiedy prawie dwa lata temu spotkali się w Foolsmire. Przypuszczał, że miała wtedy dziesięć wiosen. Wstrząsnęło nim, że mała dziewczynka żyje sama na ulicy. Nic takiego nie spotkałoby żadnego dziecka w Kyranii. Była także zdumiewająco pojętna. Mogła rzucić jedynie okiem na stronę, potem odwrócić się i dokładnie wyrecytować każde słowo. Katal powiedział mu, że nauczyła się pisać i czytać w mniej niż dwa tygodnie. Kiedy poprawiał jej wymowę, nigdy więcej nie popełniła tego samego błędu. Safar nie tylko uważał, że dobrze się z nią rozmawia, ale także wypróbował na niej nowe idee. Wkrótce przekonał się, że niezależnie od złożoności zagadnienia, jeśli Nerisa miała problemy ze zrozumieniem, to była wina tego, że sam go nie rozumiał, lub kiepsko tłumaczył.

„Do diabła z Umurhanem - pomyślał. - I tak zamierza mnie wyrzucić. Co mam do stracenia?”

Tak więc bardzo oficjalnie oznajmił:

- Twoje życzenie, o pani, jest dla mnie rozkazem.

Nerisa klasnęła w dłonie i krzyknęła:

- Dziękuję, Safarze! Nie będziesz tego żałował, obiecuję.

Przepełniona zadowoleniem porzuciła wszelką ostrożność, przytuliła się do niego i ośmieliła pocałować w usta. Potem odsunęła się, czerwieniąc niesamowicie. Wcisnęła głowę w ramiona i skupiła się na zbłąkanej nitce na ubraniu, jakby zadanie wymagało ogromnej koncentracji. Po raz pierwszy Safar zauważył, że nie miała na sobie zwykłych łańców ulicznika. W Nerisie, siedzącej obok niego nie pozostał ślad po chłopięcej sylwetce. Była na wskroś kobieca, od drżącego podbródka po wdzięczny łuk nadgarstka skubiącej nitkę ręki. Zobaczył, że ubrała się starannie w kostium, który podkreślał jej najbardziej kobiece cechy: długie nogi, które pomimo wychudzenia zaczynały nabierać kształtów, małe, piękne stopy w miękkich pantoflach, wąską talię ściśniętą

szerokim pasem nad zaokrąglającymi się biodrami. Z doświadczenia zdobytego w dużej, zżytej rodzinie domyślał się, że jej biust - ukryty pod luźnym materiałem tuniki - właśnie zaczynał się rozwijać. Pamiętał zmieszanie sióstr, kiedy wkraczały w wiek Nerisy, które przerodziło się w coś zupełnie innego, gdy zaczęły patrzeć na chłopców z wioski, osiągając wiek romantycznych westchnień.

Nerisa opanowała się i podniosła głowę, by na niego spojrzeć. Uśmiechała się, ale jej dolna warga drżała. Nie mogła jednak kontrolować swych oczu, w których dostrzegł kotłujące się uczucia. Zdał sobie sprawę, że jeśli teraz powie niewłaściwą rzecz, dziewczynka wybuchnie łzami. Nagle zdał sobie sprawę, dlaczego w jej oczach wzbierają łzy. Nerisa była w nim zakochana. Widział, jak jego siostry zakochują się w znacznie starszych chłopcach i przechodzą te same cierpienia. Wiedział, że to szybko mijająca dolegliwość, przypadłość najmłodszych - choć tak samo bolesna jak cierpienia dorosłego. Przyszło mu na myśl, że Nerisie będzie jeszcze ciężiej, ponieważ była tak samotna i tak niekochana. Safar, który wciąż nosił blizny po spotkaniu z Astarias, wiedział, że niewłaściwy krok głęboko zrani Nerisę. Zastanawiał się, co powinien w tej sytuacji zrobić. Potem pomyślał, dlaczego robić cokolwiek? Daj jej szansę wyrosnąć z miłości, tak jak robiły to siostry. Po prostu od tej chwili będzie musiał ostrożnie postępować.

Safar odchrząknął i podniósł żółwia. Nerisa zamarła, spodziewając się słów pogardliwej odprawy.

- To zakłęcie będzie dla mnie łatwiejsze, jeśli mi pomożesz - powiedział spokojnie.

Serce Nerisy podskoczyło, przepełnione ulgą. Zerwała się na równe nogi.

- Co chcesz, żebym zrobiła? - zapytała z zapalem.

Pokazał na zniszczony kufer stojący w drugim końcu pomieszczenia.

- Znajdziesz tam drewnianą skrzynkę - rzekł - w której mieści się większość potrzebnych mi rzeczy. Potem, jeśli nie sprawi ci to kłopotu, możesz rozpalić w piecyku.

- Nie ma najmniejszego problemu - powiedziała, przyjmując niedbały sposób wypowiedzania się Safara.

Przyniosła mu skrzynkę. Kiedy zajmowała się ogniem, on nalewał do szerokiego naczynia różnokolorowe, pachnące olejki. Potem wsypał do nich zawartość paczuszek z zagadkowymi proszkami i silnie pachnącymi ziołami, mieszając wszystko w kamiennym moździerz. Nerisa przysłuchiwała się, gdy recytował coś w trakcie, ale mówił tak ściszym głosem, że nie mogła rozróżnić słów. Kiedy ocenił, że ogień jest już wystarczająco silny, przeniósł wielkie naczynie i żółwia na piecyk. Postawił moździerz na ruszcie. Gdy zawartość podgrzewała się, Safar rysował kolorową kredą znaki na podłodze, tworząc zawiły, wielostronny wzór otaczający ogień.

Kiedy skończył, wskazał na punkt gdzieś głęboko pośrodku wzoru i powiedział:

- A teraz usiądź tam...

Zrobiła jak jej kazał, przysuwając się do piecyka tak blisko, jak tylko mogła. Safar usiadł naprzeciwko niej. Jego postać, widziana przez gorące opary unoszące się z naczynia, wydawała się rozplýwać.

- Wygodnie ci? - zapytał.

Skinęła głową.

- A więc zaczynajmy - rzekł. - Ale musisz mi obiecać, że nie będziesz się śmiała, jeśli popełnię błąd. Wiesz, jestem tylko studentem.

Nerisa zachichotała. Była pewna, że Safar, czy był studentem, czy nie, na pewno musiał być

najlepszym czarodziejem w całym Esmirze. Potem zdała sobie sprawę, jak bardzo rozluźniła się od chwili, kiedy poprosił ją o pomoc. Zastanawiała się, czy ta prośba nie była wybiegiem, by ją odprężyć. Jeśli nawet tak było, to kochała go za to jeszcze bardziej.

Safar wciągnął w nozdrza woń dymu.

- Już gotowe - rzekł.

- Co mam robić? - zapytała.

Safar podał jej pędzel z długą rączką i płaskim włosiem ze świńskiej szczeciny.

- Zanurz go w naczyniu - polecił. - Zamieszaj i nabierz dużo na włosie.

Mieszała pędzlem w gęstej, wrzącej miksturze. Zmarszczyła nos, czując woń, chociaż później nie mogła powiedzieć, czy aromat był ohydny czy ładny, słodki czy kwaśny. Safar dał jej znak kiwnięciem głową, a ona wyjęła pędzel. Podniósł kamiennego żółwia, położył na płasko otwartej prawej dłoni, a potem wyciągnął ją ponad oparami.

- A teraz pomaluj grzbiet żółwia - rzekł.

Nerisa delikatnie przeciągała pędzlem po zielonym rysunku wyspy. Chociaż mikstura w naczyniu była smoliście czarna, na zieleni zostawiała jedynie szare smugi.

- Nałóż grubo - rzekł Safar. - To nie jest zajęcie dla nieśmiałej ręki.

Nerisa zmarszczyła brwi i ochoczo mazała żółwia, aż substancja pokryła cały kamień i spłynęła na dłoń Safara.

- Tyle wystarczy - oznajmił. - A teraz zanurz jeszcze raz pędzel i pokryj żółwia kolejną powłoką. Jeśli zdołasz, to grubiej. Ale tym razem musimy recytować, żeby pomóc czarowi. Tak więc posłuchaj uważnie i powtarzaj dokładnie.

Nerisa skinęła głową ze zrozumieniem i ponownie zamoczyła pędzel. Kiedy rozmazywała miksturę na grzbiecie bożka, recytowała razem z Safarem:

*Jasność przedziera się przez noc,
Jakie perły kryje kamień?
Wszystko ciemne staje się jasne,
Niech skała stanie się ciałem i krwią.*

Puls Nerisy przyspieszył, kiedy zobaczyła, jak z kamiennego żółwia emanuje słabe światło. Przysięgłaby, że ujrzała ruszające się nogi. Potem zaczerpnęła tchu, gdy figurka obudziła się do życia i pełzała po dłoni Safara. Chłopak wyszeptał do niej, by siedziała nieruchomo. Puścił żółwia na podłogę. Nagle światło zgasło, a żółw zamarł w tej samej pozycji, pozbawiony życia. Safar zaklął, a potem podniósł wzrok, posyłając Nerisie uśmiech pełen konsternacji.

- Będzie trudniej, niż przypuszczałem - stwierdził. - Moglibyśmy tak recytować całą noc i wciąż nie odkryć właściwego zaklęcia.

Wyciągnął z rękawa mały, srebrny nóż o podwójnym ostrzu. Pokrywały go zawile, tajemnicze wzory. Był to nóż wiedźmy, który Coralean podarował mu, by rozwiązywał trudne sprawy.

- Na szczęście - rzekł, wskazując na nóż - mam swoje sposoby na prowadzenie poszukiwań.

Ponownie dał znak Nerisie, by była cicho, a sam przyłożył nóż do kamiennej skorupy żółwia, dotykając czubkiem pomalowanej na czerwono góry z twarzą potwora. Wyrecytował:

*Wyczaruj klucz
Pasujący do zamka.
Rozplącz ślady*

Głos Safara zniżał się i Nerisa nie usłyszała reszty zaklęcia. Ale była tak poruszona jego intensywnością, że pewnie nie usłyszałyby słów, nawet gdyby je wykrzyczał. Jeszcze nigdy nie widziała takiej koncentracji. Oczy Safara wydawały się być skierowane do wewnątrz, pałając niebieskim ogniem. Wokół jego ciała uformował się blask w kształcie różowej wstęgi z przebłyskami innych kolorów. Jego pociągła twarz błyszczała od potu, co sprawiało, że zagłębienia wydawały się jeszcze głębsze, a krawędzie wyostrome. Nerisa poczuła słabą woń piżma wydzielaną przez jego ciało. Poczowała wielki spokój, który okrył ją niby najłżejszy koc. Jej oczy, jakby obdarzone własną wolą, skupiły się na wymalowanej twarzy potwora i już się od niej nie oderwały.

Safar stuknął nożem w żółwia po raz ostatni. Nagle od kamienia oderwała się twarz, unosząc swobodnie do góry. Potem malowane oczy ożyły, a usta poruszyły się, wypowiadając słowa:

- Zamknij się! Zamknij się! Zamknij się!

Poniżej twarzy uformowało się ciało, a Nerisa odchyliła się w zdumieniu, kiedy stwór, wysoki może na trzy dłonie, zeskoczył z grzbietu żółwia i stanął na podłodze. Wyglądał jak ropucha z wielkimi oczami i szerokimi ustami ukazującymi cztery ostre jak igły kły. Ale reszta ciała należała do eleganckiego małego mężczyzny ubranego w bogaty, dopasowany strój, zakrywający go od stóp do szyi. Stwór wydawał się być rozgniewany. Oparł dłonie na wąskich biodrach, zwracając brzydką, ropuszą głowę ku kamiennemu żółwiowi.

- Jeśli się nie zamkniesz - powiedział do figurki - to ja cię urządzę! Tylko poczekaj, a zobaczysz, czy tak się nie stanie! - Potem stworzenie spojrzało na Safara, uskarżając się: - Przyprawia mnie o ból głowy! Zawsze gada. Nigdy nie słucha. Czasami nie słyszę, jak myślę!

- Przykro mi, że jesteś zmuszony do życia z tak hałaśliwym towarzyszem - powiedział Safar tak naturalnym głosem, jak to tylko było możliwe. - Ale gdybyś tego nie zauważył, to właśnie cię przywołaliśmy. I jeśli mi wybaczysz tę nieuprzejmość, to nie interesuje nas kłótnia z twoim towarzyszem, czegokolwiek dotyczyła.

Stwór wlepił gniewny wzrok w Safara, potem w Nerisę.

- To jest właśnie problem z ludźmi - oznajmił. - Nic ich nie interesuje. - Nastawił ucha w kierunku bożka, jakby nasłuchiwał, a potem skinął głową. - Nie mógłbym bardziej się z tobą zgodzić, Gundaree - rzekł do niego. - Mądrze gadasz, dla odmiany. - Potem zwrócił się do Safara: - Gundaree mówi, że wszyscy ludzie są egoistyczni. A ty od chwili, kiedy się spotkaliśmy, nie zrobiłeś nic, by temu zaprzeczyć.

- Kim jest Gundaree? - zapytał Safar.

Stworzenie prychnęło, a z jego nozdrzy wystrzeliły malutkie płomienie.

- Mój bliźniak! A któż by inny? - mówił tak, jakby Safar był najgłępszym śmiertelnikiem, jaki kiedykolwiek istniał.

- A ty kim jesteś?

Stworzenie ponownie prychnęło ogniście.

- Gundara, oto kim jestem!

- A dlaczego twój bliźniak się nie pojawił? - spytał Safar. - Powiedz mu, żeby wyszedł, abyśmy go mogli zobaczyć.

Gundara wzruszył ramionami z wdziękiem tancerza.

- On nigdy nie pokazuje się ludziom - poinformował. - Tego nie ma w zasadach. Ja zajmuje się

twoim gatunkiem. On demonami.

- A więc pojmujesz, że zostałeś przywołany - powiedział Safar. - I że musisz zrobić to, co rozkażę.

Gundara wskoczył na trójnog. Przycupnął na wysokości oczu Safara.

- Pewnie, pewnie. Rozumiem. No dalej, rozkazuj, o Najbardziej Nieuprzejmy Panie. Ale czy nie możesz się pospieszyć? Jeszcze nie jadłem kolacji. - Wskazał na żółwia. - Ten przeklęty bliźniak wszystko mi zabierze, jeśli wkrótce nie wrócę.

Obrócił się ku Nerisie, może mając nadzieję, że u niej znajdzie więcej współczucia.

- Nie uwierzysz, jak ciężko o przyzwoity posiłek, gdy się mieszka wewnątrz kamiennego bożka.

- Mogę sobie wyobrazić - odparła Nerisa. Poszperała w kieszeni i wydobyła stamtąd słodycze.

Oczy Gundary zaświeciły się.

- Od tysiąca lat nie czułem smaku cukru - rzekł i wyciągnął malutką dłoń po dar.

Nerisa zawahała się, spoglądając na Safara, który skinął głową z przyzwoleniem. Wyciągnęła łakocie, które zostały natychmiast porwane przez Gundarę i wrzucone w usta. Stworek żuł, przymykając oczy z rozkoszy, jak gdyby znalazł się w raju. Potem lekko musnął wargi swoim długim, czerwonym językiem, zbierając okruszki trzcinowego cukru.

Kiedy skończył, obrócił się do Safara.

- Czego chcesz, człowieku? Niech to tylko nie będzie za trudne. Chyba wiesz, że za słodycze nie dostanie się gwiazdki z nieba.

- Najpierw chcę się dowiedzieć czegoś o tobie - odparł Safar. - Skąd pochodzisz? I po co cię stworzono?

Gundara westchnął.

- Dlaczego mnie się dostają sami głupcy? - pozałił się. - Trzykrotnie w ciągu pięciuset lat, a każdy z nich głupszy od drugiego.

Safar zamierzył się na niego srebrnym nożem, a stworzenie skuliło się. Jego pogardliwy wzrok nappełnił się przerażeniem.

- Mam już dość twojej przemądrzałej gadaniny - rzekł Safar. - To ja tu rozkazuję.

- Nie ma powodu, by się tak podniecać - odparł Gundara.

- Odpowiadaj na moje pytania - zażądał Safar.

- Pochodzę z Hadinu, bo niby skąd - odrzekł Gundara. - Dawno temu stworzono tam mnie i mojego bliźniaka. Ile upłynęło czasu, nie umiem określić. Przynajmniej parę tysięcy lat. Byliśmy darem dla wiedzmy z okazji jej koronacji na królową.

- A cel? - zapytał Safar.

- Jesteśmy Ulubieńcami - odrzekł Gundara, przewracając oczami po tak głupim pytaniu. - Pomagamy czarodziejom i wiedzmom w ich zaklęciach.

- Powiedziałaś, że ty i twój bliźniak dzielicie się obowiązkami. Jeden z was służy ludziom, drugi demonom - powiedział Safar. - Dlaczego tak jest?

- A skąd ja mam to wiedzieć? - zapytał Gundara, ledwo kryjąc niesmak. - Tak nas stworzono, to wszystko. Takie są zasady. Ja obsługuję ludzi. Gundaree demony. Po prostu.

- Czy twój bliźniak jest dokładnie taki jak ty? - spytał Safar.

Gundara zaśmiał się, co brzmiało jakby pękało szkło.

- Zupełnie niepodobny - odparł. - Jak widzisz, ja jestem piękny. Gundaree z kolei ma ludzką twarz. - Stworzenie wrzuszyło ramionami. - Co mogłoby być od tego brzydsze? Oczywiście, nie

chciałem was obrazić.

- A jak to się stało, że pojawiliście się w Esmirze? - spytał Safar.

- A to - odpowiedział Gundara - jest najsmutniejsza opowieść ze wszystkich. Transportowano nas do skarbcza królowej. Nasz statek zaatakowali piraci. Od tamtego czasu stanowiliśmy własność najbardziej obrzydliwych stworzeń, jakie można sobie wyobrazić. Przechodziliśmy z jednych brudnych rąk do drugich. Potem, gdzieś tak z pięćdziesiąt lat temu, zaplątaliśmy się między bezwartościowe towary i zgubiono nas. Od tamtego czasu żyjemy na półkach kramów, ignorowani przez wszystkich.

Rzucił Nerisie czułe spojrzenie.

- Tam na targu wykręciłaś sprytną sztuczkę - stwierdził. - Zawsze uważałem, że kobiety to najsprytniejsze ludzkie stworzenia.

Nerisa zaczerwieniła się, ale nic nie powiedziała.

Gundara obrócił się ponownie w stronę Safara.

- Pewnie ja i mój bliźniak trochę z tobą pobędziemy - rzekł. - Oczywiście, dopóki ktoś cię nie zabije, albo nie sprzedasz nas komuś.

- Jeśli nie okażesz wkrótce trochę manier - odpowiedział Safar - to dam was w prezencie najstarszej, najbrudniejszej i najbardziej pryszczatej wiedźmie w całym Esmirze.

- No dobrze, dobrze - łagodził Gundara. - Nie wkurzaj się tak. Tak tylko powiedziałem.

- Co umiesz - zapytał Safar - oprócz bycia Ulubieńcem?

- Jakby to nie wystarczało - wymamrotał Gundara. - Pewnie nikt w obecnych czasach nie jest usatysfakcjonowany dobrym, krzepkim, czarodziejskim wzmocnieniem sił. Ba! W starym.. - przerwał, kiedy zobaczył ostrzegawcze spojrzenie Safara. - A zresztą nieważne. Zapomnij, że cokolwiek mówiłem. Najwyraźniej biedny Ulubieniec nie ma nawet przyznanego mu przez bogów prawa na ponarzekać sobie. Jeśli chcesz więcej, to i więcej dostaniesz. Mogę przywoływać i przynosić rzeczy sprowadzające śmierć na śmiertelnika, który ich dotknie. Jeśli sobie życzysz, mogę szpiegować wrogów. Chociaż tu akurat istnieją ograniczenia, ponieważ nie mogę ruszyć się dalej niż na dwadzieścia stóp od żółwia. Tak więc musiałbyś schować mnie na terenie wroga, albo gdzie tam ci mikra ludzka wyobraźnia podpowie. Dość dobrze mi też idzie ostrzeganie, jeśli w otoczeniu pojawiają się złoczyńcy. - Gundara zachichotał, wspominając jakiś swój osobisty żarcik. - Właściwie - rzekł - to jeśli byłbym tobą, kazałbym siebie wysłać, żeby natychmiast właśnie tym się zajął.

- Co masz na myśli? - zażądał odpowiedzi Safar.

Gundara ponownie zachichotał.

- Nieważne - odrzekł. - Na razie tylko w taki sposób można wypróbować moją lojalność. Jeśli nie rozumiesz wskazówki, o Najmądrzejszy, to trudno!

- Ulubieńcu! - warknął Safar. - Idź na zwiad! Natychmiast!

Stworzenie zaśmiało się i zerwało na nogi.

- Już pędzę, panie! - rzekło. - Strachy wara, bo jest Gundara! - A potem dodał do Nerisy: - Powiedziałem to tylko dlatego, moja droga, bo byłaś dla mnie miła. Podarowałaś biednemu Gundarze słodki przysmak, by mógł się posilić. Jeśli ci mężczyźni na zewnątrz zdążaliby po mojego skwaszonego pana, nie powiedziałbym ani słowa. Ale oni idą po ciebie, Neriso. A jeśli jesteś taką małą, kochaną spryciarą, za jaką cię uważam, to szybko się stąd wyniesiesz!

W tej chwili rozległ się głośny łomot i Gundara znikł.

Nerisa instynktownie zerwała się na nogi i rzuciła w stronę okna. Znikła w tej samej chwili, gdy

drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wpadło czterech bardzo dużych i bardzo bladych mężczyzn. Safar porwał żółwia i schował go w szatach. Wstał, by stawić czoła intruzom.

- Co to ma znaczyć? - zapytał.

Najwyższy i najblędniejszy z mężczyzn odparł:

- Cokolwiek sobie życzysz, akolito Timura! A teraz gadaj, gdzie jest złodziejka Nerisa! I mów szybko, jeśli cenisz sobie swoją skórę!

Serce stanęło Safarowi w gardle.

Mężczyzna stojący przed nim był lordem Kalasariz - najważniejszym szpiegiem Walarii.

Kalasariz

Chociaż Safar był wysoki, szef szpiegów przewyższał go wzrostem. W czarnej szacie i piusce sprawiał wrażenie bardzo chudego i bladego. Wyglądał jak szkielet.

Safar powinien się poniżyć - paść na kolana i uderzyć czołem o podłogę, błagając swego pana o wyrozumiałość. Ale musiał dać Nerisie czas na ucieczkę, więc zamiast tak postąpić, śmiało stawiał mu czoło, ziewając niegrzecznie i przeciągając się, jakby został obudzony z głębokiego snu.

- Wybacz mi, przyjacielu - powiedział Safar - ale uczę się do późna. Wiesz, egzaminy się zbliżają.

- Jak śmiesz nazywać mnie przyjacielem!

Chłopak przyjrzał się Kalisarizowi w parodii zdumienia, a potem wzruszył ramionami.

- A więc pomyliłem się - rzekł. - Z twego nastawienia wnioskuję, że niewielu tak by stwierdziło, jeśli w ogóle ktoś by się znalazł.

- Czy nie wiesz, kim jestem? - zagrzniał Kalasariz.

- Najwidoczniej nie - skłamał Safar. - Inaczej wiedziałbym, jak w najwłaściwszy sposób błagać cię, byś zniżył ton. Mam nerwowy charakter. Głośne dźwięki źle na mnie wpływają i trudno mi się skoncentrować.

- Jestem lord Kalasariz - wysyczał szpieg. - Nie znasz tego imienia, ignorancie?

Safar poskrobał się po głowie, a potem udał, że się wzdryga.

- Wybacz mi, panie - powiedział, kłaniając się - nie miałem zielonego pojęcia, że...

- Cisza - rozkazał Kalasariz. - Zadałem ci pytanie, kiedy tu wchodziłem. Odpowiedz teraz. Gdzie jest ta złodziejka, Nerisa?

- Nerisa? Skąd ja znam to imię? Nerisa? Czy to żona piekarza na ulicy Didimy? Nie, to nie może być... - Safar wpatrywał się w niego, najlepiej jak mógł udając zakłopotanie, a potem strzelił palcami. - Mam! Mówisz o tym dziecku, które kręci się koło Foolsmire? Czy to jej szukasz?

- Wiesz doskonale, o kim mówię, akolito Timura.

Safar pokiwał głową.

- Teraz już tak, o panie - odrzekł. - Ale nie wiem, gdzie jest. No, może... czy sprawdzałeś w Foolsmire? Sypia tam czasami.

- Wiem o tym - Kalasariz zazgrzytał zębami.

- Tak też myślałem - powiedział Safar. - W końcu jesteś głównym sz... to znaczy strażnikiem Walarii i w ogóle.

- Czy zaprzeczasz, że przebywałeś dziś w jej towarzystwie? - Kalasariz zażądał odpowiedzi.

- Nie, ja... och... nie przypuszczam, że temu zaprzeczę - odparł Safar. - Ale nie mogę też tego potwierdzić. - Uśmiechnął się nieśmiało. - Wiecie, przez większość dnia byłem pijany. Niewiele pamiętam. Może i widziałem Nerisę. Może nie. Przykro mi, że nie mogę więcej pomóc.

- Nie podoba mi się twoje zachowanie, Safarze Timuro - oświadczył Kalasariz. - Może myślisz,

że jesteś bezpieczny, ponieważ znajdujesz się pod ochroną lorda Umurhana, i że moja władza nie sięga za mury uniwersytetu...

- Wybacz mi, panie, moje góralskie maniery - powiedział Safar. - Czasami nieświadomie obrażam ludzi z miasta. Znakomicie zdaję sobie sprawę, że ciąży na tobie obowiązek doglądania, czy w Walarii przestrzega się prawa. Naturalnie, że obowiązki te dotyczą również świątyni i uniwersytetu.

Kalasariz zignorował go, rozglądając się po pokoju Safara. Jego długi nos drgał, jak u polującej fretki.

Safar drażył temat, by uniknąć podejrzeń.

- Przepraszam za moją głupotę, panie - ciągnął - ale po co ktoś o twojej pozycji poszukuje zwykłego złodziejaska? A na dodatek takiego, który jest jeszcze dzieciakiem?

Wzrok Kalasariza pomknął ku Safarowi, który pod wpływem błyszczących oczu dowódcy szpiegów poczuł dotkliwie zimno.

- Mówiono mi, że na uniwersytecie jesteś najmądrzejszym ze studentów - rzekł szpieg. - Może twój spryt nie przyniesie ci nic dobrego. Może gardzisz zasadami i władzami.

Przerwał, czekając, aż Safar okaże się na tyle głupi, by coś powiedzieć. W końcu kiwnął głową z zadowoleniem.

- Przynajmniej jesteś rozsądny i wiesz, kiedy trzymać język za zębami - rzekł. - Odpowiem na twoje pytanie na dwa sposoby, akolito Timura. Jeśli jesteś inteligentny, to będziesz wiedział, który z nich jest poprawną odpowiedzią. Pierwszy z nich brzmi tak: szukam dziewczyny, ponieważ informator doniósł, że jest znaczącym posłańcem grupy zdradzieckich studentów.

Safar nie musiał udawać, że rozszerzają mu się oczy.

- Nerisa? - zapytał, zdumiony.

Oczy Kalasariza rozbłysły obudzonym na nowo podejrzaniem.

- Czy utrzymujesz, że nic nie wiesz o tych studentach?

Safar wiedział tyle, że nie musiał kłamać o czymś, co było w Walarii oczywistością.

- Słyszałem, panie - powiedział - że na uniwersytecie są pewni studenci, którzy nieco zбочyli z właściwej drogi i kwestionują politykę dobrego króla Didimy. - Potem, widząc, że ta odrobina prawdy została przełknięta bez trudu, zaryzykował kłamstwo. - Nie mam żadnego osobistego doświadczenia, ani wiedzy o tych niemądrych chłopcach - rzekł. - Dokładnie tak samo, jak nie miałem pojęcia, kim jesteś, panie, kiedy wchodziłeś do mojego pokoju. Nie jestem zainteresowany polityką, mój panie. Ani też nigdy nie przejawiałem takich zainteresowań.

Kalasariz zmierzył Safara wzrokiem, badając każde załamanie stroju, każdy grymas na twarzy. Potem powiedział:

- Drugą odpowiedzią jest to, że ta dziewczyna, Nerisa, jest tylko pretekstem. I że jestem tu z zupełnie innego powodu.

Kalasariz przerwał, przygważdżając Safara spojrzeniem.

- Mniemam, że jesteś bliskim przyjacielem Iraja Protarusa - oznajmił.

Safar był zbyt zdumiony, by to ukryć.

- Ależ, oczywiście, że jestem - odparł. - Albo przynajmniej nim byłem jakiś czas temu. Od lat nie widziałem się z nim, ani nie miałem od niego wiadomości.

- A jeśli powiedziałbym ci, że mam godnego zaufania informatora, który zaświadczy, że regularnie komunikujesz się z Protarusem?

- Powiedziałbym, mój panie, że twój informator jest kłamcą - odrzekł Safar zdecydowanie. - I dodam, że co to kogo obchodzi? Iraj Protarus nie ma nic wspólnego z Walarią.

Kalasariz uniósł górną wargę.

- Utrzymujesz, że nie są ci znane działania Iraja Protarusa? - zapytał. - Mówisz, że nic nie wiesz o jego wielu podbojach?

Safar wzruszył ramionami.

- Słyszałem plotki na targu, panie. Niektóre z nich mogą nawet być prawdziwe. Kiedy znałem Iraja, był zdeterminowany i chciał zostać przywódcą swojego klanu. I, jak sądzę, osiągnął swój cel i jest niekwestionowanym władcą Wyżyn Południowych.

- Och, no cóż, jego roszczenia są kwestionowane - odparł Kalasariz.

- Masz na myśli jego wuja, lorda Fulaina - rzekł Safar - i sprzymierzeńca wuja, Koralia Kana. Iraj opowiedział mi o nich lata temu. Wydaje mi się, że miał dość poważne powody, by ich nienawidzić. Ostatnie plotki, które słyszałem na targu, głosiły, że Fulain i Kan zostali rozgromieni i uciekli do królestwa lorda Kana.

- Wiele wiesz - stwierdził Kalasariz - jak na kogoś, kto udaje, że wcale nie interesuje się polityką.

- Iraj był moim przyjacielem, panie - odparł spokojnie Safar. - To oczywiste, że interesuję się wszelkimi wieściami, które jego dotyczą.

- A więc w jaki sposób ominęły cię wiadomości, akolito Timura - powiedział szyderczo Kalasariz - że Iraj Protarus został ogłoszony wrogiem Walarii?

Safar zareagował, wstrząśnięty:

- Kiedy? - zapytał. - Nic o tym nie słyszałem.

Kalasariz uśmiechnął się.

- Właściwie jeszcze tego nie ogłoszono. Król przystąpił do sojuszu z lordami Fulainem i Kanem. Podejrzewa, że Iraja nie usatysfakcjonują południowe posiadłości i wkrótce zacznie poszukiwać sposobów na poszerzenie granic. Sojusz zostanie jutro ogłoszony.

Safar nie miał żadnego powodu, by wątpić w prawdziwość słów Kalasariza. Wyraźnie pamiętał marzenia Iraja o wielkim podboju - tak dokładnie, jak swoją wizję, w której Iraj prowadził wielką armię.

Szorstki głos Kalasariza przedarł się przez jego myśli.

- Wciąż twierdzisz, akolito Timura, że nie porozumiewałeś się z barbarzyńcą, który sięga po królewski tytuł? - Szpieg splunął na podłogę. - Król Protarus - zaszydził. - Co za niewydarzony kaprys.

Safar głęboko zaczerpnął tchu.

- Nie rozmawiałem z nim ani nie korespondowałem, mój panie, odkąd opuściłem mój dom w górach - powiedział, zgodnie z prawdą. - Wątpię, żeby Iraj mnie pamiętał, bo niby dlaczego? Nie jestem nikim ważnym. Byliśmy tylko chłopcami, których złączyły okoliczności.

Kalasariz jeszcze raz przyjrzał mu się sondująco. Potem skinął głową, jakby został usatysfakcjonowany.

- Powiadomisz mnie, akolito, jeśli dostaniesz wiadomość od starego przyjaciela - rzekł.

Safar kiwał głową, czując ulgę.

- Na pewno, panie - odparł. - Nie zawiodę.

Było to kłamstwo, ale Safar pomyślał, że nie da się tego sprawdzić. Po co Iraj miałby szukać z

nim kontaktu po tak długim czasie? Tak jak powiedział Kalasarizowi, była to chłopięca przyjaźń, którą pewnie Iraj już dawno zapomniał.

Nagle szef szpiegów okręcił się na pięcie, dając znak swoim ludziom, że jest gotów do wyjścia. Safar rozluźnił się, kiedy Kalasariz przeszedł przez drzwi. Ale ulga miała krótki żywot. Kiedy tylko Kalasariz przestąpił próg, obrócił się z powrotem.

- Możesz być, a możesz też nie być takim głupcem, za jakiego chcesz uchodzić, akolito Timura - powiedział. - Wiedz, że zajmę się osobiście odkryciem, jak jest naprawdę.

I znikł.

Safar usłyszał suchy chichot dobiegający z wewnętrznej kieszeni szaty. To był Gundara.

- Miłych masz przyjaciół, panie. To dla mnie dobre zrządzenie losu. Kiedy cię zabiją, znajdę się w lepszym towarzystwie. - Potem dodał do swojego bliźniaka: - Zamknij się, bracie! Zachowaj to dla demonów. Wkrótce nadejdzie twoja kolej.

Safar pacnął wybrzuszenie w kieszeni i usłyszał z zadowoleniem, jak Gundara krzyczy:

- Auć!

- Nie rób sobie ze mnie żartów - ostrzegł go Safar. - Może jestem tylko studentem, ale postępowanie z Ulubieńcami przerabiamy na pierwszym roku. A zasadą numer jeden, według mojego mistrza, lorda Umurhana, jest nigdy nie ufać Ulubieńcowi. Druga to zasada ciężkiej ręki. Nie zgadzam się z Umurhanem co do wielu rzeczy, ale patrząc na twoje dotychczasowe zachowanie, zamierzam wziąć sobie do serca jego nauki.

Ponownie pacnął wybrzuszenie.

- Czy wyraziłem się jasno?

- Dobra, dobra - powiedział Gundara z kieszeni. - Cokolwiek powiesz, panie. - A potem dodał do bliźniaka: - Zamknij się, Gundaree! Zamknij się! Zamknij!

List, choć napisany na drogim papierze, poznaczony był smugami obozowego dymu i zmięty przez wiele rąk.

Kalasariz wygładził go na stole i przysunął bliżej oliwną lampę, by pozostali dwaj mężczyźni mogli go zobaczyć.

List głosił co następuje:

Mój drogi Safarze!

Tak więc wszystko, co przewidziałeś, spełnia się. Dzieje się to nawet szybciej, niż się spodziewałem. Nawet kiedy to piszę, cały mój obóz jest pijany winem i radością z jeszcze jednego wielkiego zwycięstwa. Ponownie nasze straty były niewielkie, zaś nasi wrogowie znacznie ucierpieli. Moja armia z dnia na dzień staje się liczniejsza i coraz silniejsza. Ale coś ci powiem, przyjacielu. Nauczyłem się, że sukces może być niebezpieczniejszy od porażki. Każde miasto, które zdobywam, każda granica, którą przekraczam, zwiększa presję, by osiągnąć więcej. Albowiem jeśli się zatrzymam, moi wrogowie będą mieli czas, by zebrać siły przeciw mnie. Największym moim problemem jednakże jest to, że otaczają mnie doradcy, którzy służą jedynie sobie samym. Byłbym głupcem, gdybym zaufał ich słowom i ich lojalności.

Ale wiem, mój przyjacielu, że tobie mogę zaufać. Udowodniliśmy swoją odwagę w walce z potworami. Ty jeden znasz mój umysł, moje najskrytsze myśli dokładnie tak, jak ja je znam.

Błagam cię, Safarze, przybądź do mnie natychmiast. Aby przyspieszyć twój przyjazd,

zdeponowałem okazałe fundusze na twoje imię w Gildii Kupieckiej Walarii.

Bardzo cię potrzebuję, przyjacielu i bracie w przysiędze.

Niech bogowie łaskawym okiem spojrzą na ciebie i twoją kochaną rodzinę w Walarii.

Kiedy mężczyźni skończyli czytać, Kalasariz oznajmił:

- Zweryfikowałem podpis. Bez wątplenia należy do Iraja Protarusa.

- To jedna z najbardziej niepokojących wieści, panowie - odparł król Didima. - Doprawdy, bardzo niepokojąca.

- Cholernie kłopotliwa dla mnie - powiedział Umurhan. - Możecie sobie wyobrazić, jak ja się czuję? Pomyśleć, że cały ten czas hodowałem żmiję na własnym łonie.

- No, no, Umurhanie - rzekł Didima. - Nikt cię nie obwinia. Skąd mogłeś wiedzieć? W końcu tego młodzieńca polecały wysoko postawione osoby.

Trzej mężczyźni zebrali się w prywatnym gabinecie króla. Rządzili już przez tak długi czas, dzieląc się równo władzą i bogactwem, że swobodnie czuli się w swoim towarzystwie. Przyzwyczajali się do kompromisu. Gdy tylko ustalili cel, gładko współpracowali aż do jego osiągnięcia. Didima był krępyim mężczyzną z grubymi kończynami i tułowiem jak baryłka. Jego twarz była okrągła niczym melon, okolona gęstą, ciemną brodą, poznaczoną pasmami siwizny. Umurhan to czarodziej w każdym calu - jego srebrne oczy żarzyły się pod ostro zakończonym kapeluszem maga. Miał ciężkie brwi, przypominające skrzydła nietoperza i spływającą na pierś białą brodę. Zaś Kalasariz swoją mroczną sylwetką dopełniał obrazu tej nieświętej trójcy.

- Dziękuję za zaufanie, Wasza Wysokość - powiedział Umurhan. - Choć muszę powiedzieć, że ostatnio zacząłem podejrzewać młodego Timurę. Pragnąłem wyrzucić go ze szkoły, ale nie chciałem obrazić jego mecenasa, lorda Muzine'a. Zamiast tego poczyniłem przygotowania, by Timura nie zdał nadchodzącego egzaminu. Wtedy pozbyłbym się go, nie wzbudzając kontrowersji.

- Porozmawiam z Muzine'em - zaproponował Didima. - Będzie wdzięczny, że daliśmy mu szansę na odcięcie się od małego zdrajcy.

- Nie wspominajmy jeszcze o tym nikomu - ostrzegł Kalasariz. - Chcę zobaczyć, dokąd nas zaprowadzi.

- To dobra rada - rzekł Didima. - Po co chwytać jednego wichrzyciela, skoro możemy zgarnąć wszystkich. - W zamyśleniu przeczesywał brodę grubymi, krótkimi palcami. - To niebezpieczne czasy, panowie, jak już niejednokrotnie wspominałem. Dwa lata słabych żniw. Wśród bydła i owiec wybuchają plagi. Na karawany napada więcej bandytów niż przed laty, co nie przyczynia się do rozwoju handlu. I ta wzrastająca niechęć naszych obywateli, którą składam na karb nędznego wychowania, do płacenia podwyższonych podatków, koniecznych, by utrzymać królestwo w całości i na dobrym kursie. A teraz ten arogant, Iraj Protarus, zjawia się ze swoją armią barbarzyńców, najeżdżając królestwa niewinnych, miłujących pokój królów. Ba, tylko ostatniego miesiąca mojemu staremu przyjacielowi, królowi Leemanowi z Shareed, ten człowiek, Protarus, kazał ściąć głowę. Oczywiście, zaraz po tym, jak złupił miasto i doszczętnie je spalił.

Didima dotknął swojego gardła i zadrżał.

- Ścinanie królewskich głów - stwierdził - jest niedopuszczalne. Narusza godność tronów we wszystkich krajach.

- Zgadzam się całkowicie, Wasza Wysokość - rzekł Umurhan. - I sądzę, że podjęliśmy mądrą decyzję, nawiązując sojusz z wrogami Protarusa, Koralia Kanem i lordem Fulainem.

- Będziemy musieli, ponownie, podnieść podatki - ostrzegł Didima - aby opłacić najemników i broń, którą obiecaliśmy naszym nowym przyjaciółom.

- Umowa warta jest każdego miedziaka - odparł Umurhan - jeśli tylko raz na zawsze powstrzyma Protarusa. Pewnego dnia nasi obywatele podziękują nam za uratowanie przed tym szaleńcem.

- Podziękują czy przeklną - Kalasariz dodał - tak czy inaczej zapłacą. Ale to stara sprawa. Równie mocno, jak pragnąłbym rozmawiać z wami całą noc o polityce, chcę ustalić właściwe postępowanie w stosunku do Safara Timury. Co robimy?

Umurhan wskazał przechwycony list.

- Jak wpadł w twoje ręce?

- Mam informatora w Foolsmire - rzekł Kalasariz - które, jak wszyscy wiecie, jest ulubionym miejscem spotkań studentów. Safar jest bliskim przyjacielem właściciela i tam kierowane są wszelkie wiadomości do niego, a także jego poczta.

- Znam to miejsce - rzekł Umurhan. - Właściciel jest ekscentrycznym, ale nieszkodliwym staruszką, który nie ufa władzom. Chyba ma na imię Katal. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby nagle odmieniło się jego serce i stał się donosicielem Korony.

Kalasariz uśmiechnął się niewyraźnie, co jeszcze bardziej upodobniło go do szkieletu.

- Płacę wnukowi właściciela - rzekł. - Ma na imię Zeman. Jego tępota dorównuje jego ambicjom. Wypełniają go knowania, a każde z nich jest podłe. Zeman aż się pali do dziedzictwa, ale na jego nieszczęście dziadek zdradza oznaki, że będzie jeszcze żył przez wiele lat. Moi emisariusze przywieźli młodego Zemana do przekonania, że jeśli nam pomoże, to możemy przyspieszyć podróż dziadka na tamten świat.

- Wspaniale, wspaniale - rzekł król Didima. - Im czarniejsza dusza, tym chętniejsze ciało.

Kalasariz zachichotał. Zabrzmiało to, jakby tarły o siebie złamane kości.

- Z pewnością jest to prawdą w przypadku Zemana - zawyrokował. - Wydaje się w szczególności nienawidzić Safara Timury. Nie wiem, dlaczego - Timura chyba nigdy nie zrobił mu nic złego. Sądzę, że jest zazdrosny, ponieważ jego dziadek darzy Timurę wielkim uczuciem. W Foolsmire przebywa także dziecko, złodziejka o imieniu Nerisa, którą wydaje się on nienawidzić prawie równie mocno jak Timurę. Ponownie, nie wiem dlaczego. Nie obchodzi mnie to. Wystarczy powiedzieć, że Zeman przez jakiś czas szukał na własną rękę dowodów przeciw Timurze. Bogowie wiedzą, że nie mieliśmy żadnych powodów, by go podejrzewać. A potem nadszedł ten list i Zeman natychmiast się z nami skontaktował.

Kalasariz zaprezentował kolejny uśmiech, przez który wyglądał jak maska śmierci.

- Zdołał tak skonstruować oskarżenia, by obejmowały także dziecko.

- No, no - stwierdził Didima. - Dwoje wrogów za jednym zamachem. Zeman musi być bardzo szczęśliwym człowiekiem.

- Dopiero nim będzie, jeśli wszystko pójdzie po jego myśli - powiedział Kalasariz. - Uważam, że najlepiej jest dopilnować należytego wzbogacenia informatorów, by marzyli o wielkich rzeczach, ale pozostawić ich nadal w takim niedosycie, by wciąż te marzenia pozostawały poza ich zasięgiem.

- Co powiedział Timura, kiedy dowiedział się o liście? - zapytał Didima.

- Nie wspominałem o nim - rzekł Kalasariz. - Pozwoliłem mu skłamać. Utrzymywał, że nie miał wiadomości od Protarusa od czasu, kiedy byli chłopcami. Powiedział też, że wątpi, czy jego stary przyjaciel nawet go pamięta.

Umurhan prychnął.

- To mi dopiero historyjka - rzekł. - Ten list jest najwyraźniej jednym z kilku ponagających Timurę do przyłączenia się do Protarusa w jego bezecnych przygodach. I patrzcie tutaj. - Dźgnął palcem w jedno ze zdań listu. - Protarus mówi, że zdeponował fundusze dla Timury w Gildii Kupieckiej.

Kalasariz prychnął.

- Oczywiście, przejąłem je - odparł. - Sto złotych monet.

Nietoperze brwi Umurhana podjechały do góry w zdziwieniu.

- Aż tyle? - zapytał. Potem dodał: - Oto jeszcze jeden dowód, gdybyśmy go potrzebowali. Nikt nie wyłożył ot tak takiej sumy.

Didima pochylił się ku niemu.

- Jak sądzisz, dlaczego Timura oparł się prośbom Protarusa?

- To dość proste, Wasza Wysokość - rzekł Kalasariz. - Domaga się większego udziału w łupach.

Umurhan wyglądał na zamyślonego.

- Jestem pewien, że to część jego gry - wywnioskował. - Jednakże domyślam się też, że zamierza ukraść i zabrać ze sobą moje najważniejsze sekrety magiczne. Pewnego dnia złapałem go w mojej prywatnej bibliotece. To dlatego prawie go wyrzuciłem ze szkoły. Tamtejsze książki i zwoje są wzbronione dla wszystkich, prócz paru moich najbardziej zaufanych kapłanów i uczonych.

Długa cisza skwitowała jego wyznanie. Potem Didima powiedział:

- A co z tą bitwą, do której nawiązuje Protarus? A zwłaszcza z tą częścią o potworach? Co o tym sądzicie?

- Podejrzewam, że to jakaś chłopięca przygoda - odrzekł Kalasariz. - Naturalnie wyolbrzymiona.

Didima pokiwał głową.

- Tak, tak. Bo co by to mogło być innego? - Pomyślał przez chwilę, a następnie zapytał: - Co zrobimy z akolitą Timurą?

- Teraz nic - odparł Kalasariz. - Niech zachowa swoją głowę. We właściwym czasie dopilnujemy, żeby wystąpił z bardzo publiczną wizytą u naszego kata, w celu jej usunięcia. - Wysunął zwój z rękawa i rozwinął go na biurku Didimy, mówiąc: - A jeśli już o to chodzi, Wasza Wysokość, to potrzebuję twego podpisu pod rozkazem egzekucji Timury i jego współtowarzyszy konspiratorów, gdy nadejdzie czas, by ich zgarnąć. Nie chcemy żadnych bałaganiarskich procesów ani innych opóźnień, które mogłyby dać ich poplecznikom czas na zdobycie publicznego poparcia.

Król zachichotał, podnosząc ptasie pióro i maczając je w atramencie.

- Widzę, że na razie jest tu tylko nazwisko Timury - powiedział.

- Och, znajdzie się tu ich więcej, Wasza Wysokość - odrzekł Kalasariz. - Zauważ, że pozostawiłem na tej stronie mnóstwo miejsca.

Król z aprobatą skinął głową.

- Tulaz pragnie poprawić swój rekord - odpowiedział. - Zrobimy z tego dużą uroczystość, prawda? Święto państwowe. Darmowe jedzenie i picie. Coś jakby karnawał, aby uczcić tę chwilę. - Naskrobał swoje imię na dokumencie, dodając: - Nie ma jak masowa egzekucja na uspokojenie społeczeństwa.

Kalasariz uśmiechnął się blado, podmuchał na wilgotny atrament i podał dokument Umurhanowi.

- Potrzebuję twego poświadczenia - rzekł. - To tylko formalność.

Umurhan podpisał bez wahania.

- Szkoda - oznajmił. - Miałem tyle nadziei związanych z tym chłopakiem.

Parę godzin później Kalasariz przygotowywał się do snu. Podczas gdy jego śliczne pokojówki słały prześcieradła i wzruszały poduszki, on sam wypił swój ulubiony słodki, gorący napój okraszony brandy i łagodnymi proszkami nasennymi.

Nie był człowiekiem, który cieszy się dobrym snem. Jednakże nocne godziny nie zakłócały mu wspomnienia przelanej krwi, lecz nieustanne zmartwienia, że coś przeoczył. Jego intrygi i zdrady były liczne. Miał tylu wrogów, że nie śmiał zawieść kogoś ze straży. Był mistrzem wielkich kłamstw i dlatego nieustannie śledził wypowiedane nieprawdy i półprawdy. Za dnia nigdy nie dopadła go chwila słabości, ale nocą jego sny nawiedzały plany, które spaliły na panewce przez głupi błąd lub przeoczenie. Bez swojego cowieczornego rytuału obudziłby się tak wyczerpany koszmarami, że nawiedzałyby go wątpliwości. Tak więc pomimo późnej godziny pozwolił, by po wypiciu napoju służące go zadowolili. Potem wykąpały go i ubrały w koszulę nocną z czarnego jedwabiu.

Odprawił je, wyciągając rękę po maskę z czarnego jedwabiu, którą zakładał, by odciąć się od zblakanych promieni światła. Zanim ją założył, przypomniał sobie dokument egzekucji, wciąż leżący na toaletce. Pomimo napoju nasennego i uwagi poświęconej przez służące, wiedział, że nie zaśnie dobrze, dopóki papier leży tam bez dozoru. Nie miało dla niego znaczenia, że nikt nie ośmieliłby się zakraść do domu naczelnego szpiega Walarii, a tym bardziej obrabować jego alkowę. Jego umysł był tak aktywny, że Kalasariz, przekręcając się i rzucając w śnie, wkrótce wymyśliłby niezliczone scenariusze, w których tak nieprawdopodobny czyn nagle stałby się rzeczywistością.

Choć był już tak bliski zaśnięcia, wstał, by zająć się dokumentem. Dołożył wszelkiej troski, by na wyroku śmierci na Safara zebrać podpisy swoich towarzyszy władzy. Jego imię nie pojawiło się tam - była to nieobecność niezmiernie godna uwagi. Kalasariz zwinął dokument z innym, na którym było jego nazwisko. Był to oficjalny protest do tej decyzji, wychwalający Timurę jako młodzieńca o wielu znamienitych zaletach i cnotach. Zamknął dokumenty w swojej specjalnej skrytce za trzecim panelem od wejścia do alkowy.

Kalasariz nie miał żadnych ambicji prócz przetrwania na swej dotychczasowej pozycji współrządcy Walarii. Tak samo nie chciał zobaczyć zdetronizowanego Didimy, jak i siebie na miejscu króla. Ale jak powiedział Didima, nadeszły niebezpieczne czasy. Jeśli jakimś trafem ten młody pieniacz, Iraj Protarus, będzie szukał zemsty za śmierć przyjaciela, Kalasariz wolałby być postrzegany jako jeden z mistrzów Timury. Wódz szpiegów nie wątpił, że miał rację, popierając decyzję, by Walaria sprzymierzyła się przeciw Protarusowi. Ale istniała niewielka możliwość, że sojusz rozpadnie się i Protarus wraz ze swoją armią pokaże się pewnego dnia u bram. Didima i Umurhan zapłacą za swoje przestępstwo głowami. Tulaz najprawdopodobniej będzie czynił honory, ponieważ dobry kat jest unikatem, który natychmiast zostanie powitany w służbie nowego króla. Kalasariz, uzbrojony w dokumenty udowadniające jego niewinność, również zostanie tam mile powitany. Protarus będzie potrzebował dowódcy szpiegów, a kto lepiej od Kalasariza nadawał się na to stanowisko?

Timura dał Kalasarizowi niepowtarzalną szansę. Z jednej strony konieczne było usunięcie niebezpieczeństwa, które mógł sprowadzić na nich, będąc przyjacielem Iraja Protarusa. Z drugiej zaś, Safar był spoza tego środowiska: można było na niego zrzucić ogromną winę. Zostałby ogłoszony prowodyrem wszystkich młodych zapaleńców, którzy sprzeciwiali się władcom Walarii. Tuzin lub nawet więcej jego „poruczników” - w rzeczywistości prawdziwych przywódców opozycji - również otrzymałoby karę ostateczną. To nie tylko stłamsiłoby ich następców i sympatyków, ale ostateczną

winą obciążone zostałyby zewnętrzne, nie nazwane wpływy.

Istnieje powiedzenie: „Zjeść ciastko i je mieć”.

Kalasariz nie przepadał za słodyczami, ale cieszył się tym odczuciem.

Tej nocy szef szpiegów spał dobrze. Jednak tuż przed pierwszą modlitwą przyśniła mu się dziwna istotka o ciele człowieka i twarzy demona. Pożerała słodką bułeczkę, rozsiewając okruszki na prawo i lewo.

Kiedy skończyła, wytarła się i spojrzała mu prosto w oczy.

- Zamknij się! - powiedziała. - Zamknij się, zamknij, zamknij!

Nie wiedział, co oznacza stworzenie, ani jego błazeństwa, ale z jakiegoś powodu przestraszyło go.

Wielka Świątynia Walarii

Safar, inaczej niż Kalasariz, mało spał tej nocy. Doskwierała mu każda słomka w sienniku i każde wybrzuszenie poduszki. Kilka dni wcześniej jego jedynym większym zmartwieniem był niewyraźny i w pewien sposób czysto akademicki strach, że świat stanął w obliczu jakiegoś wielkiego zagrożenia. W wieku dwudziestu wiosen nie potrafił wziąć go sobie do serca. Odwiedziny dowódcy szpiegów w powiązaniu z ostatnimi trudnościami z Umurhanem sprawiły, że poczuł się mniej nieśmiertelny. Wpadł w kłopoty, które urosły z poziomu granitowych pagórków niezadowolenia Umurhana aż do tępych górskich wierzchołków podejrzeń Kalasariza.

Ujmując rzecz w skrócie, osaczono go ze wszystkich stron. Czuł się nieswojo, ponieważ nie wiedział, co zrobić. Do bagna niepewności dołożył się dar Nerisy i strach o nią samą. Ktoś, z niewiadomych powodów, naznaczył ją.

Wszyscy na ulicy wiedzieli, że Nerisa za miedziaka lub dwa wyświadczała drobne przysługi każdemu w Foolsmire. Najpewniej któryś z młodych mężczyzn, który ją wynajął, cechował się kontrowersyjnymi poglądami. To nie czyniło jeszcze z Nerisy konspiratora. Było to ogólnie znanym faktem - nawet dla sługusów Kalasariza, którzy uczynili z Foolsmire swe terytorium. A więc dlaczego donosiciel kłamał? Dlaczego wystawił Nerisę?

Wtem Safar zdał sobie sprawę, że to on był celem. Ktoś mógł chcieć osiągnąć go poprzez Nerisę. Ale ponownie pojawiło się to najważniejsze z pytań: Dlaczego? Potem zdał sobie sprawę, że bez znaczenia, jaka byłaby odpowiedź, jego przeznaczenie może pędzić ku nieprzyjemnemu rozwiązaniu. Jedyną mądrą rzeczą była jak najszybsza ucieczka z Walarii. Taki czyn dla Kalasariza z pewnością będzie wyglądać na bezpośrednie przyznanie się do winy. Jednakże Safar pomyślał, że jeszcze niebezpieczniej było pozostać w Walarii na łasce dowódcy szpiegów.

Zdecydował się uciekać do domu, do Kyranii, tak szybko, jak tylko zdoła. Ale co z Nerisą? Będzie musiał wymyślić plan, żeby uchronić ją przed odwetem, który mogło sprowokować jego zniknięcie.

Safar poczuł ulgę, gdy tylko podjął decyzję. Wiele nauczył się w Walarii, ale jego pobyt w tym okropnym mieście był jedną z najbardziej nieprzyjemnych wizyt. Tęsknił za rodziną i przyjaciółmi. Tęsknił za czystym, górskim powietrzem, niebieskim niebem, topniejącymi chmurami i śnieżnymi zboczami.

Na jego drodze stała tylko jedna przeszkoda - brak pieniędzy. Aby ucieczka udała się, będzie potrzebował ogromnej sumy. Koniecznością stanie się szybki rumak na długą podróż do domu, a także pieniądze dla Nerisy. Gdzie mógłby dostać tak dużą kwotę? Nie było sensu prosić o nie mecenasa, lorda Muzine'a. Nie tylko odmówiłby, ale, jak Safar pomyślał, prośba zostałaby natychmiast doniesiona Kalasarizowi.

Była tylko jedna osoba, o której pomyślał, że może mu pomóc.

Ale jeśli wstąpi się na tę drogę, nie będzie już z niej powrotu.

Safar wstał przed pierwszym brzaskiem. Umył się, ubrał i szybko pomaszerował do pobliskiej piekarni. Kupił tam lepką bułkę wypełnioną jędrnymi rodzynkami. Pospiesznie wrócił do domu i przygotował imbryk mocnej herbaty. Pijąc ją, przywołał Gundarę.

Malutki Ulubieniec wyskoczył z obłoczka magicznego dymu, kaszląc i pocierając zaspane oczy.

- Nie mów mi, że ty też wcześniej wstajesz! - jęknął Gundara. - Bogowie muszą mnie nienawidzić, bo czemużby inaczej pozwalali, bym wpadł w łapy tak okrutnego pana?

Zamiast odpowiedzieć, Safar wyciągnął lepką bułkę. Oczy Ulubieńca rozszerzyły się.

- Czy to dla mnie, o mądry i wspomniały panie?

- Dla nikogo więcej - odparł Safar. Podał bułkę, a Ulubieniec porwał ją z dłoni i pożarł, mrucząc z rozkoszy i rozsiewając okruchy oraz rodzynki po całej podłodze.

Kiedy skończył, oblizwał do czysta każdy ze szponiastych palców, cmoknął wargami i oznajmił:

- Jeśli dasz mi jeszcze jedną, będę dla ciebie zabijał, o panie.

Z jego tonu Safar domyślił się, że to nie żart.

- Zabiłbyś dla kawałka ciasta? - zapytał Safar.

Gundara wzruszył ramionami.

- Pieniądze nie mają dla mnie żadnego znaczenia. Nie cenię też klejnotów ani skarbów. Mieszkam w kamiennym żółwiu, pamiętasz? Ale coś słodkiego... mmmm... o tak, panie. Natychmiast prowadź mnie ku swoim ofiarom. Mogę pomóc ci wyczarować godziwą truciznę, która zagwarantuje, że całe miasto zostanie zredukowane do wioski.

- Nie zabijam ludzi - powiedział Safar.

- Tym bardziej szkoda - odparł Gundara. - Zabijanie jest znacznie łatwiejsze od większości zadań. - Przeciągnął się, ziewając. - A właściwie, panie, jeśli nie chcesz, abym zabijał, to co mam robić?

- Zmniejsz się, ile tylko zdołasz - rzekł Safar - i wskocz mi na ramię.

- Jakie to nudne - poskarżył się Gundara, ale pstryknął szponami i znieacka skurczył się do rozmiarów dużej pchły. Safar musiał się uważnie przypatrzeć, by go zobaczyć. Gundara krzyknął, a jego głos pozostawał tak samo głośny, jak wtedy, gdy był normalnych rozmiarów:

- Będziesz musiał mi pomóc z tym wskoczeniem na ramię, panie. Za daleko.

Safar wyciągnął rękę, a czarna kropka, która była Gundara, pobiegła po niej, gramoląc się po nierównym materiale rękawa, aż dosięgła barków.

- Tego ranka mam ważny interes do załatwienia - rzekł Safar. - Chcę, żebyś pilnował, czy nie zbliża się niebezpieczeństwo albo podejrzani ludzie.

- Panie, czy dostanę jeszcze jedną bułkę, kiedy skończę? - nadbiegł głos Gundary.

- Jeśli dobrze się spieszysz - obiecał Safar.

- I jeszcze jedną dla Gundaree? - naciskał Ulubieniec.

Safar westchnął.

- Tak - odpowiedział. - Gundaree też dostanie jedną.

- Niech następnym razem będzie z jagodami - poprosił Ulubieniec. - Po rodzynkach mam wiatry.

Kiedy Safar wyruszał, miasto budziło się ze snu. Na ulicach panował niewielki ruch, ale otwierano już kilka warsztatów. Przed innymi gromadzili się pracownicy, żując oliwki i czarny chleb w oczekiwaniu na przybycie pracodawców. Safar przeszedł obok warsztatu kołodzieja, który zawsze

wcześniej rozpoczynał naprawianie wozów psujących się w drodze na targ. O ścianę obok wejścia opierał się mężczyzna o twarde spojrzeniu. Wpatrywał się w przechodzącego Safara.

Safar pochylił głowę ku ramieniu.

- Czy tu grożą mi jakieś kłopoty? - zapytał.

- To tylko kieszonkowiec - odparła pchła drobinka, którą był Gundara. - Nie martw się. Jesteś za biedny jak na jego gust.

Safar szedł dalej, ale utrzymywał powolne tempo, tak by Ulubieniec mógł wywęszyć szpiegów. Był pewien, że Kalasariz każe swoim donosicielom śledzić go. Chociaż Safar był prostym góralem, nie zaznajomionym z miejskimi zwyczajami, mógł polegać na swojej znajomości natury. Myśliwi, bez znaczenia, czy są ludźmi, czy zwierzętami, zachowują się tak samo. Na przykład, wilki podążające za ofiarą wysyłają zwiadowcę w pobliże zwierzęcia, które zamierzają napaść. Kiedy stado przechodzi obok, zwiadowca wypatruje chorej owcy, którą wybiera na obiad. A gdy stado przemieszcza się z miejsca na miejsce, wilk podąża w jego ślad tylko przez pewien czas, przekazując swoje obowiązki kolejnemu strażnikowi, nie wzbudzając w ten sposób podejrzeń. I tak dzieje się przez cały dzień, dopóki upatrzona ofiara nie zostanie z tyłu, albo zbyt oddali się od pozostałych zwierząt. Wtedy zwiadowca wyciem obwieszcza o tym reszcie i wilcza horda atakuje.

Tak też Safar wyobrażał sobie pracę donosicieli Kalasariza. Zapewne na ulicy w pobliżu jego domu wystawili szpiega, który zaalarmuje pozostałych, gdy chłopak przejdzie obok. Potem będą go sobie przekazywać, aż wróci na noc do domu.

Gdy zbliżał się do wylotu ulicy, zza wózka podniosła się staruszka ubrana w szmaty i otulona końską derką. Po jednej stronie wózka znajdowała się drewniana klatka z gruchającymi gołębiami, zaś po drugiej kosz z parującymi gorącymi pasztecikami.

- Gorące gołębie paszteciki - krzyknęła do Safara. - Dwa miedziaki za jeden.

- Nie, dziękuję, babciu - odparł Safar, przechodząc obok.

Stara kobieta złapała go za rękaw.

- Tyle zwykle chcem, paniczu. Dwa miedziaki za pasztecik. A ony są świeże i gorące. Dopiero co zabite tego ranka. Ale ty, paniczu, jesteś takim przystojniakiem, jeśli nie masz za złe, że tak gadam. Dzięki tobie biedne serce babci śpiewa, jakby znów była panienką. Od ciebie, paniczu, bo przypominasz mi moje dziewczęce lata, weźmie tylko miedziaka za dwa.

Donosicielka zobaczyła, że Safar waha się. Potem skinął głową i podał miedziaka, w zamian otrzymując dwa paszteciki, które schował w sakiewce. Podziękował babci uprzejmie jak należy i przeszedł obok, chowając się za rogiem i idąc dalej szeroką ulicą.

Staruszka poczekała, aż zniknie jej z oczu, a potem szybko otworzyła drzwiczki gołębiej klatki. Schwyciła jedyne białego ptaka, który był też większy i tłustszy od innych. Pogładziła go, szepcząc uspokajająco, a następnie rzuciła wysoko w powietrze. Jej ruchy były zadziwiająco zwinne jak na zgarbioną staruszkę.

Gołąb wzlatywał coraz wyżej, okrążając ulicę i odzyskując orientację. Potem pomknął ku wysokiej wieży, która znaczyła wejście na główny targ. Donosicielka uśmiechnęła się, wiedząc, co teraz nastąpi. Gołąb został wyuczony, by trzykrotnie okrążyć wieżę. To poinformuje wszystkich szpiegów rozmieszczonych w mieście, że Safar wyszedł z domu. Później gołąb wróci do wózka, dostając miły poczęstunek i wyszeptaną pochwałę za to, że był tak sprytnym i pięknym ptaszkiem.

Staruszka bardzo kochała gołębia. Wychowała go od pisklęcia i psuła go bardziej niż inne ptaki. Patrzyła z dumą, jak jej mały skarb leci ku wieży. Nagle zaczerpnęła tchu, kiedy groźny czarny cień

nadleciał ponad dachami i pomknął ku gołębiowi. Sokół rzucił się ku jej najwspanialszemu ptakowi z wyciągniętymi szponami. Gołąb wyczuł zagrożenie i próbował umknąć, jednak drapieżnik był szybszy. Nastąpiła eksplozja krwi i piór. Myśliwy odleciał, dzierżąc w szponach resztki gołębia.

Donosicielka jęknęła z rozpaczą. Nie tylko straciła swoje ukochane zwierzę, ale także Safara. Szybko złapała za ucho przechodzącego chłopca i dała mu monetę, by pilnował wózka, obiecując, że dostanie ich więcej, jeśli po jej powrocie dobytek pozostanie w nienaruszonym stanie. Potem pospieszyła, by poinformować przełożonych, że jastrząb pokrzyżował jej plany.

Dwie ulice dalej Safar biegiem schował się za rogiem, a potem zwolnił do szybkiego marszu. Była to czynszowa dzielnica, wypełniona wysokimi, powykrzywianymi budynkami. Nikogo na niej nie było, prócz gospodyń domowych nielegalnie opróżniających nocniki wprost na ulicę, dzięki czemu unikały płacenia za wywóz nieczystości. Okiennice otwierały się z trzaskiem, ścieki płynęły strumieniem na ulicę, a potem zatrzaśkiwały z powrotem, zanim mógł to zobaczyć ktoś z władz. Przechodnia zaś, który nie odskoczył w odpowiednim kierunku na dźwięk otwieranych okiennic, zalewała rozpaczą.

Safar zgrabnie wykonał unik, kiedy z niebios poleciał mętny strumień, i na szacie nie pozostała mu nawet najmniejsza plamka. Zagwizdał, a sokół spłynął ku niemu z dachu. Wylądował na jego ramieniu. Dziób i pierś ptaka pokrywała krew. Safar skrzywił się na ten widok i machnął ręką, a sokół zamienił się w Gundarę, który ponownie stał się pchłą drobinką na jego barku.

- Spójrz na mnie! Cały jestem w gołębiej krwi - poskarżył się Ulubieniec. - Bogowie wiedzą, że nienawidzę smaku krwi, a zwłaszcza gołębiej posoki. Nigdy nie wiadomo, gdzie te brudasy były. Są gorsze od kurczaków.

- Przepraszam - powiedział Safar. - No, ale dzielnie się spisałeś.

- Mój pan jest prostaczkiem - rzekł Gundara. - Oczywiście, że się dobrze spisałem. Czy uważasz, że wyskoczyłem jakiejś zakłętej sroce spod ogona? Robię to w końcu od tyłu stuleci, że aż nie wspomnę, bo mnie przygnębia sama liczba. Fuj! W ustach też mam krew. I pióra. Nawet nie wiesz, co to znaczy, kiedy zaciska się zęby na piórach.

Safarowi zrobiło się szkoda Ulubieńca. Uspokajał go najlepiej jak potrafił. Parę ulic dalej kupił talerz puddingu pływającego w słodzonej wodzie różanej. Zjadł połowę, a resztki pchnął na bok drewnianą łyżką, by Gundara mógł wskoczyć do talerza i zażyć kąpieli.

Dalej szedł już z tłustą, czarną kropką na ramieniu, którą był Gundara.

Ulubieniec beknął.

- Może wcale nie jesteś takim złym panem - przyznał. - Czy codziennie jadasz różany pudding?

- Od dziś będę - przyrzekł Safar.

- Słyszysz to, Gundaree? - powiedział Ulubieniec do swojego niewidzialnego bliźniaka. - Jestem zupełnie przesiąknięty różaną wodą! Życie jest cudowne, a ja mam najlepszego pana na całym świecie. Tak więc sam spadaj, a mnie to niewiele obchodzi!

Safar skrzywił się, słysząc jednostronną konwersację. Był zadowolony, że musiał radzić sobie tylko z jednym Ulubieńcem na raz. Oba bliźniaki jednocześnie doprowadziłyby go do szaleństwa.

Szedł pod rozłożystą markizą, ocieniającą wejście do sklepu z dywanami, kiedy usłyszał, jak gdzieś nad nim ktoś syczy:

- Safar!

To była Nerisa. Ukrył zaskoczenie, rozglądając się, czy kogoś nie ma w pobliżu. Potem zaryzykował spojrzenie do góry i ujrzał ciemne oko, jarzące się w dziurze w markizie.

- Nie patrz! - rozkazała dziewczynka.

- Przepraszam - szepnął Safar. Przerzucił stertę dywaników przy wejściu, udając, że sprawdza ich jakość. - Czy wszystko w porządku? - zapytał bez tchu.

Nerisa prychnęła.

- Wystraszyli mnie prawie na śmierć i tyle. Co ja zrobiłam, że Kalasariz mnie ściga?

- Widziałas go?

- Ukryłam się na zewnątrz, dopóki nie wyszedł. Czułam się, jakbym wszystko wokół widziała pierwszy raz. Albo może znalazłam się w koszmarze i nie mogłam obudzić. Potem przeszedł obok mojej kryjówki. Tam miałam dobry widok i wiedziałam, że to nie koszmar. Jak mogłabym zapomnieć taką twarz? Wygląda jak ktoś, kto nie ogląda zbyt często słońca. Albo jak duch.

Safar skinął głową, pocierając między palcami kolejny dywanik.

- Słuchaj - zaczął. - Nie mam czasu na wyjaśnianie ci, co się dzieje. Służysz jako pretekst, żeby mogli dosięgnąć mnie. Nie wiem dlaczego. Ale coś zamierzam z tym zrobić. Trzymaj się w ukryciu i nie zbliżaj się do Foolsmire. Spotkaj się ze mną wieczorem.

- Dobrze, Safarze - odparła Nerisa. - A więc dziś wieczorem. Powiedzmy, trzy godziny po ostatniej modlitwie.

- Gdzie? U mnie nie jest bezpiecznie.

- Nie martw się - odpowiedziała Nerisa. - Nikt mnie nie zobaczy. Tylko tam bądź. Przyjdę do ciebie.

Zaczął się z nią sprzeczać, ale usłyszał nad sobą lekki szelest i kiedy spojrzał w górę na dziurę w markizie, oko znikło.

Idąc dalej, Safar czuł zaniepokojenie. Nerisa, jego zdaniem, ryzykowała zbyt wiele. Ale teraz nie mógł już nic zmienić, tak więc postarał się odepchnąć na bok zmartwienie i skoncentrować na swojej misji. Wkrótce dotarł do miejsca przeznaczenia. Uśmiechnął się do siebie, podchodząc i myśląc o wszystkich szpiegach, którzy mieli go śledzić, a teraz dreptali po całym mieście w jego poszukiwaniu. Będzie się krył w świetle latarni, w miejscu publicznym, gdzie nawet nie wpadnie im na myśl, by go szukać - w Wielkiej Świątyni Walarii.

Był to brzydki gmach składający się z szeregu masywnych budynków i wież z kopułami w kształcie cebul, otoczony wysokimi, fortecznymi murami. Świątynia z początku była prostą, kamienną konstrukcją. Została zbudowana setki lat temu, gdy Walaria - której nazwa oznaczała „miejsce wód” - była tylko paroma zrujnowanymi budynkami otoczonymi ogromnymi zagrodami, w których liczne stada bydła przynosiły zysk pierwszym osadnikom. Legenda utrzymywała, że Walarię założył wędrowny mag. Wtedy była jedynie suchą i koleczastą równiną. Ponoć czarodziej cisnął w ziemię laskę, która natychmiast zamieniła się w wysokie drzewo, a spomiędzy jego korzeni trysnął strumień. Po latach strumień ten zrodził wielkie miasto targowe wraz z władającym nim królem i wielkim kapłanem, który miał zbudować i dbać o pierwszą świątynię.

Potem każdy wielki kapłan budował kolejną świętą budowlę - bardziej w celu wychwalenia swego imienia niż bogów. Chcąc nie chcąc, świątynie strzelały w górę, a kapłani stawali w zawody ze złym smakiem poprzedników. Większość budynków przeznaczono różnorodnym bogom czczonym przez ludy Esmiru. Chlubą Walarii było, iż mieściła tyle wizerunków bogów, ile było gwiazd na niebie.

Safar przeszedł przez główną bramę, mijając dziesiątki sklepów i kramów, dostarczających zaopatrzenie religijnemu handlowi. Oferowano tam kadzidła wszelkich rodzajów i cen, święte oleje,

specjalne świece, oraz setki tysięcy wizerunków różnych bogów - duże przeznaczono na domowe ołtarze, małe można było zawiesić jako talizman na łańcuchu. Po obu stronach głównej świątynnej arterii widniały klatki i małe zagrody mieszczące zwierzęta oraz ptaki, które można było nabyć z przeznaczeniem na ofiarę. Sprzedawano również błogosławieństwa i magiczne napoje. Jeśli było się pielgrzymem z obcą monetą, lub pokazało się polecające listy, zaraz wokół pojawiało się pół tuzina handlarzy walutą, chętnych służyć od pierwszej do ostatniej modlitwy.

Do czasu, gdy Safar dotarł w pobliże świątyni, tłum już się zebrał. Musiał przepychać się, używając łokci. Na końcu głównego bulwaru skręcił w prawo. Tutaj ulica świeciła pustkami. Jedyne paru studentów, takich jak on sam, spieszyło się na uniwersytet - niski budynek, mierzący dwa piętra wznwyż i trzy w głąb ziemi.

Na najwyższym piętrze mieszkał Umurhan i pozostali kapłani - chociaż pokoje Umurhana zajmowały prawie połowę całej tej przestrzeni. Parter mieścił biura, klasy oraz wielką aulę, gdzie wszyscy zbierali się podczas specjalnych uroczystości i by wysłuchać ogłoszeń. Dwa z podziemnych pięter przeznaczono na sypialnie dla studentów tak biednych, że nie mogli zapłacić za miejsce w prywatnej szopie lub pokój taki jak Safara.

Portale, wiodące do uniwersytetu, zdobiły uśmiechające się lubieżnie gargulce. Safar zadrżał, przechodząc pod nimi.

- Nie stanowią żadnego zagrożenia - oznajmił z ramienia Gundara. - To tylko kamień.

Safar nie potrzebował duchowego wsparcia. Wiedział dobrze, że gargulce to jedynie pozbawione życia symbole strzegące przed złymi duchami. Jednak nawet po prawie dwuletnich spotkaniach z kamiennymi obliczami nie mógł powstrzymać swojej reakcji.

Tuż za portalem widniał spory dziedziniec z kamiennymi schodkami prowadzącymi do ołtarza. Tutaj studenci ćwiczyli składanie bogom ofiar krwi. Zza prętów klatek znajdujących się po lewej stronie ołtarza wyciągano zwierzę. Stworzenia były zawsze oteńpione narkotykami, tak że rzadko sprawiały kłopoty. Kapłan kazał młodzikowi wykonać potworne zadanie poderżnięcia zwierzęciu gardła. Pozostali rzucali się, by schwytać płynącą krew, zanim zwierzę zdążyło upaść. Potem, dorzynając zwierzę, wypowiadało się modlitwy. Mięso i krew palono w ofiarnych urnach ku chwale bogów. Safar zawsze czuł niepokój związany z ofiarami krwi. Im więcej się uczył, tym bardziej przekonywał się, że nie są potrzebne. Zauważył także, że najlepsze kąski odkładano na bok dla Umurhana i kapłanów. Z pewnością nie był to czyn, który mile polechtałby bóstwo.

Przechodząc obok ołtarza, zauważył pięciu akolitów sprzątających po niedawnej ofierze. Zakasali niechlujne szaty i na czworakach szorowali zdartymi szczotkami stopnie i podium.

Safar pamiętał okres, kiedy to obrzydliwe zadanie było jego jedynym i nieustającym zajęciem.

Mijając pracujących chłopców, przypomniał sobie chwilę, kiedy po raz pierwszy spotkał Umurhana.

Panowała ponura zima. Niebo było blade jak kamienny ołtarz. Safar stracił rachubę tygodni, które spędził, klęcząc na pokrytych strupami kolanach i szorując stopnie oraz podium. Było tak zimno, że za każdym razem, gdy zanurzał szczotkę w wiadrze, w chwilę po jej wyjęciu na powierzchni krzepła warstewka lodu.

Każdego ranka meldował się u tego samego kapłana, pytając, kiedy pozwolą mu uczęszczać na zajęcia. Odpowiedź zawsze brzmiała tak samo:

- Przybyłeś tego roku tak późno. Tak późno. Pracuj, pracuj. Kiedy nadejdzie rozpoczęcie...

rozpoczęcie... powiadomię cię. Powiadomię.

- Tak, o wielebny - odpowiadał Safar, przybierając tak pokorny ton, jak tylko potrafił, dokładnie jak uczył go Gubadan, zanim opuścił Kyranię. Kiedy dni stawały się krótsze, on coraz bardziej się niecierpliwił. Przybył do Walarii, by się uczyć, nie po to, by szorować podłogi. Ponadto Coralean płacił wysoką cenę, fundując mu studia. Safar miał być studentem, nie niewolnikiem.

Tego szczególnego dnia osiągnął granicę cierpliwości i zaczął poważnie rozmyślać o spakowaniu dobytku i wyruszeniu z powrotem do domu - i niech piekło pochłonie Walarię. Właśnie podnosił się z kolan, kiedy wokół zapanowało zamieszanie.

Kapłan, u którego dzień za dniem stawał się Safar, wpadł na dziedziniec, otoczony innymi kapłanami i wielkim tłumem akolitów z walariańskiej szkoły magicznej. Była to elitarna grupka, która nie liczyła więcej niż sto osób. Zaliczali się do niej studenci, których uznano za obdażonych talentem i dlatego kwalifikowali się do intensywnego szkolenia w sztukach magicznych. Safar nie sięgał tak wysoko. W tym czasie chciał mieć jedynie szansę na dołączenie do głównej grupy studentów i gruntowne pogłębienie wiedzy ogólnej. Ale kiedy przypatrzył się grupce i ujrzał jej spojrzenie wyrażające bezgraniczną wyższość, zauważył słabą mgiełkę ich magii i doznał chwilowego rozbłysku zazdrości. Odepchnął uczucie na bok, a kiedy podekscytowani studenci stłoczyli się na dziedzińcu, złapał wiadro i przeniósł się do oddalonego kąta, skąd mógł wszystko widzieć, sam pozostając nie zauważonym.

Z mamrotania akolitów wywnioskował, że do Umurhana przybył ważny człowiek, prosząc o wielką przysługę. Wydawało się, że mężczyzna popełnił jakiś niegodny czyn - grupka dzieliła podejrzenia równo pomiędzy zdradzenie krewnego a zamordowanie niewolnika - i chciał złożyć ofiarę bogom, pragnąc ich przebaczenia. Ale chciał uczynić to przy tak niewielkim rozgłosie, jak to tylko możliwe, dlatego zapłacił świątyni okazałą darowiznę w zamian za prywatną uroczystość. Po oczyszczeniu, jak mówili akolici, bogate dary zostaną rozdane studentom, by kupić ich milczenie.

Kiedy Safar to usłyszał, ukrył się jeszcze dokładniej za kolumną obrośniętą grubymi pędami winorośli.

Krótko potem zadźwięczały cymbały, a na dziedziniec wkroczyło dwóch mężczyzn. Przed nimi biegł chłopiec rozrzucający na drodze płatki kwiatów i machający kadzielnicami, by osłodzić wdychane przez nich powietrze. Bez omyłki można było rzec, że jeden z mężczyzn, odziany w powiewające szaty mistrza magii był Umurhanem. Safar, nawet gdyby był ślepy, wyczułby jego obecność, ponieważ powietrze nagle wypełnił ciężki odór magii. Safara uderzyła kolejna rzecz: bogato odzianym i obwieszonym ciężkimi klejnotami człowiekiem idącym u boku Umurhana, był nikt inny jak lord Muzine. Chociaż chłopiec nigdy nie został przedstawiony Muzine'owi osobiście, książe kupców został mu pewnego dnia pokazany - kiedy przejeżdżał w swoim luksusowym powozie ciągniętym przez znakomicie dobrane czarne konie. Muzine miał twarz jak dwustronny młot obrócony do góry nogami. Była pociągła aż do brody, gdzie wybrzuszała się po obu stronach.

Dziedziniec ucichł, kiedy obaj mężczyźni wspięli się na podium i zbliżyli do ołtarza Rybiana, króla bogów i bóstwa, które stworzyło ze świętej gliny wszelkie żyjące istoty. Umurhan i dwaj krzepcy mężczyźni w nieskazitelnie białych szatach ostrożnie pomogli Muzine'owi uklęknąć przed kamiennym wizerunkiem łagodnego boga.

Umurhan zwrócił się ku akolitom, a jego oczy gorzały pod brwiami podobnymi do skrzydeł nietoperza.

- Bracia - powiedział - zebraliśmy się tu dziś, by towarzyszyć dobremu, życzliwemu

człowiekowi, który przez nieszczęśliwe okoliczności zбочzył ze ścieżki czystości, choć nieugięcie kroczył nią przez całe życie. Nie jesteśmy tutaj, by go osądzać, bo któż spośród nas mógłby osądzić męża tak znanego wszem i wobec ze swojego łagodnego charakteru i hojnej dobroczynności? Ów człowiek przyszedł do mnie z cierpiącą duszą, obnażając serce. Zgrzeszył, ale któż z nas tego kiedyś nie zrobił? Tak więc nie będziemy go osądzać. Zamiast tego ubłagamy wielkiego, litościwego Rybiana, ojca nas wszystkich, by ulitował się nad tym biednym śmiertelnikiem i wybaczył mu wszelkie błędy, które przeznaczenie kazało mu popełnić. Tak więc proszę was dzisiaj, moi bracia w duchu, byście przyłączyli się ochoczo i całym sercem do tej misji miłosierdzia. Mężczyzna, którego ujrzycie upokorzonego przed wami, nie zasługuje na zły los. Pomoc dla niego w tej najdelikatniejszej ze spraw jest honorem dla naszego uniwersytetu i świątyni.

W czasie przemowy Umurhana mężczyźni w bieli delikatnie zdjęli tunikę Muzine'a, obnażając go do połowy. Wszystkim ukazała się różowa, miękka skóra ciężkiego torsu bogacza. Dostrzegli też małe biczki przypięte do pasów kapłanów.

- Czy są sprzeczności? - zapytał Umurhan. - Czy ktoś z obecnych nie ma serca, by pomóc temu mężczyźnie? Jeśli tak, proszę uprzejmie o opuszczenie tego towarzystwa. Nie będziemy gardzić nikim, kto podejmie taką decyzję. Wszyscy wiemy, że tu przewodnikiem musi być sumienie.

Umurhan omiół tłum gorejącym wzrokiem, ale nikt się nie poruszył. Skinął głową i powiedział:

- Doliczone zostanie to do waszych zasług, bracia. Bogowie pobłogosławią was za to.

Safar usłyszał, jak ktoś w pobliżu mruczy prawie bezgłośnie:

- Mój rachunek w tawernie także, mistrzu.

Rozległo się parę chichotów, stłumionych sygnałem Umurhana, by wszyscy uklękli. Akolici opadli na ziemię, skłaniając nisko głowy i uderzając się w piersi.

- Niech rozpocznie się ceremonia błogosławieństwa - obwieścił Umurhan.

Gdzieś zabrzmiała lutnia, rozdźwięczały się dzwonki i uderzyły bębny. Kapłani wiedli od jednej pieśni do drugiej, błagając Rybiana, by zwrócił na nich uwagę.

Pierwszą pieśnią była sławna ostatnia modlitwa Umurhana, którą słyszano każdego wieczoru, gdy kończyła dzień.

Jesteśmy ludem Walarii, dobrym i pobożnym.

Pobłogosławcie nas, pobłogosławcie nas.

Nasze kobiety są cnotliwe, nasze dzieci pełne szacunku.

Pobłogosławcie nas, pobłogosławcie nas...

Podczas gdy zgromadzenie śpiewało, biało odziani mężczyźni delikatnie dotykali biczami pleców Muzine'a, udając, że je smagają. Muzine zawodził, jakby sprawiali mu wielki ból, wierząc, jak zresztą wszyscy, że im głośniejsze będzie krzyki i im bardziej jego wrzaski będą przepelnione bólem, tym bardziej zwiódą Rybiana, a bóg pomyśli, że Muzine'a surowo ukarano.

W końcu Muzine wrzasnął przeraźliwiej niż dotychczas i upadł na podłogę. Opiekunowie szybko zaczęli namaszczać jego plecy - które pozostały nietknięte - kojącymi olejkami, całując go i szepcząc w ucho wyrazy współczucia. Kiedy Muzine ocenił, że upłynęło już wystarczająco dużo czasu, by doszedł do siebie, wstał z udawanym trudem i bólem. Po jego twarzy spływały łzy, ale przecinał ją też anielski uśmiech wiernego, który na nowo odkrył światłość. Mężczyźni pomogli mu wdziać tunikę i podali kielich z trunkiem. Muzine wypił do dna, otarł oczy i przyłączył się do śpiewu.

Safara znudziła ta farsa i rozglądał się wokół, wypatrując drogi, którą mógłby się wykraść,

pozostając niezauważonym. Wtem z brzękiem otworzyły się drzwi klatki ze zwierzętami. Chłopiec obrócił głowę, patrząc, jakie to biedne stworzenie zostało wybrane przez Muzine'a do przekupienia Rybiana, by ten mu wybaczył.

Ku jego zdumieniu ujrzał, że na srebrnym, cienkim łańcuchu prowadzona jest stara lwica. „Muzine musiał zrobić coś naprawdę paskudnego” - pomyślał Safar. Przebywał w świątyni od tak długiego czasu, że wiedział, iż lew jest najkosztowniejszym, a przez to najrzadziej spotykanym zwierzęciem ofiarnym. Safar zdecydował, że grzechem tym musiało być morderstwo i prawdopodobnie nie zostało popełnione na niewolniku.

Przyjrzał się uważniej wielkiej lwicy, która, stojąc, była prawie tak wysoka jak prowadzący ją, biało ubrany chłopiec. Miała powolne ruchy. Powłóczyła łapami, krocząc w kierunku ołtarza. Oczy były tak przyćmione narkotykami, które jej podano, że wyglądały jak wąskie szparki po obu stronach szerokiego pyska. Serce Safara zadrżało, ponieważ lwica, mimo swoich rozmiarów, przypominała mu kota z Kyranii, który przeczesywał obórkę, szukając żarłocznych gryzoni. Przesiedział wiele godzin na kolanach Safara, myjąc się i dodając mu otuchy, kiedy chłopiec zwierzał się ze swoich smutków.

Potem dostrzegł duży, obwisły brzuch lwicy i nabrzmiałe sutki. Poznał, że niedawno rodziła. Pomyślał, że nawet tak ostępiona narkotykami musiała cierpieć, zastanawiając się, co się stało z jej potomstwem.

Umurhan dał sygnał i śpiew ustał. Obrócił się ku ołtarzowi, mówiąc:

- O Rybianie, litościwy panie nas wszystkich, zlituj się nad tym biednym śmiertelnikiem, który staje przed twoim obliczem. Wybacz mu jego grzechy. Przyjmij ten skromny dar, który ci ofiaruje, i pozwól mu znów zasnąć w pełni niewinności.

Umurhan skinął i jeden z chłopców poprowadził Muzine'a ku lwicy. Podał kupcowi duży nóż ofiarny. Pozostali chłopcy stłoczyli się wokół, trzymając bogato zdobione naczynia, by złapać w nie krew. Muzine ochoczo złapał lwicę za kark. Zwierzę nie poruszyło się ani nie pokazało, że rozumie, co się dzieje. Muzine przeciągnął nożem po jej gardle. Z rany pociekła krew, ale jej upływ był tak nikły, że Safar poznał, iż nerwy Muzine'a zawiodły i nie zdołał ciąć na tyle głęboko, by skrócić cierpienia lwicy.

Muzine spróbował raz jeszcze, ale tym razem chłopiec złapał jego rękę, mocno ją naciskając i upewniając się, że wszystko skończy się pomyślnie. Lwica jęknęła, a w miski trysnęła krew.

Zwierzę opadło na podłogę.

Wszyscy wznieśli radosny okrzyk i podskoczyli, wychwalając Rybiana i witając powrót na łono wiernych grzesznika Muzine'a. Ten wystąpił do przodu z Umurhanem u swojego boku, aby przyjąć gratulacje akolitów. Za jego plecami trzech biało ubrani mężczyźni pracowali pospiesznie, ćwiartując lwicę i przygotowując tym samym następne stadium uroczystości.

Nagle gwar został stłumiony mrozącym krew w żyłach rykiem. Wszystkim zamarły serca. Głowy obróciły się ku na wpół odartym ze skóry zwłokom.

Powietrze nad martwym zwierzęciem zajęło się wściekłą czerwienią. Wszyscy zaczerpnęli tchu, kiedy pojawił się duch lwicy. Przykucnął nad ciałem, smagając boki ogonem. Ściągnięte wargi ukazywały długie, żółte kły. Zwierzę głośno ryczało, okazując swoją nienawiść.

Duch lwicy skoczył i zamarłe w bezruchu sylwetki rozpierzchły się. Rozległy się krzyki. Tłum szukał kryjówki, przewracając się i blokując wyjścia.

Safar pozostał w ukryciu. Ujrzał, że mimo hysterii tuzin kapłanów i akolitów szybko otoczył

Umurhana i Muzine'a i przeprowadził ich w bezpieczne miejsce przez małe drzwiczki z tyłu ołtarza.

W tym samym czasie zjawa kota wbiła się w uciekające postaci. Uderzyła przejrzystymi pazurami. Krew tryskała we wszystkich kierunkach, ranni krzyczeli z bólu. Nagle lwica schwytała kogoś w paszczę i trzymała przyciśniętego do ziemi, podczas gdy inni gramolili się, by uciec, bądź przywierali do ścian.

Zjawa kucnęła nad ofiarą, chwyciła człowieka za ramię i potrząsnęła nim gniewnie na boki. Złapany młodzieniec wciąż żył i zawodził żałośnie.

Nagle Safar poczuł, jakby niewidzialna ręka wypchnęła go z kryjówki. Powoli podszedł do rozwścieczonej lwicy. Jakaś jego część bełkotała ze strachu, druga zaś skupiła się jedynie na duszy biednej lwiej matki, samotnej i rozpaczającej w jedyny znany sobie sposób nad nowo narodzonym potomstwem.

Duch ujrzał go i porzucił wrzeszczącego akolitę. Lwica zaryczała i ruszyła w jego stronę. Wyciągnięte pazury stuknęły o kamień. Ale Safar kroczył dalej, wolnym i odmierzonym krokiem. Wyciągnął przed siebie prawą rękę z szeroko rozpostartymi dwoma palcami i kciukiem w uniwersalnym geście maga rzucającego czar.

Przemówił cichym i kojącym głosem.

- Przykro mi, że cię tu widzę, lwia matko - powiedział. - To straszne miejsce dla ducha. Tyle tu krwi. Tak mało współczucia. Przez to twoje mleko zepsuje się, a lwiatka będą chodzić głodne.

Duch lwicy dalej zbliżał się z gorejącym wzrokiem i z otwartymi, drżącymi szczękami. Safar kontynuował, zmniejszając dzielącą ich odległość i cały czas przemawiając.

- Zrobili ci to źli ludzie, lwia matko - rzekł. - Schwytali cię w pułapkę i zarżnęli lwiatka. Przywiedli cię w to miejsce, byś zginęła. Ale winnych nie ma na tym dziedzińcu, lwia matko. Tutaj jest tylko ludzkie potomstwo. Męskie potomstwo, lwia matko. A twoim obowiązkiem jest pilnować, by nic złego nie działo się męskiemu potomstwu.

Skradający się duch porykiwał, ale wydawało się, że jego wściekłość zmniejszyła się. Jeszcze tylko parę kroków i spotkali się. Oboje stanęli.

Safar uspokoił nerwy, kiedy lwica, zamiast natychmiast zabić, obwąchała go, warcząc cały czas. Kiedy skończyła, spojrzała mu w twarz. Kocie oczy szukały kłamstwa, które mogło kryć się w jego spojrzeniu. Potem ryknęła, a dźwięk był tak głośny, że prawie go przewrócił. Safar utrzymał się jednak na nogach. Wtem zjawa lwicy przysiadła na tylnych łapach. Jej pysk znalazł się na wysokości jego twarzy.

- Rozumiesz, jak to jest, lwia matko - mówił Safar. - Ja nie mam nic wspólnego z twoim smutkiem, choć też oplakuję stratę. - Machnął w stronę zastraszonych akolitów. - A to męskie potomstwo jest tak niewinne jak ja. Proszę, nie krzywdź ich, lwia matko.

Duch lwicy ziewnął, wyrażając swój niepokój, ale położył się u stóp Safara.

- Nadszedł czas, byś pomyślała o sobie, lwia matko - tłumaczył Safar. - Twoje potomstwo nie żyje, a ich małe duszyczki są głodne. Powinnaś szybko do nich pójść, tak by nie cierpiały. Pomyśl o nich, lwia matko. Nie zdobyły żadnego doświadczenia w tym świecie, a tym bardziej nie mają go w tamtym. Czy nie słyszysz, jak płaczą za tobą? Posłuchaj, teraz dobiega ich płacz.

Safar wykonał gest i gdzieś z daleka doszedł ich nikły odgłos miauczenia. Lwica postawiła uszy i podniosła głowę, szeroko otwierając wypełnione troską oczy. Safar ponownie wykonał gest, a miauczenie stało się głośniejsze i bardziej rozpaczliwe. Lwica jęknęła.

- Idź do nich, lwia matko - rzekł Safar. - Opuść to miejsce i odzyskaj spokój wraz ze swym

potomstwem.

Lwica poderwała się. Safar zmusił się, by nie zareagować niepokojem. Potem ryknęła ostatni raz i znikła.

Przez chwilę jedynym dźwiękiem było echo ryku lwicy. Potem wszystko wypełniło się zamieszaniem. Wszyscy krzyczeli w uldze i biegli do Safara, by mu podziękować. Wtedy, w środku chaosu, tłum nagle uciszył się i rozstał na boki. Safar, wciąż oszołomiony i osłabiony wysiłkiem, ujrzał, jak we mgle, że zbliża się do niego Umurhan.

- Kto to jest? - zapytał czarodziej.

- To Safar Timura, panie. Safar Timura. Nowy akolita. Jest tu nowy.

Spojrzenie Umurhana pomknęło ku Safarowi. Zmierzył go, oceniając. Potem mag zapytał:

- Dlaczego nie powiedziałeś nikomu, Safarze Timuro, że masz talent?

- Tyle co nic, mistrzu - odparł Safar. - Mój talent jest niewielki.

- Ja będę go osądzał, akolito - rzekł i obrócił się do kapłana. - Jutro zaczniecie naukę akolity Safara Timury - rozkazał.

Potem, nie rzuciwszy Safarowi więcej ani jednego słowa lub spojrzenia, odszedł.

Ponownie rozpętało się zamieszanie, kiedy nowi koledzy Safara stłoczyli się wokół niego, poklepując po plecach i gratulując przyjęcia w szeregi elity uniwersytetu.

Safar pędził długim, głównym korytarzem na pierwszym piętrze. Nie było nikogo widać - większość studentów i kapłanów o tej godzinie gromadziła się na modlitwie w głównej auli. Klasy i biura, które mijał po drodze, świeciły pustkami. Czuł zjeżdżającą woń starej magii wydzielanej przez zaklęcia ćwiczebne, które jego koledzy rzucali poprzedniego dnia.

Na końcu korytarza doszedł do obszernej klatki schodowej, która łączyła piętra. Jedne schody wiodły w dół, ku wnętrzu uniwersytetu. Inne wspinały się ku drugiemu piętru, gdzie mieszkał Umurhan i pozostali kapłani. Safar zawahał się, rozdarty między swoim początkowym planem a nagłą myślą, że wiedza, której poszukiwał w bibliotece Umurhana, najprawdopodobniej jest niestrzeżona. Miał prawie pół godziny do końca codziennego zebrania i powrotu Umurhana oraz pozostałych kapłanów na najwyższe piętro.

- Możesz iść w dowolnym kierunku - wyszeptał siedzący na ramieniu Gundara. - Oba są bezpieczne.

- Może później - wymamrotał Safar i zbiegł po schodach, zanim nowy pomysł mógł spowodować opóźnienie w realizacji najważniejszego zadania.

Chociaż Safar spotykał się z Umurhanem wielokrotnie po zdarzeniu z lwicą, mag nigdy nie podziękował mu, ani nie wspominał o zamieszaniu. Wraz z postępami Safara w nauce i wkrótce po tym, jak dla wszystkich jasne stało się, że okazał się wybitnym studentem magii, Umurhan nie tylko zachował dzielący ich dystans, ale również wydawał się być jeszcze bardziej oziębły. Zdarzało się, że gdy Safar nagle podnosił wzrok znad ksiąg, odkrywał, że mag go obserwuje. Gubadan ostrzegł Safara przed Umurhanem, zanim chłopiec opuścił Kyranię. Chociaż Safar nigdy nie powiedział staremu kapłanowi o swoich zdolnościach, podczas ich ostatniej rozmowy miał wrażenie, iż Gubadan w jakiś sposób odgadł, że coś się dzieje - i odpowiada za to magia.

- Lord Umurhan ma reputację zazdrośnika - poinformował Gubadan. - Nie lubi studentów i kapłanów, którzy popisują się swoją inteligencją i mocami. Tak więc strzeż się, mój chłopcze. Żaden

nauczyciel nie otrzymuje nagrody za poprowadzenie ucznia na wyżyny, których sam nie zdoła nigdy osiągnąć. W obecności lorda Umurhana postępuj ostrożnie. Oto moja najlepsza rada. I nigdy, przenigdy nie pokazuj, że jesteś od niego lepszy.

Safar wziął sobie do serca radę Gubadana. Kiedy przerabiał zajęcia i sesje rzucania zaklęć, zawsze uważał, by nie przyćmić Umurhana - chociaż wkrótce stało się dla niego jasne, że mógłby to zrobić, zwłaszcza gdy się już więcej nauczył i na własną rękę zanurzył w arkana sztuk czarnoksięskich. Od czasu do czasu umyślnie popełniał błędy, kiedy zauważył, że Umurhan staje się podejrzliwy. Umurhan zawsze szczególnie cieszył się, gdy Safar udawał, że się myli. Wymyślał mu wtedy głośno, wyzywając od góralskich tępaków i tym podobnych, aby go poniżyć.

Umurhan uwielbiał dzierżyć władzę nad akolitami. Strzegł też swojej wiedzy. Kiedy klasy osiągały wyższy stopień zaawansowania, a studenci wiedzieli coraz więcej, chronił swoją pewność siebie przekazywaniem im jak najmniejszej ilości wiedzy. Kiedy zakłęcie odznaczało się szczególną mocą, Umurhan zwykle czynił swoje wyjaśnienia tak niejasnymi, że nikt nie mógł za nim nadażyć, a tym bardziej nikt nie potrafił powtórzyć. Miał również sposób na uniknięcie odpowiedzi na skomplikowane pytania. W takich przypadkach stwierdzał nerwowo, że musi załatwić jakąś sprawę i zniknął na krótką chwilę. Potem wracał i odpowiadał na pytanie z pewnością siebie, której brakowało w jego wcześniejszym zachowaniu.

Dla żadnego studenta nie było zagadką, dokąd mag się wtedy udaje. Wszyscy znajdowali się w wieku cynizmu, kiedy szczegóły, które mogą umknąć uwadze starszych, są przez młodzieńców widziane jak na dłoni. Tajemnicą poliszynela był fakt, że w takich chwilach Umurhan szedł do swojej prywatnej biblioteki, gdzie czerpał z ksiąg starożytnych mistrzów, by nadsztukować swoją fasadę wielkiego maga. Nikomu prócz Umurhana nie wolno było studiować ksiąg z tej biblioteki. Usprawiedliwieniem była obecność zakazanych ksiąg i zwojów traktujących o czarnej magii, które były tak śmiertelne i tak niegodziwe, że tylko najwyższemu kapłanowi Walarii wolno je było czytać - a i to tylko w razie niebezpieczeństwa, by odeprzeć czarne zaklęcia rzucone na miasto.

Ogromna ciekawość Safara doprowadziła go do zbadania biblioteki. Rzeczywiście mieściła materiały na temat czarnej magii, ale głównie tworzył ją ogromny i zabałaganiony skład wiedzy, zebranej przez poprzedników Umurhana - rzadkie zwoje, księgi zapomnianych mistrzów, wolumeny w dziwnych językach i ręcznie spisane słowniki tych języków z dodanymi przez późniejszych ludzi magicznymi notatkami na marginesach. Za pomocą ksiąg z Foolsmire Safar powoli odcyfrował języki. Jego badania, prowadzone do późna w noc, i tajemne odwiedziny naprowadziły go na ślad Aspera, starożytnego arcymistrza magów, który również był - jak Safar podejrzewał - demonem. Fragment notatek na marginesie księgi sprawił także, że uwierzył, iż prace Aspera kryły się gdzieś w chaosie prywatnej biblioteki Umurhana.

Właśnie ich szukał, kiedy został nakryty.

Safar kucnął w najciemniejszym kącie biblioteki, mając do pomocy jedynie ogarek. Pospiesznie przeglądał osnute pajęczyną zwoje i księgi o popękanej oprawie, szukając dziwnego symbolu w kształcie węża o czterech głowach, który, jak wiedział, był pieczęcią Aspera.

Wtem z tyłu rozbłysła lampa oliwna. Chłopak obrócił się gwałtownie i zobaczył Umurhana. Jego oczy błyszczały jak groty strzał świeżo wykute w kuźni.

- Co tu robisz, akolito? - zagrmiał kapłan.

Safar bełkotał przeprosiny.

- Wybacz mi, panie. Martwiłem się o egzamin i ja, eee... uch... pomyślałem, eee...

- Utrzymujesz, że jesteś oszustem, Safarze Timura? - ryknął Umurhan. - Czy tak wygląda twoje żalosne wytłumaczenie naruszenia mojej prywatności?

- Ta-ta-tak, mi-iistrzu, ta-tak - wyjąkał Safar.

- A więc, dlaczego znalazłeś się pomiędzy zakazanymi księgami, akolito? - krzyknął Umurhan. Wskazał na wąskie przejście, wiodące ku frontowi biblioteki. - Dlaczego nie znalazłem twojej brudnej, oszukańczej osoby właśnie tam? Dlaczego nie ściągałeś odpowiedzi z pism, które nie zostały przeklęte?

Safar chciał krzyknąć, że żadna wiedza nie powinna być zabroniona. I tak naprawdę to nawet przypuszczalnie niewinne prace w tej bibliotece były zakazane dla wszystkich prócz Umurhana. Zamiast tego Safar udał, że panikuje - co zresztą nie było trudne w obecności górującego nad nim Umurhana. Bełkotał, że jedynie próbował schować się przed światłem i zaszedł tu zupełnie przypadkowo. Wyrzucił z siebie tak szaleńczą paplaninę wyznań, fałszywych przeprosin i błagań o litość, że stłumił podejrzenia Umurhana.

- Cisza! - krzyknął Umurhan, ucinając w połowie tyrady Safara. - Czy zdajesz sobie sprawę, że mógłbym kazać cię pojmać w tej chwili i oskarżyć o herezję?

- Tak, mistrzu - odpowiedział Safar tak pokornie, jak tylko potrafił.

- Nie zrobię tak tylko dlatego, że wierzę, iż jesteś jedynie podłym oszustem.

- Tak, mistrzu. Dziękuję, mistrzu. Przepraszam, mistrzu. To się już nigdy więcej nie powtórzy.

- Och, wiem, że to się już nigdy nie powtórzy, akolito Timura. Już ja o to zadbam. Nie ukarzę cię teraz. Chcę, byś kontemplował swoje grzechy, podczas gdy ja będę rozważał twój los.

- Tak, mistrzu. Rozumiem, mistrzu.

- Nie releguję cię natychmiast... ani, na bogów, nie zrobię nic gorszego, choć mógłbym! Rozumiesz, że tak mogłoby się stać, akolito, prawda?

- Tak, panie, rozumiem.

- Nie przeklnę cię od razu tylko ze względu na szacunek, który żywię dla twojego mentora, lorda Muzine'a. Z jakiegoś powodu, którego nigdy nie zgłębię, darzy on pewną uwagą twoją przyszłość i dobrobyt.

- Tak, mistrzu - wymamrotał Safar, stukając głową w ziemię. Ale wiedział, że jedyne, co tak naprawdę Umurhan pamięta, to lwica i jej duch.

Chociaż Safara nigdy nie poproszono do towarzystwa Muzine'a, od czasu wypadku z lwicą jego kieszonkowe powiększyło się. Majordomus Muzine'a chłodno obwieścił mu to, jednocześnie szorstko przestrzegając przed wspomnianiem o uroczystości i zdarzeniu. Teraz oczywiste dla niego stało się, że Umurhan obawiał się, iż wypadek wyjdzie na jaw, jeśli przestępstwo Safara wypłynie na forum publiczne. Podniosłyby się pytania o grzech, który Muzine chciał zmazać. A dociekliwsze pytania dotyczyłyby jakości magii Umurhana. Jakże to wielki mag mógł pozwolić, by coś takiego w ogóle się zdarzyło? Albo jeszcze gorzej - może Umurhan wcale nie był tak potężny, jak utrzymywał.

Safar dostał odroczenie, ale wiedział teraz, że było ono krótkoterminowe, a okres trwania z każdą chwilą się zmniejszał.

- Cii! - dobiegło ostrzeżenie Gundary. - Niebezpieczeństwo z przodu!

Safar zatrzymał się. Pod nim znajdował się ostatni zakręt schodów. Prowadziły one ku głębszemu i mniej okazałemu poziomowi uniwersytetu. Było to miejsce kipiących garnków, śmierzdzących

koszów na odpadki i ogromnych, biegnących nad głowami glinianych rur, które dostarczały do środka wodę i wyprowadzały ścieki. Safar przysłuchiwał się przez chwilę i po pewnym czasie rozróżnił dźwięk szczotki pocierającej o kamień.

Kontynuował podróż, ale teraz wolniejszym krokiem. Kiedy okrążył zakręt, ujrzał młodego akolitę klęczącego na stopniach. Obok niego stało wiadro z wodą, a w rękach trzymał szczotkę. Wykonywał nią leniwe, mało energiczne ruchy po schodach, co przyczyniało się jedynie do rozlewania wody na zabrudzonym kamieniu. Gdy tylko chłopiec wyczuł czyjąś obecność, przeciągnięcia zamieniły się w żwawe szorowanie. Młodzieniec podniósł wzrok, marszcząc brwi, jakby praca wymagała znacznego skupienia. Rozluźnił się, gdy tylko zobaczył Safara. Usiadł na piętach, a twarz okraślił mu szeroki, bezczelny uśmiech.

- Och, to tylko ty, Timura. Wystraszyłeś mnie na chwilę. Pomyślałem, że to ten sukinsyn Hunker podkrada się tutaj, by mnie przyłapać na małej przerwie.

Hunker był kapłanem zajmującym się wyznaczaniem kar. Student, który popadł w kłopoty, natychmiast uczył się go nienawidzić na sam widok. Przydzielał najbrudniejsze zadania i wykorzystywał swoich pracowników niczym najbardziej złośliwy młynarz kulawego wołu.

Safar prychnął.

- To ja, Hunker, we własnej osobie. I schodzę tu na dół, byście stanowili, grzeszne bękarty, dobry przykład. To dlatego zamierzam spędzić cały dzień, kucając nad dziurą w kiblu i podpalając jej zawartość. Uwielbiam zapach palącego się gówna. Uwielbiam pokazywać wam, leniwym świniom, jak pracuje prawdziwy mag.

Akolita - Ersen - cieszył się wątpliwą reputacją najbardziej leniwego zawadiaki na całym uniwersytecie. Ersen był zawsze obecny podczas wyznaczania kar. Wszyscy wiedzieli, iż nie wyrzucano go tylko dlatego, że jego ojciec był starszym urzędnikiem na dworze króla Didimy. Pomimo jego szlacheckiego pochodzenia, Ersena powszechnie lubiano. Przyjmował kary z dobrą miną i zawsze przysłuchiwał się ze współczuciem swoim współtowarzyszom złoczyńcom. Wielu miało nadzieję, że współczucie to zostanie zamienione w ochronę dzięki jego wpływowemu ojcu.

Ersen wybuchnął śmiechem - głośnym rzeniem podobnym do ryku osła - które zjednywało mu każdego studenta, choć kapłani nienawidzili go, ponieważ to zwykle oni stanowili cel jego niepohamowanego śmiechu.

- Ale by było fajnie zobaczyć coś takiego - powiedział, kiedy już przestał. - O kurczę, dałbym fortunę mojego ojca - a nawet dorzuciłbym jego stare, sflaczałe jaja jako premię - żeby zobaczyć, jak stary Hunker podpala sracze tu na dole.

Safar zachichotał.

- A co z twoimi klejnotami rodowymi? - zapytał. - Dorzuciłbyś je także?

Ersen udał wstrząśniętego.

- No coś ty! Żeby zawieść wszystkie dziwki w Walarii? Przecież całe miasto napełniłoby się wtedy łkaniem kobiet, jeśli ich kochany Ersenek ucierpiałby od takiej straty. A poza tym mój ojciec prawie nie używa swoich. Już mnie przecież zrobił. I w żaden sposób nie może poprawić tego historycznego wyczynu.

Safar powitał odpowiedź jeszcze głośniejszym śmiechem. Ale przez cały czas zastanawiał się nad ostrzeżeniem Gundary. Czy to Ersen był źródłem zagrożenia? Z pozoru zarzut wyglądał komicznie. Ersen był klasowym błaznem, prowodyrem najlepszych żartów sytuacyjnych wymierzonych we władzę. Jeśli tylko komuś splatano figla, wszyscy natychmiast wiedzieli, że krył

się za tym Ersen. Jakże mógłby być donosicielem? Potem przypomniał sobie komętę przelatującą na tle Domu Błazna. Nagle Safar zdał sobie sprawę, jak doskonałą przykrywkę stanowiło zachowanie Ersena, jeśli był szpiegiem. Wszyscy mówili swobodnie w jego towarzystwie, bo czego można było się obawiać ze strony kogoś, kto sam zawsze wpadał w kłopoty dzięki przedrzeźnianiu przełożonych?

Gardło ścisnęło mu chłodne zrozumienie. To właśnie ten rodzaj subtelnej gry, w którą zagrałby Kalasariz. Przyjrzał się Ersenowi świeżym spojrzeniem i zobaczył policzek drżący pod wpływem skurczu oraz nerwowe, zaabsorbowane bębnienie palców o stopień - niewielkie przecieki spod genialnej fasady.

Safar westchnął i przeciągnął się.

- No cóż, miło jest marzyć o Hunkerze zajmującym moje miejsce kary - rzekł. - Ale to nie on będzie musiał cierpieć ten smród.

- Co takiego zrobiłeś, Timura, żeby na to zasłużyć? - zapytał Ersen. - Mam nadzieję, że podpaliłeś brodę Umurhana.

Safar poskrobał się po głowie.

- Nie sędzę - odrzekł. - Ostatnią rzeczą, którą pamiętam, było spicie się w Foolsmire. Hunker na mnie naskoczył, kiedy się tylko pokazałem tego ranka. Wrzeszczał strasznie, jak zwykle wyzywał od najgorszych i kazał zameldować się przy paleniu gówna. Ale teraz sobie myślę, że nawet nie powiedział, za co.

- To musiało być coś naprawdę złego, Timura - stwierdził Ersen. - Pewnie przed końcem dnia wieść rozniesie się po całym uniwersytecie.

Safar skrzywił się.

- Powiadom mnie, kiedy już to odkryją - powiedział. - I niech bogowie sprawią, żeby to, co zrobiłem, było warte palenia gówna.

Kiedy odchodził, echo niosło za nim rzenie Ersena.

Kiedy Safar znalazł się w bezpiecznym miejscu, wyszeptał do Gundary:

- Czy to był on?

- A był tam ktoś inny? - odparł Ulubieniec. - Przysięgam, kiedy bogowie tworzyli ludzi, musiało im zabraknąć rozumu, żeby go wetknąć w ich czaszki.

Safar chwilowo nie miał argumentów, by się z nim kłócić, tak więc szedł dalej w ciszy, wybierając korytarz, który oddalał się od kuchni i cuchnął ściekami. Tunel w końcu ustąpił miejsca ogromnemu pomieszczeniu, podziurawionemu olbrzymimi dołami, w które rury ściekowe wylewały swoją zawartość. Safar pomyślał, że odór jest tak intensywny, że może przyprawić o konwulsje głodującą świnię.

Wchodząc do pomieszczenia, zauważył grupę akolitów, zajmujących się dołem na drugim końcu pomieszczenia. Wylali do niego wielkie naczynia oleju. Potem ktoś wrzucił płonąca gałąź i wszyscy odskoczyli w tył, gdy w górę z sykiem buchnęły czerwonożółte płomienie. Potem podniosły się kłęby dymu z palących się ścieków. Akolici klęli i kaszleli, duszeni skażonym powietrzem.

Gdy Safar zbliżał się do nich, dym zaczął się przerzedzać i jeden z akolitów go zobaczył. Coś krzyknął do pozostałych, a potem wyszedł na spotkanie Safarowi.

- To Olari - wyszeptał Safar do Gundary. - To do niego mam sprawę.

- Nie mogę powiedzieć, że jest zupełnie bezpieczny - odpowiedział Gundara. - Tylko ty możesz to ocenić. Ale mogę określić, że nie jest szpiegiem.

Safar wyszeptał podziękowania paru bogom za tę odpowiedź, choć tak naprawdę nie wyjaśniała

niczego, a potem prędko pomodlił się do kilku następnych, by ci z kolei pomogli mu w realizacji planu.

Olari był drugim synem najbogatszego człowieka w Walarii. Jako taki nie mógł odziedziczyć majątku rodziny i trzeba mu było znaleźć jakiś inny dochodowy zawód. Jego talent magiczny był równie niewielki jak Ersena - tak mały, że gdyby był zwykłym śmiertelnikiem, nigdy nie otrzymałby zezwolenia na wstąpienie do szkoły magii. Wszyscy o tym wiedzieli, włącznie z ojcem Olariego. Ustalono, że Olari zajmie się administracyjną stroną magii, gdzie przebiegłość i kontakty rodzinne były znacznie ważniejsze od czarodziejskich talentów. Safar jednak w związku z tym nie popełniał błędu niedoceniań go. Wiedział, że tę samą drogę do władzy obrał Umurhan. Olari miał reputację równie kontrowersyjną, co Ersen. Różnili się jedynie tym, że Ersen przedstawiał się jako błazen i najbardziej leniwy z leniwych studentów, zaś Olariego określano buntownikiem.

Był jednym ze studenckich tajnych przywódców, którzy nieustannie i z rozgłosem kwestionowali walariańskie *status quo*. Safar spędził wiele wieczorów w Foolsmire, przysłuchując się Olariemu i jego gromadce zaprzysięgłych braci, którzy debatowali nad ważkimi sprawami, rozogniani powtarzanymi kolejkami mocnych trunków. Ubolewali nad nędznym życiem „zwykłych ludzi”, co według Safara było komiczne, ponieważ jedynymi zwykłymi ludźmi, których znał Olari i jego bogaci przyjaciele, byli usługujący im niewolnicy i kupcy zaspokajający ich wyszukane gusta. Wraz z pozostałymi cyklicznie potępiał wysokie podatki, których wymagał Didima i korupcję systemu, gdzie przekupstwo było zasadą, a nie odstępstwem. Ganili przywódców miasta, nazywając ich staruchami, tchórzami i chciwcami, którym brakowało zdolności, by zrozumieć nowe idee i wielkie reformy proponowane przez ich dalekowzroczne dzieci.

Olari i jego towarzysze próbowali wciągnąć Safara do swego towarzystwa. Safar był popularny wśród swoich znajomych. Gdyby dołączył się do grupy Olariego, wzmocniłoby to ich wizerunek wśród uniwersyteckich intelektualistów. Safar zawsze dyplomatycznie odmawiał, mówiąc, że nie jest obywatelem Walarii, ani nie zamierza w niej pozostać, kiedy już skończy studia. Mawiał, że nic go nie łączy z Walarią i że zaangażowanie z jego strony byłoby wysoce niewłaściwe. Naprawdę Safar uważał idee młodych buntowników za puste. Jego zdaniem, nie licząc zachowania Olariego, protesty i śmieszne spiski przypominały bunt rozpieszczonych dzieci przeciw swoim rodzicom. Wyłączył z tego poglądu Olariego, ponieważ sądził, że istnieje duże prawdopodobieństwo, iż młody szlachcic idzie ku władzy na skróty. Ale odmawiał głównie dlatego, że Olariego i pozostałych przywódców chroniło szlacheckie pochodzenie. Ich rodziny rozpieszczały swoich chłopców, odgadując, że wkrótce wyrosną ze swojego zapalczywego wieku. Tak więc wyrzaskiwanie swoich poglądów nie wymagało od nich żadnej odwagi. Jednakże ktoś taki jak Safar szybko zostałby przywleczony przed oblicze Kalasariza jako zdrajca. W przeszłości taki los wydawał się mu jedynie wielce prawdopodobny. Ale teraz, gdy Safar już spotkał Kalasariza, wiedział, że tak wygląda prawda.

Z dołu buchnęła kolejna porcja ognia i dymu, dźwięcząc jak dziwny werbel, który naznaczył dramatyzmem chwilę, gdy Safar i Olari, przeszedłszy ostatnie parę kroków, pokonali wreszcie dzielącą ich odległość.

- Nie powitam cię radosnym okrzykiem, Timuro - oznajmił Olari - ponieważ przekląłbyś mnie za to.

- Zaś mnie nikt nie będzie winił, jeśli poklepię cię po głowie i ramionach - roześmiał się Safar.

- Gdy tylko cię zobaczyłem - powiedział Olari - pomyślałem, że niech mnie ugotują w gównianym sosie, jeśli to nie jest Safar Timura! Wyznaczają go do robót karnych jedynie wtedy, gdy

ukarana zostaje cała klasa.

Safar wzruszył ramionami.

- Chroni mnie sposób wychowywania dzieci w moim kraju - odpowiedział. - Jestem niezły w chowaniu się i unikaniu złapania.

- I uniknąłeś? - zapytał Olari. - Mam na myśli, czy złapano cię. I, do diabła, za co?

- Ersen zapytał mnie o to samo - odparł Safar. - Wydawał się zdziwiony tak samo jak ty, że mnie tu zobaczył.

- I co mu odpowiedziałeś? - spytał Olari.

- Skłamałem - rzekł Safar. - Powiedziałem, że znalazłem się tutaj, żeby ci pomagać w paleniu sraczy. I że cokolwiek było tym, czym sobie zasłużyłem na karę, to nie pamiętam, ponieważ byłem pijany.

Olari wyciągnął głowę, a na jego ustach błąkał się lekki uśmieszek, gdy rozważał znaczenie słów Safara. Młodzieniec był wysoki i miał południową urodę. Głębokie spojrzenie ponurych oczu kompensował olśniewający, biały uśmiech, który oczarowywał wszystkich jego znajomych. Był w każdym calu patrycjuszem, nawet teraz, ubrany w roboczy strój i przesiąknięty dymem i brudem.

Po chwili skinął głową z zadowoleniem, a jego uśmiech jeszcze się poszerzył.

- Chodź do mojego biura, to pogadamy.

Dał znak Safarowi, by za nim podążał. Poprowadził go do sterty śmieci kryjącej mały otwór w ścianie, który okazał się wejściem do jaskini. Olari opadł na kolana i wpełzł do niego. Safar poszedł w jego ślady. Parę stóp dalej dziura rozszerzała się, tworząc małe pomieszczenie. Olari zapalił świecę; zobaczyli materace i koce, a na ścianie wisiały naprędce zbite półki, zastawione zapieczętowanymi słojami z jedzeniem.

Olari zapalił jeszcze kilka świec i niewielkie kadzidelko, by stłumić zapach ścieków. Potem opadł na jeden z materacy. Położył się, zakładając dłonie za głowę.

- Co sądzisz o moim biurze? - zapytał.

- Zważywszy na to, gdzie się ono znajduje - odparł Safar - to jestem pod wrażeniem.

- Chowamy się tutaj na zmianę - poinformował Olari. - Jedna grupa stoi na straży, podczas gdy inni śpią, jedzą lub nawet... - wyciągnął rękę ku niższej półce, schwycił zatknięte korkiem naczynie i rzucił je Safarowi - ...piją.

- Prawie jak w pałacu - powiedział Safar, odkorkowując naczynie. Wziął spory łyk płynu, który okazał się być znakomitym winem, a potem oddał naczynie Olariemu.

- Za kłamstwa... - wznosił toast Olari, podnosząc naczynie, i wypił. Przekazał je Safarowi i rzekł:

- Zgaduję, że pojawiłeś się tutaj, ponieważ ponownie rozważyłeś moją ofertę.

- Dokładnie - odpowiedział Safar. - Zdecydowałem się ją przyjąć.

- A dlaczego tak się stało, mój przyjacielu? - zapytał Olari. - Cóż tak nagle sprawiło, że przejrzałeś na oczy i zdecydowałeś się poprzeć naszą sprawę?

- Będę absolutnie szczery - odrzekł Safar. - Nie mam zamiaru popierać niczyjej sprawy. Chociaż ryzykuję, że przestaniesz mieć o mnie dobre mniemanie, powiem ci wprost, Olari - nagle potrzeba mi dużej sumy pieniędzy. Jeśli wolisz, możesz nazwać to nagłą sprawą rodzinną.

- Nie ma się czego wstydzić - odparł Olari. - Chociaż wolałbym, żeby skierowało cię do mnie twe serce, nie sakiewka.

- Och, moje serce zawsze było przy tobie - rzekł Safar. - Wiesz, że zgadzam się z większością głoszonych przez ciebie poglądów. Po prostu nie angażuję się w to, ponieważ to twój dom, nie mój.

Gdybyś znajdował się w Kyranii, czułbyś to samo.

- Może i tak - stwierdził Olari. - Może i tak.

- Kiedy rozmawialiśmy ostatni raz - rzekł Safar - poprosiłeś mnie o odrobinę twórczej magii dla siebie.

Olari podekscytował się na tyle, na ile pozwoliła mu jego patrycjuszowska maska. Co oznaczało, że jego ponure oczy rozświekliły się.

- Jesteś pewien, że wciąż możesz to zrobić? - zapytał. - Wiesz, nie pozostało nam zbyt wiele czasu. Festyn z okazji Dnia Założyciela odbędzie się już za dwa dni.

- Jest czas - powiedział Safar.

- Jesteś przekonany? Potrzebujemy czegoś naprawdę dużego. Coś, co rzuci ich o ścianę. Coś, co każdemu pokaże, jacy głupcy tu rządzą.

- Sądzę, Olari, że wszyscy w Walarii już o tym wiedzą - rzekł Safar. - Po prostu niewiele o tym mówią. Zwłaszcza publicznie.

- No cóż, zaczną mówić po Dniu Założyciela - odparł Olari. - Jeśli twoje magiczne wydarzenie będzie wystarczająco duże i zobaczy je odpowiednia liczba osób. Czas ma wielkie znaczenie.

- Myślałem o tym - powiedział Safar. - Czar, który mam na myśli, zadziała najlepiej, jeśli rzuci się go w czasie uroczystości ostatniej modlitwy, dokładnie po tym, jak rozbrzmiewają dzwony oraz cichnie pieśń i gdy Umurhan dokonuje corocznej magicznej sztuczki, żeby zrobić wrażenie na tłumach.

- Gdzie byś to zrobił? - zapytał Olari.

- Na stadionie, gdzieżby indziej? - odparł Safar. - Dokładnie przed ołtarzem, gdzie Umurhan, Didima i Kalasariz będą przewodzić uroczystości.

Olari zagwizdał.

- Tuż przed ich nosami - powiedział. - Podoba mi się to. Zaraz potem mogę poprzeć wystąpienie spontanicznymi demonstracjami i paradami protestacyjnymi na terenie całego miasta. - Klepnął się po udzie. - To sprawi, że się poderwą i zwrócą na nas uwagę.

Olari podniósł naczynie do ust i napił się.

- Co dokładnie zamierzasz zrobić? - zapytał.

- Jeśli nie masz nic przeciwko - odparł Safar - to wolę nic nie mówić. To bardzo skomplikowany i niezwykle delikatny czar. Samo wspomnianie o nim mogłoby zakłócić jego niektóre części i wywrzeć katastrofalny wpływ na całość.

Safar kłamał. Nie miał czasu wymyślić magicznego zdarzenia, którego chciał Olari.

- Ale obiecuję ci - ciągnął - że przejdzie twoje najdziwsze marzenia.

To z kolei było tylko częściowym kłamstwem. Safar naprawdę zamierzał rzucić zaklęcie, jedynie nie wiedział, co to będzie.

- Słowo Safara Timury - powiedział Olari, dźgając sumienie Safara - zupełnie mi wystarczy.

Safar zawahał się, a potem dał nura w toń.

- Co z pieniędzmi? - zapytał.

Olari machnął niedbale ręką.

- Nie martw się - powiedział. - Nie zapomniałem. Obiecałem ci pięćdziesiąt złotych monet. Ale teraz widzę, że okazałem się skąpcem. Niech będzie sto.

Serce Safara podskoczyło - tak wiele!

- To bardzo hojnie z twojej strony - rzekł. - Moja... eee... rodzina będzie ci znacznie bardziej

wdzięczna. Ale... eee... chciałbym prosić o jeszcze jedną rzecz.

- Co takiego?

- Czy mogę dostać wszystko z góry?

Olari wpatrywał się w niego długo i twardo.

- Dostaniesz już wszystkie informacje, których potrzebujesz, aby się zdecydować. Chcę ci powiedzieć - oznajmił Safar - że zamierzam opuścić Walarię zaraz po rzuceniu czaru. Wiem, że nakładam na twoje barki wielki ciężar zaufania, ale zapewniam cię, że nie prosiłbym o to, gdybym nie musiał.

Safar miał nadzieję, że niepomysłna informacja o jego odjeździe pomoże przeważyć szalę decyzji Olariego, i tak też się stało.

- Sądzę, że udźwignę ten ciężar z łatwością - odpowiedział młody szlachcic. - Postąpię tak, jak poprosiłeś. Spotkajmy się w Foolsmire dziś wieczorem.

Safar podziękował mu. Wspólnie pociągnęli z naczynia parę łyków.

- Szkoda, że nie mogę przekonać cię do pozostania - rzekł Olari. - Wiele się pozmienia, kiedy już pozbędziemy się tego towarzystwa.

- O, z pewnością - odparł Safar. - Ale martwię się o ciebie. Ostatnio przysparzałeś im nie kończących się zmartwień. Wielkie demonstracje, które prawie zamieniły się w zamieszki. Hasła potępiające wymalowane w całym mieście. Co będzie, jeśli zmęczą się tym? Albo jeszcze gorzej, co jeśli nagle pomyślą, że stanowisz dla nich wielkie zagrożenie?

- Chcę, żeby tak pomyśleli - odpowiedział Olari. - Taki mam zamiar. Jak inaczej doprowadzimy do zmian?

- Rozumiem - rzekł Safar. - Ale jak wiesz, w ciągu ostatnich dwóch lat czasy były naprawdę burzliwe. I nie możesz obwiniać o wszystko Nieświętej Trójcy, jak ich nazywasz. Pogoda staje się coraz bardziej nieprzewidywalna. Tak samo żniwa. Ponadto pojawiły się roje szarańczy. Wybuchła epidemia cholery i zarazy. I to nie tylko w Walarii. Dzieje się tak w całym Esmirze.

Olari wzruszył ramionami.

- Takimi rzeczami władają bogowie - powiedział. - Ponieważ to na nich spoczywa odpowiedzialność, cóż ja mogę zrobić? A poza tym z czasem wszystko się poprawi. Tak jest zawsze, tak też mówi nam historia. Nie jest tak źle, jak mówisz. Niewielu ludzi umiera. Nie ma wszechobecnego głodu. Właściwie wielu obywateli żyje we względnym dobrobycie. Pojawiły się też dobre wieści w kraju. Na przykład Iraj Protarus. Jest w naszym wieku. I popatrz na wszystko, co robi, by zmienić Esmir na lepsze.

- Nie nazwałbym wojen i napaści na królestwa innych zmianą na lepsze - stwierdził Safar.

Olari popatrzył na niego, zdumiony.

- Sądziłem, że byliście przyjaciółmi.

- Jesteśmy - odparł Safar. - Albo byliśmy, co za różnica. Ale to nie oznacza, że się z nim zgadzam.

Olari zachichotał.

- Wygląda na to, że Protarus miał takie same przejścia z tobą, jak ja - rzekł. - Obdarzasz nas swoją przyjaźnią, ale nie towarzyszysz nam w sprawie.

- Pewnie masz rację - potwierdził Safar. - Ale nigdy nie zauroczyły mnie tak zwane sprawy. Polityka mnie nie interesuje, jedynie nauka i historia magii.

- Sądzę, że chciałbyś pewnego dnia spożytkować te zainteresowania - odparł Olari. - Na

przykład, by pomóc ludziom, poprawić ich los, ich warunki życia dzięki swoim zdolnościom.

- Przyznaję, że myślałem o tym.

- To też sprawa, prawda? - zapytał Olari. - Oczywiście, twoja sprawa. Ale sprawa taka sama jak inne.

- Przypuszczam, że tak - zgodził się Safar.

- A więc dlaczego odsuwasz się od sprawy mojej i swojego przyjaciela Protarusa? Wszyscy jesteśmy w tym samym wieku. Mamy podobne idee. Do cholery, nadszedł czas zmian i to olbrzymich. Zbyt długo już żyjemy pod butem starców.

Safar nie mógł mu powiedzieć, że wydumana przez niego zmiana może już zachodzić. Jednakże miała ona znacznie większą skalę, niż sięgały ambicje dwóch młodzieńców, którzy chcieli być królami. Zamiast tego powiedział:

- Pozwól mi zachować moje złudzenia, Olari. Jestem pewien, że ty i Irac wkrótce udowodnicie mi, że jestem ślepym głupcem. Mam nadzieję, że kiedy nadejdzie ten czas, wybaczycie mi.

- Już ci wybaczyliśmy, przyjacielu - powiedział Olari. - Po prostu upewnij się, że kiedy nadejdzie czas, będziesz wiedział, w którą stronę skoczyć.

- To mądra rada - odparł Safar. - Zapamiętam ją. Ale mam także nadzieję, że ty również zapamiętasz moją. Uważaj na Kalasariza. Mam wrażenie, że robi się niespokojny.

- I co z tego? - zapytał Olari. - Co on mi może zrobić? Brutalna prawda w tej kwestii jest taka, że w Walarii mieszkają dwa rodzaje ludzi: ci, którzy mają powód, by obawiać się ostrza Tulaza, oraz ci, którzy takiego powodu nie mają. Ja zaś, mój przyjacielu molu książkowy, należę do drugiej kategorii dzięki swojemu urodzeniu i bogactwu ojca.

Wtem Gundara wyszeptał w ucho Safara:

- Szpieg się zbliża.

Safar podniósł dłoń, uciszając Olarię. Gdy upłynął czas potrzebny na jedno uderzenie serca, usłyszeli sarkastyczny głos Ersena:

- Czyżbym słyszał dobiegające ze środka odgłosy zabawy?

Ersen wetknął głowę do pomieszczenia i ujrzał naczynie z winem w ręku Olarię.

- Co za chciwy, żebracki pomiot - oznajmił. - Trzymacie wino dla siebie, podczas gdy wasz biedny przyjaciel Ersen prawie umiera z pragnienia.

Olari zaśmiał się i podał mu naczynie. Ersen wziął duży łyk, a potem usiadł na materacu.

- Co porabiacie, koledzy? - zapytał. - Moim zdaniem knujecie przewrót całego znanego nam świata.

Ersen nie był członkiem grupy Olarię. Był zbyt wielkim żartownisiem, by być w niej mile widziany. Mimo wszystko Safar martwił się, że Olari powie zbyt wiele. Potajemnie wykonał gest ostrzeżenia, a potem powiedział do Ersena:

- A więc znalazłeś nas, cwany diable. Od godzin siedzimy tu, planując rewoltę. Sądzymy, że zaczniemy od Didimy. Mam taką recepturę, że kiedy dosypimy mu coś do jedzenia, to mu fiut zwiotczeje jak mokra szmata.

- Dobry początek - powiedział Ersen. - A co z Kalasarizem? Słyszałem, że on wcale nie ma interesu.

- Dokładnie to samo mówiłem Timurze - odparł Olari. - Musimy dla niego wymyślić coś innego.

- No cóż, jestem tylko człowiekiem - powiedział Ersen. - Zobacz, czy znajdziesz tu jeszcze jeden dzban wina, Timura. Przyszedł niezły gość, a konspiracja pobudza pragnienie.

Zemsta Zemana

Właśnie minęła ostatnia modlitwa i Foolsmire wypełniało się spragnionymi studentami. W środku Zeman obserwował wejście do alejki, jednocześnie podając książki i zbierając opłaty za wypożyczanie. Nadeszła wiadomość od Kalasariza, że dziś wieczorem w Foolsmire spodziewana jest wizyta Safara, który ma się spotkać z Olarim i jego grupą malkontentów. Zemanowi rozkazano, by poznał cel spotkania i zameldował o tym, co odkrył.

Zeman był niezmiernie z siebie zadowolony. Dziadka nie było, gdy nadszedł list od Iraja Protarusa. Zeman, gdy tylko go zobaczył, pomyślał, że fortuna jest w zasięgu ręki. Chociaż aż palił się do przekazania listu szefowi szpiegów, najpierw trochę czasu zajęło mu zbadanie szansy ze wszystkich stron.

Już od ponad roku był na służbie u Kalasariza. Pod łóżkiem trzymał małą miedzianą szkatułkę, wypełnioną monetami zarobionymi na informacjach przekazywanych arcyszpiegowi. Foolsmire było idealnym miejscem na zbieranie plotek od przesiąkniętych winem studentów i na poznanie ich występków - minionych, obecnych i planowanych. Zeman był idealnie stworzony do tego zadania. Jego dziwny wygląd, złe maniery i przebiegły zwyczaj wydawania mniejszej reszty niż się należy, sprawiły, że stał się obiektem drwin wśród młodych klientów. Przez lata cierpiał od ich szyderczych uwag. Jak u wszystkich niewrażliwych ludzi uczucia Zemana były niezwykle delikatne i uwagi te raniły go niezwykle. Reakcją na nie była jeszcze większa szorstkość i oszustwa przy każdej sposobności. Jednakże gdy stał się płatnym donosicielem kpiny studentów już go nie raziły. Jako informator był człowiekiem władzy, który w skrytości rewanzował się za każdą obrazę raportem, stawiającym czarne znaczki obok ich nazwisk. Z Zemana nie tylko drwiono, ale także nie zwracano na niego uwagi, gdy podchodził bliżej. Studenci mieli o nim tak niskie mniemanie, że przemawiali swobodnie w jego obecności, nieświadomi tego, iż ich słowa były przekazywane Kalasarizowi.

Safar należał do niewielkiej grupki osób, które nigdy nie przyłączyły się do gry w drażnienie Zemana. Chłopiec nienawidził go za to. Dostrzegał w zachowaniu Timury wywyższanie się, nie zaś łagodność. Wierzył mocno, że Safar sam ma jakieś plany w stosunku do Foolsmire. Podlizuje się Katalowi, udając, że naprawdę lubi starucha i obchodzą go jego poglądy. Zeman postrzegał swojego dziadka jako szalonego, nieodpowiedzialnego starca bujającego w obłokach, gdzie strawa dla umysłu była ważniejsza od strawy na stole. Katal miał czelność powiedzieć mu kilka miesięcy temu, że na wypadek śmierci uczynił niewielkie zapisy na rzecz Timury i tej małej złodziejskiej suki Nerisy.

Zeman był wstrząśnięty wiadomością. Staruch rozdawał to, co prawnie należało się jego wnukowi. Był przeświadczony, że te zapisy cały czas były celem Timury. Safar kradł uczucie Katala i jeśli Zeman nie położy temu kresu, staruch w końcu odda wszystkie dobra ziemskie Safarowi, pozostawiając Zemana z niczym. A jeśli chodzi o Nerisę, to było jasne jak słońce, że jest w zмовie z Timurą. Obserwował, jak gra na słabościach starca, udając, że jest bezradną sierotką, i cały czas naciągając go na miejsce w domu i przy jego stole. Zeman uważał także, iż związek między Safarem a

Nerisą był skandaliczny. Był pewien, że sypiają ze sobą, co czyniło z Nerisy nieletnią dziwkę, a z Timury alfonsa, który pewnie sprzedawał ją wszystkim dekadentom mężczyznom gustującym w dziecięcych ciałach.

Zeman uważał, że jego świętym obowiązkiem jest położyć temu kres. Knuł już długo i intensywnie, próbując znaleźć kamień, który zmiażdży ich oboje. List, w powiązaniu z okradzeniem przez Nerisę kramarza, dał mu szansę. Gdy w końcu dostarczył dokument, załącznikiem do niego był raport o powiązaniach tej dwójki w konspirowaniu przeciw Walarii.

Teraz jego plan miał wydać owoce. Przeciw Timurze znaleziono jeszcze inne dowody. Przynajmniej tyle wywnioskował, gdy nadeszła pilna wiadomość, że powinien uważnie obserwować Safara i zameldować o wszystkim, co odkryje. Zeman wyczuł, że zbliża się kryzys - przynajmniej dla Safara i Nerisy. Gdy już nadejdzie, jedyną rzeczą, która uczyni świat Zemana jeszcze doskonalszym, będzie możliwość pozbycia się także dziadka. Nie wiedział jeszcze, jak może doprowadzić i do takiego wyczynu, ale był pewien, że jeśli będzie szczególnie ważny, to pomysł sam nadejdzie.

Jego myśli przerwał głos:

- Co z tobą, Zeman? Zapchałeś sobie brudne uszy?

Zeman podniósł wzrok i ujrzał sarkastyczne rozbawienie na twarzy młodego klienta.

- Mówiłem ci już dwa razy - powiedział student - że wydałeś mi za dużo reszty.

Zeman zerknął na wypożyczoną książkę w ręku studenta i monety na ladzie. Był tak zagubiony w myślach, że zapomniał o swoich początkowych zamiarach wydawania za mało reszty studentom. Szybko przeliczył monety i zobaczył, że rzeczywiście wydał za dużo.

- Nie mam nic przeciwko oszukiwaniu ciebie - rzekł student. - Bogowie wiedzą, że okradałeś mnie wystarczająco często. Ale to szło do twojej kieszeni. Tutaj zaś chodzi o staruszkę Katala.

- Nikt cię nie zmusza, żebyś tutaj przychodził - warknął Zeman, zabierając nadwyżkę. - Jak ci się nie podoba mój sposób prowadzenia interesu, to idź gdzie indziej. Nie będę za tobą tęsknił.

Zamiast rozgniewać się, student wyśmiał go.

- Nikogo nie obchodzi, co myślisz, Zemanie - oznajmił. - Nie ty jesteś właścicielem tego miejsca, tylko twój dziadek. Tolerujemy cię jedynie ze względu na staruszkę Katala.

Student schwycił resztę i wyszedł na patio, śmiejąc się i opowiadając innym o zajściu. Zeman już miał wykrzyknąć jakąś obelgę, kiedy ujrzał idącego alejką Timurę. Szybko wyjął koszyk na monety i mały znaczek obwieszający klientom księgarni, by sami się obsłużyli. Był to honorowy system, wprowadzony dawno temu przez Katala na czas najbardziej pracowitych godzin. Zemanowi nie podobała się ta praktyka i wielokrotnie protestował przeciw niej. Planował skończyć z tym zwyczajem, kiedy tylko Katal przestanie tak uparcie trzymać się życia i wreszcie umrze. Ale teraz posłużyła jego celowi.

Kiedy Zeman kierował się ku patio i zastawionym winem zatłoczonym stołom, ktoś próbował zatrzymać go i wręczyć pieniądze za książkę.

- Co z tobą, oślepleś? - warknął, wskazując na koszyk. - Tam połóż pieniądze. Ja mam inne rzeczy do roboty.

Ruszył pospiesznie, nie słuchając odpowiedzi. Jego dziadek stał przy studni, wyciągając wiadra z dzbankami zimnego wina i ustawiając je na tacach. Zeman ujrzał, jak Timura kieruje się ku wielkiemu stołowi w dalekim kącie, gdzie przewodził Olari. Zeman zadrżał z emocji - otrzymana wiadomość o przewidywanym spotkaniu była najwyraźniej prawdziwa.

Porwał tacę z rąk Katala.

- Pozwól, dziadku, że ci pomogę - powiedział zaskoczonemu staruszkowi.

Zeman zignorował wyraz zadowolenia na twarzy dziadka. Balansował tacą nad głową, przemieszczając się powoli przez tłum. Ludzie krzyczeli, próbując złożyć zamówienia, ale nie zwracał na nich uwagi, koncentrując się na Safarze i Olarim. Przybycie Timury zostało powitane okrzykami. Olari wstał, witając go i poklepując po plecach, a potem pochylając się bliżej, by wyszeptać coś w jego ucho. Safar roześmiał się, jakby właśnie powiedziano mu wspaniały dowcip, ale Zeman ujrzał, jak Olari podaje mu mały przedmiot, który został schowany w fałdach szaty.

Zamiast podejść bezpośrednio do stolika Olariego, Zeman doniósł tacę do stołu znajdującego się najbliżej. Poruszając się jak ślimak, stawiał kubek przed każdą z osób, ale jego uwaga skupiona była wyłącznie na rozmowie toczącej się wokół Timury.

Mógł rozróżnić jedynie urywki podekscytowanej rozmowy:

- ...tworzenie historii... damy im nauczkę, której nigdy nie zapomną... Umurhan się zesra... to będzie najlepszy Dzień Założyciela wszechczasów!

Kiedy taca opróżniła się, Zeman podszedł do stołu Olariego. Jak zwykle nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi, nie licząc zamówień na wino lub sztorcowań za powolność i lenistwo. Zeman uśmiechał się blado, słysząc obelgi i przedzierając się stopniowo ku Timurze. Był już prawie przy łokciu Olariego, pochylając głowę tak nisko, jak tylko zdołał, by usłyszeć szeptaną rozmowę pomiędzy nimi dwoma, kiedy Safar nagle podniósł wzrok i zobaczył go. Jego oczy były szeroko otwarte, jakby ktoś powiedział nagle coś zdumiewającego. Potem zwięzły się, jakby w nagłym zrozumieniu.

Zeman nie mógł oderwać wzroku od spojrzenia Safara.

„On wie - pomyślał Zeman. - Timura wie, że jestem donosicielem. Ale to nie może być prawda. Skąd by wiedział?”

W tej chwili Timura przerwał kontakt wzrokowy i dotknął ostrzegawczo dłoni Olariego. Młody szlachcic urwał w połowie swoją wypowiedź i pochylił się bliżej, by Timura mógł wyszeptać mu coś do ucha. Zeman ujrzał, jak Olari podrywa się i obraca, by spojrzeć w jego kierunku, ale kolejne ostrzegawcze dotknięcie osadziło go.

Zeman uspokoił się. Pomyślał, że jego wyobraźnia zaczyna szaleć. Timura w żaden sposób nie mógł dowiedzieć się, że Zeman jest szpiegiem. Zachowanie Safara było wynikiem poczucia winy, nie zaś wiedzy. Wraz z Olarim najwyraźniej coś planowali, a Timura był na tyle sprytny, by upewnić się, że nawet godny pogardy Zeman niczego nie podsłucha. Ale wciąż czuł niepokój, tak więc szybko oddalił się od stołu pod pretekstem przyniesienia zamówionego wina.

Safar obserwował, jak Zeman przedziera się przez tłum, przyciskając do boku pustą tacę.

- Skąd wiesz, że jest donosicielem? - zapytał Olari. - Jest taki głupi i leniwy, że aż trudno uwierzyć, by Kalasariz go w ogóle zechciał.

- Zaufaj mi - odparł Safar. - Albo przynajmniej przyjmij to do wiadomości. Moje informacje pochodzą z pewnego źródła.

Wyszeptane ostrzeżenie Gundary dobiegło go w momencie, gdy z Olarim rozmawiali o zamieszkach, które szlachcic zamierzał wywołać po zakłóceniu uroczystości Dnia Założyciela zakłębieniem Safara. Młodzieniec nie mógł uwierzyć, kiedy malutki Ulubieniec wskazał Zemana. Po chwili początkowego zaskoczenia zrobiło mu się żal biednego Katala. Potem zdał sobie sprawę, że właśnie Zeman naprowadził Kalasariza na jego ślad zmyślnymi oskarżeniami. Zaczął kipieć w nim

gniew, który rósł, wysuszając gardło. To wina Zemana, że życie jego i Nerisy znalazło się w niebezpieczeństwie. W tych okolicznościach gniew do niczego się nie przyda, tak samo jak myśl o zemście, która opóźni ucieczkę z Walarii.

- Pewnie myślisz, że nagle oszalałem - powiedział Safar. - Zwariowałem czy nie, nie zaszkodzi ci wziąć sobie do serca mojej rady i uważać przy nim.

- Nie sędzę, że oszalałeś - odparł Olari. - Zastanawiam się tylko, skąd wzięłeś swoje informacje.

- Nie mogę powiedzieć.

- Czy jeszcze wobec kogoś powinniśmy być ostrożni? - zapytał Olari.

Safar wiedział że jeśli wspomni o Ersenie, Olari naprawdę pomyśli, że zwariował. Tak więc odparł:

- Spójrz na to w taki sposób: jeśli ktoś taki jak Zeman może być szpiegiem, to komu możesz zaufać? Najbardziej nieprawdopodobna osoba może być bezpośrednim kontaktem Kalasariza. Cóż, nawet Ersen - taki błazen - może trzymać z wrogiem.

- Ersen? - zapytał Olari. - Co ci podsunęło na myśl jego imię?

Safar potrząsnął głową.

- Proszę cię jedynie, byś uważał. Kwestionuj wszystko, Olari, i wszystkich.

- Tak właściwie - rzekł Olari - to Ersen jest bardziej prawdopodobny od Zemana. Parę lat temu jego ojciec wpadł w jakieś kłopoty z Kalasarizem. Przez chwilę wydawało się, że jego los jest przesądzony, ale potem nagle wszystko wróciło do normy. A on, odkąd Ersen zaczął naukę w uniwersytecie, nie robi nic innego, tylko awansuje w szeregach Rady Walarii.

Safar nic na to nie powiedział. Po chwili Olari zdał sobie sprawę, że nie usłyszy nic więcej.

- Jak na człowieka, który nie lubi polityki - rzekł Olari - masz z pewnością talent nurzania się w niej po szyję.

W godzinę później Safar zapalił lampę w swoim pokoju nad starym murem miasta i wyjął kufer z pomocami magicznymi. Wpadł na pomysł zaklęcia, które obiecał Olariemu i postanowił popracować nad nim w oczekiwaniu na Nerisę.

Splecenie zaklęcia przyszło mu z łatwością. Zapisywał je, by później móc zajrzeć do notatek. Potem wyjął czysty zwój do rzucania zaklęć, oraz swoje pędzle i magiczne farby. Gundara zajął się pożeraniem słodkich bułek, które wcześniej obiecał mu Safar i ucichł na pewien czas. Skubiąc ostatnią z nich mały Ulubieniec zauważył, co robi Safar. Obserwował go z pewnym rozbawieniem, zbierając suszone jagody i okruszki z tuniki i wrzucając je sobie do ust.

Safar użył wąskiego pędzla, by wymalować czarodziejskie symbole na szorstkiej, białej powierzchni zwoju, budując fundamenty zaklęcia.

- Od razu widać, że jesteś studentem - skrytykował go Gundara. - To zbyt skomplikowane. I czy na pewno chcesz umieścić znak wody w środku? Większość magów, których znam, spycha go w róg, by nie przeszkadzał.

- Ja nie należę do tej większości magów - odparł Safar. - A w tym szczególnym zaklęciu woda znajduje się pośrodku.

- No dooobra - powiedział Gundara. - Jeśli naprawdę tego chcesz. Ale ja uważam, że to bardzo głupie. - Skończył bułkę i, nie dostrzegając nigdzie innych smakołyków, nie widział już powodu, by być uprzejmym.

- Módl się lepiej, żebyś miał rację - powiedział Safar - bo to ty je wypowiesz.

- Och, a to dopiero cudownie - poskarżył się Gundara. - Oto ja, produkt największych umysłów w historii magii, zredukowany do studenckiej sztuczki.

- Tak się składa, że ta sztuczka - wskazał Safar - może uratować życie twojemu panu.

- Och, w tym przypadku - zadrwił Gundara - zostaw znak wody w środku. Szybciej znajdę wtedy nowego pana.

Safar, którego umysł aż kipiał od tworzonych zaklęć, zaczął się denerwować. Ale kiedy zobaczył, jak Ulubieniec zlizuje resztki cukru ze swojej brzydkiej twarzyczki, musiał się roześmiać.

- Wygrałeś - powiedział. Rozmazał białą magiczną farbę na niebieskim znaku wody. - Czy lepszy będzie prawy róg, o Krynico Mądrości?

Gundara wzruszył ramionami.

- A umieść go sobie gdzie chcesz! Mnie to nie obchodzi. Od teraz moim mottem jest: „Pan wie najlepiej”.

- A więc dobrze, umieszczę go tutaj. A teraz jaki symbol zasugerowałbyś dla środka?

Gundara wbrew sobie zainteresował się.

- Może ogień? - powiedział. - To dobry symbol.

- A więc tu idzie ogień - odparł Safar, nabierając pędzlem nową farbę i malując w środku czerwone, podobne do płomieni linie.

- Oczywiście, lord Asper użyłby swojego symbolu węża - powiedział Gundara. - Ale przypuszczam, że obecnie wypadł z łask młodszych magów.

Imię zaskoczyło Safara.

- Asper? - wybełkotał. - Znasz Aspera?

Gundara pociągnął z wyższością nosem.

- Oczywiście, że znam. Nikt nie spędzi paru tysięcy lat, objając się po laboratoriach magów i nie wpadając na lorda Aspera. Oczywiście, jego dzieła zawsze były bardziej popularne wśród demonów, ponieważ sam nim był. A ja, jak pamiętasz, nie obsługuję demonów. To robota Gundaree. Jednak przez milenia zebrałem o nim tyle wiadomości, że mi wystarczy.

Safar popchnął zwój tak, że znalazł się przed Ulubieńcem.

- Pokaż mi - poprosił, podając pędzel.

Gundara podskoczył bliżej i złapał narzędzie. Chociaż było niewielkie, w malutkich, szponiastych łapkach wyglądało jak wielka włócznia. Ulubieniec zmył z niego czerwien w misce z wodą i nabrał zielonej farby.

Gundara objaśniał tworzony rysunek:

- Wąż miał cztery głowy, by móc widzieć w każdym kierunku. Każda z głów miała cztery jadowite kły, by pomóc w obronie środka. - Spod pędzla wyłaniało się długie ciało. - Na ogonie zaś znajdował się jadowity kolec, w razie gdyby wąż został zaatakowany z góry. A tutaj, tuż pod miejscem, gdzie się łączą głowy, należy dodać wężowi skrzydła, by mógł w razie potrzeby uciec w powietrze.

Kiedy Gundara skończył, odstał w tył, by przyrzeć się swojej pracy.

- Nieźle - stwierdził. - Nawet jeśli to tylko moje zdanie.

Jego bliźniak musiał powiedzieć jakąś obelgę, ponieważ Gundara nagle obrócił się ku żółwiemu bożkowi, który spoczywał obok kociołka.

- Och, zamknij się Gundaree! - warknął. - Zamknij się! Zamknij! - Obrócił się do Safara. - Jest taki nieuprzejmy - powiedział. - Nie uwierzysz, co on do mnie wygaduje.

Safar, który już zaczął się przyzwyczajać do jednostronnej wymiany zdań między bliźniakami, nie zwrócił żadnej uwagi. Badał zwój, a kiedy był już usatysfakcjonowany, wykonał magiczny gest, kreśląc palcem wskazującym kółko w powietrzu. Z papieru poderwało się miniaturowe tornado - wielkości mniej więcej palca Safara, szybko susząc farbę. Kiedy już wszystko wyschło, Safar dmuchnął na papier i tornado znikło.

Potem włożył zwój do ciasnej tuby i podał ją Gundarze.

- Trzymaj ją - rozkazał. - Gdy usłyszysz, jak recytuję słowa zaklęcia, uaktywnisz zwój. Rozumiesz?

- A co tu rozumieć? - zapytał Gundara. - Wy, ludzie, robicie z magii takie zamieszanie. Magowie demony wiedzą, że wszystko bierze się z trzewi, nie z głowy. Oni po prostu działają, podczas gdy wy wciąż myślicie.

Pomimo tej uwagi Ulubieniec zrobił, jak mu kazano, zmniejszając papierową tubę do rozmiarów palca niemowlęcia i wtykając ją dla bezpieczeństwa w rękaw. Jednakże Safar dla odmiany był poruszony uwagą Gundary.

Wiele nauczył się w Walarii. W jego umyśle znajdował się magazyn zaklęć, pozwalających stawić czoło niemal każdej sytuacji. Ponadto zdobył solidną wiedzę intelektualną umożliwiającą stworzenie nowych zaklęć, które mogły sprostać przypadkom wykraczającym poza to, co już umiał. W porównaniu do innych studentów, a nawet, o tak, do samego Umurhana, dysponował ogromną mocą. Czuł, jak wrywała się, gdy rzucał zaklęcie. Była tak potężna, że musiał ją powstrzymać, by nie zdradzić swoich prawdziwych zdolności. Mimo wszystko moc ta nie była w niczym podobna do przeżycia, którego doświadczył, pokonując demony na śnieżnej przełęczy lata temu. Wiele razy próbował przywołać ją w samotności, ale nigdy nie zdołał doznać podobnego do rwącego strumienia przepływu, który poczuł w tamtej chwili, na skraju życia i śmierci. Niepowodzenie przygnębiało go. Początkowo próbował wmówić sobie, że to bez znaczenia, że magia tak naprawdę nie była jego prawdziwym celem, a jedynie rozwiązanie zagadki Hadinu. Ale im więcej uczył się, tym bardziej zdawał sobie sprawę, że rozwiązanie nadejdzie wyłącznie dzięki magii.

- Kiedy znajdzie czas - powiedział Safar - co najprawdopodobniej nie zdarzy się do chwili, gdy będę bezpiecznie podążał do domu, usiądziemy sobie we dwóch i porozmawiamy o Hadinie.

- To najlepsze miejsce na świecie - rzekł Gundara. - Wszędzie kręcą się najbystrzejsi ze śmiertelników. To oni mnie stworzyli, co powinno być wystarczającym dowodem. Chociaż ktoś z pewnością popełnił wielki błąd, stwarzając Gundaree. Pewnie był to jakiś asystent-człowiek. Wiesz, jacy oni są. Oczywiście, cokolwiek będę miał do opowiedzenia będzie dość przeterminowane. Ostatnimi czasy, kiedy tam przebywaliśmy, bogowie wciąż leżeli w powijakach.

- Wszystko się przyda - stwierdził Safar. - Chcę też usłyszeć o Asperze.

Gundara ziewnął.

- To będzie dość krótka rozmowa - odparł. - To, co o nim wiem, usłyszałem od innych czarodziejów.

- Z tego, co się dowiedziałem, Asper napisał książkę o swoich teoriach - powiedział Safar. - Widziałeś ją kiedykolwiek?

- Nie. I nie znam nikogo takiego.

- Sądzę, że w bibliotece Umurhana znajduje się jej kopia. Pomiędzy jego zakazanymi księgami.

- To dlaczego jej dziś nie ukradłeś? - zapytał Gundara. - Mogłeś pójść schodami do góry. Mówiłem ci, że jest bezpiecznie. A kiedy znalazłbyś się w środku, mogłem ją wyniuchać z łatwością.

Nawet nie musiałyś mi dawać jeszcze jednej słodkiej bułeczki.

- Nie było na to czasu - odparł Safar. - A teraz obawiam się, że już nigdy nie pojawi się okazja. Nie ośmielę się wrócić na uniwersytet. Po Dniu Założyciela będę zwiewał, ile sił w nogach, a za mną będzie pędzić gromada wściekłych Walarian.

Zza ich pleców dobiegł głos Nerisy.

- Mogę ją dla ciebie zdobyć.

Safar i Gundara obrócili się, by ujrzeć siedzącą na parapecie dziewczynkę.

- Już zaczynałem się o ciebie martwić - powiedział Safar.

Gundara uśmiechnął się drwiąco.

- Panie, lepiej martw się za siebie - rzekł - bo ona ma się dobrze. Już piętnaście minut temu wyczułem, jak się wspina po wieży. Ale ty nie zauważyłeś nic, dopóki nie znalazła się w środku i sama tego nie ogłosiła.

Nerisa zachichotała. Zeskoczyła z parapetu, wyciągnęła z kieszeni słodycze i podeszła z nimi do Ulubieńca.

- Kiedy mnie ukradłaś z tamtego kramu - oznajmił Gundara - wiedziałem, że to moje szczęśliwe stulecie. - Wsunął łakocie w usta, przymykając oczy i żując z zapalem.

- Może pójdziesz chwilę odpocząć? - zapytał Safar. Machnął, a Ulubieniec znikł w chmurce dymu. Żółwi bożek zakołysał się na nogach, gdy dym strużką wpływał w kamień. Potem wszystko ucichło.

- Po jakimś czasie jego oblizywanie ust robi się denerwujące - Safar zwrócił się do Nerisy.

- Nieważne - odparła. - Naprawdę chcę to zrobić. To znaczy, jeśli chodzi o książkę. Mogę wejść i wyjść z apartamentu Umurhana w dowolnym czasie, a zwłaszcza, jeśli pomoże mi Gundara.

- To zbyt niebezpieczne - uciał Safar.

Nerisa oparła rękę o biodro.

- Nikt mnie jeszcze nie złapał - oponowała. - Co jest trudnego w wejściu do starej biblioteki? Daj mi Gundarę, a wrócę długo przed pierwszą modlitwą.

Safar potrząsnął głową.

- Neriso, nie wiesz o czym mówisz. Od zeszłej nocy sytuacja znacznie się pogorszyła.

Posadził ją, zaparzył kubek miętowej herbaty i opowiedział okrojona wersję tego, czego się dotychczas dowiedział. Pomiął interes, który ubił z Olarim, odgadując poprawnie, że chciałyby się w to włączyć.

W oczach Nerisy pojawiły się łzy, gdy poinformował, że opuszcza Walarię.

- Ten kraj nie jest bezpieczny dla nas obojga - rzekł. Zanurzył rękę w ciężką sakiewkę, którą dał mu Olari i wyciągnął garść złotych monet. - Masz. To dla ciebie.

Nerisa rzuciła je w kąt. Monety rozsypały się po podłodze.

- Nie chcę pieniędzy - powiedziała. - Mogę je mieć, kiedy zechcę.

Safar pozbierał je.

- Nie porzucam cię, Neriso - rzekł. - To pieniądze na wszelki wypadek. Jeśli mnie złapią, albo... w razie innej potrzeby. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, możesz ze mną jechać.

Nerisa uśmiechnęła się przez łzy.

- Naprawdę wziąłbyś mnie ze sobą? - krzyknęła.

- To nie jest zbyt bezpieczne - ostrzegł Safar. - Będzie mnie gonić mnóstwo ludzi.

Nerisa zarzuciła ramiona na jego szyję.

- Nie dbam o to - rzekła. - Niech idą. Znam wszystkie sztuczki. Nigdy nas nie znajdą.

Safar wyplątał się z objęć i delikatnie pchnął Nerisę na jej miejsce na poduszkach.

- Nie musisz jechać aż do Kyranii - powiedział. - To dość nudne miejsce dla kogoś, kto dorastał w Walarii.

- No cóż, dla mnie nie będzie ono nudne - powiedziała Nerisa, myśląc, że jeśli o nią chodzi, to Kyrania może być najnudniejszym miejscem w Esmirze. Nie miało to znaczenia, dopóki była przy Safarze.

Safar poklepał jej dłoń.

- Zobaczmy - rzekł. - Gdy skończymy już z Walarią, będziemy mogli znów o tym pogadać.

- Cokolwiek powiesz, Safarze - oznajmiła Nerisa rozmarzonym głosem. Potem ziewnęła i przeciągnęła się. - Jestem taka zmęczona - powiedziała. - Czy mogę się tu chwilę przespać? Cały dzień kuliałam się i chowałam.

Safar zawahał się.

- Wiedzą, że tutaj mogą cię szukać - przestrzegł.

Nerisa ziewnęła ponownie.

- To nic - odparła. - Jeśli ktoś będzie nadchodził, Gundara nas ostrzeże.

Safar już zaczął mówić, że mimo wszystko to zbyt wielkie ryzyko, ale usłyszał, jak jej oddech staje się głębszy. Spojrzał na nią i zobaczył, że zasnęła. Leżąc tak, wyglądała na jeszcze młodszą i bardziej kruchą. Na miękkich policzkach spoczywały delikatne wachlarze rzęs. Przyjrzał się pięknie ukształtowanej twarzy i pomyślał, że pewnego dnia będzie wielką pięknoską... jeśli dożyje wieku kobiecego. Nie miał serca, by ją budzić. Tak więc dołożył węgla do piecyka i zgasił knoty w lampkach oliwnych. Tyle się wydarzyło, że wątpił, czy zdoła zasnąć. Ale ledwo zamknął oczy, a sen opadł na niego i poniósł w dal.

Nic mu się nie śniło, chociaż w pewnej chwili pomyślał, że słyszy szelest materiału i czuje usta ocierające się o jego wargi.

Następną rzeczą, którą usłyszał, był huk otwieranych drzwi. Do środka wpadło czterech potężnych mężczyzn.

Safar wyplątał się z koców, ale zanim zdołał wstać, mężczyźni już go dopadli. Podcięli mu nogi pałką i przygwoździli do podłogi.

Potem zadano cios ciężkim butem w głowę. Przed oczyma rozbłysły gwiazdy bólu. Na chwilę stracił przytomność. Potem usłyszał, jak stal uderza o krzemień i otworzył oczy. Ujrzał stojącego nad nim Kalasariza, który trzymał w dłoni lampę oliwną.

- Akolito Timura - zaintonował dowódca szpiegów - jesteś oskarżony o konspirowanie przeciw Koronie. Co możesz powiedzieć na swoją obronę?

Safar był oszołomiony biciem. Próbował przemówić, ale język odmówił współpracy. Potem przypomniał sobie o Nerisie. Serce mu podskoczyło. Obrócił głowę, żeby zobaczyć, gdzie ona jest, ale w zasięgu wzroku nigdzie jej nie było. Ogarnęła go fala ulgi - dzięki bogom, jakoś udało jej się uciec. A potem przez mgłę przebiła się kolejna myśl. Dlaczego Gundara nie ostrzegł go przed nadejściem Kalasariza?

Szef szpiegów wyciągnął rękę nad głowę Safara po ciężką sakiewkę ze złotem podarowanym mu przez Olariego, w której brakowało jedynie monet przekazanych Nerisie. Kalasariz potrząsnął mieszkami.

- Co to? - zapytał. Potem otworzył woreczek i wysypał monety na dłoń. - To ogromna suma, jak

na biednego studenta - powiedział ze złośliwym zadowoleniem.

Safar nic nie odrzekł.

- Skąd masz tyle złota, akolito? - zażądał odpowiedzi szef szpiegów. - I co przysięgłeś, żeby je zarobić?

Safar nadal nic nie mówił. Zresztą nie miało to sensu.

Kalasariz ponownie go kopnął.

- Milczenie ci nie pomoże, akolito Timura - oświadczył. - Twoi przyjaciele konspiratorzy już wszystko wyśpiewali.

Safar na tyle odzyskał humor, by odpowiedzieć:

- A więc nie potrzebujesz już moich wyznań, prawda, panie?

Ta odpowiedź przyniosła mu jeszcze jednego kopniaka, tym razem w żebra. Gdy walczył o oddech, mężczyźni postawili go na nogi.

Jednak wciąż miał na tyle przytomności umysłu, by spojrzeć na piecyk, gdzie po raz ostatni widział kamiennego żółwia.

Znikł.

Domyślił się, że ma go Nerisa.

Potem Kalasariz ryknął:

- Zabierać go! Widok tego heretyka mnie obraża!

Mężczyźni wywlekli go za drzwi.

- Ćśś! Ktoś nadchodzi!

Pojawiło się nagle światelko i Nerisa przywarła do ziemi. Objęła kamień, a ciemna postać wyłoniła się z korytarza, powłócząc nogami i kierując w jej stronę. Dziewczynka znajdowała się na najwyższym piętrze uniwersytetu - nie więcej niż sto stóp, jak poinformował ją Gundara, od biblioteki Umurhana. Ulubieniec był małą, pchlą kropką na jej rękawie - opowiedział jej o metodzie Safara na przenoszenie go, a Nerisa ją zaadaptowała.

Powłócząca nogami postać okazała się starym kapłanem mamroczącym do siebie przekleństwa na zimny kamień pod bosymi stopami i pomrukującym zaklęcia przeciw diablom, które sprzysięgły się, by schować mu sandały. Niósł ze sobą małą lampę oliwną z prawie zupełnie wypalonym knotem, który świecił na tyle jasno, by zdenerwować dziewczynkę. Nerisa padła na podłogę, kiedy się do niej zbliżał, ale kapłan skręcił i zaczął niezgrabnie otwierać drzwi. Głośno puścił bąka, a Nerisa odgadła, że wrota prowadzą do ustępu. Kapłan wszedł do środka i zamknął drzwi.

Nerisa poderwała się kocim ruchem i podążyła korytarzem jak duch, dopóki Gundara nie kazał jej się zatrzymać, ponieważ dotarła do biblioteki. Pomieszczenie było zamknięte, ale to powstrzymało ją jedynie na parę sekund. Wyłowiła z kieszeni wąską sztabkę, wsunęła ją w dziurkę od klucza i odsunęła duży skobel. Po chwili znalazła się w środku, cicho zamykając za sobą drzwi.

Biblioteka była pomieszczeniem bez okien, tak ciemnym, że nie mogła zobaczyć nawet największych przedmiotów. Czowała jednak zapach zakurzonych, starych ksiąg, takich jak w Foolsmire, ale tutaj unosił się również ciężki, siarkowy odór magii, który wysuszył jej gardło.

- Nic nie widzę - wyszeptała do Gundary.

Nagle coś rozbłysło, a przed nią pojawił się Ulubieniec w swym normalnym wzroście - to znaczy sięgał jej prawie do kolan. Jego ciało emanowało wątlą, zieloną poświatę, tak że widziała majaczące cienie mebli i kształty półek na książki.

Gundara zatoczył powoli koło, wężąc w powietrzu. W kieszeni Nerisy kamienny bożek stał się cieplejszy, kiedy Ulubieniec czerpał z niego magiczną siłę.

- Tędy - powiedział i pomknął w ciemność.

Nerisa podążyła za nim. Przechodzili wijącymi się korytarzami między rzędami półek, aż przeszli na drugą stronę pomieszczenia, gdzie wysokie regały stały wzdłuż pustej ściany. Gundara przeskakiwał z regału na regał, aż znalazł się na poziomie oczu Nerisy.

- A oto i jest - powiedział, wskazując świecącym szponem. - Asper we własnej skórze. - Gundara zaśmiał się pod nosem. - Książka jest w skórzanej oprawie - wyjaśnił. - A więc w skórze! Ha ha! Ale jestem dziś zabawny.

- To pewnie przez ten cukier - stwierdziła Nerisa przez zaciśnięte zęby.

Na początku myślała, że Ulubieniec jest rozkoszną istotką, ale po kilku godzinach w towarzystwie Gundary chciała po prostu wykonać zadanie i oddać go Safarowi. Doprawdy, zadawał tak intymne pytania, a właściwie były to stwierdzenia. Na przykład oskarżał ją, że zakochała się w Safarze. Co było prawdą, ale to nie interes tego potworka.

Ulubieniec schwycił grzbiet cienkiej książeczki i podniósł z wysiłkiem. Wysunęła się z miejsca tak szybko, że stracił równowagę. Skrzeczał, upadając, czym śmiertelnie wystraszył Nerisę. Złapała go w powietrzu, ale księga walnęła o podłogę. Echo upadku było donośne.

- Uwaga - wyszeptała. - Pobudzisz wszystkich.

- Och, a co tam - odparł. - Te zbijające bąki niezdary w życiu by się nie obudziły.

- Mimo wszystko - powiedziała Nerisa - wolałabym, gdybyś się zachowywał ciszej. Jestem przyzwyczajona do pracy w samotności, a głośnie dźwięki rozpraszają mnie.

- Jesteś niezłym złodziejem, słoneczko - odparł Gundara - ale założę się, że chciałabyś mnie mieć przy sobie cały czas. Byłabyś bogata! Ukradlibyśmy wszystko, czego by nie przybili do podłogi.

- Taaak - odpowiedziała Nerisa, schylając się, by podnieść książkę.

Księga była cienka i wydawała się zawierać tak niewiele stron, że Nerisa złękła się, iż sprawi Safarowi zawód. Skóra była stara i spękana, ale w świetle rzucanym przez Gundarę dojrzała zniszczony obraz czterogłowego węża.

- W porządku, to księga Aspera - oświadczył Gundara. - Pewnie na całym świecie jest nie więcej niż pięć lub sześć egzemplarzy - pysznił się, dumny ze swej pracy.

Już zanurzała rękę w kieszeni po nagrodę, kiedy Gundara nagle dość głośno odezwał się.

- Zamknij się, Gundaree. Ty byś jej nie znalazł, nawet gdyby się paliła. A co dopiero tutaj. Nie nazywaj mnie tak! Zamknij się, słyszysz? Zamknij się! Zamknij! Za...

Nerisa zatkała mu dłonią usta, ucinając mu w pół słowa.

- Nie rób tego - syknęła - albo skręcę ci kark. Przysięgam, że tak zrobię.

Kiedy zabrała rękę, Gundara zwiesił głowę. Kopał podłogę elegancko obutą stópką.

- Przepraszam - powiedział - ale Gundaree czasami mnie tak bardzo rozwściecza.

- Po prostu nie rób już tego więcej - odrzekła Nerisa, a potem dała mu nagrodę.

Gundara uśmiechnął się szeroko i pożarł łakocia.

- Lubię cię, słoneczko - oznajmił. - Mam nadzieję, że Safar, kiedy dostanie książkę, zaproponuje ci miłe ciupcianko.

- Nie mów tak - przerwała mu Nerisa. - To nie jest miłe.

- Ale właśnie tego chcesz, prawda? - drażnił się z nią Ulubieniec. - Duży, soczysty całus, a potem ciupcianko przez całą noc.

- Wystarczy - oświadczyła Nerisa i wetknęła księgę razem z kamiennym żółwiem pod pachę. - A jeśli powiesz Safarowi choć jedno takie słowo, to ja, ja... nigdy się już do ciebie nie odezwę. Sam się przekonasz.

Najwyraźniej była to o wiele poważniejsza groźba od skrzywienia karku, ponieważ Gundara natychmiast przeprosił i powiedział, że już nigdy, przenigdy nic takiego nie powie. Potem poprowadził ją z powrotem do drzwi biblioteki i ponownie skurczył do rozmiarów pchły.

Wyśliznęli się na korytarz. Po godzinie skradania się w ciemnościach Nerisa przebiegła przez główną bramę i skierowała się ku szerokiej alei, przeskakując od cienia do cienia i podążając do miejsca, gdzie mieszkał Safar.

Dotarła na czas, by ujrzeć, jak Kalasariz i jego ludzie ciągną Safara po schodach.

W Walarii zapanowała noc terroru. Ludzie Kalasariza przeczesali miasto, wyważając drzwi i wywlekając przestraszonych młodzieńców na ulice, gdzie bito ich i zadawano pytania pod zamkniętymi okiennicami ich rodzinnych domów. Potem zabrano ich do sal tortur szefa szpiegów, gdzie zadano im jeszcze więcej pytań i zmuszono do podpisania zeznań. Liczba wszystkich studentów osiągnęła około pięćdziesiątki, chociaż mniej niż połowa z nich znała Olariego. Pozostali byli niewinni, ale ich pojmanie wyznaczili donosiciele Kalasariza, którzy tej nocy pobili rekordy zarobków, zbierając łapówki od wrogów uwięzionych młodzieńców i ich rodzin.

Pospiesznie wymierzono sprawiedliwość. Nie było procesu, a żaden ze skazanych nie był obecny przy ogłoszeniu wyroku śmierci przez Sędziego Najwyższego. Masowa egzekucja miała odbyć się następnego dnia, który - oczywiście zupełnie przypadkowo - wypadł na Dzień Założyciela. Miasto przemierzyli heroldzi, wykrzykując wieści o egzekucji i rozwieszając listy nazwisk skazanych oraz ich przestępstwa.

Na samym szczycie listy znajdowało się nazwisko przywódcy - Safar Timura, obcokrajowiec.

Na dole listy widniało nazwisko jednego ze zwiedzionych przez niego na manowce - Olari, obywatel.

- Najwyraźniej źle oceniłem wpływy mojej rodziny - rzekł Olari.

Safar wyjął szatę, wypłukał ją w wiadrze zimnej wody i wytarł krew z twarzy Olariego. Młodzieniec został tak ciężko pobity, że jego spuchnięta głowa była pół raza większa niż zwykle.

- Zawsze celowałeś w niedopowiadaniu do końca - powiedział Safar.

Safar nie ucierpiał, nie licząc siniaków zarobionych przy pojmaniu. Z jakiegoś powodu nie został poddany torturom, a jego „zeznanie” - dokument bez podpisu, z pieczęcią Kalasariza - okazał się wystarczający dla Sędziego Najwyższego.

- Wielka szkoda - rzekł Olari - że nawet nie zajmuję żadnej pozycji. Historia Walarii zapisze mnie jako zwykłego pionka.

- A mnie jako przywódcę pionków - stwierdził Safar. - W zasadzie to wolałbym komuś przekazać ten honor, ale Kalasariz tak nalegał. Wiesz jaką on ma siłę przekonywania.

- Najprawdopodobniej mój ojciec zapłacił przyzwoitą sumkę, by umieścili mnie jako ofiarę twego diabelskiego języka - oznajmił Olari. - Ochronił honor rodziny i takie tam. Pewnie głupek brzmi lepiej od króla zdrajców.

Dwaj młodzieńcy znajdowali się w towarzystwie sześciu innych, którzy ucierpieli od przerażającej roboty kata. Wszystkich rzucono na środku celi. Ledwo mogli odgonić wścibskie

insekty i szczury. Cała ósemka miała być pozbawiona głów przez Tulaza, mistrza egzekucji. Pozostali, których stłoczono w pobliskich celach, mieli być rozdzieleni w grupki po pięciu lub mniej pomiędzy pozostałych katów.

- Jest jedno pocieszenie - odezwał się Olari.

- A jakie? - zapytał Safar. - Przyda mi się trochę otuchy.

- Mam być ostatni - odparł Olari. - Oznacza to, że obojętnie, czy Tulazowi powiedzie się, czy nie, to będę zapamiętany. Jeśli utnie mi głowę jednym cięciem, pomogę mu pobić rekord. A jeśli nie, to cóż, zapiszą mnie w bukmacherskich księgach, że położyłem kres sławnym cięciom Tulaza.

Safar zaśmiał się, ale jego głos miał gorzkie brzmienie.

- Szkoda, że nie mogę tam zostać, żeby zobaczyć, jak mu pójdzie - powiedział. - Niestety, idę pierwszy.

Olari próbował się roześmiać. Ostry ból w żebrach zamienił wysiłek w cichy jęk. Kiedy już się pozbierał, potrząsnął głową i rzekł:

- Zawsze byłem...

Jego słowa zostały przerwane przez atak kaszlu. Safar podtrzymał go, dopóki mu nie przeszło. Potem Olari wypluł krew do kubła. Z pluskiem wpadł tam też jeden z jego zębów.

Podniósł na Safara wzrok, prezentując krwawy uśmiech.

- Zanim natura mi tak nieuprzejmie przerwała, próbowałem powiedzieć, że zawsze byłem szczęściarzem. I wygląda na to, że szczęście pozostanie ze mną aż do samego końca.

Śmierć przemawia

- Jesteś zbyt spięty - powiedział masażysta, ugniatając rozciągnięte przed sobą masywne ciało. - Nie usunę węzłów, dopóki się nie rozluźnisz.

- Cholernie źle spałem - odrzekł Tulaz. - Nie wiem, co się ze mną dzieje. Zawsze śpię jak niemowlę. A zwłaszcza przed roboczym dniem. Zeszłej nocy jednak było inaczej. Śnił mi się mały potworek z ludzkim ciałem i twarzą ropuchy, który cały czas gadał: „Zamknij się, zamknij, zamknij!”

Brwi masażysty zbiegły się w zmartwieniu. Postawił wszystkie swoje oszczędności na wynik egzekucji przeniesionych na główną arenę, która mogła pomieścić tłumy zgromadzone w Dniu Założyciela.

- Taki sen to zły znak - ciągnął Tulaz. - Zupełnie mnie wybił z rytmu. Nie wiem, czym go mogłem na siebie ściągnąć.

- Oczyszczyłeś się jak ci mówiłem? - zapytał masażysta, ubijając grube ciało Tulaza.

Główny kat Walarii prychnął.

- Pewnie. Wypełniłem pięć wiader, prawda?

- I trzymałeś się diety?

- Kleik, wino z wodą i nic więcej - odrzekł Tulaz. - Przeszkadza mi ten wielki pośpiech. Wiesz, zazwyczaj dostaję wiadomość z wyprzedzeniem. Przynajmniej na parę dni wcześniej, żebym mógł odzyskać formę. Poza tym dopiero parę dni temu pobiłem swój rekord. Ścięcie siedmiu głów wiele mnie kosztuje, a ludzie wcale tego nie doceniają. Po prostu przychodzą i widzą, jak je obcinam. Umykają im wszystkie doniosłe punkty. Nie wiedzą, jak ciężko pracuję, żeby utrzymać dobrą formę. Jeszcze się nie pozbierałem po siedmiu, a tu muszę przymierzyć się do ośmiu, choć nawet nie jestem gotowy.

- Nie myśl o tym - doradził masażysta. - Po prostu jeszcze jeden dzień jak wszystkie inne. Zapamiętaj to, a wszystko pójdzie dobrze.

- Pewnie - odparł Tulaz. - Tak trzeba. Po prostu jeszcze jeden dzień. Nie ma w nim nic szczególnego.

Masażysta polał Tulaza zapachowym olejkiem i zaczął nad nim pracować.

- A każda głowa jest taka sama - rzekł. - Patrz na nie jednakowo. Nie licz, ile jeszcze masz obciąć. Jedna czy osiem, co za różnica? Wszystkie spadają po jednej na raz. Nie ma w tym nic specjalnego.

- Taaa... - odpowiedział Tulaz. - To jedyny sposób, żeby spadły - po jednej na raz. Dzięki. Już się lepiej czuję.

Masażysta zachichotał pod nosem i powiedział, że podziękowania są niepotrzebne. Skończył pracę, nakrył Tulaza ciężkimi ręcznikami i doradził mu, by się zdrzemnął.

- Zawołam cię, gdy jeszcze zostanie mnóstwo czasu.

Wykradł się z pokoju przygotowań, ale tuż przed opuszczeniem go spojrzął do tyłu na Tulaza.

Wielki kat leżał teraz na plecach, zasłaniając oczy krzepkim ramieniem. Mruczał do siebie:

- Zamknij się, zamknij się, zamknij. Ciekawe co to znaczy?

Po raz pierwszy w swej długiej i błyskotliwej karierze Tulaz był najwyraźniej rozproszony i zdecydowanie cierpiał na brak pewności siebie. Masażysta opuścił pomieszczenie, zastanawiając się, skąd szybko wziąć nieco pieniędzy, by zrównoważyć swój poprzedni zakład.

Tłum ryczał. Najpierw wyprowadzono Safara, a za nim Olariego i sześciu pozostałych mężczyzn, wszystkich w kajdanach i skutych łańcuchami. Już ścięto czterdzieści dwie głowy, a tłum był znudzony nierównym poziomem pracy katów. Ale nadchodził gwóźdź programu: Tulaz, mistrz katów w Walarii, przymierzał się do ścięcia ośmiu głów i pobicia rekordu.

Safara prawie oślepiło jasne, poranne słońce. Próbował osłonić twarz, ale ramiona przytwierdzono mu krótko łańcuchem do grubej, żelaznej obręczy w talii. Strażnik zaklął i pchnął go drzewcem włóczni.

Kiedy Safar odzyskał zdolność widzenia, zauważył, że prowadzą go do wielkiego, pospiesznie zbitego podwyższenia znajdującego się na środku areny. Zostało wzniesione przed trybuną dygnitarzy, gdzie król Didima, Umurhan i Kalasariz spoczywali wygodnie wśród poduszek, pod rozpiętym baldachimem.

Gdy Kalasariz ogłosił wyniki obławy, Didima zdecydował o tym, by masowa egzekucja stanowiła część uroczystości z okazji Dnia Założyciela. Król był dumny z tego, że podejmuje szybkie, twarde decyzje, nawet jeśli inni uważali je za zbyt śmiałe lub sprzeczne z tradycjami. Uważał, że egzekucje pobudzą apetyt obywateli na późniejszą ucztę.

- To nas zbliży w tym szczególnym czasie - powiedział Umurhanowi i Kalasarizowi. - Uciszy niezgodę pomiędzy obywatelami.

Umurhan, który zazwyczaj był ostrożnym mężczyzną, zgodził się bez wahania. Chociaż nie podał powodów, wielki kapłan Walarii ostatnio martwił się, że jego doroczny pokaz czarodziejstwa nie został powitany tym rodzajem pełnego szacunku entuzjazmu i zadziwienia, na jaki zasługiwał. Pięćdziesiąt ściętych głów pomoże w podgrzaniu nastrojów tłumu.

Kalasariz pomyślał, że to wspaniały pomysł, chociaż on też wybrał opcję zatajenia swoich powodów przed dwoma towarzyszami. Zawsze starał się dokonywać egzekucji politycznych tak szybko jak to możliwe - zanim rodziny, przyjaciele oraz kochankowie mieli czas poczuć ogromną i trwałą urazę. Prędkie egzekucje napępiały ich bojaźnią bożą, tłumiąc mściwe myśli.

Tłum zgromadził się, by oglądać największe wydarzenie w historii Walarii. Ludzie wylewali się z trybun na arenę. Setki stłoczyły się w odległości dwudziestu stóp od podwyższenia, a co minutę przybywało ich coraz więcej. Piali nad swoim szczęściem, ściskając drogocenne bilety, które po obniżonych cenach sprzedawali żołnierze Didimy.

Strażnicy Safara musieli spychać ludzi z drogi, kiedy wraz z pozostałymi towarzyszami niedoli podążał, powłócząc nogami, ku podwyższeniu. Ludzie krzyczeli do niego, potrząsając rękami ponad barkami strażników, by go dotknąć. Przypuszczał, że miało im to zapewnić szczęście. Jeśli tak, to było ono raczej żałosne. Niektórzy go przeklinali. Niektórzy pocieszali. Inni krzyczeli: „Odwagi, chłopcze”.

W tłumie przemykali przekupnie sprzedający jedzenie i pamiątki. Jeden z przedsiębiorczych młodzieńców nadział garście fig w cukrze na zastrzone patyki. Figi pomalowano barwnikami tak, by przypominały ludzkie głowy. Barwnik w kolorze krwi znaczył pasmami patyki, przez co wyglądały

jak zaostrzone pale, na które wkrótce nadziane zostaną głowy Safara i pozostałych.

Całą ósemkę zaprowadzono na podwyższenie. Ślizgali się na zakrwawionych deskach. Ludzie z wiadrami i szczotkami zmywali krew pozostałą po poprzednich egzekucjach. Inni rozsiewali piasek wokół katowskiego pieńka, by Tulaz miał godziwe oparcie dla stóp. Skazańców ustawiono w szeregu na skraju podwyższenia, oblewając ich zimną wodą i podając do ssania przesiąknięte winem gąbki, by nie zemdleli i nie zepsuli widowiska.

A potem sam Tulaz wspiął się na podwyższenie. Tłum zaryczał z aprobatą. Mistrz katowski odziany był w pantaloney z najlepszego białego jedwabiu. Jego olbrzymi tors błyszczał od drogocennych olejków, które w słońcu podkreślały zarys jego potężnych mięśni. Nieskazitelnie biały jedwabny kaptur nie miał fałdy lub sznurka, który mógłby zepsuć jego symetrię. Nadgarstki i bicepsy kata obwiązano grubymi, złotymi wstęgami.

Tulaz z miejsca zabrał się za pracę, nie zwracając uwagi na tłum. Najpierw sprawdził stopień, na którym mieli klęknąć skazańcy, a potem pieńek z zagłębieniem, na którym każdy z mężczyzn wyciągnie szyję, gotową na przyjęcie ostrza. Kiedy już został usatysfakcjonowany, krzyknął po pudło z mieczem. Podczas oczekiwania założył rękawiczki uszyte specjalnie dla niego przez najlepszego rękawicznika Walarii. Materiał był szorstki, zaś palce rękawiczek obcięto, by wzmocnić chwyt. Tłum uciszył się, kiedy asystent podał mu otwarte pudło. Tulaz skłonił się przed nim, mamrocząc krótką modlitwę powitalną. Cisza umknęła przed ogłuszającym rykiem tłumu, gdy kat wydobył błyszczący, wygięty miecz i podniósł go wysoko, by bogowie mogli go zobaczyć.

Tulaz zniżył ostrze, pieszcząc je i szepcząc czułe słówka, jakby było dzieckiem. Potem wyjął swoją ulubioną ostrzałkę z kieszeni na szerokim skórzanym pasie i zaczął ostrzyć. Każdy powolny, wyćwiczony ruch wywoływał w tłumie okrzyki podziwu, ale Tulaz utrzymywał spojrzenie i skupioną uwagę na mieczu.

Po kilku ruchach Tulaz podszedł do skazańców, nadal pocierając ostrze. Zatrzymał się przed Safarem, który podniósł wzrok i odkrył, że wpatruje się w najmroczniejsze, najsmutniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widział.

- Niedługo już będzie po wszystkim, przyjacielu - powiedział Tulaz, a jego głos brzmiał bardzo uspokajająco. - Wiesz, w tym nie ma nic osobistego. Prawo stanowi tak jak stanowi, a ja po prostu wykonuję swoje zadanie. Tak więc nie walcz z tym, synu. I nie miotaj się. Jestem twoim przyjacielem. Ostatnim, którego będziesz znał. Obiecuję ci, że wszystko pójdzie gładko i czysto. Odeślę cię na spoczynek tak szybko, jak tylko będę potrafił.

Safar nic nie odpowiedział - bo co tu było do powiedzenia? Mimo wszystko Tulaz wydawał się być usatysfakcjonowany. Odwrócił się, wciąż zgrzytając oselką o ostrze.

Kat wstąpił na podwyższenie, nadal czując się nieswojo i niespokojnie. Ale po przemowie do Safara odkrył, że jego nerwy uspokajają się. Pomyślał, że to dobrze. Zawsze miło jest pogadać do swojej pierwszej głowy. Niech bogowie wiedzą, że poważnie podchodzi do pracy.

Obrócił się do żołnierzy strzegących skazańców.

- Zdejmijcie łańcuchy z moich głów - zakrzyknął. - I natrzyjcie ich dobrze, zanim zupełnie zeszywnieją.

Safar nagle poczuł się lżejszy, kiedy łańcuchy opadły. Silne ręce masowały go, przywracając życie zdrętwiałym członkom. Poprowadzono go do przodu. Usłyszał, jak Olari coś do niego woła, ale słowa zagubiły się w hałasie tłumu.

- Spokojnie, przyjacielu - usłyszał Tulaza, kiedy pchnięto go, by ukląkł przed pieńkiem.

Safar podniósł się, by po raz ostatni spojrzeć na świat. Ujrzał morze twarzy dopominających się wrzaskiem o jego śmierć. Niektóre z nich rzuciły mu się w oczy z niesamowitą jasnością. Był tam starzec, który wył, ukazując bezzębne dziąsła. Stała tam matrona z dzieckiem u piersi, z uderzającym spokojem obserwując przygotowania. Oraz, tuż pod podwyższeniem, młoda twarz - twarz dziewczynki.

To była Nerisa.

Przedarła się przez tłum i natarła na podwyższenie. Żołnierze próbowali ją schwycić, ale ona przemknęła pod ich wyciągniętymi rękami. Paznokcie ich rozpostartych dłoni pozostawiły krwawe smugi na jej ramionach. Na jej tunice zacisnęły się palce, ale ona wyrwała się z taką siłą, że mężczyźni zdołali zacisnąć w garściach jedynie strzępy materiału.

- Łap, Safarze! - krzyknęła. - Łap!

Rzuciła coś na podwyższenie. Przedmiot szybował w powietrzu, by wylądować z ciężkim łupnięciem tuż obok katowskiego pieńka. Safar nie spojrział, co to było. Z przerażeniem obserwował natomiast, jak żołnierze dopadli Nerisy.

Na jej głowę opadła pałka, rozsiewając wszędzie krew.

Potem znikła pod tuzinem żołnierzy.

Ryk tłumy ucichł. Rozległo się jedynie parę zmieszanych okrzyków, a potem podniósł się cichy szum, gdy ludzie pytali się wzajemnie, co się stało.

Ponad szmer wzniósł się głos Tulaza.

- No właśnie! Ja tak nie mogę pracować. Wszystko zepsute!

Safar usłyszał, jak drugi mężczyzna mówi z wielkim naciskiem:

- Nie możesz teraz przerwać, Tulazie. Tylko pomyśl o tych pieniądzach, które w to włożono!

Obedrą cię żywcem ze skóry! - Był to masażysta, który najwyraźniej znalazł wystarczającą liczbę monet, by obstawić zakład.

Wtem zagrzmiął potężny głos.

- Obywatele! Przyjaciele!

Był to król Didima, który podniósł się, by zwrócić się do tłumy. Jego głos został wzmocniony magicznym sposobem przez Umurhana.

- Dziś jest wielki dzień w historii Walarii - powiedział Didima. - Popelnilibyśmy błąd i obrazili bogów, którzy łaskawie patrzą na nasze miasto, gdyby pozwolono malkontentowi na zepsucie tych świętych uroczystości. Wszyscy tego ranka spędziliśmy cudowne chwile. Mamy dług wdzięczności u lorda Kalasariza za jego przemyślany wysiłek, który dostarczył nam tak doskonałej rozrywki, a jednocześnie był przestrogą dla wszystkich praworządnych obywateli. A teraz powróćmy do naszej zabawy, moi przyjaciele i współobywatele Walarii. Nasz wspaniały kat, Tulaz, miał nas właśnie zadziwić wyczynem, którego jeszcze nikt się nie podjął. - Król obrócił się w stronę Tulaza, krzyząc:
- Kontynuować egzekucje!

Ktoś schwycił Safara i zmusił go, by położył głowę na pniu. Zgodnie z królewskim rozkazem Tulaz dał krok w przód, przecinając mieczem powietrze dla rozgrzewki.

- Trzymajcie go mocno - zawołał.

Ręka wzmogła uścisk na włosach Safara.

Wtem cichy, znajomy głosik zasyczał z boku:

- Zamknij się Gundaree! Nie potrzebuję twojej pomocy.

Tulaz zamarł, gdy nawiedził go jego nocny koszmar.

- Kto to powiedział? Kto powiedział, żeby się zamknąć?

A Gundara rzekł:

- Zamknij się! Wcale cię nie słucham, Gundaree. Aha, aha. Nie, nie. Nie dbam, co mówisz.

Zamknij się, zamknij się, zamknij!

Nacisk palców zelżał i Safar wyrwał się. Spojrzał w dół i zobaczył przedmiot, który rzuciła Nerisa - żółtego bożka. Spojrzał do góry i zobaczył górującego nad nim Tulaza z wysoko uniesionym do cięcia mieczem. Ale kat stał w bezruchu, ogarnięty strachem.

- Sen! - powiedział. - Spełnia się!

- Zapomnij o śnie - rzekł masażysta, popychając krzepkiego kata. - Szybko! Utnij mu głowę!

Safar schwycił żółwia.

- Ulubieńcu, zjaw się! - rozkazał.

Zakotłował się dym, a na podwyższenie wyskoczył Gundara.

Tulaz wybałuszył oczy, widząc małą postać.

- Nie! - wrzasnął. - Odczep się ode mnie!

- Co on się tak podnieca? - zapytał Safara stworek.

- Nieważne - warknął Safar. - Zrób coś z mieczem, zanim on zmieni zdanie.

- No dobra. Jeśli nalegasz. Ale wygląda mi na ładniutki miecz.

- Po prostu zrób coś! - krzyknął Safar.

Gundara wykonał leniwy gest, rozległ się głośny trzask i miecz rozprysł się, jakby był ze szkła.

Tulaz wrzasnął przerażony i zeskoczył z podwyższenia.

Gundara potarł o siebie szpony, jakby strząsał brud.

- Coś jeszcze, panie?

- Zakłęcie - powiedział Safar. - Pomóż mi je teraz rzucić.

Gundara wytrząsnął z rękawa tubę z papierem i rzucił ją Safarowi. W trakcie lotu powiększyła się do właściwych rozmiarów, a Safar złapał ją w powietrzu.

Wokół niego rozpętał się chaos. Tłum ryczał z wściekłości, że coś przeszkodziło w egzekucji. Gracze zaatakowali bukmacherów, którzy wrzeszczeli na swoich ochroniarzy. Ci przystąpili do działania. Walki obejmowały coraz większe obszary, rozszerzając się jak ogień na sawannie. Trybuny i arena zamieniły się w rojącą masę walczących ciał. Didima wykrzykiwał rozkazy, a żołnierze pomknęli ku Safarowi i Gundarze.

Safar zaczął recytować:

*Jesteśmy hipokrytami z Walarii,
Przeklnijcie nas. Przeklnijcie nas.
Król Didima, Umurhan i Kalasariz,
Nieświęta Trójca. Nieświęta Trójca.
Witamy w Walarii diabły i potwory,
Po trzykroć tak. Po trzykroć tak.*

Zwój buchnął płomieniami, a Safar rzucił go w twarze nacierających żołnierzy. Ogniste cząstki eksplodowały, zamieniając się w białą, gorącą masę, która odrzuciła w tył wrzeszczących i skręcających się z bólu żołnierzy.

Safar porwał kamiennego bożka, a Gundara wskoczył mu na ramię, wrzeszcząc:

- Biegnij, panie! Biegnij!

Chłopak zeskoczył z podwyższenia prosto w rozszalały tłum. Jakiś żołnierz machnął mieczem, ale Safar wykonał unik i trzasnął go w głowę kamiennym żółwiem.

Za jego plecami Olari krzykiem budził pozostałych skazanych do życia. Wszyscy zeskoczyli z podwyższenia i popędzili, szukając kryjóWKi.

Zagrzmiał wzmocniony głos Didimy:

- Pojmać zdrajców! Nie pozwolić im uciec!

Safar pomknął do miejsca, gdzie widział Nerisę po raz ostatni. Gundara wyczarował płonąca gałąź, która strzelała promieniami magicznych błyskawic. Machał gałęzią wokół, trzymając się mocno kołnierza swego pana, a tłum rozstępował się przed nimi. Safar dobiegł do miejsca, w którym zaatakowano Nerisę.

- Ona nie żyje, panie! - krzyknął Gundara. - Widziałem, jak umiera.

Gniew opadł Safara. Obrócił się, by stanąć na wprost królewskiej łoży. Zobaczył, jak Didimę i Umurhana pogania Kalasariz i jego ludzie, kierując ich w bezpieczne miejsce.

Był bezradny, pomimo swej wściekłości. Czuł wielkie jeziora mocy zbierające się obok niego. Musiał jedynie wyciągnąć rękę, zaczerpnąć, a potem uderzyć. Ale jego wrogowie zniknęli, zanim zdołał uformować mordercze zakłęcie. Potem natarła na niego masa uzbrojonych mężczyzn.

Machnął ręką, a nad ich głowami utworzyła się biała chmura, która sypnęła śmiertelnościami gradem, przerywając żołnierskie szyki. Mężczyźni krzyczeli i jęczeli z powodu pogruchoconych czaszek i połamanych kończyn.

Gundara kopał go małutkimi, ostrymi obcasami.

- Biegnij, głupcze! - wrzeszczał. - Szybko, zanim wyślą ich więcej.

Safar pobiegł.

Skakał w górę pustoszejących trybun jak kozica, dopóki nie dotarł do najwyższego muru. Po drugiej stronie, nie dalej niż sto jardów, znajdowała się szeroka ulica wiodąca ku głównej bramie. Tuż za nią czekała wolność. Safar skoczył i upadł, uderzywszy o ziemię, a potem pomknął ku niestrzeżonej bramie.

A później znikł.

Pomimo chaosu, który pozostawił za sobą Safar, Kalasariz przed końcem dnia zaprowadził porządek. Zamknął miasto po ostatniej modlitwie, wyznaczając godzinę policyjną, trwającą od zmierzchu do świtu. Wszyscy buntownicy zostali zabici na miejscu. Potem wysłał ludzi, którzy mieli pojmać każdego, kto mógł zagrozić tronowi, zanim Didima będzie miał szansę przywrócić godność swemu urzędowi. Pojmano jedynie jednego z siedmiu towarzyszy Safara. Pozostali, włącznie z Olarim, wydawali się zapaść pod ziemię. Kalasariz nie kłopotał się zaginionymi młodzieńcami. Zawsze postrzegał ich raczej jako symbol, którego można było użyć, niż prawdziwe zagrożenie.

Kiedyś uważał za symbol także Safara Timurę. Ale teraz nie był już tego taki pewien. Z pewnością Umurhan postrzegał Timurę jako zagrożenie, domagając się, by natychmiast wysłano ludzi, którzy mieli pojmać chłopca. Przez prawie godzinę bełkotał o torturach, które zada młodzieńcowi za przestępstwa, które ten popełnił. Kalasariz dostrzegał w miotaniu się najwyższego kapłana nagi strach, który mógł być wywołany jedynie mocami magicznymi pokazanymi na arenie przez chłopaka. Dowódca szpiegów nie był ekspertem w tym zakresie, ale kiedy dodał strach Umurhana i przyjaźń Timury z Irajem Protarusem, pomyślał, że najlepiej będzie przedsięwziąć dodatkowe środki ostrożności.

Pierwsze zabezpieczenie polegało na wysłaniu za Timurą grupy łowców, którzy zostali starannie dobrani pod względem lojalności. Potajemnie rozkazał im, by zabili Safara natychmiast po ujrzeniu go. Powiedziano im także, że jeśli Timura zdoła przez dłuższy czas wyprowadzać ich w pole, mają porzucić zadanie i wracać do domu. W żadnym wypadku nie wolno było pojmać go i sprowadzić do miasta, jak tego żądał król Didima.

Wydarzenie na arenie skłoniło Kalasariza do powzięcia jeszcze jednego, znaczącego środka ostrożności. Umurhan nieświadomie wyjawiał, że jego moc czarodziejska była blefem. W przeciwnym razie użyłby magii do zniszczenia Safara - albo przynajmniej do zablokowania jego zaklęcia. Dla Kalasariza było jasne, że jeśli Walaria kiedykolwiek zostanie zaatakowana, ze strony najwyższego kapłana otrzyma niewielką pomoc. Była to wielka dziura w obronie miasta, przepaść, której nie można było wypełnić.

Tak więc dowódca szpiegów napisał wiadomość do Iraja Protarusa. Ubolewał w niej nad działaniami Didimy i Umurhana. Dał także subtelnie do zrozumienia, że jeśli nadejdzie kiedyś dzień, gdy rotarus będzie życzył sobie jego pomocy, Kalasariz zostanie jego pokornym sługą, który z najwyższą przyjemnością mu się podporządkuje. Do wiadomości załączył dokumenty, które dotąd ukrywał: wyrok śmierci na Safara oraz swój list protestacyjny.

Wiadomość została wysłana tego samego dnia, w którym ludzie Kalasariza wrócili ze smutną wiadomością, że Safara Timury nie dało się nigdzie odnaleźć.

Nerisa kucała w kącie celi. Wokół czoła miała owinięty przesiąknięty krwią bandaż. Była osłabiona głodem i utratą krwi. Nie miała pojęcia, jak długo się znajdowała w celi, ani jak długo w niej pozostanie, dopóki po nią nie przyjdą.

Pomimo osłabienia pozostała uparcie niezłomna. Trzymała się mocno ostatecznej przekornej myśli więźnia - mogą cię zabić, ale nie mogą złamać.

Uratowała Safara. To była wystarczająca satysfakcja. Nikt nie mógł cofnąć biegu zdarzeń. Jeśli ma zostać poświęcona dla miłości, to niech tak będzie. Safar będzie dalej żył i nadal miał kamiennego bożka oraz książkę Aspera - którą dała Gundarze - by zachować ją w pamięci. Była pewna, że czeka go wspaniała przyszłość. Nieważne, co stanie się z Nerisą, bo na zawsze pozostanie już częścią tej przyszłości.

Nerisa miała jedną prawdziwą nadzieję. Gdy została schwytana, rzucono jej pozbawione świadomości ciało do aresztu, wraz z innymi złapanymi podczas zamieszek na arenie. Kiedy odzyskała przytomność, miała na tyle jasny umysł, by połknąć złote monety, które podarował jej Safar. Jeśli będzie miała szansę, wykorzysta je do odzyskania wolności. W najgorszym przypadku przekupi kata, by uczynił jej śmierć szybką i bezbolesną.

Niewielka to była pociecha, ale jednak.

Obudził ją szcęk kluczy i ciężkie kroki. Zobaczyła, jak strażnik otwiera drzwi celi. Za jego plecami stał jeszcze jeden mężczyzna.

- Och, to ty, Zemanie - zachrypiała. - Co tu robisz? Zabrakło much do dręczenia?

Zeman rozciągnął usta w ohydny uśmiech.

- Powinnaś być wobec mnie grzeczniejsza - odparł, wymachując jakimś urzędowym pismem. - Jestem twoim nowym właścicielem.

Nerisa splunęła i rzekła:

- Nie należę do nikogo.

Zeman wszedł do celi.

- Teraz już tak. Nie masz pojęcia, jak daleko myślące i łagodne jest prawo Walarii, jeśli chodzi o niepełnoletnie dziecko. Właśnie wpłaciłem niewielką kwotę, by wyratować cię z tej celi. W zamian za moją hojność zostałaś mi podarowana jako niewolnica.

Nerisa była wstrząśnięta. Strach, z którym walczyła, odkąd ją pojmano, teraz podniósł się, chwytając jej serce lodowatymi palcami.

Złapała się ostatniej nadziei.

- Twój dziadek nigdy na to nie pozwoli - powiedziała. - Katal nie wierzy w niewolnictwo.

Zeman zachichotał.

- Nie szukaj pomocy u mojego dziadka - odparł. A potem zrobił żalobną minę. - Biedny staruszek. Wiesz, on umarł. Zjadł coś, co mu zaszkodziło.

Nerisa zdrętwiała. Nie miała wątpliwości, że Zeman otruił staruszka. Łzy napłynęły do jej oczu. Gwałtownie potrząsnęła ranną głową, tłumiąc łzy bólem. Będzie przeklęta, jeśli da Zemanowi tę satysfakcję.

- Patrzysz na jedyne go właściciela Foolsmire - oznajmił. - A także na swojego jedyne go właściciela.

- Czego ode mnie chcesz? - warknęła Nerisa. - Wiesz, że przy najbliższej okazji ucieknę, albo zabiję cię w czasie snu.

- Och, nie zamierzam być twoim właścicielem na długo - odrzekł Zeman. - Już dogadałem się z kupcem, który chętnie przejmie cię z moich rąk. Musisz wiedzieć, że czeka na mnie niezły zysk. Chociaż nie taki, jak twojego kupca. Najwyraźniej są niektórzy mężczyźni - bogacze, jak mi mówiono - którzy mają apetyt na takie małe kurewki jak ty.

Zeman przybrał kolejny obleśny uśmiech.

- A po tym, jak ci wyrosną piersi i nie będziesz się podobać swojemu nowemu właścicielowi, z pewnością zadba o twoją przyszłość. - Zeman zachichotał. - Już mi to obiecał.

Nerisa wrzasnęła z wściekłością i rzuciła się na Zemana, wyciągając paznokcie jak kot, by mu wydłubać oczy.

Strażnik dał krok do przodu i uderzył ją pałką. Dziewczynka padła nieprzytomna na podłogę.

Strażnik podniósł ponownie ciężki kij, chcąc znów uderzyć, ale Zeman zatrzymał go, mówiąc:

- Nie psujmy towaru.

Safar skulił się w wątlm cieniu pustynnego kaktusa. Zarzucił na głowę szatę, chroniąc się przed bezlitosnym słońcem. Gorący wiatr wiał ponad opustoszałym krajobrazem, ochoczo wypijając z jego ciała każdą kroplę wilgoci. Jego język zamienił się w skołowaciały, szorstki mięsień, usta popękały i ściągnęły się, obnażając zęby. Drapał twardą ziemię wyszczerbionym kawałkiem skały, próbując wykopać na tyle głęboką dziurę, by dotrzeć do wilgoci w korzeniach kaktusa. Od godzin się nad tym trudził, ale był tak osłabiony, że ledwo udało mu się wydrążyć niewielkie zagłębienie.

Słońce dopiero co dosięgło zenitu. Najgorętsze i najdłuższe godziny miały dopiero nadejść. Nieprawdopodobieństwem było dotrwanie nocy. Ale kontynuował kopanie, nie doświadczając ani nadziei, ani rozpacz. Był jak zwierzątko bez krzty myśli w głowie. Nie było w nim nic prócz instynktu przeżycia.

Kilka dni wcześniej pozostało mu jeszcze tyle sił, by zaznać radości, kiedy ujrzał, że ścigający go mężczyźni zawracają. Łowcy z Walarii przez tydzień podążali za nim niczym psy, zmuszając go do

ucieczki coraz głębiej w pustynię. Z pomocą Gundary rzucał na nich zaklęcia zmylenia, by strząsnąć ich ze swoich pleców. Chociaż udało mu się kilkakrotnie ich oszukać, łowcy wciąż odnajdywali jego ślad. Gundara powiedział, że to mogło oznaczać tylko jedno: mieli do pomocy własną magię.

Łowcy zarzucili pościg, kiedy zabrakło im wody. Safarowi, który nie posiadał takiego luksusu, skończyła się ona dawno temu. Zaklęcia różdkarskie okazały się bezużyteczne - nigdy nie miał czasu zatrzymać się i ponownie w nią zaopatrzyć. W końcu został pozbawiony nawet towarzystwa i pomocy Gundary, który osłabł pod wpływem siły działania pustyni i musiał schować się w kamiennym żółwiu. Potem Safar zatrzymywał się, kiedy mógł, by zabić jaszczurkę lub węża i wyssać z nich wilgoć. Była to bitwa skazana na przegranie. Słońce i wiatr wypijały z niego życie tak szybko, jak on osuszał te biedne stworzenia.

Safar jeszcze raz skrobął suche wgłębienie. Potem opuściły go wszystkie siły i wypuścił skałę z dłoni. Padł na ziemię, z trudem łapiąc oddech.

Wydawało się, że nawet oddychanie wymaga zbyt wielkiego wysiłku. Sądził, że po prostu nastąpi koniec. Ale ku jego obrzydzeniu jego klatka piersiowa uparcie podnosiła się i opadała, wciągając powietrze wypełnione ostrymi cząsteczkami pyłu. Potem pomyślał, że wszystko musi się prędzej czy później skończyć. Będzie tam leżał, dopóki nie nadejdzie czas. Westchnął i zamknął oczy.

Safar nagle usłyszał muzykę - odległy dźwięk piszczałek i dzwonek. Osądził, że tak to jest, kiedy się umiera.

Dźwięk rósł, a jego wypełniła nikła ciekawość, by spojrzeć w twarz tej dziwnej, rozbrzmiewającej muzyką Śmierci.

Otworzył oczy i nie rozczarował się. Ku niemu mknęła przez pustynię wielka, nisko lecąca istota. Wyglądała jak olbrzymia głowa, mieniąca się wszystkimi cudownymi kolorami tęczy. Nie miała skrzydeł ani ciała, ale Safar w oszołomieniu uznał to za dość naturalne. Istota przyfrunęła bliżej i teraz mógł rozróżnić rysy jej twarzy.

Miał na tyle sił, by poczuć zdumienie. „Nie wiedziałem, że Śmierć jest kobietą i to tak piękną - olbrzymką, której wrażliwe rysy twarzy wymalowano wspaniałymi kolorami... Wygląda jak wytatuowana królowa dzikusów”.

Muzyka wydawała się dobiegać z bujnych ust, jak gdyby jej struny głosowe zbudowane były z cudownych piszczałek, dzwonek i strun harfy.

Kobieca głowa unosiła się nad nim. Safar uśmiechnął się, myśląc, że Śmierć w końcu go zabierze. Zamknął oczy i czekał.

Wtem muzyka ucichła, a on usłyszał, jak ktoś mówi. Był to kobiecy głos, ale cichszy, niż spodziewał się po olbrzymce.

- Litościwa Felakio - rzekła kobieta - oszczędź mi tego widoku. To tylko młodzik, a na dodatek tak przystojny.

- Przystojny czy nie, sępom to bez różnicy - dobiegł go kolejny głos, tym razem głęboki baryton. - Nie żyje, Methydio. Chodź! Targ w Deming już za trzy tygodnie, a my mamy przed sobą jeszcze spory szmat drogi.

Safar był rozczarowany. Śmierć nie powinna się tak zachowywać. Czy zamierzała porzucić tu jego ciało? Opuścić jego duszę na tym pustkowiu?

Rozciągnął usta i próbował przemówić, ale zdołał jedynie zachrypieć.

- Czekaj! - powiedziała kobieta. - O słodka, litościwa Felakio, on żyje.

„Nie, nie żyję - Safar próbował powiedzieć. - Do cholery, jestem trupem! Nie zostawiaj mnie

tutaj!”

A potem usłyszał głośny świst uciekającego powietrza i poczuł, jak wielka postać sływa na niego.

Safar uśmiechnął się - Śmierć nadchodziła. Pragnął znaleźć się w jej objęciach.

Część trzecia

CZARODZIEJ WICHRÓW

Król Demonów

- Czy dostrzegasz coś, Luka?

- Nie, Wasza Wysokość. Nic nie widzę.

Manacia zmarszczył brwi, a jego czoło zorały głębokie zmarszczki niezadowolenia.

- Jesteś pewien, Luka? - zapytał swego najstarszego syna, następcę tronu, wskazując długim szponem punkt na horyzoncie. - Czy tam coś się nie porusza?

Książę Luka ocienił żółte oczy łapą, wypatrując ponad Zakazaną Pustynią. Manacia i jego dwór rozbili obóz na skraju szerniałego pustkowia. Król siedział na swym podróżnym tronie, który ustawiono na grubych dywanach i ocieniono białym baldachimem wydymającym się na pustynnym wietrze. Za jego plecami widniał główny obóz - miasteczko krzykliwych namiotów mieszczące jego dwór.

Po długim, uporczywym wpatrywaniu się książę westchnął i potrząsnął kanciatą głową, a tuzin ciężkich złotych łańcuchów zagrzecotał o jego zbroję.

- Nie sądzę, Wasza Wysokość - odparł. Potem dodał kojąco: - Ale jest jeszcze wcześniej. Może jesteś głodny lub spragniony, panie? Gdybyś wrócił do swojego namiotu, przysłałbym tam sługi. Zapewne sprawi ci przyjemność mała drzemka. Wyglądasz tak wątłe, panie, że łamie mi to serce. Powiadomię cię, gdy wróci lord Fari.

Manacia pokazał parę rzędów kłów w szerokim, pełnym ojcowskiej dumy uśmiechu.

- Jesteś dobrym, lojalnym synem, Luka. Żaden król nie ma lepszego księcia. Ale nie postąpiłbym właściwie. Królowi nie wolno bać się cierpień i poświęceń, na które wystawieni są jego poddani.

Książę Luka w geście podziwu położył łapę na uzbrojonej piersi.

- Panie, jesteś przykładem dla nas wszystkich - rzekł. - Będę cię czcił i uczył się u twoich stóp, modląc się, bym miał choć połowę odwagi i mądrości Waszej Wysokości w tym jakże nieszczęśliwym dniu, gdy bogowie zadecydują, że muszę zastąpić cię na tronie.

Jednak książę, mówiąc to, cały czas myślał: „Mam nadzieję, że zakrztusisz się kością, ty obrzydliwy stary potworze. Mam nadzieję, że słońce wypali ci mózg, a hieny będą ucztować na twojej wątrobie”.

Manacia zaśmiał się czule.

- I pomyśleć, że byłem o włos od skręcenia ci karku po narodzinach - powiedział. - Myślałem, że wyrośniesz na spiskującego dzikusa podobnego do swojej matki. A zamiast tego stałeś się najbardziej cywilizowanym i wiernym poddanym w moim królestwie. Szkoda, że nie mogłem pozwolić twojej matce dożyć dnia, w którym mogłaby ujrzeć, jakim jesteś wspaniałym synem.

Książę Luka skłonił się nisko, pokornie dziękując ojcu za jego łaskawe słowa. „Ty stary głupcze. Nie byłbyś tak z siebie zadowolony, gdybyś wiedział, że matka na łożu śmierci zmusiła mnie, bym przysiągł ją pomścić”.

Manacia machnął ręką. Podpełził do niego niewolnik ze szklanicą wina. Król sączył napój,

zatopiony we wspomnieniach.

- Patrząc na ciebie, mój synu - rzekł - nikt nie odgadłby, że twoja matka pochodziła z barbarzyńskiego rodu. Jesteś moją silną i pewną prawą ręką. Pamiętam, że kiedy po raz pierwszy wziąłem ją do łóża, próbowała dźgnąć mnie nożem ukrytym w gorsecie.

Uśmiechnął się do wspomnienia.

- Twoja matka była, co zrozumiałe, wyczerpana nerwowo - tłumaczył - ponieważ dopiero co zabiłem jej ojca i braci. Musiałem ją przywiązać do łóża, zanim jej dosiadłem.

- Wasza Wysokość raczył mnie już wielokrotnie opowieścią o tym malowniczym momencie - odparł książę Luka - ale mnie to nigdy nie nuży.

Król zaśmiał się i klepnął w kolano.

- Mówiłem ci już, co powiedziała twoja matka, kiedy już sobie użyłem?

- Tak, Wasza Wysokość - odpowiedział książę. - Ale to tak pyszne zdarzenie, że z przyjemnością wysłucham go jeszcze raz.

- Powiedziała, że ją zgwałciłem! - zachichotał król. - Możesz to sobie wyobrazić? Ja! Ja ją zgwałciłem!

- Powinna podziękować za zaszczylenie jej królewskim nasieniem, Wasza Wysokość - odparł książę. - Ale była młoda i pochodziła z dzikiego plemienia. Matka nie wiedziała, co mówi.

Król niecierpliwił się, by dokończyć swą opowieść.

- Tak, tak - powiedział. - Ale nie w tym rzecz. Już wiemy, że była dzikuską. Tak przecież powiedziałem, prawda? Sęk w tym, że oskarżyła mnie o gwałt. A wiesz, co jej odparłem?

- Nie, Wasza Wysokość. Co takiego?

- Odparłem: „To nie był gwałt, a jedynie... - uważaj! - ...napaść z użyciem przyjacielskiej broni”.

Manacia zaniósł się śmiechem ze swojego dowcipu. Książę zmusił się do wydania dźwięków świadczących o niezmiernym rozbawieniu, a potem zapytał:

- Nie powiedziałaś mi nigdy tylko jednej rzeczy, panie... co na to odpowiedziała matka?

Śmiech króla został ucięty w połowie.

- Co to ma znaczyć? - ryknął, a jego zieloną skórę poznały cętki oznaczające rosnący gniew.

- Zapytałem, co matka odpowiedziała po twoim wspaniałym żarcie na temat gwałtu, który był jedynie napaścią z użyciem przyjacielskiej broni?

- Nie ma znaczenia, co odpowiedziała - warknął król. - To już nie należy do żartu. Żartem są jedynie moje słowa o przyjacielskiej broni, a nie to, co ona potem powiedziała. Kogo obchodzi, co myślała ta demoniczna suka? Ważne jest jedynie, co ma do powiedzenia król. Całe historie poświęcone są jedynie uwagom królów. W moim przypadku godne uwagi jest także moje poczucie humoru. Anegdota z twoją matką jest jedynie jeszcze jednym przykładem, niezwykle to podkreślającym.

- To prawda, panie - odparł książę. - Jakim głupcem jestem, że od razu tego nie zauważyłem.

Królewski nastrój zmienił się z dobrego w podły. Pomrukując przekleństwa, władca powrócił do obserwacji, przeczesując wzrokiem posępny horyzont w poszukiwaniu jakiegoś znaku od wielkiego wezyra.

Zdaniem króla - a często mawiał, że tylko ono się liczy - jedynie niewielu w pełni doceniało jego ciężką pracę w ostatnich latach. Nic nie przychodziło z łatwością i każdy podawany mu półmisek zwycięstwa zawsze wydawał się skrywać obrzydliwego małego robaczka, czającego się pod najsmakowitszym kąskiem.

Wszystkie krainy demonów znalazły się całkowicie pod jego kontrolą. Teraz jego królestwo nosiło nazwę Ghazbanu, po starożytnym imperatorze, który po raz pierwszy scalił demoniczne ziemie. Zanzair obecnie był stolicą najpotężniejszego królestwa od czasów Alisarriana, ludzkiego zdobywcy, który położył kres długiej i szacownej dynastii Ghazbana.

Gdy tylko festyn z okazji nadania nazwy imperium zakończył się, doskwierające kłopoty przyćmiły osiągnięcia Manacii. Najpierw nastąpiła susza, która nadal trzymała królestwo w swoim uścisku, zamieniając zbiory w spopieliałe łuski. Potem nadeszły roje szarańczy - wielkie obłoki, które najpierw zaczerniły niebo, a następnie ziemię, gdy owady opadły na nią, pożerając wszystko, co zdołało oprzeć się suszy.

W całym kraju tajemniczo wybuchały zarazy, siejąc spustoszenia wśród populacji i zamieniając wielkie miasta w miściny, a miasteczka w opustoszałe wsie. Napływały raporty o przerażających widmach podnoszących się na cmentarzach, pojawiających się nagle olbrzymach siejących postrach na odległych skrzyżowaniach dróg, dzinach czających się w zasadzkach, by pożreć niczego nie spodziewających się podróżnych.

Manacia i jego czarodzieje pracowali w szaleńczym tempie, by powstrzymać te plagi. Skonstruowano wielkie maszyny do zaklęć, które później wysłano do dręczonych katastrofami rejonów. Powalono całe zagajniki drzew cypryjskich, by wyprodukować kadzidło do spalania w tych maszynach. Dniami i nocami piece produkowały ogromne obłoki pachnącego, leczniczego dymu. Koszty tych działań sprawiały, że niekiedy król z nostalgią wspominał prostsze czasy, gdy jego królestwo było mniejsze i mniej kosztowne w utrzymaniu.

Pomimo wysiłków Manacii Ghazban wciąż nawiedzały kłopoty. Jego poddani stawali się coraz bardziej niespokojni i niesforni. Szeptano, że bogowie karzą cały rodzaj demonów za to, że pozwolili na władanie sobą tak chciwemu cesarzowi. Krążyła pogłoska o eksperymentach z klątwą Zakazanej Pustyni, podsycając niezadowolenie i religijne obawy.

W przeszłości Manacia radził sobie z takimi nastrojami, natychmiast najeżdżając sąsiednie królestwo. Nie tylko pomagało to w rozładowaniu napięć w kraju, ale także pozwalało oskarżyć o wszystkie nieszczęścia braterskiego monarchę, a potem ukarać go za jego grzechy. Ale to już nie było możliwe w tym nowym, wspaniałym świecie, którym był Ghazban, gdzie poddani mieli na celowniku swoich podejrzeń jedynie Manacię.

Na początku pragnienie Manacii, by zapanować nad całym Esmirem jako król królów, było jedynie jego prywatnym marzeniem. Ale teraz stało się koniecznością. Musiał rzucić wyzwanie swoim poddanym, aby skupili umysły na wielkim niebezpieczeństwie. Historyczny wróg - bezbożni ludzie - mieli ponieść karę za swoje grzechy.

Aby to osiągnąć, musiał rozwiązać zagadkę klątwy, która utrzymywała ludzi i demonów z dala od siebie. Gdy uznał, że znalazł odpowiedź, natychmiast wysłał przez Zakazaną Pustynię wodza bandytów, Sarna, by wysledził trasę inwazji. Jednak Sarn nigdy nie powrócił. Król błędnie obciążył odpowiedzialnością za niepowodzenie klątwę i spędził każdą wolną chwilę, szukając rozwiązania zagadki. Wiele razy rozkładał swoje początkowe zaklęcie na części składowe, a potem ponownie je formował.

Żaden z jego wysiłków nie przyniósł rezultatu. Zupełnie jakby wrócił do swoich pierwszych dni niepowodzeń, kiedy to zmuszono do zagłębienia się w Zakazaną Pustynię setki niewolników i złoczyńców, by umarli okrutną śmiercią na oczach żołnierzy, którzy ich tam zapędzili. Króla tak rozpraszały wewnętrzne niepokoje, że upłynęło wiele czasu, nim powrócił do zaklęcia, którego użył,

by ochronić Sarna i jego wyjętych spod prawa towarzyszy. Dodał kilka ulepszeń i spróbował ponownie.

Już pierwsza próba została uwieńczona sukcesem. Kryminalista wykorzystany do eksperymentu, nie tylko przeżył, ale zdołał także dotrzeć do najbardziej odległego wzgórza. Żołnierze rozwijali linę, a potem dowiązywali dodatkowe, aż prawie znikł im z oczu i trzeba go było ściągnąć z powrotem, aby nie uciekł.

Po doświadczeniu z Sarnem Manacia nie dowierzał swojemu sukcesowi. Wezwał wielkiego wezyra, lorda Farięgo, i poprosił o radę.

- Musimy znaleźć ochotnika, panie - powiedział Fari. - Kogoś lojalnego, bez zarzutu.

- Dokładnie tak sobie pomyślałem - odparł Manacia.

Stary demon wykorzystał swój sukces.

- Może księżę Luka? - zapytał. - Mógłby dodać tak znaczące osiągnięcie do swoich wyczynów, tym samym zapewniając sobie podziw twych poddanych w chwili, gdy pewnego dnia obejmie tron.

Wielki wezyr nienawidził księcia. Wydawało się, że nadeszła wspaniała okazja, by się go pozbyć - oczywiście, jeśli zakłęcie króla nie działało.

Manacia, który trzymał szpon na pulsie życia dworu, wiedział, co ma na myśli Fari.

- Co za wspaniała myśl - powiedział ochoczo. Potem zmarszczył brwi. - Niestety, to niemożliwe. Akurat teraz musi być u mojego boku.

Zaszczękał szponami o okucia swojego tronu, udając, że rozważa dalej. Potem uśmiechnął się.

- Mam! - rzekł. - I muszę podziękować ci za pomysł, Fari. Ponieważ sprawił on, że skupiłem się na pytaniu, kim są moi najbardziej lojalni poddani, a w tej samej chwili odpowiedź nadeszła sama. Prócz własnego syna, któż mógłby być bardziej lojalny od ciebie, drogi przyjacielu?

Wielki wezyr był przerażony.

- Ja, Wasza Wysokość? Chcesz, bym przemierzył Zakazaną Pustynię? - Głos mu drżał. - Bardzo chciałbym mieć honor wypełnienia tego polecenia, Wasza Wysokość, ale obawiam się, że jestem zbyt stary.

- W tym wypadku - odparł Manacia - zaawansowany wiek czyni cię jeszcze lepszym kandydatem. Zaczniemy od tego, że masz w zapasie wiele lat doświadczenia jako czarodziej. A jeśli jakimś cudem eksperyment nie powiedzie się, to przecież twoja naturalna śmierć nie jest w końcu tak odległa. Oczywiście, będzie to tragedia, ale nie aż tak wielka, jak w przypadku skrócenia długiego życia młodszego czarodzieja.

Fari zdał sobie sprawę, że kłótnia z królem nie ma sensu. Oczywiście Manacia dokonał wyboru, jeszcze zanim go do siebie wezwał. Zasięgnięcie porady było jedynie wybiegiem.

Wielki wezyr przystał na rozkazy króla, próbując robić dobrą minę. Przeprowadzono przygotowania, wydano szczegółowe polecenia i w ciągu niecałego miesiąca Fari i jego niewielka ekspedycja wyruszyła pokonać Zakazaną Pustynię. Mieli prostsze rozkazy niż Sarn. Gdy tylko dotrą do ziem ludzi, mają natychmiast zawrócić i zameldować królowi o swoim sukcesie.

Demoniczni naukowcy oszacowali, że przebycie pustyni i podróż powrotna nie powinna zająć więcej niż osiem tygodni. Gdy zaczął się zbliżać czas powrotu Farięgo, król Manacia stał się tak niespokojny, że rozkazał, by cały dwór przeniósł się z Zanzairu na skraj Zakazanej Pustyni.

Oto więc Manacia siedział tutaj, przez cały dzień obgryzając z nerwów szpony i czekając na swojego wielkiego wezyra. Osem tygodni zamieniło się w dziewięć. Dziewięć w dziesięć. Król był już tak zniecierpliwiony, że wstawał przed świtaniem i do późnej nocy krążył przed swym

podróżnym tronem.

Prawie porzucił wszelką nadzieję, kiedy lord Fari w końcu się pojawił.

Zapadał zmierzch i słońce właśnie znikало za horyzontem. Najbardziej wysunięty na zachód brzeg pustyni zamienił się w szeroką czerwoną smugę, która przyciągała wzrok króla, niczym płomień wabiący ćmę.

Skoncentrował się całkowicie na tej krawędzi, jednocześnie szepcząc modlitwy i przekleństwa pod adresem bogów i diabłów. Wtem jego serce zabiło mocno o żebra. Na horyzoncie pojawiły się ciemne sylwetki. Poruszały się, powiększając w miarę zbliżania. Bojąc się zakłócić szczęście, król nie powiedział nic, oczekując, aż zwiadowcy wykrzyczą wieści.

Króla dobiegł wrzask, ale wciąż nic nie mówił. Pozostał w bezruchu i nie ujawniał nic z szalejącego w nim chaosu.

Potem zapadła noc, a daleko na pustyni obudził się do życia szereg pochodni kołyszących się w ciemnościach jak świetliki.

Teraz nie było już wątpliwości, że to Fari.

Zagadka Zakazanej Pustyni została rozwiązana.

Książę Luka wykrzykiwał gratulacje, klepiąc ojca po plecach - i żalując, że w dłoni nie ma noża. Wokół króla zgromadzili się oficerowie i dworzanie, wychwalając jego mądrość i wytrwałość.

Manacia nie był poruszony. Jego podniecenie szybko wygasło. Zbyt długo czekał na radość, by odnaleźć w niej spokój.

Gdy lord Fari wraz z osłabioną, wymęczoną ekspedycją przybył na miejsce, król już zebrał generałów w namiocie dowódczym.

Książę Luka cieszył się, widząc, jak starym demonem wstrząsa zaskoczenie ze skromnego przyjęcia. Podróż ogromnie dała się lordowi Fariemu we znaki.

Demon kulił się w siodle. Bolała go każda kość. Najpierw wpatrywał się w Luke, a potem w światła miasta namiotów.

- Gdzie król? - zapytał głosem drżącym ze starości i osłabienia. Gardził sobą za to, że okazał przed Luką słabość, ale nic na nią nie mógł poradzić.

- Ojciec poprosił mnie, by przekazać jego przeprosiny - odpowiedział książę. - Powiedział, że zrozumiesz, dlaczego nie może być obecny przy składaniu ci gratulacji. Widzisz, jest właśnie zajęty planowaniem inwazji na ziemię ludzi.

Chmurostatek

Przez długi czas Safar unosił się w balsamicznym morzu. Pod nim rozpościerały się tajemne głębiny, gdzie koszmary niczym morskie potwory ściagały jego sny.

Śnił o Kyranii i jej owocowych wzgórzach. Śnił o obłokach topiących się w piecu Boga Słońca i kąpiących kolorami na ziemię. Śnił o glinie, która pod jego dotykiem natychmiast przybierała fantastyczne kształty. Śnił o pannach kąpiących się w jeziorze, pobłogosławionych figurami tak zwodniczymi jak Astarias, oraz twarzami o czarujących uśmiechach i gwieździstych oczach Nerisy.

Ale za każdym razem, gdy sen budził się do życia, zostawał pożarty przez nadciągające koszmary. Ujrzał, jak wulkan spada na lud Hadinu. Zobaczył kawalerię demonów napadającą karawanę. Widział, jak Tulaz unosi swój miecz. Dostrzegł Kalasariza zagląającego przez kratę do lochu, Katala umierającego na rękach Zemana oraz żołnierzy Didimy mordujących Nerisę.

Śniła mu się jaskinia Alisarriana. Kucnął u boku Iraja, obserwując dym, który uformował się w uwodzicielskie wargi, a potem zobaczył, jak się poruszają. Wyrocznia przemówiła:

- Dwóch obierze drogą, którą dwóch już wcześniej szło. Bracia duchem, lecz nie bracia z łona. Rozdzieleni ciałem i umysłem, lecz bliźnięta w przeznaczeniu. Jednak uważajcie, bracia, czego szukacie. Uważajcie, którą ścieżkę wybieracie, bo ta opowieść nie skończy się, póki nie dotrzecie do Krainy Ognia.

W końcu intensywność jego snów zbladła, a Safar zaczął dostrzegać świat wokół niego. Wydawał się być tak samo tajemniczy jak ocean snów.

Wciąż kołysało nim, jakby unosił się na morzu. Tylko, że teraz leżał na wyłożonej poduszkami tratwie. Zamiast syczących fal usłyszał miękkie brzęczenie wiatru, świst i śpiew podmuchów trącających napięte liny. Usłyszał rytmiczne pompowanie miechów i niski pomruk pieca.

Silne, delikatne ręce uniosły mu głowę. Łyżka dotknęła jego ust. Rozchylił wargi i połknął rosół z mięsem. Łyżka wlewała do jego ust więcej płynu, a on jadł, dopóki nie usłyszał głuchego skrobania o drewno sygnalizującego pustą miskę. Odpłynął ponownie w sen.

Następnym razem, kiedy znów świadom był rzeczywistości, usłyszał dziwne głosy mówiące jeszcze dziwniejsze rzeczy, na przykład: „Napręż ten karabińczyk”, albo: „Powiększ ujście do cholery! Powiększ ujście”, a także: „Kto pilnuje palnika? Prawie wygasł!”

Pewnego razu usłyszał, jak kobieta, którą wziął za Śmierć, rzuca niezrozumiałe zaklęcie:

*Przybądź, Matko Wiatrów.
Unieś nas dłońmi
Pobłogosławionymi ciepłym słońcem.
Wznieśliśmy się wysoko.
Lecieliśmy wspaniale.
Weź nas w ramiona, Matko Wiatrów.
A kiedy nadejdzie kres podróży,*

Safar zastanawiał się nad celem zaklęcia. Gdy się tak trudził, zapadł w sen.

Mijał czas wypełniony żeglowaniem pozbawionym snów. Wtem musnął go prąd zimnego powietrza i Safar otworzył oczy.

Oślepił go blask słoneczny, a potem obraz nabrał ostrości.

Leżał na twardej powierzchni, na dnie fantastycznego kanionu o wielokolorowych, oślepiających ścianach, które zakrzywiały się do środka, aż przestrzeń między nimi miała zaledwie parę stóp. Safar przez szczelinę widział niebo o tak intensywnym błękitcie, jak wysokie sklepienie ponad Panną Młodą i Sześcioma Druhnami.

Wtem uformowała się mglista myśl: „To nie klif. Jest zbyt gładki”. A potem pomyślał, że nigdy nie widział łupku w takim kolorze i tak jaskrawego! Zupełnie, jakby go pomalowano. Potem zdał sobie sprawę, że kanion się porusza, jak gdyby ściany zostały wykonane z żywej skóry.

„Może połknął mnie olbrzym - pomyślał Safar - a ja patrzę na jego wnętrzości”. Ale ten wniosek nie miał sensu, jako że nie było w nim miejsca na niebo.

„Muszę wciąż śnić”. Wtem poczuł, że za chwilę dostanie skurczu w mięśniu nogi i wyciągnął kończynę, a ból zelżał.

Doszedł więc do wniosku, że skoro pojawił się ból, to znaczy, że nie śni. „Ale gdzie ja się właściwie obudziłem?” Rozważył tę myśl. Wtem zdał sobie sprawę, że leci - lub przynajmniej leży na czymś, co leci. Może obudził się, ale wciąż miał wizje. W jednej z nich siedział na potężnym orle, który leciał tam, gdzie wiodła go ta wizja.

„Niedobrze. Gdzie są skrzydła? Gdybym dosiadał orła, powinny gdzieś być...”

Spróbował usiąść i rozpoznać otoczenie.

Ktoś zawołał. Ogarnęła go słabość i opadł na plecy. Czując zawrót głowy, zamknął oczy.

Zbliżyły się do niego stopy odziane w pantofle. Ogarnął go obłok perfum i ktoś ukląkł obok. Safar otworzył oczy i zobaczył, że pochyla się nad nim piękna kobieta. Miała migdałowe oczy i długie, srebrne włosy poznaczone pasmami czerni. Była to ta sama kobieca twarz, która unosiła się na pustyni. Wierzył, że jest Śmiercią, która przybyła, by go zabrać. Ale ta twarz miała normalną wielkość i wcale nie była pomalowana dzikimi kolorami. Miała białą skórę, tak gładką jak najkosztowniejszy pergamin, z piękną, prawie niewidoczną siateczką zmarszczek.

- Już raz tak zrobiłem - powiedział jej Safar. - To znaczy, obudziłem się z martwych, a piękna kobieta pochylała się nade mną. - Miał na myśli Astarias.

Kobieta roześmiała się. To był zmysłowy, głęboki śmiech. Śmiech, który zdradzał apetyt.

Zamiast odpowiedzi, kobieta odwróciła głowę i zawołała do kogoś:

- Biner, ten młodzik budzi się tak ślicznie, jak śpi. Ma najpiękniejsze niebieskie oczy. I powinieneś usłyszeć te komplementy. Zacerwieniłam się po raz pierwszy od trzydziestu lat.

- Wystarczy nam gorącego powietrza, by nieść nas przez kolejne tysiąc stóp, Methydio - odparł Biner. Mówił znajomym barytonem. Zagrzmiały ciężkie kroki. - Ostatnim razem, kiedy się czerwieniłaś - powiedział - Pani Felakia była dziewczicą.

Safar wyciągnął szyję, by mu się przyjrzeć. Sądząc po głębi głosu oraz oczywistej wadze, którą niosły stopy, Safar spodziewał się ujrzeć wielkiego faceta.

No dobrze, Biner był ogromny. Miał masę olbrzyma, potężne ramiona i pośladki jak u olbrzyma, ale wszystkie terozmiary zostały zmiażdżone jakąś wrogą, potężną ręką, która ukształtowała ciało

mierzące zaledwie cztery stopy od podłogi. Miał dużą twarz, okoloną brodą, która kryła przesadnie szerokie usta wypełnione wielkimi zębami.

Biner dostrzegł, że Safar przypatruje się mu. Obnażył zęby w czymś, co miało być uspokajającym uśmiechem.

- Założę się, że ucieszyłeś się, że ja cię nie budziłem - powiedział. - Moja twarz wypląsa odbicie z lustra.

Safar biedził się, by znaleźć odpowiedź. Nie chciał być niegrzeczny, zgadzając się z tą jakże oczywistą prawdą.

Methydia poklepała go.

- Nie martw się o uczucia Binera - oznajmiła, odgadując, o czym myśli. - Choć jest tak brzydki, to czuje dumę z posiadania swej twarzy. Ludzie płacą pokaźne sumki, żeby ją ujrzeć. Prawie tyle samo, co za zobaczenie, jak podnosi wóz pełen żelaznych sztab, albo jak rozbija uderzeniem pięści stos cegieł.

Biner wiercił stopą o podłogę, zakłopotany.

- Oooch, to przecież nic takiego - rzekł. - Po prostu parę sztuczek, żeby zauroczyć tłum na targowisku. A poza tym Methydia najpierw zmiękcza ich swoim wiedźmiarskim interesem.

Methydia spojrzała na Safara z bezbrzeżną szczerością.

- Biner to świetny aktor - stwierdziła, dramatycznym gestem kładąc rękę na falującej piersi. - Moim zdaniem to najlepszy odtwórca głównych ról w całym Esmirze.

Safarowi kręciło się w głowie. Czuł się bardzo skołowany.

- Przepraszam, o pani - powiedział - ale czy będzie to nietaktem z mojej strony, jeśli odgadnę, że zostałem uratowany przez, och... sztukmistrzów?

Biner i Methydia zaśmiali się. Biner wyprostował się na całą swą wysokość, wykrzykując:

- Chodźcie, chodźcie tu wszyscy! Panie i panowie w kaaaaażdym wieku! Teraz przedstawię wam Latający Cyrk Cudów Methydii!

Methydia klaskała, wołając:

- Brawo! Brawo!

Safar zaniepokoił się. Podniósł się na łokciu.

- Przepraszam jeszcze raz - rzekł. - Wiem, że niegrzecznie jest tak wypytywać zbyt szczegółowo kogoś, kto właśnie mnie uratował, ale... co takiego mówiliście o lataniu?

Biner wydawał się być zdziwiony.

- No pewnie, że lecimy, przyjacielu - odparł. - Zgodnie z moją oceną, teraz jesteśmy na wysokości dwóch mil.

Safar rozkaszał się.

- Dwie mile ponad ziemią? W czym?

- Och, chłopcze, w chmurostatku. To chmurostatek!

Strach przewyciężył osłabienie. Safar, gramoląc się, stanął na nogi. Podeszedł do relingu i spojrzał w dół. Hen, daleko pod nim rozpościerała się powierzchnia szerokiej, żyznej doliny. Dostrzegł wielki, dwugarbny cień mknący polami. Poczul łód płynący w jego żyłach, gdy zdał sobie sprawę, iż najprawdopodobniej on sam jest częścią tego pędzącego cienia. Zawołał do swoich dobroczyńców:

- Mówiliście, że jak wysoko jesteśmy?

- Dwie mile, przyjacielu... tysiąc stóp mniej lub więcej - odparł Biner.

Safar najpierw zwymiotował. A potem zemdlał.

Gdy odzyskał świadomość, wokół niego zebrał się niewielki tłumek. Methydia siedziała obok, próbując wsaczyć brandy pomiędzy jego wargi. Wystarczyło jedno spojrzenie na tłumek, by Safar otworzył szeroko usta i wykaszlał całą strugę.

W środku znajdował się Biner. Po jego lewej stronie tkwił wysoki, wychudzony gość ubrany tylko w przepaskę na biodra i turban. Wokół jego szyi uwiesił się wielki wąż z męską twarzą. Tuż za jego plecami stał krępy mężczyzna z twardymi mięśniami akrobaty. Jego mała główka nie była na stałe przytwierdzona do ciała. Teraz trzymał ją w górze za włosy, by widzieć ponad głowami pozostałych, zaś spod niej wystawała długa, podobna do tuby szyja połączona z torsem. Nad całą grupą górowało coś, co musiało być smokiem. Był biały, z długim pyskiem i spiczastym ogonem, który, gdy Safar otworzył oczy, zawinął w tył, by podrapać się za uchem. Potem ktoś poruszył się, a Safar zauważył, że stworzenie nie było smokiem w całości. Długi tułów należał do hojnie obdarzonej kobiety, odzianej w napierśnik i trójkątną przepaskę zawiązaną na biodrach rzemykiem.

Było tam jeszcze więcej do obejrzenia, ale smoczyca zauważyła, że Safar skupił swą uwagę na niej.

- Ja też żongluję - wysepleniała. - Seścioma kulami i siódmym styletem. Zanuzamy je w oliwie, a ja zapalam je oddechem.

Podniosła łapę do pyska i beknęła. Wokół pięści wybuchły płomienie i podniósł się dym.

- Pseprasam - powiedziała. - Pewnie coś zjadłam.

Safar skinął głową. „Co za uprzejmy smok” - pomyślał sobie. A potem znów zemdlał. Ostatnią rzeczą, którą usłyszał było:

- Doprawdy, Arlain! - Był to głos Methydii. - Nie możesz nad sobą zapanować? Znów prawie na śmierć wystraszyłaś gościa!

- Tak mi psykro - jęknęła smoczyca. - To naprawdę nie moja wina. Pewnie ten kabacek z kolacji był zepsuty.

Minęło kilka dni snu bez marzeń, przerywanego karmieniem, którego był jedynie w połowie świadom. Nagle nadszedł moment, gdy Safar się zbudził i poczuł czujny i pełen siły. Wyczuł perfumy i natychmiast stał się bardzo...

Otworzył oczy. Nikłe, drżące światelko omywało otoczenie. Nad jego głową znajdował się dach kajuty, a na ciemnym suficie tańczyły cienie. Safar spojrzał w dół i zobaczył, że pewna część ciała ujawniła swoją kłopotliwą obecność pod kocem.

Usłyszał znajomy gardłowy śmiech. Twarz Methydii pochyliła się nad nim, usta rozchyliły w uśmiechu, a w migdałowych oczach tańczyło rozbawienie. Spojrzała w dół, a potem z powrotem na niego.

- Dobrze cię zobaczyć pomiędzy żywymi - rzekła.

Safar zaczerwienił się. Zaczął przeproszać, ale Methydia położyła palec na jego ustach, uciszając go.

- Nie czuj się zażenowany z mojego powodu - powiedziała. - Uważaj swój mały wyskok za mile widziany. I swojego przyjaciela też, i tak dalej.

Safar otworzył usta, by przemówić, ale ponownie długi, smukły palec dotknął jego warg.

- Jesteś młodym człowiekiem - stwierdziła Methydia. - Młodość ma swoje zalety i swoje wady.

Zalety są widoczne. - Rzuciła okiem na koc. Ku uldze Safara, jego problem znikł. - Wadą jest kłopot, co zrobić z zaletami.

- Och. - Safar zdołał powiedzieć tylko tyle.

- A teraz przypuszczam, że masz kilka pytań - rzekła Methydia. - Zakładając, że twój nieproszony gość nie jest tak pochłonięty sobą, iż pozwoli ci myśleć.

- Zaczniemy od tego - rzekł Safar - że powinienem opowiedzieć o sobie, zanim będę miał prawo zadać jakiegokolwiek pytania.

- Mów dalej - odparła Methydia.

- Nazywam się Safar Timura - powiedział pospiesznie. - Właśnie uciekłem przed egzekucją w Walarii. Mogę przysiąc na duszę mej matki, że nie zasłużyłem na taki los. I nie jestem przestępcą, jedynie studentem - poszukiwaczem prawdy, który nigdy nie wyrządził nikomu żadnej krzywdy. Ale nic z tym związanego nie jest dla ciebie istotne. Ważne jest, że chce mnie dopaść bardzo potężny człowiek, który najprawdopodobniej skrzywdzi cię, jeśli dowie się, że mi pomogłaś.

Methydia klasnęła w dłonie.

- Co za wspaniała przemowa - pochwaliła. - I tak wspaniale powiedziana. Wyrazy uznania dla twojej matki i ojca za wychowanie tak uczciwego człowieka.

Ponownie Safar poczuł, że się rumieni.

- Próbowałem cię jedynie ostrzec, w co się angażujesz - powiedział, odrobinę ponuro.

Methydia pocałowała go i poklepała po policzku.

- Nie miej mi tego za złe, mój drogi - rzekła. - To tylko mój język starej papli.

Oczy Safara ześliznęły się po jej bujnej figurze, spowitej w wielowarstwową, przejrzystą szatę.

- Nie jesteś stara - wymamrotał i oderwał od niej wzrok.

- Jeśli dalej będziesz tak mówił, mój śliczny kochasiu - powiedziała Methydia - to wpakujemy się w kłopoty. A teraz pozwól mi się uspokoić.

Methydia, która, jak w końcu zorientował się Safar, nigdy nie przestawała być aktorką, zakryła twarz rozpostartą dłonią, mówiąc:

- Słonko, ty dopiero potrafisz rozproszyć skupioną kobietę.

Safar już nauczył się, by nie przeproszać automatycznie. Zapytał:

- Czy masz coś przeciwko, bym to ja zadał teraz parę pytań?

- Ależ nie, proszę bardzo - odparła Methydia.

- Najpierw chciałbym dowiedzieć się o chmurostatku - odparł. - A potem chciałbym zapytać o cyrk.

Odpowiadanie zajęło wiele dni i wiele mil. Właściwie to Safar w ciągu miesięcy spędzonych z Methydią i jej trupą nigdy nie usłyszał całej opowieści chociaż każdy - poczynając od Binera, muskularnego karła, aż po Arlain, pół smoczyce, pół człowieka, która wolała warzywa od mięsa - aż się palił, by go oświecić.

Chmurostatek nie żył własnym życiem i choć miał skomplikowaną konstrukcję, stanowił przedmiot, a zatem łatwiej go było objaśnić.

W zasadzie był to naprawdę statek - z obciętym dziobem i usuniętymi masztami i żaglami. Miał długi pokład, wysoki mostek, okrętową kuchnię i kajuty. Jednakże drewno, z którego wszystko wykonano, było lekkie jak pergamin i mocne jak stal.

Methydia powiedziała, że rzadkie deski były podarkiem od leśniczego - dawnego kochanka, który

ukradł drzewa ze świętego gaju, by udowodnić, że jest wart zostać jej mężem. Najzagorzalszy wróg leśniczego - magiczny wytwórca zabawek o wielkiej sławie - zamienił deski w piękny okręt, mając nadzieję, że tym samym przebije swojego przeciwnika.

- Byłam wtedy bardzo młoda - rzekła Methydia. - Ale choć byłam na tyle głupia, by przyciągać mężczyzn, których nie pragnęłam, miałam dużo sprytu, by nie tylko zatrzymać dary, ale również uniknąć zamążpójścia bez obrażenia kandydatów.

Kadłub chmurostatku zwisał pomiędzy dwoma balonami, z których każdy mierzył dziewięćdziesiąt stóp wysokości i został wykonany z mocnego, lekkiego materiału. Był on nie tylko wodoodporny, ale ponadto stanowił znakomite miejsce dla obrazów malowanych kolorowymi farbami, których trupa używała do zdobienia. Twarz Methydie ozdabiała balon przedni, zwany dziobowym, zaś rufowy nosił napis: LATAJĄCY CYRK METHYDII.

Ogromne ilości gorącego powietrza, wymaganego do unoszenia łodzi, dostarczały dwa wielkie paleniska, zwane palnikami. Zaopatrzone je w sterowane magicznie miechy dmuchające w paliwo, którym była mieszanka pokruszonego zwierzęcego łajna, suszonych ziół i wiedzmi proszki wydzielające nikły odór amoniaku. Balastem był zwykły piasek w zwyczajnych torbach, który wysypywało się, chcąc wznieść się wyżej. W celu obniżenia lotu trzeba było „powiększyć ujście” - ciągnąc za liny, które rozszerzały dno balonu, tak by gaz mógł uciec. Jedyną rzeczą, wymagającą nieustannej uwagi, były wielkie klamry - zwane karabińczykami - które przyłączono do kabli mocujących kadłub chmurostatku do balonu. Miały tendencję do rozluźniania się w silnym wietrze i wciąż trzeba je było zaciskać.

Poza tym okręt wydawał się prosty w obsłudze. Mimo że zdarzały się okresy intensywne - a dla Safara zadziwiających - działań, przez większość czasu chmurostatek wydawał się funkcjonować samoczynnie. Oprócz głównych członków trupy na statku znajdowała się załoga, składająca się z około sześciu mężczyzn i kobiet, zwanych pomagierami. Zazwyczaj zajęci byli dbaniem o sprzęt i podpórki, które stanowiły wyposażenie cyrku, pozostawiając artystom rutynowe czynności dbania o chmurostatek.

Ich częścią było sterowanie. Czynność tę wykonywało się na mostku, gdzie zamontowano wielkie koło sterowe. Zostało ono połączone ze skomplikowanym systemem pętli, żagli i mniejszych sterów, które zapewniały sterowność.

- Jak szybko można tym lecieć? - Safar zapytał Binera pewnego dnia. Akurat wypadła kolej karła na czuwanie przy kole, podczas gdy Safarowi powierzono zadanie pilnowania kompasu.

- To zależy od wiatru - odparł Biner - i temperatury. Kiedyś zrobiliśmy w ciągu dnia prawie trzysta mil. Innym razem była flauta i udało nam się przebyć mniej niż trzydzieści w ciągu tygodnia.

Safar obserwował, jak Biner obsługuje koło. Pomimo olbrzymiego systemu sterowniczego wydawało mu się, że kierunek głównie determinuje wiatr.

- Co się dzieje podczas burzy? - zapytał.

Biner zachichotał.

- Strasznie się modlimy, a Methydia rzuca te swoje zaklęcia. Ale głównie modlimy się. Jeśli wokół nie ma żadnych gór, to lepiej jest pozwolić burzy, żeby się porządziła. A jeśli są, to przywiązujemy się do czegoś i trzymamy. Najgorsze co można zrobić, to posadzić statek na ziemi. To znaczy, jeśli burza spadnie zniecka i nie można znaleźć na tyle dużej stodoły, by go schować. Wiatr może porwać wszystko, zanim spuści się powietrze z balonów i je zwinie.

Safar natychmiast zrozumiał, że bez względu, czy była burza, czy nie, najlepiej było żeglować

wysoko ponad ziemią, gdzie nikt - żaden król, ani bandyta - nie mógł ich osiągnąć. Pomyślał o swoich ostatnich kłopotach w Walarii i rzekł:

- Szkoda, że trzeba w ogóle schodzić na ziemię.

Biner pokiwał głową ze zrozumieniem. Safar opowiedział załodze skróconą historię swych nieszczęść.

- Coś trzeba jeść - odparł. - Jedzenie może rosnąć na drzewach, ale nie w powietrzu. - Wzruszył masywnymi ramionami. - Ziemia nie jest taka zła. Poczekaj, aż zobaczysz swoje pierwsze przedstawienie. Nie ma jak oklaski publiczności, by poprawić swoje dobre mniemanie o ludziskach. A zwłaszcza te małe huncwoty. Oczy im się tak zapalają, że aż cię grzeje od środka.

Uzgodniono już, że Safar przez pewien czas będzie podróżował z trupą. Aby zarobić na utrzymanie, miał zostać przeszkolony w zajmowaniu się setkami szczegółików wchodzących w skład - w cyrkowym żargonie - „oszałamiania wieśniaków”.

- W jaki sposób zostałeś artystą cyrkowym? - zapytał Safar. - Czy już się z tym urodziłeś?

Biner potrząsnął masywną głową.

- Moi rodzice byli aktorami - odparł. - W rzeczy samej pochodzili z długiej linii weteranów scen. Po raz pierwszy zjawiłem się na scenie, wciąż ssąc pierś matki. Grałem wszelkie role dziecięce. Nie przestałem ich grać nawet gdy już z nich wyrosłem. Jestem bardzo niski, w razie gdybyś nie zauważył. Matka i ojciec byli normalnego wzrostu i nigdy nie wiedzieli, co ze mną począć. A potem zacząłem rosnąć wszerek zamiast wzdłuż i już nie mogłem grać berbeci.

Twarz Binera zachmurzyła się pod wpływem jakiegoś bolesnego wspomnienia. Potem otrząsnął się, ukazując w uśmiechu szerokie zęby.

- Przez pewien czas zamiatałem sceny teatrów i wykonywałem inne podłe prace. A potem pewnego dnia do miasta przyleciał chmurostatek. Muzyka grała, a ludziska machali do nas z wysoka, jakby byli bogami i boginiami. Krzyczeli, żebyśmy za nimi szli. Tak więc poszedłem i od razu na pierwszym przedstawieniu złapałem cyrkowego bakcyła. Ubłagałem Methydię, by mnie wzięła na próbę, a ona zgodziła się. Od tamtego czasu już z nią pozostałem. Minęło prawie piętnaście lat. Nawet po pewnym czasie dała mi nowe imię - Biner, od karabińczyków, które nas trzymają w górze. Powiedziała, że to dlatego, że jest tak ode mnie zależna.

Chociaż historia Binera całkowicie różniła się od opowieści pozostałych członków trupy, Safar wkrótce zorientował się, że wszyscy mieli wspólną cechę - ich wygląd sprawił, że byli wyobcowani w zwykłym społeczeństwie, tak więc stworzyli własne. Methydia dała im tę szansę, przybywając dokładnie na czas, by wyratować ich z nieprzyjemnych okoliczności.

- Gdyby nie Methydia - powiedział pewnego dnia Kairo - to wciąż tkwiłbym w swej wiosce obrzucany kamieniami. - Kairo był akrobatą, który odczepiał sobie głowę. - Tam w domu ciągle się chowałem - ciągnął - żeby we mnie nie ciskali. Chłopaki obrzucali mój dom, wybijając okna i robiąc dziury w dachu. W końcu matka mnie wyrzuciła. Inaczej pewnie utłukliby mnie w domu.

Rabix i Elgy - zaklinacz węży i jego wąż - byli w chwili odkrycia ich przez Methydię sezonowymi artystami cyrkowymi. Ale pokłócili się z dyrektorem o nie zapłacone pensje i ten wyrzucił ich na poboczu drogi w samym środku pustkowia.

- Nie mieliśmy ani miedziaka, żeby kupić chudą myszkę na mój cotygodniowy obiad - powiedział Elgy dziwnie melodyjnym tonem.

Elgy był wężem z twarzą człowieka. On także był „mózgiem”. Rabix, człowiek w turbanie i przepasce, był pozbawionym rozumu ciałem, które stało posłusznie, gdzie mu polecono. Tylko Elgy

mógł się z nim porozumieć i spowodować, by coś zrobił.

- Cudnie gra na piszczałkach - rzekł Elgy. - Choć taki bezrozumny, to jest znacznie lepszym muzykiem od mojego poprzedniego człowieka.

Arlain, kobieta-smoczyca, uciekała przed polującym na nią tłumem, dyszącym żądzą zemsty, kiedy uratowała ją Methydia.

- Kryłam się w sopie i, no, tak jakby ją podpaliłam. A potem ogień rozsezył się na całe miasto. - Arlain wytarła łzy, przejęta wspomnieniami. - To był wypadek - tłumaczyła. - Powiedziałam, że mi psykro, ale wcale mnie nie słuchali.

Arlain nie miała pojęcia, skąd pochodzi.

- Pewnie mój ojciec upuścił mnie, gdy zmieniał gniazdo - rzekła. - Znalazła mnie zona farmera i wychowywała jak swoje zwierzątko. Ale potem urosłam i zaczęły zdarzać się wypadki i jej mąż wygonił mnie z farmy. No i dlatego ukrywałam się w sopie.

Methydia nie była tak otwarta jak pozostali. Choć nigdy nie odmówiła odpowiedzi na żadne z pytań Safara, jej słowa jedynie muskały powierzchnię poruszanej kwestii. Szczegóły jej pochodzenia można było wyczytać wyłącznie z zawołanych aluzji lub niedbale rzucanych uwag.

Znacznie później, gdy już wzięła sobie Safara na kochanka, poskarżył się na jej zwyczaj nie zdradzania osobistych informacji.

Methydia była rozbawiona.

- Urodziłam się, by być zagadkową kobietą, kochanie - odparła. - To rola, którą gram przez całe życie. Z każdym mijającym rokiem zagadka pogłębia się, nieprawdaż? Ponieważ pojawia się znacznie więcej nie opowiedzianych rzeczy.

Uniosła się w jego ramionach.

- A oprócz tego - dodała - obawiam się, że rozczarowałbyś się, gdybyś wiedział wszystko, co jest do poznania. A gdybym była tylko mleczarką, która uciekła ze swoim pierwszym kochankiem? Albo młodą mieszczką po ślubie, która uciekła od starego, tłustego męża?

Safar pomyślał przez chwilę, a potem odrzekł:

- Nie mogę sobie wyobrazić ciebie w żadnej z tych ról. Ty nigdy nie byłaś zwyczajna, Methydio. Tyle wiem na pewno.

- Doprawdy, słoneczko? - wymruczała. Potem okryła jego szyję pocałunkami. - Czy... jesteś... tego... tak zupełnie... pewien? - Dotarła do ust, ucinając odpowiedź.

Kochali się, a potem Safar pomyślał, że jest jeszcze bardziej zagadkowa niż wcześniej. „Rozkoszna zagadka” - pomyślał. A potem zdał sobie sprawę, że zapewne taki miała właśnie cel.

Dowiedział się o niej jedynie tego, że była kobietą o silnej woli, a także łagodną przywódczynią, za którą inni chętnie podążali.

Była także wiedźmą.

Safar wyczuł to po raz pierwszy, gdy w pełni odzyskał świadomość. Powietrze wokół niosło ze sobą coś więcej niż tylko jej czarującą osobowość. Wokół niej wirowały małe kłębuszki energii, sprawiając, że podnosiły się włosy na wierzchu dłoni. Zaś w głębi migdałowych oczu dostrzegał rozbłyśki magii, które migotały, gdy w pobliżu uderzała błyskawica.

Nie wspominał nic o swojej mocy, częściowo dlatego, że nie wiedział, jak zareaguje. Czy będzie zazdrosna, jak Umurhan? Jednak jego głównym powodem był wstrząs po doświadczeniach w Walarii. Odrazą napawała go myśl o ujawnieniu swej magicznej strony dopóki w pełni się po nich nie pozbiera.

Najwyraźniej Gundara czuł to samo. Mały Ulubieniec od dłuższego czasu siedział cicho. Przez chwilę Safar martwił się, że pustynna przeprawa mogła być zbyt trudna dla Gundary i jego bliźniaka. Wyjmował kamiennego żółwia z sakiewki, aby go od czasu do czasu sprawdzić. Bożek był zimny w dotyku, ale Safar wciąż czuł nikłe migotanie magii. Pomyślał o przywołaniu Gundary, by sprawdzić, czy czegoś nie potrzebuje, jednak później zastanowił się, czy zaklęcie przywołujące Ulubieńca nie przyniesie więcej złego niż dobrego. „Pozwólmy mu odpocząć i wykurować się” - zdecydował. I tak właśnie zrobił.

Pewnego wczesnego poranka, niedługo po wyzdrowieniu, Safara obudziła głośniejsza muzyka i podekscytowane głosy. Wypełził ze swojej niewielkiej komórki, która była jego kawalerską kajutą, trąc oczy i zastanawiając, co się dzieje.

Chmurostatek tętnił życiem. Załoga wyciągała z luków kufry ze sprzętem i tyczkami. Wszyscy członkowie grupy zajęli się ćwiczeniami rozciągającymi lub sprawdzaniem swoich specjalności.

Muzyka była dziełem Rabixa, który siedział ze skrzyżowanymi nogami na środku podkładu, grając na piszczałkach. Był to dziwny instrument składający się z powiązanych razem rur o różnej długości. Miały wywiercone dziurki, zaś Rabix grał, wdmuchując powietrze w rurki, podczas gdy jego palce z wdziękiem poruszały się nad dziurkami. Z instrumentu wydobywał się potok cudownej muzyki, brzmiącej jak cała orkiestra składająca się z bębnów, instrumentów strunowych, trąbek i fletów. Elgy, przyczepiony do niego paroma krążkami i zawieszony luźno wokół jego szyi, podniósł się prawie trzy stopy ponad odzianą w turban głowę Rabixa i kołysał ciałem w takt muzyki.

Kairo ćwiczył swoją trzymającą w napięciu sztuczkę, przechadzając się wzdłuż rozciągniętego sznura, a potem udając, że spada. Odzyskiwał równowagę, potem udawał, że jego głowa spada mu z ramion. Łapał ją, skrzecząc ze strachu, i z powrotem nasadzał na ramiona.

Arlain, która była tak podekscytowana, że zapomniała się ubrać, skakała nago po pokładzie, krzycząc radośnie:

- Cas na widowisko, ludziska! Cas na widowisko!

Biner ryknął:

- No wiesz, Arlain! Załóż coś na siebie! To rodzinne przedstawienie!

Arlain pośliznęła się i zatrzymała, machając wściekle ogonem. Spojrzała w dół na siebie, a potem obląła głęboką czerwień. Łapa powędrowała do pyska.

- Och, bogowie litoscivi - powiedziała. A potem podreptała do kryjówki, jęcząc: - Tak mi psykro. Tak mi psykro.

Kiedy biegła do garderoby, zamykając z trzaskiem drzwi ogonem, Biner zawołał:

- I uważaj na...

Z okna garderoby buchnął ogień i dym, ucinając w pół wołanie Binera. Arlain jęknęła coś niezrozumiałego. Nadbiegło paru członków załogi z wiadrami wody i piasku, by stłumić ogień.

- Gdyby tylko się tak nie podniecała - rzekł Biner. Potem wzruszył ramionami. - Och, mniejsza z tym. Świetnie zabawia tłum. To co, że wznieci parę płomieni? - Uśmiechnął się szeroko do Safara. - Cóż za temperament, przyjacielu. Wszystkie najlepsze talenty go mają. Lecz jeśli nie możesz poskromić temperamentu, to równie dobrze możesz wypisać się z cyrkowego biznesu.

- Z pewnością jest to dobra rada - odparł Safar. - Ale czy nie mógłbyś, proszę, na chwilę zwolnić i powiedzieć mi, co, do diabła, się dzieje?

- Czyżby nikt ci nie powiedział? - zapytał Biner ze zdziwieniem.

Safar odpowiedział, że niestety, ale nikt go o niczym nie poinformował.

- Ojej, a Deming jest tylko dwie godziny drogi stąd. Pierwsze przedstawienie o zmroku, drugie po wybiciu ósmej. Zostaniemy tam przez tydzień. Dwa przedstawienia każdego wieczoru, plus dwa i popołudniówka dnia świętego.

Klepnął Safara po plecach, prawie zwalając go z nóg.

- A więc jest tak, jak powiedziała Arlain: „Czas na widowisko, ludziska!”

Miasteczko Deming było centrum bogatego obszaru rolniczego zasilanego długą, wijącą się rzeką. Targowisko usadowiło się tuż za główną bramą miasta. Już wypełnili je ludzie, przechadzając się wzdłuż oślepiających kolorami namiotów, lub tłocząc się wokół wystaw i przekupniów wszelkiej maści.

Latający Cyrk Methydia miał dramatyczne wejście, przelatując nisko nad miastem i targowiskiem. Muzyka Rabixa ryczała przez tubę wzmacniającą. Trupa przebrała się w błyszczące kostiumy i stanęła szeregiem przy burtach statku, machając rękami i wykrzykując powitania.

Arlain, ubrana we wzorzysty napierśnik i przepaskę, stała na relingu, wydychając długie smugi płomieni i machając ogonem. Methydia odziała się w czerwoną szatę wiedzmy z głębokim dekoltem i rozcięciem aż po biodro. Stanęła w prowokacyjnej pozie obok Arlain, a wiatr szarpał na boki jej cienką jak babie lato suknią, ukazując długie, kształtne nogi.

Biner, zawołał głosem magicznie wzmocnionym przez jedno z zaklęć Methydia:

- Zobaczcie ziejącego ogniem smoka! Zadrzyjcie, widząc wyczyny Kairo, Bezgłowego Cudu! Wypróbujcie siłę najsilniejszego z żywych! Zobaczcie, jak Zaklinacz Węży stawia czoła śmiertelnemu Wężowi z Sunyanu! Zdziwicie się cudami tajemniczej Methydia. Chodźcie! Chodźcie wszyscy! Panie i panowie w każdym wieku, witajcie w Latającym Cyrku Cudów Methydia oferującym najwspanialsze przedstawienie w całym Esmirze!

Gdy tylko zebrał się wystarczająco duży tłumek, chmurowstatek pozegłował wolno i majestatycznie w stronę szerokiego pola obok targowiska. Tam obniżył lot, zatrzymując się na wysokości około dwudziestu stóp nad ziemią. Biner i paru pomagierów ześliznęło się po linach, dzierżąc plecaki z narzędziami. Potem szybko wbili w ziemię żelazne śledzie, przywiązując do nich linki cumownicze chmurowstatku.

Członkowie trupy po kolei zsunęli się po linach. Każdy z nich zatrzymywał się w połowie drogi, by pokazać jakąś akrobatyczną sztuczkę, która spotykała się z dzikimi oklaskami wciąż rosnącego tłumu.

Po drugiej stronie chmurowstatku Safar i pozostali pomagierzy zajęli się znacznie bardziej przyziemnymi pracami, polegającymi na ściąganiu na ziemię kufrów i skrzyń ze sprzętem. Ale Safar wkrótce dowiedział się, że nawet ta praca była podziwiana. Miejscowi chłopcy z szeroko otwartymi oczami stali jak przykuci, wydając z siebie „ochy” i „achy” za każdym razem, kiedy na ziemi kładziono kolejny przedmiot. Pomagierzy natychmiast wykorzystali ich zainteresowanie. Rozdawali darmowe bilety największym chłopcom w zamian za ich pomoc. Wkrótce grupka muskularnych młodzieńców rozebrała się do połowy i pomagała w rozbijaniu namiotu cyrkowego.

Safara - oszołomionego podnieceniem wywołanym widokiem pierwszego cyrku w jego życiu - przerzucano z miejsca na miejsce rozkazami wydawanymi warczącym tonem. Zanim się zorientował, wyrósł wielki namiot, postawiono trybuny, a jego samego wcisnięto do kasy przy wejściu do namiotu. Ktoś wepchnął mu do ręki bilety, a on zaczął wykrzykiwać śpiewkę sprzedawcy, którą

Biner wbijał mu do głowy podczas podróży:

- Ludzie, pięć miedziaków, oto nasza cena. To chyba niewiele.

Monety łądowały z plaśnięciem na jego dłoni. Safar odliczał:

- Raz, dwa, trzy, cztery, pięć.

Potem zabrał jedną.

- Przyrowadź przyjaciela, a zostaną cztery.

Zakrył kolejną monetę.

- A jeśli twoja towarzyszka będzie piękna, to będą tylko trzy.

I następną.

- Dwie za babcię!

I jeszcze jedną.

- Jedna za twoje dziecko.

Podniósł do góry, by wszyscy zobaczyli jedyną pozostałą monetę.

- Złapcie szczęśliwy pieniążek, a bilet będzie za darmo!

Rzucił monetę w tłum. Dzieci rzuciły się za nią. Safar zobaczył, jak w pośpiechu ktoś potrącił małą dziewczynkę, która upadła na ziemię. Siedziała w kurzu, szlochając. Jego serce wyrывało się do niej i po raz pierwszy od czasu, gdy przyłączył się do trupy, poczuł w żyłach łaskotanie magii. Wyszeptał zaklęcie, wykonał gest i dziecko nagle wykrzyknęło, rozanielone. Wstało, gramoląc się i krzycząc:

- Mam ją, mam! - Podniosło rękę, pokazując szczęśliwą monetę. - Patrzcie!

Pozostałe dzieci jęknęły, zawiedzione, ale dorośli byli zadowoleni. Podnieśli dziewczynkę i podawali sobie ją nad głowami, aż stanęła przed Safarem.

Safar z rozmachem podał jej bilet. Wpatrywała się w niego wielkimi ze zdziwienia oczami. Safar naprawdę wpadł już w swoją rolę. Słowa spływały gładko na język.

- A więc, ludziska, zaczynamy dzień dzięki tej szczęśliwej pani! - krzyknął. - A teraz, gdzie jest mama, a będą dwie? - Pokazała się młoda matka w połatanej sukni. Wypchnięto ją do przodu. Safar podał jej bilet. - Wchodźcie już, moje panie - krzyknął. - Wchodźcie, a my pokażemy wam największe cuda Esmiru.

Kiedy pełna wdzięku matka i jej dziecko przeszły przez wejście, wokół Safara zaczął kłębić się tłum. Właściwie rzucano w niego monetami, domagając się biletów.

Sprzedał wszystkie w ciągu pół godziny. Potem zabrał kasetkę z monetami, zamknął kasę i wśliznął się do namiotu.

Przedstawienie już się rozpoczęło. Publiczność ryczała ze śmiechu, gdy Arlain, ubrana w krzykliwy strój, goniła wokół areny Binera przebranego za niechlujnego, klauniego żołnierza. We właściwych momentach wypuszczała błysk ognia w kierunku wypchanego tyłka Binera. Skakał wtedy, łapiąc się za pupę i z udawanym bólem skrzeczając falsetem. Potem biegł ponownie, krzycząc o pomoc, z Arlain następującą mu na pięty.

Safar znalazł miejsce w zaciemnionym kącie i obserwował przedstawienie z ukrycia, skupiony jak każdy pozostały członek płacącej publiczności.

Przedstawienie trwało trzy godziny. W ciągu tego czasu trupa nie zatrzymała się ani na chwilę. Artyści zmieniali kostiumy tyle razy, że wyglądało to jakby na scenie było ich z pięćdziesięciu, wykonujących pięćdziesiąt różnych, zadziwiających tłum sztuczek.

Rabix i Elgy zapewnili muzykę. Kryli się za niewielką estradą, na której w roli muzyków

umieszczono wypchane kukły. Oprócz roli klauna, Biner przebierał się za tuzin różnych przerażających zwierząt. Każde z nich w jakiś sposób miało zagrozić publiczności, ale plany te udaremniała Methydia, która odgrywała rolę potężnej łowczyni. Jej kostiumy wraz z kolejną zmianą stroju stawały się coraz bardziej skąpe i krzykliwe. Biner dokonywał także wielu wyczynów ukazujących jego wielką siłę, a każdy z nich był bardziej zadziwiający od poprzedniego.

Arlain w każdym calu była tak dobra, jak mówił Biner. Nie tylko zonglowała płonącymi przedmiotami. Okazała się też fantastyczną akrobatką, która kołysząc się na ogonie owiniętym wokół trapezu jednocześnie podrzucała płonące przedmioty.

Oprócz swojej mrożącej krew w żyłach sztuczki, Kairo łapał także Arlain, rzucając ją wysoko w powietrzu na inny trapez. Kiedy leciała ku niemu z powrotem, udawał, że spada mu głowa. Gorączkowo próbował umieścić ją na miejscu, nagle przypominał sobie, że ma złapać Arlain, co udawało mu się w ostatniej chwili.

Jednakże pomimo ich niewątpliwych talentów, to Methydia była gwiazdą. Czterokrotnie w ciągu przedstawienia pojawiała się w roli Methydie Wspaniałej. Odziana w swoje przejrzyste, czerwone szaty wiedźmy, sprawiała, że każde wejście było wydarzeniem samym w sobie ku rosnącemu zachwytowi tłumu. Nagle wybuchały wielokolorowe dymy, z trzaskiem rozświeślały się błyskawice lub pojawiała się wielka ściana ognia. Później przelatywała przez ogień na palącej się linie. Lub też unosiła się nad kipiącym dymem. Albo wydawała się wyłaniać spośród błyskawic, schwytna w mocarne ramiona Binera.

Dzięki jej staraniom wielkie i małe przedmioty znikwały i pojawiały się, zawsze w towarzystwie dramatycznego pokazu pirotechnicznego. Wyciągała z publiczności ochotników i sprawiała, że unosili się nad ziemią. Za pomocą Binera odgrywała magiczne scenki, wszystkie z romantycznym tematem, które wyciskały łzy z oczu publiczności. Przecinała Arlain na pół, a potem ją scalała.

Według Safara najbardziej zdumiewającą rzeczą w przedstawieniu Methydie było to, że pomimo odczuwanego przez niego nikłego wirowania prawdziwej, emanującej z niej magii, w samych wyczynach nie kryło się żadne czarodziejstwo. Niektóre ze sztuczek były tak trudne, że Safar powinien poczuć uderzenie potężnego zaklęcia. Ale nie czuł nic. Niektóre z jej epizodów, takie jak przecinanie na pół, były po prostu niemożliwe.

Żaden czarodziej nie mógł tego dokonać! Im bardziej Safar się przypatrywał, tym bardziej nic nie rozumiał. W jaki sposób czarowała bez użycia magii?

Potem rozległa się donośna fanfara, obwieszczająca koniec przedstawienia. Kiedy światła zapalały się, Safar gwizdał i klaskał wraz z pozostałą resztą publiczności.

Kiedy ludzie wysypywali się na zewnątrz, z podnieceniem paplając o swoich wrażeniach i niosąc na ramionach śpiące dzieci, załoga zaczęła czyścić trybuny i przygotowywać wszystko na wieczorne przedstawienie. Safar chętnie zabrał się do pracy, zamiatając, tam gdzie polecono mu zamieść, i podnosząc, co mu kazano podnieść.

Gwizdał właśnie wesołą melodyjkę, kiedy podszedł do niego Biner, wycierając z twarzy resztki makijażu klauna.

- I co o tym myślisz? - zapytał Biner.

- W całym moim życiu nie widziałem niczego takiego - odparł Safar. - A zwłaszcza Methydia.

Och, nie zrozum mnie źle. Byłeś wspaniały! Wszyscy byli wspaniali!

Biner zaśmiał się.

- Ale Methydia była odrobinę wspanialsza od nas, prawda?

- Znacznie wspanialsza - odparł Safar. - Bez obrazy.

- Absolutnie, przyjacielu - powiedział Biner. - Jest na szczycie obsady nie dlatego, że jest właścicielką cyrku. To prawdziwa gwiazda.

Pomógł Safarowi przy niesieniu ciężkiego pieńka, z niezwykłą łatwością podnosząc swój koniec.

- Pewnie mógłbyś zostać z nami przez jakiś czas, co? - zapytał niedbale. - Methydia nie płaci zbyt wiele, ale jadamy codziennie.

Safar zaśmiał się.

- Zostanę, dopóki nie skażecie mnie na wygnanie - zażartował. Potem dodał z powagą: - Po prostu odpocznę przez jakiś czas od zewnętrznego świata. Z tego, co widziałem, nie ma tam zbyt wiele godnych uwagi spraw.

- O to chodzi, Safarze! - zawołał Biner. - Niech ich piekło pochłonie! I do cholery ze wszystkim prócz cyrku.

Tego wieczoru, po ostatnim przedstawieniu trupa zjadła i wróciła do ustawionych na ziemi namiotów. Chmurostatek, jak odkrył Safar, nie mógł służyć za mieszkanie, gdy odbywały się przedstawienia. Timurę tak pochłonęły wszystkie nowe wrażenia, że nie zauważył, iż znaczna część kadłuba chmurostatku została zdemontowana i zamieniona w części cyrku, na przykład siedzenia dla publiczności.

Kierował się ku legowisku w namiocie dla pomagierów, kiedy z małego, wesoło zdobionego pawilonu wyłoniła się Methydia i skinęła na niego.

- Sądzę, że powinniśmy troszkę porozmawiać, kochanie - oznajmiła, dając mu znak, by wszedł do środka.

Oświetlony lampkami oliwnymi pawilon wymoszczono grubymi dywanami. Na pieńkach umieszczono poduszki, zamieniając je w wygodne krzesła. Z tyłu rozwieszono hamak pełniący rolę łóżka, osłaniając go zasłonami.

Methydia kazała Safarowi usiąść i naląła mu nieco wina. Uniosła w toaście kieliszek, intonując:

- Niech wiatry będą łagodne, a gwiazdy jasne. Niech załoga okaże się zdolna, a lądowania miękkie. - I wypili.

Po chwili Methydia powiedziała:

- Słyszałam o twojej sztuczce ze szczęśliwą monetą. Sprawileś nią radość dziewczynce i jej matce.

Safar poczuł się nieswojo. Chociaż Methydia uśmiechała się, a jej słowa były łagodne, widział w jej oczach, że ta wizyta nie miała na celu prawienia mu komplementów. Nadszedł czas, by obnażyć przed nią duszę.

- Nie opowiedziałem ci wszystkiego o sobie - wyznał.

- Jeśli mówisz o tym, iż pominąłeś tę niewielką część o swej magicznej naturze - powiedziała Methydia z przesadnym spokojem - to pewnie masz rację.

- Jestem jedynie studentem magii - pośpiesznie dodał Safar.

Methydia ściągnęła usta.

- Rozumiem. Jedynie studentem. Och, teraz z pewnością lepiej się czuję.

- Przepraszam - powiedział Safar, czując się niezgrabny jak Arlain. - Nie chciałem cię oszukać.

- Ależ nie, Safarze, nie oszukałeś mnie - odparła Methydia. - Od razu wyczułam, że dysponujesz pewnymi mocami. A po twoim małym wyznaniu, że ścigają cię potężni ludzie, chciałam zobaczyć, ile ci zajmie opowiedzenie mi reszty. Ale nigdy nie byłam znana ze swojej cierpliwości. Tak więc teraz

chciałabym usłyszeć, jak to było.

- Tak naprawdę to najbardziej oszukiwałem siebie - rzekł Safar. - Magia nie przyniosła mi niczego prócz smutku. A po tym, co wydarzyło się w Walarii ... Przypuszczam, że chciałem odpocząć. Żyć przez chwilę normalnie.

- Tam była dziewczyna - rzekła Methydia. - Nerisa, jak sądzę? - Ujrzała zdziwione spojrzenie Safara i wyjaśniła: - Majaczyłeś, kiedy byłeś nieprzytomny. Jej imię pojawiało się bardzo często. Młoda kochanka, jak przypuszczam?

Safar potrząsnął głową.

- Nie, to tylko dziecko. Mała ulicznica, z którą się zaprzyjaźniłem. Umarła, ratując mi życie.

Methydia wypła nieco wina, wpatrując się w niego znad krawędzi kieliszka. Potem powiedziała:

- Ze sposobu, w jaki rzucałeś się we śnie, pomyślałam, że przydarzyło jej się coś tragicznego.

- Żałuję tylko, że to mnie, a nie Nerisę znalazłaś na pustyni - rzekł Safar.

- Niektórzy powiedzieliby, że powinieneś szukać pociechy u bogów - odparła Methydia. - I modlić się, by mieli powody, dla których wybrali ją, a nie ciebie. Osobiście nigdy nie uważałam, by to mogło pomóc. Ale jeśli tak uważasz...

Safar potrząsnął głową.

- Nie.

Methydia wyciągnęła z rękawa małą fiolkę.

- Podaj swoje wino - rzekła.

Safar, zdumiony, zastosował się do polecenia. Methydia wylała zawartość fiolki do kieliszka i zamieszała długim, wdzięcznym palcem. Podała mu naczynie.

- Wypij - rozkazała.

- Co to jest? - zapytał Safar.

- Och, taki eliksir, którego przyrządzania nauczyła mnie babcia - uspokajała. - Pomoże ci uleczyć rany wywołane śmiercią przyjaciółki.

Safar zawahał się. Methydia podniosła kieliszek do jego ust.

- Kochanie, to nie sprawi, że zapomnisz Nerisę - powiedziała miękko. - Po prostu wyda ci się, że wszystko zdarzyło się bardzo dawno temu. A zatem będzie łatwiej ci to znieść.

Safar wypił. Napój nie miał smaku, ale gdy sięgnął żołądka, spienił się w uderzający do głowy dym, który wydawał się pełznąć wzdłuż kręgosłupa. Poczuł, jak jego mięśnie rozluźniają się, a potem to samo stało się z napiętymi nerwami.

Zamknął oczy i ujrzał Nerisę, jak uśmiecha się, lekko skrzywiając usta.

Twarz przez chwilę wypełniała jego wyobraźnię, potem oddaliła się, odpływając w głąb ciemności, aż stała się jedynie małym obrazkiem.

Wtedy umieścił ją w specjalnej skrzyni ze wspomnieniami, w których słodycz mieszała się z goryczą.

Larwa z Kysfaat

Pobyt w Deming został skrócony niespotykanym o tej porze atakiem mrozu. Pożeglowali na południe ku cieplejszemu klimatowi, mając za plecami burze i dmące wichry.

Dla Safara było oczywiste, iż burze nadchodziły zza mórz za Caspanem. Nadciągały cyklicznie, chociaż zwykle nie zdarzały się tak wcześnie. Przewalały się przez północne krainy, nacierając na Łańcuch Bogów, a potem tocząc się po południowych zboczach sukni Panny Młodej, aby hulać po szerokich równinach sięgających aż po góry za Jasparem.

Chociaż chmurostatkowi burze nie zagrażały - zawsze płynął tuż przed nawałnicą wiatrów - żeglował znacznie szybciej niż poprzednio, pokonując prawie dwieście mil dziennie.

Z każdą milą Safar coraz bardziej oddalał się od Kyranii. Wkrótce wszelkie myśli o domu, tak samo jak i o Nerisie, zostały zepchnięte w głąb umysłu. Ogarnęło go cudowne poczucie wolności. Żeglowali po morzach krystalicznego powietrza ponad wielkimi, puchatymi polami obłoków, pomiędzy kluczami jaskrawo upierzonych ptaków i pod rozgwieżdżonym niebem, gdzie księżyc unosił się tak blisko, że wydawało się, iż wystarczy tylko obrócić koło statku, a na pewno się do niego doleci.

Lecieli zgodnie z niezobowiązującym rozkładem, który Methydia miała w głowie. Rozkoszne dni następowały jeden po drugim. Potem zniecka Methydia wydawała rozkazy. Rozpoczynali przygotowania do wylądowania w mieście lub wiosce, gdzie zawsze czekał na nich tłum wypełniający spiżarnię statku i sakiewki trupy.

Po owej nocy w Deming Methydia najwyraźniej powzięła decyzję i zaczęła nauczać go swojej magii. Jej szkolenie było drwiną z wszystkich form i konwencji czarodziejskiej szkoły Umurhana. W opinii Methydie prezentacja była ważniejsza od samego zaklęcia.

- Zapewne magia jest nauką - powiedziała pewnego dnia Safarowi. - Kierują nią zasady, a naukowcy mówią nam, iż za tymi zasadami stoją odpowiednie reguły.

Mówiąc to, Methydia przeszukiwała wielki kufel garderobiany, próbując znaleźć odpowiedni kostium dla Safara.

- Osobiście - rzekła - te wszystkie „dlaczego” i „po co” nigdy mnie nie interesowały. Jestem artystką. Nie obchodzi mnie, dlaczego coś się dzieje. Interesuje mnie jedynie efekt wywierany na moją sztukę.

Methydia podniosła w górę ciemnoniebieską koszulę ze zwisającym naszyjnikiem i obszernymi rękawami. Materiał nosił wzór gwiazdzystego nieba. Srebrzyste konstelacje wirowały w przyćmionym świetle rozświetlających kajutę oliwnych lamp.

- To będzie doskonale - wymruczała. - Podkreśli błękit twoich oczu. - Methydia odłożyła koszulę na bok i kontynuowała poszukiwania. - Stworzyłam cyrk, by móc zaprezentować moją sztukę. Pomysł nie zaświtał mi w głowie, dopóki dzięki moim kochankom nie pojawił się chmurostatek. Wtedy byłam jeszcze aktorką sławioną za piękno i tajemniczość. Swoje magiczne zdolności trzymałam

schowane, jak przybory do makijażu. Używałam ich jedynie, by wyleczyć krosty, zgniebić rywalkę lub podkreślić moje aktorstwo, wyciskając łzy z oczu publiki. Ale gdy tylko ujrzałam chmurostatek przyszedł mi na myśl pomysł Latającego Cyrku Cudów Methydii. Moje życie aktorki - i ukrytej więdźmy - nagle wydało mi się płytkie. Bez znaczenia. Nie pozwalało mi na spełnienie.

Methydia przerwała, podnosząc bryczesy, które były prawie tego samego koloru co koszula. Przypatrzyła się im, a potem zmarszczyła nos.

- Bardzo za bardzo - wymamrotała, wrzucając bryczesy do kufra i wracając do gmerania. - Na czym skończyłam? - zapytała, a potem ciągnęła: - Och, no tak. Moje życie niespełnionej aktorki. - Jej twarz przybrała poważny wyraz, ale po chwili machnęła ręką. - Chciałam więcej. Tak, przyznaję to, tym „więcej” były oklaski publiczności. Jestem egocentryczną suką, ale który prawdziwy artysta taki nie jest? Cyrk nadał sens mojej sztuce. Ja z kolei odkryłam tam swe serce. Oto dar, którym teraz obdarzam publiczność... - Położyła na piersi lekką dłoń. - Moje serce.

Odczekała pełną dramatyzmu chwilę, a potem kontynuowała:

- Lubię sprawiać ludziom przyjemność, usuwając w cień zmartwienia, przerażając niebezpieczeństwem, które zawsze zagraża komuś innemu. Na sam koniec wszyscy wiedzą, że groźba minęła. Lubię pomagać im w zachowaniu w pamięci ich młodości i miłości. Jeśli są młodzi, przestrzegam ich, co mogłoby się zdarzyć i co może się zdarzyć.

Nagle poważny wyraz twarzy Methydii rozpułynał się w zachwycie. Klasnęła w dłonie, aż Safar podskoczył z zaskoczenia.

- Oto właściwa rzecz! - krzyknęła, wyciągając z kufra śnieżnobiałe bryczesy. Podniosła je w górę, przyglądając się im krytycznie i obracając we wszystkie strony. Pociągnęła za materiał w kroku. - Trzeba je tutaj zebrać - rzekła i uśmiechnęła się szeroko - żeby panie mogły lepiej dojrzeć twoje klejnoty.

Safar zaczerwienił się, mamrocząc coś o tym, że nie wydaje mu się to właściwe.

- Nonsens - odpowiedziała Methydia. - Jeśli Arlain i ja możemy skakać tu i tam dla facetów, to ty możesz przynajmniej wzbudzić dreszczyk u panien. Oto, czym jest przedstawienie. Trochę seksu, trochę komedii, pościg klauna. Lukier na cieście.

Położyła bryczesy obok koszuli.

- Teraz potrzebujemy szerokiego pasa i wysokich butów, a wieśniaki będą ci jedli z ręki.

Potem Methydia udzieliła mu pierwszej lekcji. Ku jego zdziwieniu zaczęła od rozkazu, by pokazał jej zakłęcie z monetą, które użył dla dziewczynki w Deming.

- To łatwe - powiedział Safar. - Robiłem to już, kiedy byłem dzieckiem. Przenosiłem jaskrawe przedmioty, żeby się nimi pobawić.

- Po prostu pokaż mi, kochanie - odparła, podając mu monetę.

Safar rzucił monetę w kąt. Kiedy wciąż toczyła się, wykonał gest i sprawił, że znikła. Potem znów machnął ręką i moneta spadła na wciąż otwartą dłoń Methydii.

- Co to ma być? - zapytała Methydia z pogardą, zamiast z zachwytem. - Nazywasz to magią?

Rzuciła monetę wysoko w powietrze. Szybko wskazała na sufit palcem wyciągniętym w dramatycznym geście. Oczy Safara podążyły za nim. Rozległ się ostry trzask eksplozji. W górze wykwitł obłok zielonego dymu przyciągający wzrok Safara. Moneta pojawiła się na chwilę, by zniknąć w dymie. Methydia pochyliła się do przodu, a jej twarz zbliżyła się tak bardzo, że Safar pomyślał o mającym nastąpić zaraz pocałunku. Jej wargi skubnęły jego usta. Potem odchyliła się, uśmiechając szeroko.

Złapała jego nos między palec wskazujący i kciuk, skręcając go delikatnie, raz, dwa, trzy razy. Za każdym razem na jego pierś upadała moneta, staczając się następnie na podłogę. Zgarnęła je i rzuciła w powietrze. Rozległ się kolejny trzask i buchnął kłęb dymu. Trzy monety zamieniły się w jedną, którą złapała w powietrzu.

- To dopiero jest magia! - oznajmiła, trzymając monetę w dłoni i przetaczając ją z palca na palec ciągłym, płynnym gestem.

- Ale przecież ty wcale nie użyłaś czarodziejstwa! - zaprotestował Safar. - Inaczej bym to poczuł. Methydia zaśmiała się.

- To w jaki sposób zrobiłam to wszystko?

- Nie wiem - przyznał Safar. - To pewnie jakaś sztuczka.

- Ale ta sztuczka zyska sobie więcej poklasku niż twoja magia - odparła Methydia.

Safar pomyślał, że zrozumiał.

- To dym - rzekł. - Umiem robić dym.

Wykonał gest w stronę pokładu kabiny. Z punktu na drewnianej podłodze wypłynął cienki strumyczek dymu. Mężczyzna powoli unosił palec, a strumyczek stał się długą rzeką. Potem strzelił palcami, a dym znikł.

- O to chodziło? - zapytał.

- Nie, nie - odparła Methydia. - To nie było dokładnie to, co ja zrobiłam, tylko sposób, w jaki to zrobiłam. Ty użyłeś magii do wywołania dymu, ja użyłam tego...

Otworzyła dłoń, pokazując malutką, zieloną kulkę. Schowała ją następnie w zagięciu między dłonią a kciukiem. Potem zatrzymała dłoń, machnęła z wdziękiem wskazującym palcem i ponownie rozległ się trzask, po którym podniósł się zielony dym.

- Ja użyłam przedmiotu, by wywołać efekt, który wyglądał na magię. Ty użyłeś prawdziwej magii, ale tak niezgrabnie, że wyglądało to bardziej na użycie przedmiotu. Publiczność pomyślałaby - błędnie - że miałeś coś schowanego w ręku. Sęk w tym, że zepsułbyś cały efekt.

- A co z monetą? - zapytał Safar.

- To samo - odparła Methydia. - Rzuciłeś ją w kąt. Ludzie pomyślą, że chcesz odwrócić ich uwagę od sztuczki. Ja natomiast rzucam ją w powietrze, gdzie pojawia się na otwartej przestrzeni, a ja pracuję nad odwróceniem uwagi.

Przypomniał sobie jej palec wskazujący, który przyciągnął jego wzrok i obietnicę pocałunku, która zaćmiła mu oczy.

- Chyba wiem, co masz na myśli - powiedział. - Ale mogłaś użyć prawdziwej magii, nie oszustwa, aby dokonać tej samej rzeczy.

- Nie, nie mogłam. Nie w czasie dwóch przedstawień dziennie - odparła Methydia. - Plus dwa i popołudniówka w dzień świąty. W tym biznesie trzeba działać rozważnie. Musisz mieć tyle samo energii w czasie końcowego aktu ostatniego przedstawienia, co na samym początku. W rozrywce, moje słonko, tyle właśnie dzieli żółtodziobów od profesjonalistów.

Ale Safar był młody i uparty.

- Wydaje mi się - rzekł - że poradziłem sobie dobrze z prawdziwą magią, kiedy przywołałem monetę do ręki dziewczynki. Tłum z pewnością był pod wrażeniem. I na potwierdzenie tego wykupili wszystkie miejsca w namiocie.

- Pomyśleli, że była podstawiona - oznajmiła Methydia. - Część przedstawienia. Podśluchałam, że niektórzy z nich mówili tak po przedstawieniu.

- Och.

- Wrażenie na nich zrobił charakter sztuczki - powiedziała. - Biedna sierotka i jej młoda matka. - Uśmiechnęła się do Safara i poklepała go po kolanie, mówiąc: - Ale muszę podziękować ci za pomysł. Z pewnością zrobił wrażenie na tłumie. Sądzę, że powinniśmy uczynić go stałym punktem programu.

Safar był poruszony, jakby pochwalił go mistrz magii, a nie cyrkowa wiedźma.

- Masz niezły instynkt, skarbie - dodała Methydia. - Jeśli będziesz uważnie przysłuchiwał się temu, co mówi ciocia Methydia, zostaniesz wspaniałym artystą.

Następne dni należały do najradośniejszych w życiu Safara. W jego sercu panował spokój równy temu, który panował w przemierzanych przez nich przestworzach. Kłopoty wydawały się odległe jak ciemne, burzowe chmury na horyzoncie za ich plecami.

Jeszcze jako góral spędzał wiele godzin na wysokich szczytach, studiując zagadki niebios. Obserwował, jak nad jego głową przelatują ptaki i marzył, że leci z nimi. Na chmurostatku Methydie marzenia te spełniały się. Chociaż jego podniebni współtowarzysze wiele razy bywali pyszałkowaci i krzykliwi, zwłaszcza podczas prób, innymi razy tak jak on cenili sobie ciszę. Mijały godziny, nie przerywane najłżejszym dźwiękiem.

Każdy członek trupy i załogi miał swoje ulubione miejsca, w których siedział samotnie i obserwował mijany świat. Do uszu docierały jedynie posykiwania paleniska i pompowanie miechów. Po jakimś czasie te nikłe dźwięki stapały się z pieśnią wiatru, który ich unosił nad krainami zamieszkanymi przez biedne, przyziemne stworzenia.

Safar czuł się podekscytowany swoim nowym życiem. Z całych sił starał się wchłonąć wszystko, czego mogli nauczyć go Methydia i jej trupa. Uczył się o magicznych skrzynkach i zapadniach, dymie i lustrach, drutach tak cienkich, że nie widać ich było na ciemnym tle, ale mogących unieść nad areną setki funtów. Methydia pomogła mu opracować epizod z odczytywaniem myśli. Zdziwił tłumy w czasie przerw między jedną sztuką a drugą, opowiadając szczegóły z życia kogoś z publiki, które zdawały się być wyrwane wprost z myśli. Przed przedstawieniem wykorzystywał dwóch pomagierów, którzy mieli wielkie uszy i bystry wzrok.

Wraz z iluzjami Methydia przyczyniła się do powiększenia jego zasobów prawdziwej magii. Nauczył się subtelnych zaklęć, które ulepszały jego przedstawienie. Niektóre z nich sprawiały, że ponury tłum czuł rozbawienie. Inne wzmacniały zaskoczenie, powodowały wzrost napięcia lub wzruszały kamienne serca. Nauczyła go, jak przyrządzać magiczne amulety i eliksiry, które sprzedawali po każdym przedstawieniu. Safar dodał swoje garncarskie umiejętności, tworząc małe, cudowne fiołki na wywary oraz amulety z kolorowych naszyjników z glinianych paciorków i inną biżuterię.

Nauczył się, jak odczytywać los z dłoni, zamiast rzucać kości. Methydia powiedziała, że taki rodzaj wróżb jest bardziej osobisty, a zatem dokładniejszy niż „grzechoczące trupie kości, które tylko straszą ludzi”. Oprócz czytania z dłoni, Safar nauczył się także, jak w pięć minut nakreślić prosty gwiazdny wykres, który nie zabierał wielu godzin i dni poświęcanych przez Umurhana i jego kapłanów.

- Te naukowe wykresy są tak skomplikowane, tak brzydkie z tymi wszystkimi matematycznymi zawijasami, że tylko jakiś bogacz może je zechcieć - powiedziała Methydia. - I tylko po to, żeby pokazać, iż stać go na wynajęcie mądrego Łowcy Snów. Ale zwykli ludzie - prawdziwi ludzie - chcą

znać terazniejszość, nie to, co będzie za parę dni. I chcą sami umieć odczytać wykres. Pragną powiesić go sobie nad kominkiem i pysznić się przed przyjaciółmi, pokazując im najważniejsze aspekty.

Pozostali członkowie trupy pomagali mu także w nauce artystycznych sztuk. Krzepki karzeł, Biner, nauczył go delikatnej sztuki nakładania makijażu i zmiany rysów twarzy, by móc odgrywać więcej niż jedną postać. Arlain i Kairo pokazali mu kilka prostych akrobacji. Przeprowadzili z nim ćwiczenia, umożliwiające uspokojenie bicia serca, i naszpikowali wzmacniającymi proszkami, aż mięśnie zawibrowały wypełniającą je siłą. Elgy trenował go w wyczuciu rytmu, nakazując Rabixowi grać miarową muzykę, podczas gdy Safar wykonywał sztuczki, aż po kilku powtórkach wydawały się być tak naturalne, jak mentalny rytm wbity w głowę przez Rabixa.

Ku zdziwieniu Methydii - i jego samego - magiczne zdolności Safara rosły wraz z każdym mijającym dniem. Nie był to stopniowy proces, jak w przypadku mięśni. Wyglądało to, jakby skakał z jednego szczytu na drugi. Po raz pierwszy od chłopięcych czasów cieszył się magią. Ryk publiczności zmiótł wstyd, który przypadkowo zaszczerpił mu ojciec. Rozpływał się w zachwycie ludzi, zwłaszcza - jak Biner to przewidział - w zdziwieniu dzieci.

Gdy stał się silniejszy i lepiej wyszkolony, zaczął nawet rezygnować z niektórych sztuczek Methydii. Jego iluzje stały się prawie w pełni magiczne, chociaż wciąż stosował kunszt prowadzącego, by je „sprzedać”, jak mawiała Methydia. To prawda, przedstawienia wyczerpywały go, dokładnie tak jak to przewidziała, ale nigdy aż do tego stopnia, by nie wykonać tylu bisów, ile życzył sobie tłum.

Przez pewien czas Methydia utrzymywała między nimi lekki dystans. Wciąż drażniła się z nim i sugestywnie żartowała sobie z niego, aż się czerwienił. Ale taka była jej natura. Przez większość czasu zachowywała się jak łagodna nauczycielka lub mentorka, poprawiając go w razie potrzeby i chwalać, gdy na to zasłużył. Chociaż ogromnie pociągała Safara, nigdy nie wpadło mu na myśl, że ona może czuć to samo. Przecież miała tyle lat, że mogła być jego matką. Może była nawet starsza. Powinien wstydzić się takiego pozbawionego szacunku myślenia.

W tym samym czasie Safar zauważył, że pomiędzy trupą i załogą narasta niewielkie napięcie, jakby czekali na coś, co już dawno powinno się zdarzyć. Od czasu do czasu, gdy on i Methydia razem pojawiali się na pokładzie, przerabiając nowy aspekt sztuczki, zauważył, że inni zerkają na nich. Potem na twarzach wykwitwały uśmiešky, szeptano po kątach i potrząsano głowami.

Kiedyś podsłuchał, jak dwaj pomagierzy zastanawiali się głośno, czy „Methydia straciła już apetycik”. Safar nie wiedział, co to miało oznaczać. Gdy zagłębił się w dociekaniu, dwaj mężczyźni dostrzegli go, tak więc zawrócił, zawstydzony.

Dni jak ze snu skończyły się, kiedy dotarli do Kyshaat.

Miasto było regularnym przystankiem w trasie trupy. W ciągu setek lat lud Kyshaat zamienił rozległe równiny wokół otoczonego murami miasta w szerokie pola porośnięte dorodnym zbożem. Cyrkowcy spodziewali się wielkich zysków po wizycie w tym regionie i poczuli rozczarowanie, kiedy zobaczyli, że zwykle bujne pola opustoszały. Wyglądały, jakby przeszła tędy ogromna, żarłoczna bestia pożerająca zboże - wraz z łodygami - prawie do samej ziemi.

Na żeglujący w górze chmurostatek spoglądały głodne, żalosalne oczy. Dla Safara zwykle radosna muzyka zalewająca tłum nadawała sytuacji dziwny posmak, a gromki okrzyk Binera, by wszyscy do nich przyszli, zdawał się być płaski i pochłaniany przez gęste miazmaty.

- Nie wiem, co tu się stało - mruknął Biner do Methydii. - Może lepiej, żebyśmy stąd odpłynęli.

Methydia zacisnęła usta i potrząsnęła głową.

- Chcieliśmy zarówno ich towarzystwa, jak i zysku - odparła. - Nie zawrócę tylko dlatego, że los im już nie sprzyja.

Biner skinął głową i powrócił do swoich obowiązków, ale Safar widział, że się martwi. Na ziemi setki ludzi szły za cieniem chmurostatku. Jednak tłum był tak cichy, że Safar słyszał kwilenie małych dzieci niesionych w ramionach rodziców.

Parę minut później chmurostatek został uwiązany nad gołą łatą ziemi, a pomagierzy zaczęli zrzucać ekwipunek.

Gdy stopy Safara dotknęły ziemi, obrócił twarz ku nadchodzącemu tłumowi. Ku jego zdziwieniu wszyscy zatrzymali się na skraju pola, zupełnie jakby wyrosła przed nimi niewidzialna bariera. Stali tam przez następne dwie godziny, podczas gdy pomagierzy rozbijali cyrk. Methydia poleciła im nie zawracać sobie głowy namiotem - trybuny ustawiono na świeżym powietrzu.

Kiedy uznała, że wszystko jest gotowe, skinęła na Safara. Oboje zbliżyli się do tłumy. Mniej więcej dwadzieścia stóp od gawiedzi zatrzymał ich okrzyk:

- Uważaj, Methydio! Nie zbliżaj się!

Methydia pozostała w bezruchu. Jej wzrok przeczesywał tłum.

- Kto to powiedział? - zażądała odpowiedzi.

W tłumie rozległy się pomruki, ale nikt nie odpowiedział.

- No dalej - nalegała Methydia. - Przebyliśmy wiele mil, żeby zabawić naszych przyjaciół w Kyshaat. Cóż to za powitanie? Przemówicie?

Tłum zamruczał, a potem rozstąpił się, przepuszczając przygarbionego, wspierającego się na ciężkiej lasce starca.

- To byłem ja, Methydio - odparł. - To ja wykrzychałem ostrzeżenie.

Choć był tak zgarbiony i stary, Safar wciąż mógł dostrzec zarys niegdyś szerokich ramion. Palce obejmujące laskę były grube, a nadgarstki szerokie.

- Znam cię - rzekła Methydia. - Jesteś Neetan. Masz siedmioro wnuków, których wpuszczałam zawsze za darmo.

Pomarszczona twarz Neetana obwisła jak u starego, bitego psa.

- Zostało ich tylko dwoje, Methydio - odparł. - Resztę powołano do królestwa bogów.

Oczy Methydii rozszerzyły się. Dała krok do przodu.

Tłum poruszył się niespokojnie i ponownie Neetan krzyknął:

- Nie zbliżaj się!

Methydia zatrzymała się.

- Co tutaj się stało? - zapytała.

- Przeklęto nas, Methydio - odparł Neetan. - Cały Kyshaat jest przeklęty. Uciekaj, póki możesz, albo i ciebie dotknie klątwa.

Safar ujrzał, jak przez chwilę na twarzy Methydii gości strach. Potem uparcie uniosła podbródek.

- Nie odejdę stąd - odrzekła - dopóki nie usłyszę, co takiego wam się przydarzyło.

Neetan stuknął laską o ziemię.

- To nie była jedna katastrofa - oznajmił - ale cała seria. Najpierw odwiedził nas król Protarus.

Safar drgnął.

- Iraj był tutaj? - zapytał.

- Uważaj, jak o nim mówisz, synu - rzekł starzec. - Nie spoufalaj się zbytnio z królewskim nazwiskiem.

Safar zignorował te słowa. Wskazał na nagie pola.

- Czy zrobił to Iraj Protarus?

- Tylko częściowo - odparł Neetan. - I nie sam król tu przybył, a jedynie jego generał wraz z niewielkim oddziałem. Zażądał daniny dla króla Protarusa oraz żywności dla jego armii.

- I daliście mu ją, nawet nie żądając zapłaty? - zapytał Safar. Trudno mu było uwierzyć, że jego przyjaciel nie zaproponował tym ludziom zapłaty.

- A jaki mieliśmy wybór? - odparł pytaniem Neetan. - Wiadomo, że król Protarus nie jest tak uprzejmy wobec tych, którzy mu się sprzeciwiają. Przecież za opór złupiono i spalono kilka miast. Potem mężczyźni i starcy zostali zabici, a innych sprzedano w niewolę.

Safar był wściekły. Methydia położyła rękę na jego ramieniu, uspokajając go.

- Powiedziałaś, że była to pierwsza z wielu katastrof. Co takiego spadło jeszcze na wasze barki, mój przyjacielu?

- Przynajmniej król Protarus pozostawił nam tyle, by przeżyć - odparł Neetan. - Ale potem spadła na nas plaga pustosząca nasze domy. Pojawiły się stada ptaków i szarańczy, ogoławających pola oraz bestie, które pożarły nasze stada.

Podczas gdy staruszek wymieniał po kolei nieszczęścia, które dotknęły Kyshaat, Safar dostrzegł na skraju tłumu zarys podobnej do cienia postaci. Ale kiedy spojrział na nią, postać znikła. Nagle w nozdrza uderzył go okropny odór, który zaraz się rozmył.

W tym czasie Neetan mówił:

- Jesteśmy najżałośniejszymi z ludzi, Methydio. Bogowie o nas zapomnieli. Zaklinam cię na naszą miłość do ciebie, na radość, którą przynosiłaś nam przez wiele lat, opuść to miejsce. Zostaw nas na pastwę naszej klątwy, nim sama wpadniesz w jej sidła.

- Nonsens - odrzekła Methydia. - Nie obawiam się żadnej klątwy. Cyrk rozpocznie przedstawienie za godzinę. Wszyscy, którzy chcą przyjść, będą mile widziani - za darmo. Oto mój dar dla starych przyjaciół. Tak więc nie obrażajcie mnie odsuwaniem się.

Potem obróciła się i pomaszerowała do pozostałych, a Neetan i jego przerażony lud gapili się w nią.

Safar wydłużył krok, aż się z nią zrównał.

- Tutaj naprawdę coś jest - powiedział. - To... jakaś... - ale słowa zawiodły go. Zamachał dłonią, próbując przekazać swoje odczucie zimnego, oleistego oddechu, który czuł na karku. - Obecność, tylko tak to mogę określić. Obserwuj nas.

Methydia nagle przyspieszyła.

- Tak, tak - szepnęła. - Teraz też to czuję. Sądzę, że popełniłam błąd, przybywając tutaj. Lepiej się stąd wynośmy.

Safar usłyszał dźwięk, jakby głązy ocierały się jeden o drugi, a potem ziemia pod jego stopami uniosła się.

- Biegiem! - wrzasnął, chwytając Methydię za rękę i pędząc ku chmurostatkowi.

Za jego plecami tłum wrzeszczał, a ziemia rozdzierała się z hałasem. Ujrzał, jak Biner i pozostali łapią młotki, siekiery i inne przedmioty, które mogłyby posłużyć im za broń. Safar, gdy tylko dopadł statku, wypuścił Methydię i okręcił się, by stawić czoła zagrożeniu.

Zobaczył, jak ziemia podnosi się. Korzonki krzaków i drzewek rozdzierały się, a żwir, ziemia i

kamienie spadały deszczem po puchnącym wzgórzu. Przed jego oczami wzgórek zamienił się w ogromną postać z ziemi, obdarzoną ramionami, głową, tułowiem i parą potężnych nóg. W miejscu, gdzie powinny znajdować się usta, pojawiła się dziura. Stwór przemówił, a spomiędzy warg wytaczał się żwir i odłamki skał.

- Moi! - ryknął potwór grzechoczącym, głuchym głosem, który wydawał się wydobywać z głębokiej jaskini. Zamachał wielkim ramieniem, obsypując Safara i pozostałych żwirem i kępkami ziemi. - Moi! - rzekł ponownie, tocząc łapą w stronę tłumu. Potem wyciągnął olbrzymią rękę, celując w nich sękatym palcem o długości dorosłego mężczyzny. - Teraz wy jesteście moi! - oświadczył.

Powoli zaczął iść do przodu, a ziemia zadrżała. Odpadły od niego małe krzaczki i drzewka, które nagle nabrały życia. Wzdłuż kończyn z gałązek i długich włosów z korzeni pełzło błoto, formując ciała wokół drewnianych szkieletów.

- Moi! - zawył ziemisty stwór, a jego pomiot ruszył ku Safarowi i jego przyjaciołom, wyciągając sękaty łapy, by ich schwycić.

Stwory rozproszyły się w łuk, powoli zaciskający się wokół trupy. Ich ziemisty stwórca zachęcał ich zawodzeniem:

- Moi!

Biner podniósł wielką skrzynię i rzucił w zbliżające się stworzenia. Skrzynia uderzyła w środek szeregu, niszcząc trzy potwory. Ale pozostałe kontynuowały marsz, ciągnąc błotniste ciała w stronę trupy.

Arlain odchyliła głowę, wciągając powietrze i otaczając się ogonem. Potem rzuciła się w przód, a z jej ust buchały długie płomienie. Rozległa się seria mlaszczących wystrzałów przypominających wybuchy termitier w czasie pożaru lasu. Po jednej stronie wszystkie potwory stanęły w ogniu.

Wtedy do ataku ruszył cały cyrk z Binerem na czele, młóćąc siekierami, młotami i drewnianymi fragmentami takielunku.

Safar złapał Methydię za rękę, zatrzymując ją. Koncentrował się na ziemnym gigancie.

- Moi! - ryczał potwór, strząsając potoki kamieni, błota i krzaków, które szybko formowały się w nowe stworki zastępujące te zniszczone.

- Pomóż mi, Methydio! - krzyknął Safar, ściskając mocniej jej dłoń.

Sięgnął po jej magiczną siłę. Poczul jak kobieta najpierw opiera się, a później poddaje. Wtem osłona podniosła się i miał ją - silną, smukłą pięść energii, która wzmocniła jego własną.

Safar obrócił się ku ziemnemu gigantowi. Prawie już ich dopadł. Ujrzał, jak wyciąga rękę, by złapać Binera. Czarna paszcza otworzyła się, pokazując młyńskie kamienie, które były jego zębami.

- Nie! - usłyszał krzyk Methydii.

Safar przywdział płaszcz spokoju. Wszystko stało się wyjątkowo powolne, zupełnie jak w dniu, w którym walczył z demonami. Nawet gdy dłoń ziemistego giganta zaciskała się wokół Binera, Safar nie spieszył się.

Uformował w myślach ostrą sondę i wystrzelił ją przed siebie. Poczul, jak prześlizguje się przez luźną masę ciała stwora, odnajdując ścieżkę najmniejszego oporu, a potem podąża w górę.

Głęboko wewnątrz znalazł pustą łupinkę owada. Była to szarańcza, z której wyssano wszystkie soki. W jej środku odkrył coś malutkiego i złośliwego, co zaczęło się wić, kiedy sonda je znalazła, naprężając się i rozsadzając zwłoki owada.

Był to robak nie dłuższy niż palec. Był biały jak czerw, a na jego głowie widniał wielki czarny punkt, o którym Safar pomyślał, że musi być okiem. Stworzenie żywiło się rozpaczą i bólem. Kiedy

Safar je badał, zdał sobie sprawę, że stworzenie jest dopiero larwą, z której rozwinię się coś jeszcze gorszego. Widział, jak pod skórą wierzgają na wpół uformowane nogi, a zakończony załączkiem żądła ogon wygina się w łuk. Malutki stworek cisnął w niego żarłocznymi myślami.

- Moi! - zaskrzeczał. - Chcę... moich!

Safar usłyszał wołanie Methydii:

- Pospiesz się, Safarze!

Ale on się nie spieszył. Zamienił sondę w dwa grube palce. Sięgnął po larwę, znosząc ciosy malutkich, ostrych noży głodu i nienawiści. Złapał stwora między palce. Robak walczył, oślepiając jego zmysły błyskami czarnoksięstwa.

Safar zignorował ból i zgniótł larwę.

Nagle jego zmysły zaatakował wstrętny odór śmierci. Z wysiłkiem wycofał swoją jaźń.

Usłyszał gruchot. Spojrzał w górę i oślepiiony ujrzał, jak ziemisty gigant rozpada się w wielkie kawałki skał i błota. Biner uskoczył, tuż zanim wielka masa runęła w dół. Po uderzeniu o ziemię podniósł się gęsty obłok kurzu. Wszędzie wokoło spadały kamyki i kawałki gruzu. Potem kurz opadł, a w zasięgu wzroku nie było niczego prócz wielkiej hałdy ziemi.

Safar nagle poczuł się słabo i niepewnie. Obrócił się ku Methydii i dojrzał w jej oczach zdziwienie. Był to ten sam wzrok, którym obrzucił go Iraj, gdy ściągnął lawinę na demony.

- To była tylko larwa - próbował wytłumaczyć, ale wydobył z siebie jedynie niewyraźne mamrotanie. - Głupia, mała...

I runął na ziemię.

Lud Kyshaat miał swoje przedstawienie. Wielu mówiło, że Methydia i jej trupa popisali się najlepszym przedstawieniem w swej karierze. Dzieci zestarzały się, zabawiając swoje wnuki opowieściami o tym pamiętnym dniu, gdy pokonano stwora, który przyniósł im tyle rozpaczy. A także o dzikiej uroczystości, która potem nastąpiła.

Safar, bohater tego zdarzenia, nie widział nic z biesiady. Zapadł w śpiączkę, która trwała prawie tydzień. Kiedy odzyskał przytomność, znajdował się na pokładzie chmurostatku, który właśnie przedzierał się przez burzę.

Ponownie leżał na materacu w kajucie Methydii. Panowała ciemność, a na zewnątrz wiatr zawodził w olinowaniu, zaś pokład siekł deszcz.

Poczuł pragnienie. Szperał wokół po omacku, aż natrafił na kubek. Wypił. Było to grzane wino z miodem.

Gdy z hukiem otworzyły się drzwi, uderzyło w niego zimno. Spojrzał w górę. Stała tam Methydia w okrywającej ją całą parce z kapturem. Jej oczy, wpijając się w niego, przypominały lśniąca studnie. Podmuch wiatru odsunął parkę w bok. Pod spodem miała cienką, wilgotną białą szatę, prawie przezroczystą od deszczu. Uderzył w nią jeszcze jeden podmuch, ale zimno wydawało się tylko rozpalać w nim ogień.

- Zamknij drzwi - powiedział.

Przynajmniej pomyślał, że powiedział. Jego usta uformowały słowa, ale nie usłyszał, by choć jedno je opuściło.

Mimo to Methydia zamknęła drzwi.

Wtedy wyciągnął ręce i wyszeptał:

- Proszę!

Methydia przemknęła przez pokój i wpadła w jego objęcia. Zanurzył się w jej ciepłym sercu. Odkrył burzę i uspokoił ją.

Przez dłuższy czas czuł tylko miłość i słyszał głos Methydii, wołający jego imię.

Wichry Przeznaczenia

Król Manacia - Boski Lew, przysły Lord Esmiru, Odważny obrońca Ghazbanu, Prefekt Zanzairu, Jego Łaskawa Wysokość - cierpiał od koszmarów.

W snach ścigały go nagie ludzkie diabły o łuszczącej się jak u zmory skórze, łapach bez szponów, z grubymi, czerwonymi jęzorami, które wyglądały jak węgorze spalone na padlinie.

Zamykał oczy, by odpłynąć w sen zaraz po ugaszeniu królewskiej żądzy z pomocą konkubiny. Jednak natychmiast pojawiały się ludzkie hordy, nacierając na niego, wydając mroźną krew w żyłach okrzyki i zgrzytając płaskimi, mielącymi mięso zębami. Król próbował uciekać, ale jego kończyny odmawiały posłuszeństwa. Stał nieruchomo, a okropne stworzenia pędziły ku niemu, wyjąc z nienawiści.

Krwiożerczemu tłumowi zawsze przewodziło dwóch wysokich ludzi. Jeden z nich miał jasną skórę, złotą brodę i loki, na których spoczywała korona. Drugi był smagły, nie miał brody, a ciemne, długie włosy powiewały na plecach. Miał też duże, błękitne oczy, którymi wwiercał się w duszę króla, buszując w jej głębiach, gdzie Manacia skrywał swe sekrety i świętości.

Sny sprawiały, że budził się drżący i osłabiony. Przez dłuższy czas starał się je ignorować, mówiąc sobie, że wywołał je zapewne stres spowodowany królewskimi obowiązkami. Jego plany najazdu ludzkich krain wyczerpały go. To wszystko.

Realizacja planów szła opornie, co przyczyniło się do jego rozdrażnienia. Generałowie doprowadzali go do szaleństwa przesadnie ostrożnymi radami. Chcieli zebrać armię z tak wieloma liniami posiłkowymi, by żadne ludzkie siły nie mogły jej się oprzeć.

Początkowo król Manacia nie miał nic przeciwko tej strategii. Przeważające siły były jedyną rozsądną odpowiedzią na potencjalne trudności militarne. Ale to, co generałowie uważali za przeważające, jak wkrótce się dowiedział król, zawsze dwakroć przewyższało każdą zaproponowaną przez niego liczbę.

Manacia wiedział, że kariery i życia jego generałów oraz dworu zależały od wyniku zmagania. Król nie przeproszał za swoje odczucia odnośnie przegranej. Słabi i pozbawieni szczęścia nie mogli mu się przydać, tak więc pozbywał się tych, którzy choćby przez chwilę zwątpili w całkowite zwycięstwo. Ale mimo to ostrożność generałów sprawiła mu zawód. Gdzie podział się patriotyzm? Dokąd odeszło poczucie obowiązku w stosunku do króla i Ghazbanu? Trzeba wykorzystać szansę swego życia, uważał Manacia, albo nigdy nie osiągnie się niczego wielkiego.

Gdy nadszedł czas inwazji, król zamierzał srogo karać za wszelkie uchybienia, a nagrody, które obiecywał w zamian za sukces, powinny z nawiązką przewyższyć obawy generałów.

Jednak z jakiegoś powodu stało się inaczej. Plan był dość prosty. Manacia najpierw zamierzał podbić regiony, położone na północ od Łańcucha Bogów. Góry były naturalną barierą, która pozwoli mu narzucić ludziom swoją wolę, a potem zebrać siły do ostatecznego ataku. Po prawdzie starodawne mapy nie dawały mu żadnej wskazówki, jakim szlakiem powinien podążać, by przekroczyć

tę zaporę, ale Manacia był pewien, iż - po upływie pewnego czasu i po całkowitym opanowaniu północnych ludzkich krain - odnajdzie przejście. Na bogów, odnajdzie Kyranię! Albo pewni leniwi, ociągający się generałowie poczują jego gniew na własnej skórze.

Aby przeprowadzić pierwszą część planu i podporządkować sobie północ, jego siły przekroczą Zakazaną Pustynię i ustanowią obóz wypadowy tuż na jej drugim skraju. Tam ściągną wozy zaopatrzeniowe i oddziały posiłkowe, podczas gdy główne siły dokonają skoku w przód, oczyszczając ziemię z ludzi.

Zdaniem Manacii, zaskoczenie zapewni im zwycięstwo. Tak, chciał mieć wielkie siły do przeprowadzenia inwazji. Ale nie muszą być aż tak ogromne, jak mówili generałowie, ani połączone z tak nieporęcznymi liniami zaopatrzeniowymi. Nikt na ziemiach ludzi nie miał pojęcia, że ich wrogowie szykują się do napaści. Król Manacia upewnił się, że tak będzie, odmawiając każdej prośbie o wysłanie grup zwiadowczych, które miały zbadać krainy ludzi. Już podjął zbyt wielkie ryzyko, wysyłając Sarna. Nie zamierzał kusić losu, powtarzając ten błąd.

Jednakże jego generałowie wykorzystali to, mówiąc, iż każdy kij ma dwa końce. Owszem, trzymanie ludzi w nieświadomości było mądrym posunięciem. Ale oznaczało także, że demony nie będą nic wiedzieć o tym, co dzieje się w krainach ludzi. Nie było sposobu na to, by zorientować się, kto może oddać cios i z jaką siłą.

Jedynym bezpiecznym i rozsądnym posunięciem, jak mówili generałowie, było zaatakowanie dobrze uzbrojoną armią o takiej liczebności, że każdy przeciwnik będzie z góry skazany na porażkę.

Generałowie Manacii byli zażarcie skłóconą gromadką. Zawsze knuli za plecami i atakowali swych braci oficerów. Jednakże wszyscy zjednoczyli się w tej sprawie. Lord Fari i książę Luka połączyli się w rzadko spotykanym sojuszu, by wesprzeć generałów.

Fari, odsunięty od badania ludzkich krain przy użyciu zakłęt wywiadowczych, miał podobne zastrzeżenia, co wojskowi. Tak samo książę, który jako dziedzic tronu miał poprowadzić straż przednią inwazji.

- Jeśli to ja mam zostać obdarzony najwyższym zaszczytem niesienia twojego sztandaru w bitwie, Wasza Wysokość - powiedział książę - to chcę się upewnić, że nigdy nie zostanie splugawiony ani skalany. Będę walczył do śmierci, by temu zapobiec.

- Tak powinno być - odparł król Manacia. - Mój ojciec spodziewał się po mnie tego samego, kiedy byłem księciem. A ja wielekroć ryzykowałem życiem w obronie jego godła.

Książę Luka położył szpony na piersi i skłonił się nisko, składając hołd młodzieńczej odwadze ojca. „Tak też było - pomyślał - ty knujący stary oszuście. Poderżnąłeś ojcu gardło, gdy spał, i zagarnąłeś jego sztandar. I jeśli tylko pojawi się szansa, ja zrobię tak samo”.

- Wasza Wysokość jest dla mnie nieustającym natchnieniem - odpowiedział gładko książę. - Będę potrzebował dziesięć tysięcy demonów do mojej awangardy.

I król mu ich dał.

Po burzliwej dyskusji z generałami zgodził się także, iż powołana zostanie pięćsettyśięczna armia demonów - największe siły w historii Esmiru. Wspierać ją będzie dwa tysiące czarodziejów prowadzonych przez lorda Fariego.

Zakrojone na szeroką skalę przygotowania ciągnęły się równie wolno, jak żółwi bogowie nieśli kontynenty po morzach.

Ciągłe problemy odrywały uwagę armii od zadań i utrudniały ich realizację. W ciągu jednego miesiąca trzeba było sześciokrotnie przerzucać oddziały do zapalnych punktów.

Król Manacia czuł się tak, jakby całe jego królestwo trzeszczało w szwach, gotowe do eksplozji.

Koszmary spotęgowały to wrażenie jeszcze bardziej. Gdy jedna niespokojna noc przechodziła w następną, zaczął skupiać się na dwóch ludzkich diabłach, którzy zawsze przewodzili hordzie - złotowłosym i jego błękitnookim towarzyszem. Stali się dla niego bardzo realni. Zaczął zastanawiać się, kim mogą być.

Kiedy nie mógł już dłużej tego znieść, wezwał lorda Farięgo i jego czarodziejów, by rozwiązali problem. Próbował żartować ze snów, ale wiedział, że nikogo nie oszuka, a Farię potraktuje to jako słabość.

Nakreślono gwiazdne wykresy, które okazały się bezużyteczne, jako że żaden z nich nie zgadzał się z następnym. Niebiosa kryjące śpiących bogów nie udzielały odpowiedzi, chociaż Łowcy Snów nie mieli pojęcia, dlaczego ponieśli porażkę.

Grzechotano kubkami z kośćmi. Wiele razy wrócono królowi z ręki. Bez skutku.

W końcu lord Farię kazał przywlec ludzkiego niewolnika. Torturowano go, by jego krzyki sprawiły przyjemność bogom, a potem, gdy wciąż żył, rozcięto mu brzuch, aby królewscy magowie mogli czytać z jego wnętrza.

Manacia z wielkim zainteresowaniem obserwował Farięgo, który pochylał się nad zawodzącą ofiarą, obwąchując ziewającą ranę.

- Zdrowy zapach, Wasza Wysokość - zameldował stary czarodziej. - To dobry omen.

Podniósł w łapie zwój wnętrza.

- Litości, miejcie litość - jęknęła ofiara.

Farię wpatrywał się uważnie w zwój tkanki.

- Coraz lepiej, wasza Wysokość - powiedział po chwili. - Oto dobre, mocne jelito symbolizujące krzepką politykę Waszej Wysokości.

Człowiek wydał z siebie słaby okrzyk, gdy Farię wyciągnął jeszcze więcej wnętrza.

- Błagam - zawył mężczyzna. - Proszę!

- Aha! - powiedział stary demon. - Oto nasze kłopoty, Wasza Wysokość.

Podniósł błyszczące pęto jelit. Na jego powierzchni wystawał gruby sznur wewnętrznych mięśni, rozdzielając się na dwie tępo zakończone tuby o długości około cala.

- To rak, Wasza Wysokość - rzekł Farię - połączony z główną gałęzią. Czy widzisz, jak dzieli się na dwoje?

Manacia pokiwał głową. Naprawdę to widział. Farię wyciągnął szpon i przekroił każdą z tub. Trysnęła czarna krew.

- Matko litościwa! - krzyknęła ofiara. Człowiek padł nieruchomo, bez czucia.

Usatysfakcjonowany dostateczną ilością informacji, Farię upuścił wnętrza. Dwóch niewolników podczołgało się, podając mu perfumowaną wodę i ręczniki, by mógł obmyć łapy.

Farię przechadzał się, wycierając szpony i rozmyślając. W tym czasie dwaj inni niewolnicy zbliżyli się i odciągnęli człowieka. Farię zauważył to i poderwał pysk.

- Król chce serce na obiad - rozkazał niewolnikom. Potem zaczął się ponownie przechadzać.

W końcu, gdy Manacia pomyślał, że nie zniesie dłuższej zwłoki, Farię zaczął mówić.

- Oto, w jaki sposób odczytuję znaki, Wasza Wysokość - zaczął. - Obawiam się, iż rak reprezentuje zagrożenie. Bliźniacze sznury wysysające energię z głównego jelita to dwóch ludzi, którzy nawiedzają sny Waszej Wysokości. Jeden z nich jest królem. Drugi magiem.

- No to co, że jest magiem? - ryknął Manacia. - Ludzka magia jest zbyt słaba, by mogła stanowić

dla nas zagrożenie.

- Z pewnością, Wasza Wysokość - odparł Fari. - Lecz możliwe jest, iż w połączeniu z królem staje się groźniejszym przeciwnikiem. Nie umiem tego określić. Wnętrznosci nie zdradzają tego. Ale mówią mi, że teraz te dwie siły - król i czarodziej - są rozdzielone. Zaczynali razem, ale później z jakiegoś względu oddalili się od siebie. W tej chwili każdy z nich jest niezależny od drugiego.

- Kiedy się połączą? - zapytał król.

Fari westchnął, wycierając z łap resztki krwi.

- Tego mi nie ukazano, Wasza Wysokość - odparł. Upuścił ręcznik, a niewolnik podpełzł, by go zabrać.

- Ale co z moją inwazją? - naciskał król. - Jak długo mogę czekać? Wydaje mi się, iż im dłuższa zwłoka, tym większa jest szansa, że te dwie siły się połączą.

- Prawda, Wasza Wysokość - oznajmił Fari.

- Doradź mi - zażądał król. - Kiedy mam napaść?

Fari nie wahał się. Stary demon był pewien siebie. Wnętrznosci ukazały mu to wyraźnie.

- Wiosną, Wasza Wysokość - powiedział. - Gdy tylko stopnieją pierwsze śniegi.

- A co z tym królem i czarodziejem? - zapytał Manacia. - Czy nie połączą się do tego czasu?

- Nie sądzę, Wasza Wysokość - odparł Fari. - Są zbyt daleko od siebie. I jeśli jakaś wielka zawierucha nie porwie jednego z nich i nie rzuci u stóp drugiego, nie mamy się czego obawiać.

Burza, która pędziła chmurostatek przez równiny Jasparu, trwała ponad tydzień. Wiatry, które ją napędzały, były tak dzikie, jak miłość w kajucie Methydii.

Dla Safara była to pełna cudów podróż do kobiecego serca. Pod wieloma względami Safar od zawsze wolał towarzystwo kobiet. Wychowywał się w domu pełnym hojnych i inteligentnych pań. Jako dziecko przesiadywał w ich towarzystwie, zachowując się tak cicho, że wkrótce zapominały, iż jest z nimi, i przysłuchiwał się z zapałem ich kłopotom i marzeniom. Safar uważał, że kobiety mają ciekawsze marzenia od mężczyzn. Dostrzegały niuanse i konkretne kształty tam, gdzie mężczyźni widzieli jedynie płaskie, pozbawione cech równiny. Safar nie miał szczęścia w pierwszych dorosłych doświadczeniach związanych z kobietami. Astarias zraniła go. Chociaż starał się, by nie oceniać wszystkich kobiet przez pryzmat tego doświadczenia, nic nie mógł poradzić na wątpliwości i obawy, które w nim pozostały.

Methydia za jednym zamachem zmiotła je wszystkie.

Dla niej z kolei ten związek był zupełnie inny. Wstrząsnął jej poczuciem rozsądku i zakołysał całym życiem. Przeżyła wiele związków. Część z nich służyła korzyściom materialnym, część żądzy, może ze dwa lub trzy miłości - chociaż starzejąc się, zaczęła myśleć, że wszystkie trzy rodzaje były jednym i służyły jedynie miłości własnej. Ale przy Safarze pojawiło się coś więcej - zwodnicza zagadka czająca się tuż poza jej zdolnością poznania.

Methydii zawsze najbardziej podobało się w młodych mężczyznach to, że ją tak adorowali. Kobieta musiała być jedynie kobietą i przejmować władzę. Dobrze wychowani młodzieńcy byli tak przyzwyczajeni do słuchania matek, że zdjęcie odpowiedzialności z ich barków sprawiało im ulgę. Mogła oszukać ich spojrzeniem. Podniecić dotykem. Przyprzeć do muru zmarszczeniem brwi. Methydia była aktorką w każdym calu. Mogła przed mężczyzną grać wszystkie role, ale w przypadku młodzieńców było to łatwiejsze. Zostawało więcej czasu, by się nimi nacieszyć. Jak mawiał często Biner: „Szefowa lubi swoje zabaweczki, o tak. Lubi, jak są młode i mają instrukcję obsługi, żeby

było łatwo ich użyć”.

Safar mógł zostać taką zabaweczką, chociaż zabrała go z pustyni jedynie z dobrego serca. Kiedy wydobrzał, a ona zauważyła, że jego osobowość jest równie miła jak wygląd, zaczęła rozważać wzięcie go do łóżka.

Ale tym, co pochłonęło Methydię bez granic, była magiczna osobowość Safara. Jego dusza była piękna, potężna i pełna uczuć. Cechowała ją moc - w całej swojej karierze więdźmy nie wyczuła takiej siły - ale w samym sercu gościło jedynie dobro. Duchowa jaźń Safara chciała nazywać ludzi przyjaciółmi, zanim rozpoznała w nich wrogów. Była młoda, ale pełna wdzięku i pozbawiona niezgrabności. Poznała już śmierć - i odczuwała rozpacz, ponieważ to ona ją wywołała - opierając się przed wyrzeniem na światło. Przez pewien czas Methydia była onieśmielona magiczną jaźnią Safara. Nie obawiała się jej, ale martwiła, że jeśli nie będzie ostrożna, zrani ją tak bardzo, że cała łagodność zniknie. Jako złoczyńca i czarny mag, w pełni dojrzały Safar Timura byłby straszliwym darem dla świata.

Choć Safar był tak atrakcyjny, przez dłuższy czas się powstrzymywała. Właściwie Methydia prawie się zdecydowała, że najlepiej będzie odmówić sobie tego związku.

Zdarzenie w Kyshaat odcięło ją od tej cumy.

Methydia uważała że w swoim długim życiu doświadczyła już wszystkiego. Odwiedziła wiele królestw, zabawiała wielu ludzi. Radziła sobie wiele razy z niebezpieczeństwem i ze złem, ale w głębi serca wierzyła, że dobro znacznie przewyższało zło, a los przeważnie niesie ze sobą błogosławieństwa, a nie przeciwności. Celem swojego życia uczyniła przypominanie ludziom o tych wartościach.

Jako więdźma była świadoma, że czarnoksięski krajobraz pstrzyli magowie i stworzenia, których jedynym celem było wyrządzanie krzywdy innym. Zawsze udawało jej się unikać kontaktów z nimi. Methydia przywoływała magię z głębi ziemi. Wierzyła, że czerpie moc z samej natury, która zawsze była dla niej jak kochająca babcia.

Stwór, którego spotkała w Kyshaat, roztrzaskał ten obraz w drobiazgi. Kiedy potwór podnosił się z ziemi, miała wrażenie, że atakuje ją sama ziemia, jakby natura nagle ujawniła swoje prawdziwe oblicze, które okazało się pyskiem szakala. W tej okropnej chwili, kiedy ziemna bestia majaczyła nad nią, pomyślała, że oto traci zarówno życie, jak i duszę.

Safar uratował i jedno, i drugie.

Kiedy wyszedł ze śpiączki, Methydia uciekła w jego ramiona, szukając w nich pocieszenia i bezpieczeństwa w czystej radości życia. Przez tydzień ukrywała się tam przed wszystkimi strachami, które obudził stwór. Ale mimo wszystko czaiły się w pobliżu. Późną nocą, kiedy na zewnątrz wyła burza, a Safar spał, Methydia po kolei wypuszczała lęki. Studiowała je i w końcu doszła do wniosku, że bestia z Kyshaat była zwiastunem przeznaczenia, pierwszym z wielu potworów, które pojawią się w przyszłości.

Instynkt powiedział jej, że tylko Safar potrafi zwalczyć mroczną falę.

Kiedy doszła do takiego wniosku, domyśliła się, że go straci. Safar nie mógł pozostać z cyrkiem. Wiódłby tu szczęśliwsze życie, ale jego tragedią był fakt, że wszelkie szczęście miało mu być odmówione. I pewnego dnia obowiązkiem Methydii będzie wskazanie mu pustej drogi jego przeznaczenia.

Nie powiedziała o tym Safarowi. Gdy doszła do wniosku, że nadszedł właściwy czas, delikatnie wypytała go o dalsze szczegóły jego przeszłości. Wszystko, co powiedział, potwierdziło jej pogląd.

Opowiedział jej o wizji Hadinu i jego zniszczeniu, obawach dotyczących przyszłych katastrof, poszukiwaniu wiedzy w Walarii, odkryciu demona Aspera i w końcu o tym, jak odmówiono mu zajrzenia w prace mistrza. Pokazał jej kamiennego żółwia, którego podarowała mu Nerisa. Wraz z nim oplakiwała słaby puls prawie umierającego stworzenia w środku.

- Byłem głupcem, próbując znaleźć odpowiedź - rzekł gorzko Safar. - Jakie to miałyby znaczenie, gdybym ją odkrył? Syn garncarza z Kyranii nie może nic zrobić.

Potem przysiągł, że zawsze będzie ją kochał, na zawsze z nią pozostanie i nigdy nie wróci do nudnego, przyziemnego bytowania przywiązanych do gleby śmiertelników, którzy zadziwieni gapili się w niebo, gdy chmurostatek żeglował ponad ich głowami.

Methydia milczała. Wyjawienie własnych przemyśleń nie wpłynęłoby na niego dobrze. Ale musiała upewnić się, że Safar będzie gotów na to, co czeka na niego w przyszłości.

Postanowiła, że w czasie, który im jeszcze pozostał, nauczy go wszystkiego, co wiedziała o magicznych podstępach i ludzkich knowaniach. Obdarzy go bezmiarem miłości - uczuciami, które trzymała w ukryciu, aby lepiej bronić się przed światem. Wzmocni jego pewność siebie i, najlepiej jak potrafi, uwolni od ograniczeń, które sam sobie narzucił.

A kiedy nadejdzie czas, zbierze siły i sprawi, że Safar stawi czoło swojemu przeznaczeniu.

Burza szalała, a jej porywiste wiatry niosły ich do przodu, przez równiny Jasparu.

W krainach, nad którymi przelatywał chmurostatek, widzieli wiele smutku. Mijali zrujnowane wioski i ogołoczone pola, przez które przechodziły wielkie armie. Nawet podczas największych ulew widzieli tysiące uciekinierów brnących drogami bogowie wiedzą dokąd. Potem ujrzeli pozostałości po bitwie: rozległe, błotniste pola zarzucone zwłokami ludzi i zwierząt.

Widok sprawił, że wszyscy wpadli w ponury nastrój. Wymieniali między sobą tylko najpotrzebniejsze słowa. Safar stał się najbardziej ponury ze wszystkich. Wpatrywał się w przygnębiający krajobraz.

Pewnego dnia przedostali się na drugą stronę łańcucha niskich gór. A kiedy przedarli się przez chmury, niebo rozświetliło słońce. Oddychali przejrzystym powietrzem.

Unosili się nad wielką, spokojną doliną. Jej podłoże przypominało tkaninę pozszywaną z wielu kawałków. Błękitne potoki rozdzielały jasnozielone sady, a wesoło pomalowane wioski rozgraniczone były cienistymi ogrodami. Wszystko wyglądało zdrowo i bogato. Nie było znaku kłopotów, na które natknęli się wcześniej.

Świeży zefirek pchał chmurostatek przed siebie. Na odległym krańcu doliny znajdowało się miasteczko otoczone perłowymi murami, zza których wyglądały pełne wdzięku budynki.

Safar wychylił się przez reling, aby przyjrzeć się mu uważniej. Widok wywołał uśmiech na jego twarzy.

- Co to za miejscowość? - zapytał.

- Miasto Sampitay - odpowiedziała Methydia. - Nigdy jeszcze tu nie występowaaliśmy, ale słyszałam o nim wiele dobrych rzeczy. Jak mi opowiadano, to raj dla artysty.

Safar zamyślił się, przypominając sobie z trudem lekcje geografii u Gubadana. Potem rozpoznał sady wypełnione białymi drzewami morwowymi. Sampitay było szeroko znane ze wspaniałych jedwabi i królewskiego, żółtego barwnika uzyskiwanego z korzeni drzew.

- Sampitay - rzekł Biner. - To szczęśliwe miejsce. Teraz mi przykro, że tak okropnie przeklinałem bogów za tę ohydłą pogodę.

Safar obrócił się i spojrzał w tył na góry. Wielkie zwały chmur, pędzone odległą burzą, spieszyły za nimi po niebie.

„Chyba już nadszedł czas - pomyślał - by wichry przeznaczenia nieco złagodniały”.

Powrót Protarusa

Jeszcze przed pierwszym przedstawieniem Safar wiedział, że coś było nie tak.

Tłumy, które ich witały, okazywały odpowiedni entuzjazm, tak samo jak żołnierze, którzy skierowali ich na pole przed bramami miasta. Pomagierzy ustawili cyrk w rekordowym czasie, miejsca na pierwsze przedstawienie sprzedano jeszcze przed ustawieniem pierwszej kasy.

Zacni obywatele Sampitay tak łaknęli rozrywki, że ustawili się rzędem, błagając o uwolnienie ich kieszeni od kwot za wstęp, a chmurostatek jeszcze nie został rozładowany. Trupa Methydie została zmuszona do pospiesznego zaprezentowania pierwszego przedstawienia, skracając bisy do minimum, by przyjąć zniecierpliwioną drugą turę.

Zadowolenie tej publiczności nie było wielką sztuką. Ludzie rycieli ze śmiechu już na zapowiedź klauniego pokazu, wzdychali z przerażenia, gdy akrobata ledwo się pośliznął, jęczyli w oczekiwaniu, gdy Methydia lub Safar wykonali najlżejszy magiczny gest.

Zaskakujące, ale trupa była niezadowolona.

- Mógłbym pierdzieć, a oni i tak by się śmiali - skarżył się Biner.

- Gwizdałbym przez zęby a oni umarliby z przerażenia - powiedział Elgy.

- Są tacy chętni, że chce mi się pluć - rzekła Arlain. - A bogowie wiedzą, co się dzieje, kiedy pluję!

Choć Safar miał niewiele doświadczenia, widział, że coś jest nie w porządku w tym zbytnio hałaśliwym aplauzie, po rzuceniu w powietrze pierwszej dymnej purpurowej kulki, którą rozpoczął występ. W wiatach tłumu wyczuł nutę hysterii.

Podczas występu, w którym odczytywał myśli, ogłosił, iż panna o imieniu Syntha wkrótce weźmie ślub, a jej miłość zawsze będzie szczęśliwa. Młoda kobieta, o którą chodziło, po ogłoszeniu tej nowiny - którą Safar otrzymał dzięki uprzejmości wielkouchych pomocników - tak głośno piszczała z radości, że cała publiczność rozszlochała się.

- Co z nimi jest? - zapytał Safar Methydie w przerwie pomiędzy występami.

Methydia uśmiechnęła się blado. Błądziła gdzieś myślami, powoli nakładając makijaż.

- Czy tak już się przyzwyczaiłeś do oklasków - spytała - że zaczynasz w nie wątpić?

- Och, przestań - odparł Safar. - Nie ja jeden je kwestionuję. Elgy powiedział, że ostatnim razem, gdy grał przed taką publicznością, okazało się, że trupa zawędrowała w sam środek zarazy.

- Strach przed śmiercią - zawyrokowała Methydia - rzeczywiście wzbudza w ludziach zainteresowanie życiem.

- Czy wiesz o czymś, czego nikt z nas nie wie? - zapytał Safar z rosnącą irytacją.

- Tylko to - odrzekła Methydia, podając mu wielką, zdobioną kartę z charakterystyczną pieczęcią ze złotego wosku. - Otrzymaliśmy rozkaz zaprezentowania przedstawienia dziś wieczorem dla królowej Army i jej dworu.

Safar spojrział na kartę, która kiedy indziej byłaby zaszczytem i powiedział:

- Dlaczego to niedobra wieść?

- Ponieważ zaproszeniu towarzyszył kufer jedwabiu - odparła Methydia. - A ten jedwab, zgodnie ze słowami posłańca, który go dostarczył, jest zaliczką na poczet tygodniowych przedstawień dla poddanych królowej.

- Dla podniesienia morale? - spytał Safar.

- Mówię o tuzinie bel najwspanialszego jedwabiu z Sampitay - powtórzyła Methydia.

Safar który spędził całe życie w wiosce na szlaku karawan, dobrze wiedział, ile to było warte.

- Jak wysoko trzeba im podnieść morale? - zapytał - I dla czego?

- Nie wiem - rzekła Methydia. - Posłaniec był niezmiernie grzeczny, ale usilnie starał się unikać udzielania mi odpowiedzi. Zupełnie, jakby spodziewał się po nas, że spakujemy się i wyniesiemy na najłżejszą wzmiankę o kłopotach. Przez godzinę gadał o tym, jak wspaniałą władczynią jest Arma, rozplątywał się nad znakomitym zdrowiem jej dzieci i szacunkiem, którym darzą ją poddani. Oraz o doskonałym stanie jej królestwa.

Safar mrugnął. W Walarii nauczył się odczytywać strach na królewskiej twarzy.

- Może lepiej będzie, jeśli się stąd wyniesiemy - stwierdził

- Doszłam do takiego samego wniosku - odparła Methydia - Powiedziałam posłańcowi, że pilne interesy krainy i nie możemy zostać dłużej niż tydzień, za który zapłaciła nam Jej Wysokość.

Safar, przypominając sobie zdarzenie w Kyshaat, zaproponował:

- A jeśli wymkniemy się dziś wieczorem?

- Rozważyłam i tę możliwość - rzekła Methydia. - W ciągu tygodnia wiele się może zdarzyć. Ale nie sądzę, że ośmielimy się aż tak skrócić naszą wizytę. Możemy ściągnąć na siebie gniew królowej Army, opuszczając ją w pośpiechu. Sądzę, że najlepiej będzie, jeśli damy nakazane nam przedstawienie, potem szybko spakujemy cyrk na statek. Obejdziemy się bez paru przedmiotów. I będziemy musieli sprawić wrażenie, że się rozładowujemy, gdy tak naprawdę będziemy się pakować. Trzy noce, nie więcej, i znów będziemy w drodze

- Ale królowa zapłaciła z góry - wytknął Safar - Co z jedwabiem?

- Zostawimy - odparła Methydia. - To złe pieniądze i nie chcę z nich ani grosza.

Jak się okazało, trzy dni były zbyt długim okresem. Cyrk przeoczył właściwy moment w noc królewskiego przedstawienia.

Wiedząc, że zamierzają opuścić Sampitay tak szybko, jak to możliwe, Methydia zmobilizowała grupę, by dać najlepsze przedstawienie w historii.

Safar, przywołując lata nauki w Walarii, stworzył nowy rodzaj magicznego oświetlenia. Cyrk po raz pierwszy wypróbował jego pomysły w noc, gdy królowa Arma wraz z dworem zasiadła w głównym namiocie.

Królewskich widzów wchodzących do namiotu powitała pałająca pełnia. Safar uczynił z księżycy reflektor, podkreślając światłem najwspanialszą chwilę każdego aktu, a w czasie zmiany kostiumów przyćmiewał tarczę pędzącymi chmurami. Na arenie w momentach najwyższego napięcia buchały płomienie, zamieniając scenę w mistyczny chaos pełen zadziwiającego ruchu.

Pierwszą połowę przedstawienia zamknął debiut sceniczny Safara i Arlain, nad którym pracowali od pewnego czasu.

Podstawą przedstawienia była stara sztuczka „dziewczyna przecięta na pół”. Od tamtego czasu urosła w bogatą opowieść. Safar obsadził siebie w roli złego charakteru - czarnego maga. Arlain i

Biner grali cudacznego kochanków - brzydkiego karła i pięknego stworzenia, które było pół-kobietą, pół-smokiem.

W opowieści Safar gonił kochanków przez ponure, dziwaczne światy pełne wirujących światel, tryskających fontannami dymów i buchających płomieni. W końcu osaczał ich, zabijał Binera i chwycił Arlain. Ona nie dawała się zauroczyć, ale za karę wpadała w śmiertelny trans. W tym transie Safar sprawiał, że smoczyca lewitowała, a potem przystępował do przecięcia jej na dwoje mieczem. Arlain, opierając się do ostatniej chwili, dmuchała ogniem. Później ogień zniknął, Biner nagle podnosił się i leczył Arlain. Wtedy następowała walka i w końcu dwoje kochanków pokonywało Safara i padało sobie w objęcia. Na koniec miłosna pieśń wygrywana przez Elgy'ego i Rabixa gasiła światła.

Troje kłaniających się artystów nagrodzonych zostało łzami i wiwatami.

Pomimo obaw Safar był niezmiernie z siebie zadowolony, gdy spieszył się do przygotowań do drugiego aktu. Wysokie dźwięki trąbki herolda poderwały go. Obrócił się, zaalarmowany tym nagłym zakłóceniem cyrkowej rutyny.

W królewskiej loży królowa Arma podniosła się. Przed nią stał chłopiec odziany w ozdobną liberię królewskiego herolda. Na sygnał królowej podniósł trąbkę i zadał ponownie, nakazując wszystkim obecnym ciszę i uwagę.

Arma była niemal otyłą kobietą w średnim wieku. Miała okrągłą, miłą twarz, która wydawała się jeszcze bardziej pyzata z powodu wysokiej, czwororożnej korony na głowie. Obok niej siedział doradca, książę Crol - przystojny, srebrnowłosy człowiek w błyszczącym mundurze generała. Królowa zaczerpnęła tchu, by przemówić i, tuż zanim pierwsze słowa opuściły jej usta, Safar ujrzał, jak żołnierz wykonuje gest i poczuł ukłucie magii. Natychmiast poznał, że człowiek ten jest magiem, a gest był zaklęciem wzmacniającym głos królowej tak, by wszyscy ją słyszeli.

- Obywatele Sampitay - powiedziała królowa Arma wysokim głosem wypełniającym główny namiot. - Jestem pewna, że wszyscy świetnie się bawimy, prawda?

Bogato odziany tłum odpowiedział głośnymi oklaskami. Arma zwróciła głowę w stronę Methydii, która stała przy wyjściu za kulisy, sama wyglądając królewsko w oślepiająco czerwonej sukni i cienkiej tiarze ozdobionej gustownie rozszianymi klejnotami.

- Dziękujemy dobrej lady Methydii i jej trupie utalentowanych artystów za wniesienie w nasze życie odrobiny radości w czasie kryzysu - rzekła królowa.

Methydia skłoniła się nisko, ale ze sztywności ukłonu Safar wyczytał, że tak samo jak i on jest zdumiona uwagami królowej. I co takiego Arma miała na myśli, mówiąc „kryzys”?

- Jak wszyscy dobrze wiecie - ciągnęła Arma - wasza królowa i jej przedstawiciele od prawie miesiąca pozostawali w niemal ciągłym kontakcie z królem Protarusem i jego emisariuszami.

Tłum zamruczał, zaniepokojony. Safar także poczuł się nieswojo na wzmiankę imienia starego przyjaciela.

- Informowaliśmy was dokładnie o charakterze tego kontaktu - powiedziała Arma. - Pierwsza wiadomość była żądaniem, by królestwo to zakończyło swą długą, historyczną politykę neutralności. Oto rozkaz Protarusa, i niewłaściwością z naszej strony byłoby użycie łagodniejszego słowa na upiększenie jego barbarzyńskiej dyplomacji. Odpowiedzieliśmy zdecydowanie, lecz uprzejmie na tę obrazę, że królowa nie jest na jego rozkazy!

Grzmot oklasków powitał to stwierdzenie. Safar pomyślał o Iraju. Wiedział, że nieprawdopodobne było, by dobrze przyjął odmowę królowej.

- Wkrótce potem - ciągnęła Arma - emisariusze Protarusa przybyli z nowymi żądaniami. Protarus już nie prosił nas o sprzymierzenie się z nim przeciw jego wrogom. Zamiast tego polecił nam natychmiast się poddać. Nawet przysłał nam tę oto flagę... - Safar ujrzał, jak królowa podnosi znajomy sztandar, na którym wymalowany był czerwony Księżyc Demonów i srebrna Kometa, znaki Alisarriana - abyśmy wciągnęli ją na dach pałacu na znak naszego poddaństwa.

Tłum zareagował gniewnie, wykrzykując pogardliwe słowa. Królowa czekała, póki krzyki nie ucichną, a potem powiedziała głośno:

- Odmówiliśmy!

Rozległo się jeszcze więcej okrzyków i grzmiących oklasków. Królowa czekała, a potem w kluczowym momencie dała znak, by się uciszono.

- Moi lojalni poddani, byłoby nieuczciwością z mojej strony - mówiła Arma - nie przyznać, że po tej odpowiedzi nastąpiły długie i bezsenne noce. Król Protarus, który ma na skinienie dłoni armie stacjonujące na równinach Jaspardu, jest znany z tego, że nie cierpi żadnego oporu ze strony królestwa lub monarchy, który według niego staje mu na drodze. Obawiając się zemsty, postawiliśmy nasze oddziały w stan gotowości. Byliśmy przygotowani, by bronić świętości naszego królestwa aż do ostatniego obrońcy.

W namiocie rozpełtało się pandemonium, gdy tłum ryczał z aprobatą.

Kiedy ludzie uciszyli się, królowa powiedziała:

- Dziś wieczorem z niezmierną przyjemnością ogłaszamy wam, że bogowie stanęli zdecydowanie po stronie dobrego i prawego ludu Sampitay.

Upuściła flagę. Teraz trzymała w górze długi, smukły zwój pergaminu.

- Oto ostatnia wiadomość od Protarusa - rzekła. - Otrzymałam ją tego ranka. Najwyraźniej młody król Protarus dojrzał błąd w swoim postępowaniu. Teraz rozumie wartość i słusność naszej neutralności. Cofnął wszystkie swoje żądania i teraz prosi - bardzo uprzejmie, jeśli mogę zauważyć - abyśmy sprzedali jego armii po godziwej cenie potrzebne jej zapasy.

Więści królowej wzbudziły w tłumie jeszcze większą gorączkę. Obywatele krzyczeli z radości, aż ochrypli; klaskali, aż zdrętwiały im palce. Wtedy Arma powiedziała:

- Cóż na to powiecie, moi lojalni poddani? Czy powinniśmy okazać wyrozumiałość w obliczu naszego zwycięstwa? Czy pokażemy królowi Protarusowi, jak zachowują się cywilizowani ludzie?

Okrzyki zgody przypieczętowały transakcję. Ludzie szlochali i padali sobie w objęcia, wychwalając bogów, którzy przyszedli im z pomocą w potrzebie.

W samym centrum chaosu Safar podkradł się do Methydii.

- To niedobry znak - powiedział. - Znam Iraja. Nigdy nie poddaje się tak łatwo.

Methydia pokiwała głową. Safar opowiedział jej o swojej chłopięcej przyjaźni z Protarusem i wizji, w której pojawiła się zdobywcza armia Iraja. Nie wyjawiał jedynie epizodu walki z demonami.

- Skończymy to przedstawienie i przygotowujemy się do opuszczenia miasta - odparła, nie kłopotując się niżaniem głosu w zgiełku wywołanym przez rozradowanych, płaczących ludzi. - Ruszamy o świcie - ciągnęła. - Całe miasto będzie tak chore od świętowania, że nikt tego nie zauważy.

Dokończyli przedstawienie, chociaż humory całej trupy - wyczuwając, że w powietrzu wisi coś złego - znacznie przygasły. Królowa podziękowała im na koniec i wynagrodziła Methydię jeszcze większą liczbą bel bogatego jedwabiu z Sampitay.

Nie tak łatwo było przygotować się do wymknięcia. Wokół artystów kręciło się tylu uczestników uroczystości i składających życzenia ludzi, że trupa ledwie mogła spakować rzeczy i umieścić je tak

blisko chmurostatku jak to tylko było możliwe. Pomagierom wydano surowe rozkazy. Mieli zbudzić wszystkich na godzinę przed świtaniem, tak by artyści mogli wsiąść na chmurostatek i uciec.

Tej nocy spali w namiotach, mając pod ręką najważniejsze przedmioty, gdyż chcieli pospiesznie opuścić miasto.

- Szkoda, że nie mogę posłać Irajowi wiadomości - powiedział Safar, układając się z Methydia do kilkugodzinnego snu.

- Co byś mu przekazał? - zapytała Methydia, wycierając mokrą gąbką ostatnie resztki makijażu. - Oszczędź miasto? Czy tylko: oszczędź nas? - Rzuciła mu cyniczne spojrzenie. - Chciałabym wiedzieć, jak apeluje się do serca krwiożerczego barbarzyńcy.

Safar potrząsnął głową.

- Iraj nie jest barbarzyńcą - oświadczył.

- Widziałeś spalone miasta - rzekła Methydia - i tysiące uciekinierów. Jeśli to nie jest barbarzyństwo, to chciałabym wiedzieć, co nim jest.

- Moim zdaniem cały świat jest barbarzyński - odrzekł Safar, rozgniewany. - Iraj jest tak samo dziki jak ci, którzy stawiają mu czoło. Walaria miała być cywilizowanym centrum Esmiru, a rządzą tam mordercy. Spójrz na Sampitay. Tu nie dzieje się lepiej. Królowa Arma i jej dwór handlują jedwabiem i bogacą się. Ale co ze zwykłymi ludźmi? Są tak samo biedni i ciemniejsi jak lud Walarii.

- Chyba król Protarus ma jedynie złych doradców - powiedziała chłodno Methydia. - Najprawdopodobniej po prostu nie zauważył tej rozpaczki, którą my widzieliśmy w ciągu naszej podróży. Rozpaczki, której powodem były jego armie.

Safar siedział cicho przez chwilę, rozmyślając nad jej słowami i próbując oddzielić dziecięce czasy od dorosłości.

- Nie widziałem Iraja od długiego czasu - oznajmił - ale nie sądzę, że mógł się aż tak bardzo zmienić. W jego sercu gościło dobro.

- Może to ty byłeś tym dobrem - odparła Methydia. - Prawdopodobnie twoja obecność ujawniała jego uczucia, jeśli jakieś posiadał.

- Iraj należy tylko do siebie samego - upierał się Safar. - Dobro, które w nim widziałem, również należało tylko do niego. Nie potrzebował ode mnie niczego. Iraj jest także urodzonym wojownikiem i choć nie zgadzam się z jego metodami, w końcu przecież stara się o lepszy świat, niż ten, który teraz mamy. Iraj nie wywołał suszy, zarazy albo takich potworów jak larwa z Kyshaat. Nie stworzył starych królów i szlachty, która opadła Esmir jak wielka zaraza, niczym ta, którą zsyła natura.

- Mimo wszystko - mówiła Methydia - ty, tak samo jak ja, chętnie usuniesz się z zasięgu jego gniewu.

- Armie nie mają serca - odrzekł Safar. - I to armię Iraja najpierw ujrzymy. Królowa Arma zachowała się na tyle głupio, że stawiała mu opór. Żołnierze otrzymują rozkazy, by Sampitay służyło za przykład. I nie chcę, byśmy weszli im w drogę.

- Czy naprawdę jesteś aż tak nieczuły na rozpaczliwą sytuację tych ludzi, Safarze? - zapytała Methydia. - Czyżbym widziała twoją drugą stronę, której nigdy nie dostrzegałam, bo byłam tak tobą zauroczona?

Safar wziął jej dłoń. Pozwoliła mu na to, ale była pełna ostrożności.

- Co mogę zrobić? - zapytał, a w jego głosie było tyle bólu, że jej nastrój znikł. - Powiedz mi, a zaraz tak się stanie.

- Przemów do Iraja - poprosiła. - Przemów do jego rozsądku.

Safar przez pewien czas rozmyślał nad jej prośbą. Czuł, że stoi na krawędzi urwiska. Na dole znajdował się świat, od którego pragnął uciec, świat podłych królów i magów. Był to świat, w którym dziewczynki takie jak Nerisa umierały bez powodu. Potem pomyślał o wszystkich kobietach i mężczyznach Sampitay, którzy zostaną skazani na los Nerisy, albo nawet gorszy, gdy wejdą tu żołnierze Iraja. Methydia ścisnęła jego dłoń. Zaczerpnął siłę z tego uścisku i powziął decyzję.

- Wyruszymy na poszukiwanie Iraja z samego rana - oznajmił. Uśmiechnął się szeroko, ale był to tak smutny uśmiech, że Methydia poczuła ból. - Nie powinniśmy mieć kłopotu ze znalezieniem go. Po prostu poszukamy największej armii.

Methydia powstrzymała łzy i objęła go. Kochali się, przywierając do siebie jakby byli ostatnimi ludźmi na świecie. Potem zasnęli.

Safar miał sen o Hadinie. Tańczył z pięknymi ludźmi, a wszystkie troski stały się rytmem ich bębnow.

Potem wulkan eksplodował z taką gwałtownością, że rzuciło go aż do morza. Nagle poczuł, że nie może pływać. Chlapał szaleńczo wodę, próbując utrzymać się na powierzchni, a na niego spadały płonące drobiny żaru.

Nagle znajomy głos zaczął go poganiać:

- Obudź się, panie! Obudź się!

Safar otworzył szeroko oczy. Na jego piersi siedział Gundara, a jego małe, ostre ząbki dzwoniły ze strachu. Safar zamrugał, sądząc, że wciąż śni. Ostatnim razem, gdy sprawdzał kamiennego bożka - którego zawsze trzymał blisko siebie - wydawało się, że magiczne życie w środku ledwo się tli. Potem poczuł ciężar Ulubieńca na piersi i chociaż nie był on zbyt wielki, to na pewno bardzo rzeczywisty.

- Skąd się tu wzięłeś? - zapytał Safar.

Gundara zignorował pytanie.

- Nadchodzą, panie! - krzyknął, zeskakując na podłogę. - Szybko! Zanim będzie za późno!

Safar usłyszał odgłosy walki na zewnątrz i obudził się zupełnie. Wyszperał nóż, który zawsze trzymał pod poduszką i zerwał się na nogi. Zdał sobie sprawę, że jest nagi i pospiesznie wdział ubranie. Żółw wypadł z kieszeni tuniki i podskoczył na klepisku. Gundara natychmiast znikł w nim. Wtem Safar usłyszał, jak Methydia woła z łóżka i krzyknął, by tam została. Pochwycił żółwia i wrzucił go do kieszeni, a prawie w tej samej chwili przez wejście do namiotu wpadli żołnierze.

Safar nie dał im szansy na stworzenie szyku. Od razu natarł. Zrobił unik i zatopił ostrze w miękkie ciało. Usłyszał westchnięcie i próbował wyszarpnąć nóż, ale ten utknął w trzewiach przeciwnika. Za jego plecami Methydia krzyknęła ostrzegawczo, więc puścił nóż, wydierając miecz ze słabnącej ręki ofiary.

Obrócił się, uderzając na oślep. Nie miał czasu ani miejsca na obrócenie ostrza, tak więc uderzył atakującego na płask. Jednakże siła ciosu była tak wielka, że żołnierz zatoczył się w tył, odsłaniając brzuch. Ponownie Safar poczuł, jak miękkie ciało poddaje się pod ciosem jego broni. Nie czekał, by ujrzeć, jak mężczyzna upada, lecz ponownie obrócił się, ponieważ towarzysze żołnierza tłoczyli się w wejściu do namiotu.

Zaatakował ich z taką wściekłością, że wpadali na siebie, by uciec przed jego gniewem. Potem odskoczył, podniósł kufer, przy uniesieniu którego trzeba mu było zwykle pomagać, i cisnął go przez wejście. Jęki bólu potwierdziły, że trafił w cel.

Methydia wstała z łóżka, pospiesznie zakładając szatę.

- Tędy - wrzasnął Safar, rozcinając tył namiotu. Materiał rozstąpił się i przecisnęli się przez szparę.

Noc zamieniła się w szaleńczy wir krzyków i szczęku broni o zbroje. W którąkolwiek stronę by poszli, wszędzie szalał ogień.

Methydia przywarła do niego, wskazując na coś. Safar obrócił się, by ujrzeć, jak jej wspaniały chmurostatek znika w płomieniach.

Rozległa się eksplozja i chmurostatek zamienił się w odłamki płonącego drewna i tłętego materiału. Methydia zasłabła, a on schwycił ją w ramiona.

Z kipiącego dymu wynurzyli się konni zbrojni, wymachując zakrzywionymi ostrzami. Cięli wszystkich stojących na ich drodze. Nad nimi powiewał sztandar niesiony przez jeźdźca na przedzie. Nosił starożytny symbol Księżyca Demonów i srebrnej Komety. Wojownicy krzyczeli:

- Za Protarusa!

Od grupy oderwało się sześciu jeźdźców i ruszyło ku Safarowi. Pozwolił Methydii upaść u jego stóp i złapał miecz w obie dłonie.

Rzucił zaklęcie siły, a przez jego ciało przepłynęła moc, aż poczuł się jak gigant. Uformował zaklęcie ostrości i przeciął powietrze. Zalśniło od siły ciosu.

Jeźdźcy zaatakowali go. Podciął nogi pierwszego wierzchowca, zabił jeźdźca i wskoczył na ciało konia, by stawić czoło reszcie.

Ku niemu pomknęła włócznia, a on z łatwością zrobił unik, wstając, by wymierzyć śmiertelny cios temu, który ją rzucił. Natarł na niego wielki mężczyzna z czarną brodą i bułatem w dłoni. Safar odparował cios, a okolone brodą usta mężczyzny ułożyły się w szerokie „O”, kiedy miecz Safara przebił mu gardło. Za jego plecami pojawił się jeździec i Safar obrócił się w chwili, gdy wierzchowiec stratował bezwładne ciało Methydii.

Safar zawył z wściekłości i skoczył ku mężczyźnie. Rzucił się na niego, powalając na ziemię wraz z wierzchowcem. Znalazł się zbyt blisko, by machać mieczem, tak więc uderzał ręką, gruchocząc hełm przeciwnika.

Potem znów się poderwał, parując kolejny cios i zabijając następnego mężczyznę.

Walczył, jak mu się zdawało, całą wieczność. Ale nieważne, ilu powalił, ponieważ zawsze tłoczyli się inni chętni, by go dostać.

Nagle zapanował spokój, a on ciął puste powietrze. Machał mieczem, nie natrafiając na nic, ale wciąż wymierzał ciosy, wciąż walczył, jakby otoczyły go niewidzialne diabły.

Zatrzymał się, w końcu zdając sobie sprawę, że w zasięgu nie ma żadnego wroga.

Safar podniósł wzrok, a jego oczy wciąż zasnuwała żądza walki. Ujrzał posiwiąłego weterana na bojowym rumaku, oddalonego mniej więcej o dziesięć kroków od niego. Safar obrócił głowę. Otoczono go, ale teraz zamiast mieczy mierzyły w niego uniesione łuki, ze strzałami na naciągniętych cięciwach, oczekując na rozkaz wystrzelenia.

- Udowodniłeś swoją dumę, człowieku - oświadczył stary weteran. - A teraz odłóż miecz, a my cię oszczędzimy.

Safar uśmiechnął się szeroko. Wyglądał okropnie pokryty krwią innych ludzi. Potem, zamiast rzucić miecz, wbił broń w ziemię i oparł się na rękojeści.

- Powiedźcie Irajowi Protarusowi - rzekł głośno - że przyjaciel go oczekuje. I prosi o przyjemność znalezienia się w jego towarzystwie.

Weteran zachnął się, zdziwiony.

- A któż to ma być tym przyjacielem?

- Safar Timura z Kyranii - odparł Safar. - Człowiek, którego kiedyś nazwał swoim bratem krwi.

Człowiek, który mu kiedyś ocalił życie.

Wszyscy sławią króla

Świt już dawno minął, gdy Iraj w końcu przybył.

Dym i sadza wydobywająca się ze spalonego miasta unosiły się w powietrzu tak gęsto, że dzień przypominał noc. Powietrze wypełniał odór śmierci i głośnie szlochanie tych obywateli Sampitay, którzy przeżyli, a teraz wiedziono ich na spotkanie z przeznaczeniem.

Safar szedł w środku okręgu złożonego z łuczników. Chociaż opuścili broń, zauważył, że byli gotowi unieść ją ponownie i wystrzelić, jeśli wykonałby niewłaściwy ruch. Wszyscy byli srogimi mieszkańcami równin, małej postury lecz o muskularnej budowie i nogach zniekształconych długoletnim przebywaniem w siodle. Odziani byli w powiewające szaty ściśnięte szerokimi skórzanymi pasami z przytroczonymi do boku bułatami na jednej stronie i długimi sztyletami na drugiej. Mieli buty z wojłoku z przytwierdzonymi ostrymi ostrogami. Głowy okrywały turbany kryjące pod spodem stalowe hełmy. Większość nosiła długie, opadające wąsy nadające ich ciemnym twarzom ponury, zdeterminowany wygląd.

Część umysłu Safara, która na zawsze pozostała dzieckiem płaczącym za matką nawet w dorosłym wieku, drżała na ich widok. Ale on uzbroił się w zimny, ściskający go gniew, który chciał się wyrwać pod byle pozorem.

Żołnierze nie wiedzieli, co sądzić o Safarze. Albo był największym z kłamców, albo naprawdę bratem krwi ich króla. Pewne było tylko to, że Safar udowodnił aż nadto swój charakter wojownika. To powstrzymało ich ręce, na równi z deklaracją królewskiej przyjaźni. Safar polegał na ich respekcie, ratując większość członków trupy. Natarł na starego sierżanta, by pozwolił im się przyłączyć.

Wykorzystał okrąg jako tarczę, obchodząc jego obwód, by utrzymać dystans, mierząc oskarżycielsko czubkiem miecza w każdego z żołnierzy, który ośmielał się podejść bliżej. W środku trupa w ciszy niosła nieprzytomną Methydię. Safar obawiał się o nią, jako że rumak bojowy poważnie ją stratował, ale nie ośmielił się pokazać swej troski przed łucznikami. Wiedział, że zostałyby to odebrane jako oznaka słabości.

Wtem usłyszał dęcie w potężny róg i wojenne werble. Wykrzyczano rozkazy i nagle pierścień łuczników rozstał się.

Wysoki wojownik na potężnym, czarnym wierzchowcu przemierzał kłusem utworzoną przez nich ścieżkę. Miał na sobie czyste białe szaty żołnierza z równin. Głowę owijał biały turban, którego koniec okalał twarz, niczym maska.

Wojownik ściągnął wodze, zatrzymując rumaka na kilka kroków od grupy. Przez chwilę przypatrywał się Safarowi, mierząc wzrokiem poplamiony krwią strój, zakrwawiony miecz i pokrytą smugami sadzy twarz. Safar odpowiedział mu spojrzeniem, uśmiechając się tak bezczelnie, jak tylko potrafił. W końcu wzrok wojownika napotkał oczy Safara, zaś jego ciałem wstrząsnęło nagle rozpoznanie.

- Safarze Timuro, ty niebieskooki diable - krzyknął Iraj, odrzucając maskę. - To naprawdę ty!

- We własnej osobie - odparł Safar. - Chociaż, jak widzisz, osoba ta jest nieco zmęczona i zdecydowanie wymaga kąpieli.

Safar, przypomniawszy sobie pierwsze spotkanie z Irajem, wskazał na żołnierzy i powiedział:

- Sądzę, że nie czeka mnie tu wiele pomocy. Wygląda na to, że zupełnie otoczyli mnie bracia Ubekian.

Iraj zaryczał ze śmiechu.

- Bracia Ubekian - ryknął. - Co za żalosny pomiot!

Potem, ku zdumieniu żołnierzy, król zeskoczył z konia i otoczył ramionami Safara, nie zważając na krew i brud.

- Na bogów, ależ za tobą tęskniłem, Safarze Timuro - zawołał, waląc starego przyjaciela po plecach. - Na bogów, Safarze, tęskniłem za tobą!

Iraj krzyknął, by przyprowadzono wierzchowca i osobiście eskortował Safara do swego namiotu dowodzenia, ustawionego na wzgórzu z widokiem na Sampitay. Kiedy Safar wskazał na nieprzytomną Methydię i pozostałych członków trupy, Iraj nie spytał o dziwnych towarzyszy Safara, ani nie był nimi zdziwiony. Natychmiast wydał rozkazy, by o nich należycie zadbano i wezwano najlepszych uzdrowicieli, którzy mieli zająć się Methydią.

- I co godzinę mam mieć raport o postępach w jej zdrowieniu - zażądał. - Nie chcę, by mój dobry przyjaciel, lord Timura, martwił się niepotrzebnie.

„Lord? - pomyślał Safar. - W jaki sposób syn garncarza nagle stał się lordem?” Zerknął na Iraję, ujrzał ostrzegawcze spojrzenie i zdał sobie sprawę, że niedobrze byłoby dla króla, gdyby jego brat krwi nie miał szlacheckich korzeni.

W czasie drogi powrotnej do swojego punktu dowodzenia Iraj pilnował, by rozmowa nie zбочyła z błahych tematów, głośno rozbawiając swych doradców i straż przesadnymi opowieściami o młodzieńczych przygodach z „lordem Timurą”.

- Doprawdy, gdyby nie Safar - rzekł - nie byłoby mnie dziś tutaj. A wy służylibyście jakiemuś innemu królowi, i to zapewne kazirodczemu bękartowi i mięczakowi. Któregoś dnia opowiem wam, jak mi uratował życie. Byliście świadkami, jak odważnie walczył tutaj, tak więc możecie spocząć, ponieważ ta opowieść wymaga wiele czasu i nadaje się na długie, zimowe wieczory. Powiem wam tylko tyle, że po bitwie lud Kyranii był tak wdzięczny za uratowanie ich przed bandytami, że podarował nam piętnaście swoich najpiękniejszych dziewczyn do zdeflorowania. - Zaśmiał się. - Ja poddałem się po piątej. - obrócił się do Safara. - Czy po szóstej?

- Dokładnie po siódmej - odpowiedział Safar.

Uśmiech Iraję powiedział mu, że dobrze skłamał.

- Siedem ich było - rzekł Iraj. - Ale nic nie mogło równać się z moim przyjacielem. On rozdziewiczył pozostałe osiem a potem wytoczył się z namiotu, wciąż świeżutki, i ogłosił, że nadal ma ochotę i nie miałby nic przeciwko jeszcze paru.

Giermkowie i strażnicy ryczeli ze śmiechu i stłoczyli się bliżej, by poklepać Safara po plecach, chwając jego dzielność jako wojownika i jako kochanka.

- Ale uwaga - powiedział Iraj - on wcale nie grał czysto. Już jako chłopiec lord Timura był potężnym czarodziejem. Wyznał mi później, że na takie okazje miał czarodziejski wywar.

Ponownie Iraj zwrócił się ku Safarowi, marszcząc brwi w udawanym oskarżeniu.

- Jeśli dobrze sobie przypominam, przyjacielu - rzekł - to obiecałeś dać mi zapas. I nigdy nie dotrzymałeś obietnicy.

Safar wyciągnął ku niemu rękę.

- Miałem nadzieję, że zapomniałeś o tym, Wasza Wysokość - odparł, po raz pierwszy dodając tytuł, czym sprawił Irajowi niezmierną przyjemność. - Widzisz, w całej Kyranii pozostało ledwie pięć dziewic, a ja nie chciałem, byśmy się o nie pokłócili.

W odpowiedzi na jego roztropną uwagę rozległ się jeszcze bardziej gromki śmiech, w którym prym wiódł król. Królewskie towarzystwo jechało dalej, a w trakcie podróży padło jeszcze więcej żartów i jeszcze więcej przechwałek.

Na trasie wesołej przejażdżki widzieli sceny niewiarygodnego okrucieństwa. Zmarli i ranni z Sampitay zasłali całe pole bitwy. Jeńcy, pracując pod surowymi rozkazami srogich żołnierzy Iraj, składali zmarłych na stosy. Zwłoki polewano oliwą, a potem podpalano. Tłusty, czarny dym cuchnący jak składana w ofierze owca unosił się, mieszając z chmurami sadzy z płonącego miasta. Inni żołnierze chodzili po polu, podrzynając gardła jęczącym rannym. Tysiące cywilów podzielono na grupy starców i młodzieży, mężczyzn i kobiet. Załogi budowlane zbijały platformy egzekucyjne przeznaczone dla słabych i posuniętych w latach. Skośnoocy handlarze niewolników pędzili resztę ludzi, szacując ceny, jakie każdy z nich miał osiągnąć. Rozważali, czy opłaci im się dbać o tych ludzi i ich żywć.

Safar czuł się, jakby schwytano go w najgorszy z koszmarów. Musiał przywdziać maskę niedbałego zobojętnienia, oglądając te potworności. Nad jego głową zaś unosił się czarny kruk strachu o Methydię.

Chociaż Iraj ciepło go powitał - jakby dzieliły ich miesiące, nie lata - Safar nie opuścił natychmiast swej tarczy. Jego stary przyjaciel nadal był otwarty i pełen uczucia. Nie licząc brody, wyglądał tak samo jak lata temu. Jego sposób bycia był niedbale królewski, ale taki przecież był zawsze. Iraj dojrzał. Z brodą, którą, jak przypuszczał Safar, zapuścił, by wyglądać poważniej, wydawał się mieć trzydzieści lat, a nie dwadzieścia parę, jak Safar. Wciąż miał chytre spojrzenie. Musiał wykształcić w sobie tę chytróść już w dzieciństwie, by przeżyć rodzinne wojny. Ale Safar dostrzegwał, że nie było w niej złośliwości ani okrucieństwa.

Iraj przywdział płaszcz zdobywcy i stał się przyczyną wielkiego rozlewu krwi, a jednak wydawał się nie mieć wyrzutów sumienia. Sprawilo to, że Safar, który z natury był ostrożny i tajemniczy, nabral jeszcze większego dystansu.

Iraj jednak wciąż miał spojrzenie wielkiego marzyciela. Drzemała w nim niewinność cechująca wszystkich marzycieli. To właśnie najbardziej trapiło Safara. Jakże Iraj mógł być tak niewinny, mijając sceny okropnego okrucieństwa? Jakże mógł je wywołać i wciąż pozostać nietknięty? Spojrzał na Iraję, ponownie zauważając jego uderzające podobieństwo do Alisarriana.

Po raz pierwszy Safar w pełni zrozumiał zagadkę, którą Gubadan nieświadomie przedstawił, zadając swoje ulubione retoryczne pytanie: „Kim był ten mężczyzna, Alisarrian? Potworem, jak utrzymywali jego wrogowie? Czy też błogosławieństwem bogów?” Safar zastanawiał się, czy kiedykolwiek pozna odpowiedź.

Odsunął od siebie zmieszanie. Jego pierwszym obowiązkiem było zatroszczenie się o Methydię i swoich przyjaciół. Potem zrobi, co będzie mógł, by dotrzymać obietnicy danej Methydii i postarać się zmniejszyć cierpienie ludu Sampitay.

Po spełnieniu tych dwóch natychmiastowych celów, przed nim ziała szeroka i głęboka przepaść.

Przeznaczenie zdawało się ciągnąć go na skraj tej przepaści.

A on nic na to nie mógł poradzić.

Po kąpieli, przebraniu się w świeże szaty i wysłuchaniu pierwszego, obiecującego raportu na temat zdrowia Methydii, Safar został wezwany do prywatnych kwater Iraja.

Poza rozmiarami i miejscem ustawienia, nic nie wskazywało, że namiot Iraja jest siedzibą króla. Rozbito go w centrum szeregu podobnych namiotów wykonanych ze skromnego, grubego materiału. Obóz na stoku wzgórza pełen był krzątających się, umundurowanych oficerów, urzędników i skrybów w oliwkowych cywilnych strojach. Safar dowiedział się później, że Iraj dowodził całym swym królestwem z takiego namiotu. Był to pewnego rodzaju wędrowny dwór, przenoszący się z jednego bitewnego pola na drugie. Nieustannie podróżując, Iraj rządził nowym, rozległym królestwem rozciągającym się od Łańcucha Bogów po najbardziej oddalone dzikie tereny.

Nieliczne meble w namiocie Iraja miały ściśle użytkowy charakter. Kufrowo używano jako stołów, a na pieńkach ułożono siodła, by służyły za krzesła. Na podwyższeniu przy odległej ścianie stał prosty, przenośny tron z przewieszonym przezeń sztandarem Iraja. Kiedy Safar wszedł tron był pusty. Dwaj przyznani mu giermkowie przeprowadzili go obok oficerów i sierżantów, którzy pochylali się nad mapami lub zajmowali raportami.

Ciężkie zasłony wzbraniały przejścia do większej części namiotu. Kiedy podchodzili bliżej, Safar poczuł lekką woń perfum. Choć był zdumiony takim odstępstwem od militarnego charakteru miejsca, zdumiał się jeszcze bardziej, gdy kotara rozchyliła się i zza niej wystąpiły dwie młode kobiety ubrane jak żołnierze. Chociaż obie były uderzająco piękne, ich spojrzenia były ostre jak miecze zawieszane u pasów wokół smukłych talii.

Obszukały go bez słowa. Safar czuł się zawstydzony, będąc obmacywany przez tak piękne i tak śmiercionośne kobiety.

Kiedy już zostały usatysfakcjonowane wynikami przeszukania, wprowadziły go do pomieszczenia, gdzie znajdował się Iraj, rozparty na miękkich poduszkach z kubkiem wina w dłoni, otoczony tuzinem innych kobiecych wojowników.

- Safarze - zawołał - chodź i przyłącz się do mnie. Wiele czasu upłynęło, odkąd ostatni raz piliśmy razem.

Zaklaskał w dłonie, a kobiety pospiesznie zakrzętały się, by podać jedzenie i picie. Inne wzruszały poduszki, by Safarowi wygodnie się siedziało.

Safar czuł skrępowanie, gdy uzbrojone, wyperfumowane służki krzętały się wokół niego. Iraj zachichotał, widząc jego zakłopotany wyraz twarzy.

- Co sądzisz o mojej królewskiej straży? - zapytał.

Safar potrząsnął głową.

- Nie jestem pewien, czy oczekujesz ode mnie, bym z nimi walczył, czy też się z nimi kochał - zażartował.

- Sam się nad tym często zastanawiałem - odpowiedział Iraj, uśmiechając się. - Czasami robimy i to i to, po prostu, by nasze noce były interesujące.

Kobiety zaśmiały się z królewskiego żartu, a ich oczy i gesty były tak pełne miłości, że bez wątpienia przyjemność ta była ogromna.

- Ty najlepiej ze wszystkich ludzi znasz moją słabość do kobiet - rzekł Iraj.

- I to bardzo dobrze. - Safar uśmiechnął się szeroko.

- Tak więc będziesz pełen podziwu dla mojego wojskowego rozwiązania tej słabości - odparł Iraj. - Zamiast towarowego wozu z kurtyzanami i ich rzeczami, który spowalniałby mój marsz, osobiście dobrałem pluton pięknych kobiet, które są moją strażą przyboczną. To doskonale wyszkolone wojowniczkę - sam doglądałem ich szkolenia, i ośmielam się powiedzieć, że nie ma takiego zabójcy, który mógłby obok nich przemknąć. Są także cudownymi towarzyszkami łoża - również dzięki mojemu osobistemu treningowi.

Safar zaśmiał się.

- Ciężko być królem - rzekł. - ale sądzę, że ktoś musi nim być. - Wzniósł toast kielichem, który wciśnięto mu w dłoń. - Za królewskie poświęcenie.

Iraj, usłyszawszy to, zaryczał z radości. Stuknął swoim kielichem o kielich Safara, aż wino przelało się przez brzegi, a potem wypił resztkę, która mu pozostała.

Przyciągnął do siebie jedną z kobiet, sadzając ją sobie na kolanach i otaczając ramionami.

- Powiedz mi, Leirio - rzekł do kobiety - co sądzisz o moim przyjacielu, Safarze? Czyż nie tak go opisywałem?

Leiria rzuciła Safarowi zmysłowe spojrzenie, które z pewnością wzbudziłoby ogień w każdym mężczyźnie - każdym prócz Safara, którego pełna uwaga skupiona była na biegu wydarzeń.

- Dokładnie, Wasza Wysokość - odparła Leiria, z palącym wzrokiem wciąż utkwionym w Safarze. - Prócz tego, że nie powiedziałeś jak bardzo jest przystojny. A jego oczy! Nigdy nie widziałam mężczyzny z błękitnymi oczami. Jakbym patrzyła w niebo.

Iraj klepnął jej zaokrąglone biodro.

- Co takiego? - krzyknął, ale głos wypełniała mu przyjemność, nie gniew. - Pragniesz innego?

Leiria zanurzyła dłoń w złotej brodzie króla.

- Może troszkę, Wasza Wysokość. - Wydeła usta. - Ale tylko dlatego, że mogę się jeszcze czegoś nauczyć i wrócić do ciebie z większymi przyjemnościami.

Iraj pocałował ją, długo i namiętnie, a potem oderwał się, patrząc na Safara rozbawionym wzrokiem.

- Widzisz jak to jest, bracie? - spytał. - Zawsze to, że chcą nas te same kobiety, będzie naszym problemem. Co mamy z tym zrobić?

Safar nagle poczuł, że stąpa po grząskim gruncie.

- Choć jestem wdzięczny za pochlebstwo, Wasza Wysokość - odparł - to jestem pewien, że Leiria była jedynie uprzejma.

- Nonsens - odrzekł Iraj. - Chce ciebie. No dobrze, będziesz ją miał.

Wyswobodził się z objęć Leirii i pchnął ją na kolana Safara. Leiria usiadła na nich ochoczo, gruchając, przytulając się i wodząc palcami po jego piersi. Safar zmienił pozycję - jej sztylet kłuł go w bok.

- Proszę cię jedynie, byś był dla niej miły - powiedział Iraj - i odesłał ją w dobrym stanie. Nie znała jeszcze żadnego mężczyzny prócz mnie. - Zamachał dłonią w kierunku pozostałych. - Ani żadna z nich. Nie mam w zwyczaju robienia podarków z moich kobiet innym mężczyznom. - Uśmiechnął się. - Właściwie zdarzyło się to tylko jeden raz wcześniej. Pamiętasz, Safarze, kiedy?

Safar pamiętał doskonale.

- Astarias - odparł. - Jakże mógłbym zapomnieć?

- I jaką przysięgę złożyliśmy wówczas? - zapytał Iraj.

- Że wszystko, co mam, jest twoje - odpowiedział Safar. - A wszystko co twoje, jest moje.

- Złożona wolną wolą i bez złych zamiarów, prawda? - naciskał Iraj.

- Tak, Wasza Wysokość - rzekł Safar. - Złożona wolną wolą. I bez złych zamiarów.

- Dobrze - powiedział Iraj. - Cieszę się, że o tym pamiętasz.

Z powodów, których Safar nie umiał objaśnić, wydarzenie to było bardzo ważne dla Iraja.

- Jeszcze jedna rzecz, Safarze - rzekł Iraj. - Kiedy jesteśmy na prywatnym gruncie, nie nazywaj mnie Wysokością, królem ani tym podobnymi głupotami.

- Z pewnością mi to ulży - zaśmiał się Safar. - Gdy po raz pierwszy to mówiłem - kiedy byliśmy wśród oficerów - ciągle myślałem, przecież to ten sam chłopak, którego moja matka skarciła za zdeptanie czystej podłogi ubłoconymi butami.

Iraj uśmiechnął się szeroko, wspominając.

- Myślałem, że mnie zabije - stwierdził. - Zmusiła mnie do sprzątania na klęczkach. Co za poniżające doświadczenie dla przyszłego króla. - Nagle spoważniał, a jego oczy patrzyły gdzieś w dal.

- Ale właśnie jestem królem - rzekł. - Dokładnie, jak przewidziałeś to w jaskini Alisarriana.

Safar pokiwał głową, wspominając.

- I przewidziałeś też inne, wspanialsze rzeczy - ciągnął Iraj.

- Tak - odparł Safar.

- Powiedz mi, bracie - mówił dalej Iraj - czy wciąż je dostrzegasz? Czy wciąż widzisz we mnie króla królów, władcę całego Esmiru?

Odpowiedź, nie wzywana, sama się pojawiła. Ujrzał Iraja siedzącego na złotym tronie.

- Tak - powiedział miękko Safar.

Iraj siedział przez chwilę cicho, bawiąc się kielichem. Nagle klasnął w dłonie.

- Zostawcie nas samych! - rozkazał kobietom. - Chcę zostać z moim przyjacielem sam na sam.

Leiria zgramoliła się z kolan Safara i wyszła z pomieszczenia wraz ze swoimi siostrami wojowniczkami. Po ich odejściu Iraj pozostał jeszcze przez chwilę w milczeniu, rozmyślając. Kiedy w końcu przemówił, w jego głosie znać było napięcie.

- Dlaczego nie przybyłeś, gdy po ciebie posłałem? Właściwie błagałem, do czego nie jestem przyzwyczajony.

Safar nie wiedział, o co chodzi.

- Posłałeś po mnie? Kiedy?

- Gdy przebywałeś w Walarii - odrzekł Iraj. - Posłałem ci list. I wielką sakwę ze złotem, abys opłacił koszty przyjazdu.

- Nie dostałem ani jednego, ani drugiego - odparł Safar. - Gdyby było inaczej, z pewnością zjawiłbym się. - Skrzywił się. - W Walarii niezbyt dobrze sobie radziłem.

Iraj wpatrywał się w jego twarz, potem rozluźnił się, zadowolony, że Safar powiedział prawdę.

- Coś słyszałem o twoich problemach - rzekł.

- To dlatego znalazłeś mnie z cyrkiem - powiedział Safar. - W Walarii jest kilku niebezpiecznych ludzi, którzy chcą mojej głowy.

- Już nie musisz się nimi przejmować - rzekł Iraj. - Walaria słono zapłaciła za przysporzenie ci kłopotów.

Serce Safara zadudniło w piersi.

- Co masz na myśli?

- Nie ma już Walarii - odpowiedział Iraj. - Zamieniłem ją ponownie w przystanek dla pastuchów.

- Niedbale napełnił swój kielich winem, potem nalał odrobinę Safarowi. - Nie zrobiłem tego tylko ze względu na ciebie - poinformował. - Byli głupcami. Stawiali mi opór, tak jak ci ludzie w Sampitay. Trzeba było uczynić z nich przykład. Chociaż w przypadku Walarii miałem przyjemność w wymierzaniu sprawiedliwości. Sądziłem, że nie żyjesz i mściłem się za ciebie.

Safar był przerażony, że coś takiego dokonało się w jego imieniu.

Iraj zauważył wyraz twarzy Safara. Na jego obliczu zagościł smutek.

- Z natury mam miękkie serce i muszę się przed tym strzec. Trzeba być surowym w rządach. I należy przelać wiele krwi, by stworzyć królestwo.

Safar zobaczył, że w oczach Iraja zbiera się wilgoć. Zdumiał się głębią jego uczuć.

- Ale nigdy nie przypuszczałem, że będę musiał jej tyle przelać - rzekł Iraj głosem nabrzmiałym emocjami. Potem wstrząsnął się i otarł łzy. Zmusił się do uśmiechu. - Zobaczyłeś również i to, Safarze, kiedy byliśmy w jaskini, prawda? - zapytał. - Kiedy przepowiadałeś mi przyszłość, wydawałeś się mnie żałować.

- Tak - odparł Safar, prawie szepcząc.

- Ale takie jest moje przeznaczenie, więc nic nie można poradzić - rzekł Iraj. - Żyjemy w strasznym świecie. I tylko ja jeden potrafię uczynić go lepszym. Gdyby ludzie mogli zajrzeć w moje serce i poznać prawdziwe zamiary, nie opieraliby się. Przyniosę pokój tej krainie. Przyniosę jej wielkość. Żałuję tylko, że tyłu musi najpierw wycierpieć.

Oczy Iraja zabłyśły pasją i przez chwilę Safar dostrzegł chłopięcego przyjaciela, wpatrującego się w niego dorosłymi oczami.

- Pomożesz mi, Safarze? - poprosił Iraj. - Nie jestem pewien, czy zdołam dokonać tego sam.

Safar zawahał się, a w jego umyśle kłębiło się tysiąc myśli, walcząc ze sobą nawzajem o uwagę. Wtem, gdy pograżył się w samym centrum mentalnego chaosu, przy wejściu do pomieszczenia rozległo się skrobanie.

Iraj podniósł wzrok, poirytowany.

- Wejść! - rozkazał.

Weszły dwie strażniczki, prowadząc między sobą wystraszonego staruszka w szacie uzdrowiciela.

- O co chodzi? - warknął Iraj.

- Wybacz mi, o Najwspanialszy - wybełkotał uzdrowiciel. - Ten żaloszny robak drży w obecności Waszej Wysokości. Gardzi samym sobą za ośmielenie się...

Iraj machnął ręką, przerywając mu.

- Przestań gadać bzdury, człowieku - odparł. - O co chodzi?

Uzdrowiciel kłaniał się, mówiąc:

- Przybyłem tu w sprawie tej kobiety, którą oddaliście mi pod opiekę.

- Methydia! - krzyknął Safar, zrywając się na równe nogi. - Co z nią jest?

- Obawiam się, iż umiera, panie - odparł uzdrowiciel, tak przerażony, że ugięły się pod nim nogi. - Wzywa cię, panie. Musisz iść, zanim będzie za późno!

Iraj dojrzał cierpienie w twarzy Safara.

- Idź do niej - powiedział. - Porozmawiamy później.

Safar wypadł z pomieszczenia jak strzała wypuszczona z łuku, a za jego plecami truchtał uzdrowiciel.

Leżała na obozowym łóżku z zamkniętymi oczami i twarzą bladą jak bielony pergamin. Zgromadzona wokół trupa cicho roniła łzy. Safar pomyślał, że już za późno. Wyglądała tak staro, że prawie jej nie poznał. Ale gdy zbliżył się do niej, otworzyła oczy i ponownie stała się jego piękną Methydia.

- Safar - powiedziała głosem jak zza grobu.

Ukląkł przy niej, powstrzymując łzy.

- Ależ ze mnie musi być widok - rzekła odrobinę silniejszym głosem. - Co za okropna sytuacja dla kobiety - tak witać swego lubego.

- Jesteś piękna jak zwykle, kochana - wyszeptał Safar. - Tylko trochę zmęczona i osłabiona.

- Zawsze tak słodko kłamałeś, Safarze - stwierdziła Methydia. - Ale tu nie czas na słodkie słówka. Nie kryguję się, ja umieram.

Safar mocniej ścisnął jej dłoń.

- Nie pozwolę ci! - zawołał. Ale gdy to mówił, niemal czuł, jak mu się wymyka. - Zostań ze mną, Methydio - błagał. - Poślę po uzdrowicieli. Wraz z nimi rzucę zaklęcie tak silne, że nawet sami bogowie nie będą mogli mi się sprzeciwić.

Uśmiechnęła się. Poczuł, że Methydia zbiera się w sobie, lecz wciąż była tak słaba.

- Pozwól, niech ci zdradzę sekret, mój słodki Safarze - rzekła. - Bogowie nas nie słuchają. W tej chwili też nas nie słyszą. I nie robią tego już od dłuższego czasu. Wiem to, ponieważ jestem tak bliska śmierci, że mogę zajrzeć w zaświaty. I wiesz, co widzisz?

- Co takiego? - zapytał Safar drżącym głosem.

- Bogowie śpią! Są tak pogrążeni we śnie, że nawet tysięckrotne wołanie tysiąca głosów naraz nie mogłoby ich obudzić.

Safar pomyślał, że mający, więc pocałował ją, mrużąc:

- Nonsens, Methydio. Widzisz jedynie majaki wywołane gorączką, nie zaświaty.

- Chciałabym, żeby tak było - powiedziała Methydia. - Tak bym chciała.

Nagle jej oczy rozszerzyły się, a ona próbowała usiąść. Safar delikatnie położył ją, błagając, by się nie męczyła.

- Wysłuchaj mnie, Safarze! - zawołała.

- Słucham cię, Methydio - odpowiedział.

- Tylko ty możesz obudzić bogów, Safarze - oznajmiła. - Tylko ty.

- Z pewnością, kochanie - odparł. - Zrobię to, gdy tylko wydobrzejesz. Razem ich obudzimy.

- Ja nie oszalałam - rzekła z nagłą surowością i z taką siłą, że się zdumiał. - Ja tylko umieram. Tak więc nie kłóć się z na wpół martwą kobietą. To nieuprzejme. A teraz mnie wysłuchaj! Słyszysz?

- Tak, Methydio.

- Nie wolno ci zniechęcać Protarusa za to, co mi zrobił - rzekła. - To był wojenny wypadek i nic więcej. Obiecasz mi, że go nie zniechęcisz?

- Obiecuję - powiedział Safar.

- Dobrze. Teraz chcę, żebyś złożył jeszcze jedną obietnicę.

- Cokolwiek zechcesz, moja miłości. Co tylko zechcesz.

- Idź z nim. Idź z Protarusem. To jedyny sposób!

- Nie prosz mnie o to, Methydio - błagał Safar. - Proszę! Zbyt wielu ludzi już cierpi.

- Złagodź ich cierpienie, jeśli potrafisz - odparła - ale pomóż Protarusowi w zdobyciu tronu. Sam tron nie jest ważny. To tylko pierwszy krok. Protarus nie jest ważny. Jest jedynie drogą, którą musisz

podążyć. Nie wiem, co znajduje się na końcu tej drogi, ale ty będziesz wiedział, co masz uczynić, gdy tylko osiągniesz jej kres. Dowiesz się, mój słodki Safarze. Będziesz wiedział.

- Proszę, Methydio - powiedział Safar.

- Czy obiecujesz mi to, Safarze Timuro? Obiecujesz?

- Nie mogę - odparł.

Methydia złapała jego dłoń, ściskając ją tak mocno, jak tylko zdołała. Włożyła w to całą swoją wolę i pozostała jej siłą.

- Obiecuj mi! - naciskała.

- Dobrze więc! - krzyknął Safar. - Obiecuję! Tylko mnie nie zostawiaj!

Jej dłoń zwiotczała. Safar spojrzał na nią wzrokiem zamazanym łzami.

Na jej twarzy gościł uśmiech.

Namiot wypełniło okropne zawrodożenie, gdy artyści poczuli wstrząs i zaczęli wykrzykiwać swój smutek. Methydia umarła. Safar przypomniał sobie słowa Binera, które wypowiedział przy ich pierwszym spotkaniu: „Do cholery z wszystkim prócz cyrku!”

Ale cyrku już nie było.

Safar pędził przez obóz, brutalnie spychając z drogi wszystkich, którzy na niej stanęli. Iraja nie było w namiocie dowodzenia. Safar warknął na generała, żądając wskazówek, a jego zachowanie było tak pełne furii, że przerażony weteran wielu wojen bełkotał odpowiedzi jakby był żółtodziobem.

Safar odnalazł Iraja. Siedział na swoim podróżnym tronie, który przeniesiono w miejsce w połowie drogi w dół zbocza wzgórza wyglądającego na Sampitay. Po obu stronach tronu umieszczono dwa zastrzone pale. Na jednym z nich zatknięto głowę królowej Army, na drugim księcia Crola.

U podnóża pagórka długie szeregi skazanych pędzono ku miejscom egzekucji. Tuż za nimi wzniesiono pale i przywiązano do nich nagich mężczyzn, którzy wrzeszczeli, konając, podczas gdy rechoczący żołnierze torturowali ich włóczniami.

Iraj siedział w otoczeniu królewskiej straży. Gdy niektóre z kobiet zobaczyły zachowanie Safara, wyciągnęły miecze i zastąpiły mu drogę.

- Przepuście go - rozkazał Iraj.

Rozstąpiły się niechętnie, ale trzymały miecze w pogotowiu.

Iraj był ponury, a jego twarz blada i bezkrwista jak twarz Methydii. Dał znak kobietom, by odsunęły się jeszcze dalej.

- Dajcie nam trochę prywatności - warknął.

Kobiety odsunęły się, ale nie były szczęśliwe z tego powodu.

- Dlaczego tutaj przyszedłeś, Safarze? - zapytał. - Nie musisz tego oglądać.

- Chcę cię prosić o przysługę - powiedział Safar.

Iraj kręcił się, poirytowany.

- Czy to nie może poczekać? To nie jest właściwe miejsce ani właściwy czas. - Wtem on również zauważył wyraz twarzy Safara. - O co chodzi, przyjacielu? Co się stało?

Safar potrząsnął głową, niezdolny do odpowiedzi.

Wtedy smutne zrozumienie zachmurzyło oczy Iraja.

- Ach, rozumiem. Twoja kobieta zmarła, prawda?

- Tak.

- A ty ją kochałeś?
- Tak.
- Tak mi przykro. Mam nadzieję, że nie nienawidzisz mnie za to.
- Nie.
- To był wojenny wypadek.
- Methydia powiedziała to samo, zanim umarła.
- Mądra kobieta.
- Taka właśnie była.

Iraj wpatrywał się uważnie w twarz Safara. Potem spytał:

- Cóż takiego chcesz ode mnie? Co mogę zrobić, by ulżyć twojemu bólowi?

Safar wskazał na okropne sceny rozgrywające się niżej.

- Oszczędź ich - rzekł.

Iraj spojrział się na niego dziwnie.

- Pozwól, że ci wyjaśnię, dlaczego będzie to dla ciebie korzystne - powiedział Safar.

Iraj potrząsnął głową.

- Nie musisz wyjaśniać mi swoich powodów. Poprosiłeś o przysługę. Dostaniesz ją. Oferuję ci ją bez zobowiązań i bez wahania. W końcu taką mamy umowę. To nasza wzajemna przysięga przypieczętowana krwią.

Iraj wezwał przybocznych, którzy natychmiast przybiegli.

- Uwolnijcie tych ludzi - rozkazał. - Zawróćcie ich do domów.

- Ale Wasza Wysokość - zaprotestował jeden z przybocznych - co z ich oporem? Trzeba z nich zrobić przykład.

Iraj mierzył gniewnym wzrokiem mężczyznę, który w wyraźny sposób kurczył się pod ciężarem tego spojrzenia.

- Jeśli jeszcze raz ośmielisz się kwestionować moje słowa - powiedział król - to twoją głowę kat położy na pieńku. Rób jak każe! Natychmiast!

Podwładni pospiesznie rzucili się wykonywać jego rozkazy. Kilka minut później rogi zawyły, wykrzyczano rozkazy, a z kończyn mieszkańców Sampitay zrzucano łańcuchy. Ludzie padli na kolana, szlochając i krzycząc na chwałę niebiosom, dziękując bogom i Protarusowi za oszczędzenie ich życia.

Safar patrzył, rozmyślając, że powinni dziękować Methydii, nie Protarusowi.

- Szczerze mówiąc, mój przyjacielu - powiedział Iraj - to czuję ulgę, mogąc oddać ci tę przysługę. Obserwowanie masowych egzekucji, a jeszcze bardziej nakazywanie ich, jest moim najbardziej zniechęcającym obowiązkiem.

- A więc ich nie nakazuj - rzekł Safar.

Brwi Iraja uniosły się w zdziwieniu. Na policzki wypełził rumieniec. Jasne było, że nie przywykł, by ktoś z nim rozmawiał w ten sposób. Potem uśmiechnął się przeprasząco.

- Jesteś szczerzy - stwierdził. - Nikt na moim dworze nie ośmiela się tak mówić. A tego właśnie mi najbardziej brakuje - przyjaciela, który powie mi to, w co święcie wierzy.

- Nie dalej niż godzinę temu rzekłeś, bym się do ciebie przyłączył. Czy wciąż chcesz, bym ci służył?

- Doprawdy, tak - odpowiedział Iraj. - Ale nie chcę natychmiastowej odpowiedzi. Uczyniłem ci przysługę, Safarze. Niegodne jest żądać czegoś w zamian. Byłaby to plama na naszej długoletniej

przyjaźni.

- Poznasz moją odpowiedź niezależnie od tej przysługi - odparł Safar. - I nie będzie to tylko odwzajemnienie. Przyłączę się do ciebie, ochoczo i z własnej woli. Proszę cię tylko o to, byś słuchał moich rad, których będę ci udzielał tak szczerze, jak tylko potrafię.

- Zgoda! - odpowiedział Iraj, a jego twarz pojaśniała. Wyciągnął rękę. - Uściśnij ją, mój bracie - rzekł - a ja wyniosę cię na szczyt w miarę moich możliwości.

Safar ścisnął jego dłoń, a Iraj powiedział:

- Safarze Timuro, synu garncarza, czarnoksiężniku Wysokich Przełęcz, ja, król Iraj Protarus, ogłaszam cię wielkim wezyrem. Od tej chwili jesteś najwyższym z najwyższych w moim królestwie. Możesz rozkazywać wszystkim prócz mnie.

Safar poczuł, jak świat się obraca. Zupełnie, jakby dyrektor cyrku rozkręcił Wielkie Koło Przeznaczenia, na którym rozpięto Safara z głową na krawędzi, a koło obracało się coraz szybciej. Usłyszał okrzyk dyrektora cyrku: „I oto się kręci... a gdzie się zatrzyma... bogowie jedynie wiedzą!”

Safar mocno ścisnął rękę Iraja, częściowo po to, by nie stracić równowagi, ale głównie dlatego, by nie wyrwać jej czym prędzej. Nie chciał tego. Jego największym pragnieniem było wspiąć się na pokład chmurostatku z Binerem, Arlain i pozostałymi i uciec od tego miejsca oraz takiego losu.

Ale chmurostatku już nie było.

Poza tym złożył przysięgę Methydie.

Safar uspokoił nerwy i powiedział tak zdecydowanie, jak tylko potrafił:

- Przyjmuję.

Tej nocy Iraj wezwał swój dwór na naradę. Odbyła się niewielka uroczystość, podczas której ogłoszono Safara wielkim wezyrem.

Twarze królewskich oficerów i dworzan zamazywały się w oczach Safara. Rozróżniał jedynie pojedyncze oblicza. Część z nich była przyjazna, a część nie. W większości rzucano mu spojrzenia pełne ciekawości i zdumienia.

Kim był ten człowiek, który tak szybko osiągnął taki szczyt?

Czy jego obecność przynosiła powodzenie, czy pecha?

Późną nocą Safar miał sen, w którym przyszła do niego Methydia.

We śnie poczuł, jak pieczęcią go miękkie dłonie. Otworzył oczy i ujrzał nad sobą twarz Methydie i jej smukłe ciało. Wykrzyknął jej imię i przyciągnął do siebie. Kochali się miękko, kołysząc, jakby ponownie lecieli na pokładzie chmurostatku. Wtem chmurostatek stanął w płomieniach, spadając na ziemię, a oni przywarli do siebie, dosiadając ognia w nie kończącym się upadku.

Kiedy obudził się rano, zobaczył, że do jego ramienia przytuliła się Leiria, uśmiechając się przez sen.

Czując się jak zdrajca, próbował delikatnie cofnąć rękę. Ale Leiria obudziła się, mrucząc, rzucając mu ogniste spojrzenia i przywierając do niego. Oswobodził się delikatnie, ale zdecydowanie.

- Mam pewne obowiązki - rzekł.

Najpierw wydeła usta, a potem zachichotała i wstała, mówiąc:

- Nie wolno mi być tak samolubną i zabierać wszystkie twe siły, mój panie.

Safar zdołał w odpowiedzi uśmiechnąć się blado. Leiria zaczęła się ubierać.

- Nocą wołałaś imię innej kobiety - rzekła. Powiedziała to lekkim tonem, ale Safar wyczuwał w nim zranioną nutę. - Czy to imię tej kobiety, która zmarła?

- Tak - odparł cicho Safar.

Leiria wzruszyła ramionami.

- Nie mam nic przeciwko - odparła. - To dobrze, że masz wierne serce. - Pochyliła głowę, koncentrując się całkowicie na przypasaniu broni. - Król rozkazał mi pocieszyć cię i strzec za cenę mojego życia. - Podniosła głowę, a Safar ujrzał łzy w jej oczach. - Król każe, ale ja chętnie spełniam jego rozkazy. Będę cię strzec i będę dla ciebie tamtą kobietą jak długo zechcesz. I może któregoś dnia wypowiesz moje imię zamiast... jej.

Safar nie wiedział, co powiedzieć. Sądząc po wyrazie jej twarzy każde słowo mogło wywołać powódź łez. Pogardzałaby nim za poniżenie jej. Tak więc rzekł jedynie:

- Zaszczycasz mnie, Leirio.

Choć była to niewiele mówiąca odpowiedź, wydawała się ją satysfakcjonować. Skinęła głową, skończyła ubierać się, pocałowała go i wyszła. Safar powiódł za nią wzrokiem, zastanawiając się, ile w tym było udawania, a ile prawdziwych uczuć.

I co ta kobieta opowie Irajowi?

Niedługo potem Safar miał okazję sprawdzić to osobiście. Ledwo zdążył spożyć szybki posiłek i ubrać się, a został wezwany przez Iraję.

Leiria była jego przewodnikiem i strażą, gdy pospiesznie stawał przed obliczem króla. Nie dała nawet znaku, że spędziła z nim noc. Jej zachowanie było profesjonalnie wojskowe, a sposób bycia grzeczny i pełen szacunku.

Kiedy przybyli do królewskich komnat, nie musiał przechodzić przez zwyczajowe przeszukiwanie. Natychmiast wprowadzono go do środka. Iraj siedział na prostym obozowym krześle, a przed nim na stole rozpostarto mapy i wykresy. Kiedy ujrzał Safara, rzekł:

- Wydaje się, że mój mały podarunek dla ciebie wywołał liczne kłopoty, przyjacielu.

Safar zmusił się, by nie patrzeć na Leirię.

- Co masz na myśli, Iraj? - zapytał.

Iraj postukał w mapy.

- Planuję następną kampanię - odparł, ku niezmiernej uldze Safara. - Nadchodzi zima i nie zostało zbyt wiele czasu.

- W czym leży problem? - spytał Safar. - I w jaki sposób ja go wywołałem?

- Sampitay jest tym problemem - odpowiedział Iraj. - Teraz, gdy zwróciłem je obywatelom, jak mnie o to prosiłeś, będę ich miał za plecami, gdy znów rozpoczniemy marsz.

- Dlaczego sądzisz, że będą dla ciebie zagrożeniem? - zapytał Safar.

- Dlaczego sądzisz, że nim nie będą? - odparł Iraj, mrużąc oczy.

- Czy nie zamierzasz założyć garnizonu w mieście - spytał Safar - i postawić na jego czele jednego z twoich ludzi?

- Garnizony są strasznie kosztowne - odparł Iraj. - Zabierają pieniądze, żołnierzy i dobrych oficerów, którzy mają je prowadzić.

- Wczoraj - powiedział Safar - zaproponowałem, że podam argumenty na moją prośbę. Łaskawie zdecydowałaś się nie wysłuchać ich. Chciałbym zaoferować je ponownie.

Iraj skinął głową.

- Zdradź je.

- Sampitay jest jednym z najbogatszych miast Esmiru - wskazał Safar. - Źródłem tego bogactwa, jak ci wiadomo, jest jedwab. Ale do wyprodukowania tego jedwabiu potrzeba wysoko wykwalifikowanych ludzi, a te umiejętności posiada jedynie niewielu poza Sampitay. Tak więc ci ludzie są dla ciebie więcej warty jako żywi i wolni, a nie martwi lub w niewoli. Pomyśl o złocie, które zapłacą w podatkach. Możesz go użyć, by opłacić swoje kampanie. Jeśli zaś chodzi o żołnierzy potrzebnych do utworzenia garnizonu, to dlaczego nie zaciągnąć ich spośród żołnierzy Sampitay? Z łatwością możesz dostosować ich do swych potrzeb. A poza tym, musisz mieć wielu młodych oficerów, którzy pragną większej odpowiedzialności i awansu. Mogą zastąpić starszych oficerów, których pozostawisz za sobą, by dowodzili garnizonami i utrzymywali pokój, jednocześnie pilnując poboru podatków.

Iraj rozważał jego słowa, a potem rzekł:

- Przyznaję, że ogromnie potrzebuję pieniędzy. W wojennych legendach nie pada ani słowo o tym, ile kosztuje utrzymanie takiej wojny. Dotychczas wydawałem pieniądze uzyskiwane z plądrowania i lichych podatków, które byłem zdolny zebrać w miastach pod moimi rządami. Niestety, plądrowanie ma to do siebie, że większość sum ląduje w kieszeniach moich żołnierzy, a nie w mojej. Moi ludzie tego się spodziewają i jest to ich prawem. Jeśli chodzi o podatki, władcy, którzy sprzymierzyli się ze mną, zawsze jęczą, że ledwie zdołają zapłacić mi to, o co proszę. Nie mam czasu, by wrócić i dać im prawdziwy powód do jęków, tak więc oszukują mnie niemiłosiernie.

- A więc ustanów tam garnizony w taki sam sposób, jak zasugerowałem dla Sampitay - rzekł Safar.

- Co takiego? I też użyć ich żołnierzy, zastępując moich?

- A co w tym złego? - spytał Safar.

- Aż do tej chwili - odparł Iraj - pod moim sztandarem walczyli jedynie ludzie z moich rodzinnych równin.

- Z pewnością na samym początku była to mądra polityka. Ale jeśli masz zostać królem królów, prawdziwym władcą całego Esmiru, musisz szukać lojalności w sercach wszystkich swoich poddanych, nie tylko wśród ludzi równin. I to, mój przyjacielu, jest najlepszym powodem, dla którego warto skończyć z polityką rzezi. Poza tym sam powiedziałeś, że nie cierpisz rozlewu krwi. Może opór nie był wywołany słabością, którą odziedziczyłeś po ojcu. Może gdzieś w zakamarkach umysłu wiedziałeś, że trzeba znaleźć nowy sposób na rządzenie królestwem tak wielkim, jakie kiedyś miał Alisarrian. A ja tylko ubrałem w słowa idee, które od dawna ci świły.

Iraj myślał przez chwilę, a potem powiedział:

- Zrobię, jak proponujesz. Począwszy od Sampitay. - Skinął w kierunku map. - To z pewnością ułatwi mi zadanie. Zanim zapadnie zima, całe południe znajdzie się pod moim panowaniem. A wiosną... - nakreślił linię, wiodącą przez Łańcuch Bogów - ...zagarniemy północ, przechodząc przez Kyranię, tak jak to zrobił kiedyś Alisarrian.

Opadł zmęczony na krzesło.

- Będę musiał wywalczyć sobie drogę do morza - powiedział. - Zastanawiam się, ile to zajmie lat? I czy będę żył wystarczająco długo, by to zobaczyć?

- Będiesz - odrzekł Safar.

Iraj uśmiechnął się, przypominając sobie.

- Oczywiście. Ujrzeliśmy siebie nawzajem w tej wizji, prawda? Demony znalazły się pod

naszymi stopami, gdy maszerowaliśmy ku bramom Zanzairu.

- Pamiętam - odparł Safar.

Iraj milczał przez chwilę, a potem zapytał:

- Czy często rozmyślasz o demonach? O tym, jak stawiliśmy im razem czoło w przeszłości?

- To najgorszy z moich koszmarów - odparł Safar.

- Czy uważasz, że Coralean miał rację? I czy byli jedynie grupką bandytów, którzy zboczyli na ludzkie ziemie?

- Nic nie wskazywało na to, by było inaczej - rzekł Safar. - Przeczesałem biblioteki Walarii, chcąc znaleźć jakiś historyczny precedens. - Potrząsnął głową. - Nie było żadnego. Jednakże od tamtego czasu wydarzyło się wiele dziwnych rzeczy. Susze, plagi, wojny.

Iraj uśmiechnął się smutno.

- Cóż, wiemy, skąd się biorą wojny - powiedział. Postukał się w pierś, wskazując na siebie. - Jeśli chodzi o pozostałe rzeczy, to mogą być wywołane przez naturę.

- Nie sądzę - odparł Safar. Opowiedział mu o swoich badaniach nad Hadinem, a także o czarnoksiężskiej larwie, którą spotkał w Kyshaat.

Kiedy skończył, Iraj odezwał się:

- Wielokrotnie myślałem o nocy w górach. Oraz o twej wizji, która po niej nastąpiła. Nie jestem jasnowidzem, jak ty, mój przyjacielu, ale powiem ci, co moim zdaniem się tu dzieje. Może coś się wydarzyło w odległym Hadinie. Osobiście uważam, że to był znak z niebios. Znak, który dokładnie pasuje do twoich innych wizji o mnie i Alisarrianie. Wierzę głęboko, że świat zbliżył się do skrzyżowania dróg. Jeden kierunek prowadzi ku katastrofie, choć nie umiem określić, jakiego rodzaju ma to być katastrofa. Drugi zaś wiedzie ku nadziei i jasnej przyszłości.

Ponownie postukał się w pierś.

- I to ja jestem tą nadzieją i przyszłością. Gdy odniosę sukces, wszystko ponownie będzie w najlepszym porządku.

- Modłę się, byś miał rację - oznajmił Safar. - Zamierzam zrobić, co w mojej mocy, byś miał szansę to udowodnić.

Iraj roześmiał się.

- Dobrze powiedziane, mój bracie. Razem podbijemy wszystkie krainy. Nic nie stanie na naszej drodze.

Safar uśmiechnął się w odpowiedzi, ale pomyślał: „Iraju, wciąż są demony. Wciąż pozostają demony”.

Następnego dnia Safar pożegnał cyrk. Rzucił pełną złotą torbę w dłoń Binera. Była tak ciężka, że muskularny karzeł prawie ją upuścił, nie spodziewając się takiej masy.

- Co to ma być? - zapytał.

- Abonament na bilety na cały wiek - odparł Safar, uśmiechając się. - Mam nadzieję, że zawsze będziecie trzymać dla mnie miejsce.

- O, z pewnością - powiedziała Arlain, wycierając łzę chusteczką.

- Niewiele zostało z cyrku - rzekł posepnie Biner - bez Methydii i chmurostatku.

- Chciałbym sprowadzić ich z powrotem - odezwał się Safar. - Ale złoto to wszystko, co mogę wam dać.

- Stworzymy najlepszy cholerny cyrk - oznajmił Biner. - Będziesz z nas dumny.

- Już jestem z was dumny - stwierdził Safar. - I przez resztę mojego życia będę pamiętał miesiące, które z wami spędziłem.

- Jesteś teraz bogatym człowiekiem - powiedział Biner. - Potężnym człowiekiem. Ale gdybyś kiedykolwiek nas potrzebował... - Emocje wzięły nad nim górę i obrócił się, by głośno wydmuchać nos w chustę. Kiedy już się pozbierał, rzekł: - Do diabła, wiesz, co mam na myśli!

- Pewnie, że tak - mruknął Safar, wycierając własne łzy.

Potem uścisnął ich wszystkich po kolei.

Kiedy skończył, spiesznie oddalił się, zanim jego wola osłabła i zdecydował się wysliznąć nocą w ich towarzystwie.

Następnym razem, gdy Leiria przyszła do jego łóżka, prawie ją wyrzucił, ale ostatecznie okazało się, że łatwiej zaakceptować jej uścisk niż ją odesłać. Była pełną zapału, wyszkoloną kochanką. Już nigdy nie zawołał imienia Methydii, choć to właśnie o niej myślał. Nie wiedział, co sądzić o Leirii. Czy powodowało ją prawdziwe uczucie, czy była szpiegiem Iraja? Nigdy nie zdradziła się z niczym, co mogłoby udowodnić prawdziwość jednej z tych możliwości. Nocą była jak ogień w jego ramionach, za dnia stawała się zimną profesjonalistką mierzącą wzrokiem w poszukiwaniu złych zamiarów każdego mężczyznę, który się do niego zbliżał.

Targany wątpliwościami, odczekał kilka nocy, zanim pogrążył się w realizacji najważniejszej sprawy. Potem dał jej trudne zadanie, którego wypełnienie miało zająć wiele czasu. Kiedy odeszła, wyjął kamiennego żółwia i przywołał Gundarę. Mały Ulubieniec był wciąż bardzo słaby i nie mógł przybrać pełnej formy. Safar widział ściany namiotu prześwitujące przez jego widmową postać.

- Mam nadzieję, panie, że nie chcesz, bym spełnił ciężkie zadanie - jęknął Gundara. - Jak widzisz, nie czuję się za dobrze.

- Mam dla ciebie łakocie - powiedział Safar, podając Gundarze smakołyk, który zatrzymał z obiadu.

Gundara obojętnie wziął przysmak z dłoni Safara. Polizał cukier, a potem westchnął i upuścił słodczyce na ziemię.

- Już nie smakuje tak jak kiedyś - poskarżył się.

- Nigdy nie miałem okazji podziękować ci za ostrzeżenie tamtej nocy - rzekł Safar.

Gundara ponownie głęboko westchnął.

- Prawie nie mogłem się wydostać z kamienia - oznajmił. - Gundaree pchał mnie i pchał, ile tylko miał sił.

Prawie nas to zabiło.

- Tak mi przykro - odrzekł Safar. - Ale uratowałeś mi życie.

Gundara wzruszył ramionami.

- Mam tylko nadzieję, że nie będę musiał tego robić znów w najbliższej przyszłości.

- Ja też - odparł Safar. - Ale co z terażniejszością? Czy znajduję się wśród wrogów?

- Z pewnością, panie - powiedział Gundara. - Wokół ciebie są wrogowie. Jest ich tylu, że nie mogę nikogo szczególnie wyróżnić. Teraz wydają się zbyt wystraszeni, by uczynić coś więcej, niż cię tylko nienawidzić. Radzę, panie, byś był niezwykle ostrożny.

- A co z Irajem? - spytał Safar. - Co z królem? Czy i on jest moim wrogiem?

- Nie - odrzekł Ulubieniec. - Ale jest twoim zagrożeniem. Jak wszyscy królowie. Strzeż się królów, panie, oto najlepsza rada, jakiej mogę ci udzielić.

- A co z tą kobietą, Leirią? - zapytał Safar. - Czy ma dobre, czy złe zamiary?

- Jestem za słaby, a jej myśli zbyt skomplikowane, by je objaśnić, panie - odpowiedział Gundara.

- Gdy jest z tobą, kocha ciebie. Ale gdy jest w pobliżu króla, uwielbia jego. Wszystko, co mogę doradzić, to nie ufaj jej... i trzymaj ją blisko siebie.

Safar ukrył swoje rozczarowanie. Miał nadzieję, że malutki Ulubieniec zdradzi mu coś więcej.

- Czy mogę coś dla ciebie zrobić? - zapytał. - Cokolwiek, co przyspieszyłoby twoje zdrowienie?

- Spokój, panie - odrzekł Gundara. - Potrzebujemy odpoczynku. Tylko tyle można dla nas zrobić.

Z biegiem czasu będziemy coraz zdrowsi.

Safar pomyślał, że to „z biegiem czasu” mogło oznaczać dla Ulubieńca setki lat. Miał nadzieję, że tak się jednak nie stanie.

Zaczął wykonywać gest, aby odesłać Gundarę do kamienia.

- Poczekaj, panie - rzucił stworek. - O mały włos, a zapomniałbym o czymś.

Ulubieniec zamachał ręką, w której pojawił się niewielki przedmiot. Machnął jeszcze raz i rzecz plasnęła o dłoń Safara, rosnąc w jego oczach. Była to cienka, zniszczona stara książka w skórzanej oprawie.

- Ukradłem to z Nerisą z biblioteki Umurhana - oświadczył Gundara. - Chciała, bym ją dla ciebie przechował.

Safar przyjrzał się bliżej. Wstrzymał oddech. Na okładce, pośrodku złotego liścia widniał znajomy symbol.

- To książka lorda Aspera - rzekł Gundara. - Ta, której szukałeś. - A potem znikł w kamieniu.

Drżącymi palcami Safar otworzył książkę. Kilka minut zajęło mu przetłumaczenie zawijasów. Wtem słowa wyskoczyły przed jego oczami, jakby były żywe:

Przez długie lata oplakiwałem ten świat.

Przez długie lata biadałem nad losem.

Nagie miecze, łopot sztandarów,

Atak na wały obronne, strzały nienawiści.

„Zabić ludzi!” wszyscy krzyczeliśmy.

„Wygnać diabły z naszych ziem!”

To ja krzyczałem najgłośniej, lecz obłudnie.

Obawiałem się im rzec, żeśmy przekłęci!

Demony i ludzie z jednego łona są,

Zmierzają ku Hadinowi. Tam pewnego dnia ujrzałem

Wspólną śmierć i wspólny grób...

Safar chrząknął z frustracją. Owady zniszczyły resztę kartki.

Przerzucił stronicę. Kilka z nich rozpadło się, większość ocalała, ale reszta książki wydawała się zawierać magiczne formuły i spisane drobnym literkami uwagi, z rozrzuconymi tu i tam fragmentami wierszy. Wiele czasu zajmie mu odcyfrowanie wzorów i notatek poczynionych przez demonicznego czarodzieja, ale przynajmniej w końcu odnalazł coś - lub kogoś - co mogłoby mu być drogowskazem.

Pomyślał o Nerisie. Tak naprawdę nigdy nie znikła z jego myśli. Nie było dnia, by nie nawiedzała go jej twarz o wielkich, smutnych oczach i skrzywionych usteczkach. Uśmiechnął się, myśląc, że ta książka - Księga Aspera - była jej ostatnim podarkiem dla niego.

Usłyszał, jak Leiria zbliża się do jego pomieszczenia. Odłożył księgę.

„Biedna Leiria - pomyślał. - Dwie zmarłe kobiety rywalki zamiast jednej”.

Armia maszerowała jeszcze przez tydzień z Irajem na czele i Safarem u jego boku. Obywatele Sampitay zjawili się, by obserwować jego wymarsz, ustawiając się po obu stronach drogi i wykrzykując pochwały i życzenia szczęścia dla dobrego króla Protarusa.

Niedługo potem padło kolejne miasto, stając się następnym klejnotem w koronie młodego króla. Iraj postąpił z tym miastem tak samo jak z Sampitay, zgodnie z radą Safara o traktowaniu mieszkańców i sposobie zarządzania. Minął miesiąc wypełniony podbojami. Niektóre z nich były krwawe, inne nie.

Potem nadeszła zima i armia Irajaja rozbiła obóz. Zgromadzono wiele drewna na opał oraz mnóstwo jedzenia i picia. Posłańcy nadchodzili i odchodzili, karawany przedzierały się przez śnieg, niosąc złoto od poborców podatków, które wypełniało skarbiec Irajaja.

Ale król był w ponurym nastroju. Przemierzał obóz i wpatrywał się w dal, w Łańcuch Bogów, przeklinając wszystkie zimne dni, które pozostały jeszcze do wiosny.

I przysięgał swojemu przyjacielowi i wielkiemu wezyrowi, lordowi Safarowi Timurze, że gdy tylko pierwsze zielone pędy wystrzelą ponad ziemię, pomaszeruje ku góróm.

Część czwarta

WOJNY Z DEMONAMI

Początek inwazji

Były to największe siły zbrojne w historii Esmiru.

Armia demonów - licząca pół miliona żołnierzy, których broje błyszczały w bladym, wiosennym słońcu - zebrała się wzdłuż skraju Zakazanej Pustyni. Wyglądała jak olbrzymi smok z migoczącymi łuskami i rozpostartymi skrzydłami, czający się do skoku, by napaść na ziemie ludzi. Las włóczni, pik i łuków był ciałem smoka. Wielkie wozy towarowe z bronią i zapasami tworzyły ogon. Trąbienie słoni i prykanie kawaleryjskich wierzchowców mieszało się ze szczękami broni i okrzykami maruderów idących za obozowiskiem, a wszystko razem brzmiało jak głos olbrzymiej bestii.

Głowę tworzyło dziesięć tysięcy kawalerzystów, którymi dowodził książę Luka.

Byli elitą sił. W ich szeregi weszły najwspanialsze demony ze wszystkich krain. W ich żyłach płynęła błękitna krew. Aż palili się, by ją przelać za króla i bogów. Ogarnął ich bitewny szał i z niecierpliwością oczekiwali sygnału, po którym mieli pomknąć za pustynię. Głośno narzekali na wszelkie opóźnienia, zgrzytając kłami i niespokojnie zerkając żółtymi oczami na uwielbianego księcia, który w tej chwili naradzał się z ojcem, królem Manacią i wielkim wezyrem, lordem Fari.

Książę, udając, że zupełnie pochłonęły go ostatnie rozkazy przed rozpoczęciem kampanii, słyszał to narzekanie i nienawidził ich za to.

Nie mógł sobie wyobrazić, dlaczego aż tak się niecierpliwią, by pospieszyć na spotkanie stwórców w niebiosach. Książę nie dbał o to, czy wszyscy umrą w najpotworniejszych mękach. Sprzeciwiał się jedynie temu, że miał podzielić ich los. Pomyślał, że wszyscy są kazirodczymi bękartami. Można im wydłubać oboje oczu za jednym zamachem. Mają tylko jaja i zero mózgu. Zdaniem Luki, ich małe głowy na grubych karkach miały tylko jedno zadanie - noszenie hełmu. „Dlaczego, och, dlaczego bogowie tak mnie nienawidzą?”

- Pierwsza część kampanii zależy bezpośrednio od ciebie, mój synu - mówił król Manacia.

- Co takiego, Wasza Wysokość? - zapytał Luka. - Przepraszam, ale ciężko mi się skoncentrować. Wyznam, iż rozmarzyłem się o zwycięstwach, które ja i moi żołnierze złożymy u twoich stóp po przybyciu do krainy ludzi.

Manacia obnażył kły w dumnym uśmiechu.

- Cóż za waleczny książę z mojego syna, Fari - powiedział król do swojego wielkiego wezyra. - Tak się pali, by natychmiast wyruszyć i zarzynać ludzi, że nie słyszał prawie słowa z tego, co mówiłem.

Fari pokiwał głową, a jego stary pysk zmarszczył się w uśmiechu.

- Tak w istocie jest, Wasza Wysokość - odparł, przykładając łapy do piersi. Potem dodał jedną ze swych wytartych formułek: - Książę Luka jest przykładem dla nas wszystkich.

Luka dojrzał błysk rozbawienia w starych oczach demona. Fari czytał w jego sercu jak w otwartej księdze i był zachwycony trudną sytuacją księcia Luki. „Ty stary sukinsynu - pomyślał Luka. - Przysięgam, że przeżyję tylko po to, żeby cię pognać. Nieważne, jak to zrobię, ale przeżyję, żeby

naszczać na twój grób i na grób mojego ojca”.

- Krąży w nim gorąca krew jego matki - rzekł Manacia, a potem dodał do Luki: - Czy kiedykolwiek opowiedziałem ci o tej chwili, kiedy twoja kochana, nieodżałowana matka oskarżyła mnie o gwałt?

- Nie sędzę, Wasza Wysokość - skłamał książę. - Z najwyższą przyjemnością wysłucham tej opowieści.

Manacia wybuchnął śmiechem na to wspomnienie.

- Zdarzyło się to po tym, jak próbowała zadźgać mnie i musiałem ją związać... - chichotał. - Ona... ona...

Król przestał mówić, uspokajając się. Wytarł oczy i poprawił koronę, która w paroksyzmie śmiechu przekrzywiła się na ucho.

- Nieważne - rzekł Manacia. - Mamy tu do załatwienia ważniejszy interes. Zachowam tę opowieść na przyszłość, gdy wszyscy zbierzemy się wieczorem przy obozowym ognisku, dzieląc się pieczonym ludzkim udźcem.

Dźgnął palcem mapę, kierując ponownie ich uwagę ku końcowemu odcinkowi planów.

- Chcę, Luka, byś jak najszybciej przemierzył pustynię - powiedział król. - Pędź jak wiatr. Nie zatrzymuj się pod żadnym pozorem. A kiedy już znajdziesz się po drugiej stronie, chcę, żebyś ustawił obóz wypadowy. Uważaj, by dobrze przeczesać teren. Jeśli zobaczysz ludzi, zabij ich. W zasadzie najlepiej byłoby, gdybyś wysłał żołnierzy na dobre pięćdziesiąt mil wokół obozu. Zniszcz wszelkie odnalezione osady i upewnij się, że żaden z ludzi nie uciekł, by rozpowiedzieć o naszej inwazji. Chcemy jak najdłużej wykorzystywać element zaskoczenia. Gdy tylko moja armia się zbierze i zabezpieczymy linie zaopatrzenia, przetoczmy się po nich jak zaprzężony w osiem bestii, siejący popłoch na targowisku rydwan. W ciągu sześciu miesięcy, według moich ocen, dotrzemy do morza i zjemy smaczny obiad z ryb.

Luka skłonił się.

- A mnie spotka zaszczyt, Wasza Wysokość - rzekł - jeśli będę mógł ci ugotować własnoręcznie posiłek. - Ale jednocześnie pomyślał: „Kiedy tylko znajdę szansę, nadzieję go tak trucizną, że ci odpadną łuski, ty obleśny stary tchórz!”

Manacia zwinął mapę i podał ją usłużnemu giermkowi, który przed odpełnieniem padł na kolana i stuknął kościstym czołem o skalistą glebę.

- Fari, pozostało jedynie rzucić kości - oznajmił król. - Potem dam sygnał, by rozpocząć marsz. Oczywiście, jeśli wszystko pójdzie dobrze.

Mówiąc ostatnie słowa, przyjrzał się srogo magowi, wyraźnie dając do zrozumienia, co stanie się z Farim, jeśli wróżba nie znajdzie uznania w królewskich oczach.

- Nie obawiaj się, Wasza Wysokość - odparł Fari, wyciągając z rękawa skrzyneczkę wróżbiarską. - Rozkazałem wykonać specjalne kości odpowiednie na ten historyczny moment. Człowiek, którego użyliśmy dla potrzeb ostatniej sesji wróżbiarskiej, okazał się tak pomyślny, że gdy pozbywaliśmy się ciała, zachowałem kłyckie jego prawej dłoni.

Fari skinął ręką. Dwóch niewolników podpełzło ku niemu, rozwijając niewielki dywanik u jego stóp. Dywanik był czarny jak noc, a na jego tle wyhaftowano srebrem gwiazdne domy.

Demon wyjął ze szkatułki kubek z kości słoniowej i małą, ściągniętą sznurkiem jedwabną sakiewkę. Kości kłycki zagrzechotały sucho, wpadając do kubka. Fari potrząsnął kubkiem. Wirujące kości brzmiały jak grzechotnik.

Fari zaintonował:

*Odkryjcie swe sekrety, dajcie nam dojrzeć,
Jaką opowieść snuć będą o nas bogowie,
Gdy ziszczą się błogosławione zdarzenia.*

Rzucił kości na dywanik. Król, książę i mag pochyłili się nad nimi, by przestudiować wynik.

- Cóż to - zapytał Manacia, a jego oczy wypełniły się zadowoleniem. - Ułożyły się we wzór na Księżycu Demonów. - Spojrzał na czarodzieja. - Księżyc Demonów, jak mniemam, ma niebawem się pojawić, prawda, Fari?

- O tak, panie, w rzeczy samej - odparł Fari, kiwając głową. - Obserwatorzy Gwiazd mówią, że zjawia się raz na tysiąc lat. I przewidują, że ów cykl ma się niedługo powtórzyć. Wróżba przynosi nam dobre wieści, Wasza Wysokość, jak sam zresztą możesz zobaczyć. - Wskazał szponem. - I popatrz tutaj, jeden z kłykci spadł na kometa. Księżyc Demonów i Kometa, jak Wasza Wysokość dobrze wie, jest znakiem Alisarriana.

Manacia klepnął się w udo, zachwycony.

- Samego Zdobywcy! - wykrzyknął. - Poza jednym szczegółem. Tym razem podboju dokona demon, a nie ludzki diabeł!

Fari w myślach odetchnął z ulgą. Kłamałby, jeśli tylko miałby śmiałość, by wróżba wyszła tak, jak sobie życzył król. Ale Manacia był najpotężniejszym czarodziejem we wszystkich krainach demonów. Umiał odczytywać wróżby równie dobrze, jeśli nawet nie lepiej, jak królewscy magowie. Jednakże przewidywanie przyszłości nudziło go, tak więc pozostawiał swoim poddanym studiowanie kości i śladów we wnętrznościach w poszukiwaniu drogowskazów.

Manacia wstał, ogarnięty czułymi uczuciami, i objął księcia.

- Bogowie są z nami, mój synu - powiedział, ściskając Lukę. - Niechaj ich wola prowadzi cię w tej świętej misji.

Luka niezgrabnie odwzajemnił uścisk, żałując niezmiernie, że nie ma sztyletu, który mógłby zatopić w plecach ojca.

- Zrobię, co w mojej mocy, Wasza Wysokość - odparł.

Manacia cofnął się.

- Wsiadaj, mój synu - rozkazał - a ja dam sygnał.

Luka skłonił się nisko, a potem podszedł do wierzchowca - bestii w ciężkiej zbroi, z długą wdzięczną szyją, błyszczącymi kłami i wypolerowanymi pazurami. Gdy książę próbował jej dosiąść, bestia próbowała sięgnąć go jedną z łap. Nie zmieniając kroku, książę zrobił unik i wskoczył na siodło, spinając zwierzę ostrogami tak mocno, że pociekła krew. Bestia zaskrzeczała i stanęła dęba, młócąc powietrze łapami.

- Dobry pokaz! - krzyknął Manacia. - Nie ma nic lepszego od pełnego werwy wierzchowca niosącego cię ku zwycięstwu.

Luka walczył, by utrzymać się w siodle, ale ukrył ten afront, ponownie dźgając bestię ostrogami.

- Ku zwycięstwu! - zawołał, wyciągając miecz i machając nim w powietrzu.

Jego wojownicy odkrzyknęli jednym głosem, jak echo:

- Ku zwycięstwu!

Luka przycisnął miecz do szyi wierzchowca. Jego następne słowa zostały zagłuszone okrzykami dobywającymi się z dziesięciu tysięcy demonich gardeł.

- Łapy na ziemię, ty wszawa kupo mułu - powiedział - albo poderżnę ci gardło.

Bestia zrozumiała i opadła na ziemię, łagodna jak domowy kotek.

Luka skierował wierzchowca ku miejscu na czele demonich sił i ponownie krzyknął:

- Ku zwycięstwu!

- Ku zwycięstwu! - zaryczeli w odpowiedzi żołnierze, wyciągając miecze i wymachując nimi jak szaleńcy.

- Książę posuwa się za daleko - Manacia poskarżył się szeptem Fariemu. - To moja chwila, a nie jego.

Fari potrząsnął głową, skrywając zadowolenie z krytyki pod adresem jego wroga.

- To zwykle rozradowanie, Wasza Wysokość, jestem tego pewien - odparł. - Z pewnością nie taki był zamiar księcia.

- Może i tak, może i nie - warknął Manacia. - Skończmy już z tym.

Fari dał sygnał i demony-niewolnicy dźgnęli wielkiego, białego królewskiego słonia, który pochylił się w przód. Wspaniałe palankin na jego grzbiecie kołysał się we wszystkie strony. Jeszcze więcej dźgnięć sprawiło, że zwierzę padło na kolana. Króla uniesiono. Dyszał nieco i zastanawiał się, czy przypadkiem nie pozwolił sobie zbyt utyc. „Nieważne - pomyślał, zajmując miejsce w palankinie. - Będę szczupły, gdy ta kampania się skończy”.

Dał sygnał. Zadęto w trąby, uderzono w werble i cała armia stanęła na baczność, grzechocząc głośno zbrojami i bronią. Nastąpiła niewielka przerwa, odrobinę dłuższa, niż wymagał tego dramatyzm chwili.

- Na miłość boską, Fari - zawołał Manacia z grzbietu słonia - rzuć to cholerne zaklęcie!

Fari wybudził się z rozkosznego marzenia, w którym Manacia i Luka, nadziani na rożen, skrzecząc, obracali się na wolnym ogniu.

- W tej chwili, Wasza Wysokość - odkrzyknął.

Rzucił na ziemię szklaną kulę. Roztrzaskała się, wylewając na kamienie gęsty żółty płyn. Płyn zaczął bulgotać, a potem dymić. Podniósł się siarczany obłok, wznosząc się wysoko w powietrze.

Wtem obłok przybrał gigantyczny kształt króla Manacii. Olbrzymie wargi rozchyliły się, obnażając kły o przerażającej długości.

- Ruszajcie, przyjaciele, ruszajcie! - ryknął wielki Manacia. - Za bogów i za króla!

- Za bogów i za króla! - odwrzasnęło pół miliona głosów.

Cała armia ruszyła niezgrabnie w przód, rozdierając powietrze wojennymi okrzykami.

Poganiacze słonia musieli kilkakrotnie ostro dźgać zwierzę, chcąc zachęcić go do ruchu na tyle szybkiego, by Manacia nie został daleko za armią. Ale w ciągu paru minut wszelka niezgrabność znikła. Masywne wojsko ze szczękiem zagłębiło się w Zakazaną Pustynię, niczym niszczycielska siła wymierzona w ludzkie krainy.

Daleko na przedzie Luka i jego dziesięciotysięczna elita przemierzała pustkowie, a ich okrzyki bojowe niosły się w rozrzedzonym powietrzu. W ciągu paru minut dotarli do wysokich diun na horyzoncie.

A następnie zniknęli z pola widzenia.

Pomimo swoich odczuć, Luka był zdolnym dowódcą. Chociaż wyciskał z żołnierzy wszelkie siły, to wobec siebie był jeszcze surowszy. Niewiele czasu upłynęło, a dziesięć tysięcy wojowników wyłoniło się z Zakazanej Pustyni i wkroczyło na ziemie ludzi.

Wszyscy byli zmęczeni szaleńczym pędem, ale Luka nie dał im chwili wytchnienia. Szybko znalazł odpowiednie miejsce na obozowisko dla armii ojca wśród łagodnych wzgórz. Jego centrum wypadło tam, gdzie niegdyś stała farma Badawiego. Nie pozostało z niej już niemal nic, dzięki Sarnowi i jego bandyckiej hordzie. Stało jedynie parę zwęglonych desek i sześć zapadających się palenisk, na których ugotowano i zjedzono rodzinę Badawiego oraz jego inwentarz.

Luka wysłał patrole, by przeczesały teren, lecz nie znaleziono żadnej znaczącej grupy ludzkiej, a jedynie parę obdartych rodzin gnieźdzących się w domach zbudowanych z cegieł z suszonego błota. Taki stan spowodowany był częściowo tym, iż niewielu ośmielało się osiedlać tak blisko Zakazanej Pustyni. Jednak w znacznie większym stopniu był to skutek gorliwości Sarna, który ochoczo wykonywał swe obowiązki, zmiatając z powierzchni ziemi każdą odnalezioną niewielką osadę. Luka nie wiedział o tym, tak więc wywnioskował, że niskie zaludnienie było wywołane przesadami.

Minęło kilka tygodni, lecz wciąż nie było znaku Manacii, ani głównej armii. Luka zmusił kilku zaufanych ludzkich niewolników do przysłużenia się mu, wysyłając ich głębiej w ludzkie krainy, aby szpiegowali i zbadali otaczający ich region. Zanim wyruszyli, obiecał im bogate nagrody za sukces i przypomniał o tym, że w Zanzairze w roli zakładników pozostały ich rodziny, na wypadek, gdyby go zdradzili.

- Obedrę ze skóry każde dziecko, które nazywasz własnym - ostrzegł. - Wyrwę kończyny twoim kobietom i wrzucę ich wciąż żywe ciała w mrowiska.

Wzięli sobie jego słowa do serca i do czasu, gdy pierwsze zwiastuny gigantycznej armii Manacii pojawiły się w polu widzenia, Luka miał mapy i szczegółowe wiadomości na temat setek mil kwadratowych.

- Naturalnie, zbyt wiele na siebie wzięłeś - warknął Manacia, gdy Luka pokazał mu owoce swych starań.

Król był zmęczony i brudny po długim wysiłku. Powolne tempo, nieustanne beczenie zwierząt, nieobecność pewnych podstawowych wygod niezbędnych dla dobrego samopoczucia sprawiły, że jego gniew napuchł jak czyrak. Luka strzegł się, by go nie przeciąć.

Książę przeprosił go wylewnie, mówiąc:

- Przepraszam, Wasza Wysokość. Nie ma usprawiedliwienia dla mojego zachowania. Obiecuję, że to się więcej nie powtórzy.

Ugłaskał tym Manacię, chociaż król zrzędził, iż ten czas można było lepiej spożytkować, na przykład na stworzenie wygod w królewskim obozie. Kiedy już się wygadał, przyjrzał się uważniej mapom i raportom, które zebrał jego syn.

- Pewnie się do czegoś przydadzą - przyznał. Jedna z map, które przeglądał, przedstawiała przybliżony widok z lotu ptaka na wszystkie główne wioski i miasteczka, począwszy od bezmiaru Zakazanej Pustyni, aż po wielkie ludzkie miasto zwane Caspan. - Każę skrybom sporządzić kopie i przekazać je moim generałom. Wątpię, czy możemy na nich polegać, ale nie ma sensu marnować wysiłku, który zrodził się z zacnych zamiarów.

- Tak jest, Wasza Wysokość. Jesteś dla mnie zbyt łaskawy, panie - wymamrotał Luka, myśląc: „Ty zdechły wielbłądzi pomocie, właśnie podarowałem ci klucze do królestwa. Ale ty tego nie przyznasz, stary oszuście. Otrzymanie od ciebie pochwały to jak wrywanie kłów. No cóż, zatrzymaj ją sobie. Pożądaj twojego tronu. Lepiej pilnuj pleców, obleśny, stary potworze, bo zamierzam odebrać ci koronę i zatknąć twą głowę na bramach Zanzairu”.

Demoniczne tornado przetaczało się wzdłuż Łańcucha Bogów, zmiatając z powierzchni ziemi wszelkie siły, które ośmieliły się stanąć na jego drodze.

Na ogół ludzi porażał tak wielki strach na widok demonicznych hord, że od razu się poddawali. Wierząc, iż bogowie porzucili ich, potulnie składali broń i akceptowali warunki stawiane przez króla Manację.

Niektórych zarzynał, innych brał w niewolę, ale przeważnie postępował zgodnie z praktykami, które zapewniły mu królowanie nad imperium demonów. Jeśli ludzie rzucali broń bez walki, zwykle był litościwy. Pozwalał władcom zatrzymać ich tytuły i zmuszał do złożenia sobie hołdu lennego, uznającego go jako jedyne prawdziwego monarchę - króla królów - Pana Esmiru, władcy wszystkich ludzi i demonów.

Przypieczętowaniem przysięgi było zmuszenie ich do podpisania dokumentów własną krwią. Król mówił im, że dokumenty te zawsze będą u jego boku, a jeśli go zdradzą, rzuci zaklęcie, które wpuści w ich wnętrzności żarłocznego robaka.

Manacia w każdej zajmowanej osadzie zostawiał niewielki garnizon, polegając na założeniu, że strach i czarnoksiężstwo utrzyma jego ludzkich poddanych w posłuszeństwie.

Najpierw wysyłał szpiegów, którzy mieli znaleźć i zabić wszelkich ludzi obdarzonych magicznym talentem.

Potem w kluczowych miastach i siołach wznosił małe świątynie. Każdym budynkiem zajmował się mag-demon. W świątyniach zamontowano przenośne maszyny czarodziejskie, które tworzyły co godzinę zaklęcia utrzymujące populację w strachu i pokorze. Zaklęcia te miały również siać przerażenie w sercach wszelkich wrogów z zewnątrz, którzy usiłowaliby przejąć miasto.

Kiedy już opanował kręgosłup ludzkich krain - wielki łańcuch górski zwany Łańcuchem Bogów - uderzył na Caspan.

Ten region okazał się trudniejszy do podbicia. Miasta były większe, a wraz z nimi i armie, które ich broniły. Już nie dysponował elementem zaskoczenia. Ludzcy monarchowie i generałowie, którym stawiał czoło, przełknęli strach i walczyli zacięcie, by powstrzymać inwazję demonów.

Wroży generałowie powołali wszystkich, którzy mogli utrzymać broń, wysyłając obdarte, szlochające hordy na spotkanie sił Manacii. Większość ludzi zginęła, ale ich agonie opóźniła marsz Manacii na tyle, że regularna armia mogła zaatakować słabe punkty wojsk demonów. Tak naprawdę dziesięć ofiar ludzkich przypadało na jednego martwego demona. Król Manacia nie mógł jednak uzupełniać swoich strat.

Manacia zaczął tracić demony w zastraszającym tempie. Gdy zbliżył się do bram Caspanu, z połowy miliona, z którą zaczynał marsz, pozostało mniej niż czterysta tysięcy.

Siły uderzeniowe księcia Luki ucierpiały najwięcej. Gdy zza bram Caspanu wypadły hordy ludzi, by stawić mu czoło, dysponował jedynie pięcioma tysiącami demonów na wierzchowcach, którzy mogli powstrzymać atak.

„To jest właśnie to miejsce - pomyślał Luka, wiodąc demony do boju. - Tutaj zginę”.

Ludzie byli przerażającymi stworami, brzydkimi jak same diabły z piekieł. Mieli płaskie twarze, małe świńskie oczka i plugawe drobne usta wyrzaskujące w walce z nienawiścią i wściekłością.

Mieli dobre zbroje, wytrzymałą broń i duże, uzbrojone konie bojowe, które stawały dęba, walcząc z demonicznymi wierzchowcami za pomocą podbitych żelazem kopyt. Kopyto walczyło przeciw łapie, szpony przeciw ręce. Miecze i topory szczękały w zwarciach, a wszędzie wokół bryzgała krew.

Łucznicy i procarze ślali deszcze pocisków w wir walki, nie dbając o to, czy uderzą w przyjaciela czy wroga, obo tylko demony trzymały się z dala od bram.

Dwaj jeźdźcy otoczyli Lukę. Przed nim koń kopijnika stanął dęba. Wierzchowiec Luki rozdarł go, wypruwając wnętrzności. Ale zanim człowiek umarł, rzucił kopię, zatapiając ją w ramieniu bestii. Zwierzę wrzasnęło z bólu, ale utrzymało się na nogach. Luka ciął na lewo. Jego miecz przegryzł się przez ludzką zbroję, odnajdując ciało. Przeciwnik spadł z konia, ale zanim Luka zdołał obrócić się na spotkanie drugiego, poczuł ostry ból w boku.

Człowiek uderzył pierwszy.

Wyjął z bólu, Luka ciął wroga mieczem. Zamglony wzrok dostrzegł tryskającą krew. Wystraszył się, że to jego własna, ale potem ujrzał, jak człowiek upada. Poczuł wzbierającą w nim ulgę, która przytłumiła ból.

Jego wierzchowiec zataczał się. Luka zsunął się z niego na parę sekund przed tym, jak zwierzę zważyło się na ziemię. Teraz stał pośród upadających koni i bestii demonów, robiąc uniki przed wymierzanymi ze wszystkich stron ciosami. Ujrzał, jak jeden z jego demonów spada z wierzchowca i wskoczył na jego siodło, chwytając cugle.

- Zwycięstwo! - zawył. - Za bogów i króla!

Jego okrzyk zmobilizował żołnierzy, którzy mu odkrzyknęli:

- Zwycięstwo! Za bogów i króla!

Natarli na ludzi z nową siłą, tnąc ich i obalając.

W końcu szeregi obronne ludzi załamały się. Przeciwnicy zaczęli uciekać za bramę.

Luka i jego demony ścigali ich, wyrabując sobie drogę wśród obrońców bramy.

Nagle nie było już kogo zabijać. Luka i jego żołnierze ujrzeli, że znajdują się na wielkim placu. Dyszeli, ślaniali się i krwawili z wielu ran.

Zza ich pleców dobiegł dźwięk trąb.

Trąb jego ojca.

Rozległ się donośny ryk demonicznych głosów, a przez bramę wlało się morze żołnierzy Manacii.

Pośrodku wznosił się królewski słoń Manacii. Wielkie zwierzę przemieszczało się gładko przez plac, zmierzając w kierunku Luki.

Manacia uśmiechał się ku niemu szeroko z palankinu, obnażając błyszczące kły.

- Dzięki bogom, nadal jesteś z nami, mój synu - zawołał. - Ujrzałem, jak spadasz i obawiałem się najgorszego.

Luka skłonił się, walcząc, by nie pokazać bólu.

- Caspan jest twój, panie! - krzyknął. - To mój dar dla ciebie i dla historii demonów.

Myślał jednak: „To dla ciebie, matko, dla ciebie”.

Przez głowę Manacii przemknęło zaś: „Jak śmiesz darować mi coś, co już jest moje?” Potem przypomniał sobie dzień, w którym powiedział coś podobnego swojemu ojcu. „Następnym razem, gdy Luka upadnie - rozważał - trzeba będzie upewnić się, że już nie wstanie”.

Manacia był obowiązkowym, ciężko pracującym królem i miał przynajmniej dwudziestu innych synów, którzy mogli zająć miejsce Luki.

„Najlepiej będzie jeśli na następcę tronu wyznaczę najmłodszego z nich - pomyślał Manacia. - Książęta szybko dorastają w tych czasach. Cóż, ja sam miałem prawie trzydzieści wiosen, gdy zarząłem ojca”.

- Coralean jest niepokieszony - powiedział pan karawany. - Jest jak moneta, którą pozbawiono wartości. Jest niczym wielbłąd z zapadłym garbem, który ma więcej pcheł niż charakteru. Wydaje się, że przeznaczeniem Coraleana jest witać cię, mój królu, którego ośmielam się nazwać przyjacielem, przynosząc demony, albo wieści o demonach przed dostojne oblicze Waszej Wysokości.

- Ależ, Coraleanie - zaprotestował Iraj - ja nie należę do tych miejskich despotów, którzy zapominają o swoich przyjaciołach, gdy tylko zdobędą tron. I z pewnością nie krzywdzę posłańca, który przynosi złe wieści. Czyż nie jest tak, Safarze?

Safar wiercił się w krzesło - mniejszej wersji podróznego tronu Iraja.

- Prawdę mówiąc - rzekł ze śmiertelną powagą - Iraj nakazał królewskim katom wydłubać oczy i obciąć język ostatniemu pacholce, który przybył tu, bełkocząc o demonach.

Iraj zmarszczył brwi.

- Co ty opowiadasz, Safarze - zaprotestował. - Dałem tamtemu człowiekowi sakiewkę złota. Czy nie przypo... - Przerwał, śmiejąc się. - Znów żartujesz - stwierdził i dodał do pana karawany: - Widzisz, jak to jest, Coraleanie? Moi przyjaciele ciągle żartują sobie moim kosztem.

- Król Protarus mówi prawdę - rzekł Safar. - Zauważ, że wciąż mam oboje oczu i cały język, pomimo, że codziennie przynoszę mu złe wieści.

Machnął ręką w stronę pustej komnaty w głównym namiocie dowodzenia.

- Przecież nasz król jest tak wspaniały, że pozwala swym przyjaciołom nazywać go po imieniu na osobności. Czyż nie jest tak, Iraj?

Król śmiał się jeszcze głośnie.

- Nie zwracaj na niego uwagi, Coraleanie - poradził. - Safar po prostu wymierza mi karę za ignorowanie jego rad. - Wychylił się ze swojego miejsca na tronie. - Musiałem pozwolić swoim ludziom na spłądowanie ostatniego zajętego przez nas miasta. Brakowało mi złota i nie płaciłem im przez całą zimę. Safar sprzeciwiał się plądrowaniu. Powiedział, że to zły interes.

Kupiecki uśmiech Coraleana rozjaśnił pomieszczenie.

- Uczciwa dysputa pomiędzy właściwie myślącymi mężczyznami - rzekł. - Jeden z nich patrzy na przyszłe zyski. Drugi na bliższe sprawy. W takiej niezgodzie nie ma ani zła ani dobra. - Skłonił pomarszczoną głowę w kierunku Iraja, mówiąc: - Należy żałować pana, który zadaje sobie cierpienie, będąc zmuszonym do zignorowania doradców i postępowania zgodnie ze swoją najlepszą oceną.

Pełnia zadowolenia goszcząca na twarzy Iraja sprawiła, że Safar zrozumiał, dlaczego Coralean w swojej długiej i niebezpiecznej karierze odnosił tak znaczące sukcesy. Pomimo twierdzenia, że jest tylko zwykłym człowiekiem, Iraj udowodnił, iż ma kapryśny charakter. Jego ponure nastroje sprawiały, że zima się dłużyła. Wiosna przyniosła pierwsze wieści o inwazji demonów i pogrzyła go w jeszcze głębszej depresji. Iraj pozwolił na spłądowanie pierwszego zajętego przez siebie miasta nie po to, by sprawić przyjemność swoim ludziom, lecz by dać upust swej wściekłości.

- Jakże jestem szczęśliwy, mając dwóch tak lojalnych przyjaciół - oznajmił Iraj. - Jeden z nich doradza, używając mądrych i świetnie sformułowanych wypowiedzi, drugi stosuje zabawne docinki, które także przypominają mi, że jestem tylko człowiekiem.

„Nie zapomnij o pieniądzach i magii - pomyślał Safar. - Dostajesz od nas i to”.

Safar stworzył i rzucił swoje pierwsze zaklęcie bitewne, by pomóc Irajowi zająć miasto, które później zostało spłądowane. Coralean, sprytny stary kupiec, opłacał od samego początku ambicje

Iraja. Został za to godziwie wynagrodzony, otrzymując wyłączność na handlowe kontrakty.

„Ty też nieźle na tym wyszedłeś” - zbeształ samego siebie Safar. W ciągu krótkiego czasu, który spędził u boku Iraja, stał się bogaty, bez względu na stosowane kryteria. Jako wielki wezyr dostał rozległe ziemie i kufry pełne rzadkich klejnotów oraz metali szlachetnych.

- Tak więc zdradź nam swoje wieści, mój przyjacielu - powiedział Iraj do Coraleana. - Nie oszczędzaj moich uczuć. Jestem przygotowany na najgorsze.

- Caspan wzięty - rzekł Coralean.

Zwężłość w ustach zwykle elokwentnego mężczyzny była szokiem. Iraj wzdrygnął się, a potem próbował skryć swoją troskę. Jednak zdradziło go postukiwanie palcami o poręcz fotela.

- Rozumiem. No cóż, spodziewaliśmy się tego, prawda, Safarze?

Safar skinął głową. Słyszeli plotki o szturmie Manacii w kierunku Caspanu. Safar postawił wróżbę, która okazała się niepomysłna dla obrońców miasta.

- Coralean ledwie uszedł z życiem - oznajmił pan karawany. - Posłałem żony do kryjówki, a sam uciekłem na czas.

Później opisał szereg bitew, które prowadziły do zajęcia Caspanu. Próbując dodać wesołą nutę, zagłębił się w szczegóły wielkich strat, jakie poniósł Manacia w trakcie kampanii. Ale Iraj nadal stukał palcami o drewno.

- Tak niewielu - wymruczał. - Miałem nadzieję, że straci więcej. - Podniósł wzrok na Coraleana.

- Przypuszczam, że upłynie niewiele czasu, zanim przejdzie przez góry.

- Tego się obawiam - powiedział Coralean. - Ostatnie wieści, które usłyszałem, głosiły, że przygotowuje armię i szuka szlaku do Kyranii.

Wspomnienie Kyranii przeszło serce Safara jak ciężka włócznia. Bezwiednie pochylił się ku Coraleanowi, by usłyszeć, co ma do powiedzenia.

- Życie pana karawany nie jest warte miedziaka po tej stronie Łańcucha Bogów - rzekł Coralean.

- Pojmano wielu z moich braci kupców. Torturowano ich, żądając informacji. Na szczęście demony wiedzą tak mało o ludzkich sprawach, że łapią niewłaściwych ludzi. Potrzebują jednak tylko jednego sukcesu i armia Manacii pomaszeruje do Kyranii.

Iraj przez pewien czas siedział cicho, a jego palce bębniły: stuk, stuk. Potem powiedział do Coraleana głosem tak zniżonym, że ledwo go było słychać.

- Zostaw nas na pewien czas, mój przyjacielu. Muszę porozmawiać z bratem.

Pan karawany skłonił się, wymamrotał parę uprzejmych słów i wyszedł. Kiedy znikł, Iraj obrócił się do Safara z twarzą pełną cierpienia.

- Powiedziałeś, że to ja będę królem królów - krzyknął.

- I będziesz - odparł Safar.

- Jesteś pewien, że twój talent nie gra z tobą w kotka i myszkę? - zapytał Iraj. - Czy jestem głupcem, trzymającym się wizji innego głupca?

- Pozwól, że powiem jasno - odparł Safar. - Nie ma wątpliwości, że jesteś głupcem. Któż inny chciałby zostać królem Esmiru? Ale bez względu na stan twojego umysłu, takie jest twoje przeznaczenie.

- Zważaj na słowa! - warknął Iraj. - Nie mam nastroju na obrazy, choć mogą być przyjacielskie.

- Jeśli nie chcesz słuchać prawdy - odpowiedział Safar - to nakaż mi milczenie.

- Obdarzyłem cię potęgą - rzekł Iraj.

- Więc ją zabierz - rzucił Safar. - To ciężar większy, niż pragnąłbym nieść.

- Uczyniłem cię bogatym - wskazał Iraj.

- W Kyranii - odparł Safar - bogactwem jest obfity plon, który wszyscy dzielą między siebie. Iraj wściekał się coraz bardziej.

- Czyżby twoim zdaniem wszystko, co ci dałem, było bezwartościowe?

Czerpiąc lekcję od Coraleana, Safar odpowiedział:

- Nie twoja przyjaźń. Tę cenę najwyżej, Iraj, Protarusie.

Iraj został ugłaskany. Przestał bębnić palcami.

- Co powinienem robić, bracie? - zapytał. - Jak osiągnę to, o czym mówiła twoja wizja?

- Dlaczego nie spojrzysz na problem z innego punktu widzenia? - spytał Safar. - Dlaczego nie obrócimy wszystkiego i nie zobaczymy, czy nasz jałowy los może zrodzić owoce szczęścia?

- Mów dalej, słucham - powiedział Iraj.

- Kiedy zaczynałeś, twoją największą trudnością była waśń rodzinna - rzekł Safar. - Wuj sprzeciwił się twemu prawowitemu żądaniu władzy. Niektórzy twoi krewni byli na tyle chciwi, by poprzeć twego wuja. Ale większość - powodowana uczuciami rodzinnymi i tradycją - poparła cię.

- To prawda - odparł Iraj. - Chociaż było to znacznie bardziej skomplikowane.

- By móc ich zwyciężyć - ciągnął Safar - twój wuj przyłączył się do obcego człowieka, zniechęconego przez całą twoją rodzinę.

- Zapewniło mu to na pewien czas przewagę - stwierdził Iraj - ale w końcu okazało się dla mnie korzystne. Po kilku sukcesach, moja rodzina przekonała się do mnie.

- Tak więc sojusz twojego wuja z wrogiem - powiedział Safar - był jego upadkiem.

Iraj pomyślał przez moment, potem pokiwał głową.

- Tak. Tak to wygląda.

- Oto więc twój sposób - odparł Safar. - Obecność zniechęconego obcego umożliwiła ci zjednoczenie twego klanu. Potem jednoczyłeś klan z klanem, by dalej iść jako zdobywca. Ale dla innych ludzi ty z kolei byłeś obcym barbarzyńcą z równin Jasparu. Stanęli przeciw tobie, walczyli i ośmielili się nazwać cię chciwym uzurpatorem, zamiast wybawcą całego Esmiru. A tak właśnie siebie widzisz.

- Ale ja nim jestem - rzekł Iraj. - Widziałeś to w wizji.

Safar nie powiedział, że nigdy tego nie zobaczył. W wizji Iraj pokonał króla siedzącego na białym słoni i poprowadził armię do Zanzairu. Wybawca, czy nie, to już inna sprawa.

- Dobrze - rzekł Safar. - Cieszę się, że w to wierzysz. Ponieważ właśnie dzięki temu pokonasz Manacię.

Iraj wyglądał na skonsternowanego. Nie rozumiał.

- Cały ludzki świat obawia się demonów - wyjaśnił Safar. - Użyj tego strachu przeciw Manacii. Ogłoś cały rodzaj ludzki swoim klanem... i powal demona. Przed nadejściem zimy miałeś przed sobą wieloletnie zmagania, zanim zdołałbyś obwołać Caspan swoim królestwem. Manacia wykonał twoją pracę w ciągu mniej niż jednej pory roku. Pokonaj go, a będziesz miał północ.

Iraj pojaśniał.

- I krainy demonów - zwrócił uwagę. - Dostanę także i je.

- Najpierw musimy przekroczyć Zakazaną Pustynię - ostrzegł Safar.

Iraj zamachał radośnie.

- Mówisz o klątwie? Do diabła, nigdy się tym nie martwiłem. Rozpracujesz ją, gdy tam już dotrzemy. A poza tym, jeśli Manacia może to zrobić, to i ty również.

- Cieszę się, że wciąż pokładasz we mnie zaufanie - powiedział Safar, ponownie czerpiąc z przykładu Coraleana i wsączając w słowa odrobinę pokory. - W moich oczach - ciągnął - naszym największym niebezpieczeństwem będzie magia Manacii. Wszystkim wiadome jest, że demony są znacznie potężniejszymi czarodziejami od ludzi.

- Moim zdaniem, to przesadzona reputacja - prychnął Iraj, z minuty na minutę coraz bardziej pewien siebie. - Widziałem, jak ściągnąłeś lawinę na całą gromadę demonów, pamiętasz?

Safar nie miał co do siebie złudzeń. Spędził całą zimę wypróbowując swoje moce i początkowo był zdumiony ich nowym wymiarem. Ale w czasie czytania Księgi Aspera, demona-maga, ujrzał przebłycki siły, która mogła być poza jego zasięgiem.

- Zaskoczyłem ich - odparł Safar. - Poza tym, stawiliśmy czoło zaledwie dwudziestce lub niewielu więcej. Nie całej armii demonów z wspierającym ją legionem magów.

- Ty martw się o czarodziei Manacii, Safarze - odrzekł Iraj. - Ja zajmę się jego przeklętą armią.

Nie jest łatwo położyć kres zmartwieniom. Umysł może narzucić granice, jednakże zaraz po ich ustanowieniu natychmiast oblegają je wielkie i małe obawy. Noce stają się bezsennymi krajobrazami poznanymi przez trudności i wymagane wilczy dołami, które zagrażają nawet najpotężniejszej istocie. W ciągu tych pełnych cierpienia godzin, gdy inni śpią, wielkie przedmioty mogą wydawać się górami nie do pokonania, a niewielkie sprawy nagle nabrzmiwają, stając się lękami, które rywalizują z owymi górami.

Na północy król Manacia wzmacniał kontrolę nad armią i szukał szlaku przez Łańcuch Bogów. Jego noce jednak nawiedzały wyobrażone spiski z udziałem syna, księcia Luki. Potem dobiegła go pogłoska o potężnym królu z falującymi włosami i brodzie ze złota. Ten monarcha - król Iraj Protarus - niósł sztandar Alisarriana i podburzał lud, by stawiał opór królowi Manacii i zniszczył jego wypieszczone marzenia o imperium.

Po prawicy króla Protarusa, jak mówiono, siedział mag tak potężny, że równał się każdemu władcy magii wśród demonów. Czarodziej, Safar Timura, miał oczy tak niebieskie, jak rozświetlone słońcem niebo.

Kiedy Manacia w końcu zasnął, męczyły go koszmary, w których jego syn nagle zamieniał się w człowieka ze złotą brodą i błękitnymi oczami. We śnie Manacia musiał objąć swego syna i dziedzica przed całym dworem, dobrze wiedząc, że w jego plecach zanurzy się sztylet.

Na południu król Protarus zbierał siły i objeżdżał królestwo, rozsiewając wieści o inwazji demonów. Przemawiał grzmiącym głosem, potępiając okrucieństwa popełnione przez demony - niektóre prawdziwe, inne zmyślone. Był przystojnym, młodym królewiczem i porywającym mówcą, który sprawił, że jego poddani zapomnieli o okropieństwach popełnionych przez niego podczas kampanii o królestwo. Ludzie ruszyli ochoczo, by go wesprzeć, zasilając armie i krzycząc o zemstę nad demonicznymi agresorami.

Ale noce Iraja były tak samo bezsenne jak Manacii.

A jeśli Safar się mylił? Co stanie się, jeśli nie był tak znamienitym jasnowidzem, jak wierzył Iraj? I co, jeśli jego przyjaciel nie był jego prawdziwym przyjacielem? Jeśli był tak potężnym magiem, jak Iraj wierzył, czyż nie mógł zagarnąć tronu Esmiru, gdy tylko Iraj go zdobędzie? A jeśli nie chciał, to dlaczego? Co sprowadzało go z powrotem do początkowej obawy, że Safar był słaby, a Iraj głupi, polegając na nim.

Safar nie był królem, dzięki czemu żywił obawy równe strachom obu władców wziętych razem.

Jeżeli Iraj uwierzy, że Safar staje na jego drodze, zdradzi go bez wahania. Safar zastanawiał się nad wizją, w której ujrzał Iraję w zwycięskim marszu ku Zanzairowi. A jeśli ta część była prawdziwa, ale w rzeczywistości to duch Safara był świadkiem zdarzeń? Z całą pewnością w wizji czuł się bezcielesny. A może jego jaźń Łowcy Snów prześliznęła się ponad częścią, w której Safar został zdradzony i zabity przez swojego brata krwi? Męczyło go nawet to, że nigdy nic nie zdołał zobaczyć po chwili, w której armie Iraję wmaszerowały do Zanzairu. I co z drugą wizją? Wizją Hadinu, w której wszystko runęło, a świat pędził ku końcowi?

W końcu zjawiał się strach największy ze wszystkich.

Dla każdego z królów - Manacii i Protarusa - kluczem była Kyrania.

A jeśli dwaj monarchowie spotkają się w bitwie wśród Wysokich Karawan?

A co, jeśli dolina Safara i wszyscy, których kochał - matka, ojciec, siostry, przyjaciele - zginą w trakcie tej konfrontacji?

Po pewnym czasie ta możliwość napawała go większym strachem niż zagłada samego świata.

To drugie było niewyobrażalne.

Ale przerażająco łatwo można było zobaczyć to pierwsze.

W końcu postępowanie Safara dyktowała obawa o Kyranię. Ośmieli się na wszystko, byle ją ocalić.

Biesiada demonów

Safar przyczał się na ukwieconych szczytach ponad Kyranią. Panowało wczesne lato, padały słodkie deszcze, niebiosa okazały łagodność, a jego osłonięta mgiełką dolina migotała w bladym porannym słońcu. Pola miały kolor szmaragdowej zieleni, a jezioro przypominało wielki błękitny diament zasilany przez potoki, które spływały z gór niczym srebrzysta pielgrzymka spiesząca do bogini Felakii.

- A więc to jest twój dom - zdumiała się Leiria. - Nigdy jeszcze nie widziałam czegoś równie pięknego. To jest jak sen.

Safar gestem nakazał ciszę. Jego magiczna jaźń przemknęła przez obiekt zachwyty Leirii i napotkała koszmar. W wewnętrznej kieszeni kamienny bożek błysnął ostrzeżeniem.

Safar dał znak mężczyznom - pięćdziesiątce najlepszych konnych wojowników Iraja. Zsiedli z wierzchowców i nałożyli worki z obrokiem, uciszając je. Szybko zdjęli ekwipunek, przygotowując się do walki.

Leiria uniosła brew.

- Co się stało?

- Patrz - rzekł Safar.

Wyciągnął z sakiewki szklaną kulkę i rzucił ją na ziemię. Roztrzaskała się. Buchnął bladozielony dym, który po chwili wzniósł się na wysokość kolan. Najpierw ukształtował się krajobraz, potem krzątające się postacie. Było ich przynajmniej czterdzieści - malutkich ludzi przemierzających się przez pola Kyranii. Wydawali się cierpieć. Dymne kształty skręcały się i podskakiwały z bólu. Poderwały się większe kolumny dymu, formując postacie sprawców bólu. Były to stworzenia z wystającymi z pysków kłami i szponami u łap.

Leiria wstrzymała dech.

- Demony!

Safar nie odpowiedział. Zamachał dłonią i dymny obraz znikł. Safar opadł na jeden z głazów. Wyglądał na tak zrozpaczonego, że Leiria ledwie powstrzymała się, by go nie pocieszyć - co naznaczyłoby ją piętnem słabeusza w oczach jej pobratymców-żołnierzy.

- To wszystko zmienia - powiedziała chłodniejszym tonem, niż zamierzała. - Najlepiej zrobimy, jeśli natychmiast wrócimy i opowiemy królowi, że demony zajęły Kyranię.

Safar pokiwał głową, ale jego myśli przebywały gdzieś poza tym światem. Wyobrażał sobie okropności, które wycierpiała jego rodzina i przyjaciele.

Safar zamierzał ostrzec swój lud o zbliżającym się niebezpieczeństwie, a potem ustawić osłony, które mogłyby zmylić demony, gdyby zaatakowali przez przełęcz. Iraj nawet teraz zbierał oddziały uderzeniowe, które mogły pospieszyć i wypełnić dystans między grupą Safara a jego główną armią. Safar przekonał Iraja o konieczności jeszcze większego pośpiechu oraz o tym, że powinien podążać na czele oddziałów i przygotować drogę. Teraz wydawało się, że jego kyańska misja - która stała

się możliwa dzięki wielu pochlebstwom pozwalającym uzyskać zgodę Iraja - poniosła porażkę jeszcze przed jej rozpoczęciem.

- Masz rację - odpowiedział mechanicznie, zupełnie jak nakręcana zabawka. - Musimy powiadomić króla.

Leiria mrugnęła, widząc jego ból, ale nic nie powiedziała. Podeszła do mężczyzn, by nakazać odwrót. Miał być przeprowadzony szybko i w ciszy. Broń wraz z ekwipunkiem zostały związane, by nie szczękały. Wokół końskich kopyt obwiązano wypchane szczecina szmaty, których zadaniem było tłumić wszelki hałas.

Kiedy wszystko zostało przygotowane, Leiria wróciła do Safara, chcąc oznajmić, że nadszedł czas. Dotknęła go, a on nagle ożył.

- Muszę zobaczyć to sam - rzekł.

- Nie możesz - zaprotestowała Leiria. - Odkryją nas.

Safar nalegał. Postawił sprawę jasno: jeśli ma teraz odjechać, to tylko w pętach, zakneblowany i przywiązany do końskiego grzbietu.

Wszyscy byli przerażeni możliwością zhańbienia lorda Timury, wielkiego wezyra. Jednakże taki sam lęk wzbudzał jego plan.

- Jeśli złapią cię, król utnie nam głowy - oznajmiła Leiria.

- Nie utnie - odpowiedział Safar. - Zadbam o to.

Nabazgrał pospieszną wiadomość do Iraja. Nikt nie może ponosić odpowiedzialności za jego czyny. Dodał zwięzły raport na temat tego, co zobaczył do tej pory i co powinno zostać wykonane, na wypadek gdyby nie wrócił. Przekazał wiadomość Raptonowi, młodemu pułkownikowi dowodzącemu wojownikami. Wydano surowe rozkazy. Jeśli Safar i Leiria, która nalegała, by mu towarzyszyć, nie wrócą przed zmierzchem, Rapton na czele oddziałów miał ruszyć pełnym pędem do Sampitay - gdzie przebywał obecnie Iraj i jego dwór - i przekazać wieści.

Safar skończył i nakazał ciszę. Przygotował siebie i Leirię, pokrywając ich ubrania oraz skórę dymiącym ziołem, które miało otumanić wrażliwe nosy demonów. Następnie rzucił zaklęcie osłaniające ich aury przed demonicznymi magami. Ostatnią rzeczą było wydobycie kamiennego bożka i przywołanie Gundary, by czuwał i ostrzegł ich przed niebezpieczeństwem.

Mały Ulubieniec i jego bliźniak powrócili już do zdrowia. Czerpiąc inspirację z książki lorda Aspera, Safar opracował program uzdrawiający, by przyspieszyć ich powrót do dobrej kondycji. W jego skład wchodziły specjalne proszki zmieszane z ciepłym miodem i winem. Przez dwa tygodnie kamienny bożek odpoczywał w tym wywarze, wymienianym codziennie przez Safara. Najpierw nic się nie działo, a nikłe brzęczenie życia ucichło jeszcze bardziej.

Wtem pewnego ranka Safar został obudzony znajomym „Zamknij się, zamknij się, zaaaamkniiiij!”, i wiedział, że wszystko w małym świecie Ulubieńców wróciło do normy.

Safar obrócił się ku Leirii.

- Wiem, że zwykle idziesz przede mną - rzekł.

- To nie jest tylko zwyczaj, mój panie - odparła. - To mój obowiązek. Jestem twoim strażnikiem. Muszę dbać o twoje bezpieczeństwo.

- Tak, tak - odrzekł zniecierpliwiony - a ty świetnie wykonujesz swoje obowiązki. Ale tym razem musimy postąpić inaczej. Ja się tu wychowałem. Jako chłopiec włóczyłem się po tych wzgórzach. Znam wszystkie sekretne miejsca, o których wiedzą i którymi chodzą chłopcy. Chcę, żebyś szła za mną. Trzymaj się jak najbliżej mnie. Jeśli zdołasz, idź po moich śladach i rób wszystko to, co ja. Nie

rób nic, czego ja nie zrobię. Zrozumiano?

Leiria potwierdziła i parę minut później pędzili już w dół, przemierzając stary szlak jeleni, który był tak trudny do zauważenia, że równie dobrze mógł zostać wydeptany przez stado myszy.

Nie przeszli stu jardów, gdy nagle Safar skręcił w bok i znikł.

Leiria prawie spanikowała, szukając szaleńczo znaku, dokąd poszedł. Potem dojrzała miejsce, w którym kołysały się liście i rzuciła się za nim. Zanim go w końcu zobaczyła, usłyszała ostrzegawcze syknięcie, odskakując w tył, niemal nadepnawszy mu na pięty. Przez pewien czas szli milcząc, wskakując na szlaki i zeskakując z nich, skręcając na przemian to w prawo, to w lewo, a potem podążając prosto. Ale ze stopnia napięcia mięśni łydek Leiria mogła określić, że cały czas szlak wiódł ich w dół - ku rozległemu jezioru i bogatym polom Kyranii.

Khadji Timura zanurzył szpadel w złożę gliny. Poczul, jak ostrze, zgrzytając, zagłębia się w piach i żwir. Wepchnął je nieco głębiej. Podniósł ładunek, ukrywając niesmak na widok słabej jakości gliny i wszelkich odłamków, które skrywała, i wrzucił go do przyszykowanego kubła.

- Pospiesz się, starcze - syknął demon. - Jestem znużony.

- Wybacz mi, panie - odparł Khadji. - Jestem stary, jak nieustannie przypominałeś mi cały ten dzień i bolą mnie stawy. Gdybym miał kogoś do pomocy, co, jak mnie już uprzejmie poinformowałeś, nie jest możliwe, mógłbym pracować szybciej.

Demon imieniem Trin nawrzeszczał na ojca Safara:

- Myślisz, że skoro jesteś człowiekiem, a demony nie umieją odczytać wyrazu ludzkiej twarzy, nie zdają sobie sprawy, że ze mnie drwisz?

Uderzył Khadjego pałką. Khadji chrząknął i prawie upadł. Podparł się dłonią i mrugnięciem oczyścił oczy z łez wywołanych poniżeniem, a nie bólem. Trin miał doświadczenie w biciu. Umiał uderzyć w ludzką czaszkę z taką siłą, by skupić na sobie uwagę niewolników, nie pozbawiając ich świadomości.

- Pewnie teraz przeklinasz mnie i swój los - rzekł Trin. - Bardzo dobrze. Nauczy cię to, kim dla mnie jesteś. Mam lepsze rzeczy do roboty, niż spędzać tu całe dnie w chłodzie i wilgoci, patrząc, jak wykopujesz glinę. Gdybym tylko mógł sam o sobie decydować, wyprułbym ci mózg z czaszki i przyłączył się do moich kolegów, którzy pewnie piją teraz alkohol.

- Masz rację, Wasza Dostojność - odparł Khadji. Oprzytomniał już i podnosił się z pełnym wiadrem w ręce. - I dziękuję ci za przypomnienie mi, jakim jestem szczęściarzem. Bo cóż stałoby się ze mną i z moją rodziną, gdyby twoi władcy nie byli tak mądrzy? Jakże rozsądnymi są demonami. Często powtarzałem to Myrnie, mojej żonie. Dobra porcelana Timurów jest warta wiele złota na rynku. Twój król potrzebuje złota, by prowadzić swoje wojny.

Trin prychnął.

- Moim zdaniem garnek jest garnkiem - oznajmił. - Coś do niego wkładasz, a potem go opróżniasz. Gdy byłem młody, robiłem je tuzinami. Niektóre pękały przy wypalaniu. Niektóre nie. Kogo to obchodzi? Glina nic nie kosztuje, a ogień wymaga niewiele paliwa.

- Kimże ja jestem, by sprzeczać się z takim ekspertem w dziedzinie garncarstwa? - spytał Khadji.

- Nikim - przyznał Trin. - Byłem garncarzem zanim stałem się żołnierzem. Na pierwszy rzut oka rozpoznam dobrą robotę. - Spojrzał na wiadro, a potem zanurzył badawczo łapę w jego zawartość. - Trochę kamienista, prawda? - zapytał.

- Wszystkie złoża są prawie wyczerpane, panie - skłamał garncarz. Najlepsza glina leżała po

drugiej stronie Jeziora Felakii, kryjąc się w wolnych od żwiru złożach, których nie miał zamiaru pokazywać demonom. - To najlepsza glina, jaką możemy teraz uzyskać.

Khadji ujrzał dwie postaci wykradające się zza krzewów za plecami demona. Jakby wyczuwając ich obecność, demon zaczął obracać się w ich kierunku. Garncarz podniósł wiadro, by przyciągnąć jego uwagę.

- Wymaga jedynie niewielkiego oczyszczenia, Wasza Dostojność - rzekł. - A jeśli pojawią się skazy, to pokryjemy je glazurą. Tak jak powiedziałeś, panie, garnek jest tylko garnkiem, ale gdy ja wypiszę na nim swoje imię - Timura - na rynku zjawi się cała masa głupców, którzy myślą, że imię jest ważniejsze niż sama jakość.

- Mój ojciec - powiedział Trin, wycierając szpony o fartuch Khadjego - który był wielkiej sławy garncarzem, często powtarzał mi to samo.

- Wygląda na to, że był tak mądrym demonem jak jego syn - odparł Khadji.

Demon spojrzał na niego gniewnie.

- Czy znów ze mnie szydzisz, człowieku? - Uniósł pałkę. - Czy tak?

Rozległ się stuk. Żółte oczy demona rozszerzyły się nagle, a pałka wypadła mu z rąk. W jego gardle sterczała strzała.

Trin, martwy, padł twarzą na ziemię.

Khadji opróżnił wiadro na zwłoki i splunął.

- Garnek jest tylko garnkiem, co? - ryknął. Potem otworzył ramiona, by objąć Safara. - Witaj w domu, synu - rzekł.

Ku olbrzymiemu zakłopotaniu Safara, Khadji zaczął szlochać.

- Już dobrze, ojcze - wymamrotał, poklepując go niezgrabnie. - Już dobrze.

- Słyszeliśmy o tych wszystkich kłopotach w Esmirze - powiedział ojciec, sącząc resztki wina z kubka. - O suszach, zarazach i wojnach. Ale one zawsze działały się w zewnętrznym świecie, i chociaż martwiliśmy się, zwłaszcza o ciebie, Safarze, nigdy nie pomyśleliśmy, że te kłopoty dotrą do nas, sadowiąc się przy naszych paleniskach.

Żołnierze wraz z Leirią zgromadzili się wokół Safara i jego ojca, przysłuchując się uważnie opowieści starego garncarza. Od chwili śmierci demona i ukrycia jego zwłok w krzakach upłynęła mniej niż godzina. Grupa zebrała się w bezpiecznym miejscu, wysoko nad Kyranią. Wystawiono strażę, które miały ich ostrzec, gdyby ktokolwiek się zbliżał.

- Niedawno przechodził tędy lord Coralean - rzekł Khadji. - Usłyszeliśmy wieści o inwazji demonów i zdobyciu Caspanu. - Spojrzał na Safara przekrwionymi oczami. Skóra mu obwisła, przez co wyglądał na przemęczonego długotrwałym wysiłkiem. - Wszyscy pamiętaliśmy demony, które ty i Iray napotkaliście na przełęczy Panny Młodej i Sześciu Druhen. - Khadji westchnął. - Lord Coralean nie miał racji, kiedy powiedział, że byli jedynie bandytami zabłąkanymi na ziemiach ludzi, nieprawdaż?

Było to pytanie, które nie wymagało odpowiedzi. Safar napelnił ponownie kubek ojca. Starzec wziął jeszcze jeden pokrępiający łyk.

- No cóż, to właśnie wtedy zaczęliśmy się martwić - rzekł. - Wydawało się logiczne, że demony będą musiały przejść przez Kyranię, by zaatakować drugą stronę. Tu w górach zawsze panował błogosławiony pokój. Ale wtem zaczęło wyglądać na to, że pokój nas opuści. Starsi zwołali zgromadzenie. Było wiele rozmów o tym i o owym, ale w większości nie miały sensu, ponieważ któż

z nas spotkał się wcześniej z taką sytuacją? Coralean obiecał mi, że będzie błagał króla Protarusa o pomoc, ale my nie wiedzieliśmy, czy owa pomoc w ogóle nadejdzie, ani czy możemy spodziewać się jej na czas. Tak więc zdecydowaliśmy się sami zbudować linie obrony.

Khadji zaśmiał się gorzko.

- Ludzie ćwiczyli. Prowadziliśmy musztrę. Odbudowaliśmy mury starego fortu. Ale to oczywiste, że choć Kyranijczycy mogą bardzo dobrze walczyć, żaden z nas nie ma zabójczych instynktów żołnierza. - Zerknął na Leirię i pozostałych. - Mam nadzieję, że nie poczuliście się obrażeni - rzekł. - Mówiłem jedynie o profesjonalnym szkoleniu, nie wątpiłem zaś w ludzką dobroć, która, jak jestem pewien, mieszka w każdym z was.

- Nie poczuliśmy się obrażeni, ojcze Timuro - rzekła Leiria. - Wiemy, co miałeś na myśli.

Khadji spojrział na Safara wzrokiem wyrażającym cierpienie.

- W końcu - podjął opowieść - nie dano nam szansy na stawienie oporu. Wzięli nas w łóżkach, a potem zagonili do fortu, przy którym tak ciężko pracowaliśmy, by go odbudować. Zabili paru dla przykładu. To była poniżająca śmierć. Zmusili nas, byśmy patrzeli. - Khadji otarł łzę. - Dowiedziałem się, jak to jest być słabym i samolubnym śmiertelnikiem i choć tak bardzo opłakiwałem śmierć moich przyjaciół, wstydzę się przyznać, że zaznałem także radości, ponieważ wciąż byłem żywy. Twoja matka i twoje siostry też.

Osuszył kubek, zakrywając usta, gdy Safar zaproponował jeszcze.

- A Gubadan? - spytał Safar.

- Odszedł - odpowiedział ojciec. - Był wśród pierwszych. Wiesz, demony mają wiedźmie ogary. Gubadan nie miał w sobie wiele magii, ale ta odrobina im wystarczyła, by go odnaleźć.

Niepewnie dotknął dłoni Safara, jakby zdumiony, że jego syn nie jest duchem.

- To dobrze, że cię tu nie było, synu - rzekł. - Wszyscy słyszeliśmy, jak wielkim czarodziejem się stałeś. Natychmiast by cię odkryli.

- Jestem zdumiona, że pozwolili żyć komukolwiek z was, ojcze Timuro - powiedziała Leiria. - Musimy podziękować za to bogom.

- Nie bogom - odparł Khadji - lecz ludzkiemu zdrajcy. I nie powinniśmy mu dziękować, lecz przeklinać go ze wszystkich sił.

Safar zmrużył oczy.

- Prowadził ich człowiek?

- Właściwie to nie prowadził - odpowiedział ojciec. - Chociaż słuchają jego rad z wielkim szacunkiem. Najwyraźniej ten człowiek ma wpływowych przyjaciół wśród demonów. Niektórzy mówią nawet, że nadstawia mu ucha księżę Luka.

- Kim jest ten mąż? - zapytał Safar. - Czy jest mi znajomy? Czy rozpoznałbym jego imię?

- Sądzę, że tak - odpowiedział Khadji. - On z pewnością zna ciebie.

Gdy wypowiedział to imię, Safar podskoczył, jakby go coś użądliło.

Kalasariz wyszedł ze świątyni Felakii na ciepłe słońce. Nadeszło późne popołudnie i atmosfera w świątyni, którą zamienił w swoją kwaterę, nagle wydała mu się zbyt ciężka. Tak więc zostawił tam skrybę, by dokończył raport dla księcia Luki, a sam powoli wyszedł na zewnątrz zaczerpnąć tchu.

Dzień mienił się jaskrawymi kolorami, rzucając głębokie cienie. Słońce było wirującym złotem, obłoki czystym srebrem, jezioro i niebo oślepiającym błękitem. Szpieg napęłnił płuca powietrzem przesyconym zapachem kwiatów. Wypuścił oddech, delektując się jego owocowym posmakiem.

Kilka ptaków śpiewało w gajku nad jeziorem, a ich piosenka sprawiła, że Kalasariz uśmiechnął się.

„Kolejny rozkoszny dzień w Kyranii - pomyślał. - Co za odmiana od ruchliwego, cuchnącego ubóstwa Walarii”. Kalasariz, który w ciągu całej swej kariery starał się eliminować zaskoczenie ze swego życia, teraz był zdumiony tym, jaki obrót przybrał jego los. „Właściwie to moje życie wywróciło się do góry nogami” - pomyślał. Nie zdziwiło go jedynie to, że udało mu się spaść na cztery łapy, gdy rozpoczął się wielki odwrót. Kalasariz był sprawnym mistrzem równowagi. Nawet jego wrogowie przyznaliby to. Uśmiechnął się szeroko - zwłaszcza jego wrogowie!

Jeszcze jeden ptak przyłączył się do śpiewnej biesiady w gaju. Chór był absolutnie zniewalający.

Nogi Kalasariza same niosły go ku jeziorku, tak by mógł z bliska cieszyć się koncertem.

Wszystko stało się dość... stresujące... gdy król Protarus stanął u bram Walarii. Jednak to nic dziwnego. Kalasariz bał się tak to opisać wiele długich miesięcy temu, gdy szalała w nim panika. Zachował spokój. Utrzymał równowagę. Opracował plan. I podjął działania.

Był trochę... zaniepokojony? Nie, nie. To zbyt dosadne słowo. Może - zawiedziony. Tak, był zawiedziony, gdy jego starannie opracowany plan przyłączenia się do dworu Protarusa spalił na panewce. Jego sekretne wiadomości i sfalszowane akta, udowadniające przyjaźń z Safarem Timurą, nie spotkały się z ciepłym przyjęciem króla Protarusa. Z początku był... poirytowany. Nie rozgniewany, ale poirytowany. Kalasariz podziwiał jego podejrzliwość. Było to narzędzie, bez którego żaden wartościowy monarcha nie mógł się obejść. Ale jego zdaniem podejrzliwość Protarusa przekraczała granice zdrowego rozsądku.

I co z tego, jeśli w wiadomościach od Kalasariza było kilka kłamstw? Uczciwie dopilnował swojej części transakcji. Czyż nie zadbał o to, by odpowiednia brama we właściwym czasie pozostała nie strzeżona? Czyż nie dostarczył Didimy i Umurhana, jak wcześniej uzgodniono? I czyż nie przysiągł długiej i wiernej służby swemu nowemu królowi?

Kalasariza głęboko zraniło to, iż Protarus nie dostrzegł, jak wartościowym sprzymierzeńcem mógłby się stać. Trudno jest znaleźć dobrych szpiegów. A Kalasariz, który nie tracił czasu na fałszywą skromność, wiedział, iż był najlepszym z najlepszych.

Najznamienitszym dowodem na to byli szpiegowie, których miał na dworze Protarusa. Ostrzegli go na czas, że król zamierza go zdradzić. Ledwie zdołał ująć z życiem.

Kalasariz za zabawny uważał fakt, że zdrada króla okazała się w końcu błogosławieństwem. Cóż, gdyby przyłączył się do króla, nie znalazłby się teraz w Kyranii, tak świetnie ustawiony po zwycięskiej stronie. I co z tego, że były nią demony? Posiadali, jak to Kalasariz określił, oświecony stosunek do ludzkich możliwości. Luka natychmiast dojrzał potencjał Kalasariza. Tak samo lord Fari. Oczywiście, obaj prawdopodobnie nie mieli o nim zbyt wysokiego mniemania, ale podziwialiby go bardziej, gdyby wiedzieli, że z każdym z osobna zawarł oddzielne umowy.

Zatrzymał się na skraju gajku. Ptaki przerwały koncert i odleciały w cienistą głębię zagajnika. Tam usiadły na starym orzechu, którego gałęzie uginały się pod obfitością owoców, i podjęły pieśń. Muzyka była niezwykle słodka. „Muszę zobaczyć, co to za gatunek ptaków” - pomyślał Kalasariz. Nagle przyszła mu do głowy wizja, w której jeden z ptaszków wskakiwał mu na palec. W wizji mężczyzna wynosił stworzonko i umieszczał je w klatce, gdzie przez całą noc śpiewało mu serenady.

Kuszony wizją, Kalasariz zanurzył się za ptaszkami w las.

Kalasariza nie zwiodło złudne poczucie bezpieczeństwa. Nie zdołałby ukryć się przed Protarusem w żadnym mieście po walaryjskiej stronie Łańcucha Bogów. Nawet gdyby mógł znaleźć odpowiednie miejsce, nie miał zamiaru spędzić reszty swych dni jako człowiek bez wpływów, bez

władzy, przemykając się pod ścianami i chowając za rogami alejek. Tak więc zdecydował się przebyć góry i zobaczyć, jakiego rodzaju życie będzie mógł wieść w Caspanie. Miał tam nieźle ulokowanych szpiegów. Mogli zapewnić mu lepszy start niż gruba sakwa klejnotów, którą zabrał ze sobą podczas ucieczki.

To były podniecające dni, pomyślał z tkliwością, która nadawała niespokojnym czasom dystans i napełniała go poczuciem sukcesu. Przebrany za kupca, wynajął miejsce w karawanie podróżującej do Caspanu. Wraz z karawaną przebył góry, przechodząc przez Kyranię. Ze znacznym zainteresowaniem odnotował bogactwo doliny. Nawet kupił u Khadjego Timury wspaniałe zestawy kubków do wina, rozkoszując się potajemnym rozbawieniem, gdy starzec i jego żona uśmiechali się i zagadywali, owijając kubki w filc i pakując je uważnie w rzeźbioną skrzynkę zabezpieczającą naczynia na czas podróży. Omal nie prychnął śmiechem, gdy szacowna stara para przechwalała się swoim synem, Safarem Timurą, który był wielkim naukowcem i przyjacielem Iraja Protarusa z lat chłopięcych.

Pamiętał rozmowę, jakby to było wczoraj.

- Może słyszałeś o nim? - zapytał Khadji.

- Safar Timura? - upewnił się Kalasariz. - Nie. Przykro mi, ale nie spotkał mnie ten zaszczyt.

- Nie, mam na myśli Iraja Protarusa - odparł Khadji.

- O, z pewnością - rzekł Kalasariz. - Któż nie słyszał o wspaniałym królu Protarusie i jego sławetnych zwycięstwach.

Wtedy Myrna spytała nieśmiało:

- Niektórzy mówią, że jest okrutny. Czy to prawda?

- Absolutnie nie, droga matko - odpowiedział Kalasariz. - Przecież on jest najłagodniejszym z królów. Och, oczywiście, ginęli ludzie. Ale czyż tak nie jest podczas każdej wojny? Nie, Protarus jest wspaniałym królem. Służy także waszemu dobrobytowi.

Myrna przyjęła to z ulgą.

- Miło mi to słyszeć - powiedziała. - Wiecie, przez pewien czas mieszkał tutaj. Był dobrym chłopcem. Oczywiście, miał trochę dziki i władczy charakter. Ale miał też w sobie dobro. Jego matka byłaby z niego dumna, niech bogowie błogosławią jej duszę.

Kalasariz roześmiał się na to wspomnienie. Spojrzał w górę i ujrzał, że ptaki przeniosły się na gałąź niżej. Zastanawiał się, co to za gatunek orzecha.

Ledwie przyzwyczaił się do Caspanu - ponownie zapoznając swych szpiegów z czystością dobrego złota Kalasariza - gdy nastąpił atak demonów.

I znów znalazł się w obłączonym mieście, nieprzytomny z paniki. Trzymał jednak głowę nisko, swoim szpiegom nakazał to samo, a gdy tylko demony zajęły miasto, podniósł ją śmiało. Demony zajęły się zwyczajową rzezią, ale gdy tylko uznały, że już dały wszystkim nauczkę - i to dobrą - ustanowiły administrację, by prowadziła miasto. Niektórzy z nowych władz zostali więźni z poprzedniego rządu. Wszyscy należeli do biurokratów niższego szczebla, którzy wykonywali większość prawdziwej pracy i zwracali niewielką uwagę na to, kto lub co może obecnie zajmować tron. Pośród nich znajdowali się szpiedzy Kalasariza.

Gdy tylko dowiedział się, jak wygląda stan rzeczy, Kalasariz spotkał się z Luką i Farim - z każdym z osobna, rzecz jasna. Miał wiele rzeczy do zaoferowania. Najwartościowszą z nich była Kyrania, klucz, który otworzy bramę do królestwa Protarusa.

Zatrzymał się pod drzewem. Ptaki siedziały tuż nad nim, ale teraz w ciszy.

„Tak więc oto tu jestem” - pomyślał, ciesząc się swoją nagrodą, pierwszą z wielu znacznie

większych, które dopiero nadejdą.

Ptaki zatrzepotały skrzydełkami, przyciągając jego uwagę. Na jednego z nich zwrócił uwagę w szczególności. Był jaskrawozielony, podczas gdy pozostałe miały kolor ponurego brązu. Na piersi miał dużą czerwoną plamę. To było puchate, przyjazne stworzonko. „Jakie rozkoszne...”

Kalasariz przypomniał sobie, że ptaki śpiewające podobno smakują najlepiej. Mawiano, że im słodsza piosenka, tym smaczniejsze mięso.

Przyjrzał się uważniej drzewu. Teraz był pewien, że to cynamon. „Ach, ptak śpiewający, który żywi się cynamonem. Cóż za posiłek mógłbym z niego przygotować!”

Kalasariz wyciągnął palec.

- Sfruń tutaj, mój śliczny ptaszku - zawołał. - Rozwesel mnie. Mam dla ciebie miłe niespodzianki.

Był lekko zdziwiony, gdy ptak zeskoczył z gałęzi i stanął na jego wyciągniętym palcu. Kalasariz tylko się zabawiał rozmyślaniami o swej wizji, ale teraz wydawało się, że wizja prawie zamieniła się w obiad.

- Zaśpiewaj mi, ptaszku - zagruchał. - Zaśpiewaj Kalasarizowi. Śpiewaj tak słodko, jak tylko potrafisz, mój śliczny. A potem skręcę ci szyjkę i zjem na obiad.

Ku jego zachwycie ptaszek rozchylił dzióbek, jakby miał zaśpiewać.

- Zamknij się, zamknij, zaaamkniiij! - powiedział.

Kalasariz otworzył usta w zdumieniu.

- Co? Coś ty powiedział?

- Powiedziałem, zamknij się Gundaree - ciągnął ptaszek. - Ja go pierwszy zobaczyłem. Nie obchodzi mnie, czy cuchnie jak demony. Jest człowiekiem. Sam się o siebie martw, głupolu!

„Ja śnię - pomyślał Kalasariz. - Zasnąłem w świątyni i przyśniło mi się, że idę na spacer. A teraz mam sen, że ptak do mnie mówi”. Kalasariz podniósł palec, przypatrując się czerwonej plamce na piersi ptaszka. Jaka dziwna. Ma kształt żółwia.

Nagle ptak zatopił ostre pazury w jego palcu.

Kalasariz skrzeknął i próbował strząsnąć stworzenie.

- Wynoś się, wynoś! - krzyczał.

Ptak jednak zatapiał pazury coraz głębiej, zgrzytając nimi o kość.

Kalasariz, krzycząc, miotał się wokół i próbował strząsnąć ptaka ze zranionej ręki.

- Przestań, głupi człowieku! - krzyczał ptak do Kalasariza. - Robisz mi krzywdę!

Wtem ptak przekształcił się w szczerzącego zęby potworka z długimi, ostrymi zębami, który skoczył na twarz Kalasariza, wpijając się szponami w policzki. Potem ugryzł go w nos.

Kalasariz zamarł. Czuł ból i stwora przywierającego do jego twarzy, czuł, jak krew wpływa mu do ust, ale nie mógł się ruszać. Nie mógł nawet drgnąć, a tym bardziej wydobyć z siebie dźwięku.

Usłyszał kroki i ujrzał, jak zza drzewa wychodzi postać.

Kalasariz, człowiek, który odrzucał możliwość zaistnienia nawet niewielkiego zdziwienia, a tym bardziej porażającego przerażenia, zaznał obu uczuć naraz.

- Lepiej go puść - rzekł Safar. - Rozmazujesz krew po całym swoim ubraniu. Wiesz, jak bardzo tego nie znosisz.

Gundara uwolnił Kalasariza, a potem zeskoczył na ziemię. Mały Ulubieniec zbadał swój zbrukany krwią strój.

- No popatrz tylko, co narobiłeś - oskarżył Kalasariza. - Gdybyś stał spokojnie, jak miałeś stać, to pewnie byłaby tylko niewielka ranka. I prawie w ogóle nie byłoby krwi.

Kalasariz, którego obezwładnił paraliż, tak samo jak czar, mógł wydać z siebie jedynie stłamszony jęk. Ujrzał, jak Safar wyciąga kamiennego bożka w kształcie żółwia.

- Może pójdziesz się wyczyścić? - spytał Gundary. - Dostaniesz nagrodę później.

- Co za wspaniały pan - odparł Gundara. - Co za dobry pan.

Wskoczył na kamień, kurcząc się do takich rozmiarów, by do niego pasować. Zawahał się, wyraźnie rozdarty.

- Nie zapomnisz, prawda? - spytał Safara. - Mam na myśli łakocie.

- Nie zapomnę - zapewnił go Safar.

- Obiecujesz?

Safar westchnął.

- Obiecuję - odpowiedział z ogromną cierpliwością.

Gundara kwiknął z zachwytu. A potem dodał:

- Uwaga, Gundaree! Nadchodzę!

I znikł w kamieniu.

Safar odłożył bożka i podszedł do Kalasariza. Zmierzył go wzrokiem. Szef szpiegów poczuł jeszcze jeden wstrząs, gdy ujrzał, jak niebieskie są oczy Safara - błękitne jak niebo i jezioro, które podziwiał parę minut temu.

- Pewnie zastanawiasz się, dlaczego jeszcze żyjesz - spytał Safar tak łagodnie, że szpiega aż przeszły ciarki.

Kalasariz jeszcze nie pomyślał o tym, ale na słowa Safara jego myśli skupiły się na tym aspekcie. Jego reakcja była tak gwałtowna, że przez odrętwienie przedarł się dreszcz strachu.

- Dobrze - rzekł Safar. - Dostrzegam to w twoich oczach. A skoro już zaszedłeś tak daleko, to jesteś wystarczająco bystry, by poznać odpowiedź. Czy mam rację?

Kalasariz wydał z siebie rżenie.

Safar wyglądał na zdegustowanego. Strzelił palcami, a Kalasariz zniemacka znów był zdolny do mówienia. Chociaż nadal stał nieruchomo jak pomnik.

- Dzięki bogom, że jesteś, Safarze! - wybełkotał Kalasariz. - Przybyłeś na czas, by...

Safar ponownie strzelił palcami, przywracając niemoc.

- Nie zawracaj sobie głowy kłamstwami - rzekł Safar. - Rozmawiałem z ojcem. Wiem, co tu się dzieje i wiem, że to ty jesteś za to odpowiedzialny. - Pochylił się bliżej, a jego twarz znalazła się o parę cali od twarzy Kalasariza. - Mam nadzieję, że dla twego dobra wyraziłem się jasno.

Kalasariz próbował wykrztusić rosnącą w jego zdrętwiałym gardle odpowiedź. Jeszcze jedno strzelenie palcami i słowa same wyrwały się z gardła:

- Tak! Bardzo jasno!

- Zdecyduję, czy pozwolić ci żyć po tym, gdy pomożesz nam przy demonach - rzekł Safar. - Ile zaś z ciebie pozostanie, by cieszyć się tym życiem, zależy tylko od ciebie.

Niektóre umiejętności Kalasariza powróciły, a wraz nimi odwaga. Mimo to z trudem wyjąkał pierwsze słowa:

- Mogę uczynić znacznie więcej, niż tylko wypędzić demony z Kyranii, akoli... to znaczy, przyjacielu.

Safar wydawał się rozbawiony.

- Nieomal nazwałeś mnie akolitą, prawda? - spytał. - Czyż to nie dziwne, jak rzeczy się zmieniają? Wielcy stają się mali. - Wskazał Kalasariza. - Mali stają się wielcy. - Dotknął swej

piersi.

Kalasariz pozbiarał się już po swym błędzie. Uśmiechnął się swoim dawnym, bladym uśmiechem.

- Tak, to dziwne, lordzie Timuro - odparł. - Ale czy zauważyłeś, jak łatwo ja zmieniam się wraz z okolicznościami? Twój nowy tytuł z łatwością przepływa przez me usta, panie. I muszę powiedzieć, że znakomicie do ciebie pasuje.

Safar zachichotał.

- Kalasarizie, muszę przyznać, że jesteś znakomity.

Kalasariz dostrzegł wyrwę w murze i wykorzystał ją.

- Lordzie Timuro, dobrze mieć nieocenioną wartość dla króla. Znam doskonale dwóch demonów, króla Manację, księcia Lukę i ich wielkiego wezyra, lorda Fariego. Wiem o ich słabościach, które są rozliczne, a także o innych ważnych rzeczach. Król Protarus może się bardzo na ciebie rozgniewać, jeśli coś mi się przydarzy, a jemu ogromna okazja przejdzie koło nosa.

- Och, nie ma najmniejszej wątpliwości, że Protarus chciałby sam wszystko usłyszeć - odparł Safar. - Pewnie wolałby usłyszeć to z twoich ust, niż wysłuchać suchego raportu, który sporządziłbym po wyciśnięciu z ciebie informacji za pomocą tortur. Ale zrozum, Kalasarizie, król i ja jesteśmy przyjaciółmi. I to bliskimi. Gdybym cię zabił, poszedłbym do niego i wyznał swój błąd. Potem usprawiedliwiłbym się, mówiąc: „Nie mogłem się temu oprzeć, Iraju!”

Przerwał, zmrażając Kalasariza swobodnym uśmiechem.

- Wiesz, na osobności nazywam go Irajem, a on mówi do mnie Safar. Tak jak wtedy, gdy byliśmy bawiącymi się razem chłopcami. Cóż, powiedziałbym: „Nie mogłem się oprzeć, Iraju! Nagle ogarnęła mnie olbrzymia nienawiść. Chciałem jego krwi, by odpowiedział za zbrodnie popełnione na mnie i mojej rodzinie”. Potem zwiesiłbym głowę ze wstydu i zastanawiałbym się na głos, czy mój błąd będzie na tyle poważny, że zwycięstwo może kosztować nas znacznie więcej istnieć. I wiesz, co on by powiedział? Powiedziałby: „No cóż, Safarze, nie można się było temu oprzeć. Na twoim miejscu zrobiłbym to samo. Należy odpowiadać na zew krwi. Chodź, przyjacielu, pošlemy po kobiety i mocne wino. Opłacemy twoją pomyłkę jak na mężczyzn przystało. Upijemy się razem i będziemy zabawiać aż do świtu!”

Żołądek Kalasariza palił, jakby nalano w niego lawy.

Safar zaśmiał się, widząc jego niepokój.

- Czy widzisz, do czego się wszystko sprowadza? - spytał Kalasariza. - Rozumiesz swoją pozycję?

- Tak, lordzie Timuro - odparł Kalasariz, ledwie panując nad drżeniem głosu. - Rozumiem doskonale.

Usłyszał szelest w lesie i ujrzał kilku żołnierzy stojących za plecami Safara. Nosili mundury ludzi Protarusa. Wtem dostrzegł, że żołnierz na czele grupy był niezwykle przystojny. Nie... piękny! I był kobietą, a nie mężczyzną.

Wojowniczką podeszła do Safara.

- To było wspaniale wykonane, lordzie Timuro - rzekła. Lecz jej głos był cichy, a sposób mówienia zdradzał, że na osobności nazywała go bardziej pieszczotliwymi imionami. Obdarzyła Safara spojrzeniem tak pełnym miłości, że przebiło się przez odrętwienie Kalasariza i obudziło jego spryt.

„Zakochane niewiasty - pomyślał - mogą być bardzo niebezpieczne dla wrogów mężczyzny, który

zdobył ich uczucie.

I dla niego samego”.

Kalasariz wznosił kubek w toaście.

- Moi przyjaciele - rzekł - ta noc jest jeszcze jednym potwierdzeniem - nieważne, że niewielkim - wspaniałej wizji króla Manacii o zjednoczonym Esmirze.

Objął wzrokiem teren bankietu na świeżym powietrzu. Na świeżo skoszonym trawniku rozstawiono stoły zbite z surowych desek. Na nich piętrzyły się olbrzymie kopce jedzenia. Pośrodku stały rzędem dzbanki kyrańskiego wina uderzającego do głowy. Za stołami siedziały dziesiątki demonów, wwiercając się w niego żółtymi oczami. Uniosły w oczekiwaniu kielichy, czekając, aż skończy toast.

- Nawet tutaj, w Kyranii - ciągnął - człowiek siedzi wśród swych demonich braci, pożywiając się i pijąc. Równy wśród równych. Śmiertelnik...

- Och, skończ ten cholerny toast, Kalasariz! - ryknął demon siedzący u jego boku. - Pić mi się chce!

- Tak, no więc, hm... - zawahał się Kalasariz. - Hm, a więc... za króla Manacię! Niech nam długo panuje.

Demony wrzasnęły z aprobatą, opróżniły kubki i zwróciły się ku stołom, napełniając naczynia i napychając pyski parującym jedzeniem.

Kalasariz nerwowo chlusnął wino w kubek i pochłonął je jednym szybkim łykiem. Pod jego ubraniem, tuż przy skórze, skrywał się kamienny bożek, tak ciepły z oczekiwania, że prawie parzył. Od czasu do czasu mężczyzna słyszał nawet - dość niewyraźnie - jak podniecony Gundara syczał do swojego bliźniaka: „Zamknij się, zamknij się”. Kalasariz został ostrzeżony, że jakiegokolwiek podejrzanego zachowanie wywoła malutkiego Ulubieńca, który go odpowiednio ukarze.

Między stołami przechodzili ludzcy niewolnicy ze spuszczoneymi głowami. Z wysoko uniesionymi tacami krążyli od demona do demona, by zaoferować inne frykasy. Demony jadły chciwie, jeszcze żarłoczniejsze niż zwykle dzięki darmowej żywności dostarczonej przez Kalasariza na ten zaimprovizowany bankiet.

- Czy życzysz sobie, panie, jeszcze trochę wina? - wymruczał głos przy jego łokciu. Był to Safar przebrany za niewolnika z dzbanem w ręku. Pozostali ludzie na bankiecie byli jego żołnierzami przebranymi za niewolników. Wszyscy czekali na sygnał do akcji.

- Tak, poproszę - odparł Kalasariz, podając kubek. Safar napełnił go, skłonił się pokornie i odstąpił w tył.

- Co ty jesteś taki grzeczny dla niego? - zapytał demon o imieniu Quan. - Spiłeś się?

- Nie, nie jestem pijany - odparł Kalasariz.

- A więc masz problem - powiedział Quan. - Twoją uwagę odciąga niski poziom duchowych płynów. To dlatego psujesz swoich niewolników, zamiast walnąć ich zdrowo za takie pytanie. Powinni się starać! Twój kubek był pusty. Powinni go napełnić!

Quan obrócił się do Safara.

- Zrób to samo przy mnie, ty ludzki robaku - rzekł - a odgryzę ci głowę.

- Tak, Wasza Dostojność - oznajmił Safar, kłaniając głową. - Dziękuję, Wasza Dostojność.

Quin obrócił się z powrotem do Kalasariza.

- Widzisz? Tak to trzeba załatwiać!

- Zapamiętam to, Quanie - odrzekł Kalasariz. - To dobra rada.

Piękna niewolnica - Leiria w przebraniu - szła wzdłuż stołu, niosąc tacę z pieczonymi kebabami. Pachniały tak wspaniale, że Kalasariz niemal zapomniał o niebezpieczeństwie, w którym się znajdował. Gdy zbliżała się, a gorący tłuszcz z kebabów kapał wszędzie wokół, jego usta napęłniły się śliną.

Wyciągnął rękę, by złapać patyczek, gdy przechodziła obok. Safar wstąpił między nich. Uniósł dzban i pochylił się, udając, że dopełnia wino w kubku.

- Nie jedz kebabów - wyszeptał, a potem wycofał się.

Kalasariz nagle odkrył, że jego usta wyschły od samej myśli, co mogłoby się stać.

Obok niego Quan przeżuwał z wielkim zapałem.

- Pyszne, Kalasarizie - rzekł. - Powinieneś spróbować.

Zamachał patyczkiem z aromatycznym mięsem przed nosem Kalasariza. Smakowity zapach wzmocniony magią był tak silny, że mężczyzna znów niemal się zapomniał. Zdążył cofnąć dłoń.

- Żałuję, ale nie mogę - odpowiedział, robiąc smutną minę. - Pachnie niezrównanie. Ale w tym miesiącu nie wolno mi jeść jagnięciny. Wiesz, religia mi zabrania.

Wszędzie na przyjęciu demony pożerały kebaby, mlaskając, wycierając policzki i wrzeszcząc na niewolników, by przynieśli więcej.

- Oto wada religii - odpowiedział Quan z niejakim współczuciem. - Zawsze zabrania tego i owego. Jest tyle zakazów, że biedny demon ledwie wie, co ma robić. - Zdjął z patyczka reszkę mięsa i wrzucił je do paszczy. Przeżuwał zawzięcie, potem przełknął, a na jego twarzy zagościł wyraz czystej błogości. - Wiesz, co byłoby pierwszą rzeczą, którą zrobiłbym jako król?

- Co takiego? - zapytał Kalasariz.

- Zakazałbym religii. Wywaliłbym w diabły. Zapoczątkowałbym własną religię, a pierwszą rzeczą byłoby wywrócenie zakazów do góry nogami. Wszystko, co było dotychczas zakazane, stałoby się przymusem, a nad wszelkimi przymusami obradowałaby królewska rada. - Dźgnął Kalasariza przyjaźnie łapą. - Założę się, że byłbym cholernie popularny - dodał. - Najpopularniejszy król w całym...

Quan przerwał, gdy nagle jego oczy zeszkliły się, a on sam runął do przodu.

Kalasariz zabrał ramię, a głowa Quana uderzyła mocno o stół.

Cały teren przyjęcia nagle wypełnił hałas uderzeń głów demonów o drewno. Potem zapadła cisza.

Kalasariz rozejrzał się wokół i ujrzał, że demoniczni strażnicy zobaczyli, że dzieje się coś niedobrego i biegli ku nim.

Leiria wydobyła z siebie wojenny okrzyk, zdzierając szatę i ukazując ukrytą pod spodem zbroję. Wyciągnęła miecz i popędziła ku strażom. Rozbrzmiały okrzyki pozostałych, gdy żołnierze Safara kolejno wskakiwali w bitewny wir.

To była szybka, krwawa walka. Zanim Kalasariz zdążył się zorientować, wszystkie demony prócz trzech były martwe, a Leiria, wraz z sześcioma ludzkimi żołnierzami, nie ustawała w wysiłkach, by położyć kres tej irytującej sytuacji.

Safar zrzucił zwłoki Quana z krzesła i sam się na nie wśliznął. Wytarł kielich rękawem i napęłnił go winem.

- Nie poproszę cię o toast - rzekł do Kalasariza. - Twój przyjaciel miał rację. - Wskazał na martwego demona, leżącego bezwładnie na ziemi. - Mówisz zbyt rozwlekłe.

I Safar wypić.

Preludium do bitwy

Safar wytrząsnął z sakiewki kamiennego bożka. Pogłaskał go długimi, uspokajającymi ruchami, jakby był dzieckiem pieszczącym kota. Pochylił się bliżej, szepcząc:

- A teraz zachowuj się. Jesteśmy w towarzystwie króla.

Wciąż głaszcząc żółwia, podszedł do Iraja, który teraz, pogrążony w myślach, wpatrywał się w malowidło.

Znajdowali się w jaskini Alisarriana. Światło pochodni odbijało się, migocząc, od błyszczących ścian. Obraz, nad którym zamyślił się Iraj, był magicznym malowidłem Zdobywcy w bohaterskiej pozie.

- Wciąż czuję się jak chłopiec - wyszeptał Iraj do Safara. Potem obrócił się ze smutnym uśmiechem na twarzy. - Gdy byliśmy tu wcześniej ukrywałem się przed swoim wujkiem i jego przyjacielem. Jak się okazało, każdy z nich był tylko podłym wodzem. Ale wtedy to, co musiałem przezwyciężyć, wydawało się największym problemem na świecie.

Machnął ręką w kierunku heroicznej postaci Alisarriana, który miał złotą brodę Iraja i niebieskie oczy Safara.

- Gdy zobaczyłem ten obraz, sprawił on - w jakiś sposób, ale jak, nie umiem objaśnić - że moje marzenie o władaniu całym Esmirem wydało się niezbyt trudne do zrealizowania. - Wzruszył ramionami. - Mam na myśli, że wszystko, co miałem zrobić, to pokonać wujka, a potem Esmir pękł jak jajko. To było takie łatwe. Teraz postrzegam ten obraz inaczej. Widzę człowieka, którego osiągnięcia w pełni podziwiam. Spotykały mnie mniejsze wyzwania i walczyłem w mniejszych bitwach. Bardzo trudno jest utrzymać to, co się zdobyło. Mniejszą trudność sprawia zdobycie więcej ziem.

- Jestem pewien, że Alisarrian miał takie same wątpliwości w stosunku do siebie - powiedział Safar. - Może nawet większe. On w końcu nie miał wielkiego zdobywcy do naśladowania. Ty wiesz, że twoje marzenie jest możliwe, ponieważ już wcześniej tego dokonano. On nie miał takiego ułatwienia.

- I demony - dodał Iraj z rozjaśnioną twarzą. - On również musiał stawić czoło demonom.

- Dokładnie - rzekł Safar. - I to po raz pierwszy, bo przecież żaden ludzki król dotychczas nie pokonał armii demonów. Ty również dzięki Alisarrianowi wiesz, że można tego dokonać.

Iraj ponownie zmarszczył brwi.

- Poza tym, że Alisarrian był nie tylko znamienitym generałem, ale także wielkim magiem. Ja jestem jedynie dobry w wojnie. Nie wiem nic o magii.

- Masz mnie - odparł Safar.

- Czasami mnie to martwi - stwierdził Iraj. - Co by się stało, gdybym nie miał ciebie?

- To nonsens - przerwał Safar. - Los wystarczająco jasno zdecydował, by nas połączyć. Po co martwić się o coś, co nie mogło się zdarzyć?

- Tak - odparł Iraj z błyszczącymi oczami - ale co by się stało, gdybyś zechciał odejść?

Safar prychnął.

- To śmieszne - powiedział. - Po co miałbym to robić? Dla pieniędzy? Uczyniłeś mnie bogatym.

Żeby być jeszcze bogatszym? Tak czy inaczej, pieniądze nic dla mnie nie znaczą. Co następnie?

Władza. Na przykład władza nad innymi. Wiesz, że ja nie mam takich pragnień.

Nastrój Iraja rozjaśnił się. Niebezpieczny błysk w oczach znikł.

- To prawda - rzekł. - Ty nawet wydajesz się nie mieć szacunku dla władzy, o czym ci przypominam, mój przyjacielu, gdy sprawiasz kłopoty temu oto królowi. - Iraj dotknął swojej piersi.

Safar uśmiechnął się szeroko.

- Ja wiem, że jesteś człowiekiem - odparł. - Widziałem braci Ubekian, kiedy walili w ciebie, jak w świątynny bęben.

Iraj skrzywił się.

- Wtedy myślałem: „Poczekajcie, aż będę królem. Poobcinam wam te małe główki”. Teraz, gdy już nim jestem, nie wydaje mi się to takie ważne.

Safar roześmiał się głośnie.

- Wyobrazasz sobie ich miny, gdybyś teraz do nich podszedł i... - reszta znikła w śmiechu.

Iraj przyłączył się do niego i jaskinia rozbrzmiała odgłosami rozbawienia dwóch starych przyjaciół. Ale w tym śmiechu była nuta napięcia. Rozbawienie trwało zbyt długo. Był to ten rodzaj ledwo kontrolowanego śmiechu, który ogarnia ludzi stojących w obliczu przerażającego zadania.

Ucichł zupełnie zniecka. Dwaj mężczyźni unikali swego wzroku, zakłopotani.

- Lepiej zaczynamy - powiedział Safar, trochę niepewnym głosem.

Iraj pokiwał głową.

- Tak, lepiej zacznijmy.

- Usiądź tam - rozkazał Safar, wskazując miejsce na skraju wyblakłego pentagramu wrytego na podłodze jaskini.

Iraj uczynił, jak mu powiedziano. Safar usiadł naprzeciw niego.

Pośrodku pentagramu znajdowało się wiele starożytnych symboli magicznych, które kiedyś tak fascynowały Safara. Niektóre z nich nadal tak na niego działały, ale co dzień dowiadywał się czegoś więcej z Księgi Aspera.

Safar umieścił kamiennego żółwia na jednym z symboli. Kamień zaczął się żarzyć, ale bardzo słabo.

- To Kometa - powiedział.

Potem przesunął bożka na inny symbol. Zaświecił odrobinę jaśniej.

- To Księżyc Demonów.

Przesunął żółwia w punkt między nimi.

- Oto my - rzekł. - Oczywiście, w przybliżeniu. Prawdziwe ciała niebieskie poruszają się teraz razem. W rzeczy samej, niedługo powinniśmy ujrzeć Księżyc Demonów.

Iraj potrząsnął głową z podziwem.

- To dopiero coś, Safarze - rzekł, a jego głos brzmiał, jakby był chłopcem i obserwował przedstawienie cyrkowe. - Naprawdę coś.

Safar zachował spokój. Nie mógł sobie odmówić zagrania roli mistrza o kamiennej twarzy. Poza tym zauważył, że nie zaszkodzi jak najbardziej oszołomić Iraja swymi magicznymi zdolnościami.

- Kiedy rzucę zaklęcie - poinformował - musisz siedzieć absolutnie nieruchomo. Nic nie mów i

nic nie rób. Ujrzysz, że siedzę naprzeciw ciebie, ale ja nie będę w swoim ciele. - Wskazał wyjście z jaskini. - Mój duch będzie gdzieś tam szybował. - Wskazał na kamiennego bożka. - Utrzymaj swój wzrok na nim, a ujrzysz wszystko, co widzi mój duch.

Iraj wiercił się.

- Niezwykłe - wydyszał.

- Gotowy? - zapytał Safar.

Iraj oblizwał wargi i skinął głową. Safar rzucił garść szklanych kulek na podłogę. Iraj zaczerpnął tchu. W górę wiły się kolumny gęstego dymu, każda w innym kolorze, w których unosiły się w górę i w dół migoczące drobinki.

Nie było to konieczne, ale Safar nauczył się od Methydii, jak dać niezłe przedstawienie.

Zaczerpnął tchu, coraz głębiej wciągając powietrze, jakby jego płuca należały do giganta. Kolumny dymu, wijące się wokół siebie jak wstęgi, wpłynęły w jego usta, podążając za wpadającym tam powietrzem.

Potem wypuścił dech. Zabrzmiało to, jak gdyby ostry wiatr gwizdał w wąskiej szczelinie. Wstęgi dymu, teraz ściśle splecione w mglistą linię, wystrzeliły na zewnątrz, roztrzaskując się o kamiennego bożka jak wodospad.

Wzrok Safara zamglił się. Widział wszystko jak we śnie. Ujrzał, jak Iraj spogląda ze zdziwieniem i z szeroko otwartymi oczami na Gundarę. Obiekt królewskiego zdumienia wyskoczył z kamienia i kuczał na nim, dzwoniąc zębami. Safar usłyszał, jak Gundara skrzeczy pojedyncze: „Zamknij się!”, a potem podskakuje i zamyka paszczę na widok Iraja.

Nagle z pleców małego Ulubieńca wystrzeliły skrzydła - wielkie, jakby utkane z babiego lata, perłowe jak śnieżne motyle, które przybywały wczesną wiosną do doliny. Gundara wyciągnął łapę. Rozciągała się coraz bardziej i bardziej, sięgając poza wszelkie wyobrażenie i zmniejszając dystans między Ulubieńcem i jego panem.

Safar uniósł swoją dłoń. Astralny obraz tej dłoni oddzielił się od ciała.

Jego duch złapał w uścisk łapę Gundary.

Potem frunął już przez górską skałę, wyłaniając się z drugiej strony i wzbijając w powietrze. Nie wyczuwał obecności Gundary. Zupełnie jakby to Safar leciał, unosząc się na wietrze i poruszając ramionami, by skorygować lot.

Leciał na północ, ponad najwyższymi szczytami Panny Młodej i Sześciu Druhen. Daleko poniżej ujrzał chłopca prowadzącego stado kóz na pastwisko. Minał najwyższy ze szczytów w tak niewielkiej odległości, że ogarnęła go pokusa, by zobaczyć, czy jego astralna dłoń może poruszyć śnieg.

Ześliznął się wzdłuż górskiego zbocza, złapał ciepły wiatr, a potem pozęglował ponad wielką północną pustynią.

Nad jego głową grube chmury pędziły na niebieskim niebie. Poniżej białe piaski pustyni błyskały w słońcu. Przed nim rozpościerał się bezgraniczny horyzont.

Safar podniósł ramiona i skierował się ku obłokom. Złapał wiatr i prześliznął się pod nimi, lecąc w stronę cienkiej błękitnej linii, gdzie spotykało się niebo i ziemia.

Leciał tak przez jakiś czas, aż dotarł do miejsca, gdzie z kamienistej ziemi wystawały dwie ogromne kolumny. Miały gładką powierzchnię. Wydawało się, że każdą z nich tworzy pojedyncza skała o wysokości stu stóp. Były tak wielkie, że wyglądały, jak gdyby stały obok siebie, ale kiedy Safar do nich dotarł, zobaczył, że były oddalone od siebie o około pół mili.

Leciał dalej ku wciąż pustemu horyzontowi.

Kiedy po raz pierwszy zobaczył armię, nie wiedział z początku, na co patrzy. Pojawiła się jako długa, ciemna linia wznosząca się nad krawędzią horyzontu. Poniżej tej linii ujrzał smugę litej czerni. Im bardziej się zbliżał, tym szersza stawała się smuga, jednocześnie blaknąc, jak rysunek węgłem na papierze. Powoli smuga rozdzielała się na postacie, a potem sylwetki zamieniły się w żołnierzy.

Demonich żołnierzy.

Safar przemknął nad nimi, a jego astralne serce biło mocno o widmowe zebra.

Cała pustynna równina roiła się od demonów wyglądających jak kolosalna kolonia monstrualnych mrówek, płynąca strumieniem na południe, ku Łącuchowi Bogów. Przeplływali pod nim szeroką kolumną żołnierze demony idący za grubymi włóczyniami kawalerii. Setki ogromnych wozów towarowych podążały ich śladem, otoczone niezliczonymi stadami zwierząt, które miały dostarczać świeżej żywności i wierzchowców.

Przerażająco dużo czasu zajęło dotarcie na koniec tej demonicznej armii. Kiedy już go sięgnął, zawrócił i przeleciał raz jeszcze nad armią, szukając serca tej ogromnej bestii.

Znalazł Manacię i jego dwór tuż za plecami głównych jednostek kawaleryjskich. Król demonów rozparł się w kołyszącym palankinie, ustawionym na wspaniałym białym słoniu. Safar natychmiast rozpoznał słonia. To było zwierzę, którego Iraj dosiadał w wizji.

Uspokajając się, podleciał bliżej. Już dostrzegał wielką głowę i masywne szczęki Manacii, gdy nagle poczuł użądlenie magii. Czuł się, jakby leciał nago przez pszczeli rój.

Safar wystrzelił do góry, wznosząc się najszybciej, jak potrafił. Uczucie żądlenia znikło i od razu wiedział, że znalazł się poza zasięgiem Manacii. Kiedy doszedł do siebie, zdał sobie sprawę, że był to pewien rodzaj osłony albo też sieć ostrzegawcza, albo obie naraz. Safar sprawdził, czy istniało jakieś zagrożenie i poczuł ulgę, gdy upewnił się, że Manacia nie zauważył jego obecności. Potem, zbierając w sobie odwagę, obleciał tarczę wokoło, badając jej szerokość i grubość. Wkrótce nie tylko poznał jej wielkość, ale także dowiedział się, że jest bezpieczny tak długo, jak trzyma się jej krawędzi.

Z daleka usłyszał, jak ktoś woła jego imię:

- Safar... Safar...

Rozwarła się rozpadlina, a on w nią wpadł, spadając coraz niżej, przedzierając się przez dym i gorąco. Wtem... bach! Znalazł się z powrotem w jaskini, klęcząc i wymiotując na podłogę.

Kiedy skończył, Iraj zmoczył skraj swego płaszcza i podał go Safarowi, by wytarł twarz. Potem zaproponował mu kubek, wypełniony po brzegi mocną brandy. Safar wypił do dna, jakby to była woda. Po jeszcze jednym kubku jego nerwy uspokoiły się.

- Chyba powiedziałem ci, żebyś siedział cicho? - spytał. - Mogłeś mnie zabić.

Iraj wyglądał na zdziwionego, a potem zmieszanego.

- Przepraszam - odparł. - Sądziłem, że niedobrze ci się zrobiło na widok tych wszystkich demonów. Sam prawie się pochorowałem.

- Pewnie, że mnie to cholernie wystraszyło - odrzekł Safar - ale niedobrze zrobiło mi się przez tak szybkie cofanie! Wiem, że jesteś moim królem, moim panem, ale zmiłuj się, Iraj! Następnym razem odpręż się.

Podczas gdy Iraj stał ze zwieszoną głową i mamrotał przeprosiny, Safar wzmocnił się jeszcze jednym kubkiem brandy napełniającej go fałszywą odwagą. Potem podniósł kamiennego bożka, wyszeptał obietnicę o przyszłych nagrodach czekających dobrych malutkich Ulubieńców i z

powrotem włożył go do sakiewki.

- Kiedy ujrzałem armię Manacii - rzekł Iraj - pomyślałem, że nie ma nadziei! Ona jest nie do zatrzymania! Równie dobrze mogę wykopać głęboką dziurę i przysypać się ziemią.

- Ja miałem podobne myśli - odparł Safar - ale nie wiem, czy zdołałbym wykopać dość głęboką dziurę.

- W całej historii Esmiru - oświadczył Iraj - nie było czegoś takiego, czemu stawiamy czoło. Jeszcze nigdy nie wystawiono armii o takiej wielkości. I jeśli zewrzemy się z nią, nie ma porównania do jakiegokolwiek przeprowadzonej dotąd bitwy.

- Lepiej się do nich nie zbliżajmy - rzekł Safar. - Oto moja rada dla ciebie.

- Właściwie - zaczął Iraj - jest to rada, którą natychmiast odrzucam. Jedynym sposobem, byśmy zwyciężyli, jest spotkanie z nimi oko w oko na polu bitwy.

- No, Iraj - powiedział Safar - wlej jeszcze trochę brandy w żyły. I to szybko. Trzeba odzyskać zmysły.

- Ja nie żartuję - odpowiedział Iraj.

- Wiem, że nie żartujesz - rzekł Safar. - Dlatego ja to robię! Inaczej wystraszyłbym się na śmierć. Nie powiedziałbyś takiej rzeczy, gdybyś tego nie zamierzał. Czasami wątpię w twoje zdrowe zmysły, przyjacielu, ale nigdy w to, do czego jesteś zdolny.

- Kiedy już przestałem dygotać, przyszło mi na myśl, że jeśli nigdy wcześniej nie wystawiono armii tych rozmiarów, to znaczy, że jeszcze nigdy wcześniej nie dowodzono taką armią.

Safar pokiwał głową.

- Wiem, co masz na myśli. Manacia musiałby być nie tylko największym generałem wszech czasów o niesamowitych umiejętnościach, ale też gigantem pomiędzy generałami.

- Jest wystarczająco zdolny - rzekł Iraj. - Przyznaję to. Zebrałem trochę niezwykle godnych zaufania informacji o jego bitwach. Nie jest głupcem. I ma syna, Lukę, który prowadzi każdy atak. Nie ma w nim strachu - a przynajmniej tak mawiają - co samo w sobie jest imponujące. Demony Luki atakują tak wściekle, tak profesjonalnie, że od razu odbiera to wrogowi odwagę. Parę razy Manacia nie miał do roboty nic więcej, niż tylko pozamiatać.

- A więc trzeba wyeliminować Lukę - oznajmił Safar.

- Może i tak - odparł Iraj. - Nie wiem. Teraz rozmyślam nad tą dużą armią. Oto, co muszę pokonać.

- Zakładając, że przeżyjemy Lukę - przypomniał Safar.

- Nie mówię, że z Luką pójdzie łatwo - odparł Iraj - ale na razie o nim nie myślę. Powrócę do niego później. Inaczej nie będę mógł rozważyć sposobu rozwiązania dużego problemu.

- Masz jakieś pomysły? - zapytał Safar.

- Kilka, ale bardzo mglistych. Po pierwsze, muszę użyć ogromu armii przeciwko Manacii. Po drugie, Safarze, muszę sprawić, że się zmniejszy.

- Nie zapomnij - rzekł Safar - że spotkamy się nie tylko z demonimi żołnierzami, ale także z demoniczną magią.

Zamyślony wzrok Iraj zaczął wyrażać troskę.

- Co z tego? - zapytał. - Co widziałeś... jeśli tak można nazwać czarodzieja patrzącego na drugiego maga?

- Widziałem go dobrze - odparł Safar. - Porównując, mój problem wielkiego wezyra równa się twojemu, jako generała. Manacia jest niezwykle silny. Może jest nawet silniejszy ode mnie. Nie

umiem tego określić, ponieważ nie mam w tym doświadczenia. Nigdy nie walczyłem w bitwie. Do diabła, częściej walczyłem na pięści jako chłopiec niż mierzyłem magię przeciw magii.

- Byłem przy twojej pierwszej magicznej walce - przypomniał mu Iraj. - I tak się składa, że stawaleś przeciw demonom.

Safar zaczął protestować, ale Iraj uciszył go machnięciem ręki.

- Nie mów mi, że to tylko szczęście - powiedział. - Oczywiście, tak było. Ja mam szczęście. Nie jestem dobry, tylko po prostu mam szczęście. I ty też. A szczęściarz zawsze wygrywa.

- Nie będę się sprzeczał - rzekł Safar. - Bardzo szybko dowiemy się, czy miałeś rację.

- Ale masz jakieś pomysły co do Manacii? - spytał Iraj.

- Teraz tylko jeden - odparł Safar. - A oto on: Manacia może być czarodziejem większym od wszystkich czarodziei, ale nie jest magiem.

Iraj spojrział na niego, skonsternowany.

- Co ty mówisz?

- Mówię o czymś, czego nauczyłem się w cyrku - odrzekł Safar. - Dym i lustra. Sztuka Wielkiej Iluzji.

Podczas gdy armia demonów kontynuowała marsz, ludzie przygotowywali się na ich spotkanie.

Manacia szedł wolno. Sam ogrom jego sił, jak to przewidział Iraj, uczynił je niezdarnymi i nadał tempo pustynnego żółwia. Król musiał także utrzymywać wielkie linie zaopatrzeniowe, rozciągające się po drodze do Caspanu.

Ludzie dobrze spożytkowali ten czas. Naprawiono ekwipunek, podkuto konie, naostrzono broń. Wprowadzono nowe szkolenie, w którym położono nacisk na sprawność i refleks. Iraj nie chciał odważnych, samobójczych ataków. W obliczu sił Manacii nie mógł pozwolić sobie na straty. Zmniejszono ładunki. Ludzie mieli zabrać na pustynię tylko to, co było tam niezbędne. Ich zapasy miały być również minimalne, tak by wystarczyć jedynie na dotarcie do Manacii. Jeśli przegrają, nie będzie powrotu. Jeśli zwyciężą, zabiorą wszystko, czego będą potrzebować, od Manacii.

Gdy zakończono przygotowania, rozmyślenia Iraja przerodziły się w dopracowane pomysły. Wprowadził nową taktykę i nakazał wykonanie specjalnego ekwipunku.

Safar był równie zajęty. Dysponował jedynie kilkoma magami, ale choć ich moce były niewielkie, mieli już bitewne doświadczenie. Powiedzieli mu, czego może się spodziewać i przygotowali lekarstwa.

Safar uczynił wszystko tak prostym, jak to było możliwe. Stworzył niewielkie amulety i użył kilku sztuczek z Księgi Aspera, by stały się silne. Czarodzieje produkowali te amulety na masową skalę i rozdawali ludziom.

Obył się bez koniecznych wielkich ilości magicznych zapasów. Zamiast tego zarekwirował kilka ciężkich rydwanów zaprzęzonych w trzy konie załadował na każdy z nich beczułki wypełnione zmieszanyimi przez siebie olejami oraz proszkami. Był to jeszcze jeden pomysł pożyczony od Aspera.

Najważniejszą jednakże rzeczą było spotkanie Safara z ojcem.

Wszystko wyglądało, jakby do warsztatu ojca wróciły stare czasy. Piec żarzył się wesoło, jego siostra Quetera siedziała przy kole, a matka mieszała glazurę.

Najwidoczniej Myrna pomyślała to samo, ponieważ rzekła:

- Zupełnie jak za dawnych czasów w sezonie karawan, Khadji. Kochałam tamte dni. Wszyscy jak najszybciej robiliśmy naczynia i talerze, aby sprzedać je panom karawan.

Quetera jęknęła.

- Ostatnim razem, kiedy to robiliśmy - powiedziała - ja byłam w ciąży. - Rozpostarła ręce. - Taka byłam wielka. Ledwo mogłam sięgnąć do koła, a kiedy już mi się udało, przypominało mi się to diabelskie nasienie, mój mąż, który się do tego przyczynił.

- A ty nie miałaś w tym żadnego udziału - prychnęła Myrna.

Quetera zaśmiała się.

- Och, to prawda, mi też było przyjemnie - rzekła - ale jemu również. Wtedy nie wydawało mi się to sprawiedliwe, że muszę sama męczyć się z resztą. I nadal tak to widzę.

Leiria, która trzymała się blisko Safara, nawet gdy odwiedzał swoją rodzinę, wierceła się w kącie.

- Cieszę się, że wybrałam swoją ścieżkę, a nie twoją, Quetero. Walka zawsze wydawała mi się mniej bolesna od rodzenia.

- Bo tak jest - odparła Quetera. - Ale dzięki temu mam Dmitriego. - Uśmiechnęła się do chłopczyka w kącie, brudzącego się przy swoim dziecięcym kole garncarskim. - Koniec końców, byłam szczęśliwa. - Quetera nagle zaśmiała się i zakryła usta. - Co ja mówię? Mój koniec był zdecydowanie niezbyt szczęśliwy.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, nawet Khadji, którego rozmowy na takie tematy zawsze wprawiały w zakłopotanie. Ale ponieważ powiedziała to Quetera, a on kochał jej żartobliwy charakter, pozwolił sobie na rozbawienie.

W kąciku mały Dmitri zdudził się gliną i bawił się teraz swoim wiaderkiem do mycia. Włożył słomkę do mydlin, potem podniósł ją i dmuchnął. Na końcu słomki uformowała się bańka. Zachwycony Dmitri dmuchnął jeszcze mocniej. Bańka nadęła się, a potem oderwała i poszybowała po pomieszczeniu.

- Patrz, mamó - krzyknął - balon! Zrobiłem balona!

Wszyscy obrócili się, by spojrzeć. Bańka, po której powierzchni pełgało światło pieca, powoli pożeglowała w kąt. Unosiła się nad sprzętem do wytopu szkła, a potem pękła.

Wszyscy automatycznie zaczęli wyrażać współczucie.

- Hej, nie martwcie się - zapiał Dmitri. - Mogę zrobić ich więcej. O wiele więcej!

Uszczęśliwiony, zanurzył słomkę w wiadrze i zaczął wydmuchiwac serię baniek.

Uśmiech Safara zbladł. Obrócił się do ojca.

- Chciałbym, ojcze, żebyś coś dla mnie zrobił - oznajmił.

Khadji zmarszczył brwi, zastanawiając się, co też jego syn miał na myśli.

Safar wyciągnął kilka stron papieru do szkicowania i zaczął rysować.

- Zrób to tak - mówił, rysując. - Ale musi być cienkie i tak lekkie, jak tylko zdołasz. Nie martw się, że będzie zbyt kruche.

Khadji podniósł rysunek.

- Wykonam to, synu - powiedział - ale na co ci się to przyda? Co chcesz z tym osiągnąć?

- Nie z tym jednym, ojcze - odparł Safar. - Wezmę ich przynajmniej dwadzieścia.

- Zwracasz mnie Manacii? - zapytał Kalasariz drżącym głosem. - Ale po co? Czym zasłużyłem, Wasza Wysokość, na taki los?

Kalasariz stał przed Protarusem i Safarem. Miał zawiązane oczy. Od czasu przybycia Iraja do Kyranii cały czas miał zasłonięte oczy. Trzymano go z dala od widoku wojskowych przygotowań.

- Nie mów nam o tym, na co zasługujesz, a na co nie - odparł Safar. - Najprawdopodobniej nasze zdania w tej niewielkiej kwestii znacznie się różnią.

- Nie martw się, mój przyjacielu - rzekł Iraj. - Manacia cię nie zabije. Dobrze to urządzimy. Możesz utrzymywać, że uciekłeś. Masz sprytny umysł, i jestem pewien, że możesz z tego zrobić bardzo odważną ucieczkę. Jak to naprawdę się odbędzie, pozostanie naszym sekretem. Zrób jak ci się żywnie spodoba. Postaw na to, że przegram, i przyłącz się do nich. Postaw na to, że wygram i dochowaj mi wierności. Możesz zrobić każdą z tych rzeczy, lub też obie naraz. Tylko wybierz dobrze. Działaj właściwie. A jeśli zobaczysz mnie znów osobiście, będziesz wiedział, czego się spodziewać.

- Ufam bezgranicznie w twe ostateczne zwycięstwo, Wasza Wysokość - oświadczył Kalasariz. - Zrobię wszystko, co mi nakazesz.

- Mam tylko jeden rozkaz - powiedział Iraj. - Chcę, żebyś przekazał wiadomość. A oto, co masz powiedzieć...

Księżyc Demonów właśnie wznosił się, gdy Kalasariz spiął konia ostrogami i pogalopował przez pustynię.

Tarcza księżycy unosiła się tuż nad pogrążoną w nocy równiną, czerwona jak nowa śmierć. Krajobraz miał pomarańczowy odcień i poznaczony był atramentowymi cieniami. Kalasariz skierował konia tak, by omijać cienie, i modlił się do bogów, żeby każda zmiana kierunku była właściwa. Mocno zatapiał obcasy w boki konia, chcąc zmusić zwierzę do jeszcze szybszego biegu.

Chociaż Księżyc Demonów unosił się nisko, zajął całe północne niebo, zmiatając z niego wszelkie oznaki, że panowały tam kiedyś konstelacje gwiazd. Tuż ponad Księżycem Demonów widniała kometa. Świeciła jasno, będąc jedynym światłem, które przedarło się przez księżycowy blask.

„To znak Alisarriana” - pomyślał Kalasariz.

Manacia utrzymywał, że świeciła dla niego. Protarus wierzył w to samo. Kalasariz zupełnie nie wiedział, na którą stronę ma przejść.

W złości przeklął bogów za to, że nie pozwolili mu mieć szpiegów na dworze Księżycy Demonów.

Luka ze zdziwieniem wpatrywał się w Kalasariza.

- To szaleństwo - oznajmił ksiązę. - Jak śmiesz podchodzić do mnie w takiej tajemnicy? Jeśli mój ojciec usłyszy o tym, rozkaże nas zabić!

- Jeśli wybaczysz mi, Wasza Wysokość, to chciałbym wskazać - rzekł Fari - iż ten człowiek spodziewał się, że to zrozumiemy... a zatem nie powiemy nic. - Popatrzył na Kalasariza rozszarżonymi, żółtymi oczami. Jego głos jednakże był łagodny, gdy rzekł: - Dzięki głupiemu planowi, lub słuchając wskazówek mądrości stwierdziłeś, że wszystkich nas uczynisz konspiratorami.

Kalasariz zachował kamienny wyraz twarzy. Nie miał czasu na okazanie arogancji.

- Mam nadzieję, że to był mądry plan, Wasza Dostojność - oświadczył. - To znaczy, mądry dla nas wszystkich.

Ksiązę nie uspokoił się.

- Najbardziej mnie złości - stwierdził Luka - że z jakiegoś powodu ten Protarus, uzurpator, wierzy, iż jestem zdradzieckim synem i nie wygadam wszystkiego natychmiast.

- Mnie też, Wasza Wysokość - wymruczał Fari. - Stoję tu u twego boku.

Fari ponownie spojrzął gniewnie na Kalasariza. I znów ton jego głosu był łagodny.

- Przypuszczam, że opowiedziałeś mu o zwyczajach panujących na naszym dworze - rzekł. -

Objawiłeś mi wszystko, opisując nasze postacie.

- Powiedziałem tak mało, jak zdołałem... w tych okolicznościach - odparł Kalasariz.

Szpon Fariego wystrzelił w przód. Pałace światło dźgnęło Kalasariza niczym włócznia. Mężczyzna zawył z bólu.

- Doprawdy, powinieneś nauczyć się mniej ochoczego wrzeszczenia - powiedział Fari, opuszczając szpon. - Ktoś może nas podsłuchać i nasza konspiracja się wyda.

- Powiedziałem im wszystko - zgrzytnął zębami Kalasariz. - Wszystko, o co zapytali.

Fari obrócił się do Luki.

- Sądzę, że Wasza Wysokość od tej chwili będzie ostrożniejszy w kwestii jego prawdomówności - powiedział.

Luka skinął głową. Uspokoił się. Stał się bardziej rozważny.

- Przypuszczam, że Protarus wie, iż nie zaliczamy się nawzajem do grona najbliższych przyjaciół - zwrócił się do Fariego.

- Tak przypuszczam, Wasza Wysokość - odpowiedział Fari.

Luka spojrzął na Kalasariza.

- Dlaczego Protarus wierzy, że obaj będziemy sobie pomagać w knuciu intrygi? - spytał.

- Nie wiem, Wasza Wysokość - odpowiedział Kalasariz. - Po prostu przekazał mi wiadomość i rozkazał ją dostarczyć. Na osobności.

- A ta wiadomość jak brzmi?

Kalasariz zaczerpnął oddech, a potem podjął decyzję.

- Król Protarus przesyła pozdrowienia, gorące życzenia zdrowia i mówi, że ma nadzieję, iż nie stanie wam się nic złego w nadchodzącej bitwie.

- A więc zamierza walczyć - powiedział Fari.

- Nigdy w to nie wątp, Wasza Dostojność - odparł Kalasariz. - Protarus będzie walczył.

- Ale jego szanse są minimalne - rzekł Fari.

- Król Protarus odgadł, że to powiesz, o Dostojny - stwierdził Kalasariz. - I rzekł, że bywają przypadki, gdy podczas pełni Księżyca Demonów niemożliwe staje się możliwe.

Fari zachichotał.

- Śliczny mit - powiedział. - Słyszałem go już wcześniej, choć jest bardzo stary.

- Kiedy nadejdzie czas bitwy, Wasza Wysokość - ciągnął Fari - król poprosił, byś obserwował ją uważnie. I jeśli zdarzy się krótka chwila spokoju, zastanów się nad jego propozycją. Jeśli dasz mu Manację, on da ci jego tron. Powiedział, że wierzy, iż będziesz zdolnym zarządcą krain demonów - oczywiście, pod jego kierownictwem.

- Uważam, że powinniśmy po prostu zabić tego robala - powiedział Luka do Fariego. - I to szybko, a potem troszczyć się o swoje sprawy, jakby nic nie zaszło.

- Nie bądź taki w gorącej wodzie kąpany, panie - doradził Fari. - Zauważ, że wiadomość adresowana jest do nas obu. Zdaje się, że wymaga zgody dwóch zdrajców albo jego plan się nie powiedzie. To ciekawe, że wierzy on również, iż obaj nienawidzimy twego ojca znacznie bardziej, niż nie znosimy siebie nawzajem, nieprawdaż?

Zapanowała niewygodna cisza.

- Tylko tyle? - spytał Luka Kalasariza. - Prosi nas jedynie, byśmy obserwowali i, jeśli w trakcie bitwy rzeczy obróca się na naszą niekorzyść, rozważyli zmianę sojuszu?

- Tak, Wasza Wysokość - odrzekł Kalasariz.

Ponownie zapanowała długa cisza. Przerwał ją suchy śmiech Luki.

- Komiczne - roześmiał się.

Fari również zachichotał.

- Niewyobrażalnie komiczne.

- Jeszcze jedna kwestia, o Najwspanialsii - rzekł Kalasariz. - Safar Timura, jego wielki wezyr, polecił mi przekazać to. Podał lordowi Fariemu zwój. Stary demon rozwinął go i zbadał zawartość. Po chwili zmartwiony podniósł głowę.

- To wzór zaklęcia, Wasza Wysokość - powiedział do Luki. - Czar, który przełamuje klątwę Zakazanej Pustyni.

- To oznacza, że ludzie mogą przebyć ją z równą łatwością, jak i my - rzekł Luka. - I co z tego?

- Boli mnie, ale muszę przyznać - odparł Fari - że jeszcze nigdy nie widziałem tak wielkiego zaklęcia - zaklęcia, które przez lata udoskonalaliśmy - wykonanego w tak prosty sposób. I to naprawdę bardzo elegancko. Czuje się, że ten czar jest owocem inspiracji, a nie lat mozolnych doświadczeń.

- Szybkie czy wypracowane - przerwał Luka - czy ma to jakieś znaczenie?

- Och, prawdopodobnie nie, Wasza Wysokość - odrzekł Fari. - Chociaż zaniedbałbym swoje obowiązki, gdybym nie zauważył, iż jedynie mistrzowski czarodziej mógłby dokonać takiej rzeczy. Mistrz magii o równej wielkości, a nawet może potężniejszy od twego ojca.

Luka wpatrywał się w oczy starego demona. Potem obrócił się. Zapanowała kolejna krępująca chwila ciszy.

- Prawdopodobnie nie powinniśmy zawracać królowi głowy czymś takim - oświadczył w końcu Luka.

- Zgadzam się, Wasza Wysokość - odparł Fari z ledwo skrywaną ulgą. - Nie ma potrzeby obciążać go takimi głupstwami.

- A co ze mną? - bąknął Kalasariz, niezbyt pewien, jak się mają sprawy.

- Och, proponowałbym ci obserwować bitwę - odrzekł Fari. Obrócił się do Luki. - Czyż nie tak, Wasza Wysokość?

- Tak, ja właśnie tak zrobię - odpowiedział książę demonów. - Będę obserwować bitwę. I pomyślę.

Bitwa i ucieczka

Król Protarus rozkazał armii szybko pomaszerować w miejsce, gdzie stały Dwa Kamienie.

Zwiadowcy donieśli, że od głównych sił króla Manacii dzielą ich dwa dni drogi. Protarus miał może z pięćdziesiąt tysięcy zbrojnych. Prawie wszyscy dosiadali wierzchowców. Ich zadaniem było stawić czoła trzystu tysiącom demonów, po części dosiadających bestii, ale w większości pieszych.

Siły, jak się zdawało, były nierówne. Generałowie Protarusa powtarzali to na codziennych zebraniach. Przypominali mu, że jeszcze siedemdziesiąt pięć tysięcy innych ludzi rozproszono po całym królestwie, by pilnowali pokoju. Do nich doliczyć można było dwieście tysięcy ludzi, którzy ostatnio zgłosili się na ochotnika do walki ze zniechęconym demonicznym wrogiem. Jeśli Protarus poczekałby miesiąc, liczba ta z łatwością sięgnęłaby pięciuset tysięcy. Napływało bowiem coraz więcej rozgorączkowanych młodzików, błagających o wzięcie ich do wojska. Niemal zdeptali werbowników Protarusa.

- Zamierzam walczyć teraz - odpowiedział im Protarus. - Nie za miesiąc. Za miesiąc będzie za późno. Za miesiąc czeka nas pewna porażka. I nie mamy dwóch dni na przygotowanie się na spotkanie Manacii, lecz półtora. Chcę, żeby przybył tu szybciej. Chcę, żeby zjawił się tu w czasie, który pozwoli mu na ustawienie wygodnego obozu. Niech zapragnie nakarmić wojsko, dać mu odpocząć, a potem zaskoczyć nas atakiem o świcie.

- Jakim cudem zmusimy go, by przybył tu tak szybko, Wasza Wysokość? - zapytał jeden z doradców. - Nie możemy rozkazać Manacii, by przyspieszył.

- To prawda, ale możemy go zwabić - odrzekł Safar.

Wtedy król i wielki wezyr wyjaśnili, jak chcą tego dokonać.

Pustynny upał zrodził bliźniacze diabły, które atakowały Manację od dołu i od góry. Doskwierająca niewygodna rozdrażniła go. Jego niewolnicy trzymali się poza zasięgiem kopniaków. Manacia uważał, że bogom coś się pomyliło. Kształtowali jego los, nieprawdaż? Zdecydowali, że będzie królem królów. Jeśli tak miało się stać, a Manacia nie miał powodu, by w to wątpić, jego cierpienia były niesprawiedliwe i haniebne.

Choć Manacia był tak wściekły na bogów, to jego gniew na uzurpatora, Iraja Protarusa, był bezgraniczny. Manacia słyszał raporty, że Protarus podzielał jego ambicję, by władać Esmirem. Jak on śmiał? Przecież nie był nikim więcej niż brudnym dzikusiem z równin.

Brzuch Manacii przelewał się niewygodnie w takt stąpania słonia. Wonie wokół niego - zapachy bestii, odory nie mytych demonów - były tak silne, że trudno było oddychać bez krztuszenia się. Piskliwe dźwięki dookoła sprawiały, że nie mógł się skupić. Myśli zakłócały jęklive odgłosy ciężkiego marszu, skrzypienie kół w upale, odległe krzyki demonich niemowląt i paplanina ich narzekających matek.

„Dzieci? Jak to się stało, że zabieramy ze sobą dzieci?” - zastanowił się Manacia.

Obrócił się i, chociaż nie mógł dokładnie zobaczyć wszystkiego, wiedział, że za jego armią ciągną tysiące tysięcy prostytutek. Prychnął z niesmakiem. Najwyraźniej znajdował się w drodze na tyle długo, by dziwki zaczęły rodzić.

Patrząc w tył, Manacia widział Księżyc Demonów. Jego czerwony blask rozmazywał się smugą na północnym horyzoncie. Nad nim unosiła się świetlista włócznia Komety. Kiedy Księżyc Demonów i Kometa pojawiły się po raz pierwszy, król nabrał odwagi. Ogłosił, że jest to jego znak, herb Manacii. Księżyc Demonów dla króla demonów.

Ale zmęczony długim marszem na spotkanie Protarusa, król Manacia zaczął przeklinać ten księżyc. Był zawsze obecny, w dzień czy w nocy. Królowi wydawało się, że go nawiedzał, jakby to jakaś niebiańska siła ciągnęła go tam, gdzie diabeł mówi dobranoc.

Manacia usłyszał twarde bębnienie w magiczną osłonę. Poderwał się, by spojrzeć na południe - ku legowisku nieprzyjaciela.

Uniósł wielką głowę demona, a żółte oczy wpatrywały się w odległy horyzont.

Luka najpierw ujrzał pędzących ku jego liniom zwiadowców.

Później dostrzegł rozmyte sylwetki, szarżujące przez pustynię w pogoni za jego żołnierzami. Postacie stały się wyraźniejsze i zamieniły się w uzbrojonych jeźdźców na koniach - ludzi!

Najpierw pomyślał: „Jest tak gorąco! Jak mogą wciąż tak pędzić?”

Drugą myślą było: „Na bogów, nadchodzi! Protarus nadchodzi!”

Trąbki wokół niego ogłosiły alarm. Wszyscy tylko czekali na jego sygnał, by rozpocząć akcję.

Luka dał znak.

Jego demony wzniosły okrzyki wojenne i natarły, pchając go przed sobą.

Fari zobaczył podkradającą się ku niemu trąbę powietrzną. Była wysoka na sześć stóp, potem urosła do dwunastu, a następnie jej wysokość podwoiła się. W końcu zamieniła się w górującą, wyjąca siłę natury.

Wokół siebie słyszał tylko pełne strachu krzyki magów, którzy zeskakiwali z wozów, opuszczając karawanę czarodziei Manacii.

Fari pragnął popędzić z nimi, ale był zbyt stary na bieganie i musiał użyć sprytu.

Trąba uderzyła w pierwsze wozy, podnosząc je i rzucając we wszystkie strony. Fari uspokoił się na tyle, by ujrzeć ludzką twarz patrzącą z trąby. Właściwie było to wiele twarzy, ale przedstawiały jedną - zamazane oblicze wirujące wraz z trąbą. Bez brody, za to z zakrzywionym nosem. Fari mógł przysiąc, że w oczach wśród pylisto-skalnego tornado widzi niebieskie niebo.

A teraz twarz zbliżała się ku niemu, rycząc:

- Fa-ri! Fa-ri!

Safar ujrzał starego demona-czarodzieja i wiedział, kim on jest. Ponownie zawołał jego imię:

- Fa-ri! Fa-ri!

Wycelował w niego palec, a Gundara podskoczył do trąby powietrznej i pchnął ją ku magowi.

Tornado i demon znajdowali się pośród wielu miniaturowych, widmowych postaci rozrzuconych na pulpicie dowodzenia w kwaterze Iraja. Na rozkaz Safara Gundara przemieszczał się między nimi, górując nad żywą mapą jak gigant.

Safar skoncentrował się, ledwo zauważając obecność Iraja u swego boku, a tym bardziej nie

zważając na generałów i doradców tłoczących się przy stole. Jego spojrzenie omiatało pole, skupiając się na kluczowych postaciach.

Niedaleko od zniszczonej karawany magów tkwił Manacia. Trzymał się kurczowo palankinu, podczas gdy jego słoń tupał nogami i trąbił w panice. Wokół niego biegali żołnierze, dodatkowo powiększając zamieszanie.

W niedalekiej odległości od Manacii Safar dostrzegał miniaturowe postacie księcia Luki i jego kawalerii potworów gnających przez pustynię.

Safar ponownie zwrócił uwagę na Farięgo i trąbę powietrzną. Skinął na Gundarę, który ponownie popchnął powietrzny wir. Trąba skoczyła do przodu, zmniejszając odległość dzielącą ją od demonów.

Fari na czas dostrzegł, na czym polegała sztuczka.

Poczuł, jak trąba powietrzna wsysa go, ujrzał wirujące twarze, usłyszał, jak krzyczą: „Fa-ri”, i spojrzał w dół wirującej kolumny, aż ujrzał jej ogon. Był to malutki, podskakujący wąż, nie większy od nadgarstka niemowlęcia.

Fari natychmiast pojął, iż tam właśnie mieści się moc. Zdziwił się: jak to możliwe, że tak ogromna siła bierze się z tak małej energii. Potem wykonał ruch, jakby ciał coś szponem na dwoje.

Trąba powietrzna rozpadła się, rozsiewając wokół kamienie i żwir. Fari ucierpiał jedynie od małego rozcięcia na lewej ręce. Ale ten wypadek wstrząsnął nim do głębi.

Spojrzał na chaos, który rozpętał się wokół niego i pozwolił sobie na długie westchnienie ulgi.

Luka powściągnął swój strach i zamienił go w odwagę. Jego wojenny okrzyk został zagłuszony głosami braci wojowników, ale jednocześnie jego głos wzmocnił się dzięki nim, zawodząc długo, aż echo poniosło go po pustyni.

Niemal sięgnęli ludzkiej kawalerii, która szarżowała, niezrażona widokiem i okrzykami tylu demonicznych zabójców.

Luka zobaczył wysokiego jeźdźcę z jasną brodą i długimi złotymi lokami wypływającymi spod hełmu. Obok niego jechał ciemnoskóry mężczyzna, też wysoki, ale bez brody. Pomimo zamazanego atakiem wzroku Luka dostrzegał rozjarzone, błękitne oczy mężczyzny.

Te oczy patrzyły teraz na niego.

Brodaty mężczyzna obrócił głowę i dostrzegł Lukę.

Obaj mężczyźni zmienili kurs i natarli na księcia demonów.

Luka dziko machnął mieczem i przygotował się na uderzenie.

Ale nie nastąpiło żadne zwanie.

Zamiast tego zorientował się, że wrzeszczy, tnie i dźga... nicość. Zatoczył koło, ściągając cugle wierzchowca i ujrzał, jak jego wojownicy walczą z powietrzem.

Ludzie znikli.

Luka zamrugał. Ale chociaż zaczął sobie zdawać w pełni sprawę, że zmierzył się i walczył jedynie ze swoją wyobraźnią, ujrzał człowieka - prawdziwego, nie ducha - jak wyskakuje z piasku.

Mężczyzna krzyknął, gdy ujrzał księcia. Wokół Luki rozległy się podobne okrzyki. Potem człowiek uniósł długą tubę. Luka, choć oślepiła go słońce, zauważył z zainteresowaniem, że tuba prawdopodobnie pozwalała mężczyźnie oddychać, gdy leżał, czekając na nich, zakopany w piasku.

Wtem ujrzał, jak człowiek ładuje do tuby strzałkę, unosi do ust... i dmucha.

Strzałka trafiła wierzchowca Luki w oko. Bestia zawyla z bólu, a potem padła. Luka stoczył się, chroniąc się za ciałem wierzchowca. Zwierzę zmarło tak szybko, że natychmiast wiedział, iż strzałka została zatruta.

Książę podniósł głowę i zdumiał się, że atakujący ucieka. Skoczył, chcąc pobiec za nim, ale odbiegł zaledwie kilka kroków, gdy potknął się o ciało w zbroi. To były zwłoki jednego z jego braci wojowników.

Luka podniósł się. Ziemia pokryta była zwłokami wielu innych demonów.

Wtem opuściło go zaskoczenie i zdał sobie sprawę, że większość wciąż siedzi na wierzchowcach, nietknięta. Byli jedynie zdezorientowani, kręcąc się i zastanawiając, gdzie znikł wróg.

Książę ujrzał, jak uciekający ludzie pędzą na południe, ku grupie niskich diun. Porzucili swoje tuby w pośpiesznej ucieczce przed przeważającymi siłami demonów. Ujrzał, jak z diun wylania się długa linia jeźdźców. Każdy z nich wiódł jeszcze jedno zwierzę.

Książę krzyknął do swoich demonów. Nie zamierzał pozwolić ludziom na ucieczkę.

Ktoś przyprowadził mu wierzchowca. Luka wskoczył na siodło i powiódł wojowników do jeszcze jednego ataku. Ale tym razem wróg był realny i na tyłach ich linii.

Warcząc dziko, tak samo jak jego szponiasty wierzchowiec, Luka zbliżał się do ludzi. Był już tak blisko, że słyszał ich wyteżone oddechy.

Opuścił nisko miecz, by sięgnąć pierwszego człowieka przed nim.

- Teraz, panie? - zapytał Gundara.

- Tak, teraz! - odpowiedział Safar.

Mały Ulubieniec tupnął w stół.

Rozległa się ogłuszająca eksplozja i wierzchowiec Luki stanął dęba, skrzecząc ze strachu i machając łapami w powietrzu.

Między nim a uciekającymi ludźmi buchnął obłok, czarny jak noc i cuchnący siarką. Potworne postacie, wszystkie przerażająco brzydkie i uformowane na kształt ludzi, wyłoniły się z obłoku, zgrzytając płaskimi zębami.

Luka usłyszał, jak jego wojownicy wyją z przerażenia i wiedział, że doświadczają tego samego strachu, co on. Próbował zawołać do nich, by nie panikowali, by szli dalej, aż dotrą na drugą stronę dymnej zasłony. Ale wśród histerycznych wrzasków nikt nie dosłyszał jego rozkazów.

Wtem zdał sobie sprawę, że jest sam.

Wszyscy jego wojownicy wycofali się, a on został samotnie w siarczanej ciemności, którą wypełniały postacie rodem z koszmarów.

Luka zawrócił wierzchowca i wycofał się, tak spokojnie, jak tylko zdołał.

Kiedy wyłonił się zza dymnej zasłony, ujrzał, jak jego ojciec zbliża się, zagniewany, na swoim białym słoniu.

- Dlaczego zatrzymałeś się? - wrzasnął ojciec. - Dlaczego nie szedłeś dalej?

W tym pytaniu kryło się ledwo zawoalowane oskarżenie o tchórzostwo. Luka nienawidził go za to.

- Ludzie nas zaskoczyli, Wasza Wysokość - odparł. - Wydawało się, że najlepiej będzie się przegrupować. A oprócz tego, były to niewielkie siły, w większości złożone z iluzji.

Manacia dźgnął szponem w falującą zasłonę dymu.

- Mówisz mi, że Protarus tam nie czeka?

- Nie sądzę, Wasza Wysokość - odparł Luka. - Uważam, że czeka tam, gdzie powiedzieli mi zwiadowcy. W pobliżu Dwóch Skał. To było jedynie odwrócenie uwagi. Wypróbował nas.

- A więc jesteś głupcem, skoro tak myślisz! - warknął Manacia. - Z pewnością tam jest. Czuję to. - Zabębnił w swą złotą zbroję. - Czuję to tutaj. - Potem postukał się w swój demoni nos. - I czuję jego zapach. Węszę tam też ludzkiego czarodzieja.

Lord Fari zdążył przybyć na czas, by usłyszeć ostatnie słowa.

- Czy jesteś tego pewien, Wasza Wysokość? - zapytał. - Ja również wyczuwam tam obecność. Ale może jest to tylko jeszcze jedna iluzja.

Manacia prychnął.

- Ha! Otaczają mnie głupcy i tchórze. - Zawołał do adiutanta i rozkazał: - Daj sygnał do ataku.

Chwilę później powietrze wypełniła kakofonia trąbek, werbli, tupot butów i brzęczenie zbroi, gdy ogromna armia Manacii rozlała się na pustej równinie w poszukiwaniu ludzi do zabicia.

W celu zapewnienia im wsparcia Manacia zebrał razem swych najlepszych magów, włącznie z Farim, i wspólnie rzucili potężne zaklęcie.

Niebo wypełniły skłębione chmury. Trzasnęła błyskawica. Przetoczył się grzmot. W powietrzu pędziły przerażające bestie, smoki i uskrzydłone lwy.

Manacia sam pracował do wyczerpania, tworząc i rzucając bitewne zaklęcia jedno po drugim.

Minęło kilka godzin i powrócili pierwsi zwiadowcy z głównych sił, meldując, że nie ma znaku po nawet najmniejszej grupie ludzi, a co dopiero całej armii.

Do tego czasu Manacia padł na swoje podróżne łoże, otoczony przez czarodziei. Właśnie wysłuchał raportu Fariego, że wielki magiczny taran, stworzony przez nich, zdał się psu na budę.

Fari, po wysłuchaniu tego, co mieli do powiedzenia zwiadowcy, ośmielił się podejść do swego króla.

- Uważam, Wasza Wysokość za oczywiste - rzekł - że nasze wszystkie starania zostały zmarnowane. Nikogo tam nie ma.

- A więc to ja jestem głupcem, tak? - pieklił się Manacia.

- Ależ absolutnie nie, Wasza Wysokość - wtrącił się Luka. - Lord Fari nie miał nic takiego na myśli.

Stary demon był zdumiony tym bezprecedensowym pokazem poparcia ze strony księcia.

- To Protarus jest głupcem, Wasza Wysokość - powiedział Luka. - Jak on śmie tak się z tobą bawić? I w dodatku za pomocą tak pustych gestów. Paru z naszych żołnierzy zostało zranionych, a nawet zabitych. Ale to wygląda tak, jakby pchła ukąsiła wielbłąda w zad. Nic więcej.

Manacię wyrwano z objęć znużenia. Plasnął jedną szponiastą pięścią o drugą.

- Ja go nauczę, co to znaczy ze mną igrać - warknął. Ponownie król demonów zawołał po swych doradców. - Pomaszerujemy ku Dwóm Skałom o świcie - rozkazał. - Widzieliśmy magię Timury. Straszna nędza. A teraz sprawdzimy, czy Protarus umie walczyć!

Safar machnął ręką i pole bitwy znikło. Gundara wskoczył na jego ramię i w milczeniu przyjął słodką nagrodę. Safar zwrócił się do Iraj:

- Manacia powinien być obecnie niezłe rozwścieczony - powiedział.

- To dobrze - odparł Iraj. Skinął głową. - Teraz szybciej tam dotrzemy.

Noc przed bitwą Safar i Leiria kochali się po raz pierwszy po długiej przerwie.

Na początku Leiria była pełna pasji, ale później szlochala.

Safar przytulał ją, pozwalając się wypłakać. Nagle podniosła głowę. Po jej policzkach płynęły łzy.

- Nigdy cię nie zdradzę, Safarze - powiedziała ochryple. - Nigdy!

Safar był zdumiony jej oświadczeniem. Zastanawiał się, co ją skłoniło do złożenia takiej obietnicy.

Ale nic nie zrobił. Przytulił ją tylko mocniej.

- Oczywiście, że nie. - Mruczał to w kółko. - Oczywiście, że nie.

Aż zasnęła.

Następnego dnia, gdy słońce sięgnęło zenitu, zwiadowcy Manacii dotarli do Dwóch Kamieni. Tam też odnaleźli oczekującego na nich Protarusa.

Jego siły ustawiły się w dziwnym szyku. Główne zgrupowanie tkwiło pośrodku dwóch kolumn - ale w tyle za nimi, jakby kamień dawał im osłonę, a nie był tylko dwiema niezwykle wysokimi kolumnami strzelającymi w niebo pośród pustkowia.

Po obu stronach znajdowały się skrzydła kawalerii, najeżone krótkimi łukami równinnych wojowników. Za nimi stały szeregi pieszych procarzy. Osłaniały ich niewielkie siły kawalerii i kilku dobrze uzbrojonych pieszych żołnierzy - muskularnych mężczyzn z krótkimi, ciężkimi włóczniami w obu rękach i toporkami za pasem.

Zwiadowcy objechali boki, spuszczać ze smyczy wiedźmie ogary, by odnalazły magiczne centrum. Stworzenia te wyglądały jak skulone psy z pyskiem hieny. Rozbiegły się wokoło, skrobiąc ziemię i węsząc powietrze.

W końcu wróciły do swoich demonich panów z podkulonymi ogonami na znak porażki.

Safar ujrzał, jak zwiadowcy odjeżdżają, kierując się na północ, ku Księżycowi Demonów, gdzie siły króla Manacii powoli parły do przodu.

Mężczyzna siedział na szczycie zachodniej skalistej kolumny. Przed nim roztaczał się wspaniały widok. Przy jego boku znajdowała się Leiria i czterech magów pomocników. Na przeciwnej kolumnie usadowiła się podobna liczba osób, dowodzona przez Horvana, jego najzdolniejszego maga.

Rzucone przez niego zaklęcie, które miało osłonić kolumny przed wiedźmimi ogarami było dziecinne proste. Nie było zaś dziecinną sprawą wydostanie się na szczyt tych skał. Zadanie to było tak trudne, a skaty tak strome, że plan Safara omal nie zakończył się przed rozpoczęciem.

Żołnierze Iraja byli ludźmi równin. Góry nie były im znane. Najwyższym szczytem, na jaki kiedykolwiek się wspięli, był koński grzbiet.

Safar obserwował z ogromnym niepokojem, jak wybrana przez Iraja drużyna raz za razem atakuje pierwszą skalną kolumnę i przegrywa. Wspinali się na wysokość zaledwie dziesięciu stóp - najwyżej piętnastu - a potem odpadali od gładkiej skały, machając ramionami i wrzeszcząc, jak niezgrabne pisklęta wypadające z gniazda.

Dobrze chociaż, że nikomu nic się nie stało, nie licząc zranionych palców, kolan i dumy.

W końcu Safarowi nie pozostało nic więcej, jak tylko spróbować samemu. Każdy protestował, a

Iraj najgłośniej.

- Nie pozwolę zginąć mojemu wielkiemu wezyrowi przed rozpoczęciem bitwy - rzekł.

- Jestem dzieckiem gór - zauważył Safar. - I jedyną osobą z doświadczeniem we wspinaczce.

Poza tym, tak czy inaczej, w końcu muszę się tam wspiąć. Drużyna miała tylko zamocować liny, które miały wciągnąć mnie i magów na miejsce. - Wzruszył ramionami. - Głupio ryzykować nasze plany z powodu czegoś, co można tak łatwo rozwiązać.

W końcu Iraj wyraził zgodę i Safar znalazł się obok zachodniej kolumny, wpatrzony w jej szczyt. Najpierw wykonał kilka ostrożnych, eksperymentalnych podejść. Palce u rąk i nóg ślizgały się po gładkim kamieniu, szukając cienkich jak włos szczelin, na tyle jednak głębokich, by dać mu punkt oparcia.

Cała armia wpatrywała się - armia porażona lękiem wysokości - i za każdym razem, gdy tracił oparcie i ześlizgiwał się łagodnie na ziemię, wstrzymywali jednocześnie oddech, jakby pędził w dół na spotkanie śmierci.

Safar wspominał tłumy obgryzające paznokcie w cyrku Methydii podczas wielkich akrobatycznych wyczynów. Ta myśl pomogła mu w przypomnieniu sobie umiejętności, których nauczył się od Arlain i Kairo. Tak więc w trakcie jego pierwszej prawdziwej próby wspiął się bez zatrzymywania na trzydzieści stóp.

Pięćdziesiąt tysięcy armia wiwatowała i klaskała, niczym największa publiczność zgromadzona kiedykolwiek w namiocie. Safara poniosła atmosfera chwili. Chociaż miał dobre oparcie, udał, że jest inaczej i zachwiał się, jakby stracił chwyt i za chwilę miał upaść.

Armia jęknęła z przerażenia. Był to okropny dźwięk. W niczym nie przypominał cyrkowej publiczności, która w głębi serc wiedziała, że artyście w końcu się powiedzie.

Safar zdał sobie sprawę, że wojownicy pokładali w nim nadzieję. Tak, wiedzieli, że Protarus jest wielkim królem i zdolnym generałem, który przeprowadził ich przez najgorsze opresje. Iraj nie był monarchą, który marnował życia swych żołnierzy. Ale oni obawiali się demonów, a zwłaszcza ich magii i mieli nadzieję, że lord Timura, wielki wezyr, czarodziej nad czarodziejami, ocali ich. Czyż sam Protarus nie poświadczył umiejętności lorda Timury? I czy sami nie byli świadkami jego wcześniejszych zwycięstw nad demonami, które zagarnęły Kyranię, a potem w walce cieni z Manacją?

Dla nich sprawy przedstawiały się tak: jeśli Safar upadnie i zginie, jego śmierć może być zapowiedzią ich własnego końca. Safar zlitował się i skończył żarty. Jednakże na tyle był człowiekiem estrady, że uwolnił rękę i pomachał im, kiwając głową, że wszystko to tylko dobra zabawa.

Wielki wybuch nerwowego śmiechu niósł go jeszcze przez następne dziesięć stóp. Powrócił do wspinaczki z rozważą i ostrożnością. Okazało się, że ten sposób jest znacznie trudniejszy. Bez energii artysty, zasilanej reakcją tłumu, szybko zmęczył się, a palce u rąk i nóg zdrętwiały. Parę razy naprawdę niemal stracił chwyt i odpadł od ściany. W chwili, gdy się to zdarzyło, znajdował się już tak wysoko, że upadek uczyniłby go kaleką lub też ostatecznie przesądził o jego losie.

Kiedy w końcu dotarł na szczyt, był wyczerpany. Chociaż owacje były grzmiące, nie czuł nic. Zrzucił liny, po których pozostali mogli się wspiąć.

Potrafił myśleć jedynie o drugiej kolumnie. Nie było ucieczki przed faktem, że na nią również musiał się wspiąć, i to samotnie.

Starzy Bogowie pobłogosławili żywe stworzenia, chociaż z ociąganiem, jedynym prawdziwym

darem: wszystkie cierpienia i każdy ból musi się kiedyś skończyć - w taki lub inny sposób. Szczęściem Safara ten skończył się dobrze. A teraz siedział na pierwszej kolumnie, nieco zmęczony, ale z pewnością gotów na pojawienie się Manacii.

Po chwili ujrzał, jak pod Księżycem Demonów wznosi się linia kurzu i wiedział, że oto zbliża się wróg. Błysnął małym lusterkiem, dając w ten sposób sygnał Irajowi. Na dole wykrzyczano rozkazy, rozdźwięczały się trąbki. Ruchliwe morze żołnierzy ożyło i przesuwało się na pozycje.

Pylista linia z godziny na godzinę rosła, wkrótce zajmując cały horyzont. Wciąż zbliżała się, aż osiągnęła taki punkt, w którym Safar niemal mógł dostrzec ciemne zarysy demonów usadowionych w siodłach. Wtem ruch został wstrzymany, a linia stała się wielkim, pylistym kłębowiskiem. Wyglądało to, jakby stary, zmęczony pies znalazł odpowiednie miejsce na odpoczynek, a teraz obracał się, by w końcu ułożyć się i otulić nos ogonem.

Safar ponownie zasygnalizował. Manacia rozbijał obóz.

Król demonów przyglądał się z pogardą mapie bitwy. Dla niego było jasne, co zamierza Protarus.

- Chce zwabić nas w centrum między kamienne kolumny - powiedział do Luki. - Tam grupują się jego główne siły. - Machnął ręką w kierunku drewnianych znaków na prawo i lewo od wojska. - I spróbuje użyć swojej kawalerii, by ścisnąć nas po obu stronach, zapewniając sobie tym samym takie pozycje, które dla niego są korzystne.

Manacia uderzył szponiastą pięścią w stół. Znaczkę podskoczyły.

- Cóż, ja nie zamierzam potulnie słuchać rozkazów tego króla - oświadczył. - Ja już wcześniej stoczyłem tę bitwę. Do diabła, staczałem ją już przynajmniej pięć czy sześć razy.

Postukał się w rogatą głowę.

- To wszystko tkwi tutaj - zwrócił się do syna. - Gra umysłów. Niemal szkoda mi Protarusa. To jasne, że nie wie, czemu lub komu stawia czoła.

Fari odchrząknął, by przyciągnąć uwagę.

- A co z czarodziejem, Timurą? - zapytał. - Jest najwyraźniej znaczącą figurą w planach Protarusa.

Manacia jęknął.

- To prawda, że go nie zlokalizowaliśmy - rzekł. - Ani, jeśli o to chodzi, żadnego innego źródła ludzkiej magii. Przypuszczam, że osłonił się. To niełatwa rzecz, tak więc nie wolno mi go zlekceważyć. Jednakże ja mam pod ręką podobne tarcze, osłaniające znacznie większą siłę magiczną. Zaczekamy, aż uderzy i obnaży się. Nie wytrzyma, gdy odpowiemy na jego atak.

Luka i Fari wymienili spojrzenia. Każde mogło wyrażać, że drugi był pod wrażeniem sposobu, w jaki Manacia zinterpretował sytuację.

Księżę gorzko przyjął militarną ekspertyzę ojca. Nie wątpił, że gdy bitwa się rozpocznie, Manacia będzie górą.

- Zaatakujemy o świcie - oznajmił Manacia. - Dokładnie wtedy, gdy ludzie będą kręcić się przy ogniskach. - Machnął ręką w kierunku Księżyca Demonów wiszącego nad północnym horyzontem. - Blask za naszymi plecami zbije ich z tropu. - Klepnął się w udo, zachwycony. - Nie ma nic lepszego od ataku na wroga, który ma światło w oczy.

Iraj dokonał przeglądu zebranych wojsk. W brodzie zagościł szeroki uśmiech.

- A więc znów to samo, przyjaciele - zakrzyknął. - Przy dupach uwiesiły się nam hieny i nie ma

jak zwać!

Jego głos, wzmocniony magicznym amuletem, który podarował mu Safar, rozbrzmiewał rubasznym rozbawieniem. Wojownicy zaryczeli ze śmiechu, słysząc królewski żart.

Iraj w dramatycznym geście wycelował palcem pomiędzy kamienne kolumny. Skały tworzyły doskonałą ramę dla Księżycy Demonów.

- Ponownie - rzekł - stawiamy czoło komuś, kto uważa, że nie jesteśmy godni, by opróżnić jego nocnik.

Wojownicy zamruczeli z dezaprobatą.

- Ale w przeszłości nauczyliśmy takich królewskich zarozumialców tego i owego, nieprawdaż, moi przyjaciele?

Wojownicy krzyknęli, przyznając mu rację. Iraj machnięciem ręki nakazał im ciszę.

- Tak się zdarza, że tym razem tym zarozumialcem, któremu stawiamy czoła, jest demon.

Rozległy się odważne pomruki, jednakże była to wymuszona odwaga.

- Już wcześniej walczyłem z demonami, przyjaciele - poinformował. - Walczyłem z nimi jako chłopiec. I to demony poległy, nie wasz król, choć byłem wówczas zaledwie chłopcem. Nigdy nie słyszeliście wcześniej tej historii. To sekret, który wraz z lordem Timurą zachowaliśmy przez wiele lat. Ale teraz uważam, że nadszedł czas, by dowiedział się o nim cały Esmir.

Iraj rozpoczął przekazywanie skróconego, ale wysoce dramatycznego sprawozdania z wydarzeń.

- Tak więc widzicie, moi przyjaciele - powiedział Iraj, skończywszy - że demony krwawią tak samo jak my wszyscy. Mają magię, ale my, dzięki lordowi Timurze, również nią dysponujemy. Przewyższają nas liczbą, ale właśnie opowiedziałem wam historię o tym, jak wielu demonom stawili czoła dwaj chłopcy, tak więc wiecie, że nie są problemem dla mężczyzn takich jak wy. Nie będę jednak kłamał. Demony są wrogami, którzy budzą grozę. Ale czy przyjemna jest walka ze słabymi wrogami?

To w szczególności przemówiło do ludzi z równin Jasparu, więc grzmiąco wyrazili swoją zgodę.

- Co zatem powiecie, przyjaciele? - zawołał Iraj. - Czy poczekamy, aż Manacia przyniesie nam walkę?

To pytanie spotkało się z donośnym:

- Nie!

- Czy powinniśmy zanieść mu walkę?

To przyniosło grzmiące:

- Tak!

- A więc chodźmy do niego, przyjaciele! - krzyknął Iraj. - Złapmy go ze spuszczonej spodniami, jak posuwa jakąś demoniczną dziwkę.

Niebo zatrzęsło się od ryku aprobaty.

I właśnie tak się stało, że gdy przyniesiono wieści o nadchodzącym ataku, Manacia zabawiał się z pełną werwy demoniczną panną. Nie „posuwał” jej, ale poważnie zastanawiał się nad podjęciem takiego działania, gdy nagle ktoś poskrobał przy wejściu, by przyciągnąć jego uwagę.

Manacia wytoczył się z namiotu haremu, zapinając spodnie.

- Dlaczego mi przeszkadzasz? - ryknął pytająco.

Jego adiutant zadygotał, a potem wskazał na południe.

- Wybacz mi, Wwww-wasza Wysokość, ale Ppp-protarus atakuje!

Manacia potoczył wzrokiem. Zapadał zmierzch, ale był to widmowy zmierzch Księżyca Demonów, a postacie, które dostrzegł - powiększone sylwetki ludzkich wojowników - oblewał czerwony blask.

Króla demonów nie opanowała histeria. Już wcześniej radził sobie z niespodziewanymi atakami. Uspokoił nerwy i krzyknął, nakazując zebranie ze swoimi generałami.

Jaspar natarł krwawo. Nie okazywano łaski, zresztą nikt o to nie prosił.

Na demony natarła wrzeszcząca masa jeźdźców, ale żaden z nich nie uczynił z siebie celu. Każdy jechał bez siodła. Końskie ciała opasywała uprzęż z grubej skóry. Cienka linka prowadziła do pyska.

Ludzie przekręcali się w uprzęży z jednego boku na drugi, czasem na prawo, czasem na lewo, a niekiedy wisieli pod końskim brzuchem. Obracając się wokół swych wierzchowców, wypuszczali nieustający potok strzał z krótkich łuków. Pocisków było tak wiele, że ich dźwięk przypominał plagę gzów spadającą czarną chmurą na stado bydła.

Był to szaleńczy atak, gdzie nikt nie myślał o śmierci.

Roje strzał skalały zmierzch czarnym lotem.

Wrzaski rannych demonów zakłóciły spokój pustyni.

A potem ludzie wpadli między demony, upuszczając łuki, wyciągając bułaty i tnąc na prawo i lewo.

Jechali prosto ku środkowi, prawie sięgając samego Manacii, który gramolił się na grzbiet swego słonia.

Iraj prowadził atak. Był nieziemskim żołnierzem, którego nie miał się rój strzał posyłanych w odpowiedzi przez demonów. Miał potworny miecz, któremu nie mogło sprostać żadne ostrze, kopia ani topór wojenny.

Przeciął szeregi demonów. Był grotem strzały, jego wojownicy rozrywającym drzewcem, a Księżyc Demonów celem.

Przejechał przez zbitych w gromadę żołnierzy, kierując się ku krwawej tarczy księżyca. Wtem okręcił się i zaatakował drugi bok.

Iraj ujrzał, jak Manacia wspina się na słonia. Ogarnął go szal walki: król przeciw królowi. Uderzył w kierunku swego głównego wroga.

Straż Manacii błyskawicznie zaroiała się wokół swego króla, wyrzucając w niego włócznie o ostrzach nasączonych śmiertelnością magią - której przeciwstawił się amulet Safara, zawieszony na szyi - i Iraj rozsądnie odbił w bok.

Wyprowadził wojowników poza hordy demonów, wyrządzając w trakcie odwrotu jeszcze więcej szkód, niż podczas ataku.

Gundara wrzasnął:

- Zamknij się, zamknij się, zamkniiiij!

Safar wtrącił się.

- Przestań kłócić się ze swoim bratem. Próbuję się skupić.

- To nie moja wina, panie - zaskowytał mały Ulubieniec. - Gundaree nie daje mi żyć.

Safar walczył o zachowanie spokoju. Nauczył się od Methydii, że sztuka i temperament dostarczane są w tym samym pakunku. Jeśli nie daje się rady z temperamentem, nie ma sensu mówić sztuce, którą ma się do wykonania.

Zaproponował łakocie.

- Tutaj masz dwa dla siebie - powiedział - i dwa dla Gundaree. I jeśli będziecie się odpowiednio zachowywać i nie będziecie chciwymi małymi Ulubieńcami, po zakończeniu pracy będą jeszcze dwa dla każdego z was.

Leiria poganiała go.

- Nadchodzą.

Safar spojrział na północ. Zapadła noc, ale Księżyc Demonów był tak jasny, że wszystko było widać jak na dłoni. Ujrzał Iraję i jego ludzi - około dwustu - jak pędzą ku niemu. Za nimi nadciągała armia Manacii. Była wielką, czarną, pożerającą równiny bestią, która dopiero nabierała rozpędu.

Manacia odgadł, że Iraj chciał, by jego wróg zaatakował go, przechodząc pomiędzy kolumnami, gdzie czekały główne siły ludzi. Gdyby Iraj zdołał naprzec na demony z obu stron, ściskając je tak silnie w chwili przechodzenia pomiędzy kolumnami, że ledwo zdołaliby się ruszać, przewaga demonów zostałaby znacznie zredukowana.

Chociaż Manacia wpadł w pułapkę Iraję, którą był nagły atak i fałszywy odwrót, nie był jednak głupcem. Pościg odbywał się w należyтым porządku. Jedyne pojedyncza duża grupa demonów wiedziona przez księcia Luke, jak domyślał się Safar, została bezpośrednio zaangażowana w ściganie Iraję. Reszta armii rozciągnęła się po równinie, zbliżając się ku ludziom szeroką falą. Była ona tak głęboka i rozległa, że nie było wątpliwości co do szans ludzi.

Safar skinął ku swoim czarodziejom. Dotknęli zagwiami sterty pustynnych krzewów i wysuszonego łajna, która zajęła się, buchając płomieniami tak szybko, że czarodzieje musieli odskoczyć. Potem ogień uspokoił się, płonąc jednostajnie, a magowie zaczęli wsypywać do niego specjalne proszki. Ogień syczał i kotłował się, wysyłając deszcz wielobarwnych iskier. Ujrzał podobny blask na wschodniej kolumnie i wiedział, że Horvan przyłączył się do zaklęcia.

Safar pozwolił, by jego umysł zapadł się, spadając coraz bardziej w dół, aż znalazł się w zimnym, szarym miejscu bez góry, dołu i boków. Zawołał:

- Gdzie jesteś, lwia matko? To ja, twój przyjaciel, Safar Timura. Przybyłem, by cię znaleźć.

Nie usłyszał odpowiedzi. Ponownie krzyknął:

- Przyjdź do mnie, matko duchów. Proszę, przybądź. Jestem w trudnej sytuacji i potrzebuję cię.

Safar nagle wyczuł czyjąś obecność. Była ciężka, zwierzęca i silnie pachniała kotem. Nagle szarość zadrżała i dostrzegł niewyraźny kształt starej lwicy.

- Jestem Safar Timura, lwia matko - oznajmił. - Czy pamiętasz, jak pomogłem ci dotrzeć do lwiać?

Lwica zawyła, a dźwięk rozległ się tuż przy jego uchu.

- Czy pomożesz mi, lwia matko? - zapytał Safar. - Tak jak ja ci pomogłem?

Rozległ się jeszcze jeden skowyt. Nagle Safar zdał sobie sprawę, że stara lwica zgodziła się.

- Dziękuję ci, lwia matko - powiedział. - Proszę cię, zaczekaj tutaj, aż dam znak.

Safar poderwał głowę i nagle znalazł się z powrotem na skalnej kolumnie. Płomienie magicznego dnia tańczyły i słały deszcze iskier ledwie parę stóp od niego.

Ujrzał, jak Iraj i jego oddziały niemal sięgnęły przestrzeni pomiędzy dwiema kolumnami.

- Przygotujcie się - rzekł do magów.

Manacia poczuł, jak ostrzegawczo brzęcząca magia wroga budzi się do życia. W tym samym czasie ujrzał magiczne ogniska płonące na szczytach skalnych kolumn.

Król demonów zagryzł zęby w zachwycie.

- A więc tutaj jesteś, Timura! - ryknął i podniósł łapę, przygotowując zaklęcie, które miało rozsadzić duszę. - Mam cię!

Iraj i jego kawaleria przemknęli pomiędzy kolumnami.

- Teraz! - krzyknął Safar.

W ogień wrzucono cztery szklane kule. Hen, daleko, na oświetlonej czerwono równinie, wzdłuż zachodniego skraju nadciągającej armii Manacii, rozbłysły białe eksplozje.

Potem cztery dalsze rozświetliły niebo na wschodzie, gdy czarodzieje Horvana wrzucili swoje kule.

- Jeszcze raz - krzyknął Safar.

Siła wybuchów omal nie wyrzuciła Manacii z palankinu. Oślepiły go zniecka, ale gdy wzrok powrócił, jego pierwszą myślą było, że stało się to za wcześnie.

Eksplozje wyrwały wielkie dziury w najdalej wysuniętych na zachód skrzydłach jego armii. Za nimi nastąpiły inne wybuchy i Manacia usłyszał krzyki przerażenia i bólu. Potem skrzydła zaczęły zwijać się, gdy żołnierze na skrajach gramolili się ku środkowi, chcąc uciec przed rozbłyskami.

Manacia wykrzykiwał rozkazy, by wrócili na swe pozycje, ale w tym chaosie nikt go nie słyszał.

Wzrok rozwścieczonego króla demonów pomknął ku wysuniętej na zachód kolumnie ze skał. Poczł obecność potężnego czarodziejskiego wroga - Timury!

Manacia zaskrzeczał z wściekłości i cisnął zaklęcie.

Safar był gotów.

Wyczuł napór nadchodzącego ataku i krzyknął:

- Przybywaj, lwia matko! Przybywaj!

Manacia już wykrzyczał przekleństwo, kiedy poczuł, że jego zaklęcie zostało zablokowane.

Zaklęcie ataku odbiło się i uderzyło w niego, a on gorączkowo szukał osłony i ledwie zdążył ją podnieść. Gorąca fala przewaliła się przez osłonę magiczną, opryskując jego duszę wrzącymi kroplami magii.

Zanim zdołał pozbierać się i ponownie uderzyć, usłyszał donośny ryk, od którego szły ciarki po plecach. Nagle znikąd wyskoczyła wielka lwica i zaatakowała go.

Manacia zmagal się z nią. Ciało zwierzęcia było tak zimne, jakby walczył z samą śmiercią. Odrzucił od siebie zwierzę, które potoczyło się, ale szybko stanęło z powrotem na nogi.

Wtem Manacia zdał sobie sprawę, że walczy z duchem. Mógł przejrzeć zwierzę na wylot, a gdy otworzyło paszczę i zaryczało buntowniczo, rozbrzmiewający dźwięk brzmiał nierealnie, jakby dobiegał z daleka.

Lwica ponownie zaatakowała, a Manacia zaczął przeszukiwać zapasy swych magicznych sztuczek.

Tuż zanim masywne szczęki zamknęły się, rzucił zaklęcie.

Lwica znikła, powracając do swego widmowego świata.

Manacia padł na ziemię. Wszystkie jego siły zostały wyczerpane.

Iraj obrócił konia i przygotował się na przyjęcie szturm demonów wlewających się w przejście pomiędzy kolumnami, z Księżycem Demonów za plecami.

Demony stłoczone zostały ściśle w czarną rzekę wojowników, ale nie tak ściśle, jak tego chciał Iraj. Dał sygnał flankom. Procarze uaktywnili się, celując w krawędzie kolumny demonów. W tym samym czasie jednostki kawalerii natarły, mając za plecami wsparcie szybkich oddziałów pieszych.

Rój ciężkich pocisków spadł na demony, zabijając i okaleczając wielu z nich. Wystrzelono kolejny rój, który przyniósł jeszcze więcej bólu i śmierci.

Do natarcia ruszyły jednostki kawalerii, jedna ze wschodu, druga z zachodu. Ludzie rozgrywali grę z demonami, w której pędem zbliżali się ku skrajom armii Manacii, szarpiąc je, a następnie ponownie odskakiwali, zanim demony zdołały ich otoczyć. Piesze oddziały nacierały natychmiast po nich, wyrzucając ciężkie włócznie, a potem dobywając zza pasów topory i rzucając się w wir walki.

Stopniowo kolumna demonów zwęziła się jeszcze bardziej, a kiedy w końcu przedostała się przez dwie kolumny ze skały, wojownicy byli tak ściśnięci, że okazali się dla ludzi łatwym łupem.

Iraj zabił ich tak wielu, że jego ramię dzierżące miecz zmęczyło się. Potem ostrze złamało się, a on sam walczył ręcznym toporkiem zabranym jednemu z poległych.

Ujrzał Lukę, który oddzielił się od swych straży. Demon gorączkowo walczył przeciw trzem jeźdźcom.

Iraj ujrzał, jak trzech żołnierze padają, a Luka mknie z powrotem ku szeregom demonów. Był to wyczyn, który wzbudził w Protarusie chłodny podziw.

Iraj walczył nadal, zmagając się z falą demonów.

Obraz bitwy powoli zmieniał się. Sama wielkość armii demonów w końcu przewyciężyła wszystkie niedogodności. Iraj i jego ludzie odkryli, że cofają się, jakby w nich uderzał młot.

Król zdał sobie sprawę, że niedługo linie załamają się. A to będzie oznaczało koniec jego armii, marzeń, a z pewnością też i jego życia.

Zaryzykował spojrzenie na zachodnią kolumnę i pomyślał: „Dalej, Safarze! Dalej!”

Safar przygotował swą wielką iluzję.

Była to ostatnia strzała w jego magicznym kołczanie.

Nie miał czasu na podziwianie arcyzmu ojca, rzucając zaklęcie, które posłało w górę jego flotę.

Bitewne nadzieje Luki sięgnęły najwyższego poziomu.

Przeszli już przez przejście. Jego armia rozciągała się, mając więcej miejsca na użycie broni przeciw ludziom.

Luka czuł, jak wróg przed nim pada. Jeszcze jeden szturm, no, może dwa, a zwycięstwo będzie należało do niego.

Wtem, nawet mimo hałasu bitwy, usłyszał pomruk przewalający się przez jego oddziały. Wokół rozległy się zbiorowe westchnięcia i okrzyki przerażenia. Ujrzał, jak kilka demonów celuje w zdziwieniu szponami w czerwono oświetlone niebo.

Zadarł głowę i sam nie mógł powstrzymać się od wstrzymania oddechu.

Po niebie mknęły latające statki wojenne, by przyłączyć się do bitwy. Były to najdziwniejsze okręty, jakie Luka kiedykolwiek widział - statki bitewne podwieszane zostały pod wielkimi balonami. W każdym z nich tłoczyli się wojownicy, dzierżący włócznie z rozżarzonymi grotami. Nie umiał określić ich wielkości. Statki wydawały się małe, tak więc założył, że znajdują się na znacznej

wysokości. Ale z pewnością były na tyle duże, że mieściły setki wojowników.

Potem statki znalazły się nad jego głową, a ludzcy wojownicy zaczęli rzucać włóczniami w masę demonów. W miarę zbliżania się do ziemi, włócznie rosły w oczach. Każda z nich osiągała rozmiary wysokiego demona.

Drzewce waliły jak pioruny. Rozżarzone groty eksplodowały, wysyłając szerokie strumienie płomieni.

Spadła jeszcze jedna fala włóczni. Potem następna. Pociski wrywały dziury w szeregach demonów, wypełniając powietrze grzmotem i zapachem siarki.

W tej chwili armia demonów straciła nerwy.

Luka czuł to. Czuł, jak z jego wojowników uchodzi zapał, węszył kwaśny odór ich strachu.

Żołnierze obrócili się i pobiegli. Najpierw niczym strużka, potem już jak strumień, a następnie rwąca rzeka wrzeszczących demonów rzucających na ziemię broń, zdzierających zbroje i trujących swych towarzyszy, by uciec przed przerażającymi hordami nacierającymi z nieba.

Luka pędził wraz ze swymi wojownikami, spinając wierzchowca ostrogami, by dotrzymać im kroku. Nie gnał go strach, chociaż był przerażony. Biegł, by dotrzymać im kroku, nawołując o spokój i porządek, robiąc co w jego mocy, by powstrzymać pogrom.

Za plecami słyszał trzaski i grzmoty latających statków.

A także wycie goniącej ich armii Protarusa.

Minęły długie godziny, zanim Manacia opanował sytuację. Jednakże po zakończeniu tej operacji najlepsze co mógł zrobić, to zebrać ponownie swe siły i założyć ufortyfikowany obóz.

W oddali Protarus zatrzymał się i wybrał miejsce na własny obóz.

- Walka się jeszcze nie skończyła - złorzeczył Manacia, chodząc po namiocie dowodzenia. Kopał i bił każdego niewolnika, który wszedł mu w drogę. - Nie stawia mi ponownie czoła. Rozbiję go w pył!

Iraj przechadzał się po swoim namiocie, ale mierzył kroki i zachowywał spokój.

- Mam nadzieję, że nie będziemy musieli ponownie z nim walczyć - powiedział Safarowi. - Jeśli tak się stanie, to znajdziemy się na otwartej przestrzeni, na wybranym przez niego terenie. Nie da się ponownie nabrać na nasze sztuczki.

- Chyba nadchodzi czas na łut szczęścia - odparł Safar.

Iraj przystanął, rozważył jego słowa, a potem skinął głową.

- Tak - odpowiedział. - Teraz zobaczymy, ile naprawdę mamy szczęścia.

- Ma szczęście i tyle - rzekł Manacia, a jego głos nadal trzął się z wściekłości. - Poza tym tchórze na moim dworze służyli mu wsparciem.

Lukę, który słuchał go z największą możliwą cierpliwością, ogarnął chłód.

- Co Wasza Wysokość sugeruje? - zapytał, nie kłopotząc się skrywaniem gniewu.

Manacia zwrócił się ku niemu.

- Nic nie sugeruję - odpowiedział. - Chyba to jasne, że mój syn jest tchórzem idącym na czele bandy tchórzliwych demonów.

- Ach! - powiedział Luka takim tonem, jakby dokonał wielkiego odkrycia. - Zamierzasz zrzucić winę na mnie, nieprawdaż?

- Okryłeś mnie hańbą! - ryknął Manacia. - Ale ja nie będę skrywał tej hańby. Wina zostanie skierowana ku jej źródłu, bez znaczenia, że jest nim mój syn i dziedzic.

Luka podszedł bliżej, jakby miał zamiar prosić go o rozwałę. Zamiast tego powiedział jednak:

- Ojczy, a może opowiesz mi o tym, jak moja matka oskarżyła cię o gwałt? To tak zabawne zdarzenie, że na pewno wszystkim nam poprawi humor.

Manacia zmarszczył brwi.

- Co z tobą? - zapytał. - To nie czas na żarty.

- Och, ojczy, ależ tak - nalegał Luka. - To właśnie jest jedna z tych sytuacji, w których humor jest jak najbardziej wskazany.

Król Manacia uniósł się, by wydać z siebie jeszcze jeden gniewny ryk.

Ale Luka szybko wyciągnął miecz i stłumił ten ryk w samym jego źródle.

Obserwował, jak bezgłowe ciało ojca pada na ziemię. Obrócił się do pozostałych, spokojnie wycierając ostrze.

- Sprzeciwy? - zapytał.

Generałowie i doradcy stali jak wryci, przypatrując się biegowi zdarzeń. Fari przemówił pierwszy:

- Ależ nikt ich wcale nie zgłasza, Wasza Wysokość - rzekł.

Szttywno padł na kolana, skrzypiąc stawami.

- Niech nam długo żyje król Luka! - zawołał.

Generałowie poszli za jego przykładem, klękając na ziemi, oddając hołd i krzycząc:

- Niech nam długo żyje król Luka!

Luka wpatrywał się w głowę ojca. Szeroko otwarte oczy trupa gapiły się na niego.

- Co się stało, ojczy? - zapytał. - Nie śmiejesz się?

Parę tygodni później Iraj przebył Zakazaną Pustynię, jadąc drogą do Zanzairu na czele wielkiej, zwycięskiej procesji.

Kalasariz przekazał Protarusowi warunki poddania się Luki i działał jako posłaniec w czasie późniejszych rokowań. Armia demonów została podzielona na niewielkie grupki i odesłana do domu. Luka zaproponował siebie jako zakładnika, odsyłając Farięgo z powrotem do Zanzairu - z głową Manacii zachowaną w lodzie - by przygotować miasto na przybycie Iraj.

Ku niezadowoleniu Safara, Kalasariz został nagrodzony wielką ilością złota i wysoką pozycją na dworze Iraj. Safar odradzał to królowi, ale Iraj odrzucił jego rady, mówiąc, że dobrzy szpiedzy zawsze są potrzebni.

W końcu nadszedł dzień, w którym bramy Zanzairu znalazły się w zasięgu ich wzroku.

Maszerowali drogą pogrążoną we mgle. Nad głowami łopotały flagi, a werble podawały rytm.

Iraj dosiadał wielkiego białego słonia Manacii. Safar siedział u jego boku. Z palankinu zwieszał się sztandar wykonany z jedwabiu z Sampitay. Widniał na nim herb zdobywcy: czerwony Księżyc Demonów i srebrna Kometa.

Ale nie był to już znak Alisarriana. Iraj ogłosił go własnym herbem.

Za tydzień, w pałacu, który niegdyś należał do Manacii, miała odbyć się niezwykle uroczysta ceremonia. Dygnitarze, zarówno ze strony ludzi, jak i demonów, tłumnie stłoczą się w sali tronowej i ukorzą przed Protarusem.

Tam ogłoszą go królem królów, najwyższym monarchą całego Esmiru.

Wietrzyk wzmógł się, a Safar zauważył, że mgła unosi się. Dokładnie przed nimi widniały wrota Zanzairu.

- Spójrz! - powiedział Iraj, podniecony jak dziecko. - Prawie już tam jesteśmy!

Z pala nad bramą zwieszała się okrwawiona głowa Manacii.

Wrota otworzyły się, a zza nich wysypał się ogromny tłum demonów, by okrzykami powitać nowego króla. Iraj zaszalutował w odpowiedzi. Demony wrzeszczały jak opętane, skandując:

- Protarus! Protarus! Protarus!

Iraj obrócił się do Safara. Na jego twarzy gościł szeroki uśmiech.

- Mój przyjacielu - rzekł. - Wszystko zawdzięczam tobie.

Nagle jego uśmiech zamienił się w głośny śmiech zdziwienia.

- Powiedziałem tak w wizji, prawda? - zapytał, przypominając ją Safarowi.

- Albo coś bardzo podobnego - odpowiedział Safar.

Iraj klepnął go po plecach.

- I to wszystko się sprawdziło - odrzekł. - Wszystko, co przepowiedziałeś.

Safar uśmiechnął się.

- Sądzę, że tak właśnie jest - powiedział.

Ale za uśmiechem skrywał gryzące zmartwienie. Jego wizja prowadziła do bram Zanzairu, ale nie sięgnęła dalej.

A teraz mógł pomyśleć jedynie... co będzie potem?

Część piąta

ZANZAIR

Złodziejka serc

Była niezwykłą kobietą, obdarzoną urodą, bogactwem i władzą.

Była także tajemnicza, co w czasach Księżyca Demonów uczyniło ją najniezwyklejszą z kobiet.

Jej herbem - godłem Domu Fatinah - był srebrny sztylet. Wiele mówiło się o jego pochodzeniu.

Niektórzy twierdzili, że był to herb jej świętej pamięci nieodżałowanego męża, lorda Fatinah, kupca nad kupcami, którego tak omotała młoda żona, że zostawił jej całą fortunę. Lady Fatinah, jak mówiono, przyspieszyła mężowe odejście z tego świata jego własnym srebrnym sztyletem. Bogate szaty o barwie żałobnej czerni i herb srebrnego sztyletu tylko dodawały wiarygodności historii.

Inni spekulowali, że kiedyś była ulubioną kurtyzaną króla, może nawet samego Protarusa. W tej wersji przegrała w haremowej wojnie, tak więc władca odesłał ją, obdarowując jednakże wieloma kuframi złota i rzadkich kamieni, byle tylko przyspieszyć jej odejście. Niektórzy mówili, że swoją rywalkę pchnęła srebrnym sztyletem. Jednak śmierć wywołała taki skandal, że kobietę wygnano z haremu. Tu ponownie wplatała się opowieść o starzejącym się lordzie Fatinah. Plotkarze mówili, że małżeństwo zaaranżowano, by nie dopuścić do skandalu. Opowiadali także, że lord Fatinah umarł, zanim małżeństwo zostało skonsumowane. Również i w tej opowieści umierający szlachcic był tak rozmiłowany w swej przepięknej żonie, że zapisał jej wszystkie doczesne dobra.

Ciekawskie tłumy Zanzairu, które składały się niemal w równej mierze z ludzi, jak i z demonów, rozprawiały o takich i innych historiach na temat lady Fatinah, gdy przejeżdżała obok nich swym powozem z wymalowanymi na drzwiach srebrnymi sztyletami.

Lady Fatinah miała składającą się z demonów eskortę, która odpychała tłum. Powozem kierował człowiek popędzający zaprzęg koni o specjalnie dobranej maści. Krzepki demon-strażnik siedział obok woźnicy, przeczesując tłum niezmiennie czujnym wzrokiem.

W środku przedstawiciel lady Fatinah na Zanzair rozводził się nad sprawami, które załatwiał w oczekiwaniu na jej wizytę.

- Ujrzysz na własne oczy, moja pani - rzekł mężczyzna - że mądrze wybrałaś, wyznaczając Abubensu, by zajął się twoimi interesami w Zanzairze.

Wskazał widok za oknem. Przejeżdżali przez bazar, który był egzotyczną sceną pełną demonów i ludzi targujących się z kramarzami, albo przeżuujących dziwne smakołyki kupione z wózków z jedzeniem. Po targowisku przechadzały się rodziny z zakupami w ręku, prowadząc za sobą ludzkie dzieci lub młode demony.

- Zanzair jest z całą pewnością najcudowniejszym miastem w całej historii Esmiru - powiedział Abubensu. - Odkąd siedem lat temu nasz ukochany król, Iraj Protarus, uczynił je centrum swego imperium, istoty różnego gatunku ściągają tutaj, żywiąc nadzieję, że uczepią się królewskiego płaszcza i wraz z nim pofruną ku bogactwu. - Mężczyzna uniósł ostrzegawczo palec. - Ale Zanzair jest również najniebezpieczniejszym z miejsc, moja pani. Niektórzy z przybyszów byli uczciwymi ludźmi i demonami interesu, tak jak ja. Ale wielu z nich to złodzieje, zarówno o poślednim, jak i

szlacheckim rodowodzie. A intrygi! - Wzruszył ramionami. - Mógłbym opowiedzieć ci wiele oburzających historii o intrygach i haniebnych zdarzeniach na królewskim dworze.

- Z pewnością mógłbyś - gładko odrzekła lady Fatinah - a ja z największą przyjemnością wysłucham innym razem twych pikantnych opowieści. Jednakże żywię nadzieję, że zrozumiesz, iż mój umysł zaprzętają teraz inne rzeczy. Na przykład takie, jak dom.

Abubensu promieniał. Jego pracodawczyni była tak elegancka i delikatna w słowach. Zupełnie nie pasowało to do kobiety, która najprawdopodobniej zabiła swego męża. Cieszył oko jej kształtami wypełniającymi czarną, drogą szatę. Miała pełne wargi, a w oczach kryło się coś - jak ośmielił się pomyśleć - obiecującego.

- Spodoba ci się dom, który dla ciebie odkryłem, moja pani - rzekł. - Znajduje się na wzgórzu, w oddaleniu od innych domostw. Widok Zanzairu nocą jest po prostu zniewalający. A zwłaszcza widok pałacu Protarusa. Wykonano go z litego złota, a kiedy palą się wszystkie światła i pluszczą fontanny, można pomyśleć, że jest to niebiański pałac jakiegoś boga.

- Brzmi niezwykle miło - odparła lady Fatinah, wycierając policzek dziecka - chłopca, który już przestał ssać, ale jeszcze nie zaczął mówić. Na imię miał Palimak, co po walaryjsku oznaczało obietnicę. - Jednakże będę szczerą - ciągnęła. - Najważniejsze jest dla mnie, czy są tam odpowiednie pokoje dla dziecka.

- Zaprojektowaliśmy je dokładnie według twoich rozkazów, moja pani - odparł Abubensu. - To najwspanialsze pokoje dziecinne, jakie kiedykolwiek stworzono. Nie oszczędzaliśmy na niczym.

- Mam nadzieję, że nie są za wielkie, pani - wtrąciła się niańka. Była małą okrągłą kobietką z obfitym, babcinym biustem. - Wielkie przestrzenie mogą przerażać dziecko.

- Dla ciebie, Scani, przeznaczylimy osobne pomieszczenie tuż obok pokoju panicza - pospiesznie zapewnił Abubensu. - Jest niezwykle wygodne i opieka nad paniczem nie sprawi ci kłopotu.

Scani wyglądała, jakby trapiły ją wątpliwości. Zaczęła nawet coś mówić, ale lady Fatinah uciszyła ją ostrzegawczym spojrzeniem. Niańka wzięła Palimaka z rąk lady Fatinah, szczebiocząc i gruchając do niego, a także szepcząc gniewnie obietnicę, że gdziekolwiek by nie spał, Scani zawsze będzie blisko.

- Twoi sąsiedzi - ciągnął Abubensu - są tak samo bogaci i szlachetnie urodzeni jak ty, pani. Ich domy znajdują się na tyle blisko, by dawać poczucie bezpieczeństwa, lecz są na tyle oddalone, by zapewnić ci prywatność.

- Wspomniałam w swoim liście - odparła lady Fatinah - że chciałabym wydać bankiet, najszybciej jak to możliwe. Chcę przedstawić swoją osobę towarzystwu Zanzairu.

- Już to organizujemy, moja pani! - odpowiedział Abubensu z uśmiechem zadowolenia. - W rzeczy samej pozwoliłem sobie zaaranżować to wydarzenie na wieczór, który nastąpi za dwie noce. Wysłano zaproszenia do wybrańców - proszę zauważyć, że wszyscy z nich mają właściwe stanowiska. A twoi słudzy, których osobiście wybrałem, w tej chwili przygotowują bankiet.

- Jest jedna osoba, o której zaproszenie poprosiłam ciebie w szczególności - powiedziała lady Fatinah. - Czy zostało to wykonane?

Abubensu potakiwał głową.

- Tak, moja pani. Lord Timura został zaproszony.

- Czy przyjął zaproszenie?

Abubensu zawahał się.

- Cóż, moja pani, jeszcze nie.

- Ale spodziewasz się, że tak uczyni? - naciskała lady Fatinah.

Niewysoki człowieczek wzruszył ramionami.

- Nie mogę obiecać, moja pani - odparł. - W końcu to wielki wezyr, drugi po królu Protarusie.

Abubensu wysilił się, podrzucając garść plotek, by nadać taki bieg konwersacji, który pozwoliłby lady zapomnieć o rozczarowaniu.

- Wiesz, pani, że byli przyjaciółmi z dzieciństwa - powiedział. - Nawet zwracali się do siebie na osobności po imieniu - Safar i Iraj. - Pochylił się bliżej ku niej i dodał konspiracyjnym tonem: - Chociaż mówi się, że lord Timura nie jest już obecnie w łaskach u Jego Wysokości. Ma wrogów, którzy szepczą złe rzeczy w królewskie ucho. - Wzruszył dramatycznie ramionami. - Kto wie, czy te plotki są prawdziwe, moja pani. Może w końcu najlepiej będzie, jeśli lordowi Timurze nie uda się przyjść. Po co wprowadzać jego problemy polityczne w twoje szacowne progi?

Oczy lady Fatinah zwięzły się.

- Chcę, żeby był na bankiecie - odparła, a jej zdecydowanie w tej sprawie było niezwykle stanowcze.

Abubensu trudził się ze sformułowaniem odpowiedzi, najwyraźniej nie wiedząc, co począć.

- Będę próbował, moja pani - rzekł w końcu - ale nie mogę przysiąc, że tak się stanie.

Lady Fatinah uśmiechnęła się.

- Pokładam w tobie wszystkie nadzieje, Abubensu - powiedziała, podając mu jedwabną sakiewkę wypełnioną monetami. - Nagroź nimi kogo zechcesz - dodała. Abubensu zważył ją w dłoni, a jego brwi uniosły się, gdy poczuł jej ciężar. - I możesz zatrzymać dla siebie to, co z niej zostanie. Lecz upewnij się, że lord Timura przybędzie.

Obróciła się, by wyrzec za okno. Znaleźli się na szerokim placu. Gdy spojrzała na północ, mogła dostrzec kwitnące drzewa okalające królewskie ogrody. Za nimi widniały iglice Wielkiego Pałacu, błyszczące się nieziemsko w świetle zawsze obecnego Księżyca Demonów.

Nerisa zastanawiała się, czy Safar będzie pamiętał ją po tych wszystkich latach.

- W końcu - powiedział król Protarus - wszystko sprowadza się do pieniędzy.

Prychnął z niesmakiem, co zostało uważnie odnotowane przez zebranych członków królewskiego dworu. Jego prychnięcie nada ramy ich dyskusjom, marzeniom i koszmarom przez wiele nadchodzących dni. Z powodu tego prychnięcia wyznaczy się politykę. Sojusze ulegną zagrożeniu, zreformowaniu lub zerwaniu. Ludzie, mieszkający tysiące mil od Zanzairu, zarówno duzi jak i mali, zadrżą, gdy nadejdą wieści o królewskim prychnięciu.

- Za każdym razem, gdy chcę coś zrobić - rzekł Protarus - informuje się mnie, że koszt jest zbyt wysoki. A gdy ja - choć jestem tylko prostym człowiekiem równin - sugeruję rozwiązanie, które zapewni zdobycie większej ilości pieniędzy, to słyszę, że więcej już dostać nie można!

Gniewny wzrok króla przetoczył się po kilkupoziomowej sali tronowej. Najpierw objął Safara, wielkiego wezyra i królewską prawą rękę, później podwyższenie, gdzie wraz z lordem Farim i pozostałymi ważnymi demonami siedział król Luka, którego formalny tytuł brzmiał książe Zanzairu. Poniżej tkwili generałowie i główni doradcy Protarusa. Ta mieszana gromada składała się z demonów i kilku z pozostałych prostych ludzi równin. Lekko na uboczu siedział Kalasariz, który codziennie mierzył odległość i wysokość dzielącą go od Safara. Za nimi znajdowała się główna przestrzeń sali tronowej, rozległy obszar hierarchicznej płaszczyzny. Niektórzy dworzanie stali tam w

butach na podwyższanych obcasach, tak by wydawać się wyższymi. Mogli wtedy wyobrazić sobie, że cieszą się większą łaską króla od pozostałych.

- Niech ktoś mi wyjaśni, jak to możliwe - zażądał Protarus. - Jestem monarchą całego Esmiru. Mam miliony poddanych. Wszyscy, zdaje się, powiększają fortunę i doskonale prosperują, podczas gdy ich król pozbawiony jest podstawowych środków na prowadzenie królestwa. - Potrząsnął głową. - Problem w tym, że jestem zbyt hojny - rzekł. - Zapewniłem bogactwo wszystkim swym przyjaciółom. Pałace, ziemia, pieniądze... Pieniądze! Ponownie to słowo! - Spojrzał na Safara. - Ty masz pieniądze, lordzie Timuro. Dlaczego ja zaś ich nie mam?

- Jeśli rozkażesz, Wasza Wysokość - odparł Safar - oddam ci wszystko.

Sfrustrowany Protarus zabębnił ozdobionymi klejnotami kłykcami w poręcz tronu.

- Nie o to chodzi, lordzie Timuro - odrzekł. - Ja nie jestem takim monarchą. Gdy coś podaruję, nie żądam zwrotu.

Leiria, strażniczka Safara i towarzyszka jego łoża, wierciła się niespokojnie. Kiedyś i ona była takim darem.

- Sęk w tym - ciągnął Protarus - że ty masz pieniądze, a ja nie, ponieważ musisz utrzymywać jedynie swoje domostwo. - Dłoń Protarusa machnięciem objęła całą salę tronową. - Ja zaś mam na utrzymaniu królestwo. Oto moje domostwo! I na co idą pieniądze na utrzymanie domostwa? Z pewnością nie na luksusy. Bogowie wiedzą, że jestem człowiekiem o prostych gustach.

Nikt nie ośmielił się wspomnieć, że była to wielka przesada. Minęło sporo czasu odkąd Protarus porzucił swe żołnierskie życie i zanurzył się w rozkoszach i uciechach królów. Miał wiele pałaców obsadzonych służbą; rozległe stajnie pełne różnorodnych wspaniałych wierzchowców, służących wszelkim celom, o których tylko można pomyśleć; ogromne pomieszczenia wypchane ozdobną bronią i zbrojami, kipiące magazyny i piwnice z winami oraz olbrzymie haremy wypełnione nieustannie wymienianymi kobietami.

Król westchnął i opadł zmęczony z powrotem na tron. Jego siedmioletnie rządy były trudne i wycisnęły na nim swe piętno. Chociaż wciąż nie przekroczył trzydziestki, wyglądał o dziesięć lat starzej. Jego duma - długie złote loki - przeredziły się. Nabrał zwyczaju noszenia pod koroną wysadzanej klejnotami czapki. Brodę znaczyły pasma siwizny, a czoło porały zmarszczki zmartwienia.

- Jeszcze raz opowiedz nam o problemie, lordzie Timuro - rzekł. - Wyłóż go w całości, tak by wszyscy pojęli.

Safar wymamrotał pełną szacunku formułkę i wstał. Wszedł na poziom Protarusa i skinął do paru sług, by odciągnęli ogromną kotarę wiszącą za tronem króla.

Ścianę pokrywała wypukła płaskorzeźba Esmiru. Największe fragmenty przedstawiały Łańcuch Bogów, dzielący ogromne obszary kontynentu od wschodu po zachód, oraz wielką pustynię, już nie zakazaną, która kiedyś separowała ludzi i demony.

Safar ułożył na dłoni kilka kulek i dramatycznym gestem gwałtownie machnął ręką w dół. Rozległy się ostre trzaski, które spowodowały, że kilku dworzan - oraz Iraj - zaczerpnęło głośno tchu, a potem z podłogi podniosła się cienka, mglista zasłona dymu sięgająca sufitu. Za mgiełką płaskorzeźba nagle rozświetliła się, budząc do życia, co wywołało cichy chór zdziwionych głosów. Wszyscy patrzyli na żywą mapę Esmiru, której dopełnieniem były małe, ruszające się postacie, falujące na wietrze lasy i fale uderzające o odległe brzegi.

Safar skłonił się nisko przed Irajem zamaszystym gestem scenicznego artysty.

- Oto twoje królestwo, panie - ogłosił.

Fari pomyślał: „Ciekawe, jak Timura to robi? Nie żyjącą mapę... to rozumiem. Pewnie nawet potrafiłbym zrobić taką samą, jeśli zerknąłbym na jego notatki. Ale eksplozje i mgielka to inna sprawa. Gdzie była magia? Nic nie wyczułem!”

Ta zagadka była tylko jednym z kilku powodów, dla których zdaniem Fariego Safar musiał odejść.

Nastrój Iraja poprawił się. Klasnął w dłonie, mówiąc:

- Och, wspaniale, Safarze. Wspaniale!

Po tych słowach nastąpiły ciche oklaski ze strony dworu. Luka ponuro zaszczękał szponami w wyrazie fałszywego uznania. Jednocześnie myślał: „Po co te ukłony i dramatyczne gesty? Można pomyśleć, że to przedstawienie, a nie poważne zadanie administracyjne. Popisuje się przed nami, a zwłaszcza przed Protarusem”.

Luka żywił gorzką urazę do Safara z powodu jego wpływu na Protarusa. Jako księżę Zanzairu Luka uważał siebie za potentata, drugiego pod względem ważności w Esmirze. To on powinien doradzać Protarusowi, a nie ten prostak Safar Timura.

- Oto lokalizacje naszych najbardziej kłopotliwych terytoriów, Wasza Wysokość - powiedział Safar.

Wykonał jeszcze jeden gest i wśród mgielki rozbłyły niewielkie płomyki. Przynajmniej czterdzieści z nich rozsiało się po całym królestwie. Płomyki miały różne wielkości, od malutkich, w miejscach gdzie problemy dopiero się rozpoczynały, po większe ogniste strzałki, gdzie sprawy prawie wymknęły się spod kontroli.

- Tak wiele - wymruczał Protarus. Strzelił ostrym, pełnym gniewu spojrzeniem w Kalasariza, mówiąc: - Nigdy nie powiedziałeś mi, że jest ich tak wiele!

- Ach, tak, ach... ja mogę to wyjaśnić, Wasza Wysokość - jękał się Kalasariz. - Opóźnienie w raportach... z powodu... ach... trudności.

Iraj skinął na niego chłodno i obrócił się z powrotem do mapy.

- To najświeższe informacje, jakie dostałem z naszych świątyń - ciągnął Safar. - I po raz pierwszy, jak sądzę, możemy zobaczyć, jak ogromne są nasze problemy.

Kalasariz zawrzał z gniewu wywołanego poniżeniem go przez wielkiego wezyra. Szef szpiegów wolał pokazywać królowi to, co sam chciał mu pokazać, by móc w ten sposób kontrolować bieg wydarzeń. Ten Timura ze swoją przeklętą siatką kapłanów zadawał mu cios w plecy.

Nie po raz pierwszy Kalasariz przysiągł, że pewnego dnia pozbędzie się Timury.

- Zdaje się, że największe problemy są w Caspanie, Wasza Wysokość - powiedział Safar, wskazując na podskakujące płomyki przy skraju zachodniego morza.

- Tak, tak - rzekł Protarus. - To dlatego pojawił się temat pieniędzy. Musimy wysłać tam oddziały i stłumić rebelię. Ale zostałem poinformowany przez mojego skarbnika, że nie mam funduszy, by za to zapłacić. Moje skrzynie, jak się zdaje, są puste.

Jego spojrzenie przemknęło po mapie, ponownie odnotowując liczby. W końcu jego oczy spoczęły na Caspanie prawie otoczonym ogniem.

- Pieniądze na Caspan muszą się znaleźć - oświadczył. - Pytanie brzmi, skąd je wziąć.

- Podatki, Wasza Wysokość - wtrącił się Luka. - Oto odpowiedź. Należy zebrać więcej podatków. Tak jak powiedziałeś, dzięki twoim wysiłkom poddani cieszą się dostatkiem. Powinni ochoczo zapłacić uczciwą cenę za dobrobyt.

- Jestem zmuszony nie zgodzić się z tobą, panie - przerwał Safar. - Nie ma ogólnego dobrobytu. Może tak dzieje się na części ziem, ale jedynie tam, gdzie nie dotarła susza i zaraza. I, co mogę przypomnieć mojemu szlachetnemu przyjacielowi, królowi Luce, plagi te nie tylko trzymały kraj w swych objęciach, ale znacznie nasiliły się w przeciągu ostatnich dziesięciu lat.

Fari prychnął.

- Znowu Hadin! - wymamrotał.

Safar obrócił się ku staremu demonowi.

- Pokazałem ci dowody - rzekł. - Jakże możesz zaprzeczać prawdzie?

- Niczemu nie zaprzeczam - odparł Fari. - Z pewnością istnieją pewne problemy. I prawdopodobnie zostały one spowodowane jakąś magiczną katastrofą w Hadinie. Nie zgadzam się jedynie ze stwierdzeniem, że nieuchronnie kłopoty te będą trwać przez długi czas. Wcześniej zdarzały się także katastrofy. Susze nadchodzą i odchodzą. Zarazy nadchodzą i odchodzą. To naturalny, boski cykl. Tak więc tylko najlepsi i najpobożniejsi będą dalej żyć i cieszyć się swymi w pełni zasłużonymi nagrodami.

- Nie będę kłócić się z moim szacownym kolegą, panie - rzekł Safar. - Ty chcesz usłyszeć rozwiązanie, nie debatę. Ja zaś mogę zaproponować jedno rozwiązanie.

Protarus wiercił się.

- Już teraz?

- Muszę zgodzić się z królem Luką, panie - powiedział Safar.

Luka zmarszczył brwi. Dokąd on zmierza?

- Podatki są tą odpowiedzią, Wasza Wysokość - oznajmił Safar. - Sugeruję jedynie, byś nie nakładał podatków na tych, którzy już płacą. Nałóż je na innych.

Kalasariz zmrużył oczy. „A więc on w to gra”.

- Opodatkuj mnie, panie - zaproponował Safar. - Nie tylko wzbogaciłem się dzięki twoim darom, ale także nie płacę od nich podatków.

Safar wskazał na Lukę, potem Farięgo, potem Kalasariza i wszystkich na sali, kolejno wyróżniając każdego szlachcica.

- Wszyscy wzbogaciliśmy się dzięki tobie, Wasza Wysokość - rzekł. - Ale nic za to nie płacimy.

Protarus zainteresował się.

- Często zauważałem, że hojność jest zarówno moją największą cnotą, jak i wadą - powiedział. - Najwyraźniej podarowałem więcej pieniędzy niż było to dla mnie korzystne.

- Dokładnie, Wasza Wysokość - odparł Safar. - Jestem pewien, że wszyscy moi koledzy będą zachwyceni, mogąc pomóc ci w potrzebie.

- Ach, podatek potrzebowy - mruknął Protarus. - Może taka nazwa zetrze niektóre kwaśne miny. - Uśmiechnął się do Luky i Farięgo. Obaj z trudem odpowiedzieli mu uśmiechami. Powrócił do Safara. - Okresowy podatek nakładany jedynie w razie potrzeby. Mówiąc politycznie, to zostanie lepiej przyjęte.

- Nie należę do tych, którzy obawiają się poświęceń - rzekł Luka - ale muszę zauważyć, że te pieniądze nie wystarczą. Może opłaca Caspan - wskazał na wzór punktów zapalnych na płaskorzeźbie - ale co z resztą?

- Król Luka ma całkowitą rację, panie - rzekł Kalasariz. - I ja także przyłączam się do niego w chęci poświęcenia się i dzielenia twego ciężaru. I także kwestionuję naturę potrzeby. - Wskazał na płaskorzeźbę. - Oto ten właśnie rodzaj negatywnego myślenia, który leży u podstaw naszych

problemów, panie.

Protarus podniósł głowę, zainteresowany.

- Przerazamy twych poddanych, panie, złymi wiadomościami - ciągnął Kalasariz. - Przez to powstają plotki, że jest coraz gorzej, co z kolei przemienia słabeuszy w buntowników. Sprawia, że dobrzy, uczciwi poddani kłamią twoim poborcom podatków, gdy ci przychodzą po ich odbiór. Ludzie zatrzymują wielkie sumy pieniędzy, które prawnie należą się tobie. To są ogromne kwoty, Wasza Wysokość. Olbrzymie.

- To kradzież! - wzburzył się Protarus, rozgniewany nagłą wizją podłych obywateli zakopujących w piwnicach wielkie skrzynie złota.

- Dokładnie, panie - rzekł Kalasariz. - Kradzież. Żadne łagodniejsze słowo nie może być tu użyte. A ja proponuję, by to natychmiast ukrócić!

- Jak byś to zrobił? - zapytał Protarus.

Kalasariz potoczył wzrokiem po wielkim zgromadzeniu, a potem z powrotem popatrzył na króla.

- Uważam, że najlepiej byłoby przedyskutować to na osobności, panie - rzekł.

- Nie zrobię tego - powiedział Safar. - Może w naturze Kalasariza leży popełnienie tak wielkiego kłamstwa, ale z pewnością nie w mojej.

- Skąd wiesz, że to będzie kłamstwo? - zapytał Protarus.

Dwaj mężczyźni siedzieli sami w komnatach króla. Mniej niż pół godziny temu Kalasariz, przy pełnym poparciu Luki i Fariego, wyłożył swój plan. Sprzeciw Safara był tak gorący, że Iradj odesłał ich trzech, by móc przedyskutować to na osobności.

- Kalasariz miał zapewne rację, że negatywne wiadomości wywierają znaczący efekt na stabilność królestwa - ciągnął Iradj.

- Kłamstwa nie poprawią sytuacji - odrzekł Safar.

- Ponownie - stwierdził Iradj - nie umiem dostrzec, w którym momencie ktokolwiek zaproponował ci kłamstwo. Kalasariz zaledwie zasugerował, by ogłosić narodowy dzień biesiadny. Dzień, który wskaże na pozytywne aspekty, a nie negatywne.

- A co z wróżbą? - zapytał Safar. - Wróżbą, którą ja, jako twój wielki wezyr, mam wykonać?

- Co widzisz złego w zapytaniu bogów o to, kiedy skończy się ten wielki kryzys? - zapytał Iradj.

- Bardzo wiele - odparł Safar - zważywszy, że Kalasariz już dostarczył odpowiedź, którą mam ogłosić całemu Esmirowi. - Podniósł palec. - Jeden rok! - Potrząsnął głową z niesmakiem. - Jeden rok... i świat z powrotem będzie się miał świetnie.

- To dobra liczba - odrzekł Iradj. - Jeśli ludzie uwierzą, że w ciągu roku wszystko będzie lepiej, nie będą tacy skąpi przy płaceniu podatków. Do diabła, mogę wtedy nawet podnieść podatki. O wielkość podatku potrzebowego, jak zaproponowałeś.

- Ale to podatek dla biednych - powiedział Safar. - Nie dla bogatych.

Protarus westchnął.

- To był dobry pomysł, Safarze. Zebrana ilość pieniędzy nie wystarczy, ale w obu przypadkach to rozsądna idea. Niestety, nigdy bym tego nie przeprowadził.

- Dlaczego nie?

Protarus westchnął jeszcze raz.

- Bo to istoty, z którymi jem obiad, Safarze. Kiedy wydaję przyjęcie, są moimi gośćmi. Kiedy poluję, robię to z nimi. W końcu to moi przyjaciele. Nie chcę siedzieć przy stole, przy którym

wszyscy są na mnie wściekli dlatego, że obłożyłem ich wysokimi podatkami.

Safar nie odpowiedział.

Protarus spojrział na niego, potem skinął głową, mówiąc:

- Pewnie rozmyślasz, czy są jakieś rzeczy, których ja bym nie zrobił. Zatem powinienem cię zrozumieć, gdy masz podobne zastrzeżenia.

- Mniej więcej - odrzekł Safar. Tak naprawdę rozmyślał, jak wymowne było stwierdzenie Protarusa. Raczej zagłodzi głodujących, niż pozwoli, by jego bogaci przyjaciele wściekli się na niego.

- Jeśli rzeczywiście odbędzie się wielka publiczna uroczystość wróżenia - powiedział Iraj - a ty ujrzysz, że czeka nas jeszcze wiele trudnych lat, a nie tylko jeden rok, to honor nakaże ci to powiedzieć. Czyż nie tak?

Safar próbował rozluźnić sytuację uśmiechem.

- Tylko po części powodem jest honor, Iraj - odparł. - W końcu ryzykuję swą reputacją czarodzieja. Jeśli po roku kłopoty nadal by trwały, nikt ponownie by mi nie zaufał.

Protarus przez dłuższą chwilę wpatrywał się w niego. Potem odwzajemnił uśmiech, którego jednak nie było widać w jego oczach.

- Rozumiem, dlaczego uważasz to za zbyt wielkie poświęcenie - rzekł.

Spotkanie zakończyło się tą przykrą uwagą. Tuż przed wyjściem Safara król powiedział:

- Och, prawie zapomniałem.

Safar stał przy drzwiach.

- Co takiego?

- Kapitan mojej drużyny mówi, że nadszedł czas, by Leiria wpadła do pałacu na odświeżenie umiejętności.

- Z pewnością jej to przekażę - odrzekł Safar.

Gdy drzwi zamknęły się za nim, Kalasariz wyszedł z przylegającej komnaty. Za nim pojawili się Luka i Fari.

- Cieszę się, że dałeś nam znak, panie, byśmy pozostali w zasięgu słuchu - powiedział Kalasariz. - To była wysoce oświecająca rozmowa. I muszę powiedzieć, że bardzo zgrabnie poradziłeś sobie z nim, Wasza Wysokość. Bardzo zgrabnie.

Zapadła już noc, gdy powóz Safara podjechał pod wspaniałą rezydencję. Padało tak mocno, że nie było widać nawet Księżyca Demonów.

- Safarze, kim jest ta lady Fatinah? - zapytała Leiria.

- Nie jestem pewien - odpowiedział. - Może być, a może nie być kobietą o złej reputacji.

- Musi być kimś więcej - rzekła Leiria - by ściągnąć na swój bankiet powitalny samego wielkiego wezyra.

Safar zerknął przez zasłony, ale noc była tak ciemna, że widział jedynie własne odbicie na szkle.

- To przez mojego głównego skrybę. Nie może oprzeć się łapówce. Pozbyłbym się go, ale te dodatkowe pieniądze, które zarabia w nieuczciwy sposób, czynią go tak skutecznym, że mam najlepszy rozkład zajęć ze wszystkich władców Esmiru.

- Mogłeś odmówić - odrzekła Leiria i obdarzyła go kpiącym uśmiechem. - Ale przypuszczam, że jesteś ciekaw jej widoku, jak każdy mężczyzna w mieście. Mówi się, że jest bardzo piękna.

- Nigdy nie wiem, czy przyjęcie jest wynikiem przekupstwa czy też należy do obowiązków -

odparł Safar. - Po prostu łatwiej jest mi chodzić na wszystkie. Poszwendam się przez jakąś godzinę ze względu na pozory, a potem się wymknę.

- Nie zaszkodzi, że jest piękna - dodała Leiria.

Safar roześmiał się.

- I o złej reputacji - odparł. - Nie zapominaj o tym.

Leiria roześmiała się wraz z nim. Sama była śliczną, egzotyczną kobietą odzianą w swój najlepszy mundur.

Ale Safar zauważył, że tego wieczoru była niezwykle ciekawska.

A jej sesja treningowa w pałacu odbyła się tego ranka.

Interesujące.

Nerisa ujrzała, jak mężczyzna wchodzi do środka.

Deszcz sprawił, że goście spóźniali się. Jednak po pewnym czasie zaczęła się zastanawiać, czy Safar pojawi się wraz z ostatnimi spóźnialsłymi. Był to trudny wieczór. Bardzo starała się być czarującą i dowcipną gospodynią dla grupy obcych jej osób, w tym samym czasie przygotowując się na chwilę jego przybycia.

Nie chciała, by pomyślał, że przebyła tę całą drogę dlatego, że czegoś od niego potrzebowała. Lady Fatinah umiała znakomicie troszczyć się o siebie i nie potrzebowała mężczyzny - nawet jeśli byłby nim wielki wezyr - który miałby o nią dbać. Nie, miała obowiązek do spełnienia. Zbyt długo odkładany obowiązek.

Jeśli chodzi o jej dziewczęce zadurzenie w Safarze, to działo się to lata temu. Przecież było dokładnie tym - dziewczęcym zadurzeniem. Safar był wtedy na tyle miły, by zauważyć to i nie poniżyć jej.

Zdecydowała, że gdy spotkają się, będzie spokojna i chłodna, tak jak spodziewano się po lady Fatinah.

Wtem ujrzała go przy drzwiach. W jednej minucie drzwi były puste, w drugiej odziany w liberię sługa wprowadzał go do środka.

Ktoś wskazał mu ją. Podniósł głowę i uśmiechnął się, gdy ich oczy spotkały się.

Nerisa przepadła.

Jego oczy były tak błękitne, jak je zapamiętała.

Safar był oszołomiony, gdy ujrzał zbliżającą się kobietę. Lady Fatinah była w każdym calu tak piękna, jak opowiadali ludzie. Może nawet jeszcze piękniejsza dzięki niesamowitej czarnej szacie z głębokim dekoltem odsłaniającym perłowy biust. Suknia przywierała do jej ciała, podkreślając smukłą sylwetkę.

Jednak gdy kobieta podchodziła ku niemu z szeroko otwartymi ramionami, jej twarz była zimną tarczą. Safara odrzucił chłód, a także jej blady uśmiech. Była kobietą, która z pewnością miała zamiar poprosić go o przysługę. Jego urzędnik wziął łapówkę i tyle.

Potem ich palce zetknęły się i Safar poczuł, jak ona drży. Zajrzał w jej oczy i ujrzał tańczące, złote plamki. Zobaczył, jak jej usta krzywią się w znajomym wygiętym uśmiešku.

- Panie, to Nerisa! - syknął Gundara z kieszeni na piersi.

Ale Safar już wiedział. Był wstrząśnięty, widząc jak mała Nerisa powstała z martwych i wróciła jako piękna lady Fatinah.

Nerisa uściśnęła jego rękę ciepło i mocno. Wyszeptała:

- Nie wydaj mnie. - Potem dodała na tyle głośno, by wszyscy usłyszeli: - Jakże uprzejmie z twojej strony, lordzie Timuro, że zawitałeś w me skromne progi.

Safar wymruczał odpowiednio uprzejmą odpowiedź.

- Obawiam się, że zaczęliśmy bez ciebie, mój panie - powiedziała Nerisa, wskazując na stoły zastawione jadłem. - Skończymy formalności i przyłączymy się do pozostałych, zanim umrzesz z głodu. Może później, jeśli nadal będziesz w tak łaskawym dla mnie nastroju, nieco pogawędzimy, by poznać się bliżej.

Safar otrząsnął się na tyle, by wykonać niezgrabny ukłon. W oszołomieniu pozwolił, by sługa odprowadził go do sali, w której odbywał się bankiet.

Gdy już usiadł, zdał sobie sprawę, że nie zostawił rozkazów Leirii, która wciąż stała w wejściu. Obrócił głowę i ujrzał, jak kobieta patrzy w jego kierunku z kamiennym wyrazem twarzy. Wyszeptał słudze wiadomość, by dołączyła do pozostałych strażników w spiżarni. Ale gdy wiadomość dotarła do Leirii, kobieta wściekle potrząsnęła głową, wysyczała coś w odpowiedzi, a potem wyszła w burzę.

Gdy sługa powrócił, Safar nie był zdziwiony jej odpowiedzią:

- Proszę przekazać Jego Dostojności podziękowania, ale poczekam w jego powozie.

Niedobrze.

Wtedy usłyszał śmiech Nerisy - ten naturalny, głęboki śmiech, przedzierający się przez jej fasadę bogatej lady - i zupełnie zapomniał o Leirii.

Deszcz sprawił, że bankiet rozpoczął się późno, ale dzięki temu przyjęcie szybko się skończyło. Goście wysypywali się na zewnątrz, opowiadając, jak cudownie spędzili czas, ale Jej Dostojność zrozumie, że z powodu burzy muszą spieszyć do domu.

Nerisa mamrotała uprzejme pożegnania, ale przez cały czas jej uwaga skupiona była na Safarze, trzymającym się na uboczu w odległym kącie przy werandzie. Czuła się, jakby wszystkie dzielące ich lata skurczyły się do paru dni lub tygodni. Stare emocje znów ożyły, rwące potoki uczuć rozbiły jej dorosłe postanowienie.

Nazwała siebie głupcem, myśląc, że stres wywołany spotkaniem wzbudził niemądre emocje. A jeśli nawet wciąż żywiła ciepłe uczucia wobec niego, Safar nigdy ich nie podzielał. Był tylko miły wobec opuszczonej sierotki. Uprzejmość nie równa się miłości.

Ponownie się uspokoiła i, gdy ostatni z gości wyszedł, podeszła do niego spokojnie i niedbale, niczym wielka pani idąca na powitanie starego, drogiego przyjaciela.

Ale gdy dotarła do niego, Safar skoczył na równe nogi, mówiąc:

- Na bogów, Neriso, myślałem, że nie żyjesz!

I zgniótł ją w uścisku.

Na zewnątrz Leiria skuliła się w powozie i zerknęła w okna domu zza zasłonek. Nawet mimo ulewy dostrzegła znajomą postać Safara przechadzającego się przed frontowymi szerokimi, przeszkłonymi drzwiami werandy.

Ujrzała, jak zbliża się kolejna figura - smukła sylwetka kobiety.

Trzasnęła błyskawica, w jednej chwili oślepiając ją.

Gdy znów mogła widzieć, ujrzała, jak Safar i ta kobieta obejmują się.

Ostatnie ślady łagodnego zakłęcia zapomnienia rzuconego przez Methydię znikły, gdy Nerisa znalazła się w jego ramionach.

Wybuchły w nim tysiące myśli i uczuć, podczas gdy kolejne tysiące tłoczyły się, domagając posłuchu.

Ale on zdołał tylko powiedzieć:

- Nerisa, moja mała Nerisa.

Całował jej włosy, policzki, łyzy płynące z oczu, przyciskając ją do siebie, jakby siła uścisku mogła powstrzymać ją przed zamianą w ducha i wymknięciem z jego ramion.

Wtem ich usta spotkały się, a uścisk zmienił swój charakter.

Stało się to tak nagle, że nie było czasu na zadawanie pytań, a tym bardziej na zdziwienie.

Nerisa przytuliła się do niego, łkając i mamrocząc jego imię. Oto tkwiła w dawnym, słodkim śnie, a jej Safar przytulał ją, całował i szeptał czule słówka. Rozpaliła ich bezbrzeżna namiętność.

Kobieta otworzyła oczy i ujrzała odbijający się na szkle drzwi od werandy wstrząśnięty wyraz twarzy swego majordomusa. Ale nie dbała o to. Machnęła ręką, odprowadzając go nieuprzejmie, podczas gdy Safar ciągnął ją w głąb domu.

- Tak, tak, proszę tak - powiedziała i jakoś zdołała skierować go do swych komnat.

A potem znaleźli się w wielkim, miękkim łóżku, zdzierając z siebie nawzajem ubrania.

- Po mojej ucieczce z Walarii - powiedziała znacznie później Nerisa - zostałam chłopakiem z karawany. - Uśmiechnęła się na to wspomnienie, moszcząc się głębiej w ramionach Safara. - Zawsze nieźle udawałam chłopca.

Safar pieścił ją delikatnie.

- Teraz już by ci to tak łatwo nie przyszło - rzekł.

Nerisa zachichotała.

- Właściwie dość szybko stało się to problemem - odparła. - Nagle rozkwitłam, jak to delikatnie ujmują stare babcie. Pewnego dnia moje bryczesy przestały układać się na biodrach. Potem zaczęłam rozsadzać szwy męskiej koszuli. Musiałam się obwiązywać i znaleźć luźniejsze ubrania.

- Nikt nic nie podejrzewał? - zapytał Safar.

Potrząsnęła głową.

- Nie, nigdy. Och, parę razy obrzucono mnie dziwnymi spojrzeniami. Ale tylko tyle. Zerkano na mnie drugi raz, a potem już wcale.

- Pozostaje wciąż wielka przepaść między chłopakiem z karawany a bogatą lady Fatinah - rzekł Safar.

- Oczywiście, że tak - odparła Nerisa. - Chociaż wtedy tak to nie wyglądało. Miałam trochę pieniędzy - złota, które mi dałeś. Zainwestowałam w kilka towarów karawany. Nieźle na nich zarobiłam, więc zainwestowałam więcej. - Zaśmiała się. - Okazało się, że mam talent do handlu. Wszystkie te lata małej złodziejki dobrze mi posłużyły, gdy przyszło do znajdowania okazji i wybierania towarów dobrej jakości. Po pewnym czasie miałam wystarczająco pieniędzy, by zostać pomniejszym partnerem zamożnego pana karawany.

- Tak się składa, że był to lord Fatinah? - zapytał Safar.

Nerisa skrzywiła się.

- To prawda, że nazywał się Fatinah - powiedziała. - Ale nie był lordem, a jedynie kupcem. Starym, grubym i miłym. Przynajmniej tak myślałam, że jest miły. Traktował mnie jak syna. - Zaśmiała się ponownie. - Jak się okazało, po prostu miał słabość do przystojnych chłopców.

Safar wiercił się.

- Masz na myśli, że on...?

- On... nic - odparła Nerisa. - Fatinah był szlachetnym staruszkiem. Wierzył, że niestosownie jest kogoś wykorzystywać. Nigdy nie dowiedziałam się o jego uczuciach pod moim adresem... a raczej pod adresem chłopca, którym, jak wierzył, byłam... aż do chwili jego śmierci. Wtedy wyznał mi wszystko. Przysiągł, że mnie kocha. I dał mi swój testament, w którym oznajmiał, że wszystko odziedziczę. To właśnie wtedy stałam się kobietą... i wdową po nim. W innym przypadku testament nie utrzymałby się. Nikt by nie zrozumiał, ani nie uwierzył, że oddał taką fortunę zwykłemu chłopcu. Tak więc wymyśliłam ślub, zapłaciłam pewnym ludziom, by sporządzili potrzebne dokumenty. Nikt nie kwestionował, że staruszek może być na tyle głupi, by zostawić wszystkie pieniądze żadnej zysku młodej kobiecie. Ale i tak pojawiły się plotki, że go zabiłam. Zwłaszcza po tym, gdy kupiłam niezbędne świadectwa czyniące go szlachcicem.

- Nikt tego nie kwestionował?

Nerisa podniosła się na łokciu. Na jej ustach błąkał się skrzywiony uśmiezek. Był to uśmiech, który podniósł w jego sercu falę miłości, nie tylko zwykłą czułość.

- Jeśli udajesz królową - odparła - i robisz to dobrze, nikt niczego nie kwestionuje. Zwłaszcza, jeżeli masz pieniądze. Poza tym, wtedy w całym Esmirze panował straszny chaos. Wszystko przewróciło się do góry nogami. Wykorzystałam to zamieszanie, prowadząc karawany do miejsc, do których nikt inny nie odważył się zawitać. Pewnie zabiłam fortunę na kłopotach innych, ale przynosiłam im to, czego potrzebowali. Odkupywałam rzeczy, z których więcej nie mieliby pożytku. I pocieszałam się myślą, że jestem córą cierpienia. Wierzyłam, że mam do tego prawo.

- Zapewne tak właśnie było - powiedział Safar. - Kiedyś powiedziałbym inaczej. - Uśmiechnął się na te słowa. - Ale na świecie jest tyle znacznie groźniejszych złodziei, którzy trudnią się kradzieżą marzeń. To złodzieje, którzy cię łamią. Zabiliby wszystkich twych najdroższych, zmuszając do patrzenia, by potem zabić i ciebie. A później wyrwaliby twe serce i podali je na obiad jakiemuś czarnoksiężnikowi.

Nerisa objęła go, zarzucając wokół niego ręce i nogi. Jej miękkie ciało stało się tarczą, pocieszając go i chroniąc przed wszystkimi diabłami, które go dręczyły.

Była Nerisą, złodziejką z Walarii, która miała nie pozwolić, by jej ukochanemu mężczyźnie kiedykolwiek stała się krzywda.

Później zabrała go do pokoju dziecinnego, by zobaczyć Palimaka. Dziecko obudziło się. Jego orzechowe oczy odbijały światło niesionej przez nią świecy.

Nerisa podniosła dziecko, owijając je ciasno ulubionym kocykiem. Było pulchną istotką z ciemnymi włosami, oliwkową skórą i perłowymi mlecznymi zębami.

- To jest Safar - zwróciła się do dziecka. - To ten mężczyzna, o którym opowiadałam ci przez te wszystkie miesiące. - Uśmiechnęła się nerwowo do Safara. - To Palimak - powiedziała. - Mój syn.

Palimak obrócił swą puciołowatą twarzyczkę, by spojrzeć na Safara. Zamachał stopami w zachwycie i uśmiechnął się.

Jego oczy rozjarzyły się i Safar, wstrząśnięty, zobaczył, jak orzechowa barwa zamienia się w

jaskrawą żółć.

Żółć spojrzenia demonów!

Serce Nerisy zabiło mocno, gdy zobaczyła wyraz twarzy ukochanego.

Safar uśmiechnął się słabo, z wysiłkiem, i wyciągnął dłoń. Palimak schwycił jego palec wskazujący i ścisnął.

- Jest silny! - powiedział Safar, siląc się na komplement, pomimo zmieszania szalejącego w jego duszy.

Dziecko zagulgotało z radością. Potem zwymiotowało, brudząc siebie i koszulę nocną Nerisy.

- Och, ty niedobry chłopaku! - zbesztła go Nerisa. - Ja tu próbuję popisać się tobą, a ty zachowujesz się jak prosiak. - I wybuchła płaczem.

Safar usiadł obok niej, obejmując ich oboje.

- Dlaczego płaczesz? - zapytał. - Dzieci brudzą i tak to już jest. Oczywiście, sprawiają też, że się je kocha. Zapytaj moich sióstr, jakim ja byłem flejtuchem! Nie. Jeśli się nad tym zastanowić, to lepiej nie. Opowiedzą ci, jakim byłem brudasem ze wszystkimi wstrząsającymi szczegółami.

Zamiast uspokoić Nerisę, jego słowa tylko ją rozwścieczyły.

- To nie dlatego płaczę - powiedziała. - A ty o tym dobrze wiesz.

Sięgnęła do kieszeni koszuli, wyciągnęła jakiś przedmiot i rzuciła go na łóżko.

- Masz! - rzekła. - Oto twój przeklęty stary nóż.

Safar gapił się na niego. Był to srebrny sztylet, подарowany mu dawno temu przez Coraleana.

Nerisa wytarła oczy, odzyskując kontrolę.

- Po to tu przyjechałam - tłumaczyła. - Oddać ci sztylet. Jest twój. Nie powinnam go zatrzymywać. I byłam słaba i głupia, bo dostarczyłam go osobiście, zamiast wysłać przez posłańca.

Palimak zaczął płakać, co jeszcze bardziej rozgniewało Nerisę.

- No i widzisz, co narobiłeś?

Safar nie wiedział, o co chodzi.

- Co takiego zrobiłem?

- Widziałam to spojrzenie na twojej twarzy - odparła Nerisa. - Uważasz, że jest potworem! Dziwadłem, pół-demonem, pół człowiekiem. No cóż, do cholery z tobą. Ja się zabawiłam. Spełniłam swoje dziewczęce marzenie. Safar Timura, mój wielki ideał. Człowiek, który ma w sobie tyle łagodności, że zrozumie wszystko i wszystkich. - Zaśmiała się gorzko. - Powinnam lepiej wiedzieć. To dla mnie dobra nauczka. A teraz Palimak i ja ruszamy w drogę. I do diabła z tobą! Niech mnie samą piekło pochłonie za to, że zrobiłeś ze mnie taką idiotkę!

Safar sam się zaczął wściekać.

- Chyba to nie było zbyt sprawiedliwe - rzekł. - Mogłaś mnie przynajmniej ostrzec. Mogłaś przynajmniej...

Przerwał mu głos:

- Zamknij się, zamknij, zaaamkniiij!

Safar pacnął kieszeń tuniki.

- Przestań - warknął. - Nie mam nastroju na wysłuchiwanie twoich kłótni z Gundaree.

Malutki ulubieniec wyskoczył z kieszeni na łóżko. Położył ręce na swych wąskich biodrach.

- Wcale nie mówię Gundaree, żeby się zamknął - odrzekł. Spojrzał na Safara, Nerisę, a potem Palimaka. Jego wzrok powrócił do Safara. - Mówię, panie, do ciebie, żebyś się zamknął. I do ciebie też, Neriso. - Westchnął. - Byłaś pierwszym stworzeniem od tysiąca lat, które dało mi słodycze -

powiedział do Nerisy. - A ty - zwrócił się do Safara - byłeś dobrym panem, jeśli rozważę swoich poprzednich panów. Inaczej nie powiedziałbym ani słowa. Jeśli wy dwoje zamierzacie nadal robić głupie ludzkie błędy, to co mi do tego? Ale sądzę, że jednak mnie to obchodzi. Tak więc mówię, zamknąć się!

- Jakie błędy? - zapytała Nerisa.

- On pomyślał, że masz męża - powiedział Gundara Nerisie. - Męża-demona. Ona pomyślała, że nie chciałaś trzymać na rękach potworka, a tym bardziej nie chcesz kobiety, która przespała się z demonem - rzekł Safarowi.

- Nie mam męża - odparła Nerisa. - Ani demona, ani żadnego innego. Palimak to znajda. Sierota. Tak jak i ja.

- A ja nie dbam o to, z kim sypiałaś, a z kim nie - odrzekł Safar. - To nie mój interes. A jeśli sądzisz, że mogłem pomyśleć o Palimaku jako o potworze, to jest to nieprawda. Jest dzieckiem. Lubię dzieci. Zapytaj mojej matki. Zapytaj ojca.

- No i widzicie? - zapytał Gundara. - Czyż to nie łatwe?

Wskoczył na łóżko, rosnąc coraz bardziej. Połaskotał Palimaka pod brodą. Dziecko zagulgotało z przyjemności.

- Dlaczego nie zostawicie go ze mną? - zapytał Gundara. - Idźcie z powrotem do sypialni i róbcie, co tam uważacie za słuszne, żeby się wzajemnie przeprosić.

Mały Ulubieniec nie zwracał uwagi na pomruki kochanków. Nie obrócił się, by spojrzeć, jak wyslizgują się z pokoju. Skupił się całkowicie na dziecku o rozżarzonych żółtych oczach.

- Co za mały przystojniaczek - oznajmił. - Ma moje oczy. Wiesz już jak mówić?

Palimak bełkotał, machając rączkami i nóżkami.

- Pewnie nie - powiedział Gundara. Zmniejszył się i wskoczył na klatkę piersiową dziecka. Robił śmieszne, ropusze miny, a Palimak śmiał się. Jego oczy żarzyły się coraz mocniej.

- A wiesz jak się mówi „zamknij się”? - zapytał Gundara. - No dalej, spróbuj. Powiedz: Zamknij się. Zamknij się. Zaaamkniiiiij się!

I Palimak wypowiedział swe pierwsze słowa:

- Zamknij się!

- Mój chłopczyk - odparł Gundara. - Czyż nie sprawisz mamie rano niespodzianki?

- Zamknij się, zamknij się! - krzyczało dziecko. - Zamknij się, zaaamkniiij się!

- Jak rozumiem - rzekł Kalasariz - lord Timura i ta kobieta Fatinah od tygodni przebywają w swoim towarzystwie.

- Tak właśnie jest, mój panie - rzekła Leiria. Obróciła się do Protarusa. - Rozeznanie lorda Kalasariza bierze się z moich codziennych raportów, które mu składam, Wasza Wysokość. Raportów, które sam, panie, nakazałeś sporządzać.

Protarus uśmiechnął się.

- Chciałem to usłyszeć z twoich ust, Leirio - rzekł.

- A więc wszystko usłyszałeś, Wasza Wysokość - odparła. - Prócz paru godzin w dniu roboczym lord Timura i lady Fatinah nie rozstają się ze sobą, począwszy od wieczoru, w którym się spotkali.

- Czy nie martwi cię to, Leirio? - zapytał Kalasariz. - Odniosłem wrażenie, że ty i lord Timura od paru lat byliście kochankami.

Leiria wzruszyła ramionami.

- Było to moim obowiązkiem - odrzekła. - Król o tym wie.

Protarus zachichotał.

- I jakże niewdzięcznym obowiązkiem - powiedział Kalasarizowi. - Mój przyjaciel Timura może być wielkim wezyrem Esmiru, ale nie jest tak dobry w łóżku jak ja. - Potem dodał do Leirii. - Nieprawdaż, moje złotko?

- Nie mam zbyt dużego doświadczenia z mężczyznami, panie - odparła. - Ale ty jesteś takim lwem, że każdy inny sprawia mi zawód.

Protarus ryknął śmiechem.

- Widzisz, jak to jest? - zwrócił się do Kalasariza. - Kiedy zabawiam się z kobietą, to ma taką przyjemność, że niech to cholera! Powinieneś słyszeć łkania w moim haremie, gdy wybieram, kto ma się cieszyć królewskim uściskiem, a kto musi poczekać na następną noc.

Kalasariz uśmiechnął się szeroko.

- Wszyscy w Esmirze wiedzą o twych umiejętnościach, Wasza Wysokość - odpowiedział.

Zastanowił się nad Leirią. W czasie ich pierwszego spotkania zobaczył, jak obrzuca Safara rozkochanym spojrzeniem i wiedział, że pewnego dnia będzie to mógł wykorzystać. Zdrada Safara była szczęśliwym zbiegiem okoliczności, ponieważ dała Leirii dobry powód do poszukiwania zemsty. W innym przypadku, bez względu na królewskie rozkazy, nie mógłby zaufać jej raportom na temat poczynań Safara.

- Chyba już cię nie potrzebujemy w tym momencie, Leirio - oświadczył, odprawiając ją. - Zamelduj się u mnie jutro o tej samej porze.

Leiria dotknęła dłonią rękojeści miecza i skłoniła się na wojskowy sposób.

- Jak sobie życzysz, mój panie - powiedziała i wyszła.

Protarus patrzył za nią, rozmyślając. Potem odezwał się:

- Ta Fatinah musi być zdumiewająca, skoro tak omotała Safara.

- Jest niezwykle piękna, Wasza Wysokość - odparł Kalasariz. - Sam bym nie miał nic przeciwko temu, żeby z nią pobaraszkować.

- Wątpię, czy będziesz miał ku temu okazję - rzekł Protarus. - Lord Timura poprosił mnie o zgodę na poślubienie jej.

Kalasariz uniósł brwi.

- I udzielisz jej, Wasza Wysokość?

- Nie wiem, jakbym mógł mu odmówić - stwierdził Protarus. - To rutynowa prośba, wymagana prawem od moich dworzan. Nigdy jeszcze nie powiedziałem nie.

- Ale my nic nie wiemy o tej kobiecie, Wasza Wysokość - odparł Kalasariz. - Sam ten fakt powinien wzbudzić w nas ostrożność. Moi szpiedzy poszukiwali informacji o niej w całym Esmirze. Bez skutku. Najwyraźniej po prostu pewnego dnia pojawiła się. Bogata szlachcianka, o której nikt wcześniej nie słyszał.

- I ma dziecko - powiedział Protarus.

- Tak, ale czyje to dziecko? To też tajemnica. Jak mężczyzna może chcieć poślubić kobietę, która spała z innym? - zastanawiał się król. - Jakkolwiek by nie była piękna.

- Mam te same odczucia, Wasza Wysokość - powiedział Kalasariz. - Rozważając inne aspekty tej sprawy, moje podejrzenia rosną jeszcze bardziej.

- Sądzisz, że jest niebezpieczna?

- W całym Esmirze nie znam kobiety takiej jak ona - odparł Kalasariz. - W jakiś sposób stała się

niezwykle bogata. Ze wszystkich raportów wynika, że każdego dnia staje się coraz bogatsza dzięki sprytnym transakcjom. Nie ma nad sobą żadnego mężczyzny, a przynajmniej nie było takowego, dopóki nie wkroczyła w życie lorda Timury. I moim zdaniem przed nim również nie odpowiada.

- Sądysz, że mu doradza?

- Byłoby to bezpieczne założenie, panie. Jest z pewnością kobietą o silnej woli. I ambitną. Protarus wiercił się, bębniąc pierścieniami o poręcz tronu. Potem dodał:

- Tak właśnie jest, nieprawdaż? Usidliła mojego wielkiego wezyra. Co będzie dalej?

- O tak, Wasza Wysokość - odrzekł Kalasariz. - Co dalej?

Tam, gdzie czekają kruki

Wielki Pałac Zanzairu był pełen nawiedzonych komnat, krzyków w nocy i konspiracyjnych szeptów szemrzących w ciemnych korytarzach niczym suchy wiatr. Cuchnął wiekami intryg i zdrad. W ciągu setek lat przelano tu wiele krwi i wciąż można było znaleźć miejsca, w których kamienne posadzki nosiły mroczne ślady zbrodni.

W tym pałacu na tron wstąpiło wielu królów i równie wielu upadło, ale ich rządów nie upamiętniały szlachetne pomniki. Zabójcy byli mrocznymi posłańcami zwiastującymi każdemu z władców koniec ich życia. Królewska głowa zatknięta na palu przed główną bramą oznaczała początek. Uczujące kruki pierwsze słały imię nowego monarchy.

Teraz Iraj Protarus był królem, a intryga i zdrada miały się równie dobrze jak przed nastaniem jego rządów. Safar wyczuwał niebezpieczeństwo, przechodząc przez wielkie główne wrota. Straże stanęły na baczność i zaszalutowały wielkiemu wezyrowi. W powietrzu unosił się siarczany zapach czarnej magii. Kamienny bożek ukryty pod oficjalną tuniką wysyłał ostrzegawcze iskielki.

W wezwaniu Safara do króla nie było nic niezwykłego, jednak gdy szedł przez pałac - z Leirią trzymającą się kilka kroków w tyle - obróciło się ku niemu wiele twarzy. Niektóre patrzyły na niego, rozważając, inne błyskały nienawiścią, a niektóre - miał nadzieję, że było ich więcej - wydawały się mu współczuć.

Gdy zbliżył się do drzwi prywatnej kwatery Iraj, otworzyły się i wyszły trzy osoby zwrócone do niego plecami, kłaniając się i pokornie usprawiedliwiając przed „Jego Łaskawą Wysokością”.

Strażnik zamknął drzwi i postacie obróciły się. Każda z nich zareagowała inaczej na widok stojącego Safara.

Pierwszy, Kalasariz, był radosny.

- Dzień dobry, lordzie Timuro - powiedział. - Mam nadzieję, że nie narzekasz na dzisiejszy dzień.

- Jest znośny, dziękuję - odparł Safar, kiwając głową szefowi szpiegów.

Drugi, król Luka, był arogancki.

- Wielki wezyrze - wyrzekł za ledwie te dwa słowa i kiwnął głową, ledwo zauważając obecność Safara.

Safar odskłonił mu się, ale nic nie powiedział.

Trzeci, lord Fari, był nerwowy.

- Jakże miło cię zobaczyć, lordzie Timura - rzekł. - Minęło sporo czasu, odkąd cieszyłem się twym towarzystwem. Może zaszczybisz któregoś wieczoru swoją obecnością mój skromny dom?

Safar pochylił głowę w lekkim ukłonie.

- To będzie zaszczyt być twym gościem, panie - odparł.

Fari zadrżał, a w jego żółtych oczach pojawił się błysk przerażenia.

- Doprawdy, tak - powiedział stary demon. - Oczywiście, jesteś jednak tak bardzo zajęty swymi obowiązkami wielkiego wezyra, że niestety podejrzewam, iż minie sporo czasu, zanim będziesz mógł

do mnie przybyć.

- Nigdy nie jestem dość zajęty dla ciebie, lordzie Fari - oświadczył Safar. Nie mógł sobie odmówić podrażnienia się z nim.

Fari niespokojnie machnął szponami.

- Polecę mojemu sekretarzowi skontaktować się z twoim - poinformował - i zaaranżować spotkanie któregoś wieczoru.

- Dziękuję ci, panie - odpowiedział Safar, ponownie kłaniając się lekko. - Z niecierpliwością będę oczekiwał twego łaskawego zaproszenia.

Strażnik pojawił się, dając znak, by Safar wszedł do królewskich komnat. Safar pożegnał się uprzejmie z trzema dostojnikami i wszedł, pozostawiając Leirię w holu.

Iraj siedział przy biurku, przeglądając raporty. Przynajmniej tak to wyglądało. Miał pochyloną głowę, ale skupił się na jednym fragmencie tekstu, zamiast przeglądać słowa lub cyfry, co zdradziło, że jego całkowite zaabsorbowanie królewskimi obowiązkami było tylko pozą.

Safar odchrząknął, a Iraj podniósł głowę. Uśmiechnął się, ale jego oczy pozostały zimne.

- Ach, jesteś już, Safarze - powiedział król. - Napij się. Rozgość się.

Safar usiadł i nalał sobie kieliszek brandy z barku na biurku. Iraj udawał, że powraca do raportów, ale zdradziły go upierścienione palce bębniące w poręcz krzesła.

W końcu Iraj skinął głową, zamknął z trzaskiem raporty i podniósł głowę, zwracając uwagę na Safara.

- Trochę to dla mnie trudne, Safarze - rzekł - ale muszę porozmawiać z tobą jak mężczyzna z mężczyzną i jako przyjaciel.

Safar poczuł, jak kamienny żółw żarzy się coraz bardziej, niemal go parząc.

- Jak zwykle, Iraj - rzekł i uśmiechnął się.

- Chciałbym porozmawiać o twojej prośbie o rękę lady Fatinah.

- Co z nią?

- Czy uważasz, że to rozsądne, mój stary przyjacielu? - zapytał Iraj. - Rozumiem, że jest piękną, i gratuluję ci gustu, ale małżeństwo?

- Kocham ją, Iraj - oświadczył Safar. - W Kyranii małżeństwo niemal zawsze jest następstwem miłości.

Iraj zaśmiał się nerwowo.

- To była Kyrania - powiedział. - A ty już nie jesteś zwykłym garncarzem. Jesteś wielkim wezyrem - drugim po mnie pod względem ważności. Możesz mieć każdą kobietę, którą zechcesz. W łożu, albo w małżeństwie, jeśli o to chodzi.

- Wiem o tym, Iraj - odparł Safar. - I wybieram lady Fatinah do obu tych celów.

- Ale ona może nie być dla ciebie odpowiednia - przerwał Iraj - bez względu na to, jak jest piękna.

- Dla mnie jest kimś, na kogo zwykły garncarz, jak to określasz, pewnie nie zasługuje. Mam na myśli to, że mnie kocha. Czego więcej mógłbym oczekiwać od kobiety?

- Oto, co myślę - odparł Iraj, pochylając się nad biurkiem. - To tylko zwykłe romantyczne zauroczenie. Wiesz, że masz słabość do takich uczuć. Pamiętasz Astarias? Pomyślałeś, że oto wstało słońce i rzuciłeś się na nią. Ogłosiłeś swą miłość do gór. I nawet poprosiłeś, by za ciebie wyszła. A ona wyśmiała cię, jeśli sobie to przypominasz.

- Jednak ta kobieta mnie nie wyśmiała - rzekł Safar.

Iraj wpatrywał się w niego przez chwilę, a potem powiedział:

- Proszę cię jedynie o ponowne rozważenie sprawy.

Safar zaczął mówić, jednak Iraj uniósł dłoń, by go powstrzymać.

- Wiem, że jesteś uparty, Safarze - stwierdził - tak więc nie odpowiadaj mi natychmiast. Rozważ to przez dzień lub dwa. Potem ponownie porozmawiamy. Proszę cię, byś to zrobił dla mnie jako przyjaciel.

Safar stłumił w sobie odmowę.

- Dobrze, Iraj - odparł. - Zrobię, jak prosisz.

Nie zmienił zdania, ale zgoda dałaby mu czas na rozpoznanie przeszkody i znalezienie sposobu na jej obejście. Safar usiłował obrócić sytuację w żart.

- Jeśli Iraj chce dwóch dni, bym ochłonął, to je dostanie.

Protarus nie odpowiedział. Jego oczy lśniły, jakby przebywał myślami gdzieś indziej. Nagle powróciła w nie czujność.

- Cóż, z jednym problemem poradziłem sobie dość łatwo - oznajmił Protarus, usiłując nadać słowom lekki ton. - Przejdźmy do drugiego.

- A co nim jest?

- Obawiam się, że to kolejna delikatna sprawa, przyjacielu - odparł. - Tak więc postaraj się zachować otwarty umysł, tak jak poprzednio.

- Spróbuję.

- Chodzi o wróżbę - powiedział Iraj. - O pytanie bogów, co kryje przyszłość.

Safar jęknął w duchu. Pozwolił jednak, by po twarzy błąkał mu się smutny uśmiech.

- A więc to właśnie tym zajmowali się tutaj moi koledzy - stwierdził. - Cóż, inaczej pomyślałbym, że zebrali się tu wszyscy, by wyśpiewywać królowi pochwały na moją cześć.

Iraj zmarszczył brwi.

- Nie padło żadne słowo przeciwko tobie - powiedział, ucinając jego słowa krótko. - Nie pozwoliłbym na to.

Safar umiał rozpoznać kłamstwo w dowolnej postaci.

- Oczywiście, że nie, Iraj - odparł jednak. - W końcu jesteśmy braćmi krwi. I żaden mężczyzna honoru nie pozwoli mówić nic przeciw swemu bratu krwi.

Iraj wpatrywał się w niego swym najbardziej nieruchomym spojrzeniem.

- Nigdy - zgodził się. Jego policzek drgnął. Tak więc dodał jeszcze bardziej stanowczo: - Nigdy!

- A więc jakie to propozycje mieli moi przyjaciele względem wróżenia? - zapytał Safar.

- Fari zaproponował kompromis - poinformował Iraj. - Niech będą to dwa lata zamiast jednego roku. Moi poddani włożą w działanie równie wiele serca. Dwa lata to niedługi czas oczekiwania na nadejście Wieku Wielkiej Łaski.

- Och, nawet już ma swoją nazwę? - zapytał Safar. - Wiek Wielkiej Łaski?

- Nazywaj to jak chcesz - odpowiedział Iraj - byle brzmiało pozytywnie. Sęk w tym, że chcemy powiedzieć, i to bardzo zdecydowanie, że wszystko pójdzie ku lepszemu, jeśli tylko dokonamy odpowiednich poświęceń i będziemy cierpliwi.

- Dam ci tę samą odpowiedź, co poprzednio, Iraj - odparł Safar. - Nie będę kłamał. Dodatkowy rok nie sprawi, że złych lat będzie coraz mniej. Ani trzy, ani nawet pięć.

Protarus wyglądał na zaniepokojonego.

- Pięć lat! - rzekł. - Chyba nie sądzisz, że to potrwa aż tyle czasu, prawda?

- Nie mam pojęcia - tłumaczył Safar. - I o to właśnie chodzi. Nikt tego nie wie. Żaden wieszcz wróżący z kości albo z wnętrzości, ani żaden Obserwator Gwiazd w całym królestwie nie umie tego powiedzieć. Znaki nic nam nie mówią. Zupełnie, jakby nie słuchali nas żadni bogowie.

- To śmieszne - powiedział Iraj, czerwieniąc się. - Oczywiście, że nas słuchają. Z jakiego innego powodu siedzę na tym tronie? Kto inny doprowadził mnie tutaj, jeśli nie bogowie? Jest Księżyc Demonów. Jest Kometa w ascendencji. Dawno temu miałeś wizję. Wszystkie te znaki wskazują, że zesłały je same niebiosy!

Safar wiedział, że lepiej się nie kłócić. Iraj skoncentrował się na idei boskiego przeznaczenia, gdy jeszcze byli chłopcami. Nie było sensu go podważać, a poza tym groziło to niebezpieczeństwem.

- Cokolwiek jest tego powodem - odparł - bogowie nie odzywają się.
- Po prostu powiedz to wszystkim - nalegał Iraj. - Powiedz, że za dwa lata wszystko będzie dobrze. Będziesz zgadywał, jak w każdym innym przypadku.

- Nie mogę - powiedział Safar.
- Twój cenny honor! - prychnął Iraj.
- Mniej więcej - odpowiedział Safar.
- Fari nie ma z tym problemów - rzekł Iraj. - Powiedział mi, że cały czas robił takie rzeczy dla Manacii.

- I spójrz, dokąd to zawiodło Manację - oświadczył Safar.
Iraj wpatrywał się w niego gniewnie.
- To nie ma nic wspólnego z naszym tematem - powiedział. - Mówiłem o honorze, nie o Manacii.
- No cóż, jeśli kłamstwo nie sprawi kłopotu Fariemu - rzekł Safar - to niech on to zrobi. Może przecież nadzorować całą uroczystość. Uczty. Ofiary. Modły. A potem wielkie kłamstwo. Powiadom mnie, jaką datę wybrałeś, tak bym zadbał o swoją nieobecność.

- Co za cholerna głupota! - krzyknął Iraj. - Jesteś moim wielkim wezyrem! Wszyscy pomyślą, że mi się sprzeciwiasz i umyślnie jesteś nieobecny, by pokazać swą dezaprobatę.

- To dopiero jest problem, nieprawdaż? - zapytał Safar.
- Cóż, więc pozbadźmy się go - rzekł Iraj. Uspokoił się. Błysnął swoim najczarowniejszym uśmiechem. - Po prostu zrób, o co cię proszę Safarze. To przysługa dla przyjaciela.

- Nie ryzykuj tym końca naszej przyjaźni - ostrzegł Safar. - Gdyby do tego doszło, popełnilibyśmy smutny błąd.

Iraj trząsł się z wściekłości. Przez chwilę Safar myślał, że król straci nad sobą kontrolę. Nagle Iraj rozluźnił się. Westchnął głęboko, opróżnił kielich, a potem westchnął ponownie.
- Jakim trudnym jesteś człowiekiem, Safarze Timuro - rzekł. - Niezmienny jak same góry.
- Nie jestem z tego dumny - odparł Safar. - Tak mnie po prostu wychowano.
- A zatem podziękuję bogom - zaśmiał się Iraj - że mam tylko jednego przyjaciela z Kyranii. Inaczej już dawno bym zupełnie zwariował.

- Jest tylko jedno wyjaśnienie, Wasza Wysokość - powiedział lord Fari. - Wielki wezyr najwyraźniej oszalał.

Protarus spojrzał zdziwiony.
- Safar szalony? - zapytał. - Ależ on zawsze był jedną z najbardziej zrównoważonych osób. Och, ma parę głupich wad, oczywiście, jak na przykład ta jego obsesja na punkcie Hadinu. Ale szaleństwo?

Król, prowadzony przez Farięgo, Lukę i Kalasariza, szedł wąskim korytarzem ku komnatom, w których mieściło się niegdyś Necromantium Manacii. Powietrze było stęchłe i cuchnęło płynami do balsamowania. Kroki rozbrzmiewały nienaturalnie głośno, gdy zbliżali się do komnat. Donośny dźwięk sprawiał, że sytuacja wydawała się surrealistyczna.

- Jeśli mogę cię oświecić, Wasza Wysokość - zaczął Fari - szaleństwo jest chorobą, której nieustannie muszą się strzec wszyscy magowie. Jestem bardzo stary i wiem, o czym mówię. Widziałem wielu młodych czarodziejów, nad którymi potężne siły odniosły zwycięstwo. A Safar musi się z nimi liczyć. Zapomina, że cała prawdziwa moc tkwi w jego władcy, a on tylko manipuluje światem duchowym ku chwale monarchy. W końcu król rządzi dzięki boskiemu nadaniu. Taka jest natura rzeczy, co nam wyjawili dawno temu bogowie.

Luka prychnął.

- I cóż to jest, jeśli nie szaleństwo? - zapytał. - Tylko wariat grałby w tak niebezpieczną grę. Nie ma do czynienia ze zwykłym władcą, ale z królem królów. Absolutnym monarchą całego Esmiru.

- Naprawdę nie daje mi spokoju fakt - rzekł Iraj - że on zdaje się mi sugerować, jakobym chciał skrzywdzić swoich poddanych. Zaś moim jedynym celem - celem mojego całego życia - było coś wręcz przeciwnego. Chcę tylko dobra dla wszystkich. Naprawdę pragnę nadejścia Wieku Wielkiej Łaski, pokoju i obfitości zarówno dla ludzi, jak i demonów. Cóż, pamiętam, że mówiłem mu coś podobnego dziesięć lat temu, gdy byliśmy chłopcami. I z pewnością tylko umocniłem się w tym postanowieniu. Uważam to za swój święty obowiązek.

- Korzenie tego problemu, panie - wtrącił Kalasariz - tkwią w problemie, że lord Timura nie tylko zwariował, ale jego szaleństwo dotyczy władzy. To nie spekulacje, Wasza Wysokość, ale fakt poparty dowodami dostarczonymi przez twych najlepszych szpiegów. Lord Timura niejednokrotnie powtarzał, że jest bardziej popularny od Waszej Wysokości. Wierzy, że wszyscy twoi poddani go czczą. I że to on, a nie ty, powinien być królem. To dlatego odmawia ci, panie. Sądzi, że jego reputacja jest znacznie ważniejsza od twojej.

Gdy wchodzili do Necronomantium, Iraj wrzał. Trzej konspiratorzy, zamiast podsycać ten gniew, zmienili taktykę, kierując jego zainteresowanie na różne obiekty.

Fari, stary mag-demon, oprowadzał.

- Czy widzisz to, panie? - powiedział pokazując mu flaszkę, pokrytą magicznymi symbolami. - Zawiera wywar, który wzmoże twoje umiejętności obcowania z kobietami. Jedna kropla w kielichu z winem, a będziesz mógł zaspokoić sto panien.

Potem pokazał małą sakiewkę. Wysypał jej zawartość na dłoń. Były to rzadkie klejnoty.

- Dzięki odpowiedniemu zaklęciu, Wasza Wysokość - oznajmił - te klejnoty mogą się rozmnożyć. Wspomniałem o ich istnieniu lordowi Timurze, mówiąc, że pomogą rozwiązać twe kłopoty finansowe, ale ogłosił je czarną, złą magią i rozkazał nic nie mówić.

Potem podniósł czaszkę, której kształt wskazywał wyraźnie, że należała do wilka.

- To amulet przeobrażenia, panie - rzekł. - Jeśli zrobi się z niego właściwy użytek, może obdarzyć cię niezwykłymi mocami. Magicznymi mocami, panie, które, waham się zasugerować, są jedyną brakującą Waszej Wysokości cechą. A z takimi magicznymi mocami Wasza Wysokość nie będzie potrzebować magów, chyba że do odbywania zwyczajowych czynności.

- Wtedy będę jak Alisarrian - wymamrotał Protarus.

- Tak, panie - odparł Fari. - Zostałbyś panem obu światów. Doczesnego i duchowego.

- I nie potrzebowałbym Safara - powiedział Iraj.

Fari wzruszył ramionami.

- Nie pomyślałem o tym - rzekł. - Lord Timura jest tak potężnym magiem, że uniemożliwia takie myślenie. Lecz przypuszczam, że to prawda. Nie byłby ci potrzebny. - Zachichotał. - Ani ja, jeśli o tym mowa. Poza tym, oczywiście, że ja ochoczo wprowadzę cię, panie, w sztuki magiczne.

- A Safar nie zrobiłby tego?

Fari jeszcze raz wzruszył ramionami.

- Ty, Wasza Wysokość, najlepiej o tym wiesz. W końcu przez wiele lat byliście przyjaciółmi.

Iraj drażył temat.

- Jeśli tak by się stało, to ja mógłbym ogłosić Wiek Wielkiej Łaski.

Wszyscy trzej sprzymierzeńcy okazali zdziwienie, a potem dodali:

- Zapewne tak, panie - powiedział Fari.

- Doprawdy, tak może być - rzekł Luka.

- Dlaczego nie? - Kalasariz zadał retoryczne pytanie.

- Muszę to przemyśleć - przerwał Protarus. - Nie chcę działać zbyt pochopnie. Taka droga może zaowocować błędami i rozczarowaniami.

- Oto prawda, którą należałoby wyryć w kamieniu, Wasza Wysokość - rzekł Kalasariz. - Należycie spożytkowana chwila zadumy dzieli rzeczy wielkie od rzeczy zaledwie znośnych.

W tej chwili ciszę rozdarł donośny dźwięk. Wszystkie cztery głowy, dwie ludzkie i dwie demonie, obróciły się ku jego źródłu. Hałas dobiegał z małego destylatora wykonanego z inkrustowanego klejnotami kryształu, który podtrzymywał stojak z kości słoniowej. Destylator miał szklany korek, który wysyłał purpurowe światło.

Luka ukazał kły w najboleśniejszym z uśmiechów.

- Poczekaj, panie, aż to zobaczysz - powiedział.

Iraj nie wiedział, o co chodzi.

- Co takiego mam zobaczyć?

- Zaplanowaliśmy dla ciebie małą rozrywkę, Wasza Wysokość - poinformował Fari.

- Właściwie, to nie planowaliśmy jej tak naprawdę - dodał Kalasariz. - Zdaliśmy się na łut szczęścia. Modliliśmy się, by udało się to tutaj, tak byś mógł to zobaczyć.

- Nienawidzę się powtarzać - rzekł Iraj - ale... co mam zobaczyć?

Chichocząc, trzej konspiratorzy przyprowadzili króla ku destylatorowi. Gdy tylko podszedł bliżej, hałas ustał, a rozbłyskujące światło zaczęło żarzyć się jednostajnie.

- Zajrzyj tu, panie - poprosił Fari. - Gwarantuję, że widok cię zachwyci.

Iraj wpatrywał się w destylator, a na jego ustach błędził uśmiech wyczekiwania.

Wtem obraz uformował się.

Król zaczerpnął tchu.

- Bogowie - mruknął - ależ ona jest piękna!

Nerisa pomyślała, że usłyszała jakieś głosy. Wierciła się w wannie wypełnionej rozleniwiającą wodą, z której wynurzała się jedynie jej głowa. Rozejrzała się wokół i nie zobaczyła niczego niezwykłego w wielkiej, wyłożonej marmurem komnacie kąpielowej. W powietrzu unosiła się perfumowana mgła z wpuszczonej w podłogę wanny, która była na tyle duża, że Nerisa mogła wyciągnąć wygodnie ręce i nogi, pluskając nimi, by poczuć, jak woda masuje ją łagodnie.

Gdy upewniła się, że nikogo nie widzi, a głosy są wytworem jej wyobraźni, zanurzyła się z

powrotem w wodzie, pozwalając sobie na luksus długiego westchnięcia.

Lady Fatinah mogła być niewyobrażalnie bogatą kobietą, ale spędziła krótkie lata szlachectwa na pylistym szlaku karawan, dorabiając się fortuny. Przedtem była tylko Nerisą - brudną sierotą, która kąpała się w zimnych beczkach z deszczówką pod rynnami czynszowych kamienic.

Abubensu przechwalał się widokiem rozciągającym się z okien rezydencji, rozwodził nad pokojem dziecinny, który kazał przebudować zgodnie z jej szczegółowymi instrukcjami, ale nigdy nie powiedział nic o wannie. Gdy Nerisa ją odkryła, wyszeptwała żarliwe modły do boga, który wyścielił jej życie takim przepychem.

Nerisa pochwyciła wielką gąbkę unoszącą się na wodzie. Sięgnęła do półki na krawędzi wanny i wzięła ozdobną butlę z olejkami kąpielowymi - jeden z wielu darów, które otrzymała od gości z powitalnego bankietu. Płyn w środku miał kolor głębokiej purpury i tak gęstą, oleistą konsystencję, że niemal się żarzył.

Wyjęła szklany korek, naląła olejku na gąbkę, a następnie włożyła korek na miejsce. Rozsmarowała wspaniały, perfumowany płyn na swoim ciele. Nerisa jeszcze raz westchnęła głęboko. Nigdy nie czuła się tak czysta, tak rozpieszczana, tak...

Myśl rozwiała się, gdy znów wydało jej się, że słyszy głosy.

Pozwoliła gąbce odpłynąć i spojrzała do góry. Ponownie nic ani nikogo nie było widać.

Potem usłyszała piskliwy głosik i uśmiechnęła się. Chwilę później weszła Scani z Palimakiem usadowionym na jej biodrze.

- Przybył lord Timura, moja pani - ogłosiła niańka.

- Dziękuję, Scani. Powiedz mu, że przyjdę do niego, gdy skończę kąpiel.

Scani dygnęła.

- Tak, moja pani.

Nerisa uśmiechnęła się do dziecka.

- A jak się miewa Palimak, moje kochanie? - zapytała.

Dziecko wycelowało w nią palcem.

- Zamknij się! - powiedział.

Scani była wstrząśnięta.

- Nie mów tak do swojej matki - zbesztła go.

Ponownie Palimak wskazał, ale tym razem jego palec obniżył się.

- Zamknij się! - rzekł ponownie. Jego głos brzmiał wściekłością.

- Cśś, dziecko! - prosiła Scani. - Bez względu na to, czy jesteś młodym paniczem, czy nie, stara Scani obedrze cię ze skóry, jeśli dalej będziesz tak mówił.

- Nie zwracaj na niego uwagi - oznajmiła Nerisa. - Po prostu próbuje ściągnąć na siebie uwagę. Jeśli zignorujemy go, przestanie.

Ale Scani posmutniała. Był to cios wymierzony w jej kwalifikacje.

- Nie wiem, skąd on zna takie słowa, o pani! - odparła. - To język, którego ja z pewnością nie używam.

- Zamknij się! - wtrącił się Palimak.

Zaczął się więc i kopać tak gwałtownie, że Scani musiała postawić go na podłodze i puścić wolno.

- Przestań, Palimaku! - krzyknęła Scani.

Ale dziecko nie zwracało na nią uwagi. Szybko popęzło na kolanach po marmurowej posadzce i

zatrzymało się tuż przy krawędzi wanny.

Jego oczy rozżarzyły się żółto, gdy wpatrywał się w butelkę z olejkami kąpielowymi.

- Zamknij się! - zażądał.

Pacnął butelkę, aż się zakołysała.

- Zamknij się, zamknij, zaaaamkniiij!

A potem, ku zaskoczeniu i zdziwieniu dwóch kobiet, uderzył butelkę tak mocno, że roztrzaskała się o krawędź wanny. Szkło rozprysło się we wszystkich kierunkach.

Iraj odtoczył się w tył, gdy obraz roztrzaskał mu się przed twarzą.

- To mały sukinsyn! - krzyknął.

Potem spojrzął na destylator. Był nienaruszony i Iraj zdał sobie sprawę, że nie powstała żadna szkoda. Roześmiał się gromko, uderzając z radości dłonią po udzie.

- Zupełnie jakby ten mały sukinsyn wiedział, że szpiegujemy jego matkę - wykrztusił.

Jego trzech nowi przyjaciele roześmiali się wraz z nim.

- Powiedz mi, Wasza Wysokość - zaczął Kalasariz - czyż nie jest tak piękna, jak słyszałeś?

Iraj ponownie zerknął na destylator. Nagle zaschło mu w ustach, gdy przypomniał sobie widok lady Fatinah pływającej się nago w wannie. Niemal czuł jej kobiecą woń unoszącą się wśród perfumowanej pary.

- Tak - odpowiedział ochryple.

- Nawet ja byłem poruszony, Wasza Wysokość - rzekł Luka. - A przecież jestem demonem i niewiele sobie cenię kształty ludzkich kobiet.

- Wydaje się być daniem godnym króla - oznajmił Fari - a nie mężczyzny o tak pospolitym pochodzeniu jak Timura.

Oczy Iraja zwęziły się.

- Co sugerujesz? - zapytał.

- Sugeruję? Ależ Wasza Wysokość, nic - odparł Fari. - Ja jedynie komentowałem oczywiste fakty.

- Lord Timura utrzymuje, że jest najgorliwszym przyjacielem i poplecznikiem Waszej Wysokości - powiedział Kalasariz do pozostałych.

- To z pewnością prawda - rzekł Luka. - Wszystkim nam to powtarzał niezmiernie często... gdy tylko odpowiadało to jego celom.

- Może nadszedł czas, byś wypróbował tę przyjaźń, panie - zaproponował Kalasariz. - Zobacz, jak głębokie są jego uczucia wobec ciebie.

Protarus oblizwał suche usta. Jego palce zabębniły o podstawkę destylatora. Wciąż stukając, skinął głową. Podjął decyzję.

- Jak widzę - rzekł - Safar nie pozostawił mi żadnego wyboru.

- W przeszłości - rzekł Safar do Nerisy - Iraj zawsze słuchał tego, co mówiłem. Nie postępował za każdym razem zgodnie z moją radą. Ja nie zawsze postępowałem tak, jakby sobie tego życzył, ale nie żywiłmi do siebie urazy, a przynajmniej nigdy jej nie okazywał.

Zapadła noc. Przytulali się do siebie, leżąc w łóżku Nerisy. Między nimi spał Palimak. Dziecko od wczorajszego zdarzenia w łaźni było niespokojne i dręczyły je koszmary. Nerisa, po naleganiach Safara, przyniosła je do łóżka. Teraz spał spokojnie z wetkniętym w usta kciukiem.

- Nie musimy zostać mężem i żoną, Safarze - powiedziała Nerisa. - Będę twoją konkubina, jeśli to ci odpowiada. Albo, skoro jestem bogatą kobietą, ty możesz być moim konkubentem.

Safar uśmiechnął się, ale uśmiech nie trwał długo.

- Kryje się w tym znacznie więcej niż tylko nasz ślub - powiedział..

Nerisa skinęła głową. Opowiedział już jej o wielkim kłamstwie, którego żądał od niego Protarus i konspiracji, którą stworzyli Luka, Fari i Kalasariz.

- Ja tylko głupio zażartowałam - oświadczyła.

- Z jakiegoś powodu - rzekł Safar - Iraj nagle gwałtownie skręcił z drogi, którą podróżowaliśmy razem. A ja nie wiem, jak ściągnąć go na nią z powrotem.

Nerisa zadrżała.

- Czuję się jak duch sterczący na własnym grobie - powiedziała. - Jako dziewczynka na ulicach Walarii zawsze brałam to uczucie za znak ostrzegawczy. Nie wiem, ile razy uciekałam - z powodów innych niż to uczucie - a potem widziałam strażnika skradającego się ulicą.

- Gundara wyje i obwieszcza niebezpieczeństwo odkąd wyszedłem z pałacu - poinformował Safar. - Radzi mi, bym uciekał.

- A więc zróbmy tak - rzekła Nerisa żarliwie. - Zostawmy wszystko za sobą i natychmiast uciekajmy. Nie będzie nam brakowało pieniędzy. Mam złoto schowane w całym Esmirze.

- Nie mogę - odparł Safar.

Nerisa wpatrywała się w niego.

- Pewnie ciężko jest rzucić posadę wielkiego wezyra. Aż trudno sobie wyobrazić sprawowanie takiej władzy.

- Władza nic dla mnie nie znaczy, Neriso - przerwał jej Safar. - Nigdy nie była czymś przeze mnie pożądanym, ani poszukiwanym. Ba, moim najgorętszym chłopięcym marzeniem było zastąpienie pewnego dnia mojego ojca i zostanie największym garncarzem w dziejach Kyranii.

- A więc jedźmy do Kyranii - odparła Nerisa. - Mówiłeś o niej tak wiele w Walarii, że wydawała mi się rajem. Pojedziemy tam razem. Będę twoją żoną, zwykłą kobietą ze wsi z Palimakiem na biodrze i jego siostrą rosnącą w moim brzuchu. - Jej oczy rozbliły się. - To było zawsze moim najgorętszym marzeniem, Safarze. Więc dlaczego nie spełnimy naszych marzeń?

Wziął jej rękę i powiedział:

- Chciałbym, ale los zdecydował inaczej.

A potem opowiedział jej historię o dwóch kobietach - jednej z wizji w jaskini Alisarriana i o drugiej, żywej kobiecie, imieniem Methydia, potężnej wiedźmie i jasnowidzącej czarownicy.

- Obie nalegały, bym wraz z Irajem podróżował tą samą ścieżką. Na końcu tej drogi znajduje się odpowiedź, której poszukuję. To odpowiedź na zagadkę Hadinu.

- Cóż, ja nie jestem wiedźmą - odparła Nerisa - a już na pewno nie jestem wizją w jaskini. Ale to dla mnie jasne, że Protarus zboczył z waszej ścieżki. Sam to powiedziałeś. Rzekłeś, że ostro zawrócił i nie wiesz, jak ponownie sprowadzić go na tę drogę. Czy nie pomyślałeś kiedykolwiek, że wasza droga już się skończyła? To znaczy, droga dla was obu? Ty musisz iść dalej, pozostawiając Protarusa za sobą wśród szaleństwa, które sam dla siebie tworzy.

- Tak - powiedział Safar, prawie szepcząc. - Pomyślałem o tym. Ale Iraj nie jest szalony. Jest tylko królem, co jak przypuszczam, jest szaleństwem samym w sobie. Pamiętam, że powiedziałem mu to dawno temu.

- A jednak - powiedziała Nerisa. A potem dodała z większym zdecydowaniem: - A jednak!

Safar pomyślał przez chwilę, a potem rzekł:

- Spróbuję jeszcze raz. Mamy spotkać się ponownie jutro rano. Jestem mu winien tę jedną szansę.

- Nie jesteś mu nic winien - odparła Nerisa. - Jest zupełnie na odwrót, Safarze. Szkoda, że tego nie dostrzegasz.

- Nic nie mogę poradzić na to, co czuję. - Safar wzruszył ramionami. Spojrzał w dół na Palimaka, potem z powrotem na nią. Zmarszczył brwi ze zmartwienia. - Najbardziej kłopotuje mnie to, że oboje znaleźliście się przede mną w niebezpieczeństwie. Jeśli Irak popełni niegodziwość w stosunku do mnie, będzie atakował również was. Sądzę, że powinniście wyjechać skoro świt.

Nerisa, będąc rozsądną kobietą, zgodziła się. Czuli się odpowiedzialni za Palimaka.

- Na skrzyżowaniu, dwadzieścia mil za Zanzaiem znajduje się wioska - rzekła. - Każę Abubensu przygotować powóz. Mogę mu powiedzieć, że rozważam inwestowanie w tym obszarze, co zresztą nie jest dalekie od prawdy. Wydaje się być obiecującym miejscem.

- Znam tę wioskę - odparł Safar. - Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wyślę ci wiadomość, byś wracała. A jeśli nie, tam cię spotkam.

- Jedna z moich karawan kierująca się ku Caspanowi będzie za jakiś dzień lub dwa przeprowadzać się przez pustynię - poinformowała Nerisa. - Możemy się z nią zabrać.

Palimak wiercił się. Jego oczy otworzyły się, świecąc żółto w ciemności. Nagle skrzywił się i zaczął płakać.

Nerisa pocieszała go.

- Wszystko będzie dobrze, maleńki - gruchała do niego. - Mama jest z tobą. Nie pozwoli cię skrzywdzić.

Na zewnątrz Leiria siedziała skulona, obserwując rezydencję. Usłyszała trzepot. Obróciła głowę, by sprawdzić, co to było.

Leciał nad nią polujący kruk. Rozpostarł wielkie skrzydła, by złapać w nie wieczorny wiatr. Ptak okrążył dom, a potem obrócił się i odfrunął w kierunku pałacu.

Wznosił się coraz to wyżej, aż znikł w czerwonym blasku Księżyca Demonów.

Oczy Leirii powróciły ku domowi. Gdzieś w środku zapłakało dziecko. Pomyślała, że jeszcze nigdy nie słyszała tak samotnego płaczu.

Ucieczka z Zanzairu

Iraj przemierzał królewską komnatę niczym lew w klatce. Jego złote włosy powiewały pod koroną jak grzywa, a broda nastroszyła się jak na lwim pysku. Miał zwężone oczy, a ściągnięte usta ukazywały zęby, jakby warczał.

Safar stał pośrodku komnaty, obserwując chodzącego Iraję. Czuł, jak narasta w nim gniew.

- Mogę dać ci rozkaz - rzekł Iraj. - Mogę zażądać od ciebie, byś wykonał tę wróżbę.

- Tak, możesz - odparł Safar.

- Czy podporządkujesz się?

Safar zaczerpnął głęboki oddech. Potem wypuścił powietrze.

- Nie.

- Nawet, jeśli groziłaby ci najsurowsza kara?

- Nawet wtedy.

- Mogę odrzec cię z twego tytułu i fortuny - powiedział Iraj.

- Rozumiem to.

- Mogę nawet odebrać ci życie. Czy twoja odmowa jest na tyle zdecydowana, że je zaryzykujesz?

- Pozwól odpowiedzieć mi w ten sposób - odparł Safar. - Jeśli byłbyś w mojej sytuacji i czułbyś, że twój honor jest zagrożony, jak odpowiedziałbyś na tę groźbę?

Iraj przystanął.

- Nie groziłem ci - powiedział. - Pytałem cię jedynie.

- Ale mimo to - rzekł Safar - jak ty byś odpowiedział?

- To nie to samo. Ja jestem Irajem Protarusem!

- A ja jestem Safarem Timurą!

Nie była to odpowiedź, która mogła sprawić przyjemność królowi. Iraj wpatrywał się gniewnie w Safara, który stał spokojnie w swoim miejscu, mówił łagodnym tonem, ale zdecydowanie. Król złamał się pierwszy, przestraszony dziwnym błyskiem w oczach Safara.

Znów zaczął przemierzać komnatę.

- Mówiono mi o twoich poglądach, że jesteś bardziej popularny ode mnie - sugerował.

Safar uniósł brew.

- Powiedziałbym, że ktoś cię okłamał - odrzekł - ale to zbyt głupie, by zasługiwało na tę nazwę.

Iraj obrócił się gwałtownie.

- Co takiego? Teraz ośmielasz się mnie obrażać?

- Na nic się nie ośmielam - odparł Safar - ale jeśli wierzysz w to stwierdzenie, to nie jest to obraza, lecz prawda.

Wściekłość Iraję nagle zamieniła się w cierpienie. Łzy wezbrały w jego oczach.

- Dlaczego tak uparcie mi się sprzeciwiasz, Safarze? - wykrzyknął. - Jesteśmy przyjaciółmi. Nie, więcej niż przyjaciółmi. Nawet więcej niż braćmi krwi. Przysięgam, że kocham cię bardziej niż moją

matkę, bardziej niż mego ojca, bardziej niż każdego mego syna.

- Mogę odpowiedzieć ci tylko jeszcze jednym pytaniem - odparł Safar. - Jeśli kochasz mnie, dlaczego tak mocno naciskasz, by zmusić mnie do pogwałcenia rzeczy, która jest dla mnie najświętsza?

Cierpienie z powrotem zamieniło się w gniew.

- Bo jestem twoim królem! - zagrział Iraj. - I uważam, że muszę cię poprosić o to dla dobra Esmiru.

Safar nic nie odpowiedział. Żadna odpowiedź tu nie pasowała.

Nastrój Iraja powrócił do normy. Potrząsnął głową, jakby zasmucony.

- A ty wciąż odmawiasz - rzekł.

- Tak - odpowiedział Safar.

- A jeśli uczyniłbym to próbą naszej przyjaźni? - zapytał Iraj. - Już wcześniej prosiłeś mnie, bym tego nie robił, ale my jesteśmy związani więzami krwi. Przysięgliśmy, że obdarzymy siebie nawzajem wszystkim, o co któryś z nas poprosi - z wolnej woli i bez wahania. Jeśli poprosiłbym cię o to z przyjaźni, czy zgodziłbyś się?

- Cokolwiek uczyniłbym - odparł Safar - byłby to koniec naszej przyjaźni. Jeśli zgodziłbym się na to, byłaby to moja ostatnia rzecz zrobiona dla przyjaciela. Jeśli odmówiłbym, ty uważałbyś nasze więzy za zerwane. W każdym razie nadszedłby kres naszej przyjaźni. Czy chcesz, Iraj, by tak się stało?

Protarus zaśmiał się gorzko.

- Byłaby to jedyna rzecz w moim życiu, której nie ryzykowałem - odrzekł. - Rodzina? Ha! Zabiłem wujka i zaszlachtowałem jego żony oraz dzieci, by nie wyrosły na moich wrogów. Honor mego klanu? Tak, ryzykowałem nim od samego początku. Ponieważ jeśli potknąłbym się i upadł, imię Protarusów byłoby okryte hańbą po wsze czasy. Fortuna? Ba! Safarze, myślę o niej tak jak i ty. Wiem, że sam sobie opowiadam różne kłamstewka o tym, że teraz jestem królem i mogę mieć wszystko, co zechcę. To wchodzi w krew, jak zbyt częste picie na umór. Ale ja na drodze ku Zanzairowi ryzykowałem jedną fortunę za drugą. Każdym pałacem, który grabiłem, ryzykowałem w kolejnym rzucie kośćmi, by wygrać następny. Moje życie? Nikt nie zaprzeczy, że udowodniłem swoją chęć poświęcenia go, jeśli taka miała być cena wyzwania. Cóż, wielokrotnie robiłem to tylko po to, by poczuć dreszcz emocji.

Safar nagle przypomniał sobie szaleńczą gonitwę Iraja w dół kyańskiego zbocza, by stawić czoła demonom najeżdźcom. Wtedy widział w niej wyczyn bohatera z powieści. Po co Iraj biegł? By ocalić kupiecką karawanę, której ludzie nie byli nikim, kogo Iraj znałby lub o kogo by dbał. Wśród nich nie było ani jednej niewinnej istoty - żadnego dziecka, żadnej panienki, matki, babci lub mężczyzny, którego spotkanie wzbudziłoby żal w jego sercu.

Wtem przypomniał sobie własny dziki pęd w ślad za Irajem. Widział go wyraźnie. Widział ośnieżone głązy stojące mu na drodze. Ujrzał demony z kłami i szponami jak przerażające miecze. Ujrzał ich wierzchowce, które walczyły niczym wielkie koty. I czuł dreszcz. Czuł strach mrozący krew w żyłach. Czuł demoniczną magię trzaskającą z siłą, która, jak myślał, nie była możliwa. Poczul gniew, gdy zobaczył Astarias ciągniętą po śniegu za długie, czarne loki. Poczul zimno i dalekie zadowolenie z pierwszej zadanej śmierci.

Spojrzał na Iraja i dopiero teraz w pełni zrozumiał człowieka, za którym podążał przez te wszystkie lata. Wraz z tą wiedzą nadeszło nikłe zrozumienie własnego charakteru. Pojawiło się z falą

rozczarowania. Był postacią, którą stworzyły okoliczności, tak jak i Iraj. Był stworzeniem, które krzychało o swym świętym celu, gdy w sercu gościł tylko egoizm. To uczyniło z niego człowieka, który wyciągał głowę ponad pozostałymi, fałszywie uszlachetniony wizją Hadinu.

Po raz pierwszy od chwili, gdy rozgorzała ta kłótnia, Safar zachwiał się. Czy łgarstwo coś znaczyło? W świecie kłamstw czymże było jeszcze jedno? Magia nie była świętością, a on nie był kapłanem z boskiego namaszczenia. Nie miał świątyni, ani ołtarza. A sami bogowie milczeli w tej sprawie. Dlaczego by nie zrobić tego, o co Iraj prosił i nie ogłosić Wieku Wielkiej Łaski? Mógł tak powiedzieć, a potem pracować jak stado piekielnych diabłów, żeby jego proroctwo się spełniło.

Wtem zdał sobie sprawę, że, robiąc inaczej, może zniszczyć mężczyznę, którego zwał przyjacielem, człowieka, który miał do zaryzykowania tylko jedną rzecz, dzięki której wciąż mógł zaliczać się do ludzi - deklarację przyjaźni z Safarem.

Prawie już sformułował słowa, niemal ustąpił, już otwierał usta, by przemówić, ale Iraj rzekł:

- I w końcu dochodzimy do przyjaźni. Do mojej miłości ku tobie. Tego jeszcze nie ryzykowałem. Czy jestem gotów? Nie umiem powiedzieć. Pierwsze pytanie, które muszę zadać samemu sobie, zanim to uczynię, brzmi: Czy ta przyjaźń, ta miłość, jest odwzajemniona? Czy jest prawdziwa? Czy też oszukiwałeś mnie przez te wszystkie lata?

- Wiesz, że nie - odparł Safar.

- Wiem? - zapytał Iraj z okropnym uśmiechem rosnącym na twarzy. - Czy wiem o tym w tej chwili?

- Oczywiście, że wiesz - skwitował Safar. - Dlatego się sprzeczamy. Kłóciliśmy się już wcześniej. Znow będziemy się kłócić. Różnimy się między sobą, tak więc mamy inne zdania. Ale to tylko różnice między przyjaciółmi.

- Dawno temu wypróbowałem cię - oświadczył Iraj. - Jeśli sobie przypominasz, nie wypadłeś dobrze w tej próbie.

Safar wzruszył ramionami.

- Byłem chłopcem ogarniętym żądzą - odparł. - To nic nie znaczyło.

- Powiedziałem też, że pewnego dnia mogę cię ponownie wypróbować - ciągnął Iraj. - Uważam, że ten dzień w końcu nadszedł.

- Masz na myśli wróżbę? - spytał Safar. - Chcesz, bym udowodnił moją przyjaźń?

Już miał powiedzieć: „Bardzo dobrze, a zatem tak zrobię”, ale Iraj potrząsnął głową, przerywając mu.

- Nie - odpowiedział. - Twój opór jest kwestią honoru. Nie poproszę cię, byś go splamił. Człowiek o takim samym honorze nigdy nie będzie wymagał czegoś takiego od przyjaciela.

To stwierdzenie zaskoczyło Safara. Czy już po wszystkim? Czy odniósł sukces?

- A więc nadchodzi próba, Safarze Timuro, człowieku, który utrzymujesz, że jesteś moim przyjacielem. To niewielka próba i nie powinna sprawić ci żadnego kłopotu.

- Jak brzmi? - zapytał Safar, a niepokój powrócił.

- Kiedyś dałem ci kobietę - rzekł Iraj. - Dziewicę, której sam ogromnie pożądałem. Astarias. Teraz proszę cię o to samo, chociaż ona nie jest dziewicą, a zatem jest mniej cennym darem. - Iraj spojrział głęboko w zaszokowane oczy Safara. - Daj mi lady Fatinah - powiedział. - Pragnę jej.

- Jak możesz o to prosić? - zapytał oniemiały Safar. - Wiesz, że ma zostać moją żoną.

Iraj wzruszył ramionami.

- Możesz dostać ją z powrotem, gdy z nią skończę - odparł. - i wciąż się z nią ożenić, jeśli ci się

tak spodoba. Nie ma wstydu w podążaniu za królem w jego przyjemnościach. Leiria bardzo ci się podobała. Teraz, gdy o tym pomyślę, dałem ci dwie kobiety. Dwie, Safarze! A proszę tylko o jedną w zamian.

- To głupota, Iraj! - krzyknął Safar. - Nawet gdybym rozważył taką rzecz - a to niemożliwe - nie należy ona do mnie, bym ją mógł darować. Należy sama do siebie.

- Wyobrażam sobie, że Astarias i Leiria czuły się tak samo - odparł Iraj. - Ale to cię nie powstrzymało.

Safar, uciszony tym ciosem, szukał odpowiedzi. Zanim zdołał ją wykrztusić, Iraj wyciągnął z kieszeni przedmiot.

- Masz - powiedział. - Nawet osłodzę ci tę transakcję, chociaż nie mogę pojąć, dlaczego mam się z tobą targować. Nasza przysięga była dana z wolnej woli i bez zadawania pytań.

Iraj rzucił przedmiot w otwartą dłoń Safara. Safar spojrział w dół i ujrzał niewielki, złoty amulet. Był to cudownie ukształtowany koń zwieszający się z błyszczącego łańcucha.

- Dawno temu podarował mi go Coralean - poinformował Iraj. - Była to nagroda za uratowanie jego karawany. Pamiętasz to, nieprawdaż? Ponieważ w tym samym czasie otrzymałeś srebrny sztylet.

Safar pamiętał bardzo dobrze. Ten sam sztylet, który był herbem Nerisy, tkwił teraz za jego pasem.

- Coralean powiedział, że pewnego dnia zobaczę doskonałego rumaka, marzenie wojownika. I wszystko, co będę musiał zrobić, to podarować ten amulet właścicielowi, a on nie zdoła mi odmówić. Cóż, nigdy nie znalazłem tego konia, Safarze. Ale to nieważne. Jestem pewien, że gdzieś tam jest.

Zacisnął zdętwiałe palce Safara wokół amuletu.

- Jest teraz twój, mój przyjacielu. Daję ci go za kobietę. Ha, przecież to nawet nie jest równa wymiana, bo która kobieta mogłaby się równać z tak cudownym wierzchowcem?

Nastąpiła cisza. Była to cisza, w której z cienia pełzło ku nim morderstwo. W Safarze kipiał taki gniew, że mógł przyzwać je bliżej. Miał szansę - byli sami w królewskiej komnacie - i miał broń: sztylet za pasem, błyski magii na czubkach palców. Zwalczył wściekłość, prawie się nią dławiąc. Jeśli rozpocząłby działanie, z pewnością odwet byłby przerażający.

A w tej chwili Nerisa i Palimak jadą do wioski na skrzyżowaniu dróg, ku bezpieczeństwu. Jeśli Safar zabije Protarusa, nigdy tam nie dotrą. Musiał grać na zwłokę. To jedyny sposób.

Zanim zdołał wybąkać jakąś odpowiedź, Iraj powiedział:

- Obawiam się, że zbyt długo czekam na odpowiedź, Safarze. Nie zdałeś testu.

Protarus gwałtownie obrócił się i podszedł ku niewielkim, prywatnym drzwiom będącym wyjściem z komnaty. Zatrzymał się przy nich.

- Ale ja nie jestem tak niehumaniczny, by nie dać ci jeszcze jednej szansy - rzekł. - Przyślij lady Fatinah do mnie dziś wieczorem, a wszystko zostanie wybaczone.

Po tych słowach wyszedł.

Gdy tylko Safar opuścił teren pałacu, zanurzył się w alejkę i zrzucił urzędową szatę. Kopnął w stos łajna bogaty kostium ozdobiony symbolami wielkiego wezyra Esmiru. Pod spodem nosił zwykłą szorstką tunikę i bryczesy żołnierza. Potem pospiesznie oddalił się z nisko opuszczoną głową, próbując nie iść zbyt szybko, by nie przyciągać spojrzeń. Dotarł do rozległej dzielnicy demonów, która ciągnęła się aż do tylnych bram Zanzairu. Kobiety demony podnosiły wzrok znad prania,

przypatrując mu się, gdy przechodził obok. Młode wywrzaskiwały obelgi albo tłoczyły się blisko, by żebrać. Wielkie demony wylaniały się z tawern, by rzucać pijackie wyzwania temu ludzkiemu robakowi, który ośmielił się przechodzić samotnie ich ulicami.

Safar nie zwracał na nich uwagi, odwracając wzrok od kobiet, strząsając z siebie młodych żebraków i schodząc z drogi wyzywającym go dorosłym.

Jego celem była niewielka, zapuszczona stajnia przy tylnej bramie. Wstał dziś przed świtem, dodał kilka poprawek do planu, który omówili z Nerisą poprzedniej nocy, a potem, zanim wstała służba, poszedł do domu, by spakować potrzebne rzeczy. Następnie zabrał swego najlepszego konia do stajni przy bramie. Zostawił go tam u zaspanego koniuszego, wraz z wystarczającą ilością monet, by zapewnić mu należytą opiekę, ale nie na tyle dużo, by obudzić podejrzenia.

Cały czas modlił się, aby szczęście go nie opuszczało i aby przygotowania te okazały się niepotrzebne. Pomyślał, że pierwszą oznaką szczęścia była nieobecność Leirii, zarówno przy rezydencji, jak i przy jego domu. Założył, że była na jednej z „sesji szkoleniowych” - łatwego do przejrzenia wybiegu, używanego przez Protarusa i Kalasariza, by ich szpieg mógł składać raporty i otrzymywać instrukcje.

Osądził, zbliżając się do stajni, że miał przynajmniej jeden łut szczęścia. W innym przypadku zostałby zmuszony do obezwładnienia Leirii w tej samej alejce, w której zrzucił swoją szatę. Albo, co jeszcze gorzej, musiałby ją zamordować. Safar wątpił, czy byłby do tego zdolny, bez względu na konsekwencje oszczędzenia szpiega. Leiria, szpieg czy nie, już dawno temu zakradła się do jego serca i była panią przynajmniej jego części.

Wchodząc do zrujnowanego budynku, nie zauważył nikogo w pobliżu. Zawołał do stajennego, jednak nikt mu nie odpowiedział. Zatem wyłowił kilka monet z sakiewki, położył je na stole w widocznym miejscu i skierował się w głąb, gdzie czekał na niego koń i ekwipunek.

Zamarł u wejścia do boksu. Jego koń już został osiodłany. Do grzbietu przypięto torby, a z paska przy łąku siodła zwisał miecz w pochwie. Po obu stronach konia stały dwa inne wierzchowce - osiodłane i przygotowane. Ale jakie było ich przeznaczenie? Podszedł bliżej i ponownie drgnął. Oba konie należały do niego!

Zaszeleściła słoma. Obrócił się, wyciągając jedyną broń, którą posiadał - niewielki srebrny sztylet.

Stała tam Leiria, w pełnej zbroi i z bronią u pasa. Nieomal rzucił się na nią ze sztyletem, ale cofnął się na czas. Dokładnie tak jak się obawiał, brakowało mu niezbędnej nienawiści.

- Co tu robisz? - zapytał.

Leiria wyciągnęła ręce, by pokazać, że są puste. Spojrzał w dół i zobaczył, że jej miecz nadal tkwi w pochwie.

- Jestem tu, by ci pomóc, Safarze - oznajmiła.

Safar prychnął śmiechem.

- Ani chwili w to nie wątpiłem - odparł z ironią. - Ale dokąd pomożesz mi zajść? Do grobu?

- Nie winię cię za to, że tak myślisz - powiedziała. - Ale musisz mi uwierzyć, że nigdy nie zrobiłam ani nie powiedziałam niczego, co mogłoby ci zaszkodzić. Rzekłam ci kiedyś, dawno temu, że nigdy cię nie zdradzę, Safarze Timuro. I nigdy tak się nie stało.

- A jak w takim razie nazwiesz szpiegowanie?

Leiria patrzyła na niego błagalnym wzrokiem.

- Jeśli nie dostarczałabym królowi i Kalasarizowi tego, czego chcieli - odparła - zastąpiłoby mnie

kimś innym. Kimś, kto nie darzyłby cię miłością, Safarze. A wiesz, że ja cię kocham. Nawet teraz, gdy twoje serce jest przy innej kobiecie.

Safar pomyślał, że dostrzega prawdę w jej słowach. Jednakże rozpaczliwie bał się, że widzi to, co chce, a nie to co naprawdę istniało.

- Prócz tego - dodała Leiria - nie zrobiłeś nigdy nic złego. Nigdy nie okazałeś się zdrajcą. Nigdy nie knułeś intryg. Czy zaszkodziło ci, że opowiedziałam im o twoich niewinnych wycieczkach, przyjacielskich spotkaniach, lub o długich nocach, które spędzałeś, studiując magiczne księgi? Jest jednakże jedna rzecz, o której im nie powiedziałam. Nic nie powiedziałam o dziecku. O Palimaku.

- Co ty powiadasz? - zapytał Safar. - Wiedzą, że on istnieje. To żadna tajemnica.

- Nie wiedzą, że po części jest demonem - odrzekła. - Ukrywałeś to przede mną, Safarze, ale ja to dostrzegłam. Ujrzałam jego oczy. Jak sądzisz, co Iraj zacząłby sobie wyobrażać, gdyby się o tym dowiedział? Jego wielki wezyr w ramionach kobiety z dzieckiem-potworem? Palimak nie jest potworem, ale tak pomyślałby Iraj. Zwłaszcza po tym, jak dobrali się do niego Kalasariz, Luka i Fari, szepcząc mu w ucho wszystkie te obrzydlistwa.

- Dziękuję ci przynajmniej za to - odparł Safar. - Ale to już się nie liczy. Gdybym był tobą, uciekałbym ode mnie, ile sił w nogach. Skończyłem z Irajem!

- Wiem o tym, Safarze - powiedziała. - Skończyliście ze sobą, zanim spotkaliście się tego ranka. To wszystko zostało zaplanowane. Iraj nigdy nie wątpił, że mu odmówisz. Po prostu potrzebował usprawiedliwienia, by cię pognębić i ogłosić, że Safar Timura jest przestępcą. Chce splamić twoje imię. Boi się ciebie, Safarze. Uważa, że jesteś rywalem do jego królestwa i do miłości jego poddanych. Ale najbardziej ze wszystkiego, mój najdroższy Safarze, boi się i zazdrości ci twojej magii.

Przerwała na chwilę. Zobaczyła, jak podejrzliwość znika z jego oczu. Ujrzała, jak ich kolor przechodzi z lodowatego błękitu do barwy jeziora w dalekiej Kyranii.

- Przepraszam cię za Nerisę - powiedział i wzruszył ramionami. - Nigdy nie przypuszczałem, że tak się stanie.

- Wiem o tym - odrzekła Leiria.

- Myślałem, że ona nie żyje.

- O tym także wiem.

- Wstyd mi przyznać, ale źle cię potraktowałem.

- Nieważne - odparła Leiria. - Nie ma czasu na przeprosiny ani skruchę, kochany. - Głęboko zaczerpnęła tchu i dodała: - Trzymaj się dzielnie, gdy ci będę opowiadać, co się przydarzyło. Zaczęłabym od tego, ale wiedziałam, że pomyślałbyś, że to podstęp. Pułapka. Nerisa i Palimak nigdzie nie wyjechali. Są wciąż w Zanzairze.

- Co? - głos Safara brzmiał jak płacz.

- Została zdradzona przez Abubensu - odparła Leiria. - Powóz nigdy nie przyjechał. Ten człowiek zatrzymał ją kłamstwami, aż było za późno, by znaleźć następny. Teraz jej dom otoczyli strażnicy. Nie jest ich wielu, ale ona wie, że tam są, tak więc nie ośmieli się wyjść.

- Ile mamy czasu? - spytał Safar.

- Nie wiem - odrzekła Leiria. - Najwyżej kilka godzin. Wykonaliby ruch wcześniej, ale to ciebie chcą dopaść przede wszystkim. Prócz tego muszą zebrać nerwy i siły, by stanąć przeciw tobie. Możesz być pewien, że gdy nadejdą, nie będą to tylko żołnierze, ale najlepsi magowie Farięgo i wiedźmie ogary. Oto jak bardzo się ciebie obawiają. - Leiria wskazała na konie. - Wszystko jest

gotowe. Musimy tylko jechać.

I tak też uczynili. Gdy pędzili przez ulice, słysząc było brzęk żelaznych podków, okrzyki i wrzaski przerażenia. Przebiegli przez ruchliwy rynek, rozpraszając kupujących i wywracając kramy. Przedzierali się przez parki, przeskakując przez żywopłoty i rozpryskując błoto. Ale gdy dotarli do wzgórza, na szczycie którego stała rezydencja Nerisy, zatrzymali konie, zsiadli najciszej, jak potrafili i skryli je między drzewami.

Potem podkradli się w górę wzgórza. Był jasny dzień, a oni skradali się, wykorzystując jako osłonę każdą skałę, pień i krzaczek. Młoda niańka z dwójką podopiecznych, których prowadziła za rękę, zobaczyła ich i oddaliła się spiesznie. Gdy leżeli za żywopłotem, natknął się na nich ogrodnik. Leiria schwytała go tak cicho, jak tylko zdołała i związała rzemykami z uprzęży.

Teren patrolowało czterech strażników. Trzech demonów i jeden wielki, brutalny człowiek. Zabili całą czwórkę, cicho i profesjonalnie.

Potem dopadli do drzwi.

- Przeprowadzę konie - rzekła Leiria. Obróciła się i zbiegła po wzgórzu.

Drzwi otworzyły się i wybiegła z nich Nerisa, wpadając w ramiona Safara.

- Bałam się, że nigdy nie przybędziesz - powiedziała. - A jeszcze bardziej bałam się, że jednak się zjawisz. To ciebie chcą, nie mnie.

- Chciałbym, żeby to była prawda - odparł Safar. - Ale gdy król skazał mnie, skazał tym samym i ciebie. Teraz szybko! Weź Palimaka. Musimy uciekać!

Potem wypadli na szeroki trawnik, a Leiria galopowała ku nim, prowadząc za sobą dwa konie.

Safar wziął Palimaka na rękę, podczas gdy Nerisa wsiadała na konia. Dziecko siedziało cicho. Drżało. Jego oczy zmieniały kolor z orzechowych na żółte i z powrotem na orzechowe.

Nerisa, siedząc już na końskim grzbiecie, wyciągnęła rękę, by wziąć dziecko. Safar podawał jej Palimaka, gdy Gundara nagle wrzasnęła:

- Nadchodzą, panie! Nadchodzą!

Safar obrócił się, mając wciąż w ramionach nieporęczne dziecko. U podnóża pagórka ujrzał rogate demony i ludzi spinających wierzchowce, by je popędzić. Potem usłyszał wycie wiedźmich ogarów i ujrzał, że te diabelskie psy pędzą na czele oddziałów. Poczł błysk magii i zatoczył się w tył, potykając o konia Nerisy, który zarżał i cofnął się. Usłyszał, jak kobieta krzyczy do niego, by jej podać dziecko.

Ale nie było już na to czasu.

Naparł na niego kolejny błysk, silniejszy niż pierwszy. Przypominał wichur wysuszający trawę swym gorącym.

Udało mu się sformułować zaklęcie blokujące, ale odparło jedynie część tego błysku. Obrócił się, chroniąc dziecko i biorąc siłę uderzenia na swoje plecy. Poczł, jak fala przedziera się przez ubranie i zagryzł z bólu zęby. Usłyszał wrzeszczącego Gundarę.

- Zamknij się!

Palimak odpowiedział mu jak echo:

- Zamknij się!

I ból znikł.

Położył dziecko na ziemi i obrócił się, szarpiąc za kieszeń. Wiedźmie ogary już prawie go dopadły, ale miał czas na rzucenie kulek, które eksplodowały, kipiąc ogniem i dymem.

Wybuch rozproszył diabelskie ogary. Głośno piszczały z bólu i przerażenia.

Wokół wiły się obłoki dymu - czerwone, zielone i żółte.

Potem usłyszał grzmot zbliżających się oddziałów. Przez dym ujrzał Leirię z mieczem w dłoni. Kobieta nacierała na tłum, tnąc na lewo i prawo, pozostawiając za sobą wycie demonów i krzyki ludzi. Przebiła się, potem zawróciła konia i spadła na nich raz jeszcze. Jej zabójczy miecz toczył rzeki krwi.

Teraz Nerisa zsiadła z konia. Stała u jego boku, uzbrojona tylko w bicz. Z kolumny dymu wyskoczył wiedźmi ogar z rozwartym, oślinionym pyskiem. Pędził niezwykle szybko. Prawie dopadł Safara, ale Nerisa strzeliła batem, chlaszcząc rozwarte szczęki, tak że pysk stworzenia zamienił się w krwawą maskę. Zwierzę padło na ziemię. Było tak blisko, że Palimak uderzył je piąstką, krzycząc:

- Zamknij się! Zamknij się!

Nerisa uniosła Palimaka z ziemi. Trzymała go na biodrze jedną ręką, podczas gdy drugą wywijiała batem.

Wtem powietrze rozdźwięczało się. Pomknął ku nim ciemny rój strzał. Jednakże były powolne, bardzo powolne. Osiągnęły zenit, a potem zaczęły spadać. Gdy uderzyły w nich, Safar rzucił się na Nerisę i dziecko. Jego ciało, nie magia, było jedyną osłoną. Usłyszał, jak wbijają się w ziemię wokół niego. Przez chwilę pomyślał, że albo to cud, albo uratowała ich nieumiejętność łuczników. Potem chrząknął, gdy jedna wbiła się w udo. A potem jeszcze raz, gdy kolejna trafiła go w ramię. Dostał, na bogów, dostał! Nie dbał jednak o to, ponieważ czuł ciepło Nerisy pod sobą. Usłyszał, jak pod nią płacze dziecko. I wiedział, że są bezpieczni.

Odtoczył się, celowo i boleśnie łamiąc strzały o ziemię.

Wstał spokojnie, zbierając wraz z każdym oddechem coraz więcej sił.

Wysunął szyję z pasa. Zrobił to tak niedbale, jakby miał przed sobą całą wieczność. Z zimnym zainteresowaniem zauważył, jak Leiria naciera na żołnierzy. Była wszędzie, wpadając w ciżbę i z niej wypadając, jakby to był najwspanialszy z prezentów, które jej kiedykolwiek podarowano. Ale męczyła się, tak samo jak jej koń. Ujrzał, że zwierzę się potyka. Zobaczył, jak kobieta opuszcza rękę z mieczem. Dostrzegł wysiłek na jej twarzy, gdy podnosiła ją z powrotem.

I wtem poczuł wielkie zakłęcie. Wiedział, że tak będzie. Węszył w tym Farięgo, tego przekłętą starego demona. Ach, była tu też odrobina Luki. Woń arogancji. A Kalasariz? Gdzież on był? Ponownie pociągnął nosem i poczuł kwaśny odór intrygi. „A więc tutaj jesteś, ty sukinsynu!” Ale Fari potrzebował czegoś więcej, by stworzyć to zakłęcie.

Potrzebował Iraja.

Safar wyobraził ich sobie, zamkniętych wygodnie w jakiejś ciemnej komnacie w pałacu. Najprawdopodobniej w Necromancium. Fari był ostrożnym starym demonem i nie zaufałyby swoim czarodziejom, powierzając im misję pokonania Safara. Tak więc na wszelki wypadek stworzył wielkie zakłęcie. Wziął od każdego z konspiratorów kroplę krwi i bazował na wewnętrznej sile, którą miały wszelkie intrygi. Wziął jedną od Luki ze względu na jego trującą nienawiść do ojca. Jedną od Kalasariza, by spoiła całość. Jedną od siebie samego, dla prawdziwej magii. I w końcu jedną od Iraja, bo nie ma na świecie nic bardziej śmiertelności niż przyjaciel zwrócony przeciw przyjacielowi.

Asper nauczył tego Safara.

Potem Fari zmieszał krew. Warzył eliksir pracowicie przez długi czas, zanim jeszcze intryga stała się rzeczywistością, a potem wszyscy go wypili. Każdy po kolei przekazywał sobie kubek.

„Biedny Iraj” - pomyślał Safar. Prawdopodobnie nie wiedział, że wywar zespoli go z pozostałymi na zawsze.

Potem Fari rzucił zaklęcie. Ale które?

Ach! Co to mogło być?

Siła Czwórki!

To jeszcze jedna lekcja Aspera.

Zawołał Gundarę, który wskoczył mu na ramię. Malutki Ulubieniec wymamrotał zaklęcie. Jego głowa obracała się gorączkowo we wszystkie strony, szukając...

Wycelował palec we wschodnim kierunku.

- Tam, panie! - krzyknął.

Safar początkowo widział jedynie blask Księżyca Demonów nad pałacem. Potem ujrzał, jak coś się kształtuje. Przypominało wilczą głowę, która miała długie jak u demona kły. Złośliwe oczy myszkowały wokół.

Wtem wilk ujrzał go. Zawył w piekielnej radości i wystrzelił do przodu. Głowa rosła coraz bardziej, gdy się zbliżał.

Ale Safar nie obawiał się głowy. Przerażało go mordercze zaklęcie, które nadciągało za nią jak pustynna burza. Było tak silne, że aż niemożliwe do zatrzymania.

Safar wycelował sztylet ku głowie wilka. Jego czubek odbijał krwistą czerwień księżycowego światła.

Skupił się na nim całkowicie. Potem zaczął kroić. Jeden raz za Lukę. I jeszcze raz za Kalasariza. Ponownie za Farięgo. I w końcu czwarty raz - za Iraję.

Potem ponownie wymierzył sztylet w środek. Dokładnie między rozjarzone czerwone oczy wilka.

Poczuł siłę swej wzbierającej nienawiści. Poczuł pierwszy trzepot magicznych słów. Umieścił za czubkiem sztyletu całą swoją moc, całą swoją wolę i krzyknął:

- Protarus!

Rozległ się grzmot, a głowa wilka roztrzaskała się. Usłyszał odległe wycie. Potem niebo stało się puste, a powietrze nieruchome.

Rozejrzał się wokół i ujrzał oddziały, uciekające w dół zbocza. Leiria szła do niego, powoli prowadząc krwawiącego obficie z wielu ran konia.

- Jest ich więcej, Safarze - rzekła. - Można ich dostrzec ze szczytu wzgórza. Ale szybko powrócą. Jeszcze nie koniec.

- Nie mogłem go zabić - odparł Safar. - Zraniłem go, ale nie mogłem go zabić. Nie było na to czasu.

- Iraj nie da ci ponownej szansy - powiedziała.

- A więc my jemu też jej nie dajmy. Obrócił się, szukając Nerisy.

- Skierujemy się ku wiosce, dokładnie tak jak...

Nerisa leżała rozciągnięta na ziemi. W jej piersi tkwiła strzała, a po tunice pełzła plama krwi. Palimak klęczał przy niej, szlochając i bełkocząc cały czas:

- Zamknij się, zamknij, zamknij!

Zupełnie jakby próbował uciszyć samą Śmierć. I może tak było.

Safar nie czuł nic. Był zbyt wstrząśnięty, by ją oplakiwać, zbyt odrętwiały, by myśleć. Jedynym wrażeniem był zimny kamień w jego piersi, gdzie kiedyś żyło serce. Poczuł, jak coś go ciągnie za rękaw.

- Musimy iść, Safarze - mówiła Leiria. - Przykro mi, że ona nie żyje, ale nie możemy nic na to poradzić.

Jej głos wydawał się dobiegać z daleka - jak pisk mewy unoszącej się nad rozległym morzem. Potem stał się coraz bliższy i wyraźniejszy.

- Safarze! Oni za chwilę tu będą.

Wciąż się nie ruszał.

Leiria podbiegła do ciała Nerisy. Delikatnie podniosła Palimaka, uciszając go, choć niezgrabnie i z wojskową surowością. Przyniosła dziecko do Safara i delikatnie pchnęła go w pierś. Safar nie zareagował, tak więc wzięła po kolei jego ręce i owinęła je wokół chłopca, wymuszając uścisk.

- Zabiją też dziecko, Safarze - rzekła. - Dziecko Nerisy!

Safar ocknął się i mocno schwycił łkającego Palimaka.

- Nie pozwolę im - powiedział. - Zabiję tego sukinsyna, przysięgam!

- Zabijanie będzie musiało poczekać, Safarze - odparła Leiria. - Najpierw musimy się stąd wydostać.

I tak właśnie zrobili. Zjechali w dół wzgórza. Leiria prowadziła, a Safar trzymał Palimaka. Nigdy jednak nie zdołał przypomnieć sobie, w jaki sposób uciekli. Pamiętał jedynie krzyki żołnierzy za plecami i po jego obu bokach. Pamiętał dźwięk zatraskiwanych okiennic i drzwi, gdy pędzili przez ulice. Pamiętał wrzaski i krew u bramy. Pamiętał, jak wiejski krajobraz uciekał w tył. Pamiętał mylenie śladów, wpadanie z pluskiem w potoki, chowanie się w lasach.

W końcu dotarli do wioski, w której Safar i Nerisa zaplanowali spotkanie.

Tutaj Safar ponownie obudził się do życia. Jego serce było nadal kamienne, ale czuł rosnące ciepło.

Do życia obudziła go nienawiść, pożądanie zemsty.

Odesłał Leirię z Palimakiem. Może sprzeczała się z nim, ale nie mógł sobie tego przypomnieć. Tkwiło w nim jedynie niewyraźne wspomnienie, że powróci pewnego dnia. Gdy tylko odjechała, zapomniał, kiedy to ma być.

Przez wioskę przepływał wartki strumień. Safar przeszukał brzegi, aż znalazł niewielkie złożę najczystszej białej gliny.

Zebrał tyle, ile potrzebował i wspiął się na wzgórze wznoszące się nad wioską. Roztaczał się stamtąd widok na Zanzair. Widział pałac, w którym król Protarus siedział na swym tronie i rządził krainą.

Safar rozłożył wokół wszystkie potrzebne rzeczy. Zebrał drewno i rozpałił niewielkie ognisko. Gdy już się wypaliło, rozebrał się do bielizny i nasmarował popiołem.

Odciął pierwszą porcję gliny srebrnym sztyletem i zaczął tworzyć model wielkiego pałacu Iraja.

I siedział tak, dzień w dzień, noc w noc, oplakując Nerisę i planując zemstę.

Epilog

Rozliczenie

Zaklęcie było gotowe.

Cała jego nienawiść znikła. Teraz mieściła się w modelu Wielkiego Pałacu.

Zebrał swą gorycz i zamienił w potwory. Niektóre z nich zamknął w złoconych wieżyczkach. Inne w gładkich kopolach. Każdy gzyms nosił diabelski wizerunek. Gniew, zdrada, morderstwo i żądza ciągnęły się wzdłuż całego modelu, aż pałac został opasany pierścieniami oblicz nienawiści.

We wnętrznościach pałacu, głęboko w jego środku, gdzie jedynymi dźwiękami były głosy torturowanych istot i brzęk ich łańcuchów skuwających je z cierpieniem, umieścił nienawiść największą ze wszystkich. Zawierała to, co uczyniono Nerisie.

Zadowolony, podniósł wzrok znad modelu. Widział, jak w świetle Księżycy Demonów migocze prawdziwy Zanzair, prawdziwy Wielki Pałac, gdzie Iraj Protarus siedział na swym złotym tronie. Zastanawiał się, co myśli teraz Iraj, co widzi, gdy wpatruje się w kłębiący się przed nim dwór. Kim byli teraz jego przyjaciele? Którzy z dworzan to wrogowie? Iraj mógł rzucić na bramy tej zagadki swą największą armię i nigdy nie pojąć odpowiedzi. Ani zbrojni, ani rogate demony nie mogły mu jej przynieść.

Safar przypomniał sobie zagadkę z Księgi Aspera:

*Hadinu krainą dwaj królowie rządzą.
Jednego przeklęto, drugiego potępiono.
Jeden widzi wszystko, co widzą wszystkich oczy,
Drugi śni o tym, co to może znaczyć.
Jeden z nich oślepl. Ociemniał zaś drugi.
I kto może rzec, który z nich naprawdę widzi?
Wiem, że Asper zapukał w Strażnika Zamku drzwi,
Ale bramy zawarto, zaś śpiącym bogom sen się śni.*

Safar po raz ostatni przypatrzył się błyszczącemu miastu i wspaniałemu pałacowi, który kiedyś był marzeniem innego człowieka. Obrócił się.

Więcej już tam nie spojrzy.

Pozostały mu już tylko ostatnie muśnięcia, by zakończyć zaklęcie. Otoczył model suchymi gałązkami krzewu kreozotowego. Pachniały oleście, ale woń nie była ani przyjemna, ani przykra. Rozsypał wokół proszki, kształtując koncentryczne koła czerwieni, zieleni, żółci i czerni. Tuż przed bramą uformował szeroką plamę składającą się z wszystkich kolorów. W niej najpierw odcisnął srebrny sztylet, tak by ślad był wyraźny i głęboki. Później to samo uczynił z amuletem w kształcie konia, wciskając go tak głęboko, że ogier wydawał się stawać dęba na znaku ostrza.

Gdy już skończył, oczyścił sztylet i amulet, aby znikły wszystkie plamki proszku. Potem ostrożnie umieścił przedmioty w torbach.

Na szczycie wzgórza, spod wielkiego głazu tryskał strumyk. Tam, gdzie ciężar głazu wbił się najmocniej, utworzył się płytki basenik. Safar rozebrał się i obmył. Do potoku spływały zabarwione popiołem strumyczki, aż basenik zaczął się zaciemniać.

Odszedł od niego, a jego skóra błyszczała w porannym słońcu. Basenik zdawał się być mrocznym zwierciadłem rozpacz, którą mężczyzna miał zostawić za sobą.

Potem odział się z uwagą w czystą tunikę, bryczesy i szeroki pas ściskający jego talię. Włożył buty, przypiął ostrogi, a potem rozejrzał się wokół, by zobaczyć, co powinien następnie zrobić.

Ale nie zostało już nic do zrobienia.

Tak więc usiadł na głazie i czekał, choć nie mógł przypomnieć sobie, na co czekał.

Pomyślał o Kyranii. Obraz przybył do niego, niesiony świeżym wietrzykiem wyobraźni rozwiewającym Welon Panny Młodej, czysty i obiecujący wiosnę. Ujrzał szerokie pola doliny, które objęła odwilż, z zielonymi kielkami przebijającymi się przez biel. I sady strząsające z siebie zimę, z puchnącymi pąkami na gałęziach, gdzie wkrótce pojawią się kiście wiśni, brzoskwiń i jabłek. Ujrzał zaspanego chłopca prowadzącego kozy na pastwisko; piękne panny, które chichotały i dygały, przechodząc obok mężczyzny; czujne staruszki mruczące ostrzeżenia, gdy ścierały brudną bieliznę kamieniami do mycia. Nad jezioro powracały ptaki, wypełniając powietrze dźwiękami tokowań i wyzwań rywali. Zobaczył dym z paleniska unoszący się znad pokrytych szarym łupkiem dachów i poczuł woń pieczonej jagnięciny nadziewanej czosnkiem, chleba z pieca i pieczonego sera skwierczącego przy ogniu. Ujrzał swą rodzinę przy stole, matkę, ojca i wszystkie siostry, roześmiane, rozplotkowane, gdy nalewały gęstą owsiankę matki, która miała trzymać ich na nogach przez cały dzień. Usłyszał, jak Naya beczy, chcąc, by ją ktoś wydoił, a jego matka krzyczy...

- Obudź się, Safarze, ty leniwy chłopaku!

Safar poderwał głowę. Usłyszał nadjeżdżające konie i uśmiechnął się, widząc, jak po ścieżce wspina się Leiria, wiodąc za sobą jeszcze jednego konia. Miała miecz przy biodrze i Palimaka przypiętego w koszu na plecach. Dziecko gruchało i gulgotało, przypatrując się światu ze swego małego kosza wyścielonego miękkimi kocami.

Czoło Leirii pokryły zmarszczki zmartwienia, ale gdy zobaczyła jego uśmiech, zmarszczki znikły. Uśmiechnęła się w odpowiedzi. W jej ciemnych oczach rozkwitła słodka nadzieja, niczym kielki wystrzelające w górę na kyrańskich polach.

Przykłusowała do niego, a uśmiech na jej twarzy rósł.

Potem spojrzała na model pałacu otoczony suchymi gałązkami i wotywnymi proszkami. Jej perłowy uśmiech znikł.

- Czy jesteś gotów? - zapytała drżącym głosem.

Safar odpowiedział pytaniem:

- Jaki jest dziś dzień?

- Ależ to dzień, w którym powiedziałam, że wrócimy. Dzień biesiady, w którym Iraj ogłosi Wiek Wielkich Łask. - Wykonała gest w dół wzgórza. - Wszyscy mieszkańcy wsi o tym mówią.

Safar skinął głową, przypominając sobie ostatnie polecenia, które dał Leirii. Był to dzień, w którym miała powrócić, jeśli miałyby szczęście.

- A więc jestem gotów - odparł.

- To dobra nowina - rzekła Leiria - bo jeśli nie byłbyś gotów walnęłabym cię w głowę i zabrała stąd, związanego i przytroczonego do końskiego grzbietu.

Safar widział, że kobieta nie żartuje.

- Król wciąż na mnie poluje?

- Cały Esmir poluje na ciebie - odparła. - Jego oddziały przeczesują wsie, marząc o tej wielkiej sakiewce, którą zarobią, przynosząc twoją głowę.

Safar roześmiał się.

- Siedziałem tu przez ten cały czas - powiedział. - Dwadzieścia mil od jego bram.

- Nie bądź taki mądry - odrzekła Leiria. - Po drodze ujrzałam patrol kierujący się ku wiosce. Jechałam z nimi przez jakiś czas. Sierżant powiedział mi, że krążą plotki o szalonym kapłanie zamieszkującym te wzgórza, który jest nikim innym jak Safarem Timurą w przebraniu. - Wzruszyła ramionami, a na jej twarz powrócił uśmiech. - Szczęśliwie tak się złożyło, że nie myślał poważnie o tych plotkach i przed przybyciem tutaj zamierzał przeprowadzić inspekcję w kilku innych miejscach.

Safar spojrzał na nią, szukając... sam nie wiedział czego.

- Czy jesteś pewna, że tego chcesz? - zapytał. - Możesz odjechać. Możesz oddać mi dziecko i jechać w dal, znajdując sobie lepsze życie.

- Zamknij się - krzyknął Palimak. Patrzył na Safara, a jego orzechowe oczy zamieniły się w demoniczną żółć zachwytu, gdy go rozpoznał. - Zamknij się, zamknij, zaaamkniiij!

Safar usłyszał odpowiedź Gundary zza zwiniętych kocyków:

- Sam się zamknij! Mam już dosyć tego „zamknij się”! Cały czas nic, tylko „zamknij się, zaaamknij się!”

Leiria roześmiała się, a koń zatańczył, słysząc jej głos.

- Oto twoja odpowiedź, Safarze Timuro! - krzyknęła.

Tak więc rozbił słoje oleju nad modelem pałacu i otaczającymi go gałązkami. Zapalił chrust i dmuchał nań, aż ogień zaczął strzelać.

Potem wskoczył na konia i odjechali w dal.

Gdy przejeżdżali obok zaskoczonych mieszkańców wsi, ze szczytu wzgórza dobiegło ich uderzenie pioruna. Chwilę później rozległ się kolejny grzmot, z oddali, ale znacznie głośniejszy, tak donośny, jakby obudzili się sami bogowie.

Potem całe północne niebo ogarnęła ściana ognia tak gorąca, że w jej blasku zniknął Księżyc Demonów.

Ale oni nie oglądali się. Nie przystanęli i nie patrzyli, jak niebo się przejaśnia. Nie ujrzeli stopionego miejsca, gdzie kiedyś stał Wielki Pałac Zanzairu, gdzie od najdawniejszych czasów królowie obejmowali rządy, a potem odchodzili.

Nie spojrzeli tam, gdzie ostatni władca - król królów, Iraj Protarus, Lord Imperator Esmiru, większy nawet od Alisarriana Zdobywcy - dożył przeznaczonej sobie godziny i odszedł w dalszą drogę.

Dom znajdował się tysiące mil stąd, a może nawet jeszcze dalej. Ale Safar widział, jak go przyzywa mglista, powitalna wizja rozbłyskująca pod powiekami.

Prowadził ich prosto i szybko przez pustynie, sawanny i szerokie, kamieniste równiny wiodące ku górą, gdzie się urodził.

Do dalekiej Kyranii.

Tam, gdzie śnieżne przełęcze wiodą wysokie karawany ku jasnym horyzontom.

Ku miejscu, którego nigdy nie powinien opuszczać.

Ku miejscu, gdzie kończy się ta opowieść.

O AUTORZE

Allan Cole jest autorem wielu bestsellerów, scenarzystą i nagradzanym w przeszłości dziennikarzem, który w pisane z rozmachem dzieła wplata bogatą wiedzę podróżnika i osobiste doświadczenia życiowe.

Wychował się w Europie i na Dalekim Wschodzie. Uczęszczał do trzydziestu dwóch szkół i mieszkał, bądź odwiedził, niemal tyle samo krajów. Wspomina, że po raz pierwszy wysłuchał *Burzy*, siedząc na murze starożytnej fortecy na Cyprze - wyspie, którą miał na myśli Szekspir, pisząc tę sztukę. Cole, tak jak jego ojciec, odrzucił propozycję współpracy z CIA i rozpoczął karierę reportera, a następnie wydawcy zajmującego się różnymi sprawami, od głośnych procesów morderców po przestępstwa finansowe nieuczciwych członków rządu.

Od tamtego czasu wydał szesnaście powieści, z których wiele stało się międzynarodowymi bestsellerami. Pisał także scenariusze teatralne i filmowe. Obecnie mieszka na ranchu w Elephant Butte w New Mexico, wraz z Kathryn, która jest jego najsilniejszym wsparciem, kotem Squeakiem, który rządzi elfami pisarza, oraz Acme, kukawką srokatą, która kibicuje, siedząc na oknie jego gabinetu.

Czytelnicy, którzy chcą osobiście zwrócić się do Allana, mogą dotrzeć do niego za pośrednictwem strony internetowej:

<http://www.acole.com>

lub też przez e-mail:

75130.2761@compuserve.com.